RAPORT Witolda

WITOLD PILECKI

13 05 1901 – 25 05 1948

www.rtmpilecki.eu



Witold
Pilecki
13.05.1901
25.05.1948



RAPORT Witolda

APOSTOLICUM

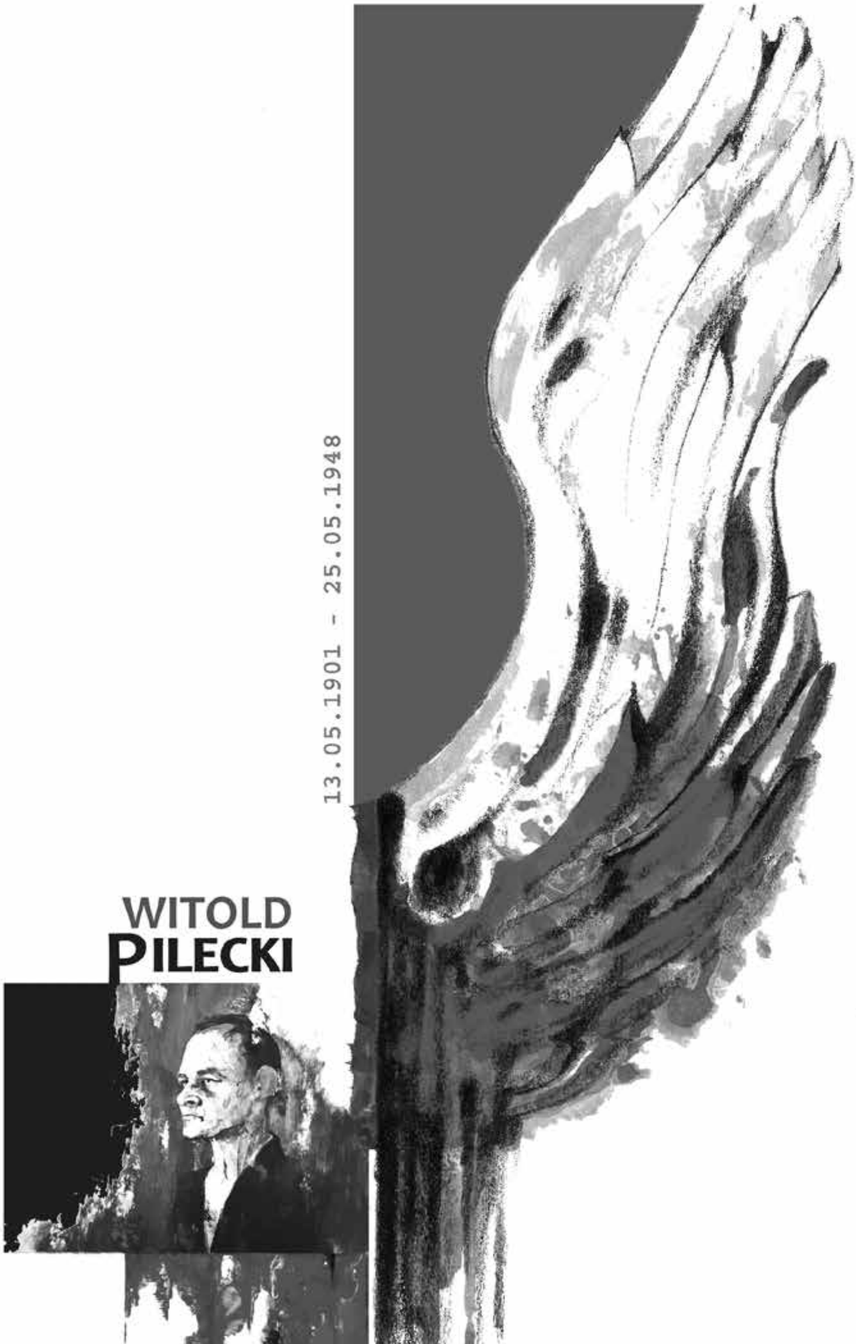
SWP

Ząbki • Londyn

Honorowy patronat

Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

Andrzeja Dudy



Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej

Warszawa, 29 listopada 2016 roku

Wstęp
do publikacji *Raport Witolda*
Wydawnictwa Apostolicum

Rotmistrz Witold Pilecki to jeden z największych bohaterów Polski, Europy i całego wolnego świata w XX wieku. Należał do najdzielniejszych żołnierzy Rzeczypospolitej. Dał niezliczone dowody odwagi, męstwa i skuteczności. Nie sposób przecenić jego zasług, które położył w walce zbrojnej o niepodległość Ojczyzny podczas wojny z bolszewikami w 1920 roku, wojny obronnej 1939 roku i powstania warszawskiego. Jego działalność podziemna jako „ochotnika do Auschwitz" i uczestnika drugiej konspiracji przeciw powojennemu reżimowi komunistycznemu tworzy zaś heroiczną i tragiczną epopeję, którą powinien znać każdy, komu bliskie są takie wartości, jak wolność narodów i godność człowieka.

Dlatego bardzo się cieszę, że do rąk czytelników trafia pierwsza edycja krytyczna *Raportu Witolda*. To najobszerniejsza relacja rotmistrza Pileckiego z niemieckiego obozu zagłady w Oświęcimiu. Raport opowiada o jednym z najstraszniejszych doświadczeń w dziejach ludzkości: niewolniczej pracy i masowej eksterminacji przez nazistowską III Rzeszę. Okrucieństwo totalitaryzmu pokazuje, do czego zdolny jest człowiek, który odrzuca wartości chrześcijańskie i uniwersalne zasady etyki. Ukazuje owoce nienawiści i pogardy, motywowanych ideologią rasistowską. Ale jednocześnie jest on też dowodem, że nawet w tak nieludzkiej rzeczywistości od naszej wolnej woli zależy, czy zdołamy ocalić człowieczeństwo i solidarność z bliźnimi. To wspaniałe świadectwo triumfu ducha wolności i patriotyzmu nad brutalną przemocą.

Jestem przekonany, że *Raport Witolda* pozostaje nie tylko bezcennym dokumentem historycznym, ale też że jego lektura niesie istotne przesłanie dla przyszłości. Wierzę, że dzięki tej publikacji współcześni Polacy, zwłaszcza młodzi, będą mogli lepiej poznać losy naszego narodu podczas II wojny światowej. A także czerpać inspirację z postawy jego autora i wielu opisanych przezeń osób.

Syn rotmistrza, Andrzej Pilecki, wiele razy wspominał wskazania swojego ojca: „Kochaj Ojczyznę jak swoją rodzinę. Kochaj wszystkich, wszystkim służ". Niechaj dzięki tej książce ten ponadczasowy testament Witolda Pileckiego znajduje spadkobierców i kontynuatorów w kolejnych pokoleniach.



Rodzina Pileckich:
Witold z żoną, Marią, oraz dziećmi, Zofią i Andrzejem, 1934

SŁOWO WSTĘPNE ZOFII PILECKIEJ-OPTUŁOWICZ – CÓRKI ROTMISTRZA

Rodzice moi – Maria i Witold – byli dla mnie klejnotami; i że Ich miałam, i miałam takich, to dla mnie największy skarb. O Tatusiu myślę, jak myśli córka o troskliwym ojcu, najlepszym przyjacielu, wytęsknionym domowniku, ciepłym i bliskim...

Ale też coraz częściej przychodzi mi myśleć o Nim jako o bohaterze, herosie, wzorcu osobowym, człowieku niezłomnym i zasłużonym dla Narodu. I jestem wtedy mniej „Generałką", bo tak mnie Tatuś nazywał, ale jak tysiące i miliony Polek i Polaków bardziej spadkobierczynią Jego służby dla Polski i – jak bardzo wielu z nich – zawdzięczam Mu pokoleniowy transfer narodowych wartości.

Cieszę się szkołami im. Rotmistrza Witolda Pileckiego, których coraz więcej; raduje mnie masowy udział młodych ludzi w biegach, marszach i innych przedsięwzięciach upamiętniających Jego Osobę.

I przyznaję – czasem tylko nie wiem, czy jestem jedną z tych wielu, czy Ojcową „Generałką", dzięki Niemu tak wyróżnioną. On – Rotmistrz Witold – stał się dobrem narodowym i porywającym wianem polskich Orląt w ich pokoleniowej służbie Polsce. I w końcu myślę, że im bardziej jest On wszystkich, tym bardziej jest mój.

Dziękuję Inicjatorom, Autorom i Wydawcom za świadectwo pamięci w postaci niniejszego dzieła.



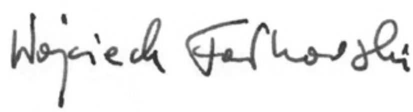

RTM.
WITOLD
PILECKI
13.05.1901
25.05.1948

SŁOWO WSTĘPNE PROF. DR. HAB. WOJCIECHA FAŁKOWSKIEGO – WICEMINISTRA OBRONY NARODOWEJ

Żyjemy w czasach, w których wielcy i prawdziwi bohaterowie muszą być na nowo odkryci i przypomniani. Ich czyny, postawę i przekonania trzeba wydobyć na światło dzienne, a cierpienia i prześladowania wynagrodzić naszym podziwem po latach.

Raport Rotmistrza, jego relacja o tym, co widział i przeżył, to przejmujące świadectwo okrutnych czasów i bestialskich czynów. Stanowi przestrogę przed powtórzeniem nieludzkich zbrodni, ale zarazem jest dowodem, że wśród nas zawsze są ludzie heroiczni i zdolni do największego poświęcenia. Witold Pilecki całym swoim życiem i męczeństwem z rąk komunistycznych bandytów udowadnia, że w każdych okolicznościach można być patriotą wiernym najważniejszym wartościom.

Ze wzruszeniem kartkujemy jego raport, przesłanie, które zostawił potomnym. Z przejęciem śledzimy historię jego życia. Stojąc na baczność, składamy mu hołd.



Witold Pilecki 13.05.1901 – 25.05.1948



WYKAZ SKRÓTÓW

AK	Armia Krajowa
AP	Armia Polska
art.	artyleria
ASP	Akademia Sztuk Pięknych
BCh	Bataliony Chłopskie
chor.	chorąży
DAK, dak	dywizjon artylerii konnej
d-ca	dowódca
DPRez.	Dywizja Piechoty Rezerwowa
DR	Delegatura Rządu RP na Kraj
dypl.	dyplom(owany)
gen.	generał
GG	Generalne Gubernatorstwo
GON	Gwardia Obrony Narodowej
HKB	Häftlingskrankenbau (więźniarska izba chorych)
kaw.	kawaleria
Kedyw	Kierownictwo Dywersji (KiErownictwo DYWersji)
KG	Komenda Główna
KL	Konzentrationslager (obóz koncentracyjny)
KN	Konfederacja Narodu
KOP	Korpus Ochrony Pogranicza
kpr.	kapral
kpt.	kapitan
KT	Konfederacja Tatrzańska
KZ	Konfederacja Zbrojna
KZN	Konfederacja Zbrojna Narodu
Leg.	Legiony
lot(n).	lotniczy, lotnictwa
m.p.	miejsce postoju
MBP	Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego
med.	medycyna, medyczny
mjr	major
MON	Ministerstwo Obrony Narodowej
MSWojsk.	Ministerstwo Spraw Wojskowych
NIE	Niepodległość (organizacja konspiracyjna)
niem.	niemiecki
NKWD	Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych)
NN	*nomen nescio* (nazwisko nieznane)
NOW	Narodowa Organizacja Wojskowa
NSDAP	Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei (Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników)
NSZ	Narodowe Siły Zbrojne

of. oficer
ONR Obóz Narodowo-Radykalny
OOB Organizacja Orła Białego
OWP Obóz Wielkiej Polski
pac pułk artylerii ciężkiej
PCK Polski Czerwony Krzyż
pdch., pchor. podchorąży
piech. piechota
PLL Polskie Linie Lotnicze
plot. pułk lotniczy
plut., plt. plutonowy
płk pułkownik
PMAB Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau
podof. podoficer
por. porucznik
pp pułk piechoty
ppłk podpułkownik
ppor. podporucznik
PPP Polskie Państwo Podziemne
PPS Polska Partia Socjalistyczna
PRL Polska Rzeczpospolita Ludowa
psp pułk strzelców podhalańskich
pszwol. pułk szwoleżerów
pu, p.uł. pułk ułanów
PW Przysposobienie Wojskowe
PWiWF Przysposobienie Wojskowe i Wychowanie Fizyczne
PZPR Polska Zjednoczona Partia Robotnicza
rez. rezerwa
RFN Republika Federalna Niemiec
RP Rzeczpospolita Polska
RSHA Reichssicherheitshauptamt (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy)
rtm. rotmistrz
SA Sturmabteilung (oddział szturmowy)
sap. saper
sierż. sierżant
SK Strafkompanie (kompania karna)
sł. st. służba stała (zawodowa)
SN Stronnictwo Narodowe
SPP Studium Polski Podziemnej
SS, ss Schutzstaffel (sztafety ochronne)
st. starszy
starsz. starszeństwo
st. sp. stan spoczynku
SZP Służba Zwycięstwu Polski
TAP Tajna Armia Polska
uł. ułan
wachm. wachmistrz
WP Wojsko Polskie
WRN Wolność-Równość--Niepodległość
WSR Wojskowy Sąd Rejonowy
zaw. zawodowy
ZBK Związek Bezpieczeństwa Kraju
z-ca zastępca
ZCZ Związek Czynu Zbrojnego
ZHP Związek Harcerstwa Polskiego
ZOW Związek Organizacji Wojskowej
ZWZ Związek Walki Zbrojnej

WPROWADZENIE

Raport Witolda to dokument o wielkiej wartości historycznej, unikatowe świadectwo barbarzyństwa niemieckiego okupanta ziem polskich podczas II wojny światowej. Unikatowe, bo jedno z pierwszych, jakie wydostało się z pilnie strzeżonego obozu zagłady, a także dlatego, że zostało spisane przez naocznego świadka, który znalazł się tam celowo i dobrowolnie m.in. po to, by zrelacjonować światu te szokujące zdarzenia. Aby nie uronić niczego z tego cennego przekazu, staraliśmy się możliwie wiernie przygotować niniejszą edycję *Raportu* zarówno w warstwie merytorycznej, jak i formalnej. Tekst oryginalnego dokumentu jest miejscami wymagający, ale dla każdego, komu bliska jest wiedza z pierwszej ręki, obcowanie z nim powinno być nie lada satysfakcją.

Okoliczności poznania *Raportu*

Informację o raporcie przechowywanym w Londynie pierwszy do publicznej wiadomości podał rtm. dr Józef Garliński, będący tak jak Pilecki żołnierzem AK i więźniem Oświęcimia (w okresie późniejszym niż Witold). Kiedy trafił do Auschwitz, zetknął się tam z prężnie działającą konspiracją. Z fascynacji nią powstała praca doktorska, której jednym z efektów było częściowe odszyfrowanie ukrytych pod numerami nazwisk osób należących do tajnej organizacji obozowej. Dokonał tego, opierając się na własnych obserwacjach i doświadczeniach oraz korzystając z informacji otrzymywanych od współwięźniów, a także z materiałów Archiwum Państwowego Muzeum Oświęcim-Brzezinka (obecnie Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau).

Chociaż sukces okazał się połowiczny – bo w wielu wypadkach nie udało się zidentyfikować nazwisk, a co najmniej w kilku ustalenia Garlińskiego okazały się błędne – to jednak dzięki jego pracy świat dowiedział się o Pileckim. A kiedy Michael R.D. Foot, wybitny brytyjski historyk, uznał Rotmistrza za jednego z najodważniejszych ludzi II wojny światowej, już nie dało się bagatelizować faktu, że Polacy walczyli z wrogiem,

a w najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych okolicznościach potrafili stworzyć konspirację i struktury państwa podziemnego.

W okresie późniejszym prace nad dokończeniem identyfikowania członków konspiracji obozowej podjął dr Adam Cyra, pracownik PMAB. Korzystał z danych zgromadzonych w obszernym archiwum swojej instytucji. Miał więcej szczęścia niż Garliński, gdyż po przemianach ustrojowych w Polsce w latach 1989–1990 udało mu się dotrzeć do archiwum ówczesnego Urzędu Ochrony Państwa (który przejął część dokumentów po organach bezpieki). Tam znalazł oryginalne zapiski Pileckiego, na których podstawie zdołał odkodować większość brakujących nazwisk. Cyra doprowadził w 1992 r. do odtajnienia i udostępnienia dokumentu instytucjom naukowym. Jak się okazało, był to trzystronicowy klucz do pierwszego, znacznie krótszego raportu, tzw. *Raportu W* z 1943 r. Obydwa raporty nieco się różnią. Pileckiemu prawdopodobnie niektóre szczegóły zatarły się w pamięci, kiedy w 1945 r. we Włoszech pisał na nowo swój drugi raport. Dlatego próby ustalenia personaliów z *Raportu Witolda* z 1945 r. na podstawie klucza do *Raportu W* z 1943 r. nie mogły zostać uwieńczone pełnym powodzeniem. Pod niektórymi liczbami nadal kryją się osoby niezidentyfikowane.

Informacje o obecnej edycji

Początkowo – dzięki uprzejmości dr. Piotra M.A. Cywińskiego, dyrektora PMAB – dysponowaliśmy kopią *Raportu W*, pozyskaną przez PMAB z Archiwum Akt Nowych w Warszawie, oraz kopią *Raportu Witolda* w wersji, jaka w 1979 r. została przekazana do archiwum muzeum oświęcimskiego przez SPP w Londynie, które jest prawowitym właścicielem oryginalnego maszynopisu *Raportu Witolda*. Kiedy dopełniliśmy formalności i uzyskaliśmy licencję na wydanie *Raportu* w języku polskim oraz przekładu na język angielski, udostępniono nam współcześnie wykonane skany oryginału.

Skany te – z oczywistych względów znacznie lepszej jakości niż fotokopia z 1979 r. z archiwum PMAB – ujawniły, że przechowywany w SPP oryginał uległ na przestrzeni lat co najmniej w jednym miejscu istotnemu uszkodzeniu i bez sięgnięcia do fotokopii sprzed lat kilkudziesięciu odczytanie niektórych słów nie byłoby możliwe. Praca z obydwiema wersjami wyszła więc niniejszej edycji na dobre: pomogła nie tylko wierniej odtworzyć tekst oryginalny, ale także ustrzec się przed różnego typu brakami i przeinaczeniami, jakie spotyka się w dotychczasowych wydaniach *Raportu Witolda*, bazujących tylko na jednej z kopii.

Jesteśmy szczęśliwi, że nasza inicjatywa upowszechnienia tego arcyważnego dokumentu spotkała się ze zrozumieniem SPP w Londynie. Słowa podziękowania należą się szczególnie Pani Prezes Eugenii Maresch, która okazała Fundacji Gdzie wiele życzliwości i wraz ze swoim zespołem udzieliła daleko idącej pomocy.

Raporty Pileckiego były publikowane kilkakrotnie, m.in. w internecie. *Raport Witolda* z 1945 r. zamieścił w swojej książce *Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz* także wspomniany już Adam Cyra. Pobieżne nawet porównanie tych tekstów z kopiami oryginalnego maszynopisu wskazuje, że publikacje te nie są wiernym odzwierciedleniem *Raportu* Pileckiego. Tekst w nich został uładzony, jego strukturę zatarto, język uwspółcześniono i poddano literackiemu retuszowi. Może nie stracił przez to zbyt wiele pod względem informacyjnym i być może stał się dla przeciętnego czytelnika łatwiejszy w odbiorze, ale na pewno utracił walor autentyzmu i ślady głębokiego emocjonalnego zaangażowania autora.

Dlatego podjęliśmy decyzję o przygotowaniu edycji *Raportu Witolda* oddającej ducha i literę oryginalnego dokumentu, tak ważnego dla polskiej historii oraz świadomości patriotycznej i narodowej. Zachowaliśmy więc jego język, styl, pisownię i interpunkcję. W imię wierności oryginałowi postanowiliśmy nie poprawiać błędów ortograficznych i składniowych, które prawdopodobnie powstały wskutek pośpiesznej pracy Pileckiego nad dokumentem albo z powodu niezbyt starannego przepisywania go na maszynie przez jego współpracowników. Świadczyć może o tym np. fakt, że w tekście występuje wyraz „dwóch" pisany poprawnie, ale także wielokrotnie „dwuch". Zachowaliśmy charakterystyczną pisownię, np.: „niemiec", „żyd", „ślązak", „ukrainiec"; „przedtym", „potym", „wogóle", „przedewszystkiem" itp. Zachowaliśmy też używane przez Pileckiego germanizmy, np. „kamera" (niem. *Kammer* – „izba, komora, komórka") zamiast utrwalonej znacznie później w języku polskim nazwy „komora gazowa". Również powtarzające się określenie żołnierzy-funkcjonariuszy hitlerowskich pełniących zadania policyjno-egzekucyjne pozostawiliśmy w pisowni, jaką zastosował autor – „ss-mann" zamiast spolszczonej formy „esesman" (niem. *ss-Mann*). Nie ingerowaliśmy w pisownię, gdy używane były terminy niemieckie. Często odbywało się to niekonsekwentnie – obok stosowania form poprawnych autor uciekał się do łączenia słów niemieckich (pisanych zwykle w cudzysłowie) z polskimi końcówkami, które czasami oddzielał apostrofem lub dywizem.

Zachowaliśmy także strukturę *Raportu*, w którym większość zdań stanowi odrębne akapity. Zdarzają się akapity kilkuzdaniowe, lecz są one przeważnie dosyć zwięzłe. Ta jakby urywana narracja powoduje, że dokument w swoim oryginalnym kształcie jest bardzo dynamiczny i ekspresyjny. Chcieliśmy zatem przekazać czytelnikom i ten walor zamiast „zaokrąglonych" akapitów, jak ma to miejsce w innych opublikowanych wersjach dokumentu. Konsekwencją decyzji o zachowaniu struktury oryginału stała się konieczność pogodzenia się z niedoskonałościami składu, w tej sytuacji niemożliwymi do uniknięcia. Przyczyniła się do nich także duża ilość przypisów, nierzadko przypadająca na krótki fragment tekstu Rotmistrza.

Takiego języka, jaki obecny jest w *Raporcie* – charakterystycznego raczej dla okresu międzywojennego, wręcz nawiązującego do maniery pisarskiej niektórych twórców dwudziestolecia – już się dzisiaj nie używa. Język ten bez żadnej specjalnej obróbki

literackiej jest dostatecznie barwny i ciekawy, a zarazem oryginalny, że warto nim zainteresować współczesnego czytelnika. Przykładem jest choćby interpunkcja. Autor *Raportu* stosował ją w inny niż dzisiaj sposób. Wielokropki, myślniki i dywizy, wreszcie wykrzykniki miały najwyraźniej wzmocnić wymowę niektórych sformułowań i podkreślić bardzo osobisty, emocjonalny stosunek Pileckiego do przekazywanych w dokumencie treści. Jeżeli przyjąć zgodnie z dawnymi kanonami gramatyki i stylistyki, że znaki przestankowe są istotną wskazówką dla czytającego tekst, to ich wpływ na jego interpretację i odbiór nabierają dodatkowego znaczenia.

Redakcja w istotny sposób nie ingerowała w widoczną w maszynopisie interpunkcję. Gdzieniegdzie jednak uzupełniono brakujące na końcu zdania kropki, uporządkowano wielokropki, cudzysłowy itp. Ponadto pominięto słowa wykreślone przez autora oraz odręczne pionowe zakreślenia całych akapitów (prawie we wszystkich wzmiankowany jest dr. 2, czyli Władysław Dering). Bez istotnych ingerencji pozostawiono też list rtm. Witolda Pileckiego do gen. Tadeusza Pełczyńskiego, zamieszczony na stronach poprzedzających *Raport*.

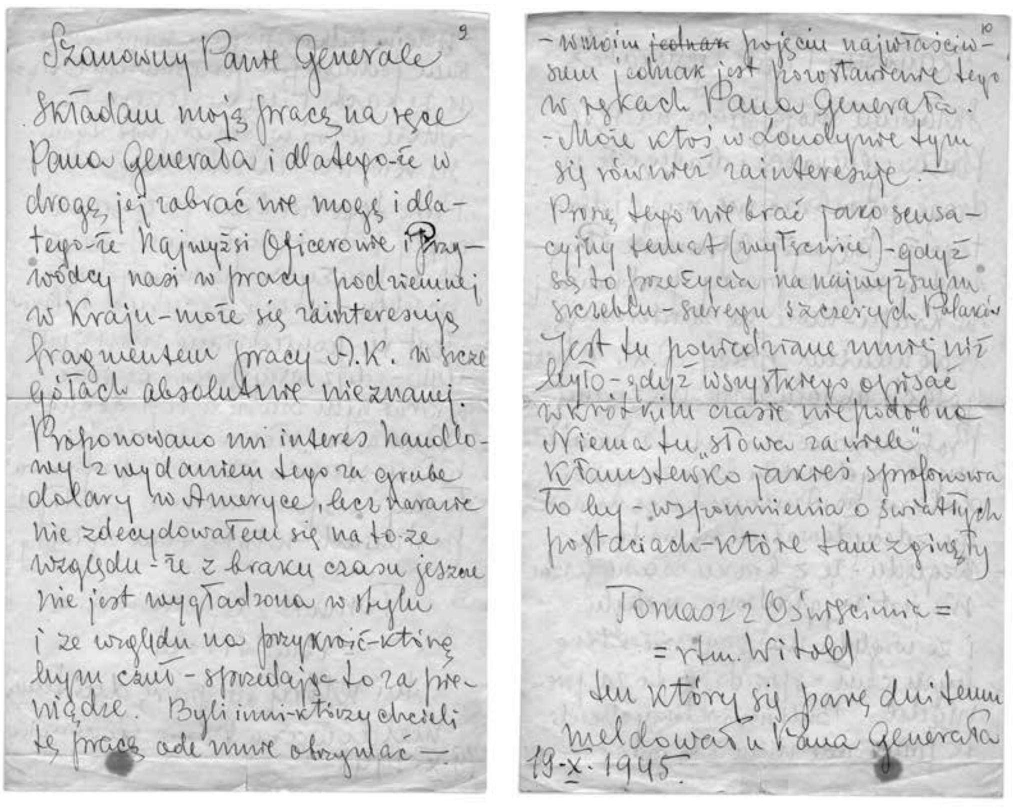
Dodane przez redakcję przypisy mają na celu objaśnienie zwrotów i wyrażeń niezrozumiałych, archaicznych, a także licznych określeń niemieckojęzycznych i żargonowych, specyficznych dla okresu wojny, okupacji i życia w obozie koncentracyjnym. Staraliśmy się unikać odsyłaczy do literatury przedmiotu oraz konfrontacji z obecną wiedzą naukową o wojnie i rzeczywistości lagrowej, poprzestając na wyjaśnieniu pojęć i realiów obcych dzisiejszemu pokoleniu. W przypisach przedstawiono skrótowe informacje biograficzne o postaciach wzmiankowanych lub opisywanych przez Pileckiego w *Raporcie* a możliwych do identyfikacji, m.in. o niektórych funkcjonariuszach załogi Auschwitz i więźniach funkcyjnych tego kombinatu śmierci. W przypadku błędów w nazwiskach osób wymienionych w tekście *Raportu* podano w nawiasach kwadratowych poprawną wersję nazwiska (wszelkie inne uzupełnienia odredakcyjne także ujęto w nawias kwadratowy). Przy liczbach oznaczających poszczególnych uczestników konspiracyjnego ZOW podaliśmy w nawiasie kwadratowym imię i nazwisko osoby, której zapis dotyczy, jeżeli tylko identyfikacja była możliwa.

Raport Witolda to gotowy materiał na scenariusz filmu sensacyjnego. Tę świadomość musiał mieć sam Pilecki, albowiem już w 1945 r. Amerykanie proponowali mu odkupienie jego relacji za duże pieniądze. Wyruszając jednak na swoją ostatnią misję specjalną do Polski, pozostawił ten dokument jednemu ze swoich przełożonych, człowiekowi równie jak on ideowemu i wyznającemu podobne wartości – gen. Tadeuszowi Pełczyńskiemu, wybitnemu oficerowi, szefowi sztabu AK, specjaliście od wywiadu i konspiracji. Pilecki zdawał sobie sprawę, że dokument jest cenny nie ze względu na sensacyjną treść, ale ze względu na ważne dla Polski, polskiej historii i pamięci aspekty. Fundacja Gdzie – organizator projektu „Rotmistrz Pilecki – Bohater Niezwyciężony", w którego ramach we współpracy z wieloma instytucjami i osobami prywatnymi, pod patronatem znamienitych osobistości, w tym Prezydenta Rzeczypospolitej

Polskiej Andrzeja Dudy, *Raport Witolda* został opracowany i wydany – podjęła tę myśl Rotmistrza, zobowiązując się do niekomercyjnego upowszechniania dzieła w Polsce i poza jej granicami.

Mimo wydania *Raportu* w wersji zbliżonej do zapisów w oryginale i opatrzenia tekstu wieloma przypisami nie jest to typowa edycja źródłowa. Takie opracowanie byłoby znacznie trudniejsze w odbiorze. Tymczasem ideą przyświecającą zespołowi redakcyjnemu niniejszej edycji jest jak najszersze upowszechnienie wiedzy zawartej w dokumencie, zwłaszcza wśród młodych pokoleń Polaków i wśród wszystkich zainteresowanych, którzy do tej pory nie mieli okazji zapoznać się z tym swoistym testamentem jednego z najwybitniejszych Polaków XX wieku – rtm. Witolda Pileckiego.

Michał Siwiec-Cielebon



9

Szanowny Panie Generale
Składam moją pracę na ręce
Pana Generała i dlatego-że w
drogę jej zabrać nie mogę i dla-
tego-że Najwyżsi Oficerowie i Przy-
wódcy nasi w pracy podziemnej
w Kraju-może się zainteresują
fragmentem pracy A.K. w szcze-
gółach absolutnie nieznanej.
Proponowano mi interes handlo-
wy z wydaniem tego za grube
dolary w Ameryce, lecz narazie
nie zdecydowałem się na to-ze
względu-że z braku czasu jeszcze
nie jest wygładzona w stylu
i ze względu na przykrość-którą
bym czuł-sprzedając to za pie-
niądze. Byli inni-którzy chcieli
tę pracę ode mnie otrzymać—

10

-w moim ~~jednak~~ pojęciu najwłaściw-
szem jednak jest pozostawienie tego
w rękach Pana Generała.
-Może ktoś w Londynie tym
się również zainteresuje.—
Proszę tego nie brać jako sensa-
cyjny temat (zmyślenie)-gdyż
są to przeżycia na najwyższym
szczeblu-szeregu szczerych Polaków
Jest tu powiedziane mniej niż
było-gdyż wszystkiego opisać
w krótkim czasie niepodobna
Niema tu „słowa za wiele”
Kłamstewko jakieś sprofanowa-
łoby-wspomnienia o świętych
postaciach-które tam zginęły

Tomasz z Oświęcimia =
= rtm. Witold
Ten który się parę dni temu
meldował u Pana Generała
19-X-1945.

* Dokument znajduje się w zbiorach SPP w Londynie. Tadeusz Walenty Pełczyński – ur. 14 lutego 1892 r. w Warszawie, zm. 3 stycznia 1985 r. w Londynie; gen. brygady Polskich Sił Zbrojnych, szef sztabu KG ZWZ-AK, z-ca komendanta głównego AK gen. dywizji Tadeusza Bora-Komorowskiego.

LIST WITOLDA PILECKIEGO DO GEN. TADEUSZA PEŁCZYŃSKIEGO*

Szanowny Panie Generale

Składam moją pracę na ręce Pana Generała i dlatego – że w drogę jej zabrać nie mogę i dlatego – że Najwyżsi Oficerowie i Przywódcy nasi w pracy podziemnej w Kraju – może się zainteresują fragmentem pracy A.K. w szczegółach absolutnie nieznanej.

Proponowano mi interes handlowy z wydaniem tego za grube dolary w Ameryce, lecz narazie nie zdecydowałem się na to ze względu – że z braku czasu jeszcze nie jest wygładzona w stylu i ze względu na przykrość – którą bym czuł – sprzedając to za pieniądze. Byli inni – którzy chcieli tę pracę ode mnie otrzymać – w moim pojęciu najwłaściwszem jednak jest pozostawienie tego w rękach Pana Generała. – Może ktoś w Londynie tym się również zainteresuje. –

Proszę tego nie brać jako sensacyjny temat (wyłącznie) – gdyż są to przeżycia na najwyższym szczeblu – szeregu szczerych Polaków. Jest tu powiedziane mniej niż było – gdyż wszystkiego opisać w krótkim czasie niepodobna. Niema tu „słowa za wiele". Kłamstewko jakieś sprofanowało by – wspomnienia o światłych postaciach – które tam zginęły.

Tomasz z Oświęcimia =
= rtm. Witold
ten który się parę dni temu
meldował u Pana Generała
19-X-1945.

POTWIERDZENIE AUTENTYCZNOŚCI RELACJI WITOLDA PILECKIEGO PRZEZ GEN. TADEUSZA PEŁCZYŃSKIEGO*

Stwierdzam, że w mym posiadaniu znajduje się maszynopis obejmujący 104 strony dużego formatu gęstego pisma, prawie bez marginesów lub z marginesem obciętym i z poprawkami ręcznie.

Treścią tego maszynopisu są przeżycia autora w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu i organizowanie tam ruchu podziemnego. Maszynopis kończy się ucieczką autora z obozu wraz z dwoma kolegami i późniejszym przybyciem jego do Warszawy.

Autorem tej relacji jest Witold Pilecki, który przebywał w obozie jako Tomasz Serafiński. Relację tę otrzymałem z rąk Witolda Pileckiego w San Giorgio we Włoszech, w połowie października 1945 roku, przed powrotem autora do Kraju.

Relację Witolda Pileckiego złożyłem teraz w depozycie w Studium Polski Podziemnej w Londynie.



Tadeusz Pełczyński gen. bryg.
(b. szef sztabu i zastępca dowódcy Armii Krajowej)

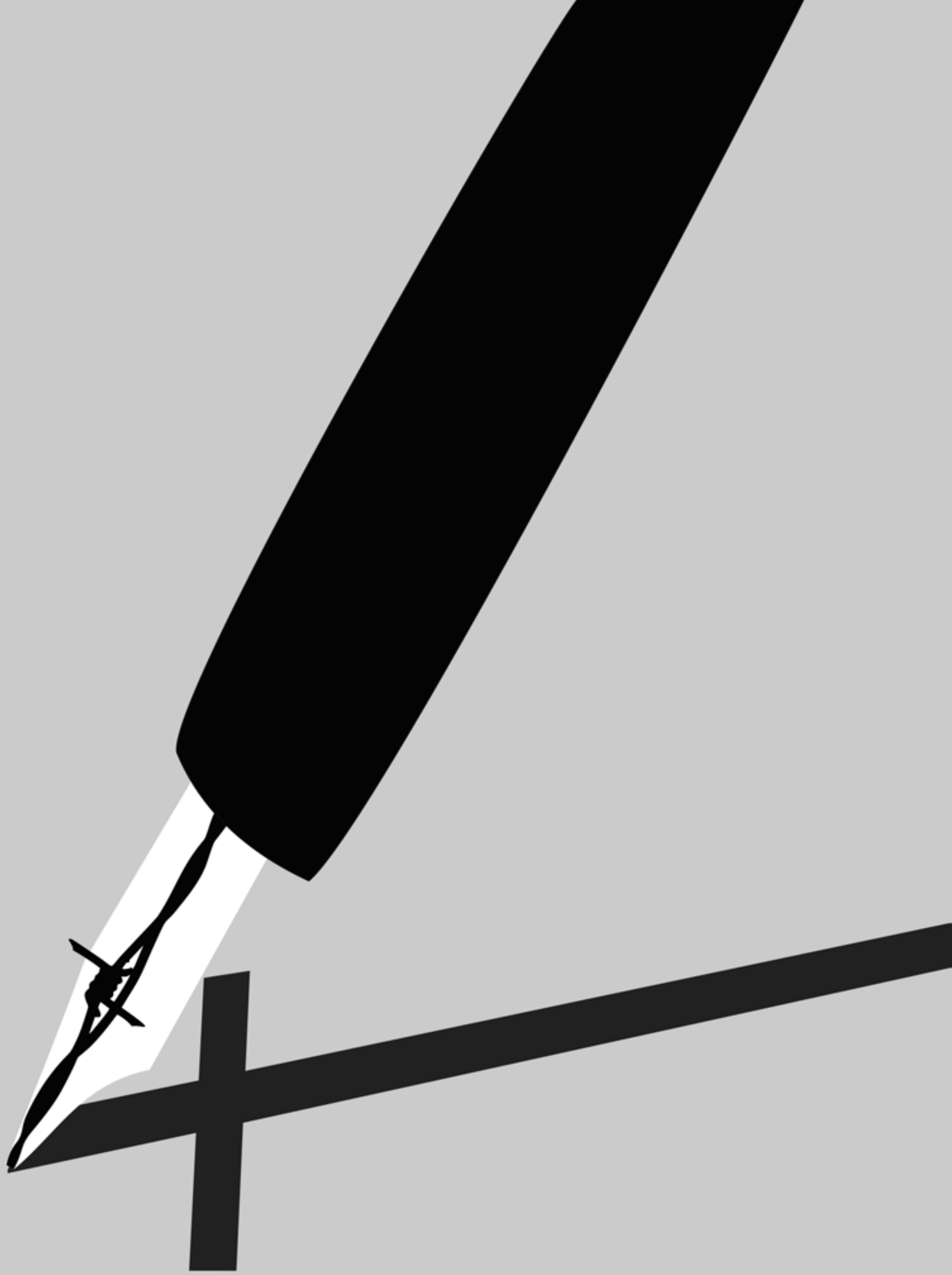
Londyn, 12 grudnia 1972 r.

* Dokument znajduje się w zbiorach SPP w Londynie.



Rotmistrz Witold Pilecki

RAPORT WITOLDA



Witold Pilecki

13.05.1901 – 25.05.1948

Więc mam napisać możliwie suche fakty, jak tego chcą moi koledzy. –

Mówiono: „Im więcej pan się będzie trzymał samych faktów, podając je bez komentarzy – tym będzie to wartościowsze."

Spróbuję więc... lecz człowiek przecie nie był z drzewa – już nie mówię z kamienia – (chociaż wydawało się, że i kamień nieraz musiałby się spocić).

Czasami więc, wśród podawanych faktów będę jednak wstawiał myśl, wyrażającą to co się czuło.

Nie wiem, czy koniecznie ma to obniżać wartość napisanego.

Nie było się z kamienia – często mu zazdrościłem – miało się jeszcze ciągle bijące, czasem w gardle, serce, kołaczącą się gdzieś... chyba w głowie – myśl – czasami łapałem ją z trudem...

O nich – wstawiając od czasu do czasu zdań parę, – sądzę, że dopiero się odda obraz prawdziwy.

Dnia 19 września 1940 roku – II-ga łapanka w Warszawie[1].

Jeszcze żyje kilku ludzi, którzy widzieli, jak o godzinie 6-ej rano, poszedłem sam i na rogu Al. Wojska [Polskiego] i Felińskiego[2] stanąłem w „piątki"[3] ustawiane przez ss-mann'ów[4] z łapanych mężczyzn.

Potym załadowano nas na Pl. Wilsona[5] do aut ciężarowych i zawieziono do koszar Szwoleżerów[6].

1 Jedną z form niemieckiego terroru w okresie wojny były łapanki: siły policyjne otaczały pewien obszar miasta, zatrzymując przechodniów na ulicach, a czasem także wyprowadzając mieszkańców z domów. Część zatrzymanych, na przykład zatrudnionych w niemieckich firmach, wypuszczano, a resztę wywożono na roboty do Niemiec lub do obozów koncentracyjnych i obozów zagłady.

2 Ulice w Warszawie, w dzielnicy Żoliborz. Do 1965 r. patronem ul. Felińskiego był arcybiskup warszawski z XIX w. Zygmunt Szczęsny Feliński; od 1965 r. ulicy patronuje Alojzy Feliński, poeta i dramaturg z przełomu XVIII/XIX w.

3 Pilecki prawdopodobnie świadomie w tym miejscu podaje nieco inną wersję swojego aresztowania, niż miało to miejsce w rzeczywistości. Wiadomo bowiem, że nie sam „stanął w piątki", ale dał się zabrać z żoliborskiego mieszkania swojej szwagierki Eleonory Ostrowskiej. Prawdopodobnie chciał w ten sposób zasygnalizować, że dobrowolnie postanowił wykonać zadanie „wejścia do Auschwitz", a nie chciał opisywać okoliczności konspiracyjnych narad po aresztowaniach kolegów z organizacji ani dyskusji nad możliwością przeniknięcia żołnierzy podziemia do nowo powstałego obozu koncentracyjnego Auschwitz w Oświęcimiu.

4 SS-manni (potocznie: esesmani) – członkowie niemieckich elitarnych oddziałów podporządkowanych NSDAP. Wyróżniali się fanatyzmem i okrucieństwem oraz udziałem w ludobójstwie i rzeziach dokonywanych przez III Rzeszę na ludności podbitych państw. Żołnierze SS-Totenkopfverbände (Oddziały Trupiej Czaszki – od emblematu noszonego na czapkach i mundurach) stanowili załogi obozów koncentracyjnych. W 1940 r. powołano do istnienia Waffen-SS, czyli wojska SS.

5 Plac w Warszawie, w dzielnicy Żoliborz.

6 Teren przy obecnej ul. Szwoleżerów w Warszawie, dawnej drodze na Solec, w południowej części dzielnicy Śródmieście. W okresie zaboru rosyjskiego od 1818 r. istniały tu koszary carskiego pułku ułanów. W okresie międzywojennym w koszarach tych stacjonował 1. pszwol. marszałka Józefa Piłsudskiego. Koszary zburzono w 1944 r.; w latach 70. XX w. na tym terenie wzniesiono osiedle mieszkaniowe.

Po spisaniu danych personalnych, w zorganizowanym tam prowizorycznie biurze i odebraniu ostrych przedmiotów, pod groźbą zastrzelenia, jeśli się potym u kogo bodaj żyletka znajdzie, wprowadzono nas na ujeżdżalnię, gdzie pozostawaliśmy przez 19-ty i 20 września.

W ciągu tych paru dni niektórzy już zapoznali się z pałką gumową spadającą na ich głowy. – Mieściło się to jednak w ramach mniejwięcej możliwych do przyjęcia, dla ludzi przyzwyczajonych do tego rodzaju sposobów utrzymywania ładu, przez stróżów porządku.

W tym czasie niektóre rodziny wykupywały swych najbliższych, płacąc ogromne sumy ss-mannom.

W nocy spaliśmy wszyscy pokotem na ziemi.

Ujeżdżalnię oświetlał ogromny reflektor, stojący przy wejściu.

Po czterech stronach umieszczeni byli ss-manni z bronią maszynową.

Było nas tysiąc osiemset kilkudziesięciu.

Mnie osobiście najwięcej denerwowała bierność masy Polaków. Wszyscy złapani nasiąkli już jakąś psychiką tłumu – która wtedy wyrażała się w tym, że cały tłum nasz upodobnił się do stada biernych baranów.

Nęciła mnie myśl prosta: wzburzyć umysły, zerwać do czynu tą masę.

Współtowarzyszowi memu – Szpakowskiemu Sławkowi[7] (wiem, że żył do czasu Powstania w Warszawie)[8] proponowałem wspólną akcję w nocy: opanowanie tłumu, napad na posterunki, przy tym miałem przechodząc do ubikacji „zawadzić" o reflektor i zniszczyć.

Lecz ja – w innym celu znalazłem się w tym środowisku.

Było by to pójście na rzecz znacznie mniejszą...

On – wogóle uważał to za pomysł z dziedziny fantazji. –

21-go [września] rano wsadzono nas do aut ciężarowych i w towarzystwie eskortujących motocykli z bronią maszynową, odwieziono na dworzec zachodni i załadowano do wagonów towarowych.

W wagonach tych przedtym widocznie musieli wieźć wapno, gdyż cała podłoga była nim wysypana.

Wagony zamknięto. Wieziono dzień cały. Pić ani jeść nie dali. Zresztą jeść nikt nie chciał. Mieliśmy, wydany dnia poprzedniego, chleb – któregośmy jeszcze wtedy ani jeść ani cenić nie umieli. Chciało się nam tylko bardzo pić. Wapno, pod wpływem wstrząsów rozdrabniało się w pył. Unosiło się w powietrzu, drażniło nozdrza i gardło. Pić nie dali. –

7 Sławomir Szpakowski – ur. 19 listopada 1908 r. w Kielcach, do KL Auschwitz przywieziony 22 września 1940 r. (tym samym transportem co Pilecki), nr obozowy 5368, zarejestrowany jako malarz z zawodu, zwolniony z obozu w 1941 r.; wojnę przeżył.

8 Witold Pilecki ma tu na myśli powstanie, które wybuchło w Warszawie na rozkaz dowództwa AK 1 sierpnia 1944 r., znane jako Powstanie Warszawskie.

Przez szczeliny desek, którymi zabite były okna, widzieliśmy, że wiozą nas gdzieś na Częstochowę[9].

Około 10-ej wieczór (godzina 22-ga), pociąg się zatrzymał w jakimś miejscu i dalej już nie ruszył. Słychać było krzyki, wrzask, – otwieranie wagonów, ujadanie psów.

To miejsce we wspomnieniach moich nazwałbym momentem – w którym kończyłem ze wszystkiem, co było dotychczas na ziemi i zaczynałem coś – co było chyba gdzieś poza nią.

Nie jest to silenie się na jakieś dziwne słowa, określenia. Przeciwnie – uważam, że na żadne słówko ładnie brzmiące a nieistotne, wysilać się nie potrzebuję.

Tak było.

W głowy nasze uderzyły nie tylko kolby ss-mannów, – uderzyło coś więcej.

Brutalnie kopnięto we wszystkie nasze pojęcia dotychczasowe, do których myśmy się na ziemi przyzwyczaili (do jakiegoś porządku rzeczy – prawa).

To wszystko wzięło w łeb.

Usiłowano uderzyć możliwie radykalnie. Załamać nas psychicznie jaknajszybciej. –

Zgiełk i jazgot głosów zbliżał się stopniowo. Nareszcie gwałtownie otwarto drzwi naszego wagonu. Oślepiły nas reflektory skierowane we wnętrze.

„Heraus! rrraus! rrraus!...”[10] padały wrzaski i kolby ss-mannów na ramiona, plecy, głowy kolegów. Należało szybko znaleźć się na zewnątrz.

Skoczyłem i wyjątkowo nie dostałem kolbą, stając „w piątki” – w środek kolumny.

Większa zgraja ss-mannów biła, kopała i robiła niesamowity wrzask: „zu fünwe [fünf]!”[11]

Na stojących na skrzydłach piątek, rzucały się psy, szczute przez żołdaków.

Oślepieni reflektorami, pchani, bici, kopani, szczuci psami, raptownie znaleźliśmy się w warunkach, w jakich wątpię by ktoś z nas był kiedykolwiek. Słabsi byli oszołomieni w tym stopniu, że naprawdę tworzyli kupę bezmyślną.

Pędzono nas przed siebie, ku większej ilości skupionych świateł.

---

9 Obóz koncentracyjny Auschwitz, zbudowany przez Niemców w Oświęcimiu, leży niespełna 100 km na południe od Częstochowy. Przez Częstochowę prowadził najważniejszy szlak kolejowy z Warszawy w stronę Śląska i dalej do Oświęcimia. W 1940 r. Oświęcim znajdował się na ziemiach, które rozkazem Hitlera zostały wcielone do III Rzeszy, ale w niewielkiej odległości (25–30 km) przebiegała granica utworzonego w październiku 1939 r. GG, czyli podbitych ziem polskich przeznaczonych do zamieszkania przez Polaków. Prawdopodobnie z racji tej bliskiej odległości oraz dogodnego położenia u zbiegu szlaków kolejowych, umożliwiających transport więźniów, obóz zlokalizowano w Oświęcimiu. Niemcy zmienili nazwę miasta, a zatem także zorganizowanego w nim obozu na niemiecką – Auschwitz. Była to nazwa historyczna, nawiązująca do średniowiecznego osadnictwa niemieckiego w Oświęcimiu oraz do lat 1772–1918 – okresu, w którym Oświęcim znalazł się w zaborze austriackim i na mapach używano tej zniemczonej nazwy miasta.

10 Wychodzić!

11 Do piątek! (w znaczeniu: ustawiać się w szeregi pięcioosobowe).

W drodze kazano jednemu z nas biec do słupa w bok od drogi i zaraz w ślad za nim puszczono serię z p-ma[12]. Zabito. Wyciągnięto z szeregu 10-ciu przygodnych kolegów i zastrzelono w marszu z pistoletów, na skutek „odpowiedzialności solidarnej" za „ucieczkę", którą zaaranżowali sami ss-manni.

Wszystkich jedenastu ciągnięto na rzemieniach uwiązanych do jednej nogi. Drażniono krwawymi trupami psy i szczuto je na nich.

Wszystko to robiono pod akompaniament śmiechu i kpin.

Zbliżaliśmy się do bramy, umieszczonej w ogrodzeniu z drutów, na której widniał napis: „Arbeit macht frei"[13].

Później dopiero nauczyliśmy się go dobrze rozumieć.

Za ogrodzeniem, rzędami ustawione były murowane budynki, wśród których widniał plac rozległy.

Wchodząc wśród szpaleru ss-mannów, przed samą bramą, doznaliśmy przez krótki okres czasu większego spokoju. Odpędzono psy, kazano nam wyrównać piątki. Tutaj liczono nas skrupulatnie – na końcu doliczając ciągnione trupy.

Wysoki, wtedy jeszcze pojedyńczy płot z drutu kolczastego, brama pełna ss-mannów nasunęły mi mimowoli, kiedyś czytane aforyzmy chińskie: „Wchodząc – pomyśl o odwrocie, a wychodzić będziesz cało..." Uśmiech nieco ironiczny zrodził się gdzieś we mnie i przygasł... na co to tutaj się przyda...

Za drutami, na wielkim placu, inny uderzył nas widok. W nieco fantastycznym, pełzającym po nas, ze wszystkich stron świetle reflektorów, widoczni byli jacyś – z wyglądu – niby ludzie, lecz jakże z zachowania raczej do zwierząt dzikich podobni (bezwzględnie obrażam tu zwierzęta – niema w języku naszym jeszcze na takie stwory określenia). W dziwnych ubraniach w pasy, jakie się widziało na filmach z Sing-Sing[14], z orderami na kolorowych wstążkach (tak mi się wtedy w migającym świetle wydawało), z drągami w ręku, rzucający się z dzikim śmiechem na pojedyńczych kolegów naszych, bijąc po głowach, kopiąc leżącego już na ziemi w nerki, w inne czułe miejsca ciała, wskakując butami na klatkę piersiową, brzuch – zadając śmierć z niesamowitym jakimś chichotem.

„Ach! więc zamknęli nas w zakładzie dla obłąkanych!..." przemknęła mnie myśl. – Co za podłość! – rozumowałem jeszcze kategoriami ziemi. – Ludzi z łapanki – a więc nawet w pojęciu niemców nie obciążonych winą żadną wobec III-ej Rzeszy.

12 Pistolet maszynowy (pm, pe-em).

13 „Praca czyni wolnym". Parafraza cytatu z Ewangelii św. Jana (8,32): „Prawda was wyzwoli". Na rozkaz SS-Obergruppenführera Theodora Eickego, współorganizatora systemu obozów koncentracyjnych, które były także miejscami wyniszczania więźniów przez niewolniczą pracę, umieszczono tę dewizę na bramach obozów w Niemczech: Dachau, Flossenbürg, Gross-Rosen, Sachsenhausen oraz na ziemiach okupowanych w Auschwitz i Theresienstadt (przed wojną i obecnie Czechy), tak aby widzieli ją więźniowie komand (oddziałów) wychodzących do pracy i powracających z niej.

14 Sing-Sing Correctional Facility – słynne więzienie o najsurowszym rygorze w miejscowości Ossining w stanie Nowy Jork (USA).

W głowie ogniem zaświeciły mi słowa Janka W.[15], wyrzeczone do mnie po pierwszej łapance (sierpień) w Warszawie: „Ot widzisz, nie skorzystałeś z takiej dobrej okazji – ludziom złapanym na ulicy przecie nie zarzucą żadnej sprawy politycznej – w ten sposób najbezpieczniej można się do obozu dostać."

Jakże naiwnie hen, tam w Warszawie podchodziliśmy do sprawy Polaków wywożonych do obozów.

Tu nie potrzeba było mieć żadnej sprawy politycznej, żeby zginąć.

Zabijano pierwszego lepszego z brzegu.

Zaczynało się od pytania rzuconego przez pasiastego człowieka z drągiem: „Was bist du von ciwil?!"[16]

Odpowiedź: ksiądz, sędzia, adwokat – w tym okresie – powodowała bicie i śmierć.

Przedemną w piątce stał jakiś kolega, który na to pytanie, rzucone jemu z równoczesnym ujęciem go garścią za ubranie pod gardłem, odpowiedział: „Richter"[17].

Fatalny miał pomysł. Za chwilę leżał na ziemi bity i kopany.

Więc wykańczano specjalnie inteligencję.

Po tym spostrzeżeniu zmieniłem nieco zdanie.

Może i nie są to obłąkani, tylko jest to jakieś potworne narzędzie do wymordowania Polaków, rozpoczynające swe dzieło od inteligencji.

Pić chciało się okropnie.

Przywieziono kotły z jakimś napojem. Ci sami zabijający draby obnosili kubki z napojem wśród szeregów, pytając: „Was bist du von ciwil?"

Dostawaliśmy upragniony, bo mokry – napój, wymieniając zawód jakiegoś robotnika lub rzemieślnika.

Bijąc i kopiąc ci dziwni „niby-ludzie" czasami wykrzykiwali: ...„hier ist K.L. Auschwitz – mein lieber Mann!"[18]

Pytano siebie nawzajem, co by to miało znaczyć? Niektórzy wiedzieli, że znaczy to Oświęcim[19], lecz dla nas była to tylko nazwa jednego z polskich miasteczek, wówczas potworna opinia o tym obozie nie zdążyła jeszcze przeniknąć do Warszawy, ani znana była wogóle w świecie.

---

15 Jan Henryk Włodarkiewicz – ur. 28 maja 1900 r. w Warszawie, of. zaw. WP, mjr kaw. ze starsz. z 19 marca 1939 r. W kampanii 1939 r. dowodził improwizowanym oddziałem ułanów, a następnie oddziałem kawalerii dywizyjnej 41 DPRez., w którym ppor. Witold Pilecki był jego zastępcą; później wraz z Pileckim współtworzył organizację konspiracyjną TAP, połączoną w 1940 r. z innymi organizacjami w KN i jej oddziały wojskowe – KZ. Był współtwórcą koncepcji wydzielonej Organizacji Dywersyjnej „Wachlarz" i pierwszym jej dowódcą. Awansowany do stopnia podpułkownika ze starsz. z 11 listopada 1941 r. Zmarł we Lwowie podczas inspekcji I odcinka „Wachlarza" 18 lub 19 września 1942 r.

16 Kim jesteś w cywilu (tu: z zawodu)?

17 Sędzia.

18 Tutaj jest obóz koncentracyjny Auschwitz, mój drogi człowieku!

19 Na początku wojny nazwa niewielkiego miasteczka Oświęcim nie miała jeszcze późniejszej złowrogiej sławy.

W jakiś czas potym dopiero jedno to słowo mroziło krew w żyłach ludziom na wolności, spędzało sen z powiek więźniów Pawiaka, Monteluppich, Wiśnicza, Lublina[20].

Jeden z kolegów objaśnił nas, że jesteśmy w koszarach 5-go D.A.K-u[21] tuż koło miasteczka Oświęcim.

Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy „zugang-iem"[22] bandytów polskich, którzy się rzucali na spokojną ludność niemiecką, a których za to tu spotka odpowiednia kara.

„Zugang-iem" nazywało się wszystko, co do obozu przyszło, każdy nowy transport.

Tymczasem sprawdzano obecność, wykrzykując nazwiska podane przez nas w Warszawie, na które trzeba było szybko i głośno odpowiedzieć: „hier"[23]. Przy tym było wiele powodów do szykan i bicia.

Po sprawdzeniu, setkami odsyłano do szumnie zwanej „kąpieli".

Tak przyjmowano transport ludzi, łapanych w Warszawie na ulicy, – niby na pracę do niemiec, tak przyjmowano każdy transport w pierwszych miesiącach, po założeniu obozu w Oświęcimiu (14.6.1940 r.).

Z ciemności, gdzieś z góry, (z nad kuchni), potrafił się odezwać kat – Seidler[24], w te słowa:

„Niech nikt z was nie sądzi, że kiedykolwiek wyjdzie stąd żyw... porcja jest tak obliczona, że żyć tu będziecie 6 tygodni; kto będzie żył dłużej... znaczy, że kradnie, kto kradnie – znajdzie się w S.K.[25] – gdzie żyje się krótko!" Tłomaczył na polski te słowa Baworowski[26] – tłomacz obozowy.

Chodziło o jak najszybsze załamanie psychiczne.

---

20 Nazwy miejscowości lub obiektów, gdzie mieściły się ciężkie niemieckie więzienia śledcze, z których ludzi przewożono do Auschwitz: Pawiak – centralne więzienie w Warszawie; Montelupich – centralne więzienie w Krakowie; Wiśnicz – jeden z najcięższych zakładów karnych w Polsce, ówcześnie w dystrykcie krakowskim GG; Lublin – więzienie na Zamku Lubelskim, największe po KL Majdanek centrum niemieckiego terroru na Lubelszczyźnie.

21 DAK – podstawowa jednostka organizacyjna formacji artylerii konnej, wsparcia artyleryjskiego brygad kawalerii. W międzywojennej Polsce istniało 11 brygad kawalerii i 11 dak. 5 DAK wchodził w skład Krakowskiej Brygady Kawalerii i stacjonował w pierwotnie w Krakowie na Zakrzówku, a od wiosny 1939 r. do wybuchu wojny w Oświęcimiu.

22 Zugang – wejście, dojście; w *Raporcie* słowo oznaczające przede wszystkim nowy transport więźniów przybyły do obozu lub pojedynczego nowo przybyłego więźnia.

23 Tutaj, jestem, obecny.

24 Fritz Seidler – ur. 18 lipca 1907 r., członek NSDAP i SS, zbrodniarz wojenny, SS-Hauptsturmführer. W latach 1940–1942 drugi Schutzhaftlagerführer (zastępca kierownika obozu) KL Auschwitz, od października 1942 r. do początku maja 1945 r. komendant KL Gusen I – podobozu KL Mauthausen. Jeden z najgorszych oprawców w Auschwitz; równie złą sławę miał w Gusen. Aby uniknąć odpowiedzialności za zbrodnie, 3 maja 1945 r. – zabiwszy najpierw swoją rodzinę – popełnił samobójstwo.

25 W Auschwitz oddział więźniów poddanych szczególnie surowemu traktowaniu.

26 Władysław Baworowski – ur. 10 sierpnia 1910 r. w Germakówce, ziemianin, więzień Auschwitz przywieziony drugim transportem z Krakowa 20 czerwca 1940 r., nr obozowy 863, zginął w KL Auschwitz 1 czerwca 1942 r.

Na placu w przywiezione taczki i „rolwagę”[27] złożyliśmy cały chleb posiadany. Nikt wtedy go nie żałował – nikt o jedzeniu nie myślał.

Jakże często potym, na samo wspomnienie tego momentu ślinka ciekła i diabli człeka brali. Kilka taczek i „rolwaga” pełne chleba! – jaka szkoda, że nie można się najeść na zapas...

Razem z setką znalazłem się wreszcie przed „Baderaum”-em[28] (blok 18-ty, numeracja stara).

Tu oddaliśmy wszystko w wielkie worki, do których odpowiednie przywiązano numery.

Tu ostrzyżono nam włosy na głowie i ciele, pokropiono trochę prawie zimną wodą.

Tu wybito mnie pierwsze dwa zęby, za to, że numer ewidencyjny na tabliczce napisany w ręku niosłem, a nie w zębach, jak tego w tym dniu chciał „bademeister”[29].

Dostałem w szczękę ciężkim drągiem.

Wyplułem dwa zęby. Pociekło krwi trochę... Szykana.

Od tej chwili staliśmy się tylko numerami. Urzędowa nazwa brzmiała: Schutzhäftling[30] Nr... xy...

Ja miałem numer 4859.

Dwie trzynastki (z środkowych i skrajnych cyfr), kolegów utwierdzały w przekonaniu, że zginę, mnie – cieszyły.

Dano nam ubranie, w biało-niebieskie pasy drelichy, takie same jak te, co nas tak raziły w nocy.

Był już ranek (22.9.40.). Teraz szereg rzeczy straciło swój wygląd fantastyczny z nocy.

„Niby-ludzie” mieli żółte opaski na lewym ramieniu z czarnym na nich napisem: C A P O[31], i zamiast barwnych wstążek z medalami, jak mi się w pełgających światłach

27 Ciężka platforma kołowa, ciągnięta przez konie lub inne zwierzęta; w Auschwitz z reguły do rolwagi zaprzęgano więźniów.

28 Baderaum – pomieszczenie kąpielowe, łaźnia. W literaturze obozowej często spotyka się informację, że nowe transporty więźniów prowadzono do łaźni, które były w rzeczywistości komorami gazowymi. Łaźnia w Auschwitz pełniła jednak swoją właściwą funkcję. W późniejszych latach Niemcy wprowadzili nową formę masowego uśmiercania więźniów przez zagazowywanie; aby stworzyć pozory normalności i nie wywoływać wśród więźniów paniki, a równocześnie nakłonić ich do rozebrania się i pozostawienia wszelkich dóbr, z którymi ich do obozu przywieziono, kierowanych do komór gazowych informowali, że idą do kąpieli. Stąd często spotykany pogląd, że pomieszczenia łaźni były wykorzystywane wyłącznie do gazowania ludzi.

29 Łaziebny, kąpielowy.

30 Więzień prewencyjny. Nie wszyscy więźniowie obozów koncentracyjnych byli osadzeni na podstawie wyroków za konkretne przewinienia wobec III Rzeszy. Większość trafiła do obozów w wyniku łapanek (przykładem Pilecki) i innych działań terrorystycznych. Takie aresztowania traktowano jako akcje prewencyjne przeciwko polskim działaniom antyniemieckim.

31 Capo (jęz. włoski) – więzień-nadzorca komanda roboczego. Na funkcję tę Niemcy mianowali zazwyczaj więźniów kryminalnych, najczęściej Niemców.

w nocy wydało, mieli na piersi z lewej strony kolorowy trójkąt („winklem”[32] – tu zwany), pod nim, jak pod wstążką, mały numer czarno na białej łatce pisany.

„Winkle” były 5-ciu kolorów.

Przestępcy polityczni nosili – czerwony, kryminaliści – zielony, gardzący pracą w III-ej Rzeszy – kolor czarny, badacze pisma świętego[33] – fioletowy i homoseksualiści – różowy.

My wszyscy Polacy złapani na ulicy w Warszawie, niby na roboty do Niemiec – dostaliśmy winkle czerwone, jako przestępcy polityczni.

Przyznam się, że ze wszystkich innych kolorów – odpowiadał mi najlepiej.

Przebranych w drelichy – pasiaki, bez czapek i skarpetek (skarpetki dostałem 8-go, czapkę – 15-go grudnia) w spadających z nóg drewniakach, wyprowadzono nas na plac zwany apelowym i podzielono na połowę.

Jedni poszli na blok[34] 10-ty, drudzy – my, poszliśmy na blok 17-ty, na piętro.

Tak samo na parterze, jak i na piętrze poszczególnych bloków, mieścił się zespół häftlingów[35], o odrębnej gospodarce i obsadzie administracji, tworząc samodzielny „blok”. Dla odróżnienia – wszystkie bloki na piętrze miały do numeru literę „a” dodaną.

Oddano więc nas na blok 17a, w ręce blokowego[36] „Aloiz”-a (krwawym Aloizem potym zwanego)[37].

Niemiec – komunista – z czerwonym winklem – zwyrodnialec, już siedzący w obozach około lat sześciu[38] – bił, katował, znęcał się, mając codziennie kilka trupów z własnej ręki.

32 Winkel – kąt, trójkąt. Więźniowe mieli na ubraniach obozowych – na wysokości piersi, a niekiedy także na górnej części nogawki – kolorowe oznaki w formie trójkąta zwróconego wierzchołkiem w dół, oznaczające rodzaj „przestępstw”, za jakie trafili do obozu. Żydzi zarejestrowani w obozie mieli dodatkowo pod winklem odwrotnie ułożony trójkąt koloru żółtego, co razem dawało kontury gwiazdy Dawida. Więźniowie narodowości innych niż niemiecka i żydowska mieli na winklach litery oznaczające ich narodowość a pochodzące od nazw niemieckich: Polacy – P, Belgowie – B, Czesi i Słowacy – T, Francuzi – F, Hiszpanie – S, Holendrzy – N, Rosjanie – R, Węgrzy – U, Włosi – I itp.

33 Nazwą tą określano świadków Jehowy.

34 Barak, w którym przebywali więźniowie, potocznie zespół mieszkańców takiego budynku, jednocześnie jednostka administracyjna obozu. W Auschwitz I, gdzie wykorzystano dawne budynki koszarowe na pomieszczenia więźniów i urządzeń obozu, bloki były pierwotnie jednopiętrowe i parterowe, później dobudowano kolejne i wszystkie nadbudowano do jednopiętrowych. Blok jako budynek dzielił się na dwa bloki jako grupy więźniów. Numer bez litery „a” oznaczał zespół więźniów z parteru, numer z literą „a” – więźniów z piętra. W Auschwitz II-Birkenau (Brzezinka) nie było bloków, tylko baraki.

35 Häftling – więzień.

36 Starszy bloku. Sprawował nadzór nad więźniami umieszczonymi w jednym bloku więźniarskim. Był odpowiedzialny za wszystko, co się w nim działo, a więc przede wszystkim za jego stan liczebny, czystość pomieszczenia i więźniów, porządek przy pryczach, ułożenie posłania, rozdzielanie jedzenia oraz za punktualne wyjście i ustawienie na apelu.

37 Alois (Aloisy) Staller (Stahler) – ur. 10 czerwca 1905 r. w Wopotal, więzień KL Auschwitz nr 3277. Wojnę przeżył, na początku lat 60. aresztowany w śledztwie przeciwko zbrodniarzom z KL Auschwitz przez prokuraturę we Frankfurcie nad Menem.

38 Pierwszy niemiecki obóz koncentracyjny został założony w marcu 1933 r. w Dachau.

Lubujący się w porządku i dyscyplinie wojskowej, wyrównywał szeregi na placu, bijąc drągiem.

Ustawiony w 10 szeregów „blok" nasz, równany w ten sposób, przebiegającym między szeregami Aloizem z wielkim drągiem, mógł być w przyszłości wyrównania wzorem.

Teraz, rano przebiegał te szeregi po raz pierwszy.

Tworzył z nas – „zugang"-ów blok nowy.

Szukał wśród nieznajomych twarzy, ludzi nadających się do utrzymania porządku na bloku.

Los chciał, że wybrał mnie, Świętorzeckiego Karola[39] (of. rez. 13-go p.uł.), Różyckiego Witolda[40] (nie Różycki o smutnej opinji, ten był porządny chłop, z ul. Ładysława[41] z Warszawy) i paru innych.

Szybko wprowadził nas na blok, na piętro, ustawić się kazał rzędem pod ścianą, zrobić w tył zwrot i nachylić się.

„Wlał" z całej siły każdemu z nas drągiem po pięć uderzeń, w miejsce na ten cel podobno przeznaczone.

Trzeba było zęby zacisnąć mocno, by się nie wydarł żaden jęk...

Egzamin wypadł – zdaje mi się dobrze.

„Żebyście wiedzieli jak to smakuje i żebyście w ten sposób kij stosowali, dbając o czystość i porządek na bloku."

Od tego czasu stałem się „stubendienst"-em[42], lecz nie na długo.

Chociaż na bloku utrzymywaliśmy wzorowy porządek i czystość, Aloizowi nie odpowiadały metody, jakimi usiłowaliśmy to osiągnąć.

Uprzedzał nas parokrotnie sam i przez „Kazika" [NN] (zaufany Aloiza), a gdy nic nie pomogło, wściekł się i wyrzucił nas kilku na obóz, na trzy dni, mówiąc: „Żebyście spróbowali jak to smakuje praca na lagrze[43] i ocenili lepiej dach i spokój, jaki macie na bloku".

Widziałem, że codziennie wraca z pracy mniej ludzi – wiedziałem, że „kończono" ich przy tej lub innej robocie, lecz teraz dopiero, na własnej skórze miałem się przekonać, jak układał się dzień pracy dla zwykłego häftlinga „na lagrze".

39 Karol Świętorzecki – ur. 2 września 1908 r. w Wysokowszczyźnie, inż. rolnik, ppor. rez. kaw. ze starsz. z 1 stycznia 1935 r. Więzień KL Auschwitz od 22 września 1940 r. (drugi transport z Warszawy – wraz z Pileckim), nr obozowy 5360, zwolniony z obozu 15 maja 1941 r. Stworzył zawiązek komórki ZOW wśród więźniów pracujących w obozowej stajni. Przekazał do KG ZWZ w Warszawie jeden z meldunków-raportów Pileckiego.

40 Witold Różycki – ur. 5 stycznia 1906 r. w Warszawie, więzień Auschwitz nr 5034, w obozie od 22 września 1940 r. (drugi transport z Warszawy – wraz z Pileckim). W 1946 r. naczelnik Wydziału Prasy i Informacji Ministerstwa Żeglugi i Handlu Zagranicznego w Warszawie. Aresztowany przez MBP 13 maja 1947 r. w sprawie przeciwko Pileckiemu i skazany w jego procesie na 15 lat więzienia.

41 Ładysław Jan (Władysław) z Gielniowa (Gielniowczyk) – ok. 1440–1505, błogosławiony Kościoła rzymskokatolickiego, bernardyn, patron Warszawy i ulicy w warszawskiej dzielnicy Ochota.

42 Stubendienst – przełożony (służbowy) izby, czyli części baraku (bloku); w potocznym języku więźniarskim sztubowy.

43 Lager – obóz, potocznie lagier. „Na lagrze" – praca na zewnątrz, nie pod dachem.

A pracować musieli wszyscy.

Na bloku mogli zostać tylko „stubendienst"-y.

Spaliśmy wszyscy pokotem na podłodze na rozesłanych siennikach. Łóżek w pierwszym okresie nie mieliśmy wcale.

Dzień dla wszystkich zaczynał się gongiem, latem o 4-ej minut 20 – w zimie o 5-ej min. 20.

Na dźwięk ten, który nieubłaganym jakimś odzywał się nakazem – zrywało się wszystko na nogi.

Szybko składało się koc, wyrównując dokładnie brzegi. Siennik należało zanieść w jeden koniec sali, gdzie go chwytali celem ułożenia w budowaną pryzmę – „siennikowi". Koc przy wyjściu z sali oddawało się „kocowemu". Ubierać się kończyło na korytarzu.

Wszystko w biegu, w pośpiechu – bo i Aloiz Krwawy z okrzykiem: „Fenster auf!"[44] wpadał z kijem do sali, no i spieszyć trzeba było by zająć kolejkę w długim szeregu przed ubikacją.

W pierwszym okresie na blokach ubikacji nie mieliśmy. Wszystko biegło rano do kilku latryn, gdzie stały długie bardzo ogonki, czasami od stu do dwustu ludzi. Miejsc było mało. Wewnątrz stał capo z drągiem i liczył do pięciu, kto się spóźniał ze wstaniem, tego walił drągiem po głowie. Nie jeden häftling wpadał do dołu latryny.

Z latryn wszystko biegło pod pompy, których było parę na placu („waschraum"ów[45] w pierwszym okresie na blokach nie było).

Pod paru pompami tych kilka tysięcy ludzi miało się umyć.

Ma się rozumieć, było to nie możliwe.

Przebijano się siłą do pompy, łapano trochę wody w menażkę.

Nogi jednak na wieczór musiały być czyste. Blokowi robiąc obchód sal wieczorem, gdy „sztubowy" składał raport ze stanu (ilości) leżących na siennikach häftlingów, jednocześnie sprawdzali czystość nóg, które musiały być wystawione z pod koców w górę, w ten sposób, by widoczną była podeszwa. Jeśli noga była niedostatecznie czysta, lub za takową blokowy chciał ją uważać – bito na stołku delikwenta. Otrzymywał od 10 do 20 razów kijem.

Był to jeden ze sposobów wykańczania nas, ubrany w piękny płaszczyk higieny.

Tak, jak wykańczaniem było niszczenie organizmu w latrynach przez czynności w tempie i na rozkaz wykonywane, jak szarpiący nerwy rwetes przy pompach, jak ten wieczny pośpiech i „laufschritt"[46], stosowany w pierwszym okresie lagru wszędzie.

Od pompy biegli wszyscy na bok po tak zwane: kawę lub herbatę. Ciecz gorąca, w kotłach na sale przynoszonych, napoje te imitowała nieudolnie.

Cukru zwykły, szary häftling nie widział wcale.

44 Otwierać okna!

45 Waschraum – umywalnia.

46 Bieg.

Gdy zauważyłem, że niektórzy z kolegów tu siedzących od paru miesięcy – mają pobrzęknięte twarze i nogi, a pytani przezemnie medycy oświadczyli, że powodem tego jest nadmiar płynów. Nawalają nerki lub serce. Ogromny wysiłek organizmu przy pracy fizycznej, przy jednoczesnym spożywaniu wszystkiego w płynach: kawa, herbata, „awo”[47] i zupa – postanowiłem wyrzec się płynów, które mi nie przynosiły korzyści, pozostając jedynie przy awo i zupach.

Wogóle należało panować nad zachciankami.

Niektórzy ze względu na zimno nie chcieli wyrzec się gorących płynów.

Gorzej jeszcze było z paleniem. Ponieważ w pierwszym okresie pobytu w obozie häftling nie miał pieniędzy, bo nie tak odrazu pozwolono mu list napisać. Na to czekał długo. Potym zanim odpowiedź nadeszła i t.p. upływało około trzech miesięcy.

Kto nie mógł się opanować i sprzedawał chleb na papierosy, ten już „kopał sobie grób”.

Znałem takich wielu – wszyscy się wykończyli.

Grobów nie było. Spalano wszystkie trupy w nowowybudowanym krematorium.

Więc po lurę gorącą na bloku nie spieszyłem, inni przepychali się dając i tu powód do bicia ich i kopania.

Jeśli häftling z obrzękniętymi nogami dorwał się potym do lepszej pracy i wyżywienia, wracał do sił, obrzęk mijał – lecz na nogach tworzyły się ropiejące wrzody, wydzielające ciecz cuchnącą, a czasami flegmona – którą widziałem dopiero tu po raz pierwszy.

Unikając płynów uchroniłem się od tego szczęśliwie.

Jeszcze nie zdążyli wszyscy pobrać gorącej lury, jak „sztubowy” kijem opróżniał salę która przed apelem musiała być sprzątnięta.

W międzyczasie sienniki i koce były ułożone, podług mody która panowała na tym bloku, a bloki konkurowały między sobą w układaniu tej naszej „pościeli”.

Teraz jeszcze musiała być umyta podłoga.

Gong na apel poranny uderzał o godzinie 5-ej min. 45.

O godzinie 6-ej stali wszyscy w wyrównanych szeregach (każdy blok ustawiał się w 10 szeregów, co ułatwiało liczenie).

Na apelu wszyscy być musieli.

Jeśli zdarzały się wypadki, że kogoś brakowało – nie dlatego, że uciekł, ale np. jakiś nowicjusz naiwnie się schował, lub ktoś inny wprost zaspał – i apel się nie zgadzał ze stanem liczebnym lagru, – wtedy szukano, znajdywano, wyciągano na plac i prawie zawsze zabijano publicznie.

47 Poprawnie AVO – skrótowa nazwa istniejącej od 1921 r. niemieckiej wytwórni koncentratów spożywczych. Porcje żywnościowe dla więźniów w KL Auschwitz, szczególnie w pierwszych latach istnienia obozu, były głodowe. Więźniom wydawano na obiad trzy razy w tygodniu zupę mięsną i cztery razy zupę bezmięsną, czyli jarzynową. W rzeczywistości była to wodnista ciecz, gotowana z reguły na odpadkach lub z zepsutych produktów. Składnikami zupy „jarzynowej” były kawałki brukwi z niewielką domieszką kaszy, mąki żytniej i koncentratu spożywczego „Avo”. Czasami zupę gotowano tylko z koncentratu, i to użytego w proporcji mniejszej, niż zalecała receptura. Zupę „Avo” można było także czasem nabyć w kantynie obozowej, jeżeli więzień dysponował środkami finansowymi.

Czasami nieobecnym był häftling, który gdzieś się powiesił na strychu, lub właśnie w czasie apelu „szedł na druty”[48] – wtedy rozlegały się strzały wartownika na wieżyczce i więzień padał przeszyty kulami.

„Na druty” szli więźniowie przeważnie rano – przed nowym dniem męki, – przed nocą będącą kilkugodzinną przerwą w udręczeniach – zdarzało się to rzadziej.

Był oficjalny rozkaz zabraniający przeszkadzania kolegom w odbieraniu sobie życia.

Złapany na takim „przeszkadzaniu” häftling szedł za karę do „bunkra”.

Wszystkie władze wewnątrz lagru rekrutowały się wyłącznie z więźniów. Początkowo niemców, potym zaczęły windować się na stanowiska te i inne narodowości.

„Blokowy” (czerwona opaska z napisem białym „Blockälteste[r]”, na prawym ramieniu), wykańczał więźnia na blokach rygorem i kijem. Był odpowiedzialny za blok, lecz nie miał nic wspólnego z pracą häftlinga.

Natomiast „capo” pracą i kijem wykańczał więźnia w „Komando” (oddział pracy) i był odpowiedzialny za pracę danego „komanda”.

Największą władzą w lagrze był t.zw. „Lagerältester”[49].

Z początku mieliśmy takich dwuch: „Bruno”[50] i „Leo”[51] – więźniowie.

Dwóch drani, przed którymi trzęśli się wszyscy ze strachu.

Mordujący na oczach wszystkich, jednym czasem uderzeniem kija lub pięści.

Prawdziwe nazwisko pierwszego: Bronisław Brodniewicz, drugiego – Leon Wieczorek, dwuch eks-polaków na służbie niemieckiej...

48 Pójść na druty – zdecydować się na śmierć. Początkowo druty ogrodzenia okalającego obóz nie były naelektryzowane, lecz kilka metrów przed pasem ogrodzenia wyznaczona była strefa ochronna i jeżeli więzień przekroczył jej granicę, wartownik z wieżyczki miał prawo go zastrzelić. Często więźniowie nie wytrzymujący rygoru obozowego i tortur podejmowali decyzję o wejściu na ten pas, aby zginąć od kul wartownika i nie musieć znosić dłużej męczarni. W późniejszym czasie, gdy pas ogrodzenia podwojono i przez wewnętrzne druty puszczono prąd elektryczny, więźniowie częściej ginęli porażeni prądem, a nie od kul wartowników.

49 Starszy obozu. Funkcję tę mógł sprawować wyłącznie więzień-Niemiec. Z reguły mianowano na nią więźniów kryminalnych. Starszemu obozu podlegali wszyscy więźniowie funkcyjni. Był on wolny od pracy fizycznej, miał lepszą odzież, wyżywienie, własne łóżko, a także możliwość posiadania rzeczy osobistych.

50 Bruno (według niektórych źródeł Bronisław) Brodniewicz (Brodniewitsch) – ur. 22 lipca 1893 (lub 1895) r. w Poznaniu, wychowany w Westfalii. Do Auschwitz przywieziony z KL Sachsenhausen przed oficjalnym założeniem obozu w grupie 30 więźniów funkcyjnych (niemieccy kryminaliści), zarejestrowany jako więzień z nr. 1, robotnik. Pierwszy starszy obozu KL Auschwitz. Wśród więźniów nosił przezwisko „Schwarzer Teufel” („Czarny Diabeł”) oraz „Schwarzer Tod” („Czarna Śmierć”) i został przez nich zapamiętany jako sadysta. Później był więźniem obozów i podobozów Auschwitz II-Birkenau, w 1943 r. Neu Dachs (Jaworzno), Eintrachtshütte (Zgoda w Świętochłowicach), Bismarckshütte (Hajduki Wielkie – dzielnica Chorzowa), a w 1945 r. Mittelbau-Dora. Według nie do końca zweryfikowanych informacji zlinczowany przez współwięźniów w kwietniu 1945 r. w KL Bergen-Belsen.

51 Leo (Leon) Wieczorek (Wietschorek) – ur. 4 sierpnia 1899 r., niemiecki kryminalista przywieziony do KL Auschwitz w pierwszej grupie więźniów funkcyjnych, miał nr 30 i był zastępcą starszego obozu B. Brodniewicza. Był homoseksualistą, wykorzystującym chłopców. Później został starszym obozu w Birkenau. Więźniowie podrzucili mu sweter z wszami tyfusowymi. Jako uprzywilejowany więzień funkcyjny, był leczony w separatce bloku 28 KL Auschwitz. Zmarł w KL Auschwitz na skutek duru wysypkowego i powikłań 3 lipca 1942 r.

Ubrani inaczej niż wszyscy[52], w długich butach, granatowych spodniach, kurtkach i takichże beretach. (Czarna opaska na lewym ram.[ieniu] z białym napis[em]).

Stanowili ciemną parę, często chodząc razem.

Wszystkie te jednak władze wewnątrz obozu, rekrutujące się z „ludzi za drutami" proch zamiatały przed każdym ss-mannem, na pytanie którego odpowiadali dopiero po zdjęciu czapki, stojąc na baczność.

Jakże bardzo niczym był sam szary häftling...

Władze z nad-ludzi w mundurach żołnierskich, ss-manni – mieszkali na zewnątrz drutów, w koszarach i miasteczku.

Wracam do porządku dnia w obozie.

Apel. Myśmy stali wyrównani kijem w tak jak ściana prostych szeregach (zresztą tęskniłem do dobrze wyrównanych szeregów polskich od czasu wojny 39 roku). Magnetyzował nas makabryczny obraz przed nami.

Naprzeciw stały szeregi „bloku" Nr. 13 (stara numeracja) – S.K. (Straf-Kompanie), które wyrównywał blokowy nazwiskiem Krankenmann[53] – radykalny stosując środek – wprost nożem.

Do S.K. w tamtym okresie szli wszyscy żydzi, księża i niektórzy Polacy za sprawy dowiedzione.

Krankenmann miał obowiązek wykańczać możliwie prędko przydzielanych mu prawie codziennie häftlingów. Widocznie charakter tego człowieka szedł po linji włożonych nań obowiązków.

Jeśli się ktoś nieopatrznie wysunął parę centymetrów nadmiernie wprzód, Krankenmann wbijał w brzuch ofiary w prawym rękawie noszony nóż.

Ten kto przez zbytnią ostrożność cofnął się trochę za wiele do tyłu, otrzymywał od przebiegającego szeregi kata – cios nożem w nerki.

Widok padającego człowieka, kopiącego nogami piasek i wydającego jęki, wściekał Krankenmanna. Wskakiwał nogami na klatkę piersiową, kopał w nerki, w narządy płciowe, wykańczał jaknajprędzej – zmuszał do milczenia...

Nas ten widok przenikał jakby prądem.

Wtedy – wśród stojących ramię przy ramieniu Polaków, czułem jedną myśl przeszywającą wszystkich, czułem, że wreszcie jesteśmy zjednoczeni wszyscy taką samą

52 Ważniejsi więźniowie funkcyjni KL Auschwitz mogli nosić inne ubrania niż ogół więźniów. Z reguły nosili ubranie cywilne (granatowe lub czarne), na którym umieszczali oznaki swojej funkcji i numer.

53 Ernst Krankemann – ur.19 grudnia 1895 r., niemiecki kryminalista przywieziony do KL Auschwitz 29 sierpnia 1940 r. z KL Sachsenhausen, otrzymał nr 3210, wyjątkowy sadysta. Wykorzystywał funkcję kapo do rozmaitych nadużyć. W efekcie został przeznaczony przez władze niemieckie do transportu więźniów wysyłanego do zagazowania w Sonnenstein 28 lipca 1941 r. Dozorujący transport esesmani zasugerowali współwięźniom Krankemanna, aby dokonali na nim samosądu, i przez kilka chwil po załadowaniu pociągu pozorowali, że nic nie widzą. Krankemann został powieszony przez więźniów w wagonie kolejowym.

wściekłością – chęcią odwetu, czułem się w środowisku doskonale nadającym do rozpoczęcia tu pracy, i wtedy odkryłem w sobie jakby namiastkę radości...

Za chwilę przeraziłem się, czy jestem przy zdrowych zmysłach – tu z jakiegokolwiek powodu czuć radość – niepodobna! jest to chyba nienormalne...

Zajrzałem w siebie baczniej i teraz z całą pewnością poczułem radość – przedewszystkiem z powodu, że chcę zacząć pracę, a więc się nie załamałem.

Był to moment zasadniczego zwrotu w mojej psychice.

W chorobie nazywało by się to: kryzys minął szczęśliwie.

Narazie jednak trzeba było z wielkim wysiłkiem walczyć o utrzymanie się przy życiu.

Po apelu gong oznaczał: „Arbeitskommando formieren!”[54]

Na to hasło wszyscy rzucali się do „komand” – oddziałów pracy, które im się wydawały lepsze.

Wtedy jeszcze był chaos z przydziałami, (nie tak jak potym, gdy każdy spokojnie szedł do komanda, gdzie był zapisany jego numer), więźniowie biegli w najrozmaitszych kierunkach, krzyżując drogi sobie nawzajem, korzystali z tego „capo”-wie, „blokowi” i ss-manni podstawiając nogi, popychając, bijąc kijem biegnących lub przewracających się, kopiąc zawsze w miejsce najwięcej czułe.

Przez tych trzy dni, które miałem spędzić za karę wyrzucony na obóz przez „Aloiza” pracowałem przy taczkach, wożąc żwir.

Poprostu nie wiedząc gdzie stanąć, a nie mając upatrzonego komanda stanąłem w piątkach setki, którą wzięto do tej pracy.

Pracowali tu przeważnie koledzy z Warszawy.

Starsze od nas „numery”, to znaczy ci co tu dłużej od nas siedzieli, – ci którzy uchronili się dotychczas – zajęli już jakieś „posady” wygodniejsze. –

Nas – z Warszawy wykańczano masowo przy pracach najrozmaitszych, czasami przy przewożeniu żwiru z jednej jamy do zasypywanej drugiej, a potym zpowrotem.

Ja znalazłem się wśród tych, co wozili żwir potrzebny przy wykańczaniu budowy krematorium.

Krematorium – budowaliśmy dla siebie.

Rusztowanie wokół komina wznosiło się coraz wyżej.

Z taczką napełnioną przez „forarbeiter”-ów[55], lizusów nieubłaganych dla nas, trzeba było szybko się posuwać, a po deskach ułożonych dalej pchać taczkę biegiem.

Co 15–20 kroków stał capo z kijem, którym waląc przesuwających się więźniów, krzyczał: „laufschritt!”.

Na górę taczkę pchało się wolno. Z pustą taczką – laufschritt obowiązywał przez całą długość trasy.

54 Formować oddział roboczy!

55 Vorarbeiter – brygadzista.

Tu konkurowały z sobą w walce o życie mięśnie, spryt i oczy.

Trzeba było mieć siły pchać taczkę, trzeba było ją umieć utrzymać na desce, trzeba było widzieć i wybrać odpowiedni moment „na wstrzymanie" w pracy – by złapać oddech w zmęczone piersi.

Tu właśnie widziałem jak wielu z naszych inteligentów nie daje sobie rady w warunkach ciężkich, bezwzględnych. –

Tak, – wtedy przechodziliśmy twardą selekcję.

Sport, gimnastyka stosowane kiedyś – oddały mi tu wielkie przysługi.

Inteligent oglądający się bezradnie i szukający jakby względów lub pomocy u kogoś, tak jakby prawie żądał jej z powodu, że był adwokatem lub inżynierem, spotykał się tu z twardym kijem.

Tu jakiś mecenas z brzuszkiem lub ziemianin nieudolnie pcha taczkę i spadła następnie z deski w piach, nie może już spowrotem wydźwignąć.

Tam profesor w okularach, lub pan w starszym wieku, żałosny przedstawiał widok bezradności.

Wszyscy co się do pracy nie nadawali, lub nie mieli już sił biegać z taczką, byli bici, a przy upadku z taczką – zabijani drągiem i butem.

W takich właśnie chwilach, zabijania kogoś z poprzedników, człowiek jak prawdziwe zwierzę, stał parę minut, łapał oddech w szybko-pracujące płuca, wyrównywał nieco tempo łopoczącego serca...

Omijanie poprzedników na szczęście nie było przewidziane w tym świecie porządku III-ej Rzeszy.

Gong na obiad radością witany przez wszystkich, zdaje mi się w obozie, – rozlegał się wtedy o godz. 11 min. 20.

Pomiędzy godz. 11 min. 30 a 12-tą odbywał się apel południowy – przeważnie dość szybko – od 12-ej do 13-ej był czas przewidziany na obiad.

Po obiedzie gong zwoływał znowu do „arbeitskommando" i następowała dalsza męczarnia aż do gongu na apel wieczorny.

Pracowałem tak „w taczkach" trzy dni.

Dnia trzeciego, po obiedzie wydawało mi się, że gongu nigdy się nie doczekam.

Byłem już bardzo zmęczony i rozumiałem, że gdy zabraknie do zabijania słabszych odemnie, wtedy przyjdzie kolejka na mnie.

Krwawy Aloiz, któremu praca nasza na blokach, pod względem porządku i czystości odpowiadała, po trzech dniach pracy karnej na lagrze, łaskawie nas przyjął na blok z powrotem, mówiąc: „teraz już wiecie co to znaczy robota na lagrze – ...pas[s]t auf![56] z pracą na bloku, żebym nie wyrzucił was na lager na zawsze."

56 Uważajcie!

W stosunku do mnie groźbę swoją szybko wprowadził w życie.

Nie stosowałem do kolegów metod wymaganych przez niego, a zalecanych przez Kazika i wyleciałem z bloku z trzaskiem przy okazji, którą opiszę niżej.

Teraz chcę napisać o początku montowanej tam pracy, którą w tym czasie zacząłem.

Zasadniczym zadaniem było:

Założenie tu organizacji wojskowej, w celach:

Podtrzymywania na duchu kolegów, przez dostarczanie i rozpowszechnianie wiadomości z zewnątrz,

Przez zorganizowanie w miarę możliwości dożywiania i rozdzielania bielizny wśród zorganizowanych.

Przekazywanie wiadomości na zewnątrz, oraz jako uwieńczenie wszystkiego:

Przygotowywanie oddziałów własnych do opanowania obozu, gdy nadejdzie nakaz chwili w postaci rozkazu zrzucenia tu broni, lub siły żywej (desantu).

Zacząłem pracę tak jak w 39 r. w Warszawie, a nawet z małymi wyjątkami z tymi ludźmi, których sam niegdyś do T.A.P.-u[57] wciągałem w Warszawie.

Zorganizowałem tu pierwszą „piątkę", w skład której zaprzysiągłem płk. 1.[58], kpt. dr. 2.[59],

---

57 TAP – organizacja konspiracyjna utworzona 9 listopada 1939 r. w Warszawie w wyniku połączenia grupy, na której czele stał Jan Dangel, składającej się ze studentów warszawskiej Wyższej Szkoły Handlowej, oraz grupy założonej przez mjr Jana Włodarkiewicza we współpracy z Pileckim, do której należeli głównie wojskowi i działacze społeczni. Odwoływała się do haseł chrześcijańskich i narodowych oraz deklarowała lojalność wobec polskich władz emigracyjnych (rządu kierowanego przez gen. Władysława Sikorskiego) we Francji, a później Wlk. Brytanii. Weszła w skład KN, tworząc ze swoich kadr wojskowych wydzieloną organizację KZ. W 1941 r. scalona z ZWZ. Wielu członków TAP współtworzyło wydzieloną organizację dywersyjną ZWZ „Wachlarz", której pierwszym komendantem został b. komendant TAP mjr J. Włodarkiewicz.

58 Władysław Tadeusz Surmacki – ur. 20 października 1888 r. w Proszowicach, geodeta, of. WP w st. sp., ppłk art. ze starsz. z 1 czerwca 1919 r., wykładowca Politechniki Warszawskiej i Oficerskiej Szkoły Topografów. Do KL Auschwitz przywieziony 15 sierpnia 1940 r. w pierwszym transporcie z Warszawy, nr obozowy 2759, zwolniony z obozu w marcu 1942 r., natychmiast po powrocie do Warszawy ponownie aresztowany i osadzony na Pawiaku, rozstrzelany 28 maja 1942 r. w Magdalence. Zabrał z obozu jeden z pierwszych meldunków Pileckiego, którego najprawdopodobniej z powodu aresztowania nie zdążył przekazać władzom konspiracyjnym.

59 Władysław Aleksander Dering – ur. 6 marca 1903 r. w Iwankowcach, ginekolog i położnik, of. rez. WP, por. korpusu zdrowia ze starsz. z 1 stycznia 1935 r. Do Auschwitz przywieziony pierwszym transportem z Warszawy (wraz z W. Surmackim), otrzymał nr 1723. Jako pielęgniarz i organizator – za zgodą Niemców – obozowego szpitala więźniarskiego, tzw. rewiru, udzielał wszechstronnej pomocy medycznej setkom więźniów obozu, wielu z nich ratując życie. W 1944 r. zwolniony z obozu po podpisaniu volkslisty za zgodą władz konspiracyjnych (władzom konspiracji zależało na jego uratowaniu, jako świadka zbrodni dokonywanych przez Niemców w Auschwitz, m.in. eksperymentów pseudomedycznych). W 1945 r. ścigany przez władze komunistyczne w Polsce, przedostał się do 2 Korpusu Polskiego we Włoszech, a następnie osiadł w Wlk. Brytanii. Pod zarzutem współpracy z Niemcami i zbrodni wojennych aresztowany w Wlk. Brytanii i osadzony w więzieniu, zwolniony wskutek braku dowodów i w większości pozytywnych zeznań więźniów KL Auschwitz. Za działalność wyróżniony odznaczeniami brytyjskimi. Pracował jako lekarz misji w Afryce. Zmarł w lipcu 1965 r. w Wlk. Brytanii.

rtm. 3.[60], ppor. 4.[61], oraz kolegę 5.[62], (klucz z nazwiskami odpowiadającymi tym liczbom piszę osobno)[63].

D-cą piątki został płk. 1 [Władysław Surmacki]. Dr. 2. [Władysław Dering] dostał rozkaz opanowania sytuacji na „Krankenbau”[64], gdzie już jako „pfleger”[65] pracował (Polacy oficjalnie nie mieli prawa być lekarzami, mogli być tylko pielęgniarzami).

W listopadzie posłałem pierwszy meldunek do K[omen]-dy Głównej w Warszawie[66], przez ppor. 6.[67] (mieszkał do Powstania w Warszawie, przy ul. Raszyńskiej Nr. 58.), pracownika naszego wywiadu, wykupionego z Oświęcimia.

60 Jerzy Virion (de Virion), zwany „Orcio” – ur. 23 września 1901 r. w Pogryżowie, adwokat, of. rez. WP, por. kaw. ze starsz. z 1 stycznia 1936 r., z przydziałem do 3 pszwol. w Suwałkach. W 1939 r. zmobilizowany do 1 pu krechowickich. Do obozu przywieziony w transporcie krakowskim z 30 sierpnia 1940 r. i zarejestrowany pod nazwiskiem Jerzy Hlebowicz, oznaczony nr. 3507. Zginął w KL Auschwitz 3 listopada 1941 r.

61 Alfred Wojciech Walenty Stössel – ur. 25 kwietnia (lub czerwca) 1915 r. w Poznaniu, of. sł. st. WP, ppor. art. ze starsz. z 1 października 1937 r. z przydziałem do 9 p. art. ciężkiej we Włodawie. Uczestnik kampanii 1939 r. Do KL Auschwitz przywieziony 14 czerwca 1940 r. (pierwszy polski transport – krakowski), w obozie nr 435, zarejestrowany przez Niemców błędnie jako rotmistrz kawalerii. Pracował w ZOW, m.in. przy obsłudze radiostacji nadawczej zmontowanej w 1942 r. przez konspiratorów. Aresztowany jesienią 1942 r. przez SS-Unterscharführera Gerharda Lachmanna (zob. przyp. 358) z wydziału politycznego (Politische Abteilung – obozowe gestapo, zob. przyp. 123), osadzony w bunkrze, rozstrzelany w KL Auschwitz 3 marca 1943 r. W 1942 r. został przyuczony przez niemieckich sanitariuszy do pomocy, a później także do samodzielnego wstrzykiwania fenolu i uczestniczył w eksterminacji współwięźniów. Zadenuncjowany do obozowego gestapo przez współwięźniów, prawdopodobnie z zemsty za udział w tym procederze. Denuncjacja ta omal nie doprowadziła do ujawnienia działań konspiracji, ale Stössel nie załamał się w śledztwie i nic na ten temat nie zeznał. Według klucza do *Raportu W* z 1943 r. numerem 4 miał być Eugeniusz Obojski. Późniejsze wydarzenia opisane w *Raporcie Witolda* z 1945 r. potwierdzają jednak, że był to A. Stössel. Eugeniusz Obojski – ur. 13 września 1920 r. w Warszawie, do Auschwitz przywieziony 14 czerwca 1940 r. w pierwszym transporcie z Krakowa, otrzymał nr 194, zarejestrowany w zawodzie uczeń kucharski. Pracował jako sanitariusz w obozowym szpitalu i tragarz zwłok. Rozstrzelany w KL Auschwitz 25 stycznia 1943 r.

62 Roman Zagner – brak bliższych danych. Pracował w obozowych warsztatach samochodowych, prawdopodobnie nie przeżył wojny.

63 Imiona i nazwiska członków obozowej konspiracji, założonej przez siebie w KL Auschwitz pod nazwą ZOW, Pilecki kodował w raportach za pomocą numerów przypisywanych współpracownikom w kolejności opisywania spraw, względnie przystępowania ich do organizacji. Klucz do *Raportu* z 1945 r., wspomniany tu przez Rotmistrza, zaginął. Próby odszyfrowania nazwisk członków konspiracji w KL Auschwitz podejmowali dr Józef Garliński w Londynie oraz dr Adam Cyra w kraju. Dzięki jego pracy i odnalezieniu klucza do *Raportu W* sporządzonego przez Pileckiego w 1943 r. udało się odszyfrować znaczną część nazwisk, które Cyra podał w swojej książce *Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz*. Podając nazwiska członków konspiracji obozowej, korzystamy z jego ustaleń. Nadal jednak część nazwisk pozostaje nieodszyfrowana, tym bardziej że zdarzają się sprzeczności pomiędzy danymi z raportów z 1943 i 1945 r.

64 Izba chorych (HKB); w rzeczywistości szpital obozowy dla więźniów, znany pod nazwą „rewir”.

65 Pielęgniarz; w języku więźniów fleger.

66 W tym wypadku Pilecki ma na myśli zapewne KG TAP; po scaleniu TAP z ZWZ w 1941 r. jego meldunki trafiały do KG ZWZ.

67 Tadeusz Burski – ur. 5 lutego 1907 r. w Mohylowie, do Auschwitz przywieziony w transporcie z Warszawy 22 września 1940 r. (tak jak Pilecki), zarejestrowany jako woźnica i ślusarz, oznaczony nr. 4644. Pracował jako pielęgniarz w obozowym szpitalu. Zwolniony z obozu 11 lutego 1941 r. W *Raporcie W* Pilecki pisze, że ten pierwszy meldunek przekazał w październiku 1940 r. przez zwolnionego wtedy ppor. Aleksandra Karola Wielopolskiego (1910–1980). Przez Burskiego przekazał kolejny – por. s. 73.

Płk.1. [Władysław Surmacki] przeniósł działanie na teren „baubiura"[68].

W przyszłości zorganizowałem jeszcze cztery „piątki". Każda z tych „piątek" nie wiedziała o istnieniu piątek innych, sądziła, że jest szczytem organizacji i rozwijała się w dół, tak szeroko, jak ją [jej] suma zdolności i energii poszczególnych jej członków na to pozwalały.

Robiłem to przez ostrożność, żeby ewentualna wpadka jednej piątki, nie pociągnęła za sobą piątki sąsiedniej.

W przyszłości piątki w szerokiej rozbudowie zaczęły się stykać, wzajemnie się wyczuwać.

Wtedy nieraz przychodzili do mnie koledzy z meldunkiem: „wiesz tu się kryje jeszcze jakaś organizacja". Uspokajałem, że to nie powinno ich obchodzić.

Ale to czas przyszły. Narazie piątka była jedna.

Tymczasem na bloku dnia pewnego, rano po apelu, poszedłem zameldować Aloizowi, że na sali jest trzech chorych, którzy nie mogą iść do pracy (byli już prawie na wykończeniu).

Krwawy Aloiz się wściekł. „Co, u mnie na bloku chory?!!... niema chorych!... wszyscy muszą pracować!... i ty też! Dosyć tego!..." i wpadł za mną z kijem na salę. „Gdzie są?!!..."

Dwuch leżało pod ścianą ciężko dysząc, trzeci stał na kolanach w rogu sali i modlił się.

„Was macht er?!" – krzyknął do mnie. „Er betet" – „Betet??!... Kto jego tego nauczył?!..." – „Das weiss ich nicht" – odrzekłem[69].

Przyskoczył do modlącego się i zaczął nad głową mu wymyślać i krzyczeć, że jest idiota... że Boga żadnego niema... że on mu chleb daje a nie Bóg... i t.p. – ale go nie uderzył.

Potym podbiegł do dwuch leżących pod ścianą i zaczął ich kopać w nerki i t.p. krzycząc: „auf!!!... auf!!!..."[70], wreszcie tamci, widząc śmierć przed sobą, ostatnimi siłami się podnieśli.

Wtedy zaczął krzyczeć do mnie: „Widzisz! mówiłem że nie są chorzy!... chodzą – mogą pracować! – Weg!!!...[71] marsz do pracy!... i ty z nimi też!..."

I tak wyrzucił wtedy mnie do pracy na obóz.

A tego co się modlił odprowadził sam do szpitala.

Dziwny był człowiek – ten komunista.

Na placu znalazłem się w niewyraźnej sytuacji.

Wszyscy już stali w komandach pracy czekając na wymarsz. Biec, żeby stanąć w piątkach jako spóźniony häftling – to znaczy poddać się biciu i kopaniu przez capów i ss-mannów.

68 Baubüro – biuro budowlane.

69 Co on robi?! – Modli się. – Modli się? – Tego nie wiem.

70 Wstawać!

71 Precz!

Zobaczyłem, że na placu wokoło stał oddział tych, którzy byli poza objętymi pracą w komandach więźniami. W tym okresie część zbędna przy pracy (komand było mało. Lager dopiero się rozbudowywał) – „robiła gimnastykę" na placu.

Narazie koło nich nie widać było capów ani ss-mannów zajętych ustawianiem kolumn „arbeitskomandów".

Pobiegłem do nich i stanąłem na placu w kole „do gimnastyki".

Kiedyś gimnastykę lubiłem, lecz od czasu Oświęcimia z sympatią do niej jest jakoś gorzej.

Od godziny 6-ej rano, nieraz przez kilka godzin staliśmy i marzliśmy okropnie.

Bez czapek i skarpetek, w cienkich drelichach, w tym podgórskim klimacie, jesienią 40-go roku[72], rano prawie zawsze w mgle, trzęśliśmy się z zimna.

Granatowiały nogi i ręce wystające z często przykrótkich nogawek i rękawów.

Nie ruszano nas.

Musieliśmy stać i marznąć.

Wykończanie uskuteczniał chłód.

A przechodzący capowie i blokowi (często Aloiz) stawali, śmieli się i mówili ze znaczącym ruchem rąk, imitującym parowanie – ulatnianie się: „...und das Leben fliiieeegt...[73] Ha! Ha!"

Gdy się już mgły rozwiewały, błysnęło słońce i robiło się trochę cieplej, a do obiadu zostawało zdawałoby się już nie wiele czasu, wtedy zgraja capów rozpoczynała z nami „gimnastykę" – można by to było z równym powodzeniem nazwać – ciężkie ćwiczenia karne.

Na tego rodzaju gimnastykę czasu do obiadu było jeszcze za wiele.

„hüpfen! rollen! tanzen! kniebeugen!!"[74]

Do wykończenia wystarczało – jednego „hüpfen!"

Niemożliwością było zrobić „żabkę" dookoła wielkiego placu – już nie dlatego, że w drewniakach, bo się je brało wówczas w ręce; nie dlatego, że boso, po żwirze, zdzierało się skórę ze stopy do krwi, lecz dlatego, że żadne mięśnie na taki wyczyn nie wystarczały.

Tu znowu ratowała mnie zaprawa w sporcie z lat przeszłych.

Tu znowu kończono słabych inteligentów z brzuszkiem, dla których niemożliwością była żabka nawet na krótkiej przestrzeni.

Tu znowu kij spadał na głowy tych, co się co parę kroków przewracali. Znowu bicie i niemiłosierne kończenie ludzi.

72 Zimy w latach 40. XX w. były wyjątkowo mroźne i wczesne.

73 A życie ulatuuuje!

74 Hüpfen – podskakiwać (w tym wypadku żabką, czyli w pozycji kucznej wokół placu apelowego); rollen – toczyć (się), kręcić (się); tanzen – tańczyć; kniebeugen – robić przysiady.

I znowu jak zwierzę, człowiek korzystał z chwili wytchnienia – złapania tchu – w momencie, gdy zgraja z kijami obskakiwała jakąś nową ofiarę.

Po obiedzie – ciąg dalszy.

Do wieczora wyciągano wiele trupów i pół-trupów, którzy się następnie w szpitalu szybko kończyli.

Tuż obok koło nas na placu, „pracowały" dwa walce. Chodziło niby o równanie placu.

Pracowały na wykończenie ludzi, którzy je ciągnęli.

W jeden – mniejszy wprzągnięci byli księża z dodaniem kilku innych więźniów – Polaków, do liczby około 20–25.

W drugi – większy wprzągniętych było około 50 żydów. –

Na jednym i drugim dyszlu od walców stał Krankenmann i inny jakiś capo, którzy wagą ciała swego powiększali ciężar dyszla, wgniatając go w karki, ramiona więźniów, za ten dyszel walec ciągnących.

Od czasu do czasu capo, lub blokowy Krankenmann z filozoficznym spokojem opuszczał kij na czyjąś głowę, uderzał to lub inne juczne [pociągowe] zwierzę-więźnia, z taką siłą, że nieraz kładł go trupem odrazu, lub omdlałego wtrącał pod walec, bijąc resztę więźniów by się nie zatrzymywała.

Z tej fabryczki trupów w ciągu dnia wielu wyciągano za nogi i układano rzędem, do przeliczenia w czasie apelu.

Pod wieczór Krankenmann przechadzając się po placu z rękami w tył założonymi, przyglądał się, z uśmiechem zadowolenia, tym b. więźniom leżącym już spokojnie.

„Gimnastykę" zwaną „kołem śmierci" ćwiczyłem przez dwa dni.

Trzeciego dnia rano stojąc w kole zastanawiałem się nad tym, jaki procent z pozostałych ćwiczących jest słabszy fizycznie i mniej wysportowany odemnie, obliczając jak długo jeszcze na siły własne mogę liczyć, gdy nagle położenie moje raptownie się zmieniło.

Komanda wymaszerowywały do pracy. Część wewnątrz drutów, a część maszerowała do pracy za bramą, za ogrodzeniem.

W pobliżu bramy stał lagerführer[75] z grupą ss-mannów, przed pulpitem. Robił przegląd wychodzących komand, sprawdzał ilość zgodną z podaną w rejestrze.

75 Kierownik obozu, w strukturze obozów koncentracyjnych kierownik tzw. wydziału III, oficjalna nazwa „Schutzhaftlagerführer". Pełnił funkcję zastępcy komendanta obozu w przypadku jego nieobecności. Odpowiadał za całokształt spraw obozu, mianował i odwoływał więźniów funkcyjnych (m.in. kapo i blokowych), wydawał opinie i proponował kary, podejmował wszelkie kroki, by zapobiec ucieczkom więźniów, kontrolował wydajność ich pracy, nadzorował porządek i czystość na terenie obozu, miał obowiązek czuwać, by każdy z więźniów otrzymywał należyte porcje pożywienia, oraz pouczać personel o zakazie maltretowania więźniów. Zwłaszcza dwa ostatnie zadania były traktowane raczej jako formalność albo wręcz fikcja. W okresie pobytu Pileckiego w KL Auschwitz Lagerführerem był SS-Hauptsturmführer Karl Fritzsch (zob. przyp. 79), a po nim SS-Sturmbannführer Hans Aumeier (zob. przyp. 332).

Tuż obok stał „arbeitsdienst”[76] – Otto (niemiec, który nigdy Polaka nie uderzył)[77]. Z tytułu swego urzędu, on przydzielał do pracy poszczególnych więźniów. On był odpowiedzialny za obsadzenie poszczególnych komand pracownikami.

Stojąc na łuku koła najwięcej do bramy zbliżonym, spostrzegłem, że Otto pędzi biegiem wprost na nas.

Instynktownie podsunąłem się jeszcze bliżej.

„Arbeitsdienst” wpadł zakłopotany wprost na mnie: „vielleicht bist du ein Ofensetzer?!” – „Ja wohl! Ich bin ein Ofensetzer” – odparłem bez namysłu. „Aber ein guter Meister?” – „Gewieß [Gewiß], ein guter Meister” – „Also schnell!...”[78]

Kazał mi wziąść jeszcze czterech z koła i galopem pędzić za nim, do bramy, pod blokiem 9-ym (stara numeracja) dali nam wiadra, kielnie, młotek murarski, wapno i cała nasza piątka stanęła wyrównana przed pulpitem Lagerführera, którym wtedy był Frit[z]sch[79].

Dopiero spojrzałem po twarzach przygodnych towarzyszy moich.

Żadnego z nich nie znałem.

„Fünf Ofensetzer”[80] meldował głośno zadyszany Otto.

Dali dwuch żołnierzy „post”-ów[81] i wymaszerowaliśmy za bramę, w kierunku miasteczka.

---

76 Więzień funkcyjny nadzorujący oddziały robocze i przydzielający do nich więźniów.

77 Otto Küsel – ur. 16 maja 1909 r. w Berlinie. Skazany za kradzieże samochodów. Przywieziony do Auschwitz 30 maja 1940 r. w grupie 30 niemieckich więźniów kryminalnych, mających objąć stanowiska funkcyjne w powstającym obozie; nr obozowy 2. Do grudnia 1942 r. kapo-Arbeitsdienst nr 1 w KL Auschwitz, znany z przychylności dla więźniów. 29 grudnia 1942 r. zbiegł z obozu wraz z trzema więźniami-Polakami: Janem Barasiem-Komskim (nr 564), Mieczysławem Januszewskim (nr 711) i Bolesławem Kuczbarą (nr 4308). Ukrywał się w Warszawie. We wrześniu 1943 r. ujęty i ponownie przywieziony do Auschwitz jako zwykły więzień, osadzony w bunkrze, pomimo tortur nie wydał wspólników ucieczki. 8 lutego 1944 r. przewieziony karnie do KL Flossenbürg, gdzie przebywał do końca wojny. Po ewakuacji obozu pomagał Polakom w czasie marszu głodowego. Po wojnie zeznawał jako świadek w procesie członków załogi SS z Auschwitz we Frankfurcie nad Menem. Mieszkał w Oberpfalz w Bawarii. Na wniosek b. więźniów obozu zaoferowano mu po wojnie honorowe obywatelstwo Polski. Zmarł 17 listopada 1984 r. w Oberviechtach (Bawaria).

78 Może jesteś zdunem? – Tak jest! Jestem zdunem. – Ale czy jesteś dobrym majstrem? – Oczywiście, jestem dobrym majstrem. – No to szybko!...

79 Karl Fritzsch – ur. 10 lipca 1903 r. w Nassengrub (czeskie Mokřiny) w Kraju Sudeckim (Sudetenland), członek NSDAP i SS od 1930 r., SS-Hauptsturmführer. Od 1933 r. dowodził plutonem w oddziale wartowniczym KL Dachau, od 1939 r. był tam kierownikiem cenzury obozowej. Od 14 czerwca 1940 r. do 1 lutego 1942 r. zastępca komendanta KL Auschwitz. On przyjmował pierwszy transport więźniów Auschwitz, mówiąc im, że nie przyjechali „do sanatorium”, i był pierwszym, który użył w sierpniu 1941 r. cyklonu B do masowej eksterminacji więźniów w komorze gazowej; on także posłał na śmierć głodową do bunkra bloku 11 o. M.M. Kolbego. Przeniesiony na takie samo stanowisko do KL Flossenbürg, gdzie od lipca do września 1942 r. pełnił obowiązki komendanta obozu; w 1943 r. przeniesiony do jednego z podobozów KL Mittelbau. Pod koniec wojny przeniesiony do Waffen-SS i wcielony do jednostki bojowej, zginął 2 maja 1945 r. w walkach w Berlinie.

80 Pięciu zdunów.

81 Post – posterunek, wartownik. Esesmanów pełniących służbę wartowniczą na wieżyczkach lub przy ogrodzeniu obozu nazywano postami. Na określenie strażnika w obozie lub więzieniu używano też słowa „wachman” (niem. Wachmann).

Okazało się, że Otto musiał przygotować paru majstrów do przestawienia pieców w mieszkaniu jakiegoś ss-manna, zapomniał o tym i w ostatniej chwili ratując sytuację, w czasie gdy przy bramie liczono poprzednie komando, zmontował zespół naszej piątki na placu.

Teraz właśnie „post"-owie nas prowadzili do mieszkania ss-manna.

W jednym z domków w miasteczku, właściciel mieszkania, jakiś ss-mann przemówił chociaż po niemiecku lecz ludzkim językiem, co mnie już dziwnym się wydawało.

Zapytał kto jest głównym majstrem i potym mnie wyjaśnił, że on likwiduje kuchnię. Tu przyjedzie jego żona, on chce przenieść płytkę kaflową tu, a tamten piecyk do tego pokoju. Uważa, że nas jest za wielu, ale chodzi mu o to przedewszystkiem, żeby robota była dobrze wykonana, więc możemy wszyscy tu pracować, że w razie jeśli paru nie będzie miało co robić, to niech sprząta na strychu. Że będzie przychodzić tu codziennie obejrzeć pracę. I poszedł.

Sprawdziłem czy ktokolwiek z kolegów nie zna się na piecach, gdy okazało się że nikt, odprawiłem wtedy całą czwórkę do noszenia wody, kopania gliny, rozrabiania i t.p.

Dwuch żołnierzy pilnowało nas na zewnątrz domu.

Zostałem sam. Co robiłem z piecem? – mniejsza.

Człowiek w walce o życie może więcej, niż sam przedtym sądził.

Rozbierałem ostrożnie, by nie połamać kafli, przyglądałem się bacznie jak idą lufty[82], gdzie i jak są sklepione.

Potym zakładałem piec, następnie kuchenkę w miejscach mi wskazanych.

Budowałem wszystko przez dni cztery.

Gdy jednak dnia piątego należało pójść i w piecu na próbę zapalić, zawieruszyłem się w obozie tak szczęśliwie, że chociaż słyszałem, jak szukano ofenstzera – majstra, mnie nie znaleziono.

Wśród ogrodników w komendanta ogrodzie nikt się nie domyślił szukać...

A numerów naszej piątki nikt nie zanotował, zresztą były to jeszcze czasy, kiedy nawet capowie w komandach nie zawsze numery notowali.

Nigdy też już się nie dowiedziałem czy paliły piece, czy też dymiły...

Wracam do momentu, gdy znalazłem się poraz pierwszy w mieszkaniu ss-manna w miasteczku.

Mam pisać coprawda o suchych faktach...

Widziałem już w Oświęcimiu straszliwe obrazy – nic mnie załamać nie potrafiło.

I teraz tu, gdy mi nie groził kij żaden i żadne kopnięcie, poczułem jak nagle serce podeszło gdzieś w gardło i stało się tak jakoś ciężko, jak ciężko jeszcze nie było...

82 Luft – powietrze, tu: kanały wewnątrz pieca, rozprowadzające ogrzane powietrze i odprowadzające dym do komina.

Wiem... zaraz by mnie przypomniano, że fakty tylko mam podać – to też podaję tu to, co faktem bezwzględnie było. Jest to jednak z dziedziny mego wnętrza i może dlatego nie jest tak suche.

Zostałem sam przed „zadaniem z piecami", lecz nie o piece chodziło... Jakto – więc jest świat nadal i ludzie żyją jak żyli dotychczas? Tu domki, ogródki, kwiaty i dzieci. Radosne głosy. Zabawy.

A obok tuż – piekło, mordownia, przekreślanie wszystkiego co ludzkie, co dobre...

Tam, tenże ss-mann jest katem, oprawcą – tutaj udaje człowieka.

Gdzież więc jest prawda? Tam – czy też – tutaj?

W domu zakłada swe gniazdo. Przyjedzie żona, a więc i uczucie chyba czasami w nim mieszka. –

Dzwony w kościele, ludzie się modlą, kochają, rodzą – a tuż obok – mordują...

Powstał we mnie bunt wtedy jakiś.

Była to chwila ciężkiego zmagania. –

Potym przez dni cztery chodząc do pracy przy piecach i widząc naprzemian – to piekło – to ziemię, tak jakbym był wciąż wpychany raz do gorąca to znowu do chłodu.

Tak! – Hartowano mnie wtedy!

Tymczasem „pierwsza piątka" zrobiła już „parę kroków" naprzód, zaprzysiężono kilku nowych członków.

Jednym z nich był kpt. „7"[83]. Na imię miał Michał. –

Kapitan Michał podchodził do pracy w ten sposób, że pomagał rano przy ustawianiu piątek do pracy. Przy „capach" wymyślał kolegom i zrzędził, szybko równając szeregi, oszczędził niejednemu więźniowi kija „capo"-wego, robiąc sam wiele ruchu i hałasu, a mrugając znacząco na współtowarzyszy, gdy „capo" stał do nich plecami.

„Capo"-wie zdecydowali, że nadaje się na „dwudziestkowego" i powierzyli mu cztery piątki – robiąc z niego „vorarbeitera".

Ten właśnie Michał ratował mnie w dzień krytyczny, gdy musiałem gdzieś zniknąć z oczu „capo"-ów i wpakował mnie do dwudziestki zaprzyjaźnionego już „unter-capa"[84], w jednym z komand najpierw wychodzących przez bramę do pracy.

Trafiłem do oddziału pracującego w polu, tuż koło willi komendanta lagru.

Tymczasem w obozie szukano „offensetzera", zanim Otto [Küsel] nie złapał innego więźnia i piątka wyszła do pieców jak zawsze.

Przez cały dzień padał deszcz i dął wiatr.

83 Michał Romanowicz – brak bliższych danych, wiadomo jedynie, że zmarł w grudniu 1940 r. w KL Auschwitz na zapalenie płuc. Być może był to M. Romanowicz – ur. 11 czerwca 1902 r., por. rez. sap. WP ze starsz. z 19 marca 1939 r., z przydziałem do 3 batalionu sap. w Grodnie.

84 Podkapo, często zastępca lub pomocnik głównego kapo danego komanda. Byli także obercapo, czyli nadkapo – przełożeni kilku lub wszystkich kapo w większych oddziałach i poszczególnych przedsiębiorstwach obozowych.

Pracując w polu, z którego robiliśmy w tempie przyspieszonym ogród dla komendanta – mokliśmy wszyscy, zdawałoby się do wnętrz własnych, również zdawało się nam, że wiatr przeszywa nasze ciała na wylot. Suchej nitki nie było. Wiatr obracał nami, gdyż długo jedną stroną do wiatru stać nie można było. Mroził nam krew w żyłach i tylko praca – szybkie ruchy łopatą wydobywały jeszcze z zapasów własnej energji, trochę tego ciepła. A energią trzeba było gospodarować oszczędnie, gdyż pokrycie jej było bardzo wątpliwe...

Drelichy kazano nam zrzucić. W koszulach, boso, w grzęznących w glinie drewniakach, bez czapek, z ociekającymi wodą głowami, twarzami, w chwilach gdy deszcz przestawał padać, parowaliśmy jak konie po biegu.

Rok 1940, szczególnie jesień, dał się we znaki więźniom Oświęcimia ciągłymi deszczami, szczególnie w czasie apelów. Apel z deszczem stał się chronicznym zjawiskiem. Nawet w dzień który można by było do pogodnych zaliczyć. Mokli na apelu wszyscy, ci którzy pracowali przez cały dzień w polu, jak i ci, co pracowali pod dachem.

Do pracy pod dachem przedewszystkiem dostały się „stare numery" to znaczy ci, którzy przed nami dwa, lub najwyżej trzy miesiące przyjechali.

Tych trzy miesiące to była ogromna różnica i „w posadach", bo wszystkie pod dachem były poobsadzane i w przeżyciach.

Wogóle więzień, który przyjechał o miesiąc później, nie tym się różnił od kolegów, że o 30 dni tu siedzi krócej, lecz tym, że nie zaznawał już takich sposobów udręczeń – jakie jeszcze przed miesiącem stosowano, a metody się stale zmieniały i zawsze było ich jednak dosyć u całej plejady dozorców, naganiaczy i innych ciemnych typów, którzy się chcieli w ten ohydny sposób przypodobać władzy.

Tak było i potym, w następnych latach. Lecz narazie nikt o latach nie myślał. „Kazik" [NN] (na 17-a bloku) nam kiedyś powiedział: najgorzej to przebyć pierwszy rok. Jedni uśmieli się serdecznie. Rok? Na gwiazdkę już będziemy w domu. Niemcy nie wytrzymają! Anglia! i t.p. (Sławek Szpakowski)[85]... innych napełnił zgrozą. Rok?! Któż tu wytrzyma rok czasu? Gdy codziennie człowiek bawi się w ciuciubabkę ze śmiercią... może pani jeszcze nie dziś... może jutro! – i dzień czasami wydawał się rokiem.

I dziwne dzień wlókł się zmorą nieskończoną. Czasami, gdy sił brakowało do pracy, którą jednak wykonać trzeba było – godzina wiekiem się wydawała – tygodnie natomiast mijały szybko. Dziwne to było – a jednak tak było – zdawało się niekiedy, że coś jest albo z czasem, albo ze zmysłami już nie w porządku...

A że ze zmysłami nie było już tak jak u ludzi, to pewne... jak u ludzi hen, tam daleko, na ziemi...

Umieraliśmy jako tacy, jakimi chodziliśmy niegdyś po ziemi – stawaliśmy się innymi.

85 Autor *Raportu* wpisał to nazwisko w nawiasie, zapewne chcąc wskazać, że właśnie ten człowiek był autorem owych optymistycznych opinii, pocieszających współwięźniów.

Nie raz można było słyszeć wykrzyknik kolegi, reasumującego swoje życie w słowach: jakiż ja byłem głupi!

...Oto gdy po przejściach ciężkich już zżyliśmy się ze sobą, a przeżycia nieznanego dotąd nasilenia węzły przyjaźni zacieśniły mocniej niż na ziemi...

...gdy się miało swą „paczkę" w której nawzajem się wspomagano, ryzykując nieraz własnym życiem dla ratowania kolegi... i wtedy naraz... na oczach twoich – bracie, zabijano ci przyjaciela, mordując go w najpotworniejszy sposób... co wtedy?!...

Zdawało by się jedno tylko... rzucić się na oprawcę i zginąć razem... Tak też parę razy czyniono, lecz zawsze przynosiło to jeszcze jedną śmierć więcej...

Nie – to nie jest wyjście! W ten sposób zginęlibyśmy zbyt szybko...

Więc widziało się śmierć powolną przyjaciela i niejako konało się z nim razem... patrząc, zdawało się, że człowiek razem z nim żyć przestał... a jednak... żył potym... więc odżywał, odradzał się... przeradzał...

I jeśli tak się kona – powiedzmy tylko razy dziewięćdziesiąt – to trudno – staje się czymś innym niż było na ziemi...

A ginęły nas tam tysiące... dziesiątki tysięcy... a potym już – setki tysięcy...

Śmieszną więc wydawała się ziemia i ludzie na niej, zajęci jakże błahymi już w naszych oczach, sprawami.

W ten sposób przekuwaliśmy się wewnętrznie.

Nie wszyscy tak reagowali. –

Lager był probierzem, gdzie się deklarowały charaktery.

Jedni – staczali się w bagno moralne.

Inni – rzeźbili w charakterach własnych, jak w kryształach.

Rżnięto nas ostrym narzędziem. Ciosy ostrz boleśnie wrzynały się – w ciała, w duszach jednak znajdując pole do przeorania...

To przeradzanie się, kolejno przechodzili wszyscy.

Jak pługiem rżnięta ziemia, częścią już przeoraną odkłada się na prawo w skibę urodzajną – na lewo zostawała jeszcze ziemia, która w skibę dopiero w następnym cięciu przejść miała.

Czasami tylko pług wyskakiwał na jakimś kamieniu wewnętrznym i zostawał kawał roli nieprzerobiony – jałowy – nieużytkujący skrawek, co całość roli psuł dysonansem...

Opadły z nas wszystkie tytuły...

Dystynkcje, dyplomy zostały hen, tam daleko na ziemi...

Oczami patrząc jak gdyby już z zaświatów, na sylwetki ubrane w te naleciałości na ziemi, widziało się całą naszą paczkę w przeszłości: jednego – z takim, drugiego – z innym tytułem, nie mogło się patrzeć inaczej, jak z uśmiechem tak pobłażliwym, jak się patrzy na dzieci...

Byliśmy już wszyscy z sobą „na Ty".

Przez „pan" zwracano się tylko do „zugang"-ów – bo oni tego jeszcze nie rozumieli.

Między nami był to z reguły zwrot obrażający.

Pułkownik R.[86] do którego zwróciłem się przez zapomnienie: „Panie Pułkowniku” – żachnął się na mnie ze słowami: może byś już przestał...

Jakże inaczej to wygląda na ziemi.

Jakiś Munio, czy Funio, będzie się chwalił wśród kolegów grona, zaszczytem, że z jakimś o dwa stopnie starszym, mówią sobie „ty”.

Tu – samo wszystko opadło bez śladu.

Staliśmy się tylko nagą wartością.

Tyle człowiek mógł i znaczył, ile był tego wart...

W ogrodzie komendanta pracowałem dwa dni.

Niwelowaliśmy, wytyczaliśmy gazony, dróżki. Z głęboko wyciętych dróżek wywoziliśmy ziemię. Wypełnialiśmy wgłębienia grubo sypaną tłuczoną cegłą. Rozbieraliśmy w pobliżu kilka domków. Wogóle wszystkie domy koło „lagru”, a szczególnie w pasie pomiędzy „kleine postenkette” (mały łańcuch wart), a „große postenkette” (wielki łańcuch wart)[87], pierścień o promieniu paru kilometrów – musiały być rozebrane.

Ze specjalnym zacięciem i jakąś wściekłością rzucali się niemieccy dozorcy na te budowle, postawione tu przez ludność polską.

Bogate wille i skromne lecz schludne domki, na postawienie których jakiś robociarz polski pracował może całe życie, znikały z powierzchni, rozbierane rękami więźniów – Polaków, pędzonych drągami, bitych i lżonych różnymi: „verfluchte”-ami[88].

Do bicia i kopania jak w ogrodzie, tak i przy rozbiórce domków była przez cały czas pracy nieprzerwana okazja.

Po zdarciu dachów, rozebraniu ścian takiego domku, najtrudniejsza praca była przy rozbieraniu fundamentów, które zniknąć musiały bez śladu. Doły zasypywano i gospodarz, jeśli wróci, będzie musiał długo ustalać miejsce, gdzie niegdyś było jego gniazdo rodzinne.

Wykopywaliśmy bowiem również nawet niektóre drzewa. Z całego obejścia nie zostawało nic.

86 Tadeusz Reklewski (do 1932 r. Seeliger i Seeliger-Reklewski, w niektórych dokumentach PMAB także Rechlewski) – ur. 8 lutego 1890 r. W latach I wojny światowej żołnierz 2 pu Leg. Polskich, następnie of. zaw. WP, ppłk kaw. ze starsz. z 1 stycznia 1928 r., od 1934 r. w st. sp. Do KL Auschwitz przywieziony 23 listopada 1940 r. z Warszawy, w obozie otrzymał nr 6471. Członek utworzonej przez Pileckiego w obozie konspiracji wojskowej (ZOW), zakodowany w *Raporcie* jako nr 11. W dniu 11 marca 1943 r. przewieziony do KL Buchenwald, wojnę przeżył.

87 Obóz Auschwitz był bezpośrednio otoczony pierścieniem wieżyczek i posterunków wartowniczych; był to tzw. mały łańcuch wart. Drugi, zewnętrzny łańcuch przebiegał w oddaleniu od obozu i ochraniał także KL Auschwitz II-Birkenau oraz część tzw. strefy interesów KL Auschwitz, czyli m.in. miejsca, gdzie pracowali więźniowie.

88 Verflucht – cholerny.

Podczas gdy niszczono jedno z takich domostw, spostrzegłem zawieszony na krzaku obraz Matki Boskiej, który wydawało mi się, że z jakimś spokojem samotnie tu się ulokował i pozostał cały wśród tego chaosu i pola zniszczenia.

Nasi – nie chcieli go zniszczyć.

W pojęciu „capo”-[ó]w wystawiony tu na deszcz, śnieg i mróz – właśnie najwięcej narażony będzie na poniewierkę.

To też później znacznie, w ośnieżonym krzaku można było widzieć szronem pokryty obrazek, połyskujący złoceniami, ukazujący przez niezapotniały środek szybki tylko twarz i oczy, które dla pędzonych tędy zimą do pracy wśród dzikich krzyków i kopań – naszych więźniów, był miłym zjawiskiem, wywołując przelot na skrzydłach ich myśli do domów rodzinnych, dla jednych – do żony, dla drugich – do matki.

Moczeni w czasie pracy, moczeni na apelach, na noc składaliśmy mokre drelichy pod głowę zamiast poduszek.

Rano wkładało się mokre ubranie i szło się bosą nogą w spadających drewniakach, bez czapek, znowu na deszcz lub na przenikliwy wiatr.

Był już listopad.

Czasami prószył śnieg...

Koledzy się wykańczali. Szli do szpitala i więcej już nie wracali.

Dziwne – nie należałem do herkulesów, a jednak nawet kataru nie miałem.

Po paru dniach pracy w ogrodzie, Michał [Romanowicz] umieścił mnie w swojej dwudziestce, którą sobie mógł dobrać.

To też dobierał z kolegów – przeważnie już zaprzysiężonych lub też takich, na których można było liczyć, że się u nas w organizacji znajdą – ludzi wartościowych, których należało ratować.

Dwudziestka nasza należała do setki, która między innymi kilkunastu setkami szła na „Industriehof II”[89].

Tam szaleli „capo”-wie: „August Czarny” [NN], „Sigrod”[90], „Bonitz”[91], „August Biały” [NN] i inni.

89 Strefa przemysłowa Auschwitz. System Auschwitz składał się z 58 obozów i podobozów, obejmujących wiele zakładów i przedsiębiorstw, w których pracowali więźniowie.

90 Johann Siegruth – ur. 24 (lub 29) marca 1903 r. w Kattowitz (Katowice). Nr obozowy 26, w latach 1940–1941 oberkapo komanda Bauhof (magazyny budowlane) w KL Auschwitz. Sadysta i morderca nienawidzący Polaków. 28 lipca 1941 r. skierowany wraz z grupą 575 więźniów do Sonnenstein w celu zagazowania, powiesił się w czasie transportu w wagonie. Według innej wersji został powieszony przez współwięźniów.

91 Bernhard Heinrich Bonitz – ur. 11 czerwca 1907 r. w Chemnitz (Saksonia). Z zawodu piekarz. Przywieziony do Auschwitz z KL Sachsenhausen, w obozie nr 6, m.in. blokowy nr 2, kapo komanda odzieżowego i oberkapo komanda Buna-Werke, starszy podobozu Günthergrube (kopalnia Ginter) i oberkapo komanda Lederfabrik (garbarni), morderca wielu więźniów, których zakatował albo utopił w dołach kloacznych i kadziach z chemikaliami do garbowania skór. Aresztowany w 1966 r., skazany 14 czerwca 1968 r. w procesie frankfurckim (III proces oświęcimski) na karę dożywotniego więzienia.

Było paru kilkunastoletnich „szczeniaków" – volksdeutschów[92] na usługach niemieckich, którzy specjalną mieli radość w biciu więźniów po twarzy, biciu kijem i t.p.

Jeden z nich przeliczył się nieco i po paru dniach znaleziono go wiszącego w jednym z baraków „musiał się sam powiesić", „nikt mu nie przeszkadzał" – taki był rozkaz wyraźny w lagrze.

Michał [Romanowicz] jako „vorarbeiter" ze swoją dwudziestką dostał do rozbiórki jeden z domków w polu.

Tam zaprowadził nas wszystkich razem i tam „pracowaliśmy usilnie", przez parę tygodni.

Siedzieliśmy wśród złomów fundamentów domu i wypoczywaliśmy po pracy, od czasu do czasu kilofem uderzając by słychać byłotu odgłos jakiejś pracy.

Od czasu do czasu paru kolegów wynosiło na noszach gruz, w który zamieniały się ściany i fundamenty burzonego domku.

Materiał w postaci gruzu używany był do budowy drogi odległej od nas o kilkaset metrów.

Do domku tego, położonego daleko od pracy reszty setek, nikt z władzy naszej nie raczył zaglądnąć.

„Capo"-wie mieli tak wiele pracy przy kończeniu kilkunastu setek „wściekłych psów polskich", że nie pamiętali o nas, lub nie chcieli przez błotniste pole do nas się pofatygować.

Michał stał na straży i pilnie obserwował. Gdy jakiś ss-mann lub „capo" był widoczny gdzieś w bliższej odległości, wtedy sunęła para kolegów z noszami, kilofy uderzały raźniej w cement fundamentów, sklepienia piwnic.

[Podczas] pracy stałem obok Sławka Szpakowskiego. Rozmowa nasza toczyła się przeważnie na tematy kulinarne. Obaj byliśmy optymistami. Doszliśmy do wniosku,

92 Volksdeutsch – osoba wpisana przez władze III Rzeszy na niemiecką listę narodowościową (Deutsche Volksliste – DVL, potocznie nazywana przez Polaków volkslistą), co dawało tej osobie obywatelstwo III Rzeszy, nawet jeżeli przed wybuchem wojny była obywatelem innego państwa. Wpisując na DVL, stosowano kryteria narodowościowe i rasowe, ale nie zawsze konsekwentnie. Wpisywanie na DVL było jedną z form osłabiania zwartości polskiego społeczeństwa oraz germanizacji podbitych terenów. Przedwojenni obywatele polscy „niemieckiej krwi", mogący udowodnić niemieckie pochodzenie lub choćby noszący niemieckie nazwiska, mogli złożyć wniosek o przyjęcie ich do narodowości niemieckiej, co dawało im różne przywileje, m.in. korzyści materialne i lepszy status. Osoby otrzymujące I lub II grupę DVL były uznawane za reichsdeutschów równoprawnych z przedwojennymi obywatelami III Rzeszy. Otrzymanie decyzji o wpisaniu na DVL wszystkich grup dawało Niemcom możliwość pociągnięcia do służby wojskowej posiadacza volkslisty i jego dzieci, jeżeli osiągnęły wiek poborowy i również były volksdeutschami. Przyjęcie volkslisty było najczęściej traktowane przez Polaków jako akt zdrady narodu i państwa polskiego oraz kolaboracji z wrogiem, szczególnie w Generalnym Gubernatorstwie, gdzie najczęściej wnioskodawcami byli sami zainteresowani. Na ziemiach włączonych do III Rzeszy sprawa była bardzie złożona. W wielu przypadkach Polakom w razie nieprzyjęcia volkslisty groziło wysiedlenie, a nawet obóz koncentracyjny. Na DVL wpisano wielu rdzennych Polaków – Kaszubów, Mazurów, Ślązaków i Wielkopolan, nierzadko pod przymusem – których najczęściej zaliczano do grup III (najwięcej) i IV. Otrzymywali oni czasowe obywatelstwo III Rzeszy z możliwością odwołania przez Niemców. Na Pomorzu i w Wielkopolsce stosowano bardziej restrykcyjne kryteria wpisywania na volkslistę, natomiast na Śląsku, gdzie Niemcy nie chcieli utracić wykwalifikowanych robotników w kopalniach i zakładach przemysłowych, wywierano presję i różnymi sposobami zachęcano do przyjmowania DVL.

że gusty co do potraw mamy prawie identyczne. Sławek więc układał menu, jakim kiedyś przyjmie mnie u siebie, w Warszawie, po powrocie z lagru.

Od czasu do czasu, gdy nam chłód dokuczył i deszcz zalewał za kołnierz – braliśmy się do pracy więcej na serio, odłupując wielkie bryły betonu.

W pasiakach, z kilofami i młotami, przedstawialiśmy obrazek do którego tylko można było dośpiewać zwrotkę: „w minach kując kruszec młotem...”[93] i Sławek obiecywał sobie, po wyjściu z tego piekła, namalować mój portret w pasiakach z kilofem.

Tylko optymizm chyba nas podtrzymywał, bo reszta – rzeczywistość była bardzo czarna.

Głód skręcał nam już kiszki.

Ach! gdyby tamten chleb teraz można było mieć, cośmy złożyli na placu do taczek, w dzień przyjazdu do obozu.

Jak wtedy jeszcze nie umieliśmy chleba cenić.

W pobliżu miejsca naszej pracy, za drutami, umieszczonymi tu na granicy „wielkiego łańcucha wart” pasła się krowa, dwie kozy, które z apetytem zajadały liście kapuściane, rosnące po tamtej stronie drutów.

Po naszej stronie nie było już liści kapuścianych. Wszystkie były zjedzone. Nie przez krowy, lecz przez stwory do ludzi jeszcze niby podobne – przez „häftlingów” – przez nas.

Zjadano buraki pastewne w surowym stanie.

Zazdrościliśmy krowom – im buraki nie szkodziły. U nas ogromny procent chorował na żołądki. Wśród „häftlingów” panował i coraz większe ogarniał masy więźniów panoszący się w tamtym okresie w obozie – „Durchfall”[94].

„Durchfall” – to po polsku nazwać chyba można – biegunka, dyzenteria.

Na żołądek jakoś nie chorowałem.

Rzecz prozaiczna – zdrowy żołądek, lecz jakże ważną była w obozie.

Kto zachorował – musiał mieć wiele siły woli, by powstrzymać się od jedzenia, na krótki chociażby okres, lecz zupełnie.

O diecie specjalnej – mowy nie było. Mogła być stosowana w szpitalu, jednak tam początkowo dostać się było trudno i rzadko z powrotem się wracało – wychodząc przeważnie dymem przez komin krematorium.

Siła woli – stanowiąca tak wiele, w tym wypadku czasami nie wystarczała.

Nawet wtedy, gdy więzień się opanował i obiad oddawał, a chleb suszył, zostawiając na dzień następny, lub spalał na węgiel i zjadał dla powstrzymania biegunki, to jednak

93 Poprawnie: „w minach kruszec kując młotem...” – wers z pieśni katorżników polskich znanej pod tytułem *Nie dbam, jaka spadnie kara...*, śpiewanej przez zesłańców na Sybir po Powstaniu Styczniowym 1863 r., którzy przymusowo pracowali m.in. przy wydobywaniu złota w kopalniach północno-wschodniej części imperium rosyjskiego (mina – historyczna nazwa kopalni). Pieśń popularna w kolejnych pokoleniach polskich zesłańców i bojowników przeciwko caratowi. Słowa z III cz. *Dziadów* Adama Mickiewicza. Znanych jest kilka wersji melodii, na którą ją śpiewano.

94 Rozwolnienie, biegunka.

tak był osłabiony ciągłym rozstrojem żołądka, że w pracy komanda, pod okiem kata z kijem, z braku sił do pracy „podpadał", jako „ein fauler Hund"[95] i był biciem kończony.

Wracając do lagru na apel południowy i wieczorny, dwa razy dziennie, musieliśmy wszyscy nieść cegły.

Początkowo dwa dni nosiliśmy po 7 cegieł każdy, potym przez kilka dni – 6, a następnie już ustaliła się norma po 5 cegieł.

W obozie, w chwili gdy przyjechaliśmy, ogrodzonych drutem było sześć bloków piętrowych i czternaście parterowych. Budowano na placu apelowym osiem bloków nowych, piętrowych i wszystkie parterowe nadbudową piętra podnoszono do piętrowych.

Materiał cały: cegły, żelazo, wapno nosiliśmy ręcznie do obozu z odległości paru kilometrów.

Zanim budowy zostały zakończone, skończyło swe życie przy tej pracy wiele tysięcy häftlingów. –

Praca w dwudziestce Michała wiele sił zaoszczędziła kolegom.

Poczciwy Michał stojąc na straży naszego bezpieczeństwa – na zewnątrz domku – zaziębił się, dostał zapalenia płuc i zginął w szpitalu. Zmarł w grudniu.

Kiedy odszedł od nas na „krankenbau" był jeszcze koniec listopada – wzięto nas „do galopu", tak jak wszystkie inne dwudziestki i setki.

Zaczęła się znowu mordownia na całego.

Wyładowywaliśmy wagony towarowe, wtaczane na bocznice kolejowe.

Żelazo, szkło, cegła, rury żelazne, dreny. –

Przywożono wszelki materiał potrzebny do rozbudowy obozu. Wagony musiały być rozładowywane szybko. Więc znowu wszystko pod kijem zwijało się, niosło, potykało się, pod ciężarem upadało, przygniecione czasami ciężarem belki dwuteowej lub szyny.

Ci nawet co nie upadali, kończyli zapas sił własnych, nagromadzony widocznie kiedyś w przeszłości.

Dla nich samych było to już coraz większą z dnia na dzień niespodzianką, że jeszcze żyją, jeszcze chodzą, wtedy gdy dawno przekroczyliśmy zdawało się granice tego, co najsilniejszy człowiek znieść może.

Tak, tutaj rodziła się z jednej strony jakaś ogromna pogarda dla tych, których ze względu na ciało fizyczne musiało się pomimo woli do ludzi zaliczyć, a przez nich, bodaj do całego człowieczeństwa, lecz również rodziło się uznanie dla dziwnej natury ludzkiej, tak jednak silnej przez silny duch – zdawałoby się coś z nieśmiertelności w sobie mającej.

Przeczyły temu co prawda dziesiątki trupów, które wlekliśmy we czterech jednego, idąc na apel do lagru.

Zimne nogi i ręce, za które trzymaliśmy ciała – stanowiły kości obciągnięte siną skórą.

Z sino-szaro-fioletowych twarzy, ze śladami pobicia, patrzyły nieraz – obojętne już oczy.

95 Leniwe bydlę.

Niektóre ciała, jeszcze nieostygłe, bełtały rozwalonymi jakąś łopatą głowami, w takt marszu kolumny, która „krok trzymać” musiała. –

Jedzenie możliwe dla wegetowania w bezczynności – przy pracy – było daleko niewystarczające dla zapełnienia luk w zapasach własnej energii zużytej na pracę mięśni. Tymbardziej jeśli z tejże energii trzeba było jeszcze ogrzewać ciało, zziębnięte w pracy pod gołym niebem.

Na „Industriehof'ie II”, po stracie Michała [Romanowicza] kombinowaliśmy ze Sławkiem [Szpakowskim] lawirując dość sprytnie pomiędzy kijami, tak by zawsze pracować w możliwszej partii.

Raz przy wyładowywaniu wagonów, to znowu w komando „Strassenbau”[96] u „Augusta Białego”.

Gdy w tym komando pracując, wypadło nam drogę robić koło magazynów, uderzył nasze powonienie silny zapach wędliny.

Głodem wyostrzony zmysł powonienia był wtedy zadziwiająco czuły.

W wyobraźni naszej przesunęły się żywo rzędy wiszących szynek, – boczek wędzony, polędwica.

Lecz cóż? – To nie dla nas!

Zapasy są pewno dla „nadludzi”.

Zresztą – żartowaliśmy sobie – powonienie świadczy, że nie jesteśmy już nawet ludźmi. Do magazynów mieliśmy ze 40 metrów. Węch zwierza był to już raczej, niż – człowieka...

Jedno nas ratowało zawsze – humoru nie traciliśmy nigdy.

A jednak warunki te wszystkie razem, zaczęły wykańczać na dobre.

Niosąc cegły do lagru, szczególnie wieczorem, szedłem pozornie tylko – zupełnie pewnym krokiem.

Naprawdę – czasami traciłem świadomość i szedłem kilka kroków zupełnie mechanicznie... tak jakby we śnie... „byłem daleko” od otoczenia... przed oczami latały płatki zielone... Nie wiele brakowało do tego, bym się potknął...

Gdy myśl moja znowu zaczynała działać i rejestrować stan mój wewnętrzny, budziłem się... myśl przeszywała mózg nakazem: za nic! nie możesz się poddać!

I szedłem już dalej... pchany tylko wolą...

Powoli mijał stan zapamiętania... wchodziłem przez bramę do obozu... Tak, teraz rozumiałem. Napis na bramie brzmiał: „Arbeit macht frei”!

O, tak rzeczywiście... praca czyni wolnym... wyzwala z – obozu... ze świadomości... jak to przeżywałem przed chwilą... wyzwala – ducha z ciała... kierując to ciało do – krematorium.

A jednak należało coś wymyśleć... coś zrobić, by jakoś ukrócić ten proces słabnięcia.

Gdyśmy się spotykali we trzech, z dwoma Władkami (płk. 1. [Władysław Surmacki] i dr. 2. [Władysław Dering]), Władek 2. [Władysław Dering] pytał zawsze: „No, Tomasz,

96 Oddział budowy dróg.

jakże się czujesz?"[97] – odpowiadałem zawsze z wesołą miną, że czuję się doskonale. Początkowo się dziwiono, potym się przyzwyczajono i nareszcie – uwierzono, że się czuję doskonale.

Nie mogłem odpowiadać inaczej. Chcąc prowadzić „pracę" – pomimo, że już koledzy się zabrali do tego szczerze i jeden zdołał umocnić swe stanowisko w szpitalu, gdzie zaczął coś znaczyć, a drugi rozbudowywał „piątkę" w „Baubiuro", pozatym jeszcze jednak musiałem stale sugerować, że i tutaj praca jest zupełnie możliwa i zwalczać psychozę, której już zaczął ulegać Nr. 3 [Jerzy Virion], że warunki tu uniemożliwiają takową.

Cóż by było gdybym się choć raz poskarżył, że jest mi źle... lub że słaby jestem... i że właściwie przyparto mnie pracą tak, że sam dla ratowania swego życia, szukam wyjścia...

Jasne, że wtedy bym nie mógł ani sugerować innym ich kroki tutaj, ani czegokolwiek od kogoś wymagać...

Więc było mi dobrze – na razie tylko dla innych – a potym, o czym napiszę niżej, powoli doszło do tego, że stało mi się tam pomimo ciągłych zagrożeń i napiętych nerwów, – naprawdę – dobrze, nie tylko w słowach dla innych przeznaczonych.

Nastąpiło niejako rozdwojenie.

Wtedy, gdy ciało miało stale udrękę – duchowo człowiek czuł się czasami wspaniale, nie w sensie jakiejś abstrakcji.

Zadowolenie zaczęło się gnieździć gdzieś – w materialnym mózgu i z powodu przeżyć duchowych i z powodu ciekawej gry, czysto rozumowej, którą prowadziłem.

Należało jednak ratować własne ciało, które żeby cokolwiek tu prowadzić, trzeba było jakoś uchronić od zabicia.

Dostać się jakoś pod dach, żeby uniknąć wykończenia warunkami atmosferycznymi, pod gołym niebem.

Marzeniem Sławka [Szpakowskiego] było dostać się do rzeźbiarni w stolarni.

Po tym miał się postarać, by mnie tam wciągnąć.

Były w obozie już dwie stolarnie. Jedna wielka, na „Industriehof I", druga – mała w samym obozie, na bloku 9-ym (stara numeracja).

Do tej stolarni zdołał się już dostać jeden z moich kolegów z pracy, jeszcze w Warszawie, kpt. 8 – imieniem Fred[98].

97 Witold Pilecki przebywał w obozie pod fałszywym nazwiskiem. W momencie zatrzymania podczas łapanki w Warszawie legitymował się dokumentami wystawionymi na nazwisko Tomasza Serafińskiego, sądząc, że ten nie żyje. Tymczasem prawdziwy Tomasz Antoni Leonard Józef Serafiński (ur. 18 marca 1902 r. w Bochni, uczestnik III Powstania Śląskiego, inżynier, of. rez. WP, por. rez. art. ze starsz. z 19 marca 1939 r. i przydziałem do krakowskiego 5 pac, uczestnik kampanii 1939 r.) po zakończeniu walk przeszedł do konspiracji. Był oficerem ZWZ i AK m.in. na terenie obwodu Bochnia. Pilecki spotkał się z nim w 1943 r., po ucieczce z Auschwitz. Serafiński zmarł w 1966 r.

98 Ferdynand „Fred" Trojnicki – ur. 18 stycznia 1897 r. w Tarnowie, of. zaw. WP, przeszedł na emeryturę jako por. st. sp. piechoty ze starsz. z 1 czerwca 1919 r., później of. kontraktowy z przydziałem do 82 pp w Brześciu nad Bugiem do prac PWiWF, komendant miejski PW w Brześciu. Pod okupacją niemiecką członek TAP w Warszawie. Do Auschwitz przywieziony drugim transportem z Warszawy 22 września

Pytany przezemnie poinformował mnie, że może i mnie by się udało tam dostać, gdybym potrafił przekonać czymś „vorarbeiter'a" stolarni.

„Vorarbeiterem" był volksdeutsch – Westrych Wilhelm[99], pochodził z Pyr pod Warszawą. Siedział tu za handel walutą i czekał na rychłe zwolnienie.

Westrych, jakkolwiek volksdeutsch, jednak na dwuch stołkach siedzący, pracując dla niemców, czasami ratował Polaków, jeśli przypuszczał, że może to dla niego jakąś korzyść przynieść w przyszłości. –

Chętnie ratował jakieś b. znakomitości, chcąc potym jeśli niemcy przegrają, dla wybielenia lat pracy u niemców, powołać się na uratowane przez siebie osoby.

Należało więc stać się jakąś byłą znakomitością.

Wtedy zdecydowałem się „pójść na całego".

Kolega mój, kpt. 8 [Ferdynand Trojnicki] obiecał nastawić odpowiednio vorarbeiter'a i wieczorem wyciągnąć przed blok 8 (stara numeracja), gdzie mieszkał.

Tu też odbyła się nasza rozmowa. Powiedziałem krótko, że to nic dziwnego, że mnie nie pamięta, bo któżby mógł słyszeć o Tomaszu [Serafińskim]... tu wymieniłem moje „nazwisko lagrowe".

„Otóż Panie jasne: siedzę tu pod fałszywym nazwiskiem..."

...już Parki wzięły nić żywota mego w swe nożyce... pomyślałem za Sienkiewiczem[100].

Ryzykowałem życiem.

Wystarczyło, żeby vorarbeiter zameldował, lub zwierzył się komukolwiek ze zgrai ss-mannów czy „capów", w której się obracał, że jest tu ktoś pod fałszywym nazwiskiem, a byłbym skończony.

Jak „czarowałem" w dalszej rozmowie z Westrychem, tego tu pisać nie będę...

Udało mi się. Zwracał się do mnie przez pan, co w ustach vorarbeitera do szarego häftlinga nie miało, już posmaku obraźliwego, a przeciwnie. Zdecydował, że twarz moją musiał gdzieś widzieć... bodaj na jakichś ilustracjach z przyjęć na Zamku Warszawskim[101] i t.p. i co najważniejsze, powiedział, że zawsze ratuje porządnych Polaków,

1940 r. (wraz z Pileckim) i zarejestrowany jako więzień nr 5145. Zwolniony z obozu w grudniu 1941 r., przekazał przedstawicielowi KG ZWZ meldunek od Pileckiego. Jako „Stefan" i „Kotulski" działał w szeregach Organizacji Wojskowej, Zbrojnego Pogotowia Narodu oraz Zjednoczonych Organizacji Ruchu „Miecz i Pług"; brał udział w Powstaniu Warszawskim w Grupie „Topór" NSZ.

99 Wilhelm Westrych (Westrich) – ur. 9 kwietnia 1894 r., podof. rez. WP, przedsiębiorca budowlany z Pyr pod Warszawą, handlarz walutą, volksdeutsch, przywieziony do Auschwitz w pierwszym transporcie z Warszawy 15 sierpnia 1940 r., zwolniony z obozu w 1942 r. Jako kolaborant niemiecki, rezydent gestapo w Pyrach, przyczynił się m.in. do wywiezienia wielu mieszkańców okolicy na roboty do Niemiec, a także do ujęcia kilku partyzantów AK, których ze swoimi współpracownikami rozstrzelał w pobliskim lesie. Zastrzelony został przez patrol likwidacyjny AK pod dowództwem ppor. Stanisława Milczyńskiego „Gryfa" w okolicy Iwicznej pod Warszawą 3 października 1943 r., gdy powracał z zebrania komórki NSDAP.

100 Nawiązanie do dzieł Henryka Sienkiewicza, który mitologicznej przenośni o Parkach i nici żywota użył w powieściach *Quo vadis* oraz *Ogniem i mieczem*.

101 Zamek Królewski w Warszawie był w okresie międzywojennym urzędową siedzibą prezydenta RP. Odbywało się tam wiele uroczystości i przyjęć oficjalnych, w których uczestniczyli przedstawiciele sfer rządowych i korpusu dyplomatycznego oraz różne wybitne osobistości.

bo właściwie sam się nim czuje i t.p. i żebym przyszedł nazajutrz do stolarni (małej), on już to z „capem" załatwi. Do stolarni chyba napewno będę przyjęty i przypuszcza, że... będę mu wdzięczny w przyszłości...

Rozmowa miała miejsce wieczorem 7-go grudnia.

Nazajutrz – 8-go grudnia po apelu znalazłem się pod dachem w stolarni.

Dotychczas, gdy pracowałem na polu, chodziłem bez czapki i skarpetek. Tutaj, pod dachem, w cieple, o ironio... – dostałem od Westrycha 8-go grudnia skarpetki, a w tydzień potym 15-go grudnia – czapkę.

W stolarni przedstawił mnie „capo'wi" od stolarni, jako dobrego stolarza (bo złego wogóle nie brano), którego trzeba przyjąć jednak na próbę.

„Capo" się przyjrzał mnie i kiwnął głową na znak zgody.

Dzień pracy zszedł mi w zupełnie innych warunkach. Było ciepło, sucho, praca czysta.

Karą tu było nie bicie, lecz sam fakt usunięcia z tych warunków – wyrzucenie ze stolarni i wepchnięcie znowu w koszmar lagru – znęcanie.

Żeby jednak tu pracować trzeba było coś umieć.

Zdolności mnie w życiu żadnych nie brakowało – lecz trudno – na stolarce nie znałem się wcale.

Stanąłem przy warsztacie dobrego stolarza, członka potym naszej organizacji, kaprala 9 (na imię miał Czesiek)[102].

Na nim się wzorując i pod jego kierunkiem „układałem" rękę do ruchów – właściwych prawdziwemu stolarzowi.

„Capo" był w stolarni i znał się na robocie. Należało wszelkie ruchy upodobnić do ruchów fachowych.

Narazie nic trudnego nie robiłem. Heblowałem deski lub piłowałem z Cześkiem, który orzekł, że jak na pierwszy raz, to wcale nieźle.

Nazajutrz „capo" dał mi samodzielną pracę. Tu trzeba już było coś z siebie dać. Na szczęście nie było to nic trudnego, a przy pomocy Cześka udało mi się nieźle.

Tego również dnia „wkręciliśmy" do stolarni Sławka [Szpakowskiego], gdyż akurat „capo" poszukiwał rzeźbiarza, a ja i jeszcze jeden kolega, podaliśmy numer Sławka, jako dobrego rzeźbiarza.

Po paru dniach Czesiek dostał nową robotę od „capa".

Przydzielony do jego warsztatu, pomagałem mu w pracy, podług jego wskazówek. Był ze mnie zupełnie zadowolony.

Lecz cóż, kiedy niezadowolonym był ze sposobu rozwiązania zadania stolarskiego przez Cześka – sam „capo" i obaj z trzaskiem wylecieliśmy ze stolarni, Czesiek – majster i ja – jego pomocnik.

102 Czesław Wąsowski – ur. 18 maja 1912 r. w Czerwonce, kpr. rez. WP, z zawodu stolarz. Do Auschwitz przybył transportem warszawskim z 22 września 1940 r. i został zarejestrowany jako więzień nr 5298.

„...i trzebaż... taki dobry stolarz, a potknął się na «cynkach»...” omawiali nasz ciężki wypadek stolarze[103].

Czesiek na „cynkach” się nie potknął – tylko zrozumiał, że „capo” ich w przedmiocie obstalowanym wcale mieć nie życzy.

Tak, czy inaczej – wypadek nasz był ciężki.

Wyrzucono nas na obóz, za uchybienie w pracy do karnej roboty „w taczkach”, do dyspozycji „lagerältester’a”.

Ciężkim porankiem rozpoczął się dla nas dzień „w taczkach” na lagrze.

„Bruno” [Brodniewicz] i „lager-capo” („capo” od porządku w lagrze) nie mieli dla nas względów.

Był wielki mróz, lecz „laufschritt” nie pozwalał nam odczuwać chłodu.

Z siłami jednak było gorzej. Czesiek już dłuższy czas pracując w stolarni, nabrał sił więcej. Mnie ratowały tylko parę dni odpoczynku w cieple, przez które nieco sił nabrałem.

Lecz nie od dziś siedzieliśmy już w lagrze.

Cześkowi udało się już urwać przed południem – mnie po południu i zadekować się[104] gdzieś, każdy na innym bloku.

Zaczynaliśmy mieć własne chody w lagrze, na co „zugang” bez ryzyka bicia, nie mógłby się puścić.

Dzień jakoś minął, lecz co dalej?

Czesiek nie wrócił do stolarni małej. Spotkałem jego potym gdzieindziej.

Lecz Westrych się zajął widocznie moją osobą na serio...

Zawiadomił mnie przez Freda (kpt. 8), że mam jutro rano, po apelu przyjść do stolarni.

W stolarni nazajutrz wytłomaczył „capo’wi”, że ja wykonywałem tylko to, co Czesiek mnie kazał i że ze mnie jest niezły stolarz i „capo” się zgodził, żebym pracował nadal.

I żebym nie „podpadł” jeszcze raz „capo’wi”, wymyślił mi, Westrych pracę stolarską, po za stolarnią. Tu „capo” patrzył stolarzom na ręce i ruchy, więc zaprowadził mnie na blok 5 (stara numeracja) i powierzył blokowemu Baltosińskiemu[105], mówiąc, że ja mogę mu zrobić dla bloku wycieraczki do nóg z drzewa, skrzynie na węgiel, naprawić ramę okienną i tym podobne prace drobne, gdzie nie potrzeba było być nadzwyczajnym stolarzem.

Pozatym powiedział Baltosińskiemu (dowiedziałem się potym od Jurka 10 [NN]), żeby uważał na mnie i podkarmiał, bo to się może w przyszłości przydać, gdyż jestem nie byle kto. (Widocznie te ilustracje z Zamku jakoś mu dziwnie ciągle chodziły po głowie, upodabniając się do mnie).

---

103 „Cynki” – jedna z żargonowych nazw łączeń czopowych w konstrukcjach stolarskich.

104 Dekowanie – ukrywanie.

105 Józef Baltaziński – ur. 2 (lub 20) listopada (lub października) 1896 r. w Jasieniu k. Brzeska, ziemianin, of. rez. WP, por. pospolitego ruszenia art. ze starsz. z 1 czerwca 1919 r., przywieziony do obozu 14 czerwca 1940 r. (pierwszy transport); otrzymał nr 749, później zwolniony z obozu.

Na bloku 5-ym pracowałem w sali Nr. 2, gospodarzem której był Polkowski Stasiek[106] z Warszawy (fryzjer).

Robiłem natym bloku wymienione już przedtym przedmioty.

Reperowałem, lub robiłem z przynoszonych części ze stolarni starych szafek – szafki nowe dla sztubowych.

Podkarmiano mnie na salach. Baltosiński przysyłał mi miskę zupy „repety"[107] – zacząłem powracać do sił.

Tak pracowałem przez grudzień i początek stycznia 41-go roku, aż do zajścia z „Leo", które opiszę niżej.

Kończył się rok 1940.

Zanim przejdę jednak do roku 1941 w Oświęcimiu, chcę dodać kilka „obrazków lagrowych", które do 40 roku jeszcze należą.

Bestialstwo oprawców niemieckich, które zwyrodnialcze podkreślało instynkty wyrzutków, zbrodniarzy, niegdyś – kilkuletnich więźniów „kacetów" niemieckich, dziś – stanowiących naszą władzę w Oświęcimiu – przejawiało się tu i tam w najrozmaitszych odmianach.

W S.K. zabawiali się oprawcy rozbijając jądra – przeważnie żydom – drewnianym młotem na pieńku.

Na „Industrie-hof'ie II" ss-mann „Perełką" [NN] przezwany – ćwiczył psa swego – wilka w rzucaniu się na ludzi, używając do tego materiału ludzkiego, który nic tu nikogo nie obchodził.

Wilk rzucał się na przebiegających w pracy häftlingów, powalał osłabione ofiary, wgryzał się w ciało, rwał zębami, szarpał narządy płciowe, dusił za gardło.

Pierwszy więzień, który zwiał z Oświęcimia przez pojedyńczy wtedy płot z drutów, nienaładowanych jeszcze prądem elektrycznym – nazywał się jakby na złość władzom lagru – właśnie Wiejowski[108].

Władze się wściekły.

Po ustaleniu na apelu braku jednego więźnia, za karę obóz cały zatrzymano, w postawie zasadniczej stojący na placu, przez 18 godzin[109].

---

106 Stanisław Polkowski – ur. 3 kwietnia 1911 r. w Warszawie, z zawodu fryzjer, kpr. rez. WP. Do obozu przywieziony 23 listopada 1940 r., otrzymał nr 6398. Zmarł na tyfus w KL Auschwitz 6 września 1942 r.

107 Druga porcja.

108 Tadeusz Wiejowski – ur. 4 maja 1914 r. w Kołaczycach k. Jasła, z zawodu szewc, podof. rez. WP. Do Auschwitz przywieziony pierwszym transportem 14 czerwca 1940 r. z więzienia w Tarnowie, oznaczony nr. 220. Zbiegł 6 lipca 1940 r., dołączając do wychodzącego do pracy za bramę obozu pięcioosobowego komanda elektryków – była to pierwsza ucieczka z obozu. Po jego ucieczce Niemcy przeprowadzili morderczy, trwający ponad 19 godzin apel-stójkę pozostałych więźniów. W jego wyniku zmarł wycieńczony chorobą polski Żyd Dawid Wongczewski, który stał się pierwszą śmiertelną ofiarą KL Auschwitz. Wiejowski przez ponad rok ukrywał się w rodzinnych Kołaczycach. Ujęty przez Niemców jesienią 1941 r. i osadzony w jasielskim więzieniu, został rozstrzelany w jednym z nieczynnych szybów naftowych w okolicy Jasła.

109 W rzeczywistości apel trwał ponad 19 godzin.

Ma się rozumieć nikt nie mógł stać na baczność.

Pod koniec „stójki" stan ludzi był opłakany.

Bez jedzenia, bez możliwości wyjścia do ubikacji – szeregi przebiegali ss-manni i „capo'wie", bijąc kijami tych, co stać nie mogli.

Niektórzy mdleli wprost ze zmęczenia.

Na interwencję lekarza – niemca, komendant lagru odpowiedział: – niech zdychają. Jak połowa będzie zdychać – wtedy zwolnię.

Lekarz ten przechodzić zaczął szeregi i namawiał żeby się kładli[110].

Gdy ogromna masa już leżała na ziemi, a „capo'wie" nawet do bicia nie mieli ochoty – ogłoszono wreszcie koniec „stójki".

W następnych miesiącach pracowano nad ogrodzeniem. Zbudowano drugi jeszcze płot z drutów wokół pierwszego w odległości kilku metrów.

Z dwuch stron za płotami z drutów postawiono wysokie płoty z cementu, zabezpieczające obóz od wglądu weń z zewnątrz.

Znacznie już potym naładowano płot z drutów prądem wysokiego napięcia.

Dookoła obozu w rzędzie płotów pomiędzy cementowym a płotem z drutów stały wieżyczki z drzewa zbudowane, panujące nad placem – obozem położeniem i bronią maszynową, przy której żołnierze straż baczną pełnili.

Próbowano więc uciekać nie z obozu, lecz z pracy, do której wychodzono poza druty.

Stopniowo represje za ucieczki złagodniały o tyle, że staliśmy na apelach tak długo, by jednak potym, jeśli to był apel wieczorowy jednak je[szcze] zjeść zimną strawę, przed samym gongiem do spania.

Reguły jednak w tym nie było i czasami przepadała nam kolacja lub obiad.

Nie złagodniały tylko kary za próby ucieczek.

Więzień taki zawsze przypłacał to śmiercią, zabijany odrazu po złapaniu, czy wsadzony do bunkra lub też wieszany publicznie.

Złapanego na nieudanej ucieczce häftlinga ubierano jak na pośmiewisko w czapkę o oślich uszach i inne mu przyczepiając fatałaszki.

Zawieszano mu tablicę na powrozie na szyi z napisem, że „jest osioł... czynił wysiłek ucieczki..." i t.p. przywiązywano w pasie mu bęben i tak po komediancku ubrany, bijąc w bęben odbywał swój ostatni marsz na ziemi wśród kolegów stojących w szeregach na apelu, ku uciesze naigrawających się „piesków" lagru.

Bloki wyrównane na apelu przyjmowały tą makabryczną komedię głuchym milczeniem.

Zanim znaleziono takiego delikwenta – bloki stały na „stójce".

110 Lekarzem obozowym KL Auschwitz (Standortarzt) był podówczas SS-Strumbannführer Max Popiersch – ur. w 1893 r. w Pszczynie (Pleß), dr n. med. W 1940 r. rozpoczął służbę w KL Buchenwald i w czerwcu tegoż roku został przeniesiony do powstającego KL Auschwitz, gdzie służył do końca września 1941 r. Od 1 października 1941 r. przeniesiony do KL Majdanek, gdzie na początku 1942 r. zaraził się tyfusem i zmarł 21 kwietnia 1942 r. w lubelskim szpitalu.

Kilka setek więźniów pod przewodnictwem zgrai „capów" i zgrai psów szło na poszukiwanie zbiega (zbiegów), który się krył przeważnie gdzieś w rejonie pomiędzy małym a wielkim łańcuchem wart, jeśli dotychczas tego wielkiego łańcucha wart przekroczyć nie zdołał.

Posterunki stojące na wieżyczkach wielkiego łańcucha wart zdejmowane były dopiero wtedy, gdy apel wieczorny zgadzał się ze stanem więźniów w obozie na dzień bieżący.

Razu pewnego na wieczorowym apelu w dzień wyjątkowo zimny i dżdżysty, kiedy padał deszcz naprzemian ze śniegiem, rozległa się przeraźliwie syrena – złowieszcza zapowiedź „stójki".

Stwierdzono brak dwuch więźniów.

Zarządzono karną „stójkę" do czasu odnalezienia zbiegów, którzy musieli gdzieś na „industrie-hof II" się ukryć.

„Capów", psy i parę setek więźniów wysłano wtedy na poszukiwania, które trwały długo.

Śnieg, deszcz, zmęczenie pracą, niedostateczne ubranie więźniów, wykańczało w tym dniu dotkliwie nas na stójce.

Wreszcie gongiem ogłoszono znalezienie zbiegów.

Do obozu wróciły już tylko bezwładne ciała tych nieszczęśliwców.

Któryś z drabów wściekły na przedłużenie dnia pracy przebił od tyłu jednego z nich wązką deską nawylot przez nerki i żołądek i tak omdlałego z siną, wykrzywioną twarzą, przyniosło czterech drabów do lagru.

Tak, tam „ucieczka" i nie opłacała się i była aktem wielkiego egoizmu, gdyż stójka na zimnie tysięcy kolegów przyniosła w skutkach ponad setkę trupów.

Zginęli, wprost z zimna, wykończyli swe wszelkie siły do życia. –

Zabrano do szpitala, gdzie przez noc zmarli.

Czasem chociaż nikt nie uciekł z obozu, lecz była wstrętna pogoda trzymano nas na apelu długo – kilka godzin, nie mogąc się niby doliczyć stanu.

Władze szły gdzieś pod dach rzekomo robić zwykły rachunek – nas wykańczał chłód, albo deszcz czy też śnieg – i ten mus stania w miejscu, bez ruchu.

Trzeba się było bronić całym organizmem, naprężać mięśnie i zwalniać, by wytworzyć trochę cieplika i ratować życie.

Na apelach raport od blokowego przyjmował ss-mann – „Blockführer"[111] bloku. Po odebraniu raportów od paru bloków, ss-mann szedł przed pulpit „Rapportführer'a"[112],

111 Ze strony obozowej administracji SS nadzorca więźniów mieszkających na bloku lub bloku ustawionego do apelu. Funkcja sprawowana przez SS-mana – funkcjonariusza obozowego wydziału III najniższego szczebla; z nim najczęściej stykali się więźniowe.

112 Najważniejszy po kierowniku obozu urzędnik obozowego wydziału III, oficer raportowy. Był przełożonym Blockführerów, których nadzorował i kontrolował. Do jego obowiązków należało kontrolowanie stanu liczbowego więźniów na apelach, dbanie o punktualne doprowadzanie więźniów do raportu u kierownika obozu, lekarza obozowego, komendantury lub wydziału politycznego, czyli obozowego

którym był „Obersturmführer”[113] – Palit[z]sch[114].

Palit[z]sch’a, którego sylwetkę opiszę później, bali się sami ss-manni jak ognia. Za byle co karał ss-mannów bunkrem, na skutek meldunku jego – ss-mann szedł na front.

To też był on postrachem wszystkich – gdy Palit[z]sch się zjawiał – zalegała cisza.

Na stanowiska blokowych zaczęli windować się ludzie, których niegdyś za Polaków miałem, lecz którzy tutaj w wielkim procencie zaparli się polskości – byli to Ślązacy.

Mając poprzednio o nich jak najlepsze zdanie – tu się oczom wierzyć nie chciało. Kończyli Polaków, za swoich ich nie uważając – sami się mieli za szczep jakiś niemiecki.

Kiedyś zwróciłem uwagę jednemu vorarbeiterowi – pochodził ze Śląska: po co go bijesz, przecież to jest Polak. A on mi na to odpowiedział wtedy: „ale ja Polakiem nie jest – jam Ślązak jest. Rodzice moi Polakiem mnie zrobić chcieli, ale Ślązak – to niemiec. Polak to w Warszawie mieszkać musi, a nie na Śląsku.” I bił tamtego kijem w dalszym ciągu.

Było dwuch blokowych – Ślązaków: Skrzypek[115] i Bednarek[116], którzy byli bodaj gorsi od najgorszego niemca.

Kończyli kijem tak wielką ilość więźniów, że i „Krwawy Aloiz”, który zresztą trochę już wziął na wstrzymanie, nie mógł tym drabom dorównać.

Codziennie na wieczorowym stojąc apelu, można było widzieć na lewym skrzydle bloków u tych oprawców stojące taczki ze zwłokami więźniów.

Robotą swoją chwalili się ss-mannom, u których raport ze stanu składali.

---

gestapo, meldowanie kierownikowi obozu o dostrzeżonych uchybieniach, egzekwowanie zarządzonych przez komendanta lub kierownika obozu kar i zdawanie sprawy z ich wykonania.

113 Stopień oficerski w SS i SA, w tym wypadku SS-Obersturmführer. Odpowiednik stopnia porucznika w Wehrmachcie. Błąd Pileckiego – Palitzsch nie był oficerem, tylko podoficerem SS (zob. następny przypis).

114 Gerhard Palitzsch – ur. 17 czerwca 1913 r. w Dreźnie (Saksonia), z zawodu rolnik, SS-Hauptscharführer. Od 1933 r. członek NSDAP i SS. Służył kolejno w KL Oranienburg, Lichtenburg i Buchenwald. Od 1936 r. Blockführer w KL Sachsenhausen i tam awansował na stanowisko Rapportführera. W maju 1940 r. jako przełożony grupy 30 niemieckich więźniów kryminalnych, mających objąć funkcje w KL Auschwitz, przybył do Oświęcimia. Jeden z najgorszych oprawców w Auschwitz, uczestniczył m.in. w pierwszych akcjach gazowania więźniów, osobiście wykonywał egzekucje pod Ścianą Śmierci. Liczbę jego ofiar oblicza się w tysiącach. Od 1942 r. Rapportführer w Auschwitz II-Birkenau, później Schutzhaftlagerführer obozu cygańskiego tamże. Wielokrotnie dopuszczał się gwałtów na więźniarkach. Za kontakty seksualne ze słowacką Żydówką aresztowany przez SS w 1943 r., a następnie przeniesiony do podobozu Brünn, gdzie znów był Lagerführerem. Ponownie aresztowany i zdegradowany do stopnia szeregowego, wcielony do 4 Policyjnej Dywizji Grenadierów Pancernych SS, zginął 7 grudnia 1944 r. w walkach frontowych z armią sowiecką na Węgrzech.

115 Alfred Skrzypek – ur. 3 października 1910 r., pochodził ze Śląska. Do Auschwitz przywieziony 25 czerwca 1940 r. i zarejestrowany jako więzień nr 1122. Zwolniony z obozu 19 marca 1942 r.

116 Emil Bednarek – ur. 20 lipca 1907 r. w Królewskiej Hucie (dzisiaj Chorzów). W 1939 r. powołany do WP, zdezerterował i zbiegł do Niemiec. W Auschwitz osadzony 6 lipca 1940 r., nr obozowy 1325, szybko został kapo. W czasie ewakuacji KL Auschwitz w 1945 r. wraz z grupą Polaków trafił do KL Mauthausen-Gusen i tam został wyzwolony przez armię amerykańską. Powrócił do Chorzowa i podjął pracę w restauracji na stacji kolejowej. Aresztowany, sądzony w drugim procesie oświęcimskim w 1965 r. przez Sąd Przysięgłych we Frankfurcie nad Menem, skazany na dożywocie. Zwolniony przedterminowo z więzienia w 1975 r. po zastosowaniu prawa łaski. Zmarł 27 lutego 2001 r.

Uogólniać jednak tego nie można, bo jak wszędzie, tak i tutaj w tej regule były wyjątki.

Wyjątkiem był Ślązak, co był dobrym Polakiem, lecz gdy już się zdarzył taki – mogłeś mu swoje życie spokojnie zawierzyć – wierny to był twój przyjaciel.

Był taki Ślązak – blokowy Alfred Włodarczyk[117] i Smyczek[118], byli Ślązacy i w naszych piątkach, o czym napiszę już potym.

„Krwawy Aloiz", o którym wspomniałem przestał już być blokowym.

Blok 17-a (stara numeracja) użyto na skład worków z ubraniami więźniów.

Transporty więźniów wciąż napływały, zwiększając numer bieżący – ewidencyjny – stan lagru natomiast nie zwiększał się wcale.

Był odpływ przez komin krematorium.

„Efekta"[119] jednak – worki z naszym dobytkiem na ziemi, niegdyś używanym – były skrupulatnie przechowywane.

Zajęły już całe wolne miejsce na bloku 18. Rozszerzono więc „lokal" zajęto pod magazyn „Effektenkammer'u"[120] piętro na 17-ym (blok 17-a), – a więźniów wszystkich przeniesiono na różne bloki.

Od 26 października mieszkałem na bloku 3-a (na piętrze 3-go bloku).

Na bloku 3-a blokowym był Koprowiak[121], ktoś o nim – o jego przeszłości w jakimś więzieniu – mówił mi bardzo dobrze.

Tu widziałem, że czasem bił – może nawalały mu już nerwy.

Przeważnie jednak bił wtedy, gdy patrzał jakiś niemiec. –

Może chciał zadekować – życie, może – stanowisko. Na stanowisku blokowego dla więźniów – Polaków był jednym z lepszych blokowych.

Na bloku 3-a mieszkałem na sali I-ej, której „sztubowym" był Drozd[122]. Typ dodatni – podchodził do kolegów na sali serdecznie – bez bicia. Blokowy pozostawiał pod tym względem wolną rękę.

Stąd razu pewnego, z piętra tego bloku, przez okno widziałem obrazek, który mi utkwił na długo w pamięci.

---

117 Alfred Włodarczyk – ur. 12 kwietnia 1920 (według innych danych 1912) r. w Chorzowie, do Auschwitz przywieziony 18 lipca 1940 r., otrzymał nr 1349. Blokowy bloku 25. Członek ZOW w obozie. W 1944 r. przeniesiony do KL Buchenwald, gdzie otrzymał nr 30419 i prawdopodobnie zginął.

118 Wilhelm Smyczek – do Auschwitz przywieziony 13 grudnia 1940 r. z KL Dachau, jako Reichsdeutsch, osadzony w obozie za działalność patriotyczną na Górnym Śląsku.

119 Majątek własny więźniów.

120 Effektenkammer – magazyn dobytku więźniów.

121 Stanisław Koprowiak – ur. 16 stycznia 1900 r. w Gostyninie. Do KL Auschwitz przybył 14 czerwca 1940 r. w pierwszym transporcie z Krakowa. Zarejestrowany jako ślusarz i maszynista kolejowy, otrzymał nr obozowy 714. Jako blokowy starał się być nieszkodliwy dla więźniów. W 1944 r. przeniesiony do KL Mauthausen.

122 Franciszek Drozd – ur. 6 października 1902 r. w Dolnej Lutyni (Czechy). Do Auschwitz przywieziony 26 czerwca 1940 r., otrzymał nr 1234, zwolniony z obozu 19 marca 1942 r.

W dzień pracy zostałem w obozie. Chodziłem do ambulansu, wezwany stamtąd kartką.

Po powrocie zostałem na bloku.

Padał deszczyk, dzień ponury.

Na placu pracowała S.K. wożąc żwir, narzucany łopatami z dołu. Prócz tego marznąc stało jakieś komando „ćwiczące" gimnastykę.

Koło dołu trzech ss-mannów, nie mogąc odejść od komand w obawie przed Palit[z]-sch'em, lub komendantem, który kręcił się tego dnia po obozie, wymyślili sobie rozrywkę. Umawiali się o coś ze sobą, każdy kładł banknot na cegle.

Potym zakopywali jednego więźnia głową do piasku, zasypując jego górną połowę w dole i patrząc na zegarki liczyli ile minut ruszać będzie nogami.

Nowoczesny totalizator – pomyślałem sobie.

Ten kto był widocznie najbliżej prawdy w określeniu ile minut człowiek zasypany, rusza nogami, zanim skona – ten zgarniał pieniądze.

Tak dobiegał końca rok 1940. –

Zanim jeszcze dostałem się do stolarni i do wszystkich korzyści z niej płynących, a więc i dodatkowego jedzenia na bloku 5-ym, głód skręcający wnętrzności wzmógł się tak bardzo, że zaczął człowiek pożerać oczami otrzymywany wieczorem chleb tych, co na „dobrych" już będąc „posadach" mogli oszczędzić część takowego na ranek, i staczał z sobą walkę najcięższą zdaje się w całym życiu. –

Cały był to problem, jak tu zrobić, by i teraz zjeść i na ranek coś zostawić...

Ale cóż będę pisał o głodzie ludziom sytym... lub tym, co otrzymując paczki z domu, czy z Czerwonego Krzyża, żyjąc bez przymusu pracy – narzekali potym, że bardzo byli głodni.

Ach!... nasilenie głodu przechodzi całą skalę stopniowania.

Czasami, zdawało by się, że zdolny był człowiek wykroić kawał ciała z leżącego pod szpitalem trupa.

Wtedy też przed samym Bożym Narodzeniem rozpoczęcie wydawania nam rano, zamiast „herbaty" – kaszy jęczmiennej, było wielkim dobrodziejstwem i nie wiem komu to zawdzięczaliśmy. (Tak było do wiosny.)

Na Święta postawiono nam w obozie parę choinek pięknie iluminowanych.

„Capo'wie" wieczorem na dwuch stołkach pod choinką położyli dwuch häftlingów i wleli im, w część ciała, którą kiedyś na wolności miękką nazywano – po 25 kijów. –

Miał to być żart w duchu niemieckim. –

Kary w Oświęcimiu stopniowano w ten sposób:

Najlżejszą karą było bicie na stołku. Odbywało się to publicznie, wobec stojących na apelu wszystkich bloków.

Przygotowany był „mebel egzekucyjny" – stołek z uchwytem na nogi i ręce, po obu stronach.

Stawało dwuch drabów ss-mannów (często bił sam Seidler), lub czasami „Lagerältester" Bruno i bito w obnażoną część ciała, by nie niszczyć ubrania.

Bito bykowcami lub poprostu ciężką laską.

Po kilkunastu uderzeniach przeżynano ciało. Tryskała krew i dalsze razy uderzały już tak jak w siekany kotlet.

Byłem świadkiem tego nieraz.

Czasami otrzymywali 50 kijów, czasami 75.

Pewnego razu, przy wymiarze kary 100 kijów, około 90-go uderzenia häftling – jakiś mizerak – zakończył życie.

Jeśli delikwent żył, to musiał wstać, zrobić kilka przysiadów, dla uregulowania obiegu krwi i stojąc na baczność, podziękować za słuszny wy[miar].

Drugą karą był – bunkier.

Bunkier był dwuch rodzai. Bunkier zwykły – były to cele w piwnicach bloku 13 (stara numeracja), gdzie siedzieli więźniowie przeważnie przed przesłuchaniem, do dyspozycji politycznego oddziału[123], lub za karę „capo'wie" czy ss-manni.

Cele bunkrów zwykłych zajmowały 3 części piwnicy 13 bloku, w pozostałej części czwartej piwnicy mieściła się cela podobna do tamtych, lecz pozbawiona światła – „ciemnicą" zwana.

W jednym końcu bloku, korytarz w piwnicy zawracał pod prostym kątem w prawo i zaraz się kończył.

W tej odnodze korytarza mieściły się małe bunkry, zupełnie innego rodzaju. Były tu trzy tak zwane „stehebunkry"[124].

Za otworem czworokątnym w ścianie, przez który zgarbionemu tylko wejść można było, mieściła się niby-szafa, o przecięciu poziomym kwadratu 80 cm. na 80 cm. Wysokości – 2 metry, tak że stać tam wyprostowanym można było swobodnie.

Do takiej „szafy" jednak wciskano, pomagając kijem czterech więźniów skazanych na karę „stehebunkra" i zamykając sztabami pozostawiano do rana (od godziny 7-ej wieczór do 6-ej rano).

123 Wydział polityczny (Politische Abteilung), w żargonie policyjnym III Rzeszy nazywany Lagergestapo, czyli tajną policją obozową. W hierarchii obozowej zajmował drugie miejsce, po komendanturze, a przed kierownictwem obozu (wydział III). Funkcjonariusze wydziału politycznego byli pracownikami gestapo (Tajna Policja Państwowa) lub kripo (Policja Kryminalna), oddelegowanymi na te stanowiska z niemieckiej placówki Policji Państwowej w Katowicach. Szef wydziału politycznego był podporządkowany komendantowi obozu i RSHA i realizował zadania zlecone mu zarówno przez komendanta obozu, jak i przez aparat RSHA. W okresie pobytu Pileckiego w KL Auschwitz funkcję szefa wydziału politycznego pełnił SS-Untersturmführer Maximilian Grabner (zob. przyp. 143), a jego następcą od listopada 1943 r. był SS-Untersturmführer Hans Schurz. Spośród komórek organizacyjnych wydziału politycznego największą grozę wśród więźniów budził referat przesłuchań i dochodzeń (Vernehmungsabteilung). Najokrutniejszymi oprawcami byli w nim SS-Oberscharführer Wilhelm Boger i SS-Unterscharführer Gerhard Lachmann (zob. przyp. 358). Wydział polityczny posiadał szerokie kompetencje w zakresie przyjęć i zwolnień więźniów, prowadzenia ich dokumentacji personalnej i identyfikacyjnej, administracji krematoriów, inwigilacji więźniów (a także esesmanów z załogi), zwalczania więźniarskiej konspiracji i wszelkich przejawów oporu; nadzorował również akcję masowej zagłady Żydów. Kierownik obozu i szef wydziału politycznego decydowali o umieszczeniu więźniów w areszcie obozowym w bloku 11 oraz o rozstrzelaniach pod Ścianą Śmierci.

124 Stehbunker – bunkier, w którym było tak ciasno, że uwięziony mógł przebywać wyłącznie w pozycji stojącej.

Zdawało by się niemożliwe, lecz są świadkowie tego i żyją dziś jeszcze, którzy odbywali karę „stehebunkra" w towarzystwie kolegów, wciśnięci do takiej jednej „szafy" w ilości ośmiu ludzi.

Rano wypuszczano i brano do pracy, a na noc znowu uciskano jak śledzi, sztabami żelaznymi zamykając do rana.

Wymiar kary zazwyczaj sięgał 5-ciu nocy, lecz bywał również i znacznie większy.

Kto nie miał jakichś stosunków z „władzą" w pracy – tego po jednej lub paru nocach w ciągu dnia w robocie, z braku sił do pracy zazwyczaj wykańczano.

Kto mógł za wiedzą „Capa" odpocząć w dzień w komandzie, ten jakoś tę karę szczęśliwie przetrzymywał.

Trzecią karą był to zwyczajny „słupek"[125] z austryjackich zapożyczony metod karnych.

Z tym, że wiszących za ręce uwiązane z tyłu, od czasu do czasu bujał ss-mann dozorujący, dla zabawy. Wtedy stawy trzeszczały, w ciało wżynały się sznury.

Dobrze było gdy nie zjawiał się tu „Perełka" [NN] ze swym wilkiem.

W ten sposób prowadzono czasami dochodzenia, pojąc wiszącego sokiem z sałatki – marynaty, krótko mówiąc – octem, by nie zemdlał przedwcześnie.

No i czwartą, najwyższą karą było – rozstrzelanie – śmierć szybko zadana, o ileż więcej humanitarna – jak bardzo przez męczonych długo – naprawdę pożądana.

„Rozstrzelanie" – nie jest to określenie właściwe, właściwym by było słowo: zastrzelenie lub nawet – zabicie.

Odbywało się to również na bloku 13 (stara numeracja).

Był tam dziedziniec, ograniczony blokami (pomiędzy 12-ym i 13-ym). Od wschodu zamknięty murem – ścianą łączącą bloki, a „ścianą płaczu"[126] nazywaną. Od zachodu też mur, w którym była brama, przeważnie zawarta – zasłaniająca od wglądu. Otwierająca swe podwoje przed ofiarą żywą lub dla wyrzucenia okrwawionych trupów.

Przechodząc tamtędy bardzo często się czuło zapach jaki się czuje wewnątrz rzeźni.

Rynsztoczkiem struga czerwona płynęła.

Bielono rynsztoczek, lecz codziennie prawie wśród białych brzegów czerwona rzeczka na nowo się wiła...

Ach! gdyby nie była to krew... nie krew ludzka... nie krew polska... i to ta najlepsza... wtedy... kto wie... możnaby było nawet w samym zestawieniu barw się lubować...

Tyle na zewnątrz.

---

125 Kara wykonywana zwykle na strychu bloku 11 lub na dziedzińcu przy tym bloku. Skazanemu wiązano do tyłu ręce i wieszano za nie na haku tak, aby nie dotykał stopami ziemi. Stosowano ją przez kilka godzin, dzieląc na godzinne odcinki. Więzień z powodu przenikliwego bólu wyłamywanych rąk tracił przytomność. Następstwem było przeważnie zerwanie ścięgien ramion, które powodowało, że więźniowie nie mogli ruszać rękami i jako niezdolni do pracy byli narażeni na śmierć w komorze gazowej.

126 Miejsce egzekucji w KL Auschwitz, nazywane częściej Ścianą Śmierci. Egzekucje przez rozstrzelanie wykonywano pod murem zamykającym dziedziniec pomiędzy blokami 10 i 11 (według nowej numeracji). Dziedziniec był obłożony płytami ze sprasowanych paździerzy; przyjmowały one niecelne strzały oraz pociski, które przebijały na wylot ciała mordowanych; chroniły też ścianę przed pryskającą krwią.

Wewnątrz natomiast działy się rzeczy zbyt ciężkie i straszne.

Tam kat Palit[z]sch – przystojny chłopak, który na lagrze nikogo nie bił – to nie było, w jego stylu – tam wewnątrz zamkniętego dziedzińca, autorem był głównym scen makabrycznych.

Skazani – rzędem, rozebrani, nago stawali kolejno przy „ścianie płaczu", on im przykładał karabinek małokalibrowy, pod czaszkę głowy z tyłu i – kończył im życie.

Czasami do tegoż celu używał zwyczajnego bolca, do zabijania bydła.

Sprężynowy bolec wrzynał się w mózg, pod czaszkę i – życie koń[*czył, oszczędzając kuli* – dopisek na odwrocie s. 21 maszynopisu; niekoniecznie autorstwa Pileckiego].

Czasami grupkę cywili wprowadzano, którą dręczono w podziemiach zeznaniami, potym Palit[z]sch'owi oddając na zabawkę. –

Dziewczętom kazał się Palit[z]sch rozbierać i biegać w koło po zamkniętym dziedzińcu.

Sam stojąc w środku wybierał długo, potym mierzył, strzelał, zabijał – kolejno wszystkie.

Żadna nie wiedziała, która zginie teraz, a która jeszcze parę chwil pożyje, czy może znowu wezmą na badania...

On – zaprawiał się w celnym mierzeniu.

Sceny te widziane z 12-go bloku przez kilku „sztubowych", stojących na straży, by w tym momencie żaden z häftlingów nie podchodził do okien.

Okna zabezpieczone były „koszami", lecz nie dość szczelnie – więc widziano dokładnie.

Innym razem widziano z 12-go bloku przywiezioną jakąś rodzinę, stojącą na dziedzińcu, przed „ścianą płaczu".

Palit[z]sch strzelił najprzód w ojca rodziny i zabił go na oczach żony i dwojga dzieci.

Potym zabił dziewczynkę małą, trzymającą się kurczowo ręki bladej matki.

Potym wyrwał dziecko małe, które nieszczęśliwa kobieta tuliła mocno do piersi. Chwycił za nogi – rozbił główkę o ścianę.

Wreszcie zabił matkę, wpółprzytomną z bólu.

Jest to scena powtórzona mnie przez kilku kolegów – świadków, tak dokładnie i tak jednobrzmiąco, że nie mogę mieć żadnej wątpliwości, że tak właśnie było.

Na Boże Narodzenie 40 roku więźniowie po raz pierwszy otrzymali paczki od rodzin.

O nie! nie żywnościowe!

Żywnościowych nie wolno było wysyłać do nas, żeby nam nie było za dobrze.

Otrzymano paczkę pierwszą w Oświęcimiu – paczkę odzieżową. Zawierającą rzeczy z góry określone: sweter, szalik, rękawice, nauszniki, skarpetki.

Więcej nic przysyłać nie można było. W czyjej paczce była bielizna – szła do worka w „Effektenkammer" pod Nr. więźnia i tam leżała.

Tak było wtedy.

Potym zdołaliśmy wleść wszędzie przez zorganizowanych kolegów.

Paczka była jedna-jedyna w roku, na Boże Narodzenie, nie zawierała jedzenia – a jednak była i potrzebna, ze względu na ciepłe rzeczy i miła bo – z domu.

W święta Westrych z „capem" stolarni wykombinowali dla stolarzy dodatkowe kotły z doskonałym gularzem z SS-kuchni[127] i w stolarni odbywała się libacja, kolejno zjawiających się tam stolarzy.

Kotły takie przychodziły kilka razy i potym, przywożone pod wielkim sekretem przez ss-mannów, którzy otrzymywali zbierane przez Westrycha od nas pieniądze.

Rok 1941 zaczął się dla mnie dalszą pracą stolarską na bloku 5-ym, gdzie stale wymyślałem jakąś robotę.

Blokowy wcale nie wtrącał się do mojej pracy.

Spotkałem tu kolegę, Gierycha[128], syna znajomych moich, z mieszkania których korzystałem w Orle w roku 1916/17[129], do celów konspiracyjnych.

Na blok 5-ty codziennie prawie przychodził „lagerältester" „Leo" [Leon Wieczorek] (Nr. więźnia – 30).

Przy wejściu na salę tak ss-manna jak również i „lagerältestera" obowiązywało krzyknięcie „Achtung!"[130] i złożenie raportu.

Robiłem to bez zarzutu, dodając na końcu meldunku: „...ein Tischler bei der Arbeit"[131].

„Leo"-wi [Leon Wieczorek] to odpowiadało. Nie interesował się wcale co tu robię tak długo i jak paw wychodził, z sali.

Blok 5-ty był „blokiem młodocianych", mieszkali tu chłopcy od lat 15 do 18-u, których III Rzesza miała nadzieję jeszcze przekabacić.

Mieli tu rodzaj jakichś kursów.

„Leo" przychodził tu codzień, bo lubił młodzież, lecz lubił chłopców... zanadto... Był zboczeńcem.

Wybierał tu ofiary swego zwyrodnienia. Karmił, odżywiał, zmuszał do uległości dobrobytem i strasząc S.K., a gdy miał chłopca dosyć – żeby nie mieć niewygodnego świadka zakazanego w lagrze postępowania, wieszał swą ofiarę, przeważnie w nocy w ustępie.

Około 15-go stycznia stałem przy oknie, gdy wszedł „Leo" na salę.

Nie zauważyłem go i nie krzyknąłem: „Achtung" gdyż uwagę moją pochłonął widok przez szybę „zugangu". Jednocześnie zauważyłem pułkownika 11 [Tadeusz Reklewski] za oknem.

127 Kuchnia niemieckiej załogi obozu.

128 Bolesław Gierych – ur. 1910, inż. architekt. Od 1930 r. studiował w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, a następnie na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. W okresie okupacji więzień Pawiaka, a następnie KL Auschwitz – nr obozowy 6555. Od 1945 r. pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej, projektował odbudowę wielu obiektów zniszczonych podczas II wojny światowej. Zmarł w Warszawie 6 lutego 1982 r.

129 Orzeł – miasto położone w zachodniej części Rosji nad rzeką Oką (dopływ Wołgi). Miejsce licznych zesłań Polaków w XIX i na początku XX w. Tam w latach I wojny światowej Pilecki założył drużynę skautową i z kolegami dokonał włamania do magazynu wojskowego w celu zdobycia broni.

130 Baczność!

131 Jeden stolarz przy pracy.

Leo był wyraźnie ze mnie niezadowolony. Podszedł do mnie i powiedział: „Za długo już tu siedzisz na bloku. Żebyś mnie jutro tu nie, przychodził."

Powiedziałem o tym Westrychowi, kazał mi jednak iść nazajutrz tamże.

Więc dnia następnego poszedłem znowu na bok 5-ty.

Wkrótce za mną przyszedł Leo, zobaczył mnie i wpadł w wściekłość. „Dein[e] Nummer?" krzyknął i dziwne tylko, że mnie nie uderzył. „Rrrraus! mit dem alles!"[132] – wskazał na narzędzia.

Wynosiłem się dość szybko, a on notował mój numer, krzycząc za mną w ślad, że będę ze stolarni dziś jeszcze wyrzucony.

W stolarni opowiedziałem zajście Westrychowi.

Wkrótce za mną wpadł Leo.

Szczęśliwym trafem „capa" w stolarni nie było. Zastępował go Westrych, który pozwolił Leo'wi wykrzyczeć się dowoli, a potym wyjaśnił, że stolarz ten meldował mu o wszystkiem co zaszło, jeszcze wczoraj, lecz on mu kazał dziś pójść na blok 5-ty, by zabrać stamtąd wszystkie narzędzia. I Leo się uspokoił.

Zostałem nadal stolarzem, pracując na wszelki wypadek w drugim pokoju, zajmowanym przez stolarnię, na tymże bloku 9-ym.

Po paru dniach Westrych kazał mnie zabrać narzędzia i iść za nim gdzieś na obóz.

Zaprowadził mnie na blok 15-ty (stara numeracja).

Był to szpital – „Krankenbau'em" z niemiecka nazywany.

Blokowy szpitala, naogół trochę zwariowany niemiec, chciał jednak mieć na bloku porządek.

Westrych mu poradził już dnia poprzedniego, żeby obramować sienniki listwami.

Łóżek tu nie było.

Pokotem na podłodze leżeli chorzy, w straszliwych warunkach.

Sienniki rzucone na podłogę, w ten sposób, że głowami chorzy leżeli do ściany, wyrównane nie zawsze, obraz jeszcze pogarszały. Zdecydowano więc dać listwy, przy końcach sienników, ułożonych pod ścianami w dwa rzędy, wzdłuż sali.

Listwy te biegnąc równo przez długość sali, tworzyły by w środku podłogi obramowane równo przejście.

Blokowy mi się przyjrzał i zapytał czy potrafię robotę dobrze wykonać? Za złą robotę kij mnie czeka na stołku – za dobrą – repeta codzienna.

Zacząłem więc tu pracę i salę po sali zaopatrywałem sienniki w obramowania z listew, przybijanych do podłogi, za pomocą winkli[133].

Dano mi do pomocy – (przez Westrycha był przysłany) – jakiegoś inżyniera z Warszawy.

Jedliśmy repetę codziennie obaj.

132 Twój numer? Wynoś się z tym wszystkim!

133 Okucia stolarskie o przekroju trójkątnym.

Jedzenia na bloku pod dostatkiem było.

Fasowano na wszystkich, a chorzy niektórzy do ust już nic wziąć nie chcieli.

Inżynier z Warszawy zaraził się tu grypą. Przyjęty do szpitala na tym samym bloku, w warunkach, jakie były wtedy w „Krankenbau", we wszach straszliwych, wkrótce skończył życie.

Robotę z listwami kończyłem już sam jeden.

Wkrótce przyszła i na mnie kolejka. Zaraziłem się jakąś grypą lub przemarzłem na apelu.

Zima była dość ostra. Mieliśmy już coprawda wydane jeszcze przed Bożym Narodzeniem płaszcze – lecz z „ersatz'u"[134], bez podszewki – bardzo mało chroniły od mrozu.

Walczyłem z chorobą przez dni kilka.

Miałem gorączkę która w parę dni dochodziła wieczorami do 39°. Tak, że zostałbym do szpitala przyjęty nawet bez żadnej protekcji. Lecz cóż – kiedy pójść do szpitala nie chciałem.

Dwa były tego powody – wszy straszliwe w szpitalu i koniec z pracą w stolarni.

Broniłem się więc jak mogłem – lecz choroba uczepiła się już mocno i rezygnować ze mnie nie chciała. –

Najgorsze było stanie na apelach z rozpaloną głową, przeszywany wiatrem.

Nie wiem jakby się te zapasy skończyły.

Zadecydowała o tym rzecz zupełnie inna.

Na bloku, na sali I-ej mieliśmy nadal możliwe stosunki. Po „sztubowym" [Franciszku] Droździe, przyszedł inny – Antek Potocki[135].

Niektórzy z nas pełnili różne funkcje sprzątających.

Do mnie należały: okna, drzwi i lampy.

Wszystko by było na bloku możliwe, gdyby nie to, że byliśmy już wszyscy „nieco" zawszeni.

Co wieczór w koszulach polowano zawzięcie.

Ja zabijałem codziennie wieczorem około setki – rozumiejąc, że przez noc nie nalezie więcej, lecz nazajutrz znowu nowa była setka.

Wtedy trudno było upolować więcej, bo gaszono światło o nakazanej porze. We dnie – w ciągu pracy zająć się tym nie można było.

W nocy nałaziło z koca do koszuli. Gdyby nawet z koca wyzbierać, to też by nie pomogło, koce we dnie wszystkie razem układano – codziennie więc inny koc można było dostać. Z innych koców, przy ciepłym piecu, chętnie te stworzonka do czystego koca przewędrowywały.

Wreszcie zarządzono odwszenie.

134 Namiastka, substytut.

135 Antoni Potocki – ur. 1 czerwca 1906 r. w Iwaniskach. Przywieziony do Auschwitz tym samym transportem co Pilecki 22 września 1940 r., otrzymał nr 5238. Wojnę przeżył.

Nastąpiło to jednak dla mnie bardzo nie w porę.

Miałem większą gorączkę.

Wieczorem kazano nam się rozebrać. Ubranie nanizane na drut oddaliśmy do odparowania.

Potym nago pod prysznic na blok 18-ty (stara numeracja) i nago na blok 17-ty (stara numeracja). Tam całą noc siedzieliśmy nago po kilka setek na sali i było straszliwie duszno.

Rano rozdano ubrania i na wiatr i mróz przez plac do bloku 3-a.

Płaszcz swój oddałem choremu wtedy również Antkowi Potockiemu. –

Ta noc mnie wykończyła.

Prawie nieprzytomny poszedłem do szpitala. Po popryskaniu na mnie znowu wodą w „Waschraum'ie" – położono mnie na blok 15-ty (stara numeracja), na salę 7-mą (tam gdzie przybijałem listwy do podłogi), w straszliwe wszy.

Tych parę nocy w ciągłej walce z wszami były, zdaje mi się, najcięższe w lagrze.

Nie chciałem się poddać – wszom dać się zjadać.

Lecz jak tu się bronić?

Gdy się spojrzało na koc pod światło – cała powierzchnia była bez przerwy ruchliwa.

Były rozmaite – i małe i większe, pękate, podłużne, białe i szare, od krwi czerwone, i w prążki i w paski... pełzały wolno – i po grzbietach innych – szybko się ślizgały.

Wstręt mnie ogarniał i postanowienie silne, nie dać się zjadać tej obrzydliwej masie.

Zawiązałem mocno kalesony koło kostek i w pasie, koszulę zapiąłem pod szyją i rękawy.

O zabijaniu pojedyńczo – mowy być nie mogło – gniotłem całą garścią, robiąc szybkie ruchy, zbierając rękami z szyi i z nóg przy stopach. –

Osłabiony gorączką i ruchami bez przerwy, organizm gwałtownie snu się domagał.

Głowa opadała, lecz znowu się dźwigałem.

Nie mogłem sobie na sen pozwolić w żadnym razie.

Zasnąć – to przestać walczyć – to się na żer oddać.

Po godzinie miałem ciemne plamy na dłoniach od duszenia plugawstwa – od ich ciał posoki.

Wybicie wszystkich było beznadziejne.

Leżeliśmy ciasno, ciała obwinięte kocami, oparte plecami lub bokiem o siebie.

Nie wszyscy się bronili. Niektórzy nieprzytomni, niektórzy już rzęzili, inni nie mogli już – walczyć...

Obok mnie leżał nieprzytomny starszy więzień (jakiś góral). – Twarz, której nigdy zapomnieć nie zdołam, była odległa o kilkadziesiąt centymetrów od mojej głowy – cała twarz pokryta skorupą nieruchomą wżartych w skórę na twarzy wszy różnych kalibrów.

Z lewej strony leżał więzień, co już skonał (Narkun)[136]. – Naciągnięto na głowę jego koc – czekano, aż przyjdą z noszami.

136 Bliższych danych nie udało się ustalić; w ewidencji więźniów Auschwitz osoba o takim nazwisku nie figuruje.

Wszy tymczasem ruszać się zaczęły żywiej na kocu jego, pełznąc w moim kierunku.

Chcąc wytłuc wszy we własnym kocu, trzeba by było chyba na równej podłodze uderzać w koc obuchem – kamieniem raz przy razie. –

Lecz chcąc się zabezpieczyć od lewa i prawa, było to prawie tak niemożliwe, jak strumyk jakiś zatrzymać w biegu – ani ten ruch przerwać ani zniszczyć całkiem.

Przyznam się tutaj, że wtedy po raz pierwszy wydało mi się, że siły mam zbyt małe, by walkę toczyć, by chcieć wogóle – walczyć.

Stan taki psychiki mojej był niebezpieczny. Zwątpić w chęć walki – znaczy się załamać.

Gdy to spostrzegłem – już było lepiej.

Dusiłem dalej wszy na szyi i nogach.

Na miejsce trupa położono nowego chorego. Chłopca lat może 18-tu, nazywał się Salwa, na imię miał Edek[137].

On, gdy zasypiałem, bronił mnie, zgarniając czasami nożem, a czasami – łyżką, od strumyka wędrowników dążących od prawej.

Sam walczył u siebie, na własnym kocu – był więc sąsiadem, który od lewej strony zabezpieczał mnie, dając przez to już więcej spokoju.

Pozatym kupował mi chleb od chorych co jeść już nie mogli. –

Ja – wszystko zjadałem.

Dziwną mam naturę, sam nieraz to stwierdziłem.

W gorączce inni nie jedzą, ja właśnie jem za kilku.

Wogóle, ten kto by czytając, ramionami wzruszał, proszony jest by mnie poznał bliżej osobiście – wtedy się może zorientuje, że u mnie całe życie wszystko jest naopak. –

Na sali tej było paru zacnych ludzi, co tu chorym życia resztkę ułatwiali.

Był Hrebenda Janek[138] i Burski Tadeusz, obaj zacni, dobrzy, pracowali przy chorych. Wiele zrobić nie mogli, lecz co było w ich mocy, to chorzy tu mieli.

Warunków jednak zmienić – jasne, że nie mogli.

Latem kiedyś okien nie pozwalano otwierać, żeby się chorzy nie zaziębili – dusili się wszyscy w gorączce i smrodzie.

Teraz, gdy był mróz wielki – to wszystkie okna dwa razy dziennie otwierano szeroko – wietrzono długo i mroźne powietrze dołem po podłodze ciągnące od okien, dreszczem chłodu wstrząsało skulone postacie leżące pod cienkim marnym kocykiem...

Ja walczyłem z wszami więcej niż z chorobą, przez trzy dni i dwie noce.

137 Edward Salwa – ur. 15 września 1920 r. w Warszawie, zarejestrowany jako uczeń. Przywieziony do Auschwitz tym samym transportem co Pilecki 22 września 1940 r., otrzymał nr 5256. 20 stycznia 1944 r. przeniesiony do KL Buchenwald. Pilecki zapamiętał Salwę jako człowieka młodszego niż w rzeczywistości.

138 Jan Antoni Władysław Hrebenda – ur. 10 czerwca 1896 r. w Krakowie, absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr praw, sędzia grodzki w Apelacji Krakowskiej, of. rez. WP, por. taborów ze starsz. z 1 czerwca 1919 r. Do Auschwitz przywieziony 30 sierpnia 1940 r. transportem z Krakowa, oznaczony nr. 3665. Członek ZOW. Zmarł w KL Auschwitz 7 sierpnia 1941 r.

I dnia trzeciego, nie mając już sił wiele, odkryć swoją słabość zdecydowałem się przed Władkiem.

Przez nowego przyjaciela – Tadka Burskiego – napisałem kartkę do dr. 2 [Władysław Dering].

Każda kartka w lagrze była podejrzana. Mogli ją uważać za chęć porozumienia się dwuch więźniów działających na szkodę III-rzeszy.

Napisałem: Jeśli mnie natychmiast stąd nie zabierzesz – to stracę resztę sił na walce z wszami. – W obecnym stanie zbliżam się w przyspieszonym tempie do komina krematorium. – I podałem swoje m.p.

Po paru godzinach zjawił się dr. 2. [Władysław Dering] w asyście dr. 12 [Edward Nowak][139].

Obaj oficjalnie nazywali się tylko „Pflegerami" (pielęgniarzami).

Polak – oficjalnie lekarzem tu być nie mógł.

Dr. 2 jednak tak opanował tu sytuację, że miał już jakiś wpływ na bieg wypadków w szpitalu.

Dr. 2. obchodził salę (nie był to jego dział).

Udał, że mnie nie zna.

Zwrócił się do dr. 12 ze słowami: „a co tamtemu jest – zbadajcie go kolego."

Okazało się, że mam zapalenie płuc lewego boku.

Dr. 2 orzekł, że trzeba go wziąść na pewne doświadczenie i zastosować jeden z nowych zastrzyków.

Przemaszerowałem na blok 20 (stara numeracja).

Na piętrze w jednej z sal położono mnie na łóżku.

Byłem jak nowonarodzony. Tutaj wcale wszów nie było. To znaczy, że jak znalazłem około 40–50 weszek w bieliźnie nowootrzymanej i w kocu, to się wcale nie liczyło. Zabiłem je i koniec.

Nowe po nóżkach od łóżek sąsiadów przecież nie wlezą. Tego jeszcze się nie nauczyły.

Nic to nawet, że położyli mnie na łóżku przypartym do okna, które było stale otwarte i wiał wiatr, wpadał prąd zimnego powietrza zamieniając opary przy oknie w mgiełkę.

Bok, w którym miałem zapalenie płuca, starałem się tak ulokować, żeby najmniej na chłód wystawiać.

Nazajutrz przeniesiono mnie na środek sali, dano cztery koce, zastosowano zastrzyk.

139 Edward Michał Nowak – ur. 25 września 1909 r. w Rytrze, lekarz, of. zaw. WP, ppor. sł. st. zdrowia ze starsz. z 1 października 1937 r., młodszy lekarz 1 pp Leg. w Wilnie. Do Auschwitz przybył pierwszym transportem z Krakowa 14 czerwca 1940 r. i otrzymał nr 447. Członek ZOW. W 1942 r. przeniesiony do KL Majdanek, gdzie zginął 24 grudnia 1943 r.

Po dziesięciu dniach byłem już tak zdrów, że musiałem miejsce odstąpić więcej chorym ode mnie.

Przeniesiono mnie znowu na blok 15-ty, gdzie leżałem pierwsze dnie choroby, ale wszy już tam nie było.

W międzyczasie odwszenie przechodząc kolejne bloki doszło już do 15-go.

Co za dziwna historia. Ta sama makabryczna zawszona sala – odgazowana i wybielona, zupełnie inaczej się prezentowała.

Było to 1-go lutego. 41 roku.

Tutaj odpoczywałem po chorobie przez cały miesiąc. Pomagając Tadkowi [Tadeusz Burski] i Jankowi Hrebendzie.

Zaglądał często na salę zacny „Pfleger" Krzysztof Hofman[140]. Czasami nawet sypiał na naszej sali.

Leżał tu Heniek Florczyk[141] – matematyk z Warszawy.

Tadek Burski (Raszyńska 56) został zwolniony z obozu, na skutek starań sióstr jego.

Przez niego posłałem wiadomości do Warszawy. –

Pomimo zmiany warunków więziennych na lepsze, umierało na sali codziennie paru chorych. –

Nie było czym leczyć, a zresztą nawet kombinowane przez Krzysia [Krzysztof Hofman] pigułki były tylko – pigułkami.

Czasami ludzie poprostu już nie chcieli żyć.

Nie chcieli walczyć, a kto zrezygnował z życia – ten bardzo szybko umierał.

Tutaj będąc rekonwalescentem zdobyłem przez znajomych pielęgniarzy możność wychodzenia na obóz (przyniesiono mi ubranie od Fredka 4 [Alfred Stössel]).

Wychodziłem z sali czasami (tak by mnie władze nie zauważyły).

Miałem więcej czasu na „wiązanie piątki".

Obóz był jak młyn wielki, co przepracowywał ludzi żywych na – popiół.

140 Krzysztof Hofman (w niektórych źródłach Hofmann) – ur. 30 kwietnia 1915 r. w Łodzi, of. zaw. WP, po wojnie lekarz, jeden z pierwszych polskich akupunkturzystów. Ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej-Komorowie i został mianowany ppor. sł. st. piech. ze starsz. z 1 października 1938 r. Przydzielony do 55 pp w Lesznie i Rawiczu, wziął udział w walkach wrześniowych 1939 r. jako d-ca plutonu. Ciężko ranny w bitwie nad Bzurą, dostał się do niewoli, skąd po wyleczeniu zbiegł. Po zakończeniu kampanii żołnierz tworzącej się SZP. Aresztowany przez Niemców, przywieziony do Auschwitz pierwszym transportem z Warszawy 15 sierpnia 1940 r., otrzymał nr 2738 i został zarejestrowany jako pielęgniarz z zawodu. Członek ZOW. W 1942 r. przewieziony do Warszawy na przesłuchanie w gestapo, zbiegł z Dworca Głównego. Skierowany do Świętokrzyskiego Okręgu AK, objął w Kielecko-Radomskim Korpusie AK „Jodła" dowodzenie batalionem 72 pp AK im. Dionizego Czachowskiego. Dostał się do niewoli sowieckiej, represjonowany za działalność w polskiej konspiracji niepodległościowej, przez pięć lat przebywał na zesłaniu w głębi Związku Sowieckiego, pracując m.in. jako górnik. Po powrocie do Polski ukończył studia lekarskie i pracował m.in. jako kierownik Ośrodka Zdrowia w Dołhobyczowie k. Hrubieszowa, a następnie w Chochołowie k. Zakopanego. Prowadził tam także działalność społeczną i patriotyczną. Zmarł w Krakowie 30 października 1996 r.

141 Henryk Florczyk – ur. 30 kwietnia 1904 r., matematyk, m.in. autor podręcznika trygonometrii dla gimnazjów i liceów. Do Auschwitz przywieziony 15 sierpnia 1940 r. z Warszawy, nr obozowy nr 3029, w 1943 r. przeniesiony do KL Buchenwald.

Wykańczano nas – więźniów dwoma drogami.

Równolegle i niezależnie od siebie – pracowali jedni nad wykańczaniem nas w pracy – lub warunkami obozu. Gdzie ginęli obok tacy co siedzieli tu za ciężkie sprawy i tacy co spraw zarzucanych wcale nie mieli. Żadne zresztą sprawy więźniów na ziemi nic na to nie wpływały. – Drudzy natomiast niezależnie od pierwszych przeglądali sprawy w politycznym oddziale. I czasami chociaż więzień już na dobre „zaczepił się życia" – wypłynął w pracy, dawał sobie radę, a nawet potrafił zorganizować dopływ jedzenia, – dnia pewnego ginął.

Numer jego wyczytywano na porannym apelu. Musiał iść do głównej „Schreibstuby"[142] stamtąd przeważnie kierowano go z ss-mannem do politycznego oddziału i bardzo często kończył go Palit[z]sch, na bloku 13-ym – strzelając.

Był to rezultat grzebania się w aktach drugiego kata – Grabnera[143].

Za zastrzelenie ludzi Palit[z]sch brał honorarium „od główki".

Często tam były umowy robione pomiędzy tymi dwoma panami.

Jeden wybierał sprawy, drugi strzelał w głowy. Pieniądze jakieś dzielono – interes szedł.

Śmierć wybierająca tego czy innego z kolegów, trafiała często w węzeł sieci organizacyjnej – po dłuższej obserwacji żmudnie tu związanej.

Sieć więc stale tu i owdzie się rwała – trzeba było wciąż wiązać na którymś z odcinków od nowa.

Koledzy, związani już w pewien łańcuch, czuli się mocniej moralnie, mając za sobą szereg serc przyjaznych, gotowych się wesprzeć wzajemnie, zaczęli powoli z większą pewnością wpychać się do różnych komand.

Na temat tego, co każdy kiedyś przed „Oświęcimiem" nazwałby organizacją – mówić nie wolno było absolutnie i słowa tego używać. Zabroniłem.

142 Kancelaria główna obozu. Tu prowadzono podstawową dokumentację dotyczącą wszystkich więźniów KL Auschwitz. W obozie były także kancelarie poszczególnych bloków i oddziałów; określano je mianem „Schreibstube" z dodaniem informacji o oddziale lub bloku.

143 Max(imilian) Grabner – ur. 2 października 1905 r. w Wiedniu, Austriak, policjant. Członek NSDAP od 1932 r. i SS od 1938 r. Pierwotnie funkcjonariusz policji kryminalnej, później gestapo. Po zajęciu Polski przez Niemców funkcjonariusz gestapo w Katowicach, wyznaczony w czerwcu 1940 r. na kierownika obozowego gestapo w KL Auschwitz. Z racji zajmowanego stanowiska posiadał prawie nieograniczoną władzę nad więźniami KL Auschwitz. Miał także wielkie kompetencje w stosunku do załogi SS – obawiał się go nawet komendant obozu SS-Sturmbannführer Rudolf Höß (zob. przyp. 161). Grabner zarządzał egzekucjami pod Ścianą Śmierci, był głównym organizatorem eksterminacji Żydów, prowadził brutalne przesłuchania z użyciem sadystycznych metod. Był także przewodniczącym policyjnego sądu doraźnego, na którego posiedzeniach skazywano masowo na śmierć zarówno więźniów obozu, jak i osoby przywiezione z placówki gestapo w Katowicach oraz z więzienia w Mysłowicach. Odwołany ze stanowiska w listopadzie 1943 r. ze względu na olbrzymią skalę korupcji i nadużyć władzy, których się dopuścił. Aresztowany przez Niemców i osadzony w Weimarze, w 1945 r. zatrzymany przez aliantów i w 1947 r. przekazany do Polski. Zasiadł na ławie oskarżonych w pierwszym procesie oświęcimskim, przeprowadzonym w 1947 r. w Krakowie przez Najwyższy Trybunał Narodowy. Skazany na karę śmierci, powieszony w krakowskim więzieniu Montelupich 24 stycznia 1948 r.

Podchwyciliśmy z radością nowe słowa tego znaczenie i „puszczaliśmy" szeroko po lagrze, zanim się nie przyjęło powszechnie.

Było poniekąd naszym piorunochronem.

Słowo „organizacja" w sensie „skombinowania czegoś na lewo".

Ten gdzieś wyciągnął z magazynów w nocy margarynę w kostkach, lub chleba bochenek, nazywano to wtedy „organizacja margaryny lub chleba".

Tamten „zorganizował sobie buty", inny „zorganizował tytoń".

Słowo „organizacja" wykwitało wszędzie już głośno – powszechnie uznane, gdy wpadło w ucho komuś niepożądanemu, użyte niebacznie, w znaczeniu konspiracji naszej, nikt już inaczej jak wykradnięcie czegoś, skombinowanie – słowa tego nie pojmował.

W samej pracy naszej – przeciętne „ogniwo" nie powinno było wiedzieć wiele.

Kolega znał „szkielet", parę własnych „kontaktów" i – wiedział, kto jego prowadzi.

Jako organizacja powoli zaczęliśmy opanowywać poszczególne komanda i powiększać nasze możliwości.

Zdecydowałem sięgnąć do wykorzystania możliwości niemców-capów, tych co niechętnie bili (a było takich kilku), – do nich trafiałem przez poszczególnych naszych członków.

W początkowej fazie istnienia obozu koncentracyjnego „Oświęcim", gdzie mordownia rozpoczęła się z chwilą przywiezienia tu pierwszego transportu Polaków 14.VI.40 r. aparat pracujący nad wykańczaniem więźniów składał się z trzydziestu niemców – lub takich, co za niemców chcieli uchodzić – przywiezionych tu z Oranienburga w maju 40 r.[144]

Jakkolwiek sami byli więźniami, wybrano ich na naszych katów.

Nosili oni pierwsze numery więźniów Oświęcimia (od 1-go do 30-go).

Pierwszy i ostatni z nich, t. zn. Nr. więźnia 1 – „Bruno" [Brodniewicz] i Nr. więźnia 30 – „Leo" [Wieczorek] – dostali „bindy"[145] „lagerältester'ów", kilku innych miało „bindy" blokowych, reszta – capów.

Wśród tej czeredy bandytów, pracujących z toporną brutalnością lub perfidią, nad mordowaniem więźniów, było kilku takich, którzy bili niechętnie – raczej z konieczności – by nie „podpaść" reszcie zgrai i ss-mannom.

Więźniowie nasi bardzo szybko się w tym zorientowali.

My – jako organizacja postanowiliśmy to wykorzystać.

144 Pilecki się myli: KL Oranienburg, założony w marcu 1933 r., już w roku następnym został zlikwidowany, a więźniów – głównie Niemców – w większości przeniesiono do pobliskiego KL Sachsenhausen.

145 Opaska naramienna, oznaczająca więźnia funkcyjnego. Na żółtym, czerwonym lub czarnym tle (w zależności od funkcji) napis białymi lub czarnymi literami informował o stanowisku więźnia funkcyjnego i jego miejscu w obozowej hierarchii.

Wkrótce też Otto [Küsel] (Nr. więźnia 2) jako arbeitsdienst, Balke[146] (Nr. więźnia 3) jako „obercapo" stolarni, „Mateczka"[147] (Nr. więźnia 4.) – przezwany tak za jego stosunek do nas – w kuchni, Bock – „tata"[148] (Nr. więźnia 5) w krankenbau, Konrad[149] (Nr. więźnia 18), „Jonny"[150] (Nr. więźnia 19) – zaczęli oddawać nam przysługi, absolutnie nic nie wiedząc i nie podejrzewając istnienia jakiejkolwiek sieci organizacyjnej.

Zjawiali się do nich poszczególni nasi koledzy w sprawach niby wyłącznie własnych lub przyjaciół, a oni – jeśli mogli – szli nam na rękę. Otto – przez dawanie kartek przydziałowych do pracy w obranym komando, Balke – przez lokowanie w stolarni, pod dachem, możliwie większej ilości naszych kolegów, „Mateczka" – przez wydawanie „repet" (zupy z kuchni) specjalnie wycieńczonym, Bock – ułatwiając w szpitalu, „Jonny" – który jako capo komando landwirtschaft'u[151] początkowo nie przeszkadzał, a potym ułatwiał nam porozumiewanie się ze światem, przez kontakt z organizacją na zewnątrz, przy współudziale panny Zofii S.[152] (13) (Stare Stawy), z konieczności musiał trochę więcej się domyślać.

---

146 Artur Balke – stolarz i cieśla. Do Auschwitz przybył w grupie więźniów funkcyjnych z KL Sachsenhausen i otrzymał nr 3. Do listopada 1941 r. był oberkapo stolarni i włączonej do niej rzeźbiarni. Po zwolnieniu z obozu w 1943 r. pracował w firmie Bata w Chełmku.

147 Fritz Biessgen „Mateczka" – ur. 15 września 1900 r. w Mülheim, z zawodu rzeźnik. Do Auschwitz skierowany w pierwszej grupie funkcyjnych więźniów z Sachsenhausen, nr obozowy 4. Kapo, a później oberkapo komanda kuchni więźniarskiej. Zwolniony z KL Auschwitz w 1941 r.

148 Hans Bock „Tata" – ur. w 1900 r., do Auschwitz przybył z Sachsenhausen i otrzymał nr 5. Kryminalista, homoseksualista i morfinista, w obozie był starszym szpitala więźniarskiego. Mimo że często pomagał chorym Polakom i innym więźniom, bezwzględnie realizował wiele poleceń esesmanów, m.in. wykonywał w bloku 11 wyroki wydane przez wydział polityczny, zabijając współwięźniów zastrzykami fenolu. To on uśmiercił fenolem o. M.M. Kolbego w bunkrze głodowym bloku 11. Za narkomanię przeniesiony karnie do podobozu Łagisza (podobóz KL Auschwitz III na terenie elektrowni „Walter" – obecnie Elektrownia Łagisza w Będzinie), gdzie zmarł w 1944 r.

149 Konrad Lang – ur. 29 czerwca 1903 r. w Esslingen, stolarz. W obozie blokowy, później oberkapo komand Abbruch (wyburzanie) i Buna-Werke. Za pijaństwo trafił do bunkra, później wcielony do oddziałów Oskara Dirlewangera.

150 Jonny vel Johann Lechenich, „Jonny", „Johny", „Dżoni" – ur. 10 września 1910 r. w Büsum (Busum, Biesam), z zawodu robotnik, marynarz. Więzień kryminalny KL Sachsenhausen, 20 maja 1940 r. przewieziony do KL Auschwitz, nr obozowy 19. Wyznaczony na kapo komanda gospodarczego Landwirtschaft 10 października 1942 r., zbiegł z Brzezinki wraz z Kazimierzem Nowakowskim (nr 23048) i Fryderkiem Klyttą (nr 637). W latach 1943–1944 był członkiem polskiego oddziału partyzanckiego batalionu „Las" 74 pp AK mjr. Mieczysława Tarchalskiego „Marcina" (w plutonie ppor. Józefa Kaszy-Kowalskiego „Alma") w okolicy Radomska. Jeden z b. więźniów KL Auschwitz inż. Władysław Jabłecki (nr 7765) twierdził, że po zakończeniu wojny rozpoznał Lechenicha jako żołnierza 2 Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa we Włoszech. Po wojnie zamieszkał w Wlk. Brytanii, później przeprowadził się do Hamburga. Zmarł 17 czerwca 1972 r., pochowany w Monachium.

151 Komando pracujące przy uprawach rolnych produkujących żywność dla załogi obozu.

152 Zofia Szczerbowska, po wojnie zamężna Grohs de Rosenburg – ur. 30 października 1919 r. w Bronghton (USA). Nauczycielka zamieszkała w Starych Stawach k. Oświęcimia, współpracowała z przyobozową grupą konspiracyjną BCh, organizowała pomoc dla więźniów zatrudnionych na stacji kolejowej w Oświęcimiu oraz w zabudowaniach przedwojennej montowni samochodów Oświęcim-Praga, prowadziła akcję dożywiania więźniów, pośredniczyła w korespondencji więźniów i obozowej konspiracji z rodzinami oraz strukturami konspiracyjnymi poza obozem.

Nie zdradził nas, a od chwili gdy za dowiedzione mu przez władze lagru „przeoczenie" w podkarmianiu przez ludność cywilną więźniów (podrzucanie chleba) – coś więcej nie przyszło władzom do głowy – wziął porcję kijów na stołku, stał się całkowitym naszym przyjacielem. –

Układałem i „wiązałem" tak, mając jak na warunki w tamtym okresie, wyjątkowo wiele czasu, będąc rekonwalescentem w ciągu lutego 41 r. w szpitalu, 15 blok (stara numeracja).

Tak było do 7-go marca.

Nagle zbiegło się parę wypadków jednocześnie.

6-go marca rano wezwano mnie do Erkennungsdienst[153], blok 18 (stara numeracja), gdzie wszyscy my już poprzednio byliśmy pofotografowani.

Pokazano mi moją fotografię i zapytano czy znam fotografowanych przedemną i po mnie (numery więźniów sąsiadujące z moim). Odpowiedziałem, że nie znam.

SS-mann zrobił drwiącą minę i powiedział, że to jest bardzo podejrzane, żebym nie poznał tych z którymi przyjechałem.

Potym przyjrzał się fotografii mojej i stwierdził, że jestem bardzo mało podobny i że to jest też bardzo podejrzane.

Rzeczywiście starałem się w czasie fotografowania mieć nienaturalny wygląd, minę i wypchnięte policzki. Odpowiedziałem, że byłem chory na nerki, wskutek czego powstała opuchlizna...

Tegoż 6-go marca Sławek [Sławomir Szpakowski] zawiadomił mnie, że nazajutrz będzie zwolniony z obozu i jedzie do Warszawy.

Był zawsze optymistą – zapowiedział, że czeka mnie w Warszawie.

Został zwolniony bez kwarantanny, wtedy tak było.

Zwolniły go starania żony przez konsulat szwedzki. Jednocześnie wieczorem przez dr. 2 [Władysław Dering] dowiedziałem się, że będę wezwany nazajutrz rano do schreibstuby głównej – a powszechnie było wiadomem, jak to się przeważnie kończyło.

Nie znałem powodów i głowiłem się nad tym o co im chodziło.

Sprawy żadnej nie miałem.

Przychodziło mi do głowy jedynie, że Westrych mógł tendencyjnie, lub przez nieostrożność, „wsypać" mnie, że siedzę tu pod fałszywym nazwiskiem.

Westrych akurat był dwa tygodnie temu zwolniony, z obozu.

Może przed wyjazdem „wyspowiadał się" z tajemnicy.

W takim wypadku los mój byłby przesądzony.

Dr. 2 [Władysław Dering] bardzo się przejął moją sprawą i uczył mnie, jak mam udawać chorobę, częstą u nas w tym czasie na „krankenbau", – zapalenie opon mózgowych – „meningitis", która by mnie uchroniła od dawania odpowiedzi.

153 Służba rozpoznawczo-śledcza. W obozowym gestapo jeden z referatów, zajmujący się identyfikacją więźniów i dokumentacją na ich temat (fotografie, kontrola korespondencji i kontaktów).

Przez jednego z ss-mannów (który kiedyś był podoficerem w armii polskiej) starał się czegoś dowiedzieć o co chodzi i prosił go, żeby jego kolegi (mnie), który jest chory, specjalnie nie bito.

Dr. 2 [Władysław Dering] już wtedy powoli zdobywał sobie pozycję w szpitalu, był już ceniony jako dobry lekarz i miał jakie takie znajomości wśród ss-mannów, którym czasami udzielał porady.

Rano, 7-go marca, na apelu wyczytano mój numer z poleceniem pójścia do schreibstuby głównej. –

Było nas kilku.

Ustawili nas osobno.

Cały blok spoglądał na nas, jak na takich, co już nie wrócą.

Niewiele się mylono.

Z chwilą uderzenia gongu na „arbeitskomando", kiedy wszyscy biegli do oddziałów pracy – nas kilku maszerowało na blok 9-y (stara numeracja).

Na korytarzu przed główną schreibstubą wywoływano – sprawdzano numery wszystkich sprowadzonych, a z różnych bloków było nas dwudziestu kilku.

Mnie odstawiono na bok jednego.

Co za historia? pomyślałem sobie. Dlaczego nie razem?

Wskazano palcem na mnie i powiedziano coś ss-mannowi, czego nie słyszałem.

„Ładny ptaszek" – widocznie jestem w ich pojęciu.

Stało się jednak nieco lepiej, niż można było przypuszczać.

Wszyscy inni pomaszerowali do politycznego oddziału – mnie poprowadzono do „erkennungsdienst".

– To lepiej – pomyślałem.

Idąc już zaczynałem rozumieć powody, dlaczego mnie wzywają i uspokajałem się z każdym krokiem.

Wszyscy „häftlindzy" musieli pisać listy do rodzin i to tylko pod adresem, który podali odrazu po przyjeździe.

(Krótko po przywiezieniu nas do Oświęcimia w nocy zrobiono przesłuchanie.

Każdego budzono. Kazano mówić – /blok 17-a/ – przytym z dziwnym uśmieszkiem pytano wtedy o adres, gdzieby trzeba było zawiadomić w razie jakiegoś wypadku, który by więźnia spotkał – jakby tu się tylko wypadkiem umierało.)

Pod tym właśnie adresem należało pisać co dwa tygodnie listy, żeby mieć na wszelki wypadek drogę do rodziny więźnia.

Ja podałem adres mojej szwagierki [Eleonora Ostrowska] w Warszawie, przez którą mogła mieć wiadomości moja rodzina, o czem władze lagru nie mogły wiedzieć.

Adres szwagierki podany był jako adres jednej z moich znajomych, uchodziłem tu za kawalera, który nie ma nikogo z rodziny prócz matki.

Pod podany adres napisałem tylko raz jeden, w listopadzie, donosząc gdzie jestem. I więcej listów nie pisałem, ze względu na to, żeby w przyszłości moja „znajoma" nie ponosiła odpowiedzialności za ewentualne wyczyny moje tutaj.

Chciałem w ten sposób zerwać wszelką widoczną dla władz niemieckich nić wiążącą mnie z ludźmi na wolności.

Wszedłem eskortowany przez ss-manna za bramą do budynku drewnianego, gdzie w jednym końcu domku (od bramy) mieściła się „blockführerstuba"[154], a w drugim właściwe „postzensurstelle"[155].

Tutaj, za stolikami siedziało kilkunastu ss-mannów.

W momencie wprowadzenia mnie wszyscy podnieśli głowy i po chwili kontynuowali dalej pracę, cenzurowania listów.

SS-mann idący za mną zameldował przybycie.

Na to odezwał się jeden w moim kierunku: „A! mein lieber Mann[156]... dlaczego nie piszesz listów?!!"

Odpowiedziałem: – ja piszę.

„A! jeszcze kłamiesz! Jakto piszesz? Wszystkie listy wychodzące mamy zanotowane!"

– Ja piszę – ale mnie zwracają – mam na to dowody. –

„Zwracają?! Ha, ha – dowody??? Patrzcie – on ma dowody!"

Okrążyło mnie kilku ss-mannów, którzy się wyśmiewali ze mnie.

„Jakie masz dowody?!"

– Mam listy, które pisałem regularnie i które, nie wiem dlaczego mnie zwracano – mówiłem tak, jakbym ubolewał nad niesłusznym zwrotem listów.

„Gdzie masz te listy?"

– Na bloku 15-ym. –

„Hans! odprowadzisz go na blok, niech weźmie te listy, ale jeśli ich nie znajdzie... zwrócił się do mnie:

„Ich sehe schwarz für dich!"[157]

Listy takie ja rzeczywiście na bloku miałem.

W przewidywaniu możliwości jakichś sprawdzań tego rodzaju, pisałem co dwa tygodnie „przepisowe" listy, zaczynające się stereotypowymi zdaniami: „Ich bin gesund und es geht mir gut..."[158], bez których, jak ogłaszali blokowi, list by nie przeszedł przez cenzurę (nawet wtedy, gdy więzień konał, jeśli chciał raz jeszcze napisać do rodziny – musiał te zdania dwa umieścić). Rodzina mogła chyba z drżącego charakteru pisma zorientować się jak mu się powodzi i jak jest z jego zdrowiem.

Ponieważ zasadniczo wszystkim zależało na pisaniu listów do drogich osób, niektórym może tylko ze względu na siebie i przysyłane pieniądze – ogólnie listy pisano.

154 Blockführerstube – biuro niemieckich przełożonych bloków, miejsce urzędowania oficera dyżurnego ss i jednocześnie wartownia.

155 Placówka cenzury korespondencji.

156 Mój drogi człowieku...

157 Czarno widzę twoją przyszłość.

158 Jestem zdrów i wszystko u mnie dobrze.

Zauważyłem jednak, że zwrócone więźniom listy, które dla czegoś przez cenzurę nie przeszły – nie podobały się ss-mannom – na kopercie miały zielony „ptaszek” lub czasami słowo: „zurück”[159].

Od kolegów zdobyłem takie dwie koperty z charakterystycznymi znakami i takim samym ołówkiem, dostarczonym mi przez rtm. 3 [Jerzy Virion], znaki na moich kopertach stawiałem, nie oddając takowych, gdy w „niedziele listowe” zbierano listy na bloku.

Listy te starannie przechowywałem.

Idąc na blok z ss-mannem po te listy (7.III.), spotkałem w bramie Sławka [Sławomir Szpakowski] odprowadzanego przez ss-manna na wolność.

Z sali Nr. 7, blok 15-ty (stara numeracja) zebrałem listy. Koledzy na sali, widząc ss--manna czekającego na mnie i jakieś listy – byli pewni, że jest to sprawa politycznego oddziału i że już mnie nie zobaczą.

W „postzensurstelle” przyjęto już mnie z zainteresowaniem.

6–7 listów moich podanych przez eskortującego ss-manna kierownikowi skupiło kilku ss-mannów koło nich.

– Więc są listy. –

Znaki zielonym ołówkiem musiałem zrobić widocznie nieźle.

Zresztą nie przypuszczali żeby więzień skrupulatnie pisał listy i nie wysyłał.

Zaczęli studiować treść. Nic w nich nie było – były dość lakoniczne.

„Aha! więc znaczy, że nie piszesz pod adresem który podałeś!!”

Odparłem, że sądzę iż listy są mi zwracane przez jakąś omyłkę, gdyż ja piszę pod tym adresem który podałem. –

Sprawdzono. Musiało się zgadzać. –

„Aha... no, a kto jest ta pani E.O.[160] – do której piszesz?” – Znajoma. –

„Znajoma?... wycedzono z szyderczym uśmiechem. A dlaczego nie piszesz do matki? Tu podajesz, że masz matkę?”

(Tak podałem rzeczywiście, chociaż Matka moja nie żyła już od dwuch lat, chciałem być możliwie mniej podejrzany, mniej ptakiem bez więzi z ziemią, chciałem sugerować, że mam kogoś drogiego mi na ziemi, lecz nie chciałem podać adresu żyjących osób.)

O, tak – odpowiedziałem – mam Matkę, lecz Matka moja jest zagranicą. Wilno przecież leży zagranicą, więc nie wiem czy mogę pisać tam listy.

SS-manni powoli się rozeszli do swej pracy.

Sprawa zaczęła powoli przygasać w swym zaognieniu.

„No, tak – zawyrokaował [zawyrokował] salomonowo kierownik – listy ci zwracają dlatego, że nie piszesz do matki, chociaż ją masz, a piszesz do jakiejś znajomej. Musisz

159 Zwrot do nadawcy.

160 Eleonora Ostrowska „Ryta”, „Nora” – ur. 1909; zam. w Warszawie przy al. Wojska Polskiego 40 m. 7 szwagierka Pileckiego, z której mieszkania został wzięty przez Niemców w czasie łapanki 19 września 1940 r. Uczestniczka konspiracji TAP-ZWZ-AK. Jej mężem był Edward Ostrowski, por. rez. 5 pu Zasławskich, który w 1939 r. został wzięty do niewoli niemieckiej i przebywał w oflagu. Zmarła 6 maja 2008 r.

napisać podanie do Lagerkomendanta[161], żeby ci zezwolił na zmianę adresu i podać, że chcesz pisywać do pani E.O. Podanie przesłać należy drogą służbową przez blokowego.

Tak skończyła się moja sprawa w „postzensurstelle".

Nazajutrz spieszyłem z podaniem na bloku 3-a, gdzie blokowy Koprowiak długo nie mógł zrozumieć jak to jest, że dotychczas pisałem na adres pani E.O., a teraz uprzejmie proszę komendanta o zmianę adresu na adres tej samej pani E.O.

Zanim jednak nazajutrz znalazłem się na bloku 3-a, tegoż jeszcze dnia (7.III.) czekała mnie niespodzianka na bloku 15-ym.

Na blok 15-y wróciłem z grupki wyczytanych rano numerów, tylko ja jeden.

Drogę życia reszty kolegów przez polityczny oddział – kończącą się na dziedzińcu 13-go bloku, przerwał strzałem kat Palit[z]sch.

Wróciłem z „Postzensurstelle" na blok chorych akurat w momencie, gdy na sali była komisja robiąca przegląd chorych, przytym wszystkich, co nie mieli gorączki – wyrzucano na obóz, do pracy, na bloki z których przyszli i do szpitala.

A tu raptem zjawia się „chory", co wchodzi w ubraniu „ze spaceru" po obozie.

Dostałem kilka uderzeń w brzuch i głowę i zostałem natychmiast wyrzucony ze szpitala...

Dlatego już nazajutrz pisałem podanie na bloku 3-a.

Lecz nie o podanie chodziło.

Chodziło o to, by się znaleźć w jakimś komando pod dachem.

Westrycha już nie było. Stolarnia „mała" na 9-ym bloku (stara numeracja) została zlikwidowana. Wielka stolarnia była na „industriehof I" którą prowadził i rozbudowywał obercapo Balke.

Należało natychmiast wkręcić się pod dach. Rekonwalescencja moja się skończyła, lecz odrazu po szpitalu praca na mrozie w polu, byłaby dla mnie zbyt ciężka.

Był to już okres kiedy numery więźniów pracujących w każdym komando skrupulatnie, notowano i teraz wpaść do jakiegoś nieodpowiedniego komanda, to znaczy mieć kłopot potym z „urwaniem się", jeśli się zechce zmienić oddział pracy na lepszy.

Tu mi przyszli z pomocą koledzy.

161 Lagerkommandant – komendant obozu. W okresie pobytu Pileckiego w Auschwitz komendantem obozu był SS-Sturmbannführer Rudolf Franz Ferdinand Höß (Höss, Hoess) – ur. 25 listopada 1900 r. w Baden-Baden, walczył w I wojnie światowej, członek Freikorps na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Ruhry, od 1934 r. w SS, służył w oddziale wartowniczym i zarządzie KL Dachau, od 1938 r. przeniesiony do KL Sachsenhausen jako kierownik obozu, w 1940 r. wstąpił do Waffen-SS. Od 1 maja 1940 r. mianowany komendantem powstającego KL Auschwitz, pełnił tę funkcję do 1 grudnia 1943 r., po czym awansował na stanowisko szefa Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych w Głównym Urzędzie Administracji i Gospodarki SS. Do Auschwitz przybył jeszcze w maju 1944 r., by na polecenie Heinricha Himmlera nadzorować zagładę Żydów węgierskich w ramach akcji Höss. Po wojnie ukrywał się pod nazwiskiem Franz Lang lub Langer, ale 11 marca 1946 r. został ujęty w pobliżu Flensburga przez Brytyjczyków i 25 maja wydany władzom w Polsce. Po procesie przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Warszawie skazany 2 kwietnia 1947 r. na karę śmierci. Podczas pobytu w polskim więzieniu napisał autobiografię, a oczekując w więzieniu w Wadowicach na egzekucję, odbył spowiedź z całego życia przed jezuitą Władysławem Lohnem. Powieszony 16 kwietnia 1947 r. na terenie KL Auschwitz.

W wielkiej stolarni na „industriehof'ie I" pracowało już paru członków naszej organizacji, a nawet jeden z nich Antek[162] (14.) był tu majstrem, dozorującym pracy. Pracował tu również i Czesiek (9) [Czesław Wąsowski].

Antek [Antoni Woźniak] (14) zaprowadził mnie do kancelarii Balkego i przedstawił jako dobrego stolarza.

Na pytanie co umiem, odpowiedziałem zgodnie z pouczeniem Antka [Antoni Woźniak], że umiem pracować na maszynach.

A właśnie sprowadzano i ustawiano maszyny w stolarni.

Balke się zgodził.

Narazie zadekowano mnie przy warsztatach, które były pod kierownictwem Władka Kupca[163].

Robota nie była uciążliwa.

Władek Kupiec był to wyjątkowo porządny chłop i dobry kolega. Siedziało ich tu sześciu braci.

Spotkałem tu też parę przyjaciół, jeden nazywał się Witold[164] (15), a drugi Pilecki[165] (16).

Po paru dniach pracy w stolarni zorganizowałem tu „drugą piątkę", do której weszli:

162 Antoni Woźniak – ur. 5 maja 1896 r. Do Auschwitz przywieziony drugim transportem z Warszawy 22 września 1940 r., otrzymał nr 5512. Zwolniony z obozu w 1942 r.

163 Władysław Kupiec – ur. 13 sierpnia 1907 r. w Zakopanem, podof. rez. WP. Aresztowany 17 stycznia 1940 r. wraz z pięcioma braćmi (Antoni, Bolesław, Jan, Józef i Karol) za działalność konspiracyjną i organizowanie przerzutów przez granicę Polaków podążających do AP tworzonej we Francji. Do Auschwitz przywieziony wraz z braćmi Bolesławem, Janem, Józefem i Karolem (Antoniego przewieziono do obozu 30 sierpnia) transportem krakowskim 20 czerwca 1940 r., zarejestrowany jako stolarz, otrzymał nr 793. Wraz z bratem Bolesławem wykonywał w obozowej rzeźbiarni figurki, w których wydrążonych wnętrzach ukrywano i przekazywano poza obóz grypsy z informacjami obozowej konspiracji. W 1942 r. przeniesiony do KL Mauthausen. Wyzwolony 3 maja 1945 r. przez aliantów w KL Mauthausen-Gusen.

164 Witold Szymkowiak – ur. 18 grudnia 1918 r. Przywieziony do Auschwitz transportem krakowskim 20 czerwca 1940 r., otrzymał nr 938. W 1942 r. przeniesiony do KL Mauthausen.

165 Jan (Isai vel Issaił) Pilecki – ur. 27 stycznia 1913 r. w Warszawie, z pochodzenia Karaim, inż. radiowiec, pchor. rez. WP. W 1934 r. ukończył Wydział Mechaniczny Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie. Od 1937 r. pracownik warszawskiej rozgłośni Polskiego Radia. Po zakończeniu walk o Warszawę w 1939 r. jeden z pierwszych członków SZP. Po uruchomieniu pierwszej konspiracyjnej stacji nadawczej, wskutek poszukiwania przez gestapo skierowany do AP tworzącej się we Francji. Ujęty przez Ukraińców ze wsi Rzepedź podczas próby przekroczenia granicy w Bieszczadach i aresztowany przez Niemców. Do Auschwitz przywieziony z Krakowa, otrzymał nr 808. W obozowej konspiracji po zmontowaniu radia prowadził regularny nasłuch wiadomości. Za ich rozpowszechnianie trafił na 15 miesięcy do SK. Później był pisarzem na bloku 11, zwanym „blokiem śmierci". Jako świadek popełnianych tam zbrodni miał zostać zgładzony przez Niemców, ale został uratowany przez kolegów z obozowej organizacji, którzy przemycili go 29 października 1944 r. do transportu wyjeżdżającego do KL Sachsenhausen; tam otrzymał nr 1130280 i stamtąd został przewieziony 13 listopada 1944 r. do KL Buchenwald – komando Wansleben am See (nr 96399). Powrócił do Polski w listopadzie 1946 r., pracował w rozgłośni katowickiej Polskiego Radia, a następnie w wytwórni Film Polski i w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów PRL. Zmarł w Warszawie w 1992 r.

Władek [Władysław Kupiec] (17), Bolek[166] (18), Witold [Szymkowiak] (15), Tadek[167] (19), Antek [Antoni Woźniak] (14), Janek[168] (20), Tadek[169] (21), Antek[170] (22).

Pracując tu, po paru tygodniach posłyszałem jak mówiono wśród kolegów, że płk. 23[171] i ppłk. 24[172] projektują pewien zamach w obozie, przytym ppłk. 24 [Karol Kumuniecki]

---

166 Bolesław Kupiec – ur. 12 lipca 1913 r. w Poroninie, rzeźbiarz, podof. rez. WP. Ukończył Państwową Szkołę Przemysłu Drzewnego (znana dziś jako Szkoła Kenara) w Zakopanem. Do Auschwitz przywieziony 20 czerwca 1940 r., otrzymał nr 792. W 1942 r. został przewieziony z obozu na dodatkowe dochodzenie do siedziby placówki gestapo „Palace" w Zakopanem, gdzie zamordowano go podczas śledztwa 4 marca 1942 r.

167 Tadeusz Słowiaczek – do Auschwitz przywieziony wraz z bratem Karolem 20 czerwca 1940 r., otrzymał nr 1069. W 1943 r. przeniesiony do KL Neuengamme. Zginął 3 maja 1945 r. w Zatoce Lubeckiej na statku „Cap Arcona" zbombardowanym pomyłkowo przez lotnictwo alianckie.

168 Jan Kupiec – ur. 17 lutego 1904 r. w Zakopanem, technik budowlany. Do Auschwitz przybył 20 czerwca 1940 r. drugim transportem krakowskim, otrzymał nr 790. Jeszcze w 1940 r. przeniesiony do innego obozu; wyzwolony przez aliantów 6 maja 1945 r. w KL Ebensee.

169 Tadeusz Pietrzykowski „Teddy" – ur. 8 kwietnia 1917 r. w Warszawie, bokser, przed wojną wicemistrz Polski w wadze koguciej. Jako pchor. Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu uczestniczył w walkach w 1939 r. Zimą 1939/1940 usiłował przedostać się do AP tworzonej we Francji. Ujęty przez Niemców w pobliżu granicy węgiersko-jugosłowiańskiej, przewieziony do Muszyny, a później Nowego Sącza i Tarnowa. Do Auschwitz przywieziony pierwszym transportem z 14 czerwca 1940 r. i zarejestrowany jako maturzysta, otrzymał nr 77. Członek ZOW, w Auschwitz zapamiętany przede wszystkim z faktu, że stoczył od 40 do 60 walk bokserskich z Niemcami – współwięźniami, a nawet członkami załogi – oraz więźniami innych narodowości. W 1943 r. przeniesiony do KL Neuengamme, gdzie stoczył ok. 20 walk. Wyzwolony 15 kwietnia 1945 r. przez wojska brytyjskie w KL Bergen-Belsen, wstąpił do polskiej 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka, w której był instruktorem sportowym i mistrzem bokserskim. Powrócił do kraju, ukończył w 1950 r. studia na Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie i został trenerem sportowym oraz nauczycielem wychowania fizycznego. Mieszkał w Nowym Targu, a później w Bielsku Białej, gdzie zmarł 17 kwietnia 1991 r. W powszechnej opinii więźniów uznawany za jedynego mistrza wszechwag KL Auschwitz.

170 Antoni Rosa – ur. 2 listopada 1913 r., nauczyciel. Do Auschwitz przybył 20 czerwca 1940 r. i otrzymał nr 923.

171 Aleksander Józef Stawarz – ur. 7 lipca 1896 r. w Krakowie, legionista, of. zaw. WP, płk piech. sł. st. ze starsz. z 19 marca 1938 r. W okresie międzywojennym m.in. of. 2 pp Leg. w Sandomierzu, 78 pp w Baranowiczach, 50 pp strzelców kresowych w Kowlu, zastępca d-cy 3 psp w Bielsku, d-ca 1 pp Leg. w Wilnie, a od listopada 1935 r. d-ca 12 pp w Wadowicach. W lipcu 1939 r. wyznaczony na d-cę 2 Brygady Górskiej w Nowym Sączu, po walkach z Niemcami i Sowietami uniknął niewoli sowieckiej i przedostał się do Krakowa. Utworzył organizację konspiracyjną ZCZ oraz jedną z pierwszych formacji polskiej konspiracji wojskowej, Dywizję Górską w Konspiracji (DGK), wraz z którą wszedł do ZWZ. Aresztowany w Rabce z żoną Marią, także zaangażowaną w konspirację, wiosną 1941 r., przewieziony do Krakowa i więzienia w Tarnowie. Do Auschwitz przywieziony 5 kwietnia 1941 r. z Krakowa, otrzymał nr 11513. Podjął wraz z ppłk. K. Kumunieckim jedną z udanych prób organizowania polskiej konspiracji w obozie. Po nawiązaniu kontaktów i ustaleniu pełnomocnictw Pileckiego w pracy konspiracyjnej na terenie obozu podporządkował mu się wraz ze stworzoną przez siebie grupą. Z czasem wszedł do komórki planowania doradzającej Pileckiemu. Rozstrzelany w KL Auschwitz 14 czerwca 1942 r. Jego żona została przewieziona do KL Auschwitz 27 kwietnia 1942 r., gdzie zmarła 19 października.

172 Karol Wojciech (Adalbert) Kumuniecki – ur. 23 (w niektórych źródłach 28) października 1893 (1894) r. w Żywcu, legionista, of. zaw. WP, ppłk piech. ze starsz. z 1 stycznia 1930 r., w okresie międzywojennym m.in. of. 21 warszawskiego pp, od 1935 r. z-ca d-cy 11 pp w Tarnowskich Górach, w 1935 r. objął dowództwo 67 pp w Brodnicy, którym dowodził także w działaniach wojennych września 1939 r. Ciężko ranny nad Bzurą, leczony w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie i zwolniony na Wielkanoc 1940 r. jako inwalida. 16 lipca tegoż roku został osadzony na Pawiaku. Do Auschwitz przywieziony 7 stycznia 1942 r., nr obozowy 8361. Aktywnie włączył się w tworzone przez płk. A. Stawarza struktury konspiracji, później

ze zdrowymi więźniami pójdzie na Katowice, natomiast płk. 23 [Aleksander Stawarz] z chorymi pozostanie narazie na miejscu.

Ze względu na naiwność planowania i dekonspirowanie podobnych projektów wobec szerszego ogółu więźniów – unikałem rozmów na tematy organizacyjne z tymi oficerami i wogóle w pierwszym okresie unikałem wprowadzania do organizacji oficerów starszych stopni, którzy tu siedzieli pod własnymi nazwiskami (prócz płk. 1. [Władysław Surmacki] do którego miałem całkowite zaufanie), a to z tego powodu, że oficerowie, o których władze obozu oficjalnie wiedziały, w pewnym momencie wzbudzonych podejrzeń mogą być zamknięci w bunkrze i dręczeni, mogą być wystawieni na ciężką próbę milczenia.

Tak było w pierwszej fazie pracy organizacyjnej. Potym było inaczej.

W kwietniu i maju 41 r. przyszły wielkie transporty Polaków – więźniów z Pawiaka.

Przyjechało wielu moich znajomych.

Tworzę „trzecią piątkę" do której wciągam mego b. zastępcę w pracy w Warszawie „Czesława III"[173] (25), Staśka[174] (26), Jurka[175] (27), Szczepana[176] (28), Włodka[177] (29), Genka[178] (30).

Organizacja rozwija się już w szybkim tempie.

---

wraz z całą grupą wszedł w skład ZOW organizowanego przez Pileckiego. Rozstrzelany w KL Auschwitz 25 stycznia 1943 r.

173 Stefan Bartłomiej Bielecki – ur. 20 lutego 1908 r. w Częstochowie, absolwent Wydziału Inżynierii Wodnej Politechniki Warszawskiej, inż. hydrotechnik. Ochotnik w obronie Warszawy w 1939 r., następnie członek TAP, aresztowany we wrześniu 1940 r. przez Niemców i osadzony na Pawiaku. Do Auschwitz przybył 6 kwietnia 1941 r., otrzymał nr 12692. Zbiegł z obozu 16 maja 1942 r. i ponownie włączył się do pracy konspiracyjnej; pracował w sztabie organizacji dywersyjnej „Wachlarz", a później w kontrwywiadzie Oddziału II KG AK. Ciężko ranny w Powstaniu Warszawskim 2 sierpnia 1944 r., zmarł 5 września.

174 Stanisław Maringe – ur. 6 września 1918 r. w Smolinie, technik, absolwent Państwowej Szkoły Przemysłowej im. H. Wawelberga i S. Rotwanda. Od listopada 1939 r. członek TAP, aresztowany przez gestapo wiosną 1941 r. Do KL Auschwitz przywieziony 6 kwietnia 1941 r., nr 12691. Zginął 12 czerwca 1942 r. w akcji odwetowej Niemców za bunt, który wybuchł 10 czerwca 1942 r. w kompanii karnej w KL Birkenau.

175 Jerzy Poraziński – ur. 14 listopada 1916 r., lekarz. Do Auschwitz przywieziony 3 lutego 1942 r., nr 19902. Przeniesiony do kompanii karnej w Birkenau. Zginął w komorze gazowej 11 albo 16 czerwca 1942 r. w KL Auschwitz-Birkenau. Był jednym z ponad 300 więźniów zamordowanych w ramach represji niemieckich za bunt kompanii karnej w KL Birkenau.

176 Szczepan (Stefan) Rzeczkowski – ur. 24 listopada 1898 r. w Suwałkach, blacharz. Do Auschwitz przywieziony 6 kwietnia 1941 r., nr obozowy 13600.

177 Włodzimierz Makaliński – ur. 23 (według niektórych źródeł 20) marca 1912 r. w Grodnie, absolwent Korpusu Kadetów nr 2 w Chełmnie (1932) oraz Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu (1935), of. zaw. WP, por. sł. st. kaw. ze starsz. z 19 marca 1939 r., d-ca plutonu w 13 pu wileńskich w Nowej Wilejce i Wołkowysku. Po kampanii jesiennej 1939 r. włączył się w działalność konspiracyjną, aresztowany przez gestapo 21 września 1940 r., osadzony na Pawiaku, 6 kwietnia 1941 r. przewieziony do Auschwitz, gdzie otrzymał nr 12710. 27 maja 1942 r. przeniesiony wraz z grupą Polaków do kompanii karnej w KL Auschwitz II-Birkenau, rozstrzelany 4 czerwca 1942 r.

178 Eugeniusz Zygmunt Trebling (w niektórych dokumentach Triebling) – ur. 16 września 1899 r. w Nowym Sączu, of. zaw. WP, kpt. sł. st. piech. ze starsz. z 19 marca 1939 r., służył w 63 pp w Toruniu. Pierwotnie osadzony w KL Dachau, przywieziony do KL Auschwitz 15 grudnia 1940 r., gdzie zmarł 22 sierpnia 1942 r.

Aparat lagru jednak spieszy z wykańczaniem również.

Na „zębie"[179] lagru znalazły się transporty z Warszawy, które brały takie cięgi, jak my niegdyś, ginąc masowo, dziesiątkowani codziennie chłodem i biciem.

Nowością obozu od wiosny 1941 roku była orkiestra.

Komendant obozu lubił muzykę – skutkiem czego powstała orkiestra z dobrych muzyków, których w obozie, tak jak żadnego fachu, nie brakowało.

Praca w orkiestrze była dobrą „posadą", to też każdy kto miał w domu instrument, sprowadzał szybko i wpisywał się do orkiestry, która pod batutą „Franza"[180] (dobrego drania) – który przedtym był w kuchni capem, wygrywała najrozmaitsze utwory.

Orkiestra naprawdę była na poziomie.

I była dumą komendanta obozu.

Jeśli speca od jakiegokolwiek instrumentu brakowało, to go bardzo łatwo znajdowano „w cywilu"[181] i do lagru przywożono.

Orkiestrą tą zachwycał się nie tylko komendant, lecz i wszelkie komisje[182], które czasami do obozu zaglądały.

Orkiestra grała nam dziennie cztery razy.

Rano – gdy wychodziliśmy do pracy, gdy wracaliśmy na obiad, do pracy po obiedzie i przy powrocie na wieczorny apel.

Miejsce „wyczynów" orkiestry było przed blokiem 9-ym (stara numeracja) w pobliżu bramy, kędy maszerowały wszystkie komanda.

Szczególnie w czasie marszu powracających z pracy oddziałów, odczuwało się całą makabrę sceny.

Sunące kolumny wlokły po ziemi trupy zabitych przy pracy kolegów.

Niektóre trupy były okropne.

Pod dźwięki skocznych jakichś marszów, w szybkim granych tempie, które raczej wrażenie polki, lub oberka robiły – nie marsza, wracały pobite, słaniające się postacie wyczerpanych pracą więźniów.

Szeregi czyniły wysiłek by iść w nogę, wlokąc przeważnie gołym brzuchem po ziemi trupy kolegów, z których kilometry dotyku grudy, błota, kamieni zsunęły części garderoby.

179 Mieć na zębie – załatwiać, przerabiać; kolejne transporty zostały poddane procedurze przemielenia przez tryby obozowej machiny.

180 Franciszek Nierychło – ur. 17 listopada 1905 r. w Łagiewnikach. Przed wojną muzyk w orkiestrach wojskowych w Krakowie, operetce i krakowskiej rozgłośni Polskiego Radia. Do KL Auschwitz przybył 20 czerwca 1940 r. w drugim transporcie krakowskim i otrzymał nr 994. Był kapo kuchni więźniarskiej, później kapelmistrzem orkiestry obozowej. Nie był uważany za szczególnie groźnego, wielu Polakom pomógł. Zwolniony 29 maja 1944 r. z KL Auschwitz po podpisaniu volkslisty i zgłoszeniu się do służby w Wehrmachcie. Zmarł w Łodzi 29 listopada 1977 r.

181 Poza lagrem, na wolności.

182 Do obozu przybywali często oficjele hitlerowscy oraz komisje z RSHA i rozmaitych urzędów SS. W latach późniejszych pojawiały się także komisje Czerwonego Krzyża i innych instytucji cywilnych, także międzynarodowych. Grająca wesoło i dziarsko orkiestra miała przekonywać, że w obozie wszystko jest w najlepszym porządku.

Kolumny bezgranicznej fizycznej nędzy ludzkiej opasane pierścieniem naganiaczy ćwiczących kijami szeregi i zmuszających iść w takt wesołej muzyki.

Kto nie szedł w nogę dostawał drągiem po głowie i za chwilę jego wlekli koledzy.

Wszystko eskortowane przez dwa łańcuchy zbrojnych, w mundur niemieckiego wojska ubranych – „bohaterów”[183].

Przed bramą, prócz zbrojnych oddziałów dla zapewnienia bezpieczeństwa, stała grupa „nadludzi” – same szarże lagru – podoficerowie (na których można ewentualnie w przyszłości zwalić winę – cóż chcieć od prostaków?).

Wszyscy pyszni, z radośnie rozpromienionymi twarzami, spoglądali dumnie na konającą znienawidzoną rasę „untermensch’ów”[184]

Tak wracały komanda tych, co pracowali w polu.

Starych numerów było w nich mało[185].

Albo już „poszli przez komin” albo się zdołali pod dach dostać.

Przeważnie byli to „zugangi”.

Inaczej wracały setki tych, co w warsztatach pracowali silni, zdrowi, w wyrównanych piątkach szli sprężystym krokiem.

Ginął uśmieszek zadowolenia z twarzy zgrai pod bramą. Przeważnie niechętnie się odwracali. Narazie jednak warsztatowcy byli im potrzebni.

Niejeden ss-mann obstalowywał w tym lub innym warsztacie potrzebny jemu przedmiot, który robiło się „na lewo”, bez wiedzy władz.

Nawet ci najwyżej tu stojący obstalowywali robotę dla siebie, kryjąc się jeden przed drugim.

W tym przedmiocie meldunku do władz wyższych każdy z nich się lękał.

Co innego mordować ludzi – tego im więcej dokonał, tym lepszą miał markę.

To właśnie były rzeczy o których mówię, że się „nie działy na ziemi”.

Bo i jakże? Kultura... XX wiek... któż słyszał zabijać człowieka?

W każdym razie nie można tego przecie robić na ziemi bezkarnie.

Niby – (chociaż jest wiek XX i kultura na tak bardzo wysokim poziomie)... „wojnę” pojęcia tych „ludzi od wielkiej kultury”... jakoś przemycają... tłomaczą nawet potrzebą.

Ach!... nawet – wojna – raptem... w pewnej dyskusji – ludzi kulturalnych – staje się „nieodzowna i konieczna”.

---

183 Ironia Pileckiego, wskazująca, jakiego rodzaju „bohaterskich” czynów dokonywali żołnierze SS, znęcając się nad więźniami obozów koncentracyjnych.

184 Untermensch – podczłowiek. Niemcy nazywali tak Polaków i przedstawicieli innych ras, uważanych przez nich za gorsze (zob. przyp. 370).

185 Więźniowie z najniższymi numerami, z pierwszych transportów, przybyłych do obozu w 1940 r. Ewidencję KL Auschwitz (jak w innych obozach) prowadzono narastająco w kolejności przybywania transportów i rejestrowania więźniów.

Zgoda! Lecz dotychczas przecie, uznając maskę przykrywającą potrzebę mordu – jednych i interes – drugich – głośno się mówiło tylko o wzajemnym mordowaniu jakiegoś odłamu społeczeństwa – uzbrojonego wojska. –

Tak – niestety było chyba kiedyś. To jest już przeszłość – piękniejsza od obecnych czasów.

Co może powiedzieć ludzkość dziś, ta ludzkość, która chce dowodzić postępu kultury i siebie z XX wieku postawić znacznie wyżej od ludzkości z wieków przeszłych.

Czy wogóle my ludzie XX wieku możemy spojrzeć w twarze tych, co żyli kiedyś... i śmieszna rzecz... dowodzić, że jesteśmy na wyższym szczeblu kultury...

Gdy za naszych czasów zbrojna masa niszczy nie wrogie sobie jakieś wojsko, „płaszczyk" przeszłości opadł już, lecz niszczy się całe narody, społeczeństwa bezbronne, stosując najnowsze zdobycze techniki. – Postęp cywilizacji – tak! – Lecz postęp kultury??? – śmieszne.

Zabrnęliśmy – kochani moi – zabrnęliśmy straszliwie.

Straszna rzecz – bo niema na to słów...

Chciałem powiedzieć – „zezwierzęcenie"... lecz nie! jesteśmy od zwierząt o całe piekło gorsi!

Mam pełne prawo tak właśnie napisać, szczególnie potym co widziałem, a co się zaczęło dziać w rok później w Oświęcimiu.

Jak wielka jest różnica pomiędzy „być", a „niebyć", tak bardzo się różniły warunki w jakich żyli ci, co – pod dachem, w stajniach, magazynach lub warsztatach pracowali od masy, którą pod gołym niebem kończyli w najrozmaitszy sposób.

Ci pierwsi – uznani tu byli za potrzebnych, ci drudzy – opłacali życiem potrzebę – nakaz wykończenia w tym młynie możliwie większej ilości ludzi.

Za wyróżnienie to trzeba było czymś płacić, czymś je usprawiedliwić.

Płacono tutaj posiadanym fachem lub sprytem, który każdy fach musiał zastąpić.

Obóz był samowystarczalny.

Siano tu zboże, utrzymywano inwentarz żywy: konie, krowy i świnie. –

Była rzeźnia, przetwarzająca mięso zwierząt na artykuły zdatne do spożycia.

Tuż – niedaleko rzeźni stało krematorium, gdzie masy mięsa ludzkiego przetwarzano na popiół i zasilano nim pola – jedyny pożytek jaki można było mieć z tego mięsa.

Najlepsza posada pod dachem była w chlewie świń, których żarcie było o wiele obfitsze i lepsze niż w kotłach z kuchni dla häftlingów.

Świniom przywożono resztki obiadów niedojedzonych przez „nadludzi".

Więźniowie którym los szczęśliwy pozwolił być świniopasami, zjadali część strawy doskonałej odbierając ją od wychowanków swoich – świń.

W stajniach, gdzie stały konie więźniowie mieli możliwości inne.

Kilka razy ze stolarni byłem zaproszony przez przyjaciela 31 [Karol Świętorzecki] do pobliskiej stajni, gdzie przychodziłem z narzędziami niby coś naprawiać, pozorując potrzebę bycia mego tu wobec spotykanych ss-mannów.

Przyjaciel mój przyjmował mnie tu prawdziwą ucztą.

Dawał mi menażkę pełną czarnego cukru, który po wymyciu w wodzie – odseparowaniu od soli – stawał się prawie białym. Dodawaliśmy do tego otręb pszennych. Po wymieszaniu jadłem to jak najsmaczniejszy tort.

I wtedy nie wyobrażałem sobie żebym kiedykolwiek przedtym, lub potym – nawet jeśli mi się uda jeszcze wrócić do życia na wolności – jadł coś równie smacznego.

Przyjaciel mój miał również mleko, które odlewał z porcji tu dostarczanej dla ogiera.

Trzeba było jednak dobrze uważać by nie „podpaść".

Samo przychodzenie bez określonego powodu i polecenia jakiejś reperacji przez capo było już zabronione.

Przyjaciel 31 [Karol Świętorzecki] stworzył tu zawiązek komórki naszej organizacji wśród obsługi stajni.

15-go maja przyjaciel mój został zwolniony na skutek starań matki jego i wyjechał do Warszawy, wioząc tam mój raport o pracy tutaj.

Znacznie później ulokowany w stajniach przezemnie przyjaciel 32[186], podtrzymywał wyczerpany swój organizm – dojąc źrebne klacze i pijąc kumys.

Była i garbarnia, gdzie koledzy korzystali z warunków obcinając skóry świńskie, oddane tu do wygarbowania – zmniejszając je z zachowaniem formy zasadniczej i gotując z obrzynków skóry „doskonałą zupę".

Dostarczone z garbarni przez przyjaciół mięso pieska – zjadłem kiedyś nie wiedząc jakie stworzenie zjadam (po raz pierwszy lato 41 r.).

Potym tosamo robiłem już świadomie.

Instynkt zachowania sił – wszystko co było możliwem do zjedzenia czynił – smacznym.

Dostarczane mnie pokryjomu przez przyjaciela 21 [Tadeusz Pietrzykowski], który pracował przy cielętach – otręby, w stanie surowym i tak źle oczyszczone, że kiedyś moje cielęta może by jeść nie chciały – wsypywałem do zupy, przywożonej nam do stolarni, zastanawiając się czy mogę wsypać dwie łyżki do menażki, czy tylko jedną (byliśmy „komandiert"[187] nie chodziliśmy na obiad i na apel południowy do obozu, liczono nas w stolarni).

Gdy przyjacielowi memu „21" [Tadeusz Pietrzykowski] udało się czasami przynieść więcej otręb, wtedy wprost wsypywałem garść do ust i tak na sucho powoli, małymi częściami – po rozdrobnieniu na możliwe do przełknięcia – łykałem razem z plewami. –

Okazuje się więc, że wszystko jest możliwe – i wszystko może być smaczne. –

Nic mnie nie szkodziło – może dlatego, że żołądek zawsze miałem niezwykle wytrzymały.

---

186 Leszek Cenzartowicz – ur. 6 lutego 1922 r. Do Auschwitz przybył 20 czerwca 1940 r. w transporcie krakowskim i zarejestrowany jako uczeń gimnazjum otrzymał nr 870. Przeniesiony w 1943 r. do KL Neuengamme, zginął 3 maja 1945 r. w Zatoce Lubeckiej, po pomyłkowym zbombardowaniu statków z więźniami przez alianckie lotnictwo.

187 Odkomenderowani (do innej pracy).

Fachowcem w pracy stolarskiej nie byłem – musiałem więc nadrabiać sprytem.

W początku dekowany przez kolegów (na dłuższy czas to było niemożliwym), następnie musiałem wyjść na pole zmagań z zadaniami stolarskimi.

Tu nauczyłem się dopiero ostrzyć narzędzia.

Ma się rozumieć w pojęciu ogółu stolarzy musiałem to umieć już dawno.

Prócz obercapa Balkego było paru capów i kilku majstrów, wobec których należało umiejętnie stolarza udawać.

Pod kierunkiem Władka [Władysław Kupiec] i paru innych przyjaciół nauczyłem się piłować, heblować, „spuszczać" kanty desek „rabanem" do sklejania, sklejając deski w blaty[188].

Najważniejszą pracę jednak wykonywały – oczy.

W Oświęcimiu na różnych stanowiskach i w różnych fachach zawsze najwięcej pracowały oczy i uszy. –

Trzeba było sięgać wzrokiem wszędzie, by odpoczynek mięśni wypadał w momencie, gdy nie widzi tego jakiś „naganiacz" – capo.

Lecz wtedy, gdy wzrok dozorcy przebiegając warsztaty lub postacie – spocznie na tobie lub znajdziesz się w polu widzenia tego pana nawet kątem jego oka – wtedy bracie musisz pracować lub umiejętnie udawać pracę.

Nie możesz stać lub wypoczywać, chociażbyś w nieobecności tego pana przedtym – pracował wiele.

Jeśli naprawdę tak robiłeś – byłeś nierozważny.

Uważaj! Arbeit macht frei! – czytasz to codzień parę razy na bramie. –

Możesz stąd „ulecieć kominem", gdy wyczerpiesz siły.

Możesz dostać kijem, gdy będziesz wypoczywał w czasie, gdy patrzy na ciebie któryś z dozorujących.

Co innego ma się rozumieć fachowiec pierwszorzędny, który tu ma już markę dobrą.

Ten nie potrzebował nic udawać.

Inni, chociażby byli naprawdę stolarzami, musieli się strzec.

Miejsc w warsztacie było kilka setek – w obozie ginęły tysiące.

Do warsztatu pchali się nowi, prawdziwi fachowcy.

Niezdary usuwano – ginęli w polu.

W ten sposób z konieczności i powoli stawałem się stolarzem. Robiłem już możliwie „cynki" – polerowałem.

Przyjaciół moich, co przyjechali z Warszawy (kwiecień-maj 41 r.) których wciągałem do roboty organizacyjnej, udało mi się ulokować – pod dachem.

188 Zbitka gwarowych pojęć z dawnego żargonu stolarskiego, określająca czynność strugania (spuszczania) wąskiego brzegu deski heblem (rabanem, rabankiem – niem. Raubank) pod idealnie prostym kątem celem sklejenia jej z drugą, podobnie wystruganą deską w gładki blat.

Kolegów 25 [Stefan Bielecki] i 26 [Stanisław Maringe] ulokowałem w komando „fahrbereitschaft"[189] przez naszego członka 33[190], który rządził się w tym komando jak u siebie.

Kolegę 27 [Jerzy Poraziński] przez dr. 2 [Władysław Dering] w szpitalu, jako pielęgniarza.

Kolegę 34 [NN] w szpitalu sekretarzem przez ppor. 4 [Alfred Stössel] i t.d.

Na bloki 11 i 12 (wiosna 41 r. stara numeracja) – „zugang'ów" gdzie przywożono nowych kolegów, chodziłem często szukać znajomych, wybierać kolegów do pracy, lokować pod dach – ratować.

Tu dnia pewnego spotkałem naraz rodzinę Czetwertyńskich: Ludwika[191], właściciela Żołudka i dwuch jego synów[192], oraz brata jego z Suchowoli[193]. Jednocześnie spotkałem tu mego przyjaciela z partyzantki 39 r. pdch. 35[194].

W parę dni potym spotkałem również dwóch kolegów z pracy w Warszawie 36[195] i 37 [NN].

Wszystkim im przyglądałem się bacznie, bo nigdy nie wiadomo było, jak taki przyjaciel się zachowa po przejściu w Warszawie Alei Szucha i Pawiaka[196].

Niektórzy byli wycieńczeni, niektórzy – załamani.

189 Warsztaty samochodowe.

190 Stanisław Kocjan – ur. 15 listopada 1916 r. w Krakowie, urzędnik. Do KL Auschwitz przywieziony pierwszym transportem krakowskim 14 czerwca 1940 r., otrzymał nr 65. Zginął w Auschwitz 2 lutego 1943 r.

191 Ludwik (Światopełk-)Czetwertyński – ur. 12 listopada 1877 r. w Milanowie, inż. rolnik, ziemianin. Przywieziony do Auschwitz transportem lubelskim 6 kwietnia 1941 r., otrzymał nr 14081. Zginął w KL Auschwitz 3 maja 1941 r.

192 Jerzy Konrad Wincenty (Światopełk-)Czetwertyński – ur. 19 lutego 1907 r. w Warszawie, s. Ludwika. Oficer rez. WP, por. kaw. ze starsz. z 1 stycznia 1937 r., uczestnik kampanii 1939 r. Do Auschwitz przywieziony 6 kwietnia 1941 r. z Warszawy, oznaczony numerem 12657, zarejestrowany jako gospodarz. Przeniesiony do KL Buchenwald, skąd zbiegł w 1944 r. Stanisław Tomasz (Światopełk-)Czetwertyński – ur. 7 marca 1910 r. w Warszawie, s. Ludwika, inż. rolnik, ziemianin, of. rez. WP, ppor. kaw. ze starsz. z 1 stycznia 1934 r., uczestnik walk w 1939 r. Do obozu przywieziony 6 kwietnia 1941 r. z Lublina, otrzymał nr 14863. Przeniesiony do więzienia w Lublinie, skąd został wysłany do KL Buchenwald. Wojnę przeżył.

193 Seweryn (Światopełk-)Czetwertyński – ur. 18 kwietnia 1873 r. w Warszawie, inż. rolnik, ziemianin. Przybył do obozu 6 kwietnia 1941 r. z Lublina i otrzymał nr 14080. W 1942 r. ponownie przeniesiony na śledztwo do Lublina, stamtąd skierowany do KL Buchenwald, wojnę przeżył.

194 Remigiusz Niewiarowski – ur. 6 lipca 1914 r. w Petersburgu, agronom, pchor. rez. kaw. WP. Uczestnik walk w 1939 r., m.in. w oddziale kaw. ppor. W. Pileckiego, do którego dołączył w Perespie 21 września. Do Auschwitz przywieziony 6 kwietnia 1941 r. z Lublina, nr 13957. Zmarł z wycieńczenia 15 sierpnia 1941 r. w KL Auschwitz.

195 Stanisław Arct – ur. 20 października 1919 r. w Warszawie, księgarz. Przywieziony do Auschwitz z Warszawy 6 kwietnia 1941 r., otrzymał nr 12654. Rozstrzelany w KL Auschwitz 23 lipca 1942 r.

196 Aleja Jana Chrystiana Szucha – ulica w południowej części Śródmieścia Warszawy. Tam w przedwojennym gmachu polskiego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego znajdowała się warszawska siedziba gestapo, powszechnie znana jako katownia, w której stosowano najwymyślniejsze metody przesłuchań i wydobywania zeznań z aresztowanych. Pawiak – centralne więzienie w Warszawie przy ul. Dzielnej 24/26 u jej zbiegu z ul. Pawią, od której wzięło potoczną nazwę. W okresie niemieckiej okupacji największe więzienie polityczne na ziemiach polskich. Według szacunkowych obliczeń do lipca 1944 r. przez więzienie to przeszło prawie 100 tys. Polaków, z których ponad 37 tys. zamordowano, a pozostałych skierowano do obozów koncentracyjnych i innych więzień.

Nie wszyscy już tu nadawali się do pracy organizacyjnej – do nowej konspiracji.

Mjr. 38[197], który pracował u nas w Warszawie pod pseudonimem „Sęp II" – przy pierwszym spotkaniu na placu, w Oświęcimiu (lato 41 r.) rzucił się do mnie z radością głośno wołając: „A pan tutaj?... a mnie w Warszawie w gestapo d... w kratki posiekali, pytając: gdzie Witold jest?... Dawno pan siedzi?... o... jaki stary numer pan ma!... jak pan to zrobił?... Ja pana przecie przed dwoma miesiącami widziałem w Warszawie... i tak twierdziłem na Alei Szucha!" krzyczał głośno na placu przy kilkunastu moich kolegach i rozkonspirował mnie, bo przecie tu byłem Tomaszem [Serafińskim].

Dobrze, że drani między nami nie było.

A co do tego „jak ja to zrobiłem, że byłem dwa miesiące temu w Warszawie..." tego nie tłomaczyłem niczym innym, jak że on po biciu na Alei Szucha dostał już lekkiego obłędu.

Okazało się znacznie potym, że należało to zupełnie czym innym tłomaczyć[198].

Z kilkunastu, którzy w tych miesiącach przyjechali starych znajomych z pracy – najwięcej mi w pracy tu przydali się 25 [Stefan Bielecki] i 29 [Włodzimierz Makaliński], do których prawie tyle miałem zaufania ile do siebie samego. –

W blokach „zugangów" stojąc w kącie sali i obserwując tych ludzi, którzy świeżo z ziemi przybyli i mieli zdawało by się na sobie jeszcze kurz Warszawy – człowiek czuł się tak jakoś dziwnie. –

Tak jakby mieścił w sobie naraz kilku ludzi.

Jeden chciałby czuć żal do losu i tęsknotę za ziemią, gdyby się nie wstydził tej reszty w sobie.

Drugi jednak był silniejszy i ten właśnie widział w sobie radość zwycięstwa nad zachciankami i drobiazgami zbędnymi tutaj, do których ludzie są przywiązani na ziemi.

Trzeci – z pewnego rodzaju politowaniem, nie w najgorszym słowa tego znaczeniu, lecz z jakimś uśmiechem wewnętrznym, braterskim, pobłażliwie patrzał na tych przybyszów, co to jeszcze zwracali się wkoło do siebie nawzajem: panie mecenasie, panie inżynierze, panie pułkowniku, panie poruczniku.

Mój Boże! – jak prędko z was to wszystko musi opaść... im prędzej – tym lepiej.

Tu wykańczają przedewszystkiem inteligencję i dlatego, że taki jest nakaz dla władzy lagru i ponieważ inteligent nienadający się jako rzemieślnik w warsztacie – jeśli nie trafił do rezerwatu inteligencji lagru: baubiura, schreibstuby, szpitala, effektenkameru i bekleidungskammeru[199] – to ginął, jako materiał tu korzyści nie przynoszący, lecz i dlatego, że czasami niestety inteligent posiadający mądrość naukową, był życiowo zupełną niezdarą.

197 Kazimierz Chmielewski – ur. 20 sierpnia 1891 r. w Woli Kamieńskiej lub Kamionkowskiej, of. zaw. WP przeniesiony w st. sp. w 1929 r., mjr piech. ze starsz. z 15 sierpnia 1924 r. W okresie międzywojennym pełnił służbę w 32 pp w Modlinie i Działdowie, 21 pp warszawskim, 7 batalionie granicznym KOP w Hołubiczach oraz 71 pp w Zambrowie. Członek TAP. Do Auschwitz przywieziony 6 kwietnia 1941 r., zarejestrowany jako rencista, otrzymał nr 12609. Zginął w KL Auschwitz 8 października 1941 r.

198 Autor nie wyjaśnił, co było powodem niezbyt zrównoważonego zachowania mjr. K. Chmielewskiego.

199 Bekleidungskammer – magazyn odzieży więźniów.

Pozatym miał organizm wydelikacony, nieprzystosowany do pracy fizycznej i byle jakiego odżywiania.

Przykro – lecz chcąc oddać obraz prawdy w obozie, nie mogę pominąć tego momentu.

I niesłusznie czytając to zarzucałby mnie ktokolwiek chęć „obmalowania" inteligencji.

Zdaje mi się że sam mam prawo do jakiegoś tam miejsca wśród takowej, lecz nie znaczy to żebym gorzkiej prawdy nie miał napisać.

W wielkim procencie inteligenci przywiezieni do obozu byli niezdarami życiowymi. Nie orientowali się że inteligencję swoją naukową – dyplomowaną należało ukryć narazie jaknajgłębiej i jaknajprędzej pod inteligencją umysłu sprężystego, szukającego sposobu zaczepienia się za życie na tej skalistej, trudnej do wegetowania glebie „koncentraku".

Nie tytułować się należało, lecz brać się z warunkami za bary.

Nie żądać, dlatego że się jest inżynierem pracy w biurze lub, że jest się doktorem – pracy w szpitalu, lecz zadawalać się każdą możliwą „dziurką" przez którą by z bloku „zugangów" można było się wymknąć gdziekolwiekbądź byleby się znaleźć na miejscu pracy, która władzom obozu wydaje się potrzebna, a która jednak nie ubliża honorowi Polaka. –

Nie „dać się ważnie", że jest się mecenasem, tu zawód ten absolutnie nie popłacał.

Być przedewszystkiem koleżeńskim w stosunkach z każdym Polakiem, jeśli nie jest draniem i korzystać z każdej przysługi, przysługą odpłacając. –

Bo tu się żyło tylko wzajemnie się wiążąc przyjaźnią – pracą, wzajemnie się wspomagając...

A iluż tego nie rozumiało?!

Iluż było takich egoistów o których można powiedzieć: nie lgnie fala do niego ani on do fali. Taki musiał ginąć. Zbyt mało mieliśmy miejsc, a wielu do ratowania.

Charakterystycznym pozatym był brak siły woli, nie należało jeść wszystkiego, czego się nie może strawić, a nie wszystkie żołądki naszej inteligencji były wytrzymałe.

„Głupi, zasr...y inteligent" – było to przezwisko najpogardliwsze w obozie.

Od wiosny roku 41 obywatelstwo lagru uzyskało słowo „muzułman"[200], tak nazwali niemcy stojący u władzy więźnia, który się wykańczał, osłabł, ledwo chodził – i przyjęło się to powiedzenie. powszechnie.

W pewnym wierszu obozowym mówiliśmy:

...muzułmani – lekko wiatrem kołysani...

Był to stwór na przełomie pomiędzy życiem a – kominem krematorium.

Bardzo trudno powracał do sił, przeważnie kończył w szpitalu lub na „schonungsblock"[201] (blok 14 stara numeracja, następnie podług nowej – 19-ty), gdzie kilka setek

200 Muzułman – w żargonie obozowym określenie więźnia skrajnie wycieńczonego. U muzułmanów następował zanik podściółki tłuszczowej i mięśni, sucha skóra uwydatniała zarys kości, twarz przybierała wyraz maski, oczy stawały się zamglone. Ich ruchy ulegały spowolnieniu, garbili się, najchętniej przebywali w pozycji kucznej. Wraz ze zmianami somatycznymi następowały zaburzenia psychiczne. Początkowo muzułmani byli nadpobudliwi i drażliwi, a ich uwaga była skupiona tylko na zdobyciu jedzenia; z czasem całkowicie obojętnieli na bodźce zewnętrzne. Byli zwolnieni z obowiązku pracy, a w trakcie selekcji w obozie kierowano ich do komór gazowych.

201 W skład kompleksu szpitala obozowego dla więźniów w oświęcimskim obozie macierzystym wchodziły bloki: 19 – dla rekonwalescentów, 20 – chorób zakaźnych, 21 – chirurgiczny i 28 – chorób wewnętrznych.

tych cieni ludzkich doznawało łaski władz lagru, mogły tam stać cały dzień na korytarzach w szeregach i nic nie robić, lecz to stanie ich kończyło również.

Śmiertelność na tym bloku była ogromna.

W lipcu 41 r. na placu, gdy przechodziłem koło grupki kilkunastu młodych chłopców (16–17 lat), przywiezionych tu z ławy szkolnej, za to że śpiewali piosenki patriotyczne, jeden z nich 39[202] rzucił się do mnie z okrzykiem: „A! Wujek!...” – nowa dekonspiracja. –

Ucieszyłem się jednak, nie tym – ma się rozumieć – że go przywieźli – lecz wiadomościami od swoich.

W parę tygodni później w stolarni, w maszynowni „werznęły się” w twarz moją czyjeś oczy, bez mrugnięcia mnie przyglądające się uważnie.

Wzrok wytrzymałem.

Człowiek ten niewysokiego wzrostu, więzień-Polak podszedł do mnie i zapytał czy jestem XY wymieniając moje nazwisko prawdziwe.

Powiedziałem, że to omyłka. Lecz nie dał się zwieść, zapewniając, że jego się bać nie potrzebuję.

W parę tygodni potym był zaprzysiężony i pracował u nas. 40[203].

W stolarni miał pracę, w maszynowni.

W stolarni powiększyłem nasze szeregi zaprzysięgając trzech dzielnych Polaków 41[204], 42[205], 43[206].

202 Kazimierz Radwański – ur. 16 października 1924 r. w Ostrowi Mazowieckiej, siostrzeniec Pileckiego, uczeń gimnazjum, harcerz. Aresztowany z kolegami za śpiewanie patriotycznych piosenek, do Auschwitz przywieziony transportem z Warszawy 29 maja 1941 r., otrzymał nr 16788. Członek ZOW. W 1943 r. przeniesiony do KL Buchenwald, stamtąd od KL Bergen-Belsen. Zmarł 16 października 1960 r., pochowany w Ostrowi Mazowieckiej.

203 Tadeusz Szydlik – ur. 15 września 1916 r. w Dankowie, stolarz, podof. rez. WP. Do KL Auschwitz przywieziony 15 sierpnia 1940 r. transportem warszawskim, nr 2198. W 1944 r. przeniesiony do Sachsenhausen, a następnie do Ravensbrück. Wojnę przeżył.

204 Stanisław Stawiszyński – ur. 21 września 1919 r. w Pruszkowie, kowal. Przywieziony do Auschwitz transportem warszawskim z 6 kwietnia 1941 r., otrzymał nr 13689. Według ewidencji więźniów zginął 14 stycznia 1943 r. w KL Auschwitz, a według informacji podanych przez A. Cyrę został rozstrzelany 11 października 1943 r.

205 Tadeusz Jan Kazimierz Lech – ur. 4 marca 1913 r. w Brzeźnicy k. Bochni (według ewidencji PMAB w Szarowie), student filozofii w zakresie historii na Uniwersytecie Jagiellońskim, of. rez. WP, ppor. piech. ze starsz. z 1 stycznia 1938 r. Był jednym z założycieli, a później kierownikiem pierwszej bocheńskiej organizacji konspiracyjnej – Związku Walki o Wolność Polski. Ostrzeżony o możliwości aresztowania nie chciał uciekać w obawie o los rodziny. 11 września 1940 r. aresztowany i przewieziony do krakowskiego więzienia Montelupich. Do Auschwitz przywieziony 10 stycznia 1941 r. w transporcie krakowskim, w obozie zarejestrowany jako snycerz, otrzymał nr 9235. Rozstrzelany 11 listopada (według dokumentacji SS 10 listopada) 1941 r. w KL Auschwitz w grupie 150 więźniów. Była to jedna z pierwszych masowych akcji rozstrzeliwania więźniów przeprowadzona z okazji polskiego Święta Niepodległości 11 listopada.

206 Antoni Koszczyński – ur. 17 stycznia 1915 r. w Boruszynie, podof. rez. WP. Do obozu przywieziony transportem z Warszawy 22 września 1940 r. (tym samym co W. Pilecki), nr obozowy 4075. Przeniesiony w 1944 r. do KL Buchenwald, wojnę przeżył.

Wkrótce potym weszli do naszej pracy 44[207], 45[208], 46[209].

W stolarni już jako-tako dawałem sobie radę.

Praca moja i sylwetka „niby-stolarza" jakimś zrządzeniem losu „nie podpadała" capom.

Raz tylko jeden, gdy pasowałem deski rabanem do sklejania sam przy warsztacie – stanął za mną o kilka kroków ober-capo Balke i przyglądał mi się chwilę, o czym ja nie wiedziałem, potym zawołał capo Waltera [NN] i wskazując na mnie palcem, powiedział wolno cedząc słowa: „wer ist dass?"[210] – lecz nieprzerywając mi pracy poszli dalej.

Mówili mi o tym koledzy koło których warsztatów stali capowie.

Że nie stolarz jestem – widocznie się orientował.

Balke był to wogóle ciekawy człowiek. Wysoki, przystojny, o inteligentnym wyglądzie, dość sztywny i zimny. –

Niedzielami, gdy nas dręczono tak zwaną „blocksperrą"[211] do południa. Zamykano na blokach robiąc różne przeglądy umundurowania – wtedy przychodził Balke i kazał wszystkim stolarzom wychodzić na plac, gdzie robił zbiórkę, przestawiał – ustawiał dwudziestki, wyznaczał dwudziestkowych i trzymał na placu kiedy było słońce, grała orkiestra i zanim nie skończyła się „blocksperra", potym z uśmiechem żegnał nas wesoło, puszczając na blok.

Obóz nasz stale się powiększał.

Nie stan liczebny więźniów – tych było prawie zawsze wtedy około 5–6 tysięcy.

Numer bieżący coprawda sięgał ponad 20 tysięcy więźniów, lecz kilkanaście tysięcy wchłonęło już krematorium.

---

207 Wincenty Gawron – ur. 28 stycznia 1908 r. w Starej Wsi k. Limanowej, artysta malarz, uczył się w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych we Lwowie, a następnie w Krakowie. Od 1935 r. student Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Członek ZCZ – jednej z pierwszych organizacji konspiracyjnych w południowej Polsce. Aresztowany 19 stycznia 1941 r. w Mordarce. Do Auschwitz przybył 5 kwietnia 1941 r. w transporcie krakowskim, oznaczony nr 11237. Członek ZOW, zbiegł z obozu 16 maja 1942 r. wraz ze Stefanem Bieleckim (nr 12692). Wrócił w rodzinne strony, ale zagrożony kolejnym aresztowaniem wyjechał do Warszawy. Żołnierz AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim w szeregach Brygady Dyspozycyjno-Zmotoryzowanej NSZ „Koło" w zgrupowaniu „Róg" Grupy „Północ". Wyszedł z Warszawy z ludnością cywilną przez obóz w Pruszkowie. W kwietniu 1945 r. aresztowany przez NKWD, zbiegł i przez Czechosłowację i Niemcy przedostał się do 2 Korpusu Polskiego we Włoszech, gdzie ponownie spotkał Pileckiego. Z korpusem wyjechał do Wlk. Brytanii; po demobilizacji wyemigrował do Kanady i USA. Zmarł podczas pobytu w Polsce 25 sierpnia 1991 r., pochowany w Limanowej.

208 Stanisław Gutkiewicz – ur. 23 lipca 1910 r. w Janowcu, artysta malarz. Uczył się w Miejskiej Szkole Sztuki Stosowanej i Malarstwa w Warszawie, a w latach 1934–1938 w warszawskiej ASP. Do Auschwitz przybył 18 marca 1941 r. transportem więźniów ze Śląska i otrzymał nr 11003. Rozstrzelany w KL Auschwitz 12 lub 14 czerwca 1942 r.

209 Wiktor Józef Sniegucki (Śniegucki, Śniegocki) – ur. 11 maja 1912 r., harcmistrz, of. rez. WP, ppor. art. ze starsz. z 1 stycznia 1938 r. Do KL Auschwitz przywieziony 23 listopada 1940 r. transportem z Warszawy, otrzymał nr 6274. W 1943 r. przeniesiony do KL Buchenwald.

210 Kto to jest?

211 Zakaz opuszczania baraków przez więźniów. Była to kara dodatkowa, wprowadzana zwłaszcza w czasie wolnym od pracy. Czasem także ograniczenie poruszania się więźniów po obozie, by nikt niepowołany nie widział jakiejś akcji przeprowadzanej na terenie obozu, np. wywożenia chorych ze szpitala do komór gazowych.

Obóz powiększał się inaczej – rozbudowywał się.

Poza ośmiu blokami zbudowanymi na placu apelowym (co spowodowało zmianę numeracji w całym lagrze), pozatym, że rozbudowywano obóz w kierunku na „industriehof I", w samym zasadniczym naszym obozie (t.zw. Stammlager)[212], jeszcze budowano szybko filje jedną t.zw. „Buna"[213], 8 kilometrów na wschód od obozu, gdzie pracowano nad fabryką niby gumy, drugą filją naszego stammlagru był nowopowstający obóz „Birkenau" (Brzezinki), od lasku brzozowego tak nazwany[214]. Noszący jeszcze nazwę „Rajsko"[215], co nie miało nic wspólnego z wioską Rajsko – (Birkenau leżało parę kilometrów na zachód, wieś Rajsko – na południe) a nazwa nadana była tylko dla ironii.

Na obu filiach – przy budowie ginęło mnóstwo ludzi.

Na Bunę kilkanaście setek więźniów codziennie wymaszerowywało przed apelem porannym (wstawali znacznie wcześniej od nas, wracali w kilka godzin po zakończeniu dnia pracy przez nas).

Na Birkenau budowano dopiero baraki – drewniane – narazie budynki dziewiczo niewinne – nowe.

Dopiero potym w Brzezince-Rajsku działy się sceny piekielne.

Do budowy tych baraków w polu potrzebni byli i cieśle i stolarze, a w braku większej ilości cieśli zastępowano ich odrazu stolarzami.

Praca w polu na deszczu, a potym już w śniegu, pod kijem capów spieszących z pracą, gdyż nakaz był wyraźny zbudować to piekło w Rajsku jaknajszybciej. –

Tu pójść mieli od nas – by ginąć tam stolarze.

Balke musiał dać tych stolarzy. Robił to niechętnie. Wybierał zawsze długo.

---

212 Obóz macierzysty. KL Auschwitz, określany już wtedy jako KL Auschwitz I, był obozem macierzystym dla KL Auschwitz II-Birkenau, KL Auschwitz III-Monowitz oraz kilkudziesięciu filii i podobozów, rozlokowanych m.in. przy wielu zakładach Śląska.

213 Buna – niemiecka handlowa nazwa kauczuku syntetycznego, wyprodukowanego po raz pierwszy w 1936 r. przez koncern IG Farben. Zakład nazywany Buna-Werke zaczęto budować w 1941 r. na polach wsi Monowice k. Oświęcimia. Pierwsze komando więźniów zaczęto dowozić ciężarówkami na plac budowy w połowie kwietnia 1941 r., ale już od początku maja więźniowie musieli pokonywać drogę do fabryki pieszo (ok. 6–7 kilometrów). Pod koniec lipca „komando Buna", liczące ok. 1000 więźniów, zaczęto transportować do stacji kolejowej Dwory pociągiem. Więźniowie wykonywali ciężkie prace fizyczne: niwelowali teren, kopali rowy odwadniające, kładli kable i budowali drogi. Po zimowej przerwie prace w Dworach wznowiono wiosną 1942 r. i kontynuowano do 21 lipca, kiedy wskutek wybuchu epidemii tyfusu w Auschwitz I i Auschwitz II-Birkenau wyjazdy wstrzymano. Zaniepokojona utratą siły roboczej dyrekcja IG Farben wyraziła zgodę na przekazanie do dyspozycji SS jednego z obozów barakowych budowanych w pobliżu Monowic, w którym zamiast robotników cywilnych – jak pierwotnie planowano – umieszczeni zostali więźniowie. Termin oddania obozu do użytku kilkakrotnie przekładano. Pierwsi więźniowie pojawili się w nim 26 października 1942 r., a w początkach listopada stan KL Auschwitz III-Monowitz wynosił już ok. 2000 osób.

214 Obóz Auschwitz II, czyli KL Birkenau, został wybudowany głównie na polach wysiedlonej i zniszczonej przez Niemców wsi Brzezinka, od której pochodzi nazwa „Birkenau".

215 Rajsko – wieś na południu od Oświęcimia w kierunku Brzeszcz; znajdowała się w tzw. strefie interesów Auschwitz i z tego tytułu jej mieszkańcy zostali wysiedleni, chociaż obóz mieścił się na terenie wsi Brzezinka.

Był to ciężki moment dla stolarzy, lecz zdawało się że również i dla niego.

Stolarze, którzy szli na pracę przy budowie baraków w polu (a ogółem poszło około trzeciej części wszystkich stolarzy) – przeważnie tam ginęli – zaziębiali się lub wprost kończyli w pracy.

Dawał więc gorszych fachowców.

Zazwyczaj patrzał badawczo na mnie – jakby myślał: dać go tam czy nie dać?

I jakoś szedł dalej wzdłuż szeregu stojących stolarzy, czekających na swą kolej losu – pozostawiając mnie w stolarni.

Zwolnionych z obozu w Oświęcimiu był minimalny procent.

Byli to przeważnie koledzy z łapanek warszawskich, którzy spraw żadnych nie mieli, a których rodziny wykupywały za pieniądze, przez różnych tym precedensem trudniących się pośredników, nieraz trafiając na szantażystów i szarlatanów. Lub też przez rodziny które miały własne chody w konsulatach państw obcych, a nawet na Al. Szucha.

W jesieni 40 r. z warszawskich transportów zwolniono od 70–80 osób.

W ciągu 41 roku zwolnienia były bardzo rzadkie, dosłownie po kilku więźniów razem do jesieni 41 r. w sumie kilkudziesięciu więźniów – dopiero w jesieni 41 roku poszło około dwustu więźniów na blok „wolnościowy" (specjalnie na ten cel przeznaczony), gdzie odbywali „kwarantannę" przed wyjściem z obozu.

To znaczy karmiono ich lepiej, by doprowadzić do możliwego wyglądu, nie bito, a takich co mieli ślady bicia lub rany – przetrzymywano w szpitalu do zagojenia i wykurowania, by na świat z sobą nie wynieśli świadectwa obchodzenia się z więźniami w Oświęcimiu.

Biorąc jednak pod uwagę, że w listopadzie 41 roku przyjeżdżający do obozu otrzymywali już numer bieżący ponad 25 tysięcy – cóż znaczyło tych ponad trzy setki uwolnionych?

Każdy zwolniony więzień, po przebraniu go w jego cywilne ubranie (z worków w „effektenkammer", w których wisiały jego rzeczy), musiał przejść łącznie z grupą zwolnionych kolegów lub sam, przez domek drewniany za bramą (gdzie mieściło się również „postzensurstelle"), gdzie żegnał ich ss-mann dobitnie wbijając w głowę, że na wolności ma milczeć absolutnie na temat obozu w Oświęcimiu.

Że jeśli ktoś będzie pytał, jak tam w Oświęcimiu było, to należy mu odpowiedzieć: „jedź sam i zobacz!" (naiwna sugestia).

I, że jeśli władze niemieckie się dowiedzą, że ktoś ze zwolnionych nie umiał utrzymać języka za zębami, to się bardzo szybko znajdzie znowu w Oświęcimiu (to było więcej przekonywujące i byli więźniowie Oświęcimia na wolności naprawdę milczeli jak zaklęci).

Gra, którą zacząłem prowadzić w Oświęcimiu była niebezpieczną.

Zdanie to nie oddaje rzeczywistości – właściwie daleko przekroczyłem to, co niebezpiecznem ludzie nazywają na ziemi – samo przekroczenie drutów wchodząc do obozu już było więcej niż niebezpieczne.

To też praca, którą rozpocząłem tu frapowała mnie całego, bez reszty, a że zaczęła rozwijać się coraz szybciej, zgodnie z planem, naprawdę zacząłem się obawiać, by rodzina nie wykupiła mnie, jak innych kolegów, bo przecież również żadnej sprawy tu nie miałem i przyjechałem z „łapanki".

To też pisałem do rodziny, nie mogąc dekonspirować pracy, że jest mi tutaj naprawdę dobrze, żeby nie ruszali mojej sprawy, że chcę tu trwać do końca. Sam los rozstrzygnie czy mi się uda wyjść i t.p.

Powrotną drogą otrzymałem odpowiedź, że Janek W. [Jan Włodarkiewicz] którego – gdy się dowiedział gdzie jestem – sumienie niepokoiło, pytał wszystkich: „dlaczego poszedł?" Był jednak konsekwentny i rodzinie, która się zwróciła o pomoc w wykupieniu mnie, odpowiedział, że pieniędzy na to niema.

Znalazłem drogę, którą mogłem słać listy do rodziny, pisząc po polsku.

Młodociany przyjaciel mój 47 [NN] zdobył możliwości, chodząc do pracy w miasteczku kontaktu z cywilami, przez których wysłałem dwa listy do rodziny.

Listy moje były przekazywane do Komendy Głównej[216].

Z pierwszych współpracowników moich w Warszawie – tu w Oświęcimiu, prócz już wymienionych spotkałem w początku 41 roku – Stacha[217] 48– którego wywieźli do kamieniołomów i latem 41 roku Janka[218] 49, którego udało się jako chorego umieścić w transporcie do Dachau[219], które w porównaniu z Oświęcimiem było o wiele lepszym obozem.

Powtarzające się próby ucieczek spowodowały że władze obozu zdobyły się na stosowanie odpowiedzialności solidarnej i za ucieczkę jednego rozstrzeliwano dziesięciu więźniów (od wiosny 41 r.).

---

216 Autor ma na myśli prawdopodobnie KG KZ, którą TAP współtworzyła od stycznia 1941 r. Dopiero od września 1941 r. meldunki Pileckiego z Auschwitz mogły trafiać od razu pod najważniejszy adres, do KG ZWZ, wtedy bowiem KZ podporządkowała się dyrektywom scaleniowym polskich władz politycznych i wojskowych i jak większość organizacji konspiracyjnych w Polsce weszła w skład ZWZ.

217 Stanisław (według ewidencji PMAB Władysław) Ozimek – ur. 1 lipca 1901 r., podof. kancelaryjny Kierownictwa Rejonu Intendentury WP w Warszawie. Do Auschwitz przybył transportem warszawskim z 22 września 1940 r. (tym samym co Pilecki) i otrzymał nr 4933; przeniesiony do KL Flossenbürg, gdzie zginął 8 sierpnia 1941 r.

218 Jan Dangel – ur. 1 września (według niektórych źródeł 19 sierpnia) 1916 r. w Brześciu Litewskim, wychowywał się w Mińsku Litewskim (obecnie Mińsk – stolica Białorusi), ekonomista i pracownik naukowy. Jako student Szkoły Głównej Handlowej (SGH) w Warszawie uczestniczył ochotniczo w obronie Warszawy, a po kampanii 1939 r. współtworzył grupę konspiracyjną, z którą w listopadzie 1939 r. wszedł do TAP. Aresztowany przez gestapo, do Auschwitz przywieziony transportem warszawskim 6 kwietnia 1941 r. i zarejestrowany jako handlarz, otrzymał nr 13486. Przeniesiony do KL Dachau jeszcze w 1941 r. Studia w SGH ukończył w 1948 r. i pracował jako kierownik Zakładu Statystyki Mieszkaniowej w Instytucie Budownictwa Mieszkaniowego. Od 1973 r. był kierownikiem Zakładu Spółdzielczości Mieszkaniowej w Spółdzielczym Instytucie Budownictwa. Zmarł w Warszawie 30 grudnia 1974 r.

219 Pierwszy w III Rzeszy obóz koncentracyjny, założony w marcu 1933 r., wyzwolony przez Amerykanów w końcu kwietnia 1945 r. Zamordowano w nim co najmniej 31 tys. więźniów. Wszystkie stare obozy, tzn. istniejące wcześniej niż Auschwitz i z reguły mniejsze, były uważane przez osadzonych za znacznie lepsze dla więźniów i dające większe szanse przeżycia niż KL Auschwitz.

Wybieranie dziesięciu na śmierć za jednego zbiega, było ciężkim przeżyciem dla obozu, a szczególnie dla bloku z którego wybierano.

Wtedy my, jako organizacja ustosunkowaliśmy się do ucieczek wyraźnie negatywnie.

Żadnych ucieczek nieorganizowaliśmy i potępialiśmy wszelki odruch w tym kierunku, jako przejaw krańcowego egoizmu, aż do czasu kiedy w tej dziedzinie nastąpiły zasadnicze zmiany.

Narazie wszelkie ucieczki były wyczynem dzikim, nic z organizacją naszą nie mającym wspólnego[220].

„Wybiórka" na śmierć odbywała się zaraz po apelu, na którym stwierdzono nieobecność zbiega.

Przed blok stojący w dziesięciu szeregach, a z którego uciekł więzień, zjawiał się komendant obozu ze świtą i przechodząc przed szeregiem kiwał ręką na tego więźnia, który mu się podobał, lub może niepodobał.

Szereg przeglądnięty robił pięć kroków „naprzód marsz!" i świta szła przed szeregiem następnym.

Były rzędy z których wybierano paru, lub nie brano nikogo.

Najlepiej było, gdy ktoś odważnie patrzał w oczy śmierci – tego przeważnie nie brano.

Nie wszyscy wytrzymywali nerwowo i czasami któryś za plecami komisji przebiegał naprzód, do szeregu już przejrzanego – tego przeważnie właśnie zauważyli i wzięli na śmierć.

Razu pewnego zdarzył się wypadek, że gdy wybrano młodego więźnia – z szeregów wystąpił staruszek-ksiądz[221] i prosił komendanta obozu, by wybrał jego, a zwolnił tamtego młodego od kary.

Moment był silny – blok skamieniał z wrażenia.

Komendant się zgodził.

Ksiądz-bohater poszedł na śmierć, a tamten więzień wrócił do szeregu[222].

220 Fragment podkreślony w maszynopisie *Raportu*. Podobnie jest w kilku innych miejscach tekstu.

221 Maksymilian Maria (Rajmund) Kolbe – ur. 8 stycznia 1894 r. w Zduńskiej Woli, franciszkanin. Przywieziony do KL Auschwitz w transporcie warszawskim 29 maja 1941 r., otrzymał nr 16670; kanonizowany w 1982 r. jako męczennik. W dniu 29 lipca 1941 r. ofiarował swoje życie za współwięźnia. Wydarzyło się to podczas tzw. dziesiątkowania, zarządzonego w odwecie za ucieczkę jednego z więźniów. Polegało ono na wybieraniu przez Lagerführera Karla Fritzscha (zob. przyp. 79) do egzekucji co dziesiątego spośród więźniów bloku, w którym mieszkał zbieg. Tego dnia w grupie skazanych znalazł się Franciszek Gajowniczek (nr 5659). Kiedy Kolbe usłyszał, jak ten głośno się żalił, że pozostawi żonę i osieroci dzieci, wystąpił z szeregu i poprosił o możliwość zastąpienia Gajowniczka. Ku zdumieniu zarówno więźniów, jak i pozostałych esesmanów Fritzsch wyraził zgodę. Po dwóch tygodniach pobytu w celi głodowej nr 18 bloku śmierci o. Kolbe został 14 sierpnia 1941 r. dobity zastrzykiem fenolu przez blokowego szpitala więźniarskiego Hansa Bocka (zob. przyp. 148). Pilecki miał wtedy 40 lat, a Kolbe – 47 lat. Nie był zatem staruszkiem, jak określił go Pilecki, ale prawdopodobnie po dwumiesięcznym pobycie w obozie wyglądał na starszego niż w rzeczywistości.

222 Ocalony więzień to Franciszek Gajowniczek – ur. 15 listopada 1901 r. w Strachominie, podof. zaw. WP, sierż. 36 pp Legii Akademickiej w Warszawie, uczestnik kampanii 1939 r. Po kapitulacji twierdzy Modlin dostał się do niewoli niemieckiej, skąd zbiegł. Usiłował przedostać się do AP tworzonej we Francji.

Polityczny oddział pracował – rezultatem były rozstrzeliwania za sprawy na ziemi.

Specjalną radość miały władze lagru, gdy zbierały większą grupę Polaków do rozstrzelania w dnie, które kiedyś były obchodzone, tam, w Polsce – na ziemi.

Z reguły prawie mieliśmy większą „rozwałkę" w dniu 3-go maja i 11-go listopada, raz na dodatek grupę Polaków rozstrzelano 19-go marca[223].

Kiedyś na ziemi nieraz tęskniąc do pracy twórczej dłutem – do rzeźby –myślałem: cóż, kiedy nie mam absolutnie nigdy na to czasu – musieli by mnie chyba zamknąć do więzienia.

Los na mnie w życiu był zawsze łaskaw, musiał i to podsłuchać. –

Byłem zamknięty – należało więc tylko próbować rzeźbić – nie miałem zresztą o tym żadnego pojęcia.

Przy stolarni była rzeźbiarnia.

Właściwie za wyjątkiem paru artystów-malarzy po akademji jak 44 [Wincenty Gawron] i 45 [Stanisław Gutkiewicz] – pracowali tu sami snycerze, przeważali – górale.

Przy pomocy 45 [Stanisław Gutkiewicz] i 44 [Wincenty Gawron] – dostałem się do rzeźbiarni.

Ułatwiał moje przejście fakt, że rzeźbiarnia była podkomandem stolarni w której pracowałem kilka miesięcy.

Kierownikiem pracy w rzeźbiarni był swój chłop – 52[224].

Zjawiłem się tam (1.XI.41.), zrobiłem kilka rysunków – projektów noży do papieru.

Powiedziano mi: „Pięknie – to jest na papierze, lecz proszę przenieść to w rzeźbie na drzewo".

I tak zacząłem pracę, przenosząc się na stałe do rzeźbiarni.

W ciągu pierwszego tygodnia wyrzeźbiłem trzy noże.

Pierwszy nóż – to było wogóle zapoznanie się moje z trzymaniem w ręku i użyciem narzędzi, drugi – był nieco lepszy, a trzeci – 52 [Tadeusz Myszkowski] pokazał rzeźbiarzom ze słowami: „Tak noże należy rzeźbić!"

Praca więc poszła.

Obok mnie z jednej strony siedział zawsze wesoły, pierwszorzędny kolega – 42 [Tadeusz Lech], z drugiej – przyjaciel 45 [Stanisław Gutkiewicz].

W styczniu 1940 r. ujęty przez gestapo w Poroninie. Do Auschwitz przywieziony 8 października 1940 r. w transporcie krakowskim, otrzymał nr 5659. W 1944 r. został przeniesiony do KL Sachsenhausen. W 1982 r. uczestniczył w kanonizacji o. M.M. Kolbego. Zmarł 13 marca 1995 r. w Brzegu.

223 19 marca – uroczystość św. Józefa; w Polsce międzywojennej dzień tradycyjnie obchodzony jako święto patronalne marszałka Józefa Piłsudskiego.

224 Tadeusz Franciszek Myszkowski „Myszka" – ur. 25 września 1912 r. w Zakopanem, artysta malarz i rzeźbiarz, absolwent Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Krakowie. Do Auschwitz przybył w pierwszym krakowskim transporcie 14 czerwca 1940 r. i otrzymał nr 593. W 1944 r. przeniesiony do KL Sachsenhausen, a stamtąd do KL Ravensbrück (podobóz Barth). Uciekł z transportu ewakuacyjnego. Po wojnie był jednym z organizatorów muzeum w b. KL Auschwitz. Zmarł w Izraelu 21 czerwca 1980 r.

Rano 11.XI.41 r. – 42 [Tadeusz Lech] podszedł do mnie i powiedział: miałem sen dziwny, czuję, że dziś mnie „rozwalą". Może jest to błahostka, a jednak cieszy mnie chociaż to, że zginę 11-go listopada. –

Za pół godziny, na apelu porannym wyczytano jego numer wśród innych numerów.

Pożegnał się ze mną serdecznie, prosząc bym matce jego opowiedział, że umierał na wesoło.

Za parę godzin – nie żył.

Z podziału pracy wypadło, że wiadomości otrzymywane przez nas już drogą ustaloną regularnie z zewnątrz, rozpowszechniała w obozie komórka, złożona z trzech naszych członków.

Jeden z nich, niezapomniany nasz „Wernyhora" – 50[225], na wszystkich skrzyżowaniach dróg otoczony gromadą więźniów wygłaszał stale optymistyczne przepowiednie.

Był pożądanym i lubianym przez wszystkich.

Organizacja się rozrastała.

W czasie pobytu mego w rzeźbiarni wciągnąłem do szeregów naszych parę przyjaciół 53[226] i 54[227]. Następnie 55[228], 56[229], 57[230], 58[231].

Po za wciąganymi przezemnie osobiście, każda piątka rozprzestrzeniała się – rozgałęziała wśród masy więźniów własnym przemysłem do różnych komand, budując odnogi w oparciu na znajomości sylwetki nowego kandydata.

Tu wszystko wyłącznie było oparte na wzajemnym zaufaniu.

To też rozwiązując problem przewodzenia w poszczególnych grupkach, związanych z sobą – stanąłem na stanowisku oparcia się na poszczególnych dowódcach od

225 Jan Mielcarek – ur. 22 czerwca 1898 r. w Gotenhafen (Gdynia), chor. WP w st. sp. Przywieziony do obozu 30 sierpnia 1940 r. transportem z Krakowa, otrzymał nr 3569. Zginął w KL Auschwitz 8 października 1942 r.

226 Józef Chramiec-Chramiosek – ur. 20 października 1910 r. w Zakopanem, narciarz, podof. rez. WP, w obozie majster stolarni. Do Auschwitz przybył 14 czerwca 1940 r. w transporcie krakowskim i otrzymał nr 101. Rozstrzelany w KL Auschwitz 24 sierpnia 1942 r.

227 Stefan Gaik – ur. 21 stycznia 1912 r. w Bochni, stolarz. Do obozu przywieziony z Krakowa. Daty przybycia i numeru nie udało się ustalić. Zginął w KL Auschwitz 20 sierpnia 1942 r.

228 Mieczysław Wagner – ur. 23 września 1915 r. w Gardner (Massachusetts, USA), kpr. zaw. lot. WP. Ukończył Szkołę Podoficerską Lotnictwa dla Małoletnich w Bydgoszczy. Służył w 5 plot. w Lidzie. Do Auschwitz przybył 8 października 1940 r. w transporcie krakowskim i otrzymał nr 5831. Przeniesiony z Auschwitz do innego obozu, prawdopodobnie zginął.

229 Zbigniew (vel Adam) Różak (Rożak) – ur. 24 maja 1916 r. pchor. rez. WP. Do Auschwitz przywieziony 28 listopada 1940 r. transportem krakowskim i oznaczony nr. 6609. W 1943 r. przeniesiony do KL Neuengamme.

230 Edward Ciesielski – ur. 16 listopada 1922 r. w Woli Korzeniowskiej (obecnie Wola Korzeniowa). Aresztowany przez gestapo za posiadanie broni, do KL Auschwitz przybył w transporcie z Radomia 5 kwietnia 1941 r., zarejestrowany jako stenotypista z zawodu, otrzymał nr 12969. Zbiegł z obozu wraz z Pileckim i Redzejem w nocy z 26 na 27 kwietnia 1943 r. Żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego w Śródmieściu Północ (IV Zgrupowanie „Gurt"), ciężko ranny. Zmarł 23 października 1962 r.

231 Andrzej Marduła – ur. 25 lutego 1899 r. w Poroninie, rzeźbiarz. Do Auschwitz przywieziony w transporcie z Krakowa 29 lipca 1941 r., otrzymał nr 18855. Zginął 18 sierpnia 1942 r. w KL Auschwitz.

mniejszych do większych wszędzie wyłącznie tylko zalety osobiste danego przewodnika mając na względzie.

Inaczej rozwiązać tego nie mogłem.

Odrzucić należało całkowicie wszelkie sugestie z ziemi.

Nie ważne było czym kto był kiedyś w przeszłości – lecz ważnym bardzo było by na każdym z dowódczych stanowisk był „chłop z ...", który by w pewnym momencie czynu nie swym tytułem chciał ująć masę, gdyż masy te przed tym momentem nie można było uświadomić, lecz dowódcą musiał być ten, kto by potrafił przedtym milczeć, a w momencie czynu za sobą świadomie porwać masę – więc przedtym już musiał mieć sylwetkę wyróżniającą się dzielnością, za którym by koledzy chętnie szli.

Nie tylko musiał być dzielnym, lecz również odznaczać się siłą wewnętrzną i taktem.

Taki drobny fakt – gdy się urabiało ludzi i dobierało – często wciągało się tych, co byli tu na stanowiskach.

Zaprzysiężony komendant sali – szedł potym na rękę wydając repety, podtrzymując siły – przysyłanym mu potrzebującym podkarmienia naszym członkom – oszczędzając niektórych – na swej sali.

Lecz jeśli ktoś kto przyszedł urabiać do pracy sztubowego nie umiał się zachować, nie miał taktu lub siły woli, by się powstrzymać od ruchu wyciągnięcia miski repety dla siebie, to tu robota nasza spalała na panewce.

Co innego, że zwykle po paru rozmowach ze sztubowym, jeśli przychodzący miał siłę woli i nie wspominał o jedzeniu, chociażby mu się kiszki skręcały – inicjatywa wychodziła od salowego, wtedy to jedzenie które tu otrzymywał przychodząc nie przeszkadzało w montowaniu również tu sieci organizacyjnej.

Niestety było paru co przychodząc w celach organizacyjnych do dopiero co poznanych sztubowych, przedewszystkiem wysuwali menażki po repetę dla siebie.

W takim wypadku robota tu już dobrze pójść nie mogła.

Sztubowy takich odwiedzających „załatwiał" miską zupy dla nich i na tym koniec.

Wybuch wojny niemiecko-bolszewickiej[232] poza przyjęciem przez nas tej oczekiwanej dawno wiadomości z wielką radością, narazie w obozie zmian wielkich nie przyniósł. –

Kilku ss-mannów pojechało na front. Zastąpiono ich innymi – starszymi wiekiem.

Dopiero w sierpniu (1941 r.) ta nowa wojna odbiła się u nas, jak wszystko inne makabrycznym echem.

Przywieźli tu pierwszych jeńców bolszewickich, narazie samych oficerów i po zamknięciu ich w jednej sali bloku 13-go (według nowej numeracji blok 11-ty), w ilości siedmiuset z czymś, przyczem stali tak ciasno stłoczeni, że usiąść z nich nikt nie mógł, salę uszczelniono (komór jeszcze wtedy nie mieliśmy).

232 Wojna niemiecko-sowiecka rozpoczęła się 22 czerwca 1941 r. atakiem Niemiec na ich dotychczasowego sojusznika – Związek Sowiecki.

Pod wieczór tegoż dnia przyszła grupa wojskowych niemieckich z oficerami na czele.

Komisja niemiecka weszła na salę i po nałożeniu masek gazowych, rzuciła na tej sali parę baniek z gazem, obserwując jego działanie.

Koledzy „pflegerzy", którzy nazajutrz trupy uprzątali, mówili, że był to makabryczny widok, nawet dla nas.

Ludzie byli tak stłoczeni, że w chwili śmierci nie mogli upaść, tylko wisieli jeden oparty o drugiego i spletli się tak rękami, że trudno było rozerwać ciała.

Miała to być sama szarża bolszewicka, sądząc z mundurów, w których byli zagazowani, z rozmaitych formacji.

Była to pierwsza próba gazu u nas (kwas pruski)[233].

Pierwszy z tą wiadomością do mnie przyszedł 19 [Tadeusz Słowiaczek].

Był tym bardzo przejęty i wiedziony bystrością umysłu przewidywał, że za pierwszą próbą tego rodzaju przyjdą następne, może w stosunku do więźniów, zastosowane.

Wtedy jeszcze wydawało się to nieprawdopodobne.

W międzyczasie mieliśmy znowu odwszenie obozu (lato 41 r.) po którym ulokowano nas wszystkich stolarzy na jednym bloku 3-cim, na parterze.

Dali nam łóżka, gdyż obóz prawie cały, kolejno blokami zaopatrywano w łóżka.

Była to okazja znowu do popisywania się naganiaczy[234] i ss-mannów.

Łóżka musiały być posłane lepiej niż niegdyś w podchorążówce – więc znowu szykany – bicie.

Następnie (wrzesień) część stolarzy, (w tej liczbie mnie) przenieśli na blok 12-ty (nowa numeracja) i w październiku na blok 25-ty (nowa numeracja – dawny 17-ty).

Tu właśnie na bloku 25-ym mieszkając w listopadzie, po wyjściu rano przed apelem przed blok i wzdrygając się nieco od przejmującego wiatru, siekącego w twarz naprzemian deszczem i zlodowaciałym śniegiem, uderzony zostałem widokiem, który mnie wtedy zadziwił.

233 Kwas pruski – nazwa związku cyjanowodoru z wodą; cyjanowodór to silnie trujący związek chemiczny w postaci bezbarwnej, lotnej cieczy o zapachu gorzkich migdałów. Do gazowania więźniów w KL Auschwitz używano cyjanowodoru produkowanego w Niemczech pod nazwą handlową „cyklon B". Pierwsza próba miała miejsce wkrótce po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej. Od lipca 1941 r. zaczęto przywozić do KL Auschwitz jeńców bolszewickich. Początkowo najczęściej rozstrzeliwano ich w żwirowniach w pobliżu obozu. Na początku września 1941 r. jedną z takich grup, liczącą ok. 600 jeńców, przeprowadzono do podziemi bloku 11. Wprowadzono tam także 250 Polaków wyselekcjonowanych z obozowego szpitala. Po zamknięciu piwnic esesmani w maskach przeciwgazowych wsypali do nich cyklon B, co spowodowało zgon zamkniętych tam jeńców i więźniów w ciągu dwóch dni. Była to największa grupa zamordowana w trakcie sprawdzania skuteczności cyklonu B, który miał być potem wykorzystywany do masowej zagłady Żydów. Po tej uznanej za udaną próbie w Auschwitz I powstała pierwsza komora gazowa. Uruchomiono ją jesienią 1941 r. w pomieszczeniu przy pierwszym krematorium obozowym, służącym wcześniej jako kostnica. Mordowano tam jeńców sowieckich i pierwsze grupy Żydów kierowanych do Auschwitz. Ostatnie zagazowanie miało w niej miejsce w grudniu 1942 r.

234 Autor ma na myśli kapo i innych funkcyjnych.

Przez podwójny płot z drutów zobaczyłem w odległości około 200 kroków odemnie, pędzonych przez żołnierzy niemieckich kolbami, poustawianych zwyczajem obozowym w dwadzieścia piątek – setki – tworzące całe kolumny zupełnie nagich ludzi.

Ja naliczyłem osiem setek, lecz czoło kolumny już grzęzło we wrotach budynku i mogło ich tam wejść kilka setek przed moim wyjściem przed blok.

Budynkiem tym gdzie wchodzili – było krematorium.

Byli to bolszewicy – jeńcy wojenni.

I jak się potym dowiedziałem – było ich ponad tysiąc.

Człowiek potrafi widocznie do śmierci być naiwnym.

Rozumiałem wtedy, że tym jeńcom wojennym chcą wydać bieliznę i ubranie, lecz dlaczego zabierają na tę czynność lokal krematorium i cenny czas pracy w tej fabryce, gdzie na trzy zmiany pracujący, przez 24 godziny na dobę, nasi koledzy nie mogą wydołać z pracą, przy spalaniu naszych ciał – kolegów-więźniów.

Okazało się jednak, że wprowadzono ich tam właśnie dla zaoszczędzenia czasu.

Zamknięto.

Z góry zrzucono bańkę jedną lub dwie z gazem i potym szybko drgające ciała rzucano na rozpalony ruszt.

Poprostu tylko dlatego, że w Oświęcimiu nie zdążyli przygotować na przydzielonych tu jeńców pomieszczenia, więc – spalono ich, gdyż i tak był rozkaz możliwie szybkiego wykończenia.

Na gwałt spieszono z postawieniem płotu pomiędzy obozem naszym, który ściśniono, oddając na obóz jeńców wojennych bolszewickich dziewięć bloków.

Przygotowywano również administrację – aparat wykańczający.

Ogłaszano na blokach, kto umie po rosyjsku może dostać posadę sztubowego lub nawet capo w obozie dla jeńców.

Jako organizacja ustosunkowaliśmy się pogardliwie do projektu i do tych którzy tam chcieli swe usługi oddać, przy mordowaniu jeńców – rozumiejąc, że tą nikczemną robotę, chcą władze zrobić raczej rękami – polskiemi.

Ogrodzenie szybko zrobili i obóz dla bolszewików był gotów.

Na bramie wewnętrznej postawionej w płocie, nasze obozy rozgradzającym, wisiał szyld z wielkim napisem: Kriegsgefangenenlager[235].

Okazało się potym, że niemcy-capowie i sami ss-manni tak samo jak nas szybko i sprawnie mordowali jeńców wojennych – bolszewików, gdyż 11.400 jeńców, których przywieźli w końcu roku 1941 (liczba podana mi z „schreibstuby głównej") wykończono bardzo szybko przez parę miesięcy zimowych.

Za wyjątkiem kilkudziesięciu, którzy poszli na robotę ohydną, wykańczania swoich współkolegów, a potym Polaków i inne narodowości w obozie Birkenau i za wyjątkiem paru setek tych, co poszli na zaproponowaną pracę dywersantów – których

235 Obóz jeniecki.

władze niemieckie umundurowały, ćwiczyły, karmiły i miały użyć jako dywersantów po zrzuceniu ich na tyłach bolszewickich.

Mieszkali w koszarach koło miasteczka Oświęcim.

Cała reszta kończona była nadmiernym wysiłkiem w pracy, biciem, głodem i mrożeniem.

Czasami w bieliźnie lub nago na mrozie trzymano przed blokami wieczorem lub rano godzinami.

Przytym niemcy się śmieli, że ludzie z Syberii chłodu się nie boją.

Słyszeliśmy wycie zamrażanych na śmierć ludzi.

W tym czasie u nas w obozie nastąpiło w pewnym stopniu odprężenie, mniejsze nasilenie kończenia nas, gdyż całą wściekłość i siły do bicia i mordowania skierowano na obóz bolszewicki.

Szynę, w którą bito w początku egzystencji obozu, wydającą dźwięk „gongu" (na wszelkie apele i zbiórki) – zamieniono na dzwon, zawieszony pomiędzy słupami, koło kuchni.

Dzwon był przywieziony tu z jakiegoś kościoła.

Był na nim napis: „Jezus – Marya – Józef".

Po krótkim czasie dzwon pękł.

Mówili więźniowie, że nie wytrzymał obrazków lagrowych.

Przywieziono drugi. Ten również po krótkim czasie – pękł.

Przywieziono wtedy trzeci (w kościołach były jeszcze dzwony) i dzwoniono ostrożnie. Ten już trwał do końca.

Tak dzwon kościelny powodował nieraz wiele wzruszeń.

Gdy czasami stało się na apelu wieczorowym – wieczór mógłby być piękny, gdyby nie stały duch mordu, unoszący się nad nami.

Zachodzące słońce barwiło niebo – obłoki w prześliczne kolory, gdy naraz odzywała się przeraźliwym wyciem syrena obozowa, dająca znak wszystkim posterunkom, że zejść z wieżyczek „wielkiej postenketty" nie mogą, gdyż jednego lub paru więźniów jest brak na apelu.

A nam złowieszczo zapowiadająca „wybiórkę" dziesięciu na śmierć, lub w każdym razie „stójkę" na której mróz zgrabiałą dłonią sięgał nam do wnętrz naszych.

Lub przy innej okazji, gdy staliśmy jako asysta honorowa ofiary, która ze związanymi rękami czekała pod szubienicą i za chwilę miała zawisnąć na stryczku... i raptem... wtedy... w ogólnej ciszy przypływał z oddali spokojny, łagodny dźwięk dzwonu. Dzwoniono gdzieś w jakimś kościele. –

Jak bliski był i sercu i w odległości... a jak daleki i nieosiągalny... bo aż het... tam... na ziemi... dzwonili ludzie.

Tam żyli, modlili się, grzeszyli – lecz cóż znaczą ich grzechy, wobec występków tutaj!

Od lata (1941 r.) wprowadzono zwyczaj niby regulujący przyjmowanie do krankenbau, zgodnie z którym, więźniowie którzy rano czuli się tak słabo, że nie mogli

iść do pracy, w czasie gdy wszyscy na dzwon poranny niosący hasło: „arbeitskommando formieren!" – biegli do kolumn pracy, wtedy słabi – chorzy, „muzułmani" stawali w grupce na placyku przed kuchnią, gdzie dokonywali przeglądu ich „pflegerzy" i lager-capo, a czasem i lagerältester, robiąc próbę sprawności sił ludzi słabych przez popychanie.

Część zabierano do szpitala, część szła na „schohnungsblock", część jednak pomimo wycieńczenia pakowano do piątek komand pracy w polu i słano w skocznym marszu na pewną śmierć przy pracy.

Ci w „schohnungsblocku" i w szpitalu żyli przeważnie nie wiele dłużej.

Gdy się przeniosłem na blok 25 (listopad 41 roku) spotkałem i poznałem bliżej kolegę – przyjaciela mego później – 59[236].

Dzielny i wesoły chłop.

Organizuję nową „czwartą piątkę", do której narazie prócz 59 [Henryk Bartosiewicz] wszedł 60[237] i 61[238].

W tym czasie przywieziono do obozu, między innymi kolegami dwuch oficerów starszych stopniem płk. 62[239] i ppłk. dypl. 63[240].

---

236 Henryk (w ewidencji PMAB Heinrich) Bartosiewicz (w ewidencji PMAB Bartoszewicz, Bautniewicz) – ur. 2 stycznia 1908 r. w Łodzi, technik. W obozie nr 9406. Członek ZOW i następca Pileckiego jako kierownik organizacji.

237 Stanisław Kazuba (Kaszuba) – ur. 22 lipca 1900 r. w Warszawie, of. zaw. WP, kpt. sł. st. piech. ze starsz. z 1 stycznia 1935 r. z przydziałem do 5 pp Leg. w Wilnie, komendant Obwodu PW nr 5 przy 5 pp Leg. Uczestnik kampanii 1939 r. Do Auschwitz przybył transportem z Warszawy 15 sierpnia 1940 r., oznaczony nr. 1630. Przeniesiony w 1944 r. do KL Buchenwald. Zmarł w Łodzi pod koniec lat 70. XX w.

238 Konstanty Piekarski – ur. 3 maja 1913 r. w Wiedniu. Do Auschwitz przywieziony 22 września 1940 r., tym samym transportem warszawskim co Pilecki, otrzymał nr 4618. Przeniesiony w 1943 r. do KL Buchenwald. Po wojnie wyjechał do Kanady, gdzie zmarł w 1991 r.

239 Jan Karcz – ur. 16 października 1892 r. w Modlnicy, studiował budownictwo dróg i mostów na politechnice we Lwowie. W czasie I wojny światowej służył w armii austrowęgierskiej. Od listopada 1918 r. w WP, of. zaw. WP, płk dypl. sł. st. kaw. ze starsz. z 1 stycznia 1931 r. Był oficerem 7 pu, 1 pszwol. Józefa Piłsudskiego i referentem w MSWojsk. Ukończył kurs Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. Od 31 października 1928 r. dowodził 1 pszwol., w październiku 1931 r. został szefem Departamentu Kawalerii MSWojsk., w kwietniu 1937 r. wyznaczony na d-cę Mazowieckiej Brygady Kawalerii, na jej czele walczył w kampanii jesiennej 1939 r. Przeszedł do konspiracji, najpierw w OOB, następnie w ZWZ. Na początku 1941 r. aresztowany w Tarnowie, więziony na Zamku Lubelskim, do Auschwitz przywieziony 27 listopada 1941 r. w transporcie lubelskim, otrzymał nr 23569. Najstarszy stopniem i starszeństwem oficer WP w Auschwitz. Po przybyciu do obozu wprowadzony przez Pileckiego do ZOW. W dniu 2 kwietnia 1942 r. osadzony w wewnętrznym więzieniu obozowego gestapo w podziemiach bloku 11, jako podejrzany o udział w konspiracji, później skazany na sześciomiesięczny pobyt w kompanii karnej w KL Birkenau. Przyjął wtedy od Pileckiego propozycję pracy konspiracyjnej w Brzezince. Dzięki staraniom konspiracji został przeniesiony do bloku 7 (tyfusowego), mimo że nadal należał do SK. 23 stycznia 1943 r. zameldował Lagerführerowi Hansowi Aumeierowi, że minął już półroczny termin jego pobytu w kompanii karnej, prosząc o przeniesienie do normalnego baraku. Aresztowany i osadzony ponownie w więzieniu obozowym, został rozstrzelany 25 stycznia 1943 r. w KL Auschwitz. Pośmiertnie mianowany gen. brygady ze starsz. z 11 listopada 1969 r. przez Rząd Polski w Londynie.

240 Jerzy Zaleski (w obozie Zalewski) – ur. 5 maja 1897 r. w Częstochowie, of. zaw. WP, ppłk dypl. sł. st. kaw. ze starsz. z 19 marca 1937 r., przed wybuchem wojny kierownik komisji doświadczalnej Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. Brał udział w kampanii 1939 r., następnie przeszedł do konspiracji.

Zaproponowałem wejście do organizacji płk. 62 [Jan Karcz], który się na to zgodził i zaczął pracować z nami.

Robiłem pierwsze odstępstwo, gdyż jak wspominałem już, dotychczas unikałem oficerów wyższych stopni, którzy tu byli pod własnym nazwiskiem.

Ponieważ jednak organizacja rozrastała się, koledzy dali mi do zrozumienia, że mogą, jako powód unikania oficerów wyższych stopni, posądzić mnie o wygórowane ambicje – a ponieważ nadarzała się sposobność uregulowania tej sprawy, gdyż przyjaciel 59 [Henryk Bartosiewicz], wynalazł płk. 64[241], który tu siedział pod fałszywym nazwiskiem i uchodził za stuprocentowego cywila – więc zaproponowałem płk. 64 [Kazimierz Heilmann] firmowanie naszej pracy i podporządkowałem się jemu.

Płk. 64 zgodził się z planem pracy mojej dotychczasowej i pracowaliśmy nadal razem.

W tym czasie wprowadzam do organizacji kolegę 65 [NN], 66 [NN] – przy pomocy 59 [Henryk Bartosiewicz] – kolegę 67[242] i kolegę 68[243], który wkrótce potym zaczął nam przynosić wielkie korzyści, zdobywając stanowisko „arbeitsdienst'a".

Nareszcie doczekałem się momentu, o którym kiedyś można było marzyć beznadziejnie, zorganizowaliśmy komórkę polityczną naszej organizacji, gdzie bardzo zgodnie współpracowali koledzy, którzy na ziemi zjadali się wzajemnie w sejmie.

Do Auschwitz przywieziony 14 października 1941 r. z Lublina, otrzymał nr 21514. Członek ZOW. W czerwcu 1942 r. przeniesiony do KL Mauthausen, gdzie zginął 15 sierpnia 1942 r.

241 Kazimierz Roman Heilmann (w obozie Jan Hilkner, po wojnie używał nazwisk Heilmann-Rawicz i Rawicz) – ur. 27 lutego 1896 r. w Błażowej, żołnierz Leg. Polskich i armii gen. Hallera, of. zaw. WP, ppłk sł. st. piech. ze starsz. z 1 stycznia 1931 r. Był oficerem 2 pp Leg. w Sandomierzu i Staszowie, dowódcą batalionu w 59 pp w Inowrocławiu, później przez pięć lat dowodził 5 batalionem KOP w Łużkach. W 1931 r. objął stanowisko z-cy d-cy 62 pp w Bydgoszczy, a w 1936 r. został d-cą tego pułku; na jego czele wziął udział w kampanii 1939 r. Po kapitulacji Warszawy uniknął niewoli niemieckiej i usiłował przedostać się do AP we Francji, z czego zrezygnował, przechodząc do konspiracji w ZWZ. Aresztowany przez ukraińską policję w Baligrodzie, osadzony w więzieniu w Sanoku, a następnie w Tarnowie, przewieziony do Auschwitz 10 stycznia 1941 r., gdzie otrzymał nr 9319. Członek ZOW, na prośbę Pileckiego objął dowództwo wojskowe organizacji. 7 lipca 1942 r. przeniesiony do KL Mauthausen, gdzie doczekał wyzwolenia. Zamieszkał w Gliwicach, gdzie zmarł 12 grudnia 1969 r.

242 Czesław Darkowski – ur. 8 maja 1901 r. w Mieszkach, leśnik. Więzień Pawiaka przywieziony do Auschwitz transportem warszawskim 7 stycznia 1941 r. i oznaczony nr. 8121. W lipcu 1942 r. przeniesiony do KL Mauthausen.

243 Mieczysław Januszewski – ur. 1 lipca 1918 r. w Łodzi, od lipca 1937 r. uczeń Wydziału Technicznego Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej w Bydgoszczy, po wybuchu wojny ewakuowany wraz ze szkołą do Horodyszcza, z dniem 15 września mianowany ppor. sł. st. Marynarki Wojennej, uczestniczył w walkach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga z Sowietami i Niemcami. W październiku 1939 r. wzięty do niewoli niemieckiej, ranny znalazł się w szpitalu jenieckim w Radomiu, skąd zbiegł do Warszawy. Do Auschwitz przybył pierwszym transportem krakowskim 14 czerwca 1940 r. i otrzymał nr 711. Zbiegł z obozu 29 grudnia 1942 r. wraz z kapo Ottonem Küselem (nr 2), Janem Barasiem-Komskim (nr 564) i Bolesławem Kuczbarą (nr 4308). Ponownie aresztowany przez Niemców, zginął podczas transportu do Auschwitz (prawdopodobnie popełnił samobójstwo w pociągu).

69[244] – prawica, 70[245] – lewica, 71[246] – prawica, 72[247] – lewica, 73[248] – prawica, 74[249] – lewica, 75[250] – prawica i t.d. długi szereg naszych b. polityków-partyjników.

Więc trzeba było Polakom codziennie pokazać górę trupów polskich, żeby się pogodzili i zdecydowali, że ponad różnice i wrogie stanowisko jakie zajmowali w stosunku

244 Roman Rybarski – ur. 3 sierpnia (w ewidencji PMAB lipca) 1887 r. w Zatorze, prawnik i ekonomista, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Politechniki Warszawskiej i kierownik katedry skarbowości na Uniwersytecie Warszawskim, działacz Ligi Narodowej, później OWP i SN. W latach 1928–1935 poseł na Sejm RP. Po zajęciu Polski przez okupantów zaangażowany w tworzenie politycznych władz PPP; był dyrektorem Departamentu Skarbu DR. Do Auschwitz przywieziony transportem z Warszawy 24 lipca 1941 r., nr obozowy 18599. Najważniejszy przedstawiciel grupy działaczy narodowych więzionych w obozie, członek ZOW, zaangażowany w podjęty przez Pileckiego proces zjednoczenia polskiej konspiracji politycznej i wojskowej w obozie. Zginął w KL Auschwitz 6 marca 1942 r.

245 Stanisław Dubois (w obozie Stanisław Dębski) – ur. 9 stycznia 1901 r. w Warszawie, walczył w I (1919 r.) i III (1921 r.) Powstaniu Śląskim i wojnie polsko-bolszewickiej, działacz PPS, w latach 1928–1933 poseł na Sejm RP, skazany w procesie grupy działaczy politycznych sprzeciwiających się polityce sanacji w II RP. Po wybuchu wojny znalazł się na wschodnich terenach RP pod okupacją sowiecką, ale przedostał się do Warszawy. Zaangażowany w tworzenie struktur politycznej konspiracji socjalistycznej, mającej kontakt z władzami polskich socjalistów na uchodźstwie. Aresztowany w Warszawie 21 sierpnia 1940 r. jako Stanisław Dębski i więziony na Pawiaku, do Auschwitz przywieziony transportem z Warszawy 22 września 1940 r. wraz z Pileckim i zarejestrowany jako urzędnik, otrzymał nr 3904. Przywódca grupy polskich działaczy socjalistycznych w obozie, członek ZOW. Przewieziony w listopadzie 1940 r. do Warszawy na ponowne śledztwo, rozpoznany przez agenta gestapo jako Dubois, został odesłany do Auschwitz 29 maja 1941 r. Przyczynił się do zjednoczenia polskiej konspiracji w obozie. Rozstrzelany 21 (według innych danych 20) sierpnia 1942 r. w KL Auschwitz.

246 Jan Mosdorf – ur. 30 maja 1904 r. w Warszawie, dr filozofii, publicysta, działacz OWP i Związku Akademickiego Młodzież Wszechpolska, lider Ruchu Młodych OWP i Sekcji Młodych SN, później przywódca ONR. Od początku okupacji niemieckiej włączył się w konspirację SN, w pracę propagandową oraz tworzenie struktur wojskowych SN – późniejszej NOW. Aresztowany przez gestapo w lipcu 1940 r. i osadzony na Pawiaku, do Auschwitz przywieziony 7 stycznia 1941 r. transportem warszawskim, zarejestrowany jako nauczyciel i oznaczony nr 8230. Przywódca grupy działaczy narodowo-radykalnych w obozie, członek ZOW, zaangażował się w zainicjowany przez Pileckiego proces zjednoczenia politycznych i wojskowych odłamów polskiej konspiracji wojskowej oraz akcję pomocy współwięźniom. Rozstrzelany w KL Auschwitz 11 października 1943 r.

247 Konstanty Jagiełło – ur. 12 lipca 1916 r. w Żelechowie (Hucie Żelechowskiej), dekarz, działacz PPS. Od października 1939 r. związany z tworzącą się konspiracją socjalistyczną, aresztowany 1 sierpnia 1940 r., osadzony na Pawiaku, do Auschwitz przywieziony transportem warszawskim z 22 września 1940 r. i oznaczony nr. 4507. Członek ZOW i obozowej grupy PPS, zbiegł z Auschwitz 27 czerwca 1944 r. wraz z Tomaszem Sobańskim (nr 13609), działał w przyobozowych strukturach konspiracji PPS-WRN. Zastrzelony przez Niemców 27 października 1944 r. w Łękach-Zasolu podczas udzielania pomocy kolejnej grupie uciekinierów z KL Auschwitz.

248 Piotr Kownacki – ur. 6 kwietnia 1888 (lub 1889) r. w Tomsku (Syberia), adwokat, przywódca SN w województwie wileńskim. Do Auschwitz przybył 24 lipca 1941 r. transportem z Warszawy i otrzymał nr 18469. Członek ZOW. Zmarł na tyfus w KL Auschwitz 17 sierpnia 1942 r.

249 Z analizy podobnego opisu w *Raporcie W* z 1943 r. oraz danych w kluczu kodowym do niego, w połączeniu z informacjami podanymi przez A. Cyrę, wynika, że prawdopodobnie chodzi o Stanisława Leśkiewicza – ur. 17 października 1898 r. w Żelechowie, urzędnik, kolejarz, przywieziony do obozu transportem z Lublina 6 kwietnia 1941 r., otrzymał nr 14449, zginął 11 sierpnia 1942 r.

250 Stefan Niebudek – ur. 13 marca (w ewidencji PMAB: października) 1910 r. w Częstochowie, adwokat, publicysta, działacz Młodzieży Wszechpolskiej, OWP i SN w Częstochowie i Warszawie. Do Auschwitz przywieziony 24 lipca 1941 r. transportem z Warszawy, otrzymał nr 18531. Zginął w KL Auschwitz 14 stycznia 1943 r.

do siebie nawzajem na ziemi, jest większa racja – zgoda i wspólny front przeciwko wspólnemu wrogowi, którego przecie zawsze mieliśmy nie jednego.

A więc – racja zgody i racja wspólnego frontu zawsze była i zawsze znajdowała się, w przeciwieństwie do tego cośmy Polacy na ziemi robili – wieczne pieniactwo i żarcie się w sejmie.

Z szeregu znajomych płk. 64 [Kazimierz Heilmann] zaprzysiągłem 76[251] i 77[252] oraz następnie wciągnąłem do pracy 78 [NN] i 79 [NN].

W listopadzie 41 roku odszedł ze stolarni ober-capo Balke, a przyszedł na jego miejsce ober-capo Konrad [Lang] – do Polaków-stolarzy dobrze ustosunkowany i grzeczny.

Kochał się w sztuce, rzeźbie, góralach-snycerzach.

Wymógł na władzach wydzielenie wszystkich rzeźbiarzy z dodaniem wybranych z kilku setek ośmiu najlepszych stolarzy, specjalistów od robienia artystycznych szkatuł, inkrustacji i innych arcydzieł z dziedziny stolarskiej – i tą elitę artystyczną przeniósł z pracy na „industriehof'ie I" do pracy pod miasteczko, na terenie znajdującej się tu wielkiej garbarni z fabrycznym kominem, okolonej płotem drewnianym z czterema wieżyczkami strażników.

Mieszczącej na swym terenie wiele komand rzemieślniczych: warsztaty krawieckie, szewckie [szewskie], ślusarskie, malarze, kowale, stajnie z paru końmi oraz „arystokracja" braci rzemieślniczej – dobrze sytuowani – garbarze.

Z braci artystycznej była tu komórka, którą prawdziwą rzeźbiarnią nazwać należy, gdyż nasze komando z małymi wyjątkami raczej składało się ze snycerzy. –

Tu natomiast w tej małej komórce pracował prof. Dunikowski[253], z nim razem opiekę nad nim mając Machnowski Janek[254] i kolega Fusek[255], przez krótki czas był przydzielony tu też Gawron Wicek.

---

251 Bernard Piotr Świerczyna – ur. 23 lutego (u A. Cyry grudnia) 1914 r. w Chropaczowie, urzędnik, of. rez. WP, ppor. piech. ze starsz. z 1 stycznia 1938 r. Do Auschwitz przywieziony 18 lipca 1940 r. transportem z Krakowa, otrzymał nr 1393. Po nieudanej próbie ucieczki powieszony w KL Auschwitz 30 grudnia 1944 r.

252 Zbigniew Ruszczyński – ur. 27 grudnia 1914 r. w Głuchowie, technik budowlany, architekt, pchor. rez. WP. Do Auschwitz przywieziony 18 lipca 1940 r. w transporcie krakowskim, oznaczony nr 1360. Rozstrzelany 25 stycznia 1943 r. w KL Auschwitz.

253 Xawery Dunikowski – ur. 29 listopada 1875 r. w Krakowie, artysta malarz i rzeźbiarz. Ukończył krakowską Szkołę Sztuk Pięknych. Przed wojną był profesorem Szkoły Sztuk Plastycznych w Warszawie, a następnie ASP w Krakowie. W 1940 r. aresztowany przez Niemców, do Auschwitz przywieziony transportem z Krakowa 20 czerwca 1940 r., otrzymał nr 774. Przetrwał obóz dzięki pomocy ZOW utworzonej przez Pileckiego. Wyzwolony w KL Auschwitz w 1945 r. Po wojnie był profesorem ASP w Warszawie i Państwowej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Zmarł w Warszawie 26 stycznia 1964 r. i został pochowany w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

254 Jan vel Janusz Machnowski – ur. 8 listopada 1913 r., artysta malarz i architekt. Do Auschwitz przybył pierwszym transportem z Krakowa 14 czerwca 1940 r., oznaczony nr. 724. W 1944 r. przeniesiony do KL Sachsenhausen, skąd zbiegł. Po wojnie wyemigrował do Wenezueli.

255 Aleksander Fusek – ur. 20 stycznia 1906 r. w Kańczudze, komornik sądowy, rzeźbiarz. Do Auschwitz przywieziony transportem krakowskim 20 czerwca 1940 r., nr 775. Zginął w KL Auschwitz 3 grudnia 1942 r.

Każde komando miało swego „capo".

Wszystko to ciężką ręką trzymał „ober-capo" Erik[256] – wyrafinowany drań i jego zastępca narwany capo Walter [NN].

Do tego zbioru różnych fachów doszliśmy my – „rzeźbiarsko-stolarsko-artystyczne" komando, jakim go chciał mieć nasz ober-capo stolarni – Konrad [Lang].

Lecz Konrad nie obliczył niektórych ciemnych stron przeniesienia się na teren „Lederfabrik"[257].

Tu rządził ober-capo Erik i żadnych innych ober-capów nie uznawał.

Starły się więc dwa typy: Konrad – szczery wyznawca sztuki, lecz naiwny i niekryjący się z tym, że lubi Polaków i podstępny, przebiegły, podły Erik, typ którego się lękali nawet ss-manni, bo miał on z komendantem obozu ciemne konszachty i rządził się tu w garbarni, jak na folwarku własnym, prowadząc swoje gospodarstwo i goszcząc czasami komendanta, z którym na skórach garbowanych tu, robili jakiś interes.

No i ma się rozumieć przegrał Konrad.

Warsztaty nasze umieszczono w dwóch salach budynku fabrycznego.

Za kilku ścianami we właściwej garbarni był basen, gdzie napuszczano ciepłą wodę.

Basen był wielki, tak że można było nawet płynąć parę kroków.

Gdy korzystając z możliwości przyjaciół w garbarni, kąpałem się raz tam czułem się tak jak kiedyś na wolności...

Jakże długo nie doznawała moja skóra ciepłej kąpieli.

Wszystko to robiło się pokryjomu.

Czy do pomyślenia było by häftling w Oświęcimiu brał ciepłe kąpiele?

Czy można było komuś powiedzieć, że się pływało? Było to niewiarygodne.

Razu pewnego Konrad skorzystał z kąpieli w basenie, nic sobie nie robiąc z tego, że kąpie się razem z häftlingami-Polakami.

Jego też się nikt nie bał, bo żadnego świństwa nigdy nie zrobił.

Lecz jakiś drań podpatrzył i na Konrada poszedł pierwszy „meldung".

W grudniu (1941 roku) byliśmy „komandiert" na wieczory i pracowaliśmy (nie chodząc na apele wieczorowe), aż do godziny 22-ej (10 wieczór).

Mieliśmy wiele pracy z obstalowanymi zabawkami dla dzieci niemieckich różnych naszych władz.

Pewnego wieczoru przyszedł jeden z capów – zauszników Erika w towarzystwie ss-manna i namówili Konrada, by pójść do miasteczka.

256 Erik (Erich) Grönke – ur. 15 września 1902 r. w Berlinie, szewc. Do Auschwitz przywieziony w pierwszej grupie 30 więźniów funkcyjnych, niemieckich kryminalistów, otrzymał nr 11. Był oberkapo warsztatów odzieżowych i garbarskich. Dostarczał komendantowi obozu wyroby skórzane z wypreparowanej ludzkiej skóry z tatuażami. Po wojnie mieszkał w Niemczech. Aresztowany w 1966 r. i w procesie frankfurckim (III proces oświęcimski) otrzymał wyrok 3 lat i 4 miesięcy, później karę tę zmniejszono do 3 lat.

257 Wytwórnia wyrobów ze skóry, także garbarnia.

Konrad – więzień tęskniący za towarzystwem ludzi wolnych zgodził się i razem z dozorującym ich ss-mannem poszli wszyscy trzej do miasteczka.

Po godzinie, przed samym naszym wyjściem z garbarni do obozu, zjawił się na sali naszej pracy Konrad pijany.

Za nim zaraz wszedł pewien capo i ss-mann inni, niż ci co byli z nim w miasteczku.

Oni byli świadkami, jak Konrad głaskał po głowach ulubionych swoich dobrych fachowców, mówiąc, że ten już powinien być capem, bo jest doskonałym pracownikiem i „mianował" na sali kilku dwudziestkowych i kilku capów.

Tego wystarczyło, został zamknięty w bunkrze i siedział tam długo.

Tak Erik pozbył się „ober-capa", na swoim terenie.

Ponieważ zaczęto już porządkować sprawę zamieszkania poszczególnych więźniów, starając się umieszczać na blokach komandami, dlatego więc z bloku 12-go przeniesiony byłem razem z grupą innych więźniów, którzy pracowali na terenie „Lederfabrik", lub jak to jeszcze oficjalnie nazywano „Bekleidungswerkstete"[258] – na blok 25-ty (o czem już wspomniałem).

Łóżka w które zaopatrywano kolejno poszczególne bloki w obozie były drewniane – piętrowe, stojące jedne na drugich, w jednym pionie po trzy łóżka.

Do bloku 25-go czynność wstawiania łóżek na salę jeszcze nie doszła.

Spaliśmy tu pokotem około 240 na sali, straszliwie ścieśnieni w t.zw. językiem lagrowym „w zakładkę"[259] – jeśli chodzi o nogi i na jednym tylko boku. –

W nocy (jak rok temu) chodzili jedni drugim po głowach, brzuchach, bolących nogach – wychodząc do ubikacji i nie znajdując miejsca do spania po powrocie.

Nie jest to zbyt przyjemne wspomnienie, lecz skoro już piszę wszystko – więc i o tym wspomnę. –

Z powodu jakiejś niedyspozycji w gospodarce obozu wożono zimą już – w grudniu (41 r.) brukiew wagonami i kopcowano ją przenosząc do kopców rozsypaną przy torze kolejowym bocznicy o trzy kilometry od obozu.

Komanda rolne i inne „zugangów" – wykańczanych w polu przedstawiały jedne zamały aparat, inne zbyt słaby fizycznie materiał ludzki – więc używano na ten cel silnych warsztatowców, przeznaczając na te prace – niedziele.

Przeważnie unikałem tej pracy, robiąc sobie przez dr. 2 [Władysław Dering] wezwanie do szpitala, na symulowane prześwietlenie lub sondy i t.p.

Jednej jednak niedzieli świeciło słońce, dzień był ładny.

Poszedłem razem ze wszystkimi.

258 Bekleidungswerkstätte – warsztaty odzieżowe. W KL Auschwitz kompleks Bekleidungswerkstätte, zlokalizowany w dawnej garbarni, był miejscem pracy wielu komand rzemieślniczych, zajmujących się nie tylko odzieżą i wyrobami skórzanymi.

259 Spanie w zakładkę albo na zakładkę – więźniowie spali ułożeni ciasno naprzeciw siebie, z nogami umieszczonymi naprzemiennie (nogi więźnia z prawej strony, obok nogi więźnia z lewej itd.). Takie ułożenie wymagało obracania się na komendę, bo nie było miejsca na leżenie na wznak.

Nosiłem razem z kolegą Zygmuntem Kosteckim[260] brukiew koszami („tragami").

Capowie i ss-manni pilnowali, żeby nasypywać tragi pełne – co też robiliśmy.

W pewnym momencie nasypując resztę brukwi, która była wysypana w tym miejscu, nabraliśmy tylko połowę trag, lecz, że już był czas powrotu do koszar i setkowi zaczynali ustawiać kolumny – unter-capo, który nasypywał nam tragi, zdecydował, że już zapóźno iść gdzieś do innego miejsca, żeby dobrać do pełnych trag i kazał nam iść z tym co było na nich.

Na placu przez który nosiliśmy stał ss-mann, który z daleka zobaczył, że nie mamy trag pełnych, podbiegł i kijem uderzył mnie po rękach.

Zatrzymaliśmy się. Rzucił się z kijem na mnie, krzycząc, nie wiem dlaczego: „Du polnische offizier!"[261] uderzając mnie po głowie i twarzy kijem, który trzymał w ręku.

Widocznie jest to nerwowe, lecz w takim wypadku (było ich parę), mam grymas – coś w rodzaju uśmiechu, co rozwścieczyło jego i ponowił uderzenia pałką po głowie jeszcze silniej.

Trwało to przypuszczam krótko, jednak człowiekowi potrafi zawsze w podobnych momentach wiele myśli przelecieć przez głowę.

Przyszło mi na myśl: XY... go i kijem nie dobijesz – powiedzenie tułające się od czasów któregoś powstania... i teraz naprawdę się uśmiechnąłem.

Widocznie byłem ogłuszony, bo bólu specjalnie wielkiego nie czułem.

SS-mann spojrzał i wycedził: „Du lächelnde Teufel"[262].

Co by było dalej – nie wiem, gdyby nie syrena w obozie, która zwróciła jego myśl w innym kierunku – ktoś uciekł.

Koledzy mi potym mówili, że mam szczęście.

Głowę i twarz miałem przez dwa tygodnie obrzękniętą. –

Drugie pobicie mnie miało miejsce znacznie później w garbarni.

Koledzy w ustępie palili papierosy, których palić w czasie pracy nie wolno było. Wpadł jak tygrys capo Walter [NN].

Ja nie paliłem, ale akurat wychodziłem.

Przyskoczył do mnie: „kto palił?"

Milczałem i miałem uśmiech jakiś bezwiednie na twarzy.

„Was? Gefällt es dir nicht?!"[263]

(Nie wiem z czego wnosił, że miało by się mnie to nie podobać lub podobać).

Walter [NN] był pasjonat i jednym uderzeniem przewracał człowieka.

260 Zygmunt Kostecki – ur. 20 lipca 1901 r. w Pomorzankach, architekt. Do KL Auschwitz przywieziony 1 lutego 1941 r. z Warszawy, zarejestrowany jako gospodarz, otrzymał nr 9750. Członek ZOW. Przeniesiony do KL Neuengamme, zginął 3 maja 1945 r. na zbombardowanym omyłkowo przez aliantów statku „Cap Arcona" w Zatoce Lubeckiej.

261 Ty polski oficerze!

262 Ty roześmiany diable.

263 Co? Nie podoba ci się?

Wtedy dostałem wiele razy po głowie i kilka razy leżałem na ziemi. Stawałem jednak jak mówili mnie 59 [Henryk Bartosiewicz] i 61 [Konstanty Piekarski] na nowo przed nim z grymasem uśmiechu na twarzy.

Walter [NN] porzucił mnie, bo akurat przyjechał komendant obozu, a Erika [Grönke] nie było.

Tymczasem – na ziemi, daleko, – w Warszawie – awansowano mnie.

Za montowanie T.A.P.-u. Za pracę nad zespoleniem w K.Z.N.[264] – Za przekreślenie ambicji własnych, i z chwilą obejrzenia upoważnienia gen. Sikorskiego – za dążenie do podporządkowania wszystkich oddziałów Z.W.Z.-owi[265], co było pierwszym powodem niezgody z 82 [Jan Włodarkiewicz], a kto wie, może powodem dlaczego znalazłem się po za Warszawą.

A jednak Janek W. [Jan Włodarkiewicz] podał wniosek i jak twierdził „Bohdan" 85[266] pilnował mojej sprawy i mówił jemu, że więcej mu zależy na moim awansie, niż na jego własnym.

Płk. „Grot"[267] awansował nas kilku z K.Z.N.-u.

82 [Jan Włodarkiewicz] i 85 [Zygmunt Bohdanowski] zostali podpułkownikami.

W ten sposób ja nareszcie pod własnym imieniem zostałem porucznikiem (czyli faktycznie cofnąłem się do roku 1935)[268].

Gdyby mnie, tam w piekle, wszystkie te sprawy z ziemi nie wydawały się zbyt małe – były by – gorzkie.

264 Poprawnie KZ, wojskowa struktura konspiracyjnej KN – organizacji utworzonej w październiku 1940 r. po połączeniu się TAP z innymi, mniejszymi organizacjami.

265 Główna organizacja polskiego podziemia wojskowego, utworzona 13 listopada 1939 r. w miejsce SZP. Z czasem podporządkowała sobie prawie całe podziemie niepodległościowe w okupowanej Polsce. W lutym 1942 r. przekształcona w AK.

266 Zygmund Bohdanowski (w obozie Zygmunt Bończa) – ur. 30 października 1893 r. w Dźwińsku (Dyneburg), of. zaw. WP, ppłk art. ze starsz. z 11 listopada 1941 r. Ukończył rosyjski Korpus Kadetów, następnie studiował na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki w Rydze. W okresie I wojny światowej of. armii rosyjskiej, później w I Korpusie Polskim gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. Od listopada 1918 r. w WP, służył kolejno w 8 pułku art. polowej, 5 i 12 DAK oraz w 9 i 21 pułku art. polowej. Od 1936 r. do wybuchu wojny był rejonowym inspektorem koni w Wołkowysku. W walkach 1939 r. szef sztabu grupy gen. Wacława Przeździeckiego, od października 1939 r. w konspiracji, współtwórca TAP. Do Auschwitz przywieziony 18 kwietnia 1942 r. transportem z Warszawy, zarejestrowany jako leśnik z zawodu, otrzymał nr 30959. Aktywny współpracownik Pileckiego w ZOW, przewidywany na d-cę akcji bojowej w przypadku powstania i walki w KL Auschwitz. Rozstrzelany w KL Auschwitz 11 października (według księgi zmarłych 13 października) 1943 r.

267 Stefan Paweł Rowecki „Grot", gen. brygady, później gen. dywizji WP, od czerwca 1940 r. Komendant Główny ZWZ i później AK. Aresztowany przez Niemców w Warszawie 30 czerwca 1943 r. zamordowany w KL Sachsenhausen po wybuchu Powstania Warszawskiego w sierpniu 1944 r. W chwili awansowania Pileckiego na stopień porucznika „Grot" był już gen. brygady.

268 Sformułowanie niejasne. Być może Pilecki uważał, że powinien był otrzymać awans jako of. rez. w 1935 r., kiedy przystąpił do organizowania szwadronu PW konnego „Krakusów". W ZWZ-AK istniała pragmatyka nie awansowania oficerów pozostających w niewoli (także w KL). Awans oznaczał wyjątkowe pozapragmatyczne wyróżnienie za zasługi.

Jeśli chodzi o dobre posady w Oświęcimiu, to po pflegerach (pielęgniarzach) nie ludzi, lecz – świń, t.zw. „Tierpfleger'ach"[269], muzykach, którzy po za graniem w orkiestrze – mieli stanowiska przeważnie sztubowych, – dobrą posadą była praca fryzjera.

Przeważnie starano się połączyć te dwie funkcje – golenie i stanowisko sztubowego.

Lecz nawet jeśli fryzjer nie był sztubowym, miał się zupełnie dobrze.

Byli fryzjerzy, którzy golili tylko ss-mannów – pozatym każdy blok miał kilku fryzjerów, których pracą było jedynie ogolić co tydzień cały blok.

Strzyżenie włosów i golenie było obowiązkowe dla häftlinga, lecz pracę tę wykonywali fryzjerzy.

Za nieogolenie więźnia lub nieco zbyt długie włosy na głowie odpowiedzialny był blokowy i sztubowy.

Od blokowego i capów, którzy mieszkali na danym bloku i sztubowych – fryzjerzy mieli ilość pożywienia więcej niż dostateczną.

W grudniu (41 r.) pewnego wieczoru staliśmy z płk. 1 [Władysław Surmacki] i dr. 2 [Władysław Dering] koło bloku 21 (nowa numeracja) rozmawiając, gdy oczy nasze uderzył widok wychodzącego z bloku 26 (nowa numeracja) nago oddziału ludzi – parującego silnie.

Było ich mniej lub więcej setka.

Był to transport przysłany tu na szybkie wykończenie – Polacy.

Po zastosowaniu gorącego prysznicu przez dłuższy czas (około pół godziny), przyczem chętnie się myli gorącą wodą, nic nie przeczuwając, postawili ich na śniegu nago, na mrozie i trzymali.

Musieliśmy już pójść do bloków, a oni wciąż – marzli.

Dolatywał od nich przytłumiony jęk lub raczej skowyt zwierzęcy.

Trzymano ich parę godzin.

Gdy kończono w ten lub inny sposób lub rozstrzeliwano w większej ilości naraz – „Krankenbau" otrzymywał listę z ich numerami i musiał podając listę do „schreibstuby głównej" do umarłych w tym dniu w szpitalu dodawać po 50 numerów dziennie z tej listy, jako zmarłych na serce, gruźlicę, tyfus lub inną jakąś chorobę „naturalną".

Tak dobiegał końca rok 1941.

Przyszła druga gwiazdka w Oświęcimiu i druga paczka z domu – odzieżowa (żywnościowych – jeszcze nie było).

Na bloku 25-ym, gdzie przychylnym dla naszej pracy okazał się blokowy 80 [Alfred Włodarczyk], na sali 7-ej, gdzie komendantem był 59 [Henryk Bartosiewicz] urządziliśmy choinkę z zawieszonym w ukryciu Orłem Polskim.

Sala była udekorowana naprawdę z wielkim smakiem przez 44 [Wincenty Gawron] i 45 [Stanisław Gutkiewicz] i trochę z moim udziałem.

W wieczór wigilijny było przemówienie paru naszych przedstawicieli komórki politycznej.

269 Tierpfleger – opiekun zwierząt.

Czy mógłby na ziemi słuchać z zadowoleniem Dubois, jak przemawiał Rybarski i potym serdecznie uściskać mu ręce lub odwrotnie?

Jakiż to byłby rozrzewniający obrazek zgody kiedyś w Polsce i jak tam był niemożliwy.

A u nas na sali w Oświęcimiu obaj zgodnie przemawiali.

Co za metamorfoza!

Przez jednego volksdeutscha-ślązaka, który jednak u nas pracował 81[270] – zostałem powiadomiony, o pewnej nowej akcji politycznego oddziału, która mogła poważnie mnie zagrozić osobiście.

Nas – „starych numerów" było już bardzo niewielu.

Szczególnie widoczne to było przy wypłacie pieniędzy.

Pieniądze przysyłane nam przez rodziny były wypłacane miesięcznie jednorazowo 30 marek lub dwukrotnie po 15 marek.

Przysyłane w większej ilości – pozostawały na koncie.

Potym zwiększyli wypłatę na 40 marek miesięcznie.

Pieniądze można było wydać w kantynie obozowej, gdzie można było nabyć wszystko, co organizmowi szkodziło: papierosy, sacharynę, musztardę, czasami sałatkę na occie (marynaty).

Do wypłaty pieniędzy dla porządku musieli stanąć wszyscy podług numerów.

Kilka razy spędzano wszystkich nawet tych, co wcale pieniędzy nie otrzymywali, żeby podpisali swoje konto.

Wtedy właśnie było łatwo policzyć stojących w kolejności pierwszych do ostatnich numerów i zorientować się, ilu jeszcze na setkę nas żyje...

Spustoszenie w setkach było ogromne, szczególnie w transportach warszawskich.

Może dlatego, że pierwsze transporty przed nami zajęły posady pod dachem, a nas kończono pod gołym niebem.

Może dlatego, że ludzie z Warszawy, jak mówili ślązacy, są niewytrzymali.

Może dlatego, że inni od nas mieli większe fory u władz lagru. –

Dość, że niektóre setki warszawskich transportów liczyły – dwóch ludzi.

W naszej setce było nas sześciu.

Były setki o wielkiej stosunkowo liczbie – ośmiu żyjących – bo były i takie, których już nikt nie reprezentował.

Wtedy właśnie polityczny oddział wpadł na pomysł sprawdzić dane metryczne[271] wszystkich pozostałych przy życiu, zaczynając od pierwszych numerów, co przy znikomej już ilości nas – starych numerów nie było trudnem.

270 Aloizy Pohl – ur. 7 stycznia 1913 r. w Chorzowie, do Auschwitz przybył 25 czerwca 1940 r. w transporcie śląskim i otrzymał nr 1214. Jako volksdeutsch zwolniony z obozu 12 maja 1942 r.

271 Pilecki ma na myśli dane metrykalne, pozwalające dokładnie zidentyfikować osobę, a więc oprócz imienia i nazwiska oraz daty urodzenia, także dane rodziców, pozwalające na ustalenie przynależności do rodziny.

A nuż może się kto ukrywa pod fałszywym nazwiskiem (tak jak naprzykład – ja).

Dla wyłowienia podobnych „ptaków” – polityczny oddział rozsyłał pisma do poszczególnych parafii z zapotrzebowaniem wypisów danych z ksiąg metrycznych poszczególnych więźniów. –

Do tych parafii, w rejonach których więźniowie się urodzili lub podali tak w swych zeznaniach przy badaniu.

Dla zorientowania jak wyglądała moja sytuacja, trzeba się cofnąć do roku 1940 w Warszawie.

Społeczeństwo nasze w Warszawie bardzo chętnie szło z pomocą ludziom z pracy konspiracyjnej, szczególnie w pierwszym okresie konspiracji, nie zastraszone jeszcze makabrycznymi reklamami koncentraków i Alei Szucha. –

Potym już było trudniej z lokalami. lecz początkowo zacne rodziny polskie oddawały chętnie i własną pracę i lokale na cele konspiracyjne.

W pierwszym okresie miałem kilka mieszkań i kilka dowodów osobistych na najrozmaitsze nazwiska, meldowane w różnych mieszkaniach.

Wtedy jeszcze można było wychodząc na ulicę dowód zostawiać w mieszkaniu.

Dowodów więc z sobą nie nosiłem i w razie zatrzymania na ulicy, nazwałbym się tak i takie wskazał mieszkanie, które w tamtej chwili było „najczystsze” – a gdzie miałem jeden z dowodów.

Jednym z mieszkań w których pracowałem było mieszkanie pani 83[272].

Pewnego dnia pani 83 powiedziała mi, że ma dowód zrobiony na nazwisko prawdziwe, jednego z naszych oficerów 84 [Tomasz Serafiński], który wyjechał już do pracy – zanim dowód zrobili – do innego rejonu.

Ponieważ do dowodu była i karta pracy – więc zgodziłem się na propozycję pani 83, by dowód ten po zmianie fotografii użyć dla mnie.

Gdy szedłem na „łapankę” – wziąłem ten dowód, gdyż nazwisko było – jak mi się słusznie zdawało – „niespalone” jeszcze.

Miałem więc dowód człowieka (84) [Tomasz Serafiński], który gdzieś żył na wolności.

W dowodzie jednak nie było wzmianki o imieniu i nazwisku panieńskim matki.

Gdy nas badano w nocy w Oświęcimiu, wkrótce po przywiezieniu do obozu – podałem imię i nazwisko matki zmyślone, gdyż jakieś podać musiałem.

Teraz więc sytuacja była dosyć niepewna.

Gdy kolej przyjdzie na mój numer, a przyjdzie w ciągu paru miesięcy napewno i oddział polityczny wyśle zapotrzebowanie do miejscowości Z. [Bochnia – miejsce urodzenia prawdziwego Tomasza Serafińskiego], do parafii po wyciąg danych z ksiąg metrykalnych moich – a właściwie pana 84 [Tomasz Serafiński] – imię i nazwisko panieńskie matki nie będzie się zgadzać z podanym przezemnie.

---

272 Helena Pawłowska – lekarka w Warszawie, w której mieszkaniu po zajęciu stolicy przez Niemców ukrywał się najpierw por. Tomasz Serafiński, a później ppor. Witold Pilecki.

A więc mnie wezwą i zapytają kim jestem – no i koniec wtedy.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, koledzy z łapanki, około paru setek (o czem już wspominałem), byli na „kwarantannie" i mieli wyjechać wkrótce do Warszawy.

Przesyłam wiadomość o mojej sytuacji do szwagierki mojej – pani E.O. [Eleonora Ostrowska] przez zwolnionego kolegę 14 [Antoni Woźniak] – z podaniem jakie nazwisko i imię tu podałem.

Wyjeżdża wtedy szereg kolegów, niektórzy pracownicy naszej organizacji, prócz 14 [Antoni Woźniak] jedzie również 9 [Czesław Wąsowski].

Jednocześnie na blok „wolnościowy" idzie płk. 1 [Władysław Surmacki], który był zwolniony z obozu, na skutek starań jego kolegi niegdyś, ze studiów w Berlinie – dziś zajmującego wyższe stanowisko w wojsku niemieckim.

Przez płk. 1 [Władysław Surmacki] przesyłam raport do Warszawy o pracy organizacji tutaj[273].

Przez kolegę 86[274] – który siedział tu za to jedynie, że się nazywał tak jak jeden z pułkowników, przesyłam również szereg wiadomości.

Dla całości obrazu lagru w tym czasie – (ma się rozumieć rzeczy, co sam widziałem, bo nie jestem w stanie opisać wszystkiego tego, co się słyszało od kolegów, którzy pracowali w innych niż ja komandach) trzeba jeszcze dodać t.zw. „tydzień seidlerowski".

W grudniu (1941 r.) mieliśmy przez tydzień co wieczór na apelu rządy Seidlera – specjalnego sadysty, który zastępował lagerführera.

Był to tydzień wyjątkowo przykrej pogody. Wiatr i deszcz ze zlodowaciałym śniegiem przenikał wilgocią zdawało by się nie tylko ubrania, lecz również nasze ciała. – Mroził nas całych na wylot. Wieczorem był mróz.

Seidler postanowił i to wykorzystać dla wykończenia możliwie większej ilości sił – istnień häftlingów.

Codziennie od chwili gongu na apel wieczorowy 15 minut przed godziną 18-tą (godz. 6-ta wieczór), staliśmy walcząc z mrozem w mokrych ubraniach do godziny 21-ej (9-tej), zwalniani ze stójki przed samym gongiem do spania.

Łykając szybko zimny obiad, który w tym czasie dawano u nas na wieczór i spiesząc na gwałt z załatwieniem w 15 minut różnych czynności przed spaniem.

Stójki te trwały tydzień, gdyż niby codziennie przez tydzień kogoś brakowało na apelu – co było zmyśloną przez Seidlera fikcją.

Skończyły się bowiem jednocześnie z końcem jego zastępstwa w funkcji odbierania raportu od Palit[z]scha wieczorem.

---

273 Władysław Surmacki został aresztowany przez gestapo prawie natychmiast po przybyciu do Warszawy, prawdopodobnie zatem nie zdążył przekazać meldunku Pileckiego kompetentnym przedstawicielom władz podziemnych.

274 Aleksander Paliński – ur. 14 kwietnia 1894 r. w Warszawie, urzędnik, szklarz. Do Auschwitz przywieziony transportem warszawskim 7 stycznia 1941 r., otrzymał nr 8253. Zwolniony z KL Auschwitz 10 lutego 1942 r., mieszkał w Warszawie przy ul. Krasińskiego 16. Poległ w Powstaniu Warszawskim 28 września 1944 r.

Wiele jednak sił, zdrowia i wielu słabszych – życie, kosztował ten tydzień.

Zawiadomienia o śmierci posyłane były do rodzin przez „główną schreibstubę" tylko na wyraźne zlecenie politycznego oddziału, gdyż nie zawsze wygodną była dla władz policyjnych niemieckich wiadomość o śmierci więźnia, która się przedostawała na wolność, a to ze względu na nieraz trwające dochodzenia w jakiejś sprawie, gdy resztę uwięzionych gdzieś w więzieniu, szachowano tym, że mają w rękach więźnia X, który im mówi „całą prawdę".

Tak kończył się rok 1941.

Rozpoczynał się rok 1942. – jeśli chodzi o obóz w Oświęcimiu– – n a j p o t w o r n i e j s z y –, jeśli chodzi o pracę Organizacji naszej w obozie – n a j c i e k a w s z y –, w którym do największych doszliśmy osiągnięć.

...a tak się składa, że z braku czasu przed nową decyzją muszę pisać nieomal telegraficznym stylem[275].

Nastąpiła raptownie zasadnicza zmiana kursu w stosunku do żydów.

Ku podziwowi wszystkich reszta żydów została wycofana z S.K. i razem z napływającymi żydami-„zugangami", ulokowana w dobrych warunkach w pracy pod dachem: w pończoszarni, w kartoflarni-jarzyniarni.

Stali się nawet ważni w stosunku do nas.

Nie podejrzewali, że jest w tym potwornie złośliwa, podstępna myśl.

Chodziło o ich listy do rodzin, w których przez parę miesięcy pisali, że pracują w warsztatach i jest im bardzo dobrze.

A, że warsztaty te mieściły się w Oświęcimiu, cóż znaczyła ta nieznana nazwa miasteczka dla żydów we Francji, Czechach, Holandii, Grecji, gdzie płynęły te listy.

Kiedy nawet Polacy w Polsce mało jeszcze o Oświęcimiu wiedzieli i narazie do pobytu czyjegoś w Oświęcimiu podchodzili bardzo naiwnie.

Naszych – polskich żydków[276] kończono przeważnie w Treblince i w Majdanku[277].

Tu – do Oświęcimia ściągano żydów z całej nieomal, Europy.

Po paru miesiącach pisania listów o dobrych warunkach w jakich żyją – żydów raptownie zebrano z różnych ich posad i gwałtownie „wykończono".

---

275 W trakcie pisania *Raportu* przez Pileckiego w 2 Korpusie Polskim we Włoszech decydowała się sprawa jego powrotu do Polski z nowym zadaniem specjalnym. Pilecki sygnalizuje czytelnikom – przede wszystkim przełożonym wojskowym i politycznym, dla których *Raport* był przeznaczony – że ponieważ owa decyzja powrotu już zapadła, nie może poświęcić zbyt wiele czasu na pisanie *Raportu*.

276 W polszczyźnie okresu międzywojennego poufałe określenie przedstawiciela tej grupy narodowej bądź wyznaniowej.

277 Część Żydów z południowych ziem polskich zamordowano także w obozie zagłady w Bełżcu.

Tymczasem zaczęły płynąć, dziennie tysiącami, transporty żydów z całej Europy, kierowane odrazu do Birkenau, gdzie budowa baraków obozu (takiego, jaki powstał w pierwszej fazie), była już zakończona.

Zmienił się również oddawna, stosunek do księży, lecz z innego powodu.

Na podstawie jakiegoś wpływu Watykanu, przez sojusznicze Włochy, na władze Rzeszy – księża zostali wywiezieni do Dachau. Pierwszy raz – w początku roku 41, drugi taki transport księży z Oświęcimia do Dachau nastąpił w lipcu 42 roku.

W Dachau księża podobno mieli, w porównaniu do warunków tutaj, zupełnie możliwą egzystencję[278]. W czasie pomiędzy tymi dwoma transportami poznałem w Oświęcimiu paru dzielnych księży, między innymi ks. 87[279], który był naszej organizacji kapelanem.

Mieliśmy zakonspirowane od niepożądanych oczu nabożeństwa i spowiedzi. Komunikanty otrzymywaliśmy od duchowieństwa z wolności przez kontakt z ludnością z poza obozu[280].

Początek roku (1942) – to szybkie kończenie reszty jeńców bolszewickich.

Spieszono z mordowaniem.

Bloki były potrzebne na inny cel.

Nowa makabra miała się tu rozpocząć.

Trupy bolszewików, zabijanych w pracy przy budowie dróg, kopaniu rowów w rejonie Birkenau przywożono wozami na apel.

Naładowanych pełno – kilka wozów na każdorazowy apel.

Niektórzy z jeńców poprostu zamarzali, gdyż do pracy, – żeby się rozgrzać – nie mieli już sił.

Pewnego dnia podczas pracy wybuchł bunt. Bolszewicy się rzucili na capów i ss-mannów.

Stłumiono krwawo – cały ten oddział został wystrzelany.

278 Przekonanie, że w innych obozach egzystencja była znośniejsza, było wynikiem informacji szerzonych przez samych więźniów, ale z reguły nieprawdziwych.

279 Zygmunt Ruszczak – ur. 19 sierpnia 1909 r. w Warszawie, dr teologii, ks. rzymskokatolicki, katecheta, nauczyciel. Święcenia kapłańskie przyjął 27 sierpnia 1939 r. i objął posadę wikarego w parafii Tarchomin. Aresztowany przez Niemców 14 września 1939 r., po zakończeniu działań wojennych więziony na Pawiaku, skąd został zwolniony; ponownie aresztowany i osadzony na Pawiaku 9 grudnia 1940 r. Do KL Auschwitz przybył 1 lutego 1941 r. transportem warszawskim i otrzymał nr 9842. Kapelan ZOW w KL Auschwitz, odprawiał tajne nabożeństwa i niósł posługę duchowną współwięźniom. W dniu 5 czerwca 1942 r., w ramach niemieckiej akcji komasacji wszystkich duchownych katolickich w jednym obozie, przeniesiony w trzecim transporcie księży do KL Dachau, gdzie otrzymał nr 30306. Wyzwolony przez aliantów 29 kwietnia 1945 r.

280 Przejawy kultu religijnego w obozie były zakazane. Szczególnie dotyczyło to religii katolickiej. Przebywający w obozie księża byli więźniami jak wszyscy inni, z początku nawet znacznie gorzej traktowanymi. Dlatego wszelkie formy życia religijnego musiały być głęboko zakonspirowane. Komunikanty przemycano do obozu dzięki ludności pracującej z więźniami w różnych miejscach. W obozie Msze św. dla konspiratorów z ZOW odprawiali m.in. salezjanin ks. Zygmunt Kuzak (nr 39884) i kapucyn o. Zdzisław Piotr Uliasz (nr 12988). Jak w swojej relacji podał ks. Kuzak, nigdy nie udało się Niemcom wykryć tej działalności duszpasterskiej.

Trupy do wyliczenia się przed władzami na apelu, przywieziono w kilku rzutach „rolwagami".

Po wykończeniu wszystkich (luty 42 r.), za wyjątkiem kilku setek, o których już wspominałem, szybko rozgrodzono płot postawiony pomiędzy naszym obozem a obozem jeńców.

Jednocześnie budowano już płot w innym kierunku i – w innym celu.

Odgradzano od nas wysokim murem z betonowych płyt dziesięć bloków, żeby w nich ulokować kobiety.

Tego jeszcze dotychczas nie było. –

W początku swej egzystencji obóz pracował również i w niedzielę – następnie niedziele były niby wolne, z tym, że pół dnia do obiadu miały bloki tak zwaną „bloksperre".

Teraz, żeby zmniejszyć nasze możliwości do porozumiewania i organizowania się, odebrano nam w niedzielę jeszcze dwie godziny czasu.

Po obiedzie od 13-ej do 15-tej häftling musiał rozebrać się i spać.

Blokowi sprawdzali sale.

Spanie na blokach sprawdzał lagerältester lub lager-capo – bo więzień, który nie spał – marnował przecież zdrowie (dzika ironia!) – potrzebne dla III-ciej Rzeszy, a więc był „sabotarzystą".

Dnia 18-go stycznia (42 r.) z braku miejsc w przepełnionych bunkrach zamknięto na noc do bunkra „ciemnicy" razem 45 więźniów.

Wkrótce potym wieczorem jeszcze, w podziemiach bloku 11-go (nowa numeracja) rozległo się silne walenie w drzwi i wołanie na dozorującego ss-manna, żeby otworzył drzwi. –

To tych 45-ciu dusiło się z braku powietrza, zębami, pięściami i nożami [sic!] walcząc o dostęp do drzwi, gdzie przez szczeliny wpływało trochę powietrza.

Po nocy z 45-ciu żywych, wieczorem zamkniętych, było 21 trupów uduszonych i zabitych w walce. Z pozostałych słaniających się na nogach 24-rech – wzięto do szpitala prawie dogorywających – 9-ciu, a 15-tu poszło do S.K., „za to, że nie raczyli zginąć" w „ciemnicy".

Wśród nich był również Konrad [Lang], były ober-capo stolarni.

Świadkiem tej ciężkiej sceny przez całą noc był capo „Jonny" [Johann Lechenich] – odbywający w tym czasie „stehe-bunker" – za „jakieś kombinacje" z Polakami – jak to nazwały władze.

W lutym (42 r.) przyszło pismo do politycznego oddziału, od władz partii z Berlina, zabraniające odpowiedzialności solidarnej i rozstrzeliwania dziesięciu więźniów za jednego zbiega.

Podobno na skutek takichsamych represji zastosowanych gdzieś w obozach dla niemców[281].

281 Sformułowanie „dla Niemców" prawdopodobnie należy rozumieć jako „wobec Niemców". Niemcy osadzeni w obozach koncentracyjnych z reguły byli traktowani lepiej niż więźniowie innych narodowości.

W tym czasie oficjalnie odczytano rozkaz zabraniający bicia więźnia (ciekawe, czy to był skutek naszych meldunków).

Od tego, czasu nie było wielkich represji w stosunku do pozostałych za ucieczki więźniów.

Odżyły więc możliwości ucieczek i my jako organizacja zaczynamy montować i przygotowywać się do wysłania raportu do Warszawy, za pomocą zorganizowania ucieczki.

Po bolszewikach zostały wszy i straszliwy jakiś tyfus syberyjski, na który zaczęli chorować masowo nasi koledzy.

Tyfus opanowywał obóz i robił straszliwe spustoszenie[282].

Władze zacierały ręce spokojnie się przyglądając temu sojusznikowi w wykończaniu häftlingów.

Wtedy zaczęliśmy w laboratorium „krankenbau" hodować wszy tyfusowe i puszczać je na płaszcze ss-mannów, przy każdym raporcie lub odwiedzinach kontrolnych naszych bloków. –

Na bloku 15-tym powieszono na zewnątrz skrzynkę pocztową i ogłoszono na wszystkich blokach, o tym, że do tej skrzynki należy wrzucać listy z podpisami lub bez – wszelkie doniesienia o podsłuchanych rozmowach na blokach.

Za istotny dla władz obozu donos – häftling miał być wyróżniony.

Większość z nich nie była uważana za wrogów państwa niemieckiego i z reguły oni sami się za takich nie uważali, nawet jeżeli byli politycznymi przeciwnikami reżimu hitlerowskiego. Ponadto potrzeba rąk do pracy, a nawet możliwość wykorzystania części niemieckich więźniów jako uzupełnienia dla Wehrmachtu powodowały, że drastyczne karanie Niemców nie było korzystne dla władz III Rzeszy. Być może w którymś z obozów doszło do skazania na śmierć w drodze tzw. dziesiątkowania więźnia niemieckiego i zwróciło to uwagę na problem, tym bardziej że Niemcy zakładali równe traktowanie wszystkich więźniów obozów, przynajmniej formalnie. Wpływ na złagodzenie tej formy odpowiedzialności współwięźniów za ucieczki kolegów mógł mieć także fakt, że pozostający w obozie więźniowie nadal byli wykorzystywani do pracy przymusowej. Strata każdej pary rąk do pracy z powodu dodatkowej egzekucji nie była korzystna z gospodarczego punktu widzenia. Zgodnie z założeniem przyświecającym utworzeniu systemu obozów koncentracyjnych wszyscy więźniowie powinni byli wydajnie pracować dla III Rzeszy.

282 Lata 1942–1943 to w KL Auschwitz okres nasilenia różnych epidemii. Tyfus plamisty pochłonął najwięcej ofiar. Cykliczne epidemie tyfusu przenoszonego przez wszy występowały we wszystkich obozach koncentracyjnych. Od 1943 r. choroba była mniej groźna, gdyż rozpowszechniona została szczepionka wynaleziona przez lwowskiego lekarza Rudolfa Weigla. Więźniowie oficjalnie nie byli nią szczepieni, ale znaczne partie tych szczepionek polskie podziemie przemycało do obozów na ziemiach polskich, zwłaszcza do Auschwitz. Katastrofalne warunki życia w obozie sprawiały, że już od pierwszych miesięcy jego istnienia było tam wielu chorych i liczba ich stale się powiększała. Charakterystyczna dla obozów była choroba głodowa, połączona z biegunką (często krwawą), obrzękiem nóg, osłabieniem wzroku, słuchu, utratą pamięci, załamaniem psychicznym i ogólnym wycieńczeniem. Warunki higieniczne były przyczyną chorób skórnych, przede wszystkim świerzbu. Wielu więźniów chorowało na gruźlicę, zimnicę (malarię), zapalenie opon mózgowych, pęcherzycę, czerwonkę i zaburzenia przewodu pokarmowego, wywołane nieodpowiednim i niewystarczającym wyżywieniem. Z kolei rezultatem fizycznego znęcania się nad więźniami było wiele przypadków złamań kończyn i ropowicy pośladków (w wyniku chłost). Niemal wszyscy więźniowie cierpieli z powodu czyraków, ropni i owrzodzeń, powstałych głównie wskutek awitaminozy i zakażeń. Zimą, późną jesienią i wczesną wiosną mnożyły się przypadki przeziębień, zapalenia płuc i odmrożenia, prowadzące nierzadko do martwicy kończyn. Wszystkie te choroby miały bardzo ostry przebieg i wywoływały kolejne. Większość więźniów cierpiała na kilka chorób jednocześnie.

Chciano zabezpieczyć się od naszej pracy organizacyjnej.

Sypnęły się anonimy i donosy.

Wtedy my przez kpt. 88[283] otwieraliśmy skrzynkę co wieczór i przeglądaliśmy wrzucone meldunki, przed otwieraniem jej o godz. 22-giej przez Palit[z]scha.

Niszczyliśmy niewygodne, niebezpieczne dla nas i wrzucaliśmy sami donosy na typy szkodliwe.

Zaczęła się walka papierowa.

Na blokach i w marszach do pracy kazano nam śpiewać niemieckie piosenki.

Kilkakrotnie obóz cały musiał śpiewać podczas zbiórki na apelu.

W Rajsku-Birkenau budowano na gwałt kamery gazowe – niektóre były już gotowe.

To, czego się obawiałem kiedyś – wprowadzania do organizacji oficerów którzy tu siedzieli pod własnym nazwiskiem – miało rację bytu. Gdyż w razie podejrzenia że tu jest organizacja przedewszystkim wzięli by do bunkra oficerów.

Pewnego dnia wzięli płk. 62 [Jan Karcz] i zamknęli do bunkra – celi więziennej[284], prowadząc go codziennie na badanie do politycznego oddziału, skąd wracał blady i ledwo się trzymał na nogach.

Wtedy się obawiałem o różne komplikacje.

Po przeszło dwóch tygodniach płk. 62 [Jan Karcz] wieczorem podszedł do nas z kolegą 59 [Henryk Bartosiewicz] i powiedział: „no, powinszujcie – wypuścili. Pytali, czy jest organizacja jakaś w obozie.", i podszedł do mnie, żegnając się ze mną, bo był gong na spanie powiedział: „Nie bój się, nie powiedziałem ani słowa. – Jutro ci opowiem..."

Lecz nazajutrz rano zabrano płk. 62 [Jan Karcz] i przeniesiono do Rajska, widocznie właśnie dlatego, by nie mógł nam nic powiedzieć.

Dzielny był płk. 62 [Jan Karcz].

Przywieziono przeszło stu Czechów. – Była to sama inteligencja. – Organizacja „Sokół"[285]. –

Ulokowano ich na naszej sali (blok 25-ty sala 7-ma).

283 Tadeusz Dziedzic – ur. 7 września 1906 r. w Bukownie, nauczyciel, of. zaw. WP, por. sł. st. piech. ze starsz. z 1 stycznia 1934 r. Ukończył Męskie Seminarium Nauczycielskie w Turkowicach, a następnie Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej-Komorowie. Służył w 53 pp strzelców kresowych w Stryju, a później był d-cą 3 kompanii 7 pp Leg. w Chełmie. Po kampanii 1939 r. w konspiracji, aresztowany przez gestapo, do Auschwitz przywieziony transportem lubelskim 24 maja 1941 r., oznaczony nr. 16246. Członek ZOW w biurze budowlanym. Rozstrzelany pod Ścianą Straceń w KL Auschwitz 29 października 1942 r.

284 Bunkier – w KL Auschwitz określenie pomieszczeń piwnicznych bloku 11, gdzie mieściły się cele więzienne, w których przetrzymywano więźniów ukaranych karą bunkra, czyli odosobnienia, a przede wszystkim więźniów poddanych przesłuchaniom i śledztwu przez obozowe gestapo.

285 Czeskie Towarzystwo Sportowe, powstałe w XIX w., grupujące głównie przedstawicieli inteligencji i mieszczaństwa. Jego celem było podnoszenie sprawności fizycznej i duchowej oraz rozbudzanie ducha narodowego. Sokół głosił także idee panslawizmu, czyli wspólnych korzeni oraz interesów narodów słowiańskich. Pierwsze gniazdo organizacji założono w 1862 r. w Pradze. Za przykładem organizacji czeskiej powstawały w późniejszych latach organizacje sokolskie na terenie Słowenii, na ziemiach polskich (pod zaborem austriackim), w Chorwacji, na Łużycach, w Berlinie, Serbii, na Ukrainie, w Macedonii, Rosji i na Słowacji. W 1865 r. czescy imigranci założyli oddział Sokoła w USA. Czeska organizacja Sokoła

Zaczęto ich kończyć w szybkim tempie.

Wszedłem w kontakt organizacyjny z ich przedstawicielem 89[286] (żyje i jest w Pradze).

Po porozumieniu z płk. 64 [Kazimierz Heilmann] oprowadzam po wszystkich komórkach naszych w obozie przyjaciela mego, do którego miałem wiele zaufania por. 29 [Włodzimierz Makaliński].

Robię to na wypadek – wypadku ze mną.

Por. 29 melduje płk. 64, żeśmy obeszli 42 komórki. –

Pewnego ranka z obozu naszego Stammlager Oświęcim przenoszą do Birkenau (rozeszła się pogłoska, że na wykończenie) szereg Ślązaków (około 70–80) i między innymi mego przyjaciela 45 [Stanisław Gutkiewicz].

Od wieczora dnia poprzedniego denerwował się, coś przeczuwając – drżał w nocy na całym ciele.

Prosił mnie by wiadomość o nim, w przyszłości przekazać jego żonie i małemu synkowi – Dyzmie.

Z Rajska już nie powrócił.

Wszystkich Ślązaków z tej grupy – tam wykończono.

Niektórzy z nich siedzieli tu od początku obozu i myśleli, że się uchowają.

Od tego czasu pozostali Ślązacy w obozie, wyraźnie zaczęli skłaniać się do pracy przeciwko niemcom.

Pewnego ranka, odwiedzając kolegów z pracy, byłem na bloku 5-tym (nowa numeracja) i biegnąc szybko na apel przez pusty już korytarz, spotkałem się oko w oko z „krwawym Aloizem", który poznał mnie, chociaż minął przeszło rok, zatrzymał się i krzyknął z jakimś zdziwieniem a jednocześnie z dziwną dla mnie radością: „Was? Du lebst noch?..."[287] chwycił mnie za rękę i potrząsnął.

Cóż miałem robić? Nie wyrywałem się. Dziwny był człowiek.

Z krwiożerczych typów pierwszych czasów, do których i on należał – kilku już nie żyło.

Władze obozu, wobec komisji odwiedzających obóz (wśród których zjawiali się jacyś panowie w cywilnych ubraniach) poczęły starać się ukazać obóz w możliwie lepszym świetle.

Prowadzono na nowe bloki i tylko tam, gdzie były łóżka.

Kuchnia w tym dniu gotowała dobry obiad.

---

została rozwiązana po aneksji Czech przez III Rzeszę, a jej członkowie byli prześladowani i deportowani do obozów koncentracyjnych, m.in. do KL Auschwitz.

286 Karel Stransky – ur. 5 października 1898 r., czeski adwokat. Przywieziony do KL Auschwitz w połowie stycznia 1942 r. na polecenie gestapo z Pragi, w grupie ponad 100 członków czeskiego Sokoła, otrzymał nr 25625. Mieszkał w bloku 25, gdzie poznał W. Pileckiego, a także m.in. dr. Józefa Putka, z którym się zaprzyjaźnił. Zwolniony z obozu w grupie 33 Czechów 2 czerwca 1942 r., powrócił do Pragi. Wojnę przeżył.

287 Co? Ty jeszcze żyjesz?

Orkiestra pięknie grała.

Do obozu wkraczały po pracy tylko komanda zdrowe, silne i warsztatowcy.

Reszta komand – zugangi i inne o wyglądzie pożałowania godnym czekały w polu wyjazdu komisji, która odnosiła wrażenie obozu zupełnie nieistotne. Gdy pod wpływem potrzeby pokazywania obozu z lepszej strony sylwetki niektórych katów z pierwszych czasów stały się niepopularne – władze zdecydowały się przewieźć kilku capów do innego obozu – między innymi Krankenmanna i Sigroda [Johann Siegruth].

Po wsadzeniu ich do wagonów na stacji, ss-manni dozorujący pracę więźniów na tejże stacji, dali do zrozumienia häftlingom, że nic nie mają przeciwko temu, by więźniowie wzięli teraz rewanż na Krankenmannie.

Więźniom tego tylko było trzeba, wtargnęli do wagonów i powiesili Krankenmanna i Sigroda na ich własnych paskach.

SS-manni na ten moment się odwrócili i nie przeszkadzali.

Tak zginęli oprawcy. – Każdy świadek tylu morderstw sankcjonowanych przez władze obozu był niewygodny – chociażby nim był capo-niemiec.

To też i ci dwaj – przestali być świadkami.

Organizacja stale rosła.

Z kolegą 59 [Henryk Bartosiewicz] doprowadziliśmy do wejścia do nas płk. 23 [Aleksander Stawarz], ppłk. 24 [Karol Kumuniecki] oraz nowych ludzi: 90 [NN], 91 [Stanisław Polkowski], 92[288], 93 [NN], 94 [NN], 95 [NN].

Wieloma kolegami opiekował się piękny typ człowieka 44 [Wincenty Gawron], oddając swoje jedzenie, sam zarabiając portretowaniem kogoś z władz i dostając za to żywność dla siebie.

Z Warszawy transport (marzec 42 r.) przywiózł mnie znowu wielu znajomych i wiadomości o tym co się robi u nas.

Przyjechał mjr. 85 [Zygmunt Bohdanowski], przezacny typ 96[289], z rekordem pobicia[290] na Alei Szucha i na Pawiaku.

Od nich się dowiedziałem, że płk.1 [Władysław Surmacki] znowu jest aresztowany i siedzi na Pawiaku.

Płk. 1 [Władysław Surmacki] kolegę 96 [Tadeusz Stulgiński] skierował do mnie.

Ulokowałem go przez 97 [Jan Machnowski], który do pracy naszej już przystąpił u niego w komando.

288 Wacław Weszke – ur. 5 września 1904 r. w Berlinie. Do Auschwitz przywieziony transportem śląskim 25 stycznia 1941 r., otrzymał nr 9530. Przeniesiony 28 listopada 1944 r. do innego obozu, wojnę przeżył.

289 Tadeusz Stulgiński – ur. 25 kwietnia 1911 (według niektórych źródeł 1910) r. w Gaspalu, rzeźbiarz. Do Auschwitz przybył 18 kwietnia 1942 r. z Warszawy, oznaczony nr. 31315. W 1944 r. przeniesiony do KL Sachsenhausen. Zmarł w Krakowie 1 sierpnia 1994 r.

290 Prawdopodobnie autor *Raportu* miał na myśli długotrwałość pobytu T. Stulgińskiego w śledztwie i liczbę przesłuchań, przez które przeszedł.

Jednocześnie rozbudowaliśmy się w dwóch innych kierunkach, wciągając do pracy 98 [NN], 99 [NN] w baubiurze i w szpitalu 100 [NN] i 101[291].

W tymże czasie zmarł prof. 69 [Roman Rybarski].

Jak na dwóch wielkich filarach opierała się organizacja na dwóch instytucjach: „Krankenbau" i „Arbeitsdienst".

Gdy trzeba było kogoś ze swoich z transportów „zugangów" uratować i pod dach wsadzić lub zabrać kogoś z komanda, gdzie już zaczynał „podpadać", czy wpadać sylwetką swoją w oko, jakiemuś draniowi, albo wprost trzeba było wprowadzić do komanda jakiegoś moment naszej pracy [Dopisek odręczny autora, jednak bez wskazania miejsca wstawienia: *rozpocząć w komandzie jakimś – naszą pracę*], wtedy się szło do dr. 2 [Władysław Dering] i mówiło się: Dziunku – jutro przyjdzie do ciebie Nr... którego musisz na czas jakiś do szpitala przyjąć. (Lub załatwiało się to przez dr. 102.[292]).

A gdy to nastąpiło, w pojęciu capo häftling był już i tak zgubiony – gdyż ze szpitala mało kto powracał, wtedy się szło do 68 [Mieczysław Januszewski] i mówiło się: Daj kartkę na Nr... do komanda X lub czasami również z dobrym skutkiem do 103 [NN] – i sprawa była załatwiona.

W ten sposób przygotowywaliśmy również ucieczkę 25 [Stefan Bielecki] i 44 [Wincenty Gawron].

Obaj pierwszorzędni ludzie i obaj siedzieli tu za broń. Sprawy mieli dowiedzione i byliby tu rozstrzelani napewno. Kwestia tylko była jak szybko w politycznym oddziale oko Grabnera padnie na ich sprawy.

Jakimś cudem dotychczas żyli.

44 [Wincenty Gawron] malował portrety ss-mannów i jego sprawę – możliwe że – odkładano, lecz długo tak trwać nie mogło.

Sposobem który podałem wyżej (w lutym 42 r.) przerzuciliśmy 25 [Stefan Bielecki] do komanda „Harmensy"[293] – rybne stawy. Kilka kilometrów od obozu, gdzie więźniowie pracowali przy rybach i tam mieszkali.

291 Witold Kosztowny – ur. 7 października 1913 r. w Grodźcu, technik laborant. Do Auschwitz przywieziony w pierwszym transporcie krakowskim 14 czerwca 1940 r., nr 672. Pielęgniarz w obozowym szpitalu, członek ZOW, m.in. hodował wszy tyfusowe, które podrzucano na ubrania esesmanom. W 1944 r. przeniesiony do KL Sachsenhausen, wojnę przeżył.

292 Rudolf Diem – ur. 23 sierpnia 1896 (u A. Cyry 1898) r. w Szymanowie k. Sochaczewa (według ewidencji PMAB w Hermanowie), studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego; dr wszech nauk lekarskich, of. zaw. WP, mjr sł. st. zdrowia ze starsz. z 19 marca 1939 r. Przed wybuchem wojny mieszkał w warszawskiej Cytadeli i praktykował w 1 Szpitalu Okręgowym. Najpóźniej od 1935 r. był lekarzem naczelnym Podobwodu nr 4 Ubezpieczalni Społecznej Warszawskiej w Otwocku i lekarzem domowym. Do Auschwitz przywieziony transportem warszawskim 1 lutego 1941 r., otrzymał nr 10022. Członek ZOW, szef służby zdrowia organizacji, przewidziany na szefa sanitarnego w razie powstania w obozie, najbliższy współpracownik dr. W. Deringa w HKB. Wyzwolony w KL Auschwitz. Po wojnie pracował w Warszawie jako internista. Zmarł w Warszawie 12 listopada 1986 r.

293 Harmensy (poprawnie w jęz. niem. Harmense, polskie Harmęże) – wieś położona nad Wisłą w pobliżu Oświęcimia. W okresie okupacji hitlerowskiej po utworzeniu obozu KL Auschwitz w dniach 7–12 kwietnia 1941 r. Niemcy przeprowadzili akcję wysiedleńczą okolicznych wsi, która objęła również Harmęże.

Znacznie potym – w maju poszedł tam 44 [Wincenty Gawron] i tegoż dnia w którym się tam zjawił z wiadomością ode mnie dla 25 [Stefan Bielecki], by nie czekał na mnie tylko „szedł" – obaj „prysnęli" – zbiegli z domku przez okno niosąc mój raport do Warszawy.

W państwie Erika Grenke [Grönke] – w garbarni, po wpakowaniu do bunkra Konrada [Langa], komando rzeźbiarni i wybranych stolarzy przeżywało kryzys.

W trudnej sytuacji znalazł się zastępujący capa – Tadek Myszkowski.

Miejsce łagodnego wzroku Konrada, lubującego się w pięknie sztuki zajął wzrok żbika – złośliwie przenikające spojrzenie Erika.

Wkrótce chcąc zniszczyć to co Konrad ulepił, nazywając egzystencję rzeźbiarni – luksusem, skasował rzeźbiarnię, każąc nam robić łyżki.

I dał nam capa „Hulajnogę" [NN] złośliwego idiotę.

Stolarzom trudniącym się wyrobem artystycznych szkatuł, kazał robić szafy i najprostsze rzeczy.

W łyżkarni robiliśmy po 5 łyżek dziennie, potym – po 7, a wreszcie – po 12. –

W tym czasie pracował tu były poseł 104[294].

Do organizacji wtedy wciągam kolegów 105[295], 106 [NN], 107 [NN], byłego żołnierza mojej partyzantki (39 r.) – 108[296], oraz ppor. 109 [NN], 110[297], 111 [NN].

We wsi wyburzono większość domów, pozostawiając tylko kilka z nich, i założono fermę drobiu, królików i hodowlę ryb, przy których prace wykonywali więźniowie. Do stawu rybnego wrzucano popiół ze spalonych zwłok więźniów KL Auschwitz-Birkenau, dowożony z krematoriów samochodami ciężarowymi. 8 grudnia 1941 r. utworzono tu jeden z pierwszych podobozów KL Auschwitz – podobóz Harmense – i umieszczono w nim na stałe 50 więźniów. 17 lipca 1942 podobóz wizytował Heinrich Himmler.

294 Józef Aleksy Putek – ur. 4 lipca 1892 r. w Wadowicach, ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr praw, adwokat, radykalny działacz polityczny Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Ludowego, kilkakrotny poseł na Sejm, więzień brzeski, pisarz i publicysta, wójt Choczni. Do Auschwitz przywieziony drugim transportem krakowskim 20 czerwca 1940 r. otrzymał nr 829. Członek ZOW, przez jakiś czas mieszkał w tym samym bloku 25 co Pilecki. Pracował m.in. w obozowej kartotece i łyżkarni. W 1942 r. przeniesiony do KL Mauthausen. Po wojnie wrócił do polityki, był posłem do Krajowej Rady Narodowej i na Sejm Ustawodawczy oraz ministrem poczt i telegrafów. Pozbawiony immunitetu poselskiego i aresztowany w 1950 r., przebywał bez wyroku ponad dwa lata w krakowskim więzieniu Montelupich i warszawskim więzieniu mokotowskim. Próbowano m.in. sporządzić przeciwko niemu akt oskarżenia o współpracę z Niemcami w obozie KL Auschwitz. Po 1956 r. wykonywał zawód adwokata. Jego próby przygotowania własnych list kandydatów do Sejmu w wyborach w 1957 r. zostały zablokowane przez komunistów. Zmarł w Choczni 10 maja 1974 r.

295 Edward Berlin – ur. 28 stycznia 1908 r. w (Białych) Brodach, stolarz, plut. WP. Do Auschwitz przywieziony 30 lipca 1941 r. transportem z Lublina, otrzymał nr 19490. Zginął 29 lub 28 października 1942 r. w KL Auschwitz.

296 Stanisław Dobrowolski – ur. 16 marca 1919 r. w Lublinie. Do Auschwitz przywieziony transportem lubelskim z 24 maja 1941 r., zarejestrowany jako rolnik i oznaczony nr. 16061. Rozstrzelany pod Ścianą Straceń 28 października 1942 r.; w obozowym akcie zgonu podano fałszywie, że zmarł 29 października 1942 r. na skutek choroby serca.

297 Andrzej Gąsienica-Makowski – ur. 19 listopada 1906 r. w Poroninie, leśnik. Do Auschwitz przywieziony 8 października 1940 r. transportem z Krakowa i oznaczony nr. 5654. Zbiegł z obozu 14 czerwca 1944 r., wojnę przeżył.

Z pośród malujących robione przez nas zabawki (gdzie poprzednio krótko /przed bunkrem/ pracował płk. 62 [Jan Karcz]) wszedł do naszej organizacji – przekazany mnie przez zwolnionego kpt. 8 [Ferdynand Trojnicki], pdch. 112[298].

Opanowaliśmy już wszystkie komanda, lecz do jednego nie mogliśmy się dostać.

Nareszcie w lutym (42 r.) będąc komandiert i wracając późno do obozu, po powrocie na blok dowiedziałem się od 61 [Konstanty Piekarski], że był 68 [Mieczysław Januszewski]. „Funkstelle”[299] potrzebuje dwóch kartografów-kreślarzy map i że on 61, podał numer swój i naszego byłego komandora 113[300].

Po paru dniach okazało się, że komandorowi 113 [Franciszek Sokołowski] trzęsie się ręka, więc przenieśliśmy go do komando ss-kartoflarni, gdzie miał zapewnione dobre jedzenie, a na miejsce jego do „Funkstelle” wkręciłem się ja (po porozumieniu w „snycerni”[301] z 52 [Tadeusz Myszkowski]).

Pracowaliśmy z 61 [Konstanty Piekarski] nad mapami w „Funkstelle” parę tygodni, w tym czasie – po zorientowaniu się w sytuacji – przy pomocy 77 [Zbigniew Ruszczyński] – udało mi się wreszcie, stąd, gdzie prócz pracy ss-mannów przy stacji, odbywały się kursy – dostać brakujące nam lampy i niektóre części, na które polowaliśmy oddawna bez rezultatu.

Z części zapasowych – wymiennych, do których mieli dostęp nasi häftlindzy.

298 Stanisław Gustaw Jaster – ur. 1 stycznia 1921 r. we Lwowie, harcerz, instruktor żeglarstwa, żołnierz AK. W 1939 r. zdał maturę w Warszawie. Jako ochotnik uczestniczył w obronie stolicy, później rozpoczął działalność w konspiracji. Ujęty przypadkowo podczas łapanki na Żoliborzu 19 września 1940 r. (wtedy, kiedy Pilecki), oskarżony o próbę zamachu na niemieckiego oficera i osadzony na Pawiaku. Do Auschwitz przywieziony 23 listopada 1940 r. i zarejestrowany jako uczeń gimnazjum, otrzymał nr 6438. Członek ZOW, przekazał jeden z meldunków Pileckiego do KG AK. Zbiegł z obozu 20 czerwca 1942 r. w najsłynniejszej oświęcimskiej ucieczce, samochodem komendanta, wraz z trzema współwięźniami: Eugeniuszem Benderą (nr 8502), Kazimierzem Piechowskim (nr 918) i Józefem Lempartem (nr 3419). W Warszawie wszedł w skład elitarnego dywersyjnego oddziału dyspozycyjnego KG AK „Osa-Kosa”. Po aresztowaniach wielu członków oddziału w dniu 5 czerwca 1943 r. oraz szefa sztabu oddziału Wiktora Kudelskiego w dniu 12 lipca tegoż roku, podejrzany o zdradę i współpracę z Niemcami. W lipcu 1943 r. ujęty przez patrol likwidacyjny z zespołu ochronnego KG AK i zlikwidowany. Okoliczności jego śmierci nadal budzą wiele kontrowersji wśród kombatantów i badaczy.

299 Radiostacja załogi SS i garnizonu KL Auschwitz.

300 Franciszek Teofil Sokołowski – ur. 12 maja (w ewidencji PMAB 24 kwietnia) 1875 r. w Warszawie, inż. technolog, of. w st. sp. Polskiej Marynarki Wojennej, tytularny komandor korpusu morskich oficerów technicznych ze starsz. z 31 sierpnia 1926 r. Ukończył Instytut Technologiczny w Petersburgu. Służył w rosyjskiej marynarce wojennej, m.in. w Kronsztadzie i Murmańsku. Od 1922 r. w Marynarce Wojennej RP, w departamencie przemysłu wojennego MSWojsk. Pod koniec lat 20. przeniesiony w st. sp. Aresztowany w Warszawie, do Auschwitz przywieziony transportem warszawskim z 3 lutego 1942 r., otrzymał nr 20067. Związany z ZOW, na polecenie organizacji podjął pracę kreślarza w niemieckiej placówce łączności SS w obozie, ale z powodu stanu zdrowia musiał zrezygnować. Zginął 22 sierpnia 1942 r. w KL Auschwitz. (Określenie przy stopniu – tytularny – oznacza w tym wypadku, że miał prawo używać tytułu i stopnia wyższego niż ten, w którym zakończył służbę i przeszedł na emeryturę. Uposażenie emerytalne naliczano jednak od rzeczywistego stopnia, w którym zakończył czynną służbę – w tym przypadku komandora porucznika).

301 Rzeźbiarnia.

Skutkiem czego przez siedem miesięcy mieliśmy własną stację nadawczą[302], przy której pracował ppor. 4 [Alfred Stössel], w miejscu gdzie bardzo niechętnie wchodzili ss-manni.

Aż w jesieni (42 r.) przydługi nieco język jednego z kolegów był przyczyną, że musieliśmy stację rozmontować.

Nadawaliśmy audycje powtarzane przez inne stacje – wiadomości tyczące się ilości „zugangów" i śmierci w obozie, stanu i warunków w jakich znajdowali się więźniowie.

Władze się wściekały, szukali, zrywali podłogi w warsztatach na Industriehof'ie I, w magazynach.

Nadawaliśmy rzadko, w godzinach rozmaitych, wykryć było trudno.

Władze zrezygnowały z poszukiwań w samym obozie, przenosząc takowe na tereny po za obóz, w rejonie Oświęcimia. Tłomacząc podawane dokładne wiadomości z obozu, kontaktem naszym przez cywilnych robotników z organizacją na zewnątrz. Szukano w Gemeinschaftslagrze[303].

A kontakt przez cywilną ludność rzeczywiście był.

Droga od nas szła przez styk z ludnością cywilną (wśród której byli członkowie organizacji na zewnątrz) w Brzeszczach.

Droga również szła i Gemeinschaftslagrem, przez tych co pracowali u nas, będąc pozornie naszą władzą, droga szła na Bunę i tam przez zetknięcie się z pracownikami cywilnymi.

302 Sprawa dysponowania przez członków ZOW w Auschwitz stacją nadawczą budzi wiele kontrowersji i jest kwestionowana zarówno wśród byłych więźniów, m.in. członków ZOW, jak i badaczy. Wiadomo na pewno, że ZOW dysponował stacją nasłuchu radiowego – co najmniej jednym radioodbiornikiem, ukrywanym pod podłogą „gabinetu" dr. W. Deringa i obsługiwanym przez A. Stössela, oraz drugim radiem obsługiwanym przez J. Pileckiego w bloku śmierci (11). Prawdopodobieństwo posiadania przez ZOW stacji nadawczej istnieje, ale z oczywistych względów jej działanie musiało być otoczone jeszcze większą tajemnicą niż posiadanie radioodbiornika. Ponieważ relacja W. Pileckiego jest w pełni wiarygodna, jeżeli chodzi o faktografię, nie ma podstaw do podważania tej informacji, chociaż nigdy nie pojawiły się inne dowody na istnienie więźniarskiej radiostacji. Ze względu na bliskość stacji niemieckiej jej praca mogła być bardzo trudna do namierzenia, a biorąc pod uwagę, że Pilecki bardzo konsekwentnie minimalizował każde ryzyko wpadki i zdrady, o jej istnieniu mogli nie być poinformowani nawet wyżsi oficerowie współpracujący z Pileckim.

303 Obóz dla pracowników cywilnych zatrudnionych przy budowie obozu oraz przy budowie Buna-Werke. W obozie mieszkało kilka tysięcy pracowników, m.in. pochodzących z rozległych okolic Oświęcimia, którzy na sobotnie popołudnie i niedzielę mieli prawo wracać do domu. Wielu z nich działało w różnych strukturach polskiej konspiracji (AK, NOW, BCh), stąd możliwe były – i często wykorzystywane – kontakty więźniów KL Auschwitz, stykających się z pracownikami cywilnymi przy różnych pracach, z polskim podziemiem poza obozem. Często więźniowie wykorzystywali tę drogę łączności do nieformalnej korespondencji z rodzinami, nie poddanej kontroli obozowej cenzury. Wielu pracowników cywilnych na co dzień zamieszkujących Gemeinschaftslager dostarczało więźniom odzież i środki żywności. Tędy wiodła także jedna z głównych dróg zaopatrywania obozu w potrzebne leki i szczepionki. Tego typu obozy pracy istniały w całej Rzeszy oraz na większości obszarów przez nią okupowanych, gdziekolwiek prowadzono budowę dróg, autostrad, zakładów przemysłowych itp.

W ten sposób przekazałem „na wolność" również wyniesiony z „Funkstelle" cały plik skrótów szyfrowych niemieckich t.zw. „Verkehrabkürzungen"[304].

Z wolności dostawaliśmy lekarstwa, zastrzyki przeciwtyfusowe, pracowali w tym z jednej strony dr. 2 [Władysław Dering], z drugiej – mój kolega 59 [Henryk Bartosiewicz].

Kolega 59 – był to ciekawy typ.

Robił wszystko „na wesoło", wszystko mu się udawało.

Ratował, karmił na sali u siebie i w garbarni zawsze kilku kolegów, zanim ich nie podreperował, tak, że dalej mogli sobie sami dawać radę.

Przygarniał do garbarni stale kogoś, by go uratować.

Szedł na całego, odważnie, z pewnym nachalstwem, tam, gdzie inny by wsiąkł.

Wielki, szeroki w barach, z rozjaśnioną twarzą i wielkim sercem.

Gdy przyjechał z jakąś komisją Himmler[305], a 59 w tym czasie był sztubowym na 6-tym bloku (stara numeracja) i miał pouczenie, jak ma składać raport Himmlerowi, przed którym się wszystko trzęsło. To, gdy nastąpił ten „uroczysty" moment i Himmler wszedł na salę, 59 stanął przed nim i... nic nie powiedział... a potym się roześmiał i Himmler również się roześmiał.

Może uratowało go to, że z Himmlerem byli dwaj cywilni jacyś panowie – może takie łagodne obejście się z häftlingiem robiło potrzebną reklamę stosunku do więźnia.

Lecz drugim razem 59 w garbarni widząc przez okno na dziedzińcu komisję, która zwiedzała warsztaty i kierowała się do drzwi, przez które miała wejść do wielkiej hali, gdzie pracowali garbarze, chwycił wąż gumowy i niby przed komisją robiąc porządek, oblewając ściany i podłogę, oblał specjalnie i dokładnie komisję, złożoną z niemieckich oficerów, rzucił węża na ziemię niby przerażony, stanął na baczność i znowu nic mu nie było.

Przy wejściu kolumny do obozu, gdy obraz jakiś posępne myśli pod chmurnymi czołami więźniów budził – wtedy 59 raptem donośnym głosem, polskie wydawał komendy, licząc głośno: raz... dwa... trzy...

Miał napewno również i wady, lecz któż ich nie ma.

W każdym razie miał stale wielu zwolenników wkoło siebie, i wielu mógłby zaimponować i poprowadzić.

Ostatnie zwolnienia w 1942 roku były w marcu, przyczym zwolniono paru kolegów z orkiestry, gdyż komendant, który jak wspomninałem lubił muzykę, wyrobił to sobie u władz w Berlinie, że będzie mógł co roku, paru muzyków zwalniać z orkiestry.

304 Kody i skrótowce używane w łączności i telegrafii.

305 Heinrich Himmler – Reichsführer SS, komisarz ds. umacniania niemczyzny, jeden z najbliższych współpracowników Adolfa Hitlera i najwyższych dostojników III Rzeszy, druga osoba w państwie, szef SS, gestapo i całej policji, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przewodniczący Rady Ministrów III Rzeszy. Jeden z największych zbrodniarzy wojennych, odpowiedzialny za eksterminacje Żydów w Europie. Podlegały mu wszystkie obozy koncentracyjne. Wizytował Auschwitz wiosną 1941 r. i w lipcu 1942 r.

Orkiestrze zapowiedziano – kto się będzie starał grać dobrze, będzie zwolniony, więc orkiestra pięknie grała. Komendant upajał się muzyką.

Co roku zwalniano tych, co w tej orkiestrze najmniej byli potrzebni.

Po marcu, przez cały rok 42 zwolnień nie było, ze względu na wielce niepożądaną egzystencję jakichkolwiek świadków Oświęcimia na wolności, a szczególnie tego, co się w Oświęcimiu dziać zaczęło w roku 1942.

Przywieziono nareszcie do Oświęcimia do części obozu – bloków – od nas odgrodzonych wysokim murem – pierwsze kobiety – prostytutki i zbrodniarki, z więzień niemieckich i zamianowano je aparatem wychowawczym dla kobiet, które wkrótce tu mieli przywieść – dla kobiet uczciwych – „przestępczyń politycznych". W Rajsku w gotowych już kamerach gazowych rozpoczęły się pierwsze masowe gazowania ludzi codziennie.

16 marca (42 r.) przywieźli 120 kobiet-Polek.

Uśmiechały się do więźniów, którzy wchodzili w kolumnach do obozu na obiad.

Po dochodzeniu, a może katowaniu jakimś specjalnym – czego nikt stwierdzić nie mógł, pod wieczór tegoż dnia, wywieziono w wozach porżnięte na kawałki niektóre ciała, z poobcinanymi głowami, rękami, piersiami, okaleczałe trupy do krematorium.

Krematorium stare nie mogło wydołać, by spalać trupy z naszego obozu centralnego i plus jeszcze trupy z Rajska (Komin zbudowany w 1940 roku pękł i rozwalił się – od ciągłych oparów z ciał. Zbudowano nowy.).

Więc trupy grzebano w szerokich rowach, używając do tego komand złożonych z żydów.

Budowano na gwałt dwa nowe krematoria, na elektryczne spalanie, w Rajsku-Birkenau.

Plany robiono w „Baubiurze".

Ze słów kolegów z „baubiura", każde krematorium ma osiem stanowisk na które można wkładać po dwa trupy.

Spalanie elektryczne – trzy minutowe.

Plany wysłano do Berlina.

Po zatwierdzeniu wróciły z nakazem wykończenia początkowo do 1-go lutego, potym termin przesunięto do 1-go marca – i w marcu były gotowe.

Teraz fabryka zaczęła pracować całą parą.

Przyszedł rozkaz zniszczyć wszelkie ślady dotychczasowych morderstw[306]. Zaczęto odgrzebywać zasypane w rowach trupy, których było dziesiątki tysięcy.

306 System zbrodni w KL Auschwitz ewoluował w ciągu pięciu lat istnienia obozu. Mimo drastycznego reżimu i zorganizowanego systemu znęcania się i mordowania, wcześniejsze formy eksterminacji w KL Auschwitz nie miały tak masowej skali, jak te wypracowane w latach 1941–1942 i później, kiedy kompleks KL Auschwitz stał się prawdziwym kombinatem śmierci. Miejsca pochówku zamordowanych przed wprowadzeniem spalania zwłok mogły być wykorzystane do innych celów, a poza tym masowe

Trupy były już w rozkładzie. W pobliżu otwieranych tych wielkich wspólnych grobów panował okropny zaduch.

Niektóre zasypane dawniej, odgrzebywano pracując w maskach gazowych.

Ogrom pracy w całości tego piekła na ziemi był olbrzymi.

Nowe transporty gazowano ponad tysiąc dziennie. Trupy spalano w nowych krematoriach.

Do wygrzebywania trupów z rowów zastosowano dźwigi, które wrzynały w rozkładające się trupy, żelazne wielkie szpony.

Miejscami tryskała w górę małymi fontannami cuchnąca ropa.

Wyrywane dźwigami, z kłębowiska ciał zlepki trupów i wydobywane ręcznie, przenoszono na ogromne stosy, układane naprzemian z drzewa i resztek ludzi.

Stosy te podpalano i czasami nie żałowano, nawet benzyny na rozpalenie...

Stosy płonęły potym dniami i nocami, przez dwa i pół miesiąca, rozprzestrzeniając wokół Oświęcimia swąd palonego mięsa i kości ludzkich.

Komanda pracujące przy tej pracy składały się wyłącznie z żydów, i żyły tylko dwa tygodnie. Poczym gazowano je i ciała ich spalali inni żydzi, nowoprzybyli, zespoleni w nowe komanda pracy, którzy nie wiedzieli jeszcze, że dwa tygodnie tylko żyć będą i mieli jeszcze nadzieję na dalsze życie.

Kwitły pięknie kasztany – jabłonie...

Szczególnie w tym okresie, wiosną, najciężej się odczuwało niewolę.

Gdy maszerując w kolumnie, wzbijającej słupy kurzu po szarej szosie, do garbarni, widziało się piękny wschód słońca, różowiącego ślicznie biały kwiat w sadach i na drzewach przy szosie, lub gdy w drodze powrotnej spotykało się spacerujące młode pary, wchłaniające czar wiosny, albo kobiety spokojnie wożące w wózkach swe dzieci – wtedy rodziła się – myśl, kołatająca się niespokojnie po głowie... gdzieś się zatracająca... to znów szukająca uparcie jakiegoś wyjścia z nierozwiązalnego pytania:

czyżbyśmy wszyscy nazywali się tak samo – ludźmi?

I ci przechadzający się wśród kwiatów i tamci, idący do – komór gazowych?

I ci – maszerujący stale koło nas z bagnetami... i my – od paru lat zatraceńcy?...

Przywieźli pierwsze większe transporty kobiet i ulokowali je na odgrodzonych blokach (Nr.Nr. 1–10, nowa numeracja).

Wkrótce zaczęły przychodzić transporty kobiet jedne po drugich.

Przyjechały Niemki, Żydówki i Polki.

Wszystkie je dano pod dozór aparatu zmontowanego z elementu przestępczego – prostytutek i zbrodniarek.

---

groby były dowodami popełnionych zbrodni. Dlatego jeszcze zanim sytuacja na frontach stała się niekorzystna dla III Rzeszy, władze niemieckie zdecydowały się na usunięcie wszelkich śladów ludobójstwa. W późniejszych latach było to wręcz konieczne z punktu widzenia Niemców, gdyż odkrywane po ich odwrocie miejsca masowych mordów alarmowały opinię publiczną wolnego świata i potwierdzały informacje o zbrodniczości systemu narodowosocjalistycznego.

Za wyjątkiem Niemek – wszystkim strzyżono włosy na głowie i ciele.

Czynność tę wykonywali nasi fryzjerzy-mężczyźni.

Ciekawość sensacji spragnionych kobiet fryzjerów, zmieniła się szybko w zmęczenie, przez stale niezaspakajane żądze i niesmak przesytu, niedawno jeszcze ciekawych oczu.

Kobiety znalazły się w warunkach takich samych, jak więźniowie-mężczyźni.

Nie zaznały metod kończenia ludzi aż tak szybkich, jak my w pierwszym roku istnienia obozu, bo też i u nas, w męskim obozie, już się metody zmieniły. Lecz tak samo kończył je w polu deszcz, chłód, praca, do której nie były przyzwyczajone, brak możliwości wypoczynku i stójki na apelach.

Codziennie spotykaliśmy te same kolumny kobiet, z którymi mijaliśmy się, dążąc w różne kierunki do pracy.

Znało się już z widzenia niektóre sylwetki, głowy, twarzyczki.

Początkowo dzielnie się trzymające niewiasty, wkrótce zatraciły blask oczu, uśmiech buzi i rzeźkość ruchów.

Uśmiechały się jeszcze niektóre, lecz coraz smutniej.

Twarze szarzały, z oczu wyzierał raczej już głód zwierzęcy – powoli stawały się tym jakimś tworem – w języku obozowym zwanym „muzułmankami".

Zaczęliśmy coraz częściej dostrzegać w ich piątkach brak znajomych postaci.

Kolumny kobiet, idące na wykańczanie się w pracy, eskortowali też „niby-ludzie", ubrani w bohaterskie mundury żołnierzy niemieckich, łącznie z całą sforą psów.

W pracy, w polu, setkę kobiet pilnowało dwóch lub czasem jeden bohater z kilkoma psami.

Były osłabione i o ucieczce mogły tylko marzyć.

Od wiosny (42 r.) dziwił nas widok przyjmowanych chętnie na „krankenbau" wszystkich muzułmanów, stających jeszcze starym zwyczajem, do przeglądu w grupce pod kuchnią.

Potym już nikt nie stawał w grupce – wszyscy szli do „krankenbau" odrazu na blok 28 (nowa numeracja), gdzie bez wielkich historii – chętnie przyjmowano.

Poprawiło się w obozie – mówili między sobą więźniowie. Niema bicia. Do szpitala przyjmują i t.p.

I rzeczywiście. W szpitalu na niektórych salach leżało po kilku na jednym łóżku, a jednak nadal chętnie przyjmowano.

Codziennie tylko chodził ss-mann Kle[h]r[307] i zapisywał numery słabszych więźniów.

307 Josef Klehr – ur. 17 października 1904 r. w Langenau, sanitariusz SS w KL Auschwitz, SS-Oberscharführer. Syn nauczyciela z Górnego Śląska, pracował jako stolarz, a później sanitariusz w sanatorium. Od 1932 r. członek SS i strażnik w więzieniu w Wohlau (Wołów). Od 1939 r. pełnił służbę w KL Buchenwald, w 1940 r. przeniesiony do KL Dachau, w 1941 r. przydzielony jako sanitariusz do załogi KL Auschwitz. Jego głównym zadaniem było zabijanie więźniów i jeńców sowieckich zastrzykami fenolu (zob. przyp. 308). Od 1943 r. szef oddziału dezynfekcji w KL Auschwitz-Birkenau, uczestniczył w masowej zagładzie Żydów. Pod jego kontrolą znajdowały się także zapasy cyklonu B, którego porcje niejednokrotnie wrzucał do komór gazowych. Od 1944 r. był kierownikiem szpitala w podobozie

Mówiono – pewnie dostaną dodatkową porcję na podtrzymanie.

Zapisane numery potym wyczytywano i häftlindzy szli na blok 20-y (nowa numeracja).

Wkrótce potym można było w codziennym stosie trupów leżących przed szpitalem te same widzieć numery (każdy więzień przychodzący do szpitala miał wielkich rozmiarów numer na piersi, na skórze, wypisany chemicznym ołówkiem, żeby nie było kłopotu z ustalaniem tożsamości po śmierci, przy sporządzaniu codziennej długiej listy zmarłych i zamordowanych).

Kończono ich phenolem[308] – nowy sposób.

Tak, obraz Oświęcimia zmienił się radykalnie.

Teraz już nie widać było (przynajmniej w obrębie samego „stammlagru") rozwalania głów łopatą lub zabijania przez wbijanie deski w wnętrzności lub wgniatanie leżącemu bez sił więźniowi klatki piersiowej, pękających żeber, pod ciężkimi butami wskakujących na piersi całym ciężarem ciała zwyrodniałych oprawców.

Teraz cicho i spokojnie, rozebrani więźniowie, numery których zapisane zostały na „krankenbau" przez lekarza-niemca (SS), stali zupełnie nago na korytarzu bloku 20-go (nowa numeracja) i czekali spokojnie na swoją kolej.

Wchodzili pojedyńczo, za kotarę do waschraum'u, gdzie sadzano ich na krześle, dwóch oprawców wychylało ich ramiona do tyłu, wypinając klatkę piersiową naprzód i ss-mann, nazwiskiem Kle[h]r, robił zastrzyk phenolu, długą igłą – wprost w serce.

Początkowo stosowano zastrzyk dożylnie, lecz delikwent żył zbyt długo potym – aż parę minut – więc dla oszczędności czasu – zmieniono system i robiono zastrzyk w serce – więzień żył wtedy krócej – tylko kilka sekund.

Trzepoczącego się pół-trupa wrzucano do ubikacji sąsiedniej za ścianą i – wchodził numer następny.

Tak – ten sposób mordowania był o wiele inteligentniejszy, a jednak potworny w swych kulisach.

Na korytarzu stojący wiedzieli wszyscy, co ich czeka.

Przechodząc koło szeregu widziało się znajomych i mówiło się im: „Serwus Jasiu lub Stasiu, dziś ty, a jutro może – ja!"

Niekoniecznie byli to poważnie chorzy lub wycieńczeni.

Niektórzy trafiali tu tylko dlatego, że się nie podobali Kle[h]rowi i numer ich został na listę do „szpili" zapisany – wyjścia nie było.

Gleiwitz I w Gliwicach, gdzie kierował selekcją więźniów niezdolnych do pracy i przeznaczanych do likwidacji. W 1945 r. ujęty przez wojska amerykańskie, po trzech latach pobytu w obozie pracy zwolniony, pracował w Brunszwiku jako stolarz. Aresztowany ponownie w 1960 r. i skazany w II procesie oświęcimskim na dożywocie i dodatkowe 15 lat więzienia za zamordowanie co najmniej 475 ludzi oraz pomocnictwo w zabiciu wielu tysięcy. Zmarł 23 sierpnia 1988 r. w Leiferde (RFN).

308 Phenol, fenol – hydroksybenzen, środek antybakteryjny używany m.in. do produkcji leków, detergentów, herbicydów, fungicydów i barwników, toksyczny i żrący. W czasie II wojny światowej więźniów KL Auschwitz-Birkenau, KL Buchenwald i KL Dachau zabijano zastrzykami fenolu; tak zamordowano m.in. o. M.M. Kolbego.

Oprawcy też już byli inni, niż na początku obozu – nie wiem jednak, czy można by się uchylać od nazwania ich zwyrodnialcami.

Kle[h]r mordował igłą z ogromnym przejęciem, obłędnym wzrokiem i sadystycznym uśmiechem, stawiając po każdym zabójstwie ofiary – kreskę na ścianie.

Za moich czasów doprowadził liczbę zabitych przez siebie do czternastu tysięcy i chwalił się tym codziennie z ogromnym zadowoleniem, jak myśliwy opowiadający o swoich trofeach na polowaniu.

Trochę mniej, bo około czterech tysięcy więźniów wykończył z wielką hańbą dla siebie, więzień Pańszczyk[309], zgłaszając się na ochotnika, do wbijania zastrzyku w serca kolegów.

Kle[h]r miał wypadek.

Gdy razu pewnego, po załatwieniu wszystkich z kolejki do zastrzyku wszedł, jak zawsze do ubikacji, gdzie rzucano jedne na drugie konające ciała häftlingów, by napawać się widokiem swego dzieła z dnia bieżącego – jeden z „trupów" odżył (widocznie była jakaś niedokładność w robocie i mało dostał phenolu), wstał i chwiejącym się krokiem, po trupach kolegów, kołysząc się jak pijany, zaczął się zbliżać do Kle[h]ra, mówiąc: „Du hast mir zu wenig gegeben – gib mir noch etwas!..."[310]

Kle[h]r zbladł, lecz nie tracąc panowania nad sobą, rzucił się na niego – tu prysła maska pozornej kultury kata – wyciągnął pistolet i bez wystrzału, nie chcąc robić hałasu, skończył swą ofiarę, bijąc po głowie – kolbą.

Sztubowi na „krankenbau" podawali raporty codziennie zmarłych na swej sali.

Zdarzył się raz wypadek (przynajmniej ja wiem o jednym, mogło ich być więcej), że sztubowy się omylił, podał jako zmarły numer, który żył jeszcze, nie podając numeru, który zmarł naprawdę.

Raport poszedł do schreibstuby głównej.

Z obawy przed usunięciem ze stanowiska i dla spokoju własnego, zbrodniarz ten kazał wstać choremu, który był Zugangiem i nawet się nie orientował o co chodzi i stanąć w kolejce do zastrzyku Kle[h]ra.

Kle[h]rowi jeden człowiek więcej nie robił różnicy.

W ten sposób sztubowy wyrównał swą omyłkę, bo i ten co umarł u niego na sali i ten co „szpilę" dostał od Kle[h]ra, obaj byli jednakowo już trupami – raport więc się zgadzał, bo numer zmarłego na sali został dopisany.

Wielu jednak mieliśmy sztubowych w szpitalu, którzy byli bardzo dobrymi Polakami.

309 Mieczysław Pańszczyk – student ASP w Krakowie, do Auschwitz przywieziony pierwszym transportem 14 czerwca 1940 r., nr obozowy 607. Sanitariusz więźniarskiej izby chorych, przyuczony przez J. Klehra do pomocy w dawaniu zastrzyków fenolu, sam wykonał wiele takich zabiegów, zabijając ok. 4000 współwięźniów. Według niepewnej informacji zginął pod koniec wojny w jednym z obozów w głębi Niemiec, zamordowany przez współwięźniów za uczestnictwo w „szpilowaniu" (zob. przyp. 318).

310 Dałeś mi za mało – daj mi jeszcze trochę!

Dwa razy była zmiana numerów potrzebna dla nas i która gładko i bez krzywdy niczyjej została dokonaną.

W czasie wielkiej śmiertelności z powodu tyfusu, gdy trupy wyrzucano codzień z kilku bloków masami, dwóch naszych ludzi, wprowadzonych na blok szpitalny, a którzy tu sprawy mieli poważne, ratowaliśmy, pisząc ich numery na trupach – im – trupów numery, do ich numerów podobne dając, pilnując się przytym, by sprawy w politycznym oddziale, zmarłych numerów nie były zbyt poważne.

Tak zaopatrzonych w zmienione naraz dane metryczne, nazwiska, imiona (podane przez kolegów z schreibstuby głównej), udało nam się ulokować w Birkenau, wprost ze szpitala.

Byli oni tu jeszcze nieznani, nowe numery, „zugangi" – sprawa się zatarła i całkowicie się udała.

Organizacja rozwijała się dalej.

Zaproponowałem płk. 64 [Kazimierz Heilmann], by na d-cę bojowego całości, na wypadek akcji wyznaczył mego przyjaciela mjr. 85 [Zygmunt Bohdanowski], któremu niegdyś w pracy w konspiracji 40 r. takież stanowisko przewidywałem w Warszawie.

Płk. 64 chętnie się zgodził.

„Bohdan" znał tu teren wokoło, niegdyś przed laty baterią 5 DAK-u dowodził.

Zdecydowałem wtedy, a płk. 64 projekt aprobował, by rozwiązywać plan akcji ewentualnej, w zależności od zadań do wykonania, których naliczyliśmy zasadniczych cztery.

A to ze względu na to, że plan opanowania obozu, do którego zgodnie z zadaniem końcowym tu pracy, chcieliśmy przygotować zorganizowane oddziały, musieliśmy rozwiązywać dwojako. Inaczej wtedy – gdy był dzień pracy. Inaczej w nocy, lub w święta, gdy byliśmy na blokach. A to z powodu, że na blokach wtedy jeszcze nie mieszkaliśmy wszyscy komandami całymi. Inne więc wypadały kontakty, powiązania, i dowódcy w pracy, a inni – na blokach.

Dlatego więc plan trzeba było oprzeć na szkielecie zasadniczych zadań dla wykonania których w każdym wypadku należało akcję osobno opracować.

Wyłoniła się wtedy potrzeba decyzji obsadzenia czterech dowódczych stanowisk.

Na jednego z nich zaproponowałem wtedy kpt. 60 [Stanisław Kazuba], na drugiego kpt. 114[311], na trzeciego – ppor. 61 [Konstanty Piekarski] proponował porucznika 115

311 Tadeusz Paolone (w obozie Tadeusz Lisowski) – ur. 23 lipca 1909 r. w Piekiełku k. Limanowej (według fałszywych dokumentów na nazwisko Lisowski w Krzywczycach), ukończył II Gimnazjum im. Króla Bolesława Chrobrego w Nowym Sączu i Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej-Komorowie, of. zaw. WP, por. sł. st. piech. ze starsz. z 19 marca 1938 r., służył w 4 psp. w Cieszynie. Po kampanii 1939 r. przedostał się w rodzinne strony i podjął pracę jako zbieracz runa leśnego dla Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku, organizując komórkę konspiracyjną w tej miejscowości. Postanowił przedostać się do AP tworzonej we Francji. Ujęty na Słowacji, przekazany gestapo w Nowym Sączu. Przywieziony do Auschwitz pierwszym transportem krakowskim z 14 czerwca 1940 r., nr obozowy 329. Członek ZOW, wytypowany przez Pileckiego na d-cę jednego z czterech więźniarskich batalionów na wypadek akcji powstańczej w obozie. Rozstrzelany 11 (według książki zgonów 12) października 1943 r. w KL Auschwitz w grupie 54 więźniów, spośród których 28 było członkami ZOW. On i ppłk Teofil Dziama zażądali, aby

[NN], na czwartego – kpt. 116[312].

Płk. 64 [Kazimierz Heilmann] i mjr. 85 [Zygmunt Bohdanowski] zgodzili się z nami.

Wreszcie, przy pomocy kolegi 59 [Henryk Bartosiewicz] i po dłuższych rozmowach, o silnym zaakcentowaniu potrzeby zgody i podkreślaniu konieczności wytrwania w milczeniu, jeśli nawet ktoś z nas się znajdzie w bunkrze i badany będzie przez katów oddziału politycznego, – wchodzi do nas i podporządkowuje się płk. 23 [Aleksander Stawarz] i ppłk. 24 [Karol Kumuniecki].

Pierwszorzędny Polak-Ślązak i mój przyjaciel 76 [Bernard Świerczyna], na swym odcinku pracuje bardzo wydajnie, zaopatrując nasze szeregi w bieliznę, umundurowanie, prześcieradła, koce, ze swego magazynu.

Dając pracę szeregowi naszych kolegów, między innymi koledze z pracy w Warszawie por. 117[313] – i 39 [Kazimierz Radwański].

Dochodzi do organizacji naszej kolega 118 [NN], wachm. 119[314].

Przyjeżdża z transportem z Krakowa, kolega niegdyś w pracy w Warszawie dr. 120[315].

Pod Krakowem wykryto wtedy fabrykę bomb.

Ludzi tych przywieźli i kończyli szybko.

Dr. 120 [Zygmunt Zakrzewski] jakoś się wykręcił – wyjechał transportem do innego obozu.

Czasami władze obozu podsyłały nam szpicli. Jakiś volksdeutsch udający Polaka, który poszedł na pracę dla Grabnera, chcąc wykryć, czy u nas „czego" niema, zanim przyszedł do nas, lub zaraz po przyjściu był anonsowany przez naszych kolegów, mających styczność z ss-mannami.

Pan taki dostawał od nas, wpuszczonych mu zręcznie, a zdobytych w szpitalu, parę kropelek olejku krotonowego[316] i wkrótce potem miał taki rozstrój żołądka, że leciał szybko na „krankenbau" po jakieś lekarstwo.

---

zastrzelono ich jak żołnierzy, strzałem w twarz, a nie w tył głowy. Wykonujący wyrok SS-Oberscharführer Wilhelm Claussen i SS-Unterscharführer Friedrich Stiewitz żądanie to spełnili.

312 Zygmunt Pawłowicz vel Pawłowski (w obozie Julian vel Franciszek Trzęsimiech) – ur. 24 kwietnia 1904 r. w Brodach, dyrektor banku. Do Auschwitz przywieziony 10 stycznia 1941 r. transportem z Krakowa, otrzymał nr 9321. W 1943 r. przeniesiony do KL Mauthausen, wojnę przeżył.

313 Eugeniusz Zaturski – ur. 9 lipca 1896 r. w Chordzie, inż., przedsiębiorca budowlany. Członek TAP. Do Auschwitz przybył 18 kwietnia 1942 r. z Warszawy i otrzymał nr 31387. Zginął 14 stycznia 1943 r. w KL Auschwitz.

314 Józef Miksa – ur. 12 marca 1916 r. w Stolnikach, rolnik. Do Auschwitz przywieziony 5 kwietnia 1941 r., oznaczony nr. 12164. W lecie 1942 r. przeniesiony do KL Mauthausen.

315 Zygmunt Zakrzewski – lekarz; numeru i bliższych danych nie udało się ustalić; wyjechał z KL Auschwitz transportem do innego obozu.

316 Olej krotonowy – jeden z najsilniejszych środków przeczyszczających, uzyskiwany z nasion krotonu przeczyszczającego. Kilka kropel zażytych doustnie może spowodować śmierć wskutek ostrego zapalenia jelit. Dodany do jedzenia lub środka farmakologicznego mógł być niewyczuwalny, ale wywoływał skutek śmiertelny.

Tam uprzedzeni o tym draniu (i zanotowaniu jego numeru), gdy przychodził – w nieszkodliwym lekarstwie dawano mu znowu paru kropel krotonowego olejku.

Po paru dniach był tak osłabiony, że szedł na „krankenbau” gdzie leżącemu albo robiono zastrzyk, niby konieczny, zresztą sam w sobie nieszkodliwy, gdyby nie to, że zrobiony zardzewiałą igłą.

W dwóch jednak wypadkach sprawa miała jeszcze więcej pieprzyku sensacji.

W pierwszym – gdy pan taki leżał już na „krankenbau” prześwietlono mu płuca i zdjęcie „wykazało”, że ma otwartą gruźlicę (zresztą nie było to zdjęcie jego płuc).

Kle[h]rowi nazajutrz, gdy obchodził salę, wskazano na niego, jako na T.B.C.[317]

To wystarczyło – zapisał jego numer.

Pan ten nic nie wiedział, lecz gdy prowadzono go już na „szpilę”[318], zaczął się rzucać, grożąc Grabnerem.

Kle[h]r, gdy to nazwisko straszne usłyszał, zbladł, wściekł się, uderzył go w zęby i szybko go „skończył”, by nie było niezadowolonych, straszących Grabnerem.

Drugi wypadek był prawie identyczny z tym, że był to nowy w obozie człowiek i idąc na szpilę nie wiedział nic i nikogo Grabnerem nie straszył. Został niespodzianie dla siebie „skończony” igiełką.

Wkrótce jednak potym powstał wielki rumor, gdy Grabner od dłuższego czasu nie miał od nich raportów, a szukając, gdzie by byli, doszedł, że od dawna przez komin wyszli „dymkiem”, a co więcej, że skończył ich jego człowiek – Kle[h]r.

Było dochodzenie w całym szpitalu, jak to z tymi dwoma szybko załatwiono.

Od tego czasu Kle[h]r zanim szpilował, musiał listę ofiar wysyłać do Grabnera, wśród których tamten uważnie szperał długo, czy nie znajdzie w spisie swoich pracowników.

Tak nadeszła Wielkanoc.

Ja mieszkałem nadal na bloku 25-tym, sala 7-ma.

Zestawiając stan sali ze stanem z Bożego Narodzenia (jak zawsze w Oświęcimiu) trzeba było stwierdzić, jak wielu przyjaciół nie było już wśród żywych.

Wykańczał nas straszliwie tyfus. Wokół wszyscy chorowali, kilku nas ze starych przyjaciół jeszcze się trzymało.

Kto szedł na tyfus – rzadko powracał.

Lecz i „nasze” hodowane weszki robiły swoje, w koszarach ss-mannów „wybuchł” tyfus i epidemia wzrastała.

Lekarze trudno dawali sobie radę z tyfusem syberyjskim, – organizmy SSmannów – również. Szeregi ss-mannów ponosiły większe straty. Do szpitala odsyłano do Katowic, gdzie jednak ss-manni przeważnie umierali. –

317 TBC (tuberculosis) – gruźlica.

318 Szpila, zaszpilować – żargonowe, lagrowe określenie dosercowego wstrzyknięcia fenolu, powodującego śmierć. Pomysłodawcą metody był lekarz SS Friedrich Karl Hermann Entress.

W czerwcu odchodził transport z Oświęcimia do Mauthausen[319].

Transportem tym pojechał (chociaż mógł być reklamowany) – płk. 64 [Kazimierz Heilmann], który miał zamiar, jak mówił, próbować w drodze ucieczki (co zresztą nie doszło do skutku).

Tymże transportem wyjechali pdch. 15 [Witold Szymkowiak], wachm. 119 [Józef Miksa] i ppor. 67 [Czesław Darkowski].

Przed wyjazdem płk. 64 [Kazimierz Heilmann] proponował mi, żebym na jego miejsce zaproponował wejście płk. 121[320] – co też zrobiłem.

Płk. 121 [Juliusz Gilewicz] zgodził się, wszedł do nas i pracowaliśmy nadal zgodnie.

Prócz tego wszedł do nas płk. 122[321].

W tym czasie rozstrzelany został płk. 23 [Aleksander Stawarz] i b. poseł 70 [Stanisław Dubois].

Po wybudowaniu w Birkenau dwóch pierwszych krematoriów na elektryczne spalanie, rozpoczęto budowę dwóch następnych – podobnych.

Tymczasem pierwsze pracowały już całą parą.

---

319 KL Mauthausen-Gusen, pierwszy niemiecki obóz koncentracyjny założony poza rdzennym obszarem III Rzeszy. Powstał w 1938 r. na terenach anektowanej Austrii. W pierwszych miesiącach okupacji hitlerowcy kierowali tam większość aresztowanych na ziemiach polskich, szczególnie z południowej Polski. Po powstaniu KL Auschwitz więźniowie przywiezieni do Mauthausen z tego obozu twierdzili nierzadko, że warunki były tam nieporównanie gorsze niż w KL Auschwitz. Szczególnie złą sławę miał podobóz Mauthausen – KL Gusen, gdzie więźniów zmuszano do pracy w kamieniołomach.

320 Juliusz Gilewicz – ur. 1 listopada 1890 r. w Białopolu, of. zaw. WP, ppłk st. sp. lot. Do gimnazjum uczęszczał w Żytomierzu, maturę zdał w Wiaźmie, po czym studiował medycynę i prawo na Uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie. W czasie I wojny światowej służył w kaw. i lotn. armii rosyjskiej, a także w I Korpusie Polskim gen. J. Dowbora-Muśnickiego. Od lipca 1919 r. służył w WP, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. W okresie międzywojennym był of. 3 plot. w Poznaniu, d-cą Dywizjonu Szkolnego 2 plot. w Krakowie oraz d-cą III Dywizjonu, a później kwatermistrzem, z-cą d-cy i komendantem bazy lotniczej 4 plot. w Toruniu. W 1937 r. przeniesiony w st. sp., przeszedł do pracy w lotnictwie cywilnym i był naczelnikiem ruchu Polskich Linii Lotniczych „Lot" w Warszawie oraz naczelnikiem wydziału personelu latającego i sprzętu. W 1939 r. kierował ewakuacją polskiego sprzętu lotniczego. Po powrocie do Warszawy utworzył organizację konspiracyjną w środowisku byłych pracowników PLL „Lot", członków Aeroklubu RP oraz personelu Państwowych Zakładów Lotniczych na Okęciu, z którą wszedł do ZWZ. Aresztowany przez gestapo w styczniu 1942 r. i osadzony na Pawiaku, do Auschwitz przybył w transporcie warszawskim z 18 kwietnia 1942 r. i otrzymał nr 31033. Członek ZOW, objął po ppłk. Kazimierzu Heilmannie funkcję d-cy wojskowych struktur konspiracji obozowej. Aresztowany i osadzony w bunkrze w grupie 74 podejrzanych przez Niemców o działanie w organizacji konspiracyjnej. Rozstrzelany 11 października 1943 r. w grupie 54 więźniów, z których 28 było uczestnikami obozowej konspiracji ZOW.

321 Teofil Bogumił Dziama – ur. 5 stycznia 1895 r. w Zalesiu (według innych źródeł w Białej Rzeszowskiej), legionista, of. w st. sp. WP, ppłk lot. ze starsz. z 1 stycznia 1934 r. W okresie międzywojennym pełnił służbę w 1 plot. w Warszawie, Wyższej Szkole Pilotażu oraz Departamencie Żeglugi Powietrznej MSWojsk. W 1935 r. przeniesiony w st. sp., zmobilizowany w 1939 r. do dyspozycji Dowódcy Lotnictwa MSWojsk. Po kampanii 1939 r. wraz z żoną, córką i synem zaangażował się w konspirację. Aresztowany przez gestapo 24 października 1940 r. i osadzony na Pawiaku, do Auschwitz przywieziony transportem warszawskim 6 kwietnia 1941 r., otrzymał nr 13578. Członek ZOW, rozstrzelany 11 października 1943 r. pod Ścianą Śmierci w KL Auschwitz wraz z 28 innymi członkami obozowej konspiracji. On i kpt. Tadeusz Paolone (Lisowski) zażądali w czasie egzekucji, aby zastrzelono ich jak żołnierzy, strzałem w twarz, a nie w tył głowy. Żądanie to spełnili wykonawcy wyroku SS-Oberscharführer Wilhelm Claussen i SS-Unterscharführer Friedrich Stiewitz.

A transporty wciąż szły i szły...

Część przywożono do nas, do obozu i tu ich ewidencjonowali, nadając numer häftlinga, który sięgał już ponad 40 tysięcy, lecz ogromna większość transportów szła wprost do „Brzezinki" w Rajsku, gdzie ludzi bez ewidencjonowania ich, szybko przerabiano na dymek i popiół.

Przeciętnie dziennie spalano w tym czasie około tysiąca osób[322].

Kto jechał i dlaczego jechał wprost w paszczę śmierci?

Jechali żydzi z Francji, Czech, Holandii i z innych krajów Europy. Jechali sami, bez eskorty, aż dopiero na kilkanaście kilometrów przed Oświęcimiem obstawiano wagony[323], przywożąc ich na bocznicę, pod Brzezinkę w Rajsku.

Dlaczego jechali?

Miałem możność rozmawiać kilka razy z żydami z Francji i raz, z rzadko tu spotykanym transportem z Polski. Był to transport żydów z Białegostoku i z Grodna.

Z tego co mówili zgodnie, wynika, że na skutek ogłoszeń urzędowych w różnych miastach i państwach pod zaborem niemieckim, z których wynikało, że ci tylko jeszcze żydzi będą mogli żyć, którzy pojadą do pracy w III-ej Rzeszy – więc jechali do pracy w III-ej Rzeszy. Tymbardziej, że zachęcały ich listy pisane przez żydów z Oświęcimia, a pewno i z innych obozów, że pracują w dobrych warunkach i dobrze im się powodzi.

Mieli prawo zabrać podręczny bagaż – tyle co sami uniosą.

Więc brali jedną, dwie walizki, w których starali się przewieźć cały swój majątek, sprzedając nieruchomości i ruchomości i kupując jakiś mały przedmiot wartościowy, np. brylant, złoto, złote dolary i t.p.

Transporty kolejowe wiozące codziennie około tysiąca ludzi kończyły swoją trasę na bocznicy w Rajsku.

Pociągi podstawiano pod rampy i wyładowywano zawartość.

Ciekawe jakie myśli snuły się pod czaszką ss-mannów.

W wagonach było wiele kobiet i dzieci. Czasami dzieci w kołyskach. Tu mieli skończyć wszyscy naraz swe życie.

Wieźli ich jak stado zwierząt – na rzeź!

Narazie nie przeczuwając niczego, na rozkaz wysiadali pasażerowie na rampę.

---

322 Podana przez Pileckiego liczba zwłok spalanych w krematoriach wynika z szacunkowego obliczenia cząstkowych danych od członków obozowej siatki konspiracyjnej. Dyskusja historyków na temat liczby zamordowanych w KL Auschwitz trwa do dzisiaj, a weryfikacja liczb nastręcza wiele trudności z powodu braku większości niemieckich akt. Po wojnie zwolennikom ukarania Niemiec za zbrodnie wojenne chodziło nie tyle o precyzyjne statystyki, ile o ujawnienie ogromnej skali mordu. Ponadto Związek Sowiecki pragnął ukryć w tej liczbie również ofiary swoich zbrodni, dokonanych m.in. na obywatelach Rzeczypospolitej Polskiej i innych państw Europy. Stąd późniejsze problemy z ustaleniem liczby ofiar z poszczególnych krajów. Prawdopodobnie najbliższy prawdy o liczbie ofiar KL Auschwitz jest badacz z PMAB dr Franciszek Piper, szacujący łączną liczbę zamordowanych i zmarłych w kompleksie obozów Auschwitz na nieco ponad milion.

323 Wielu Żydów z krajów Europy, zwłaszcza Francji, Belgii i Holandii, Niemcy przywozili do KL Auschwitz pociągami osobowymi, tłumacząc im, że jadą na nowe miejsca osiedlenia i pracy. Transporty takie

Dla uniknięcia kłopotliwych scen zachowywano wobec nich względną grzeczność.

Kazano odłożyć żywność na jedną piramidę, na drugą – wszystkie rzeczy. Mówiono im, że rzeczy zostaną zwrócone. U pasażerów rodził się pierwszy niepokój, czy im rzeczy nie zginą, czy odnajdą swoje, czy im nie zamienią walizek i t.p.

Potym dzielono na grupy. Mężczyźni i chłopcy ponad lat 13-ście szli do jednej grupy. Kobiety z dziećmi (chłopcy do lat 13-tu) – do drugiej. Pod pretekstem konieczności wykąpania, kazano im wszystkim rozbierać się w dwóch osobnych grupach, zachowując pozory poczucia wstydliwości.

Ubrania układały obie grupy również w dwa wielkie stosy, celem niby przekazania do dezynfekcji, niepokojąc się już wyraźnie, czy im nie zamienią tam ubrań i bielizny.

Potym setkami osobno kobiety z dziećmi, a osobno mężczyźni szli do baraków, które miały być łaźniami, a były kamerami gazowymi. (Okna były tylko nazewnątrz – były fikcją – wewnątrz był – mur)[324].

Po zamknięciu uszczelnionych drzwi, wewnątrz odbywał się masowy mord.

Z balkoniku-krużganku ss-mann w masce gazowej wyrzucał na głowy zebranego pod nim tłumu – gaz!

Stosowano gaz dwóch rodzai – w butlach, które się rozbijały i zestalony – w postaci krążków, który po otwarciu hermetycznych puszek i wyrzuceniu go przez ss-manna w gumowych rękawiczkach, przechodził w stan lotny zapełniając kamerę gazową i zabijając szybko ludzi tu zebranych.

Trwało to kilka minut. Czekano minut dziesięć. Następnie wietrzono, otwierano drzwi kamer po przeciwnej stronie od rampy i komanda złożone z żydów przewoziły ciepłe jeszcze ciała taczkami i wagonetkami do pobliskich krematoriów, gdzie trupy szybko spalano.

Tymczasem szły do kamer następne setki.

W przyszłości wprowadzono ulepszenia techniczne, w tej rzeźni dla ludzi, po zastosowaniu których, proces odbywał się jeszcze szybciej i sprawniej.

---

jechały bez żadnej obstawy policyjnej czy wojskowej. Żydzi, nierzadko informowani przez polskich pracowników kolejowych, dokąd jadą, z reguły nie dawali temu wiary, a nawet podejrzewali Polaków, że straszą ich, chcąc okraść lub zamordować. Również część transportów z innych krajów nie miała konwoju, gdyż Niemcy zakładali, że Żydzi nie podejmą żadnej kontrakcji.

324 W 1942 r. w związku z rozpoczęciem akcji masowej zagłady Żydów w KL Auschwitz I uruchomiono jedną komorę gazową, a na terenie KL Auschwitz II-Birkenau na komory gazowe zaadaptowane zostały dwa budynki. Pierwsza z nich, zwana „czerwonym domkiem", została uruchomiona już w marcu 1942 r. W połowie tegoż roku powstała kolejna komora gazowa, tzw. „biały domek". Obok znajdowały się dwa baraki, gdzie ofiary rozbierały się przed śmiercią. W latach 1942–1943 esesmani zamordowali w tym budynku dziesiątki tysięcy Żydów: mężczyzn, kobiet i dzieci przywiezionych do KL Auschwitz z Francji, Holandii, Belgii, Luksemburga, Niemiec, Czech, Słowacji, Norwegii, Jugosławii i Polski. W „czerwonym domku" mordowano również Cyganów. Komory te funkcjonowały do wiosny 1943 r., gdy w Birkenau oddano do użytku cztery większe komory gazowe z krematoriami. W związku z tym esesmani zaprzestali uśmiercania w dotychczasowym miejscu, budynek i baraki rozebrano, a teren zniwelowano, zacierając wszelkie ślady. Pozostałe budynki wysadzono w powietrze w styczniu 1945 r. Zachowały się jedynie ich ruiny. Ocalał budynek pierwszej komory gazowej w Auschwitz I.

Wszystko, co pozostawało po ludziach: piramidy jedzenia, walizki, ubrania, bielizna – zasadniczo miało być spalone również, lecz to była teoria.

W praktyce – bielizna i ubranie po wydezynfekowaniu szły do „Bekleidungskammer", buty do sparowania do garbarni.

Walizki przywożono do garbarni, żeby je spalić.

Lecz i ze stosów w Birkenau i po drodze i w garbarni, ss-manni i capowie, ciągnęli co lepsze sobie, mówiąc, że Oświęcim stał się „Kanadą"[325].

Termin ten się przyjął i odtąd wszystko, co pochodziło po gazowanych ludziach „kanadą" nazywano.

Była więc „kanada" – jadalna, z której płynęły do obozu niewidziane tu dotychczas różne smakołyki: figi, daktyle, cytryny, pomarańcze, czekolada, holenderskie serki, masło, cukier, ciastka, i t.p.

Zasadniczo nie wolno było czegokolwiek z „kanady" posiadać, ani tym bardziej wnosić do obozu.

Na bramie były stałe rewizje.

Winny posiadania czegoś z „kanady" – szedł do bunkra i najczęściej nie wracał już wcale.

Stopień jednak ryzyka życia w Oświęcimiu, różnił się od ryzyka niegdyś na ziemi i był stale tak wysoki, że nic nie znaczyło ryzykować życiem, dla byle jakiejś – sprawiającej radość – drobnostki.

Urobiona tutaj jakaś nowa psychika prawie wymagała trochę radości – opłaconej właśnie wielką ryzyka ilością.

Więc ciągnięto stale ze sobą wszystko co do jedzenia dało się urwać, gdzieś w pobliskiej „kanadzie".

Idąc z pracy do lagru, przechodzono z dreszczykiem przez rewizje w bramie.

Inną „kanadą" była bielizna, odzież i buty.

Wkrótce też u capów i ss-mannów można było widzieć najlepszą bieliznę, pochodzącą często ze stolicy Francji. Jedwabne koszule, takież spodenki, oraz luksusowe buty.

A pozatym mydła, perfumy najlepsze, żyletki, pędzle i kosmetyki damskie.

Trudno tu wyliczyć wszystko to, – zresztą, co dobrze sytuowana kobieta, lub mężczyzna – chcieli ze sobą zabrać.

„Zorganizować" coś z „kanady" stało się z niektórymi wyjątkami prawie powszechnym dążeniem – a dla niektórych dnia treścią.

SS-manni myszkowali w walizkach i w portfelach, szukając złota, pieniędzy, brylantów.

---

325 Pierwszy magazyn zagrabionego mienia ofiar, zwłaszcza Żydów przybywających do obozu z dużymi bagażami, powstał latem 1942 r. obok fabryki budowanej między obozami KL Auschwitz I i KL Auschwitz II-Birkenau i był nazywany w żargonie obozowym „kanada I". W grudniu 1943 r. w pobliżu jednej z komór gazowych na terenie Birkenau uruchomiono kompleks 30 baraków magazynowych, nazywany „kanada II". Składowano tam głównie bagaż przywożonych od wiosny 1944 r. Żydów z Węgier. W obu „kanadach" zatrudnionych było ok. 2000 więźniów i więźniarek. Praca w „kanadzie" była uznawana za jedną z najlepszych.

Oświęcim stał się wkrótce źródłem, skąd jak strumyczkami zaczęły odpływać brylanty i złoto.

I po jakimś czasie na drogach można było widzieć żandarmerię rewidującą wszystkich, zatrzymującą również auta wojskowe.

SS-manni i capowie w rewidowaniu rzeczy nie mieli jednak tyle sprytu, co häftlindzy, którym czasami udawało się znaleźć jakiś brylant w obcasie buta, w zagłębieniach walizki, torebki, w paście do zębów, w tubce z kremem, pomadce do butów i wszędzie tam, gdzie tego najmniej spodziewać się było można.

Robili to skrycie i w sprzyjających tylko okolicznościach, gdy mogli dopaść jakiegoś przedmiotu po zagazowanych ludziach.

SS-manni kryli się również z tym, jeden przed drugim, lecz że sam komendant lagru przyjeżdżał do Erika [Grönke] do garbarni, gdzie przywozili autami walizki pełne rzeczy, już segregowanych, wartościowych przedmiotów, zegarków, perfum, pieniędzy i t.p. – więc przez palce musiał patrzeć na wyczyny innych, podległych mu ss-mannów, sam się obawiając przykrego meldunku[326].

Część häftlingów, którzy mieli dostęp do którejśkolwiek „kanady", stawała się szybko uprzywilejowaną klasą w obozie.

Handlowali wszystkiem, lecz nie trzeba sądzić, że w obozie był chaos i pod wpływem złota nastąpiło większe jakiś rozprężenie.

Śmierć – pomimo wielkiego spoufalenia się z nami, jednak wciąż za karę była uważana – więc handel cały ściśle był przykryty i na zewnątrz niczym starano się nie zdradzić.

Kwitły i pachniały pięknie jaśminy, gdy w tym czasie rozstrzelano mi (zamordowano strzałem w tył głowy) pierwszorzędnego chłopa, st. uł. 123[327].

Zostawił po sobie w mojej pamięci sylwetkę o dzielnej postawie i wesołej twarzy.

Wkrótce po nim rozstrzelany został (tym samym sposobem), jeden z najserdeczniejszych moich przyjaciół, dzielny oficer 13 p.uł. por. 29 [Włodzimierz Makaliński].

Przekazał mi w spadku wiadomość o miejscu ukrycia (w 39 r.) sztandarów dwóch pułków ułańskich (4-go i 13-go)[328].

326 Zgodnie z niemieckim prawem całe mienie zamordowanych więźniów stawało się własnością III Rzeszy. Kradzież pozostałości po więźniach była zatem przestępstwem przeciwko państwu i karano za nią surowo, a przed konsekwencjami nie chroniła ani pozycja w hierarchii hitlerowskiej, ani stopień wojskowy. Wyroki śmierci za tego rodzaju przewinienia wykonywano nawet na niektórych komendantach obozów.

327 Stefan Stępień – ur. 16 maja 1909 r. w Radomiu, robotnik-garbarz, st. uł. rez. WP. Do Auschwitz przywieziony transportem radomskim 5 kwietnia 1941 r., oznaczony nr. 12970. Rozstrzelany 13 marca 1942 r. w KL Auschwitz.

328 Obydwa te sztandary nie zostały dotąd odnalezione. Wiadomo jedynie, że ich trop urywa się na Ukrainie w rejonie Medyki.

Przesyłam znowu raport do Warszawy, przez pdch. 112 [Stanisław Jaster][329], który z trzema kolegami zmontowali wspaniałą ucieczkę z obozu.

Byłem kiedyś, dawno na filmie „10 z Pawiaka"[330].

Śmiem sądzić, że ucieczka czterech więźniów z Oświęcimia, najlepszym w obozie autem komendanta lagru, w przebraniu w mundury ss-oficerów, na tle warunków tego piekła, może być dla filmu kiedyś tematem naprawdę doskonałym.

Hauptwacha[331] broń prezentowała.

Lagerführer Aumeier[332], spiesząc konno z Buny na wieczorowy apel spotkał auto w drodze. Salutował ich grzecznie, dziwiąc się nieco, że na przejazd stary, przez tor kolejowy, zamknięty już teraz szofer wóz prowadzi.

Auto się jednak szybko cofnęło i przejechało tor w innym miejscu.

Zwalił to na wódkę i – słabą głowę szofera.

---

329 W rzeczywistości S. Jaster (nr 6438, zob. przyp. 298) został do tej ucieczki dokooptowany niemalże w ostatniej chwili. Jej inicjatorem był Eugeniusz Bendera (nr 8502), pochodzący z Czortkowa kierowca, skazany na śmierć i liczący się z wykonaniem wyroku w każdej chwili. Porozumiał się on ze swoim obozowym przyjacielem Kazimierzem Piechowskim (nr 918), harcerzem z Rajkowów na Pomorzu, pracującym z nim jako ślusarz w warsztacie samochodowym komendantury SS. Później Bendera zwerbował do ucieczki alumna seminarium salezjańskiego Józefa Lemparta (nr 3419) pochodzącego z Zawadki k. Wadowic, a kiedy udziału w eskapadzie odmówił czwarty kolega, zaproponowali udział właśnie Jasterowi. Nie wiedzieli, że jest on członkiem ZOW i że uciekając, wykonuje zadanie przekazania władzom polskiego podziemia informacji zebranych przez Pileckiego. 20 czerwca 1942 r. włamali się do magazynów SS, skąd skradli mundury oraz broń i przebrani za esesmanów, wyjechali ukradzionym z garażów SS samochodem, którym mimo zarządzonego alarmu, pościgu i blokad policyjnych dojechali w okolice Makowa Podhalańskiego, gdzie przedostali się do GG. Poza Jasterem wszyscy przeżyli wojnę.

330 *Dziesięciu z Pawiaka* – polski film fabularny z 1931 r. w reżyserii Ryszarda Ordyńskiego na podstawie wspomnień bojowca Organizacji Bojowej PPS o akcji uwolnienia 10 więźniów politycznych z carskiego więzienia przy ul. Dzielnej w Warszawie w dniu 24 kwietnia 1906 r.

331 Warta przy bramie głównej.

332 Hans Aumeier – ur. 20 sierpnia 1906 r. w Ambergu (Bawaria), SS-Sturmbannführer. Pracował jako tokarz i monter w fabrykach karabinów w Ambergu, Monachium, Berlinie, Bremie i Kolonii. Od 1929 r. należał do NSDAP, a od 1931 r. do SA i SS. Od 15 stycznia 1934 r. był instruktorem rekrutów w załodze KL Dachau, od kwietnia 1936 r. wartownikiem w KL Esterwegen, a od grudnia tegoż roku d-cą kompanii wartowniczej KL Lichtenburg. W latach 1937–1938 był d-cą kompanii wartowniczej KL Buchenwald, od 1 sierpnia 1938 do stycznia 1942 r. kierownikiem obozu i zastępcą komendanta KL Flossenbürg, gdzie dał się poznać jako zwolennik drakońskich metod karania więźniów i stworzył warunki, które wielu więźniów doprowadziły do samobójstwa. Osobiście dokonywał egzekucji na więźniach. Od stycznia 1942 r. objął takie samo stanowisko w KL Auschwitz i także w tym obozie zasłynął jako sadysta. Jego dewizą było: „Tylko martwy więzień jest więźniem przyzwoitym". Odpowiedzialny za zagładę Żydów, egzekucje pod Ścianą Śmierci i wiele innych zbrodni. Dokonywał tak wielu nadużyć dla korzyści osobistej, że 18 sierpnia 1943 r. został usunięty ze stanowiska na wniosek komendanta KL Auschwitz Rudolfa Hössa (zob. przyp. 161). Przeniesiony na obszar Rosji i krajów nadbałtyckich okupowanych przez III Rzeszę, zorganizował na terenie Estonii obóz koncentracyjny KL Vaivara, a po jego ewakuacji dowodził batalionem w grupie bojowej Jeckeln na froncie wschodnim. Od października 1944 r. komendant podobozu KL Kaufering w kompleksie KL Dachau. W styczniu 1945 r. tworzył KL Grini w Norwegii, gdzie traktował więźniów bardzo dobrze i uwolnił ich 7 maja 1945 r. Aresztowany 11 czerwca 1945 r. przez wojska amerykańskie, później przebywał w obozie jenieckim w Wlk. Brytanii. 4 maja 1947 r. przekazany władzom w Polsce dla osądzenia za zbrodnie w Auschwitz i Flossenbürgu. Jeden z oskarżonych w pierwszym procesie oświęcimskim przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie, 22 grudnia 1947 r. skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 24 stycznia 1948 r. w krakowskim więzieniu Montelupich.

Głowy mieli mocne – ucieczka się udała.

Lagerführer wrócił na sam apel do Oświęcimia, gdy wszyscy już staliśmy w blokach wyrównanych.

Tu się dopiero rozegrała scena!

Zameldowano mu, że czterech brakuje na apelu, a co gorsza – że pojechali autem komendanta.

Działo się to w budynku „Blockführerstuby".

Aumeier się wściekł prawie, rwał na głowie włosy. Krzyczał, że ich spotkał.

Potym cisnął czapkę z rozpaczą na ziemię i... nagle się nagłos roześmiał.

Represji żadnych, ani rozstrzeliwań, ani stójek dłuższych nie mieliśmy wtedy.

Tak było już od lutego (42 roku).

Mecze piłki nożnej rozgrywano w roku 41 na placu apelowym, teraz (w roku 42) – z powodu zabudowania placu całkowicie – były już niemożliwe.

Jedynym sportem w którym się spotykały reprezentacje capów-niemców z więźniami Polakami – były mecze bokserskie.

Jak w piłce nożnej, tak również i w boksie, pomimo różnicy w pożywieniu – pracy, Polacy zawsze capów-niemców sprali.

W boksie, była to jedyna okazja, bić capa w mordę, co też häftling-Polak czynił z całą satysfakcją, ku ogólnym okrzykom radosnym widzów.

Było kilku bokserów u nas wcale dobrych. Znałem z pracy w organizacji bliżej tylko 21 [Tadeusz Pietrzykowski], który zawsze po mistrzowsku ze spotkania wychodził i sprał po gębie jakiegoś drania.

Złapanych więźniów na nieudanej ucieczce – wieszano publicznie i ostentacyjnie.

Była to również zmiana na lepsze, nie zabijano drągiem lub przebijano deską.

Tylko po odsiedzeniu czasu pewnego w bunkrze, wieszano na szubienicy, wtaczanej na kółkach, w pobliżu kuchni, w czasie wieczorowego apelu, gdy wszyscy więźniowie stali na placu.

Przytym wieszali ci, co sami w następnej turze mieli być powieszeni przez swoich następców.

Robiono to dla ich większego udręczenia.

Raz, w trakcie takiego wieszania kolegów, czytano nam rozkaz, w którym uroczyście komendant obozu obwieszczał häftlingom, że za dobre prowadzenie i wydajną pracę więzień może nawet zostać zwolnionym. Nie należy więc robić prób niemądrych ucieczek, gdyż to prowadzi, jak widać w tej chwili – do śmierci haniebnej – przez powieszenie.

Rozkaz jakoś nas nie „wziął". Nikt w zwolnienie nie wierzył. – Zbyt wiele morderstw widziały nasze oczy, by ich właścicieli wypuścić miano.

Zresztą czytany w takiej przykrej chwili mógł chyba trafić do psychiki niemca.

Z całą falą humanitarnych sposobów uśmiercania, które miały o kulturze katów

naszych świadczyć, przyszło również do nas jawne wywożenie do gazu więźniów z bloków szpitalnych.

Gdy do szpitala przez szereg dni z rzędu przyjęto tylu, że nie mogli się zmieścić, leżąc nawet po trzech na jednym łóżku, a Kle[h]ra apetyt na wbijanie szpili był zaspokojony i jeszcze wciąż był tłok w szpitalu, wtedy wywożono chorych autami do komór gazowych w Brzezince.

Początkowo robiono to niejako ze wstydem, wywożąc w nocy, wieczorem późnym lub wczesnym rankiem, by nikt nie widział.

Potym powoli, gdy obóz już cały wiedział o tym zwyczaju i „chorych turystach" – przestano się wstydzić i w dzień biały „turyści chorzy" jechali do gazu.

Nieraz robiono to w czasie apelu, gdy wzmocniona warta i lufy broni z wieżyczek na nas zimno spozierały.

Niejeden więzień jadąc autem do gazu, krzyknął poznawszy w szeregu przyjaciela: „Serwus, Jasiu. Trzymaj się!..." Machał czapką lub ręką kiwał – jechał „na wesoło".

Wszyscy w obozie wiedzieli, dokąd jadą. – Dlaczego więc tamten się cieszył?

Przypuszczać należy, że już tak miał dosyć tego, co widział i przecierpiał tutaj, że niczego więcej gorszego nie mógł spodziewać się ujrzeć po śmierci.

Pewnego dnia w obozie przybiegł do mnie kolega 41 [Stanisław Stawiszyński] z wiadomością, że w szeregach przyprowadzonych z Birkenau, tu na rozstrzelanie, poznał (dokładnie widział) – pułkownika 62 [Jan Karcz].

Wiadomość się potwierdziła. Pułkownik 62, dzielny oficer – zginął.

Dałem do przeczytania tych kilkadziesiąt – stron, na których napisałem obrazki z Oświęcimia – kolegom.

Orzekli, że w opisach czasami się powtarzam. Możliwe – trochę z braku czasu, żeby to przejrzeć – raz jeszcze wszystko, lecz i dlatego, że ten wielki „młyn" przetwarzający ludzi na proszek, lub jeśli kto woli, może „walec" rozgniatający na miazgę transporty ludzkie, obracał się wciąż wokół jednej i tej samej osi, której na imię było – zagłada.

A fragmenty poszczególnych scen lagru, codziennie od nowa, ponad trzysta razy w roku, w innym dniu lecz w podobny ciągle sposób ukazywały sporadycznie lub regularnie co pewien czas tą samą stronę walca, ze wszystkimi jej szczegółami... i... jeśli tak się patrzyło przez dni prawie tysiąc... cóż? jeśli ludzie żyjący wygodnie na ziemi, zrobią minimum wysiłku przy czytaniu tych kartek, parę razy myśl swą jednym zatrudniając obrazkiem? – tymbardziej, że z innej oświetlonym strony!

Jest to raczej lepiej, może chociaż w drobnej cząstce czytający z nami zespoli się psychiką, które są tak różne, jak różni się dwa od tysiąca, bo nam kazano tysiąc razy patrzeć i nikt z nas nie mógł się tym nigdy znudzić.

Na spleen angielski tam nie było czasu!

A ja chcę znowu właśnie się powtórzyć. –

Ciężko było patrzeć na kolumny kobiet, wykańczane pracą, sunące po błocie.

Wyszarzałe twarze... zabłocone szatki... Idą – podtrzymując słabe „muzułmanki".

Są jeszcze niektóre, co wciąż silnym duchem wspierają inne i własne mięśnie.

Są oczy jeszcze, co śmiało spoglądają w marszu, starają się równać szeregi.

Nie wiem, czy ciężej było patrzeć na te, co wieczorem zmęczone wracały po pracy, czy na te co rano – mając cały dzień przed sobą, wychodziły w pole, niby po spoczynku i podtrzymywały koleżanki słabe.

Widziało się twarze i rączyny takie, które do roboty ciężkiej w polu nie mogły pasować ani się nadawać.

Widziało się również i nasze wieśniaczki, przyzwyczajone zdawało by się do ciężkiej pracy, tutaj kończone prawie równo z „paniami".

Wszystkie pędzono pieszo kilometry, do pracy, w pogodę czy też w dzień dżdżysty.

Gdy kobiety stopkami plątały się w błocie – „bohaterowie" obok na koniach, z psami – jak stado owiec lub bydła cowboy'e – gnali pokrzykując, paląc papierosy. –

W obozie już mieliśmy istną wieżę babel. – Różnymi językami koledzy mówili. Bo oprócz Polaków, Niemców, bolszewików, Czechów, paru Belgów, Jugosłowian, Bułgarów – przywieziono również Francuzów, Holendrów, paru Norwegów i nareszcie – Greków.

Pamiętam, że Francuzi dostali numery ponad czterdzieści i pięć tysięcy.

I kończyli się szybko – jak nikt w obozie. – Ani to do pracy – ani koleżeństwa. Wątłe jakieś chuchra i głupio oporne.

Z transportów żydowskich, które przyjeżdżały, część młodych dziewcząt, z ustawionych setek do „kąpieli" w gazie ss-manni wyciągali, ratując od śmierci.

Lubując się widocznie w nagim pięknie ciała, wybierali kilka dziennie, co piękniejszych kształtów.

Jeśli po dniach kilku, dziewczyna jeszcze wciąż potrafiła ratować swe życie, płacąc pięknością lub jakimś sprytem – czasami się zdarzało, że umieszczono taką, gdzieś w „schreibstubie", „rewirze" lub „komendanturze".

Miejsc jednak było mało, a pięknotek – wiele.

Tak samo z setek idących do gazu, wyciągali ss-manni i część młodych żydów.

Ci byli normalnie ewidencjonowani. Szli na bloki nasze i do różnych komand.

Był to znowu sposób na resztę żydów w świecie.

Wspominałem już o tym, że przez jakiś czas żydzi umieszczeni w pracy, na krótko pod dachem, pisali listy śląc je do rodzin, że jest im tu dobrze, lecz wtedy pisali równocześnie z nami, to znaczy dwa razy na miesiąc – w niedziele.

Teraz na bloki, gdzie mieszkali żydzi, od czasu do czasu zjawiali się ss-manni, przeważnie w dzień jakiś powszedni w tygodniu. (My pisaliśmy nadal listy w niedziele). Przychodząc wieczorami zbierali ss-manni wszystkich żydów, co na tym bloku mieszkali i siadać kazali przy jednym stole.

Rozdawali listy przepisowe w lagrze, każąc pisać do rodzin, krewnych, a w braku takowych, nawet do znajomych.

Stali nad nimi i czekali, aż skończą.

Potym listy sami od nich odbierali, wysyłając w różne kraje Europy.

Niech by taki żydek napisał, że mu źle jest... Wszyscy też pisali, że jest im bardzo dobrze...

Gdy już swe zadanie pisania listów uspokajających resztę żydków w krajach – nasi żydzi w lagrze – dobrze wykonali i stali się „zbędnym lagru obciążeniem", wtedy wykańczani byli jaknajszybciej, przeniesieniem do pracy ciężkiej, gdzieś w Brzezince albo nawet często wprost do „Strafkompanji".

W S.K. – tymczasem – jak zawsze – kończono.

Był tam żyd, nazywany powszechnie „Dusiciel" [NN]. – Miał on przydzielanych codzień kilku albo kilkunastu żydków do skończenia. Zależało to od stanu większego lub mniejszego całej „Strafkompanji".

Przydzielanych w dniu bieżącym żydków na zagładę, czekała tu śmierć przykra, od ich współwyznawcy, potężnego w barach żyda-„Dusiciela".

Co pół godziny, częściej lub też rzadziej, w zależności od natłoku w kolejce do śmierci, Dusiciel upatrzonej którejś ze swych ofiar, kazał się położyć na wznak na ziemi, opornego sam szybko i sprawnie układał – potym trzonek od łopaty kładąc leżącemu na gardle, wskakiwał nogami na drążek, naciskając całym ciężarem ciała na trzonek łopaty. Drążek dusił gardło – Dusiciel się bujał, przenosząc ciężar to na lewą stronę, to znowu – na prawą.

Żydek pod łopatą charczał, kopał – konał. – Ofierze swojej mówił czasami oprawca, żeby się nie lękała – „śmierć przychodzi – szybko."

W S.K. Dusiciel i przydzielani do niego na wykończenie żydzi traktowani byli jako autonomiczne podkomando śmierci.

Właściwe S.K. gdzie przeważali Polacy żyło, pracowało i kończyło się osobno, na inny sposób tą samą śmierć przyjmując.

Latem, raptownie do S.K. przeniesiono naraz wielu więźniów.

Było to zarządzenie politycznego oddziału, na skutek przejrzenia spraw, z których wynikało, że więźniom dowiedziono ich sprawy na ziemi.

Ze znajomych moich kolegów i pracowników naszej organizacji w obozie przenieśli do „Strafkompanie" w Rajsku: plt. pdch. 26 [Stanisław Maringe], por. 27 [Jerzy Poraziński], kpt. 124 (ojciec)[333] i 125 (syn)[334].

333 Tadeusz Chrościcki (w niektórych informacjach Chróścicki) – ur. 22 maja 1888 r. w Przytyku, ojciec Tadeusza Lucjana (nr 16655), do Auschwitz przywieziony w transporcie warszawskim z 6 kwietnia 1941 r. i zarejestrowany jako kapitan WP, otrzymał nr 13484. Zginął w komorze gazowej 11 czerwca (według innych danych 15 czerwca) 1942 r. w ramach akcji odwetowej Niemców za bunt więźniów w kompanii karnej KL Auschwitz II-Birkenau.

334 Tadeusz Lucjan Chrościcki (w niektórych informacjach Chróścicki) – ur. 27 marca 1919 r. w Mukarowcach, syn Tadeusza (nr 13484), w ewidencji Auschwitz zarejestrowany jako inżynier. Przywieziony do obozu 29 maja 1941 r. w transporcie z Warszawy, oznaczony nr. 16655. Zbiegł z obozu w wyniku buntu w kompanii karnej KL Auschwitz II-Birkenau 10 czerwca 1942 r. Wojnę przeżył.

Po jakimś czasie otrzymałem, trochę nieostrożnie przesłaną kartkę od por. 27 [Jerzy Poraziński], która jednak szczęśliwie nie „wpadła", w której pisał: ...„zawiadamiam Ciebie, że ponieważ wkrótce musimy stać się obłoczkami już tylko – więc próbujemy szczęścia jutro w czasie pracy... Szans mamy mało – pożegnaj kiedyś, jeśli będziesz mógł i żył jeszcze na ziemi rodzinę moją i powiedz, jeśli umrę, że zginąłem w walce...".

Nazajutrz przed nocą wiadomość przynieśli, że w dniu tym wieczorem na sygnał głoszący koniec pracy w Rajsku, więźniowie S.K. razem się rzucili, usiłując wszyscy dokonać ucieczki.

Czy źle była zorganizowana, czy może ktoś zdradził, bo trzeba było wszystkich uprzedzić, czy może warunki zbyt trudne były – dosyć, że ss-manni wszystkich prawie więźniów, około 70-ciu położyli trupem. W łapaniu i zabijaniu sprawnie pomagali ss-mannom, niemcy-capowie[335].

Podobno paru zostawili żywych.

Mówiono również, że kilkunastu zwiało. Przez Wisłę przepłynęło podobno kilku. Wiadomości były bardzo jednak sprzeczne. Faktem jednak jest, że w trzy lata później, dowiedziałem się od Romka G. [NN] że będący w tej paczce 125 [Tadeusz Lucjan Chróścicki] (syn mego współpracownika w Warszawie), jakimś sposobem wtedy śmierci uniknął.

Wiedzieliśmy, że tak jak u nas niegdyś na blokach więźniowie cierpieli od weszek, tak w kobiecym „lagrze", w odgrodzonych od nas blokach, panuje ogromne zapchlenie.

Nie rozumieliśmy, skąd to pochodzi, takie przez te insekty dla płci nas-więźniów robienie różnicy. – Okazało się potym, że niektóre z komand kobiecego „lagru", chodziły do pracy, do jakichś zapchlonych budynków i pchły ze sobą przywlekły na bloki.

Te się znalazłwszy w dobrych warunkach, rozpanoszyły się bardzo, przeganiając dotychczasowych lokatorów białych[336].

335 27 maja 1942 roku Niemcy wcielili do kompanii karnej w Birkenau ok. 400 polskich więźniów politycznych, w większości z transportów krakowskich i warszawskich z 1941 i 1942 r. Co kilka dni rozstrzeliwali kilkanaście osób z tej grupy, więc pozostali, nie chcąc biernie czekać na śmierć, zaplanowali zbiorową ucieczkę, która miała nastąpić 10 czerwca 1942 r. po sygnale obwieszczającym koniec pracy przy budowie rowu melioracyjnego w Birkenau i powrót do obozu. Z powodu ulewnego deszczu szef kompanii karnej SS-Hauptscharführer Otto Moll zarządził zakończenie pracy znacznie wcześniej niż zwykle i nie wszyscy więźniowie byli przygotowani do działania. Około 50 rzuciło się do ucieczki. Kilkunastu zawrócili kapo, a w pościgu zatrzymano dwóch. Wszystkich ujętych i tych, którzy nie zdążyli podjąć ucieczki, zaprowadzono do obozu Auschwitz. Nieśli 13 ciał zastrzelonych kolegów. Spośród 50 tych, którzy podjęli próbę ucieczki, na wolność wydostało się jedynie 9: August Kowalczyk (nr 6804), Jerzy Łachecki vel Lachecki (nr 12541), Zenon Piernikowski (nr 12544), Aleksander Buczyński (nr 12754, zginął 13 lipca 1942 r. w KL Auschwitz), Jan Laskowski (nr 12543), Józef Traczyk (nr 13323, według księgi zmarłych zginął 10 czerwca podczas ucieczki), Lucjan Chróścicki vel Chróścicki (nr 16655), Józef Pamrow (nr 22868, zapewne ujęty później, gdyż według danych PMAB zginął 23 lutego 1943 r. w KL Auschwitz) i Eugeniusz Stoczewski (nr 22883, według danych PMAB nie został rozstrzelany, ale powieszony 14 lipca 1942 r.). Spośród nich Niemcy ujęli jeszcze 14 czerwca Aleksandra Buczyńskiego i Eugeniusza Stoczewskiego. Obaj trafili z powrotem do obozu, gdzie po miesiącu zostali rozstrzelani. Następnego dnia w odwecie rozstrzelano 20 osób, a w komorze gazowej zgładzono ok. 320 Polaków z kompanii karnej. Była to pierwsza zbiorowa próba ucieczki z KL Auschwitz.

336 „Biali lokatorzy" oraz „czarni lokatorzy" to określenie wszy i pcheł. Wszy są koloru kremowo-białego, a pchły są czarne. W więźniarskim żargonie określano je często jako blondynki i brunetki.

Wkrótce kobiety przeniesiono od nas z bloków głównego obozu do Rajska-Birkenau, gdzie w blokach drewnianych ginęły w straszliwych warunkach.

Brak wody na blokach, jak również ubikacji.

Spały niektóre na ziemi, bo bloki z desek nie miały podłogi.

Brodziły wyżej niż po kostki w błocie – gdyż ani dren, ani bruków nie było.

Rano, setkami zostawały na placu, nie mając już sił do pracy. Osowiałe, nieczułe te cierpiętnice, przestawały mieć wygląd kobiety.

Wkrótce doznały „litości" władz lagrowych, idąc setkami do gazu.

Zagazowano wtedy ponad dwa tysiące istot tych – niegdyś będących – kobietami.

Na opuszczonych przez kobiety blokach pozostała niezliczona ilość pcheł.

Stolarze, którzy chodzili na te bloki, by przed wprowadzeniem tam znowu komand męskich naprawić jakieś w oknach lub drzwiach uszkodzenia, opowiadali, o straszliwej pracy w tym państwie „brunetek", co skakały całymi rojami w opróżnionych blokach.

Głodne, gwałtownie rzucały się na przybyszów, ciało gryząc w centki, jedne przy drugiej.

Nic nie pomagało, żadne zawiązanie nogawek przy kostkach lub rękawów końców – więc stolarze odrazu zrzucali ubrania, kładąc je gdziekolwiek w bezpiecznym od pcheł miejscu, ciało nagie broniąc stałym opędzaniem, jak muchy zwierzę pasące się w polu.

A one skakały po podłodze rojem i gdy się spojrzało na nie pod słońce, miało się wrażenie wielu fontann skupiska.

W naszym obozie mieliśmy już wtedy na wszystkich blokach ubikacje i ładne łazienki. Kanalizacja, wodociągi – wszędzie już były. W piwnicach trzech bloków pracowały motopompy, zaopatrując cały lager w wodę.

Wielu więźniów – życie w pracy, przy budowie – tych wszystkich udogodnień – musiało oddać.

Teraz więc „zugang" – co przyjeżdżał świeżo odrazu w warunki tu wchodził odmienne, od tych w które nas niegdyś zamknęli „kończąc" również brakiem możliwości mycia lub spokojnej chwili w jakiejś ubikacji.

Coprawda i teraz był tu stróż porządku, któremu posady zazdrościł niejeden. Siedział w ubikacji i zajadał zupę, zawsze miał repetę, a że miejsce jedzenia wydawałoby się może jakieś dziwne, on tym wcale nie umiał się wzruszyć. Spokojnie zjadał – przyspieszając krzykiem funkcje häftlingów, w pięknej ubikacji.

Kobiety przeniesione z warunków takich, jakie były już na naszych blokach w roku 42 – do warunków prymitywnych w Rajsku, tymbardziej to odczuwały.

Po przeniesieniu kobiet – płot wysoki, zbudowany wiosną dla odgrodzenia nas od płci odmiennej, pozostał nadal do czasu odwszenia całego obozu.

Pchły jednak z płotem jakoś dały sobie radę. Nie wszystkie, lecz widocznie te bardziej – przedsiębiorcze i po przekroczeniu w jakiś sposób muru – rzuciły się na nasz obóz, znajdując tu na blokach masę pożywienia.

Tymczasem w łyżkarni sytuacja tak się przedstawiała, że trzeba było myśleć o innej

jakiejś pracy, bo łyżek już wiele tysięcy zrobiono i można było przewidywać, że wkrótce komando nasze rozwiążą.

Wtedy na skutek wpływów moich przyjaciół 111 [NN], 19 [Tadeusz Słowiaczek] i 52 [Tadeusz Myszkowski], zrobiono mi miejsce przy warsztacie stolarskim, wśród wybranych stolarzy (dawno, kiedyś – przez Konrada [Langa]).

Narazie pracowałem z mistrzem-stolarzem 111 [NN], przy jednym warsztacie, lecz gdy 111 [NN] i 127 [NN] zachorowali kolejno na tyfus – zostałem wśród grona stolarzy-mistrzów sam przy warsztacie i udawać miałem stolarza-fachowca odpowiedzialnego za pracę warsztatu.

„Capo" był nowy, który po śmierci (tyfus) „Hulajnogi"-wariata [NN] objął komando stolarzy (w garbarni).

Pozycja moja stała się trudną. Dostawałem rysunki na obstalowane meble, które musiałem sam stworzyć z drzewa.

Jakkolwiek robiłem tylko dni dwanaście – sam pracując jeden przy tym warsztacie, przyznam się, że nerwowo zmęczyłem się dosyć.

Nie chciałem podpaść a nie byłem fachowcem. W każdym razie szafę składaną robiłem i chociaż na jej zakończenie przyszedł do mego warsztatu pierwszorzędny majster 92 [Wacław Weszke], jednak przez tych dni dwanaście udało mi się bez wpadki, wobec kapryśnego, lecz głupiego capa, udawać majstra-stolarza.

Nie byłem już w stolarce zupełnym nowicjuszem (resztę trzeba było pokryć – sprytem), lecz przyjście 92 do mego warsztatu, który on sobie obrał tendencyjnie, z prawdziwą przyjąłem radością.

Odtąd miałem więcej czasu, który poświęcałem wiązaniu tu „siatki" na uzgadnianie posunięć w pracy naszej organizacji, spotykając się z kolegami we właściwej garbarni lub pod pretekstem wyboru materiału w szopie, gdzie leżały deski, konferując z 50 [Jan Mielcarek] i 106 [NN] na stosie nowych sienników, które tu pod sam dach sięgały. – Przez szczeliny w dachu obserwowaliśmy poruszenia Erika [Grönke] lub komendanta, jak z doskonałego punktu obserwacyjnego.

Tyfus dawał się nadal dotkliwie we znaki i u ss-mannów w koszarach zrobiono odwszenie.

U nas na wszystkich blokach chorowali.

Na naszej sali (7-ma na 25-ym bloku) codziennie ktoś szedł do szpitala chory na tyfus.

Wtedy mieliśmy już na dwóch – jedno łóżko.

Pierwszy z naszej paczki zachorował pdch. 94 [NN], potym kpr. 91 [Stanisław Polkowski], potym 71 [Jan Mosdorf], następnie 73 [Piotr Kownacki], 95 [NN], śpiący w jednym ze mną łóżku – 111 [NN], 93 [NN], potym już (trudno spamiętać, kto po kim szedł do szpitala) wszyscy prawie kolejno się kładli.

Wielu bardzo nie wracało wcale, jadąc w wozie pełnym trupów do krematorium.

Codziennie parę znajomych twarzy można było widzieć wśród rzucanych jak drzewo, na wóz, ciał häftlingów.

Na razie tyfus mnie nie brał.

Zjawił się u mnie dr. 2 [Władysław Dering], proponując bym zastrzyk sobie zrobił przeciwtyfusowy, szczepionkę dostał „z wolności" (skrycie)[337]. Musiałem jednak zastanowić się, co robić, gdyż jeśli zostałem już przez „blondynkę" tyfusową pogryziony (można było tak sądzić, bo spałem razem ze 111 [NN], który już zachorował, a od ugryzienia do pierwszej gorączki mijało zwykle dni kilkanaście), to w tym wypadku nie wolno było szczepionki stosować, bo mogło to skończyć się śmiercią.

Nie sądząc jednak bym już był zarażony – na zastrzyk szczepionki się zdecydowałem.

Z paczki naszej stającej na apel, na czole bloku, z trzydziestu chłopa, wkrótce zostało siedmiu, może ośmiu. – Reszta umarła na tyfus.

Z pracowników naszych zginął dzielny Wernyhora – 50 [Jan Mielcarek], 53 [Józef Chramiec], 54 [Stefan Gaik], 58 [Andrzej Marduła], 71 [Jan Mosdorf], 73 [Piotr Kownacki], 91 [Stanisław Polkowski], 94 [NN], 126[338] i nieodżałowany przyjaciel – 30 [Eugeniusz Trebling].

Zresztą, czy mogę o kimś jednym pisać, że jest „nieodżałowany" – wszystkich żałowałem.

Kpt. 30 [Eugeniusz Trebling] – tak bardzo starałem się ratować. Był zawsze wesół, ludzi podtrzymywał humorem własnym i miską „repety", koło niego szereg ludzi zawsze żyło.

Przed samym tyfusem dostał raptownie zakażenia krwi, które udało się zlikwidować: dr. 2 [Władysław Dering] zrobił mu szybko operację ręki i niebezpieczeństwo usunął.

Zaraz – w tydzień potym dostał tyfusu, poszedł na blok 28, gdzie leżąc parę dni, gościnnie zapraszał kolegów by jedli jemu przynoszone smakołyki z „kanady", głośno wykrzykując: „Bóg dał – dobrzy ludzie przynieśli – więc jedzcie."

Miał wielką gorączkę, mówił wciąż i mówił, z humorem opowiadał o tym, że żyć musi, że choćby z głową pod pachą, lecz wyjdzie z Oświęcimia, bo przeszedł straszne rzeczy w Hamburgu i że ze swoją Jasią widzieć się musi. – I tak mówiąc ciągle dostał zapalenia opon mózgowych.

Przeniesiono go na blok 20-ty. – Robiono mu punkcje. – Opiekę miał troskliwą – lecz już nic nie pomogło. –

Wyszedł z Oświęcimia już tylko – dymem z komina.

Mam od niego polecenie: „Isjago" – kto to zrozumie, niech się do mnie zgłosi.

Był więc rozchód u nas (lato 42 r.), lecz był również i przychód.

337 Potajemne dostarczanie szczepionek przeciwko tyfusowi to jedna z najważniejszych akcji polskiego podziemia, umożliwiająca uratowanie wielu więźniów KL Auschwitz.

338 Tadeusz Czechowski – ur. 13 listopada 1898 r. w Borucinku, do Auschwitz przywieziony 24 lipca 1941 r., z zawodu kupiec, nr 18369. Zginął w KL Auschwitz 25 września 1942 r.

W tymże czasie do organizacji naszej doszli nowi koledzy, chociaż niektórzy z nich siedzieli już dawno w obozie: 128 [NN], 129[339], 130 [NN], 131 [NN], 132 [NN], 133 [NN], 134 [NN], 135 [NN], 136 [NN], 137 [NN], 138 [NN], 139 [NN], 140 [NN], 141 [NN], 142 [NN], 143 [NN], 144 [NN].

Pracowałem przez parę tygodni na bloku, nie chodząc do stolarni wcale, korzystając z ustosunkowania się przyjaznego do mnie blokowego 80 [Alfred Włodarczyk], który już przedtym nieraz mnie w przykrych momentach ochronił.

Dał on mi na bloku pracę „artystyczną", tłomacząc przed władzami, potrzebą napisów na księgach bloku – kancelaryjnych.

Malowałem obrazy z życia obozu: „pobieranie zupy przez repeciarzy" „nóg wieczorny przegląd z biciem na stołku".

Z kolorowych papierków zrobiłem coś w rodzaju wycinanki – obrazu – czy też naklejanki.

Wyszło to nieźle, bo nawet gdy Palit[z]sch przyszedł raz na blok ten, w miesiąc później – gdy mnie już tam nie było i kazał wszystkie obrazki poniszczyć, tłukąc szkło w kawałki i niszcząc nawet ramy – naklejankę moją kazał sobie oddać.

Rozpoczęło się nowe odwszenie obozu.

Pewnego dnia, było to pomiędzy 20–25-tym sierpnia 42 r., jak zawsze w ostatnich czasach nie poszedłem do pracy i siedząc w obozie, malowałem na bloku. Nagle spostrzegłem auta z większą ilością ss-mannów, które zajechały do obozu, pod blok tyfusowy (blok 20-ty, nowa numeracja).

SS-manni szybko otoczyli blok.

Przyznam się, że patrząc na tę scenę – na chwilę mi się zrobiło zimno koło serca, a potym gorąco. – Myślałem o innym powodzie tej eskapady ss-mannów... Lecz to co zobaczyłem za chwilę – również przykrem było.

Wyciągano chorych, pakując ich w auta.

Chorzy nieprzytomni i zupełnie już zdrowi – rekonwalescenci, tacy co miesiąc temu chorowali, lecz jeszcze odbywali kwarantannę – wszystkich razem wpakowano na auta, wożąc w kilku rzutach do komór gazowych.

Wywieziono wtedy wszystkich, co na bloku 20-ym mieszkali, takich również co zdrowi, przedłużyli tylko pobyt swój dla odpoczynku, za wyjątkiem „pflegerów", których poznawano po ubraniu, gdyż od szeregu miesięcy, cały personel szpitala, nosił ubrania różniące się wyraźnie od naszych. Były to ubrania z płótna białego, z czerwonym lampasem malowanym farbą, wzdłuż pleców i takimiż lampasami na spodniach.

339 Leon Kukiełka – ur. 5 kwietnia 1922 r. w Gródku Jagiellońskim, uczeń gimnazjum. Do Auschwitz przywieziony transportem lubelskim z 24 maja 1941 r., otrzymał nr 16465. Rozstrzelany 28 października 1942 r. w KL Auschwitz.

Wtedy dr. 2 [Władysław Dering] uratował szereg Polaków, każąc im się przebierać kolejno, po paru, w ubrania białe „pflegerów", przedstawiając komisji ss-doktorów, jako pracujących przy chorych.

Zwrócono mu uwagę wreszcie, że coś tych pielęgniarzy było za wielu. Ponieważ jednak na końcu wychodzili prawdziwi sanitariusze, których ss-manni znali, więc jakoś się sprawa udała.

Widziałem scenę, gdy ss-mann wrzucał na auto dwuch małych więźniów. Mały – co miał lat osiem, prosił ss-manna, by go zostawił – chłopak ukląkł na ziemi. SS-mann kopnął go nogą w żołądek – i wrzucił do auta, jak szczenię.

Wszystkich ich tegoż dnia skończono w kamerach gazowych w Rajsku.

I potym palono przez dwa dni w krematorium, dowożąc wciąż więźniów z obozu.

Bo nie skończyło się na bloku 20-tym – potym brali z bloku 28-go, potym z baraku drewnianego, co stał zbudowany na czas epidemii tyfusu, pomiędzy 27 a 28-ym blokiem. A potym wybierali już z komand.

Komisja chodziła, wybierając z bloków normalnych, gdzie mieszkały komanda – wioząc do gazu wszystkich, co mieli spuchnięte nogi, lub jakieś uszkodzenia ciała, robiące wrażenie słabego pracownika.

Potym się wzięli do „Schonungsblocku" i wszystkich w lagrze „muzułmanów", których coprawda mniej niż zawsze było, z powodu dopływu „kanady".

Ci, jednak, co byli „muzułmanami", pojechali do gazu „na odwszenie". Z gazu – przez krematorium – szli dymem z komina.

Ten nowy termin – „odwszenie życia" – znowu się przyjął w obozie.

Po transportach ludzi, którzy z wolności – jechali by oddać swe życie w gazie – pozostałe stosy ubrań i bielizny – pakowano również do gazu w osobnych komorach je rozwieszając – dla dezynfekcji – czyli dla właściwego odwszenia. Stąd pochodziło nazywanie „odwszeniem" – czynność wprowadzania w sferę działania gazu każdego przedmiotu – choćby był „häftlingiem".

W kilka dni potym, 30-go sierpnia dostałem gorączki i łamania stawów, bolały mnie również przy naciskaniu łydki. Czyli wszystkie prawie oznaki tyfusu. Brakowało tylko bólu głowy, lecz głowa mnie nigdy jeszcze nie bolała w życiu i nie znam tego uczucia. – Mam to, przypuszczam w spadku po ojcu, który nawet ze zdziwieniem mówił: „...co to za durna musi być głowa – która boli..."

Ponieważ jednak lekarze i koledzy mówili, że przy tyfusie, głowa chce czy nie chce – boleć musi, więc czekałem dni parę.

Szczęśliwie, zawdzięczając blokowemu 80 [Alfred Włodarczyk] i możliwości pozostawania na bloku – do pracy nie chodziłem.

Gorączkę już miałem ponad 39 stopni i trudnym dla mnie było stać na apelach.

Do „krankenbau" jednak pójść nie chciałem, bo żadnej nie było pewności, że nie przyjadą znowu auta, nie wywiozą do gazu, tymbardziej, że choroba w najlepszym razie z konieczną kwarantanną, najmniej musiała trwać dwa miesiące.

Była to moja druga cięższa choroba w Oświęcimiu.

Prócz tego, parę razy w ciągu mego pobytu w obozie miałem temperaturę powiększoną, wskutek zaziębienia – na wolności przeszło by to może w jakąś grypę – tu siła woli, czy może wskutek napięcia nerwów – chorobę zwalczałem chodząc do pracy.

Teraz jednak z dnia na dzień, szczególnie pod wieczór, czułem, że choroby „nie przechodzę" i że wogóle na chodzenie brakuje mnie sił.

Nie wiem, co by było dalej, gdyby tak jak w pierwszym wypadku, nie zadecydowało odwszenie, tylko w odmienny sposób.

Wyczerpany byłem gorączką, przez kilka dni już trwającą.

Odwszenie przeszło już wszystkie bloki i kolej była na nasz blok.

Pomimo gorączki wieczorem do 40 stopni, na odwszenie się przygotowałem, pomagając sztubowemu, koledze (który wrócił szczęśliwie już po tyfusie) – 111 [NN]. Gdy blok już na odwszenie poszedł i tylko pozostał personel przenoszący inwentarz bloku, a za pół godziny na odwszenie pójść mieliśmy wszyscy, wtedy z wielkiego osłabienia i pamiętając, jak ciężko mi było przejść kiedyś odwszenie w gorączce – nie czułem do tego ochoty.

Droga była jedna, żeby tego uniknąć, trzeba było pójść do szpitala, skąd znowu mogli zabrać do gazu.

Wahałem się – lecz zjawił się dr. 2 [Władysław Dering] i widząc, że mam wysoką gorączkę, załatwił w czasie nieprzepisowym, za mnie wszystkie formalności, umieszczając mnie na bloku 28-ym (w szpitalu), w ostatniej chwili przed apelem wyciągając mnie ze stanu bloku 25-go.

Gorączkę miałem do 41 stopni i wielkie osłabienie, to był – mój tyfus.

Nieboląca głowa, miała tę jeszcze zaletę, że przytomności nie traciłem wcale.

Może przebieg choroby miałem łagodniejszy, ze względu na szczepiony tyfus.

Pierwszej nocy, którą spędziłem na bloku 28-ym, był pierwszy „nalot" – parę samolotów oświetliło obóz i w Rajsku zrzucili dwie bomby[340].

---

340 Brak informacji o nalocie na KL Auschwitz w tym okresie. Zapewne było to zdarzenie incydentalne i nie wymierzone w obóz. Dopiero od wiosny 1944 r. lotnictwo sprzymierzonych, wykorzystując bazy w południowych Włoszech, regularnie dokonywało nalotów na zakłady i instalacje przemysłowe Śląska, m.in. na Trzebinię, a z czasem na instalacje petrochemiczne budowanej w Dworach-Monowicach fabryki kauczuku syntetycznego Buna-Werke koncernu IG Farben, leżące w odległości 7 km od KL Auschwitz. Po raz pierwszy fabryka została zbombardowana w maju 1943 r., a więc już po ucieczce Pileckiego. Pierwszy większy nalot na fabrykę miał miejsce w sierpniu 1944 r., kiedy 127 amerykańskich bombowców typu B17 zrzuciło na instalacje IG Farben 1336 bomb. Kolejne ataki uszkodziły fabrykę i spowodowały, że Niemcy nie zdołali rozwinąć produkcji na szerszą skalę. Niektóre bomby eksplodowały wtedy z dala od fabryki, także na terenie kompleksu Auschwitz, powodując śmiertelne ofiary wśród więźniów i esesmanów. Przesyłaniu na Zachód informacji o prowadzonej w Auschwitz akcji masowej zagłady towarzyszyły apele o zbombardowanie komór gazowych i krematoriów oraz linii kolejowych prowadzących do obozu. Z apelami tymi występowały różne osoby i organizacje, przeważnie żydowskie, głównie do władz USA. Apele były bezskuteczne, bo amerykański Departament Wojny uważał, że siły i środki wojskowe nie powinny być używane do celów niemilitarnych. Ponadto działania takie wymagałyby użycia znacznych sił powietrznych, niezbędnych w walkach na froncie. Uważano, że najskuteczniejszą pomoc więźniom może przynieść jak najszybsze zwycięstwo aliantów, do którego potrzebne są wszystkie środki będące do dyspozycji. Podobne było stanowisko brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa.

Możliwe, że chcieli trafić w krematorium – lecz akcja nie była poważną.

Na nas jednak wpłynęła doskonale. – Widzieliśmy chaos wśród ss-mannów. Dwóch „postów", co stali na bliskich wieżyczkach, zbiegło z wieżyczek i biegali wzdłuż drutów, tak jak by głowy stracili.

Od koszar biegli pod nasz obóz ss-manni w kupie bezładnej, szukając się nawzajem.

Niestety był to nalot słabiutki i tylko jedyny w Oświęcimiu, przynajmniej za moich czasów.

Na bloku 28-mym przez dwa dni pobyt mój nazywał się „czasem obserwacji".

Tu specjalną serdecznością i troskliwą opieką otaczał mnie przyjaciel 100 [NN], który wszystkie chwile wolne poświęcał na to, by być przy mnie lub przynieść cytrynę czy cukier.

Przez niego też miałem kontakt z kolegami z pracy i wpływ na dalsze postępy organizacji.

Wysypka jednak była tak widoczną, że przenieść mnie musieli na blok 20-ty, o ponurej z przed paru tygodni historii.

Jeszcze na bloku 28-ym dr. 2 [Władysław Dering] zrobił mnie jakiś zastrzyk, po którym w kilka godzin temperatura spadła z 40° na 37° z kreskami.

Więc, gdy nazajutrz znowu ze strzykawką do mnie się zjawił, żartowałem, że jak teraz z 37° spadnie na 34° – to chyba umrę i więcej już na zastrzyk zgodzić się nie chciałem.

Organizm mój na wszelkie lekarstwa i zabiegi zawsze reagował silnie.

Blok 20-ty, po niedawnym opróżnieniu go przez wywóz wszystkich chorych do gazu – znowu był pełny.

Codziennie na podjeżdżające wozy, rzucano ciała umarłych na tyfus, jak polana drzewa.

Nie wiem, czy o tem już wspominałem, że wszystkie ciała które wieźli do krematorium, były nagie – bez różnicy, w jaki sposób ludzie ci zmarli: na tyfus, inną chorobę, igłę Kle[h]ra, czy strzał Palit[z]scha.

Tutaj – na bloku tyfusowym, po wyniesieniu co rano trupów, już przed południem, a szczególnie wieczorem na korytarzu leżały znowu sine, nagie ciała, ponakładane jedno na drugim, robiące wrażenie jatek z chudym mięsem.

Po pierwszym zetknięciu się dosyć swarliwym z kolegą, co był tu lekarzem – już w parę godzin potym, odczułem dla niego życzliwość. Pełen poświęcenia, myślący wciąż tylko o chorych, przez cały dzień dbając o wszystkich biegał, mył, karmił, stosował zastrzyki, ten kogo wtedy miałem za doktora – 145 [NN].

Drugim dzielnym lekarzem tutaj był dobroduszny i jednocześnie energiczny kpt. dr. 146[341].

341 Henryk Suchnicki – ur. 8 lutego 1903 r. w Podbrzozówce, of. zaw. WP, por. sł. st. zdrowia ze starsz. z 19 marca 1937 r., lekarz 22 pu w Równem i Łucku. W 1935 r. mianowany ppor. rez. sanitarnym i jako lekarz powołany do służby czynnej w WP, po czym przemianowany na of. zaw. Uczestniczył w walkach w 1939 r. Do Auschwitz przybył 30 lipca 1941 r. w transporcie z Lublina i otrzymał nr 19456. Rozstrzelany 28 października

Pozatym miałem nadal opiekę kolegi 100 [NN], przez jego przyjaciela 101 [Witold Kosztowny], który tu wstęp miał jako pielęgniarz, ze strzykawką, lub pobierający krew do analizy.

Wśród administracji tego bloku na stanowisku magazyniera, był tu członek naszej organizacji, młody mój przyjaciel Edek 57 [Edward Ciesielski]. Od niego miałem, gdy zacząłem zdrowieć obiady dodatkowe, słoninę i cukier.

Pozatym poduszkę i koc z „kanady" dostarczył mi tu w porozumieniu z 76 [Bernard Świerczyna] – Kazio 39 [Kazimierz Radwański].

Zanim kryzys minął, w tej wielkiej pół-trupiarni, gdzie obok ciągle ktoś rzęził przedśmiertnie, konał, wyłaził z łóżka, by upaść na podłogę, zrzucał koce swoje, lub w gorączce rozmawiał z najdroższą matką – krzyczał, kogoś rugając, nie chciał jeść lub żądał wody, w gorączce usiłował wyskoczyć przez okno, kłócił się z lekarzem lub go o coś prosił.

Leżałem myśląc – że jeszcze mam siły, by wszystko to rozumieć i znosić w spokoju, że od samych tych wrażeń już można zachorować, a jednocześnie myśląc, że można nabrać wstrętu do tego rodzaju wędrówki człowieka, pewnego rodzaju żalu za niedoskonałość organizmu ludzkiego, – wstrętu do samego stanu chorobowego. –

To też wzrosła we mnie przemożna chęć wyjścia stąd – powrócenia jak najszybciej do sił.

Gdy minął kryzys, a mnie się zdawało, że mam już siły, by wyjść po schodach, na dół do ubikacji (przedtym korzystało się z prymitywnie urządzonej – dla chorych na sali), okazało się wtedy, że jestem tak słaby, że muszę się trzymać ściany.

Wydawało mnie się to dziwnem, że idąc po schodach, nie miałem nie tylko sił iść na górę, lecz tak samo trudno było schodzić na dół.

Siły wracały, jak mi się zdawało, w bardzo wolnym tempie.

W czasie mej słabości parę razy koledzy byli gotowi w razie przewidywanej wywózki do gazu, zanieść mnie gdzieś na strych i ukryć.

Kilka razy Kle[h]r sale przechodził i wzrokiem bazyliszka wybierał kandydatów „na szpile".

Poznaję tu i wciągam do naszej roboty 118 [NN], 146 [Henryk Suchnicki], 147 [NN], 148 [NN], 149 [NN]. –

„Dr." 145 [NN] – dawał wszystko ze siebie, na stanowisku tak dla niego odpowiednim, że nie było potrzeby ani wiązać tu ani zmieniać nic – wiedziałem tylko, że na niego można liczyć.

Od czasu do czasu zjawiał się dr. 2 [Władysław Dering], przynosząc mnie cytryny i pomidory, zdobyte jak zawsze „na lewo" –

1942 r. w KL Auschwitz w największej egzekucji pod Ścianą Straceń wraz z 280 innymi więźniami. Po wprowadzeniu do bloku 11 H. Suchnicki, L. Kukiełka i trzej inni więźniowie bezskutecznie usiłowali wywołać bunt całej grupy skazanych na śmierć.

Stosunkowo szybko stanąłem na nogi. I w czasie kwarantanny schodząc na dziedziniec, rozmawiałem z przyjaciółmi przez kraty, odgradzające blok „zapowietrzony".

Przyjaciel 76 [Bernard Świerczyna] przychodził z nową „gałęzią" organizacji, którą świeżo powiązał, 61 [Konstanty Piekarski] – z projektem wyjścia na wolność przez podkop z bloku 28-go, zainicjowanym przez 4 [Alfred Stössel], a rozpoczętym przy pomocy 129 [Leon Kukiełka] i 130 [NN]; przyjaciel 59 [Henryk Bartosiewicz] z propozycją scalenia nowego i podziału wszystkich sił naszych i o wyznaczenie dowódców grup poszczególnych na stałe, czego chciał również i płk. 121 [Juliusz Gilewicz] (gdyż zaszły zmiany po ostatnim odwszeniu).

Wtedy opracowałem plan scalenia i podziału w ten sposób:

Ponieważ władze obozu, po generalnym odwszeniu ulokowały häftlingów na blokach komandami, a więc odpadła potrzeba rozwiązywania planu zadania na moment opanowania obozu w dwojaki sposób (t.zn. moment w pracy i moment na blokach w obozie), więc za podstawę wziąłem bloki.

Każdy blok – był to pluton t.zn. ci co do organizacji należeli, a na tym bloku mieszkali, bez względu na pierwotne więzi org.[anizacyjne] stanowili od tej chwili szkielet plutonu, który w momencie „wybuchu" – tak wielkim stał by się, jak wielu zdołają za sobą porwać, usiłując odrazu unieszkodliwić element pro niemiecki.

Blok „X" – więźniów na parterze i blok „X-a" – na piętrze stanowiły razem dwuplutonową kompanię, w jednym mieszczącą się budynku, z dowódcą kompanii na miejscu.

Kilka bloków – budynków stanowiły batalion.

Podzieliłem całość na cztery bataliony.

Na d-cę całości – w sensie akcji bojowej – zaproponowałem, jak dotychczas, mjr. 85 [Zygmunt Bohdanowski (Bończa)].

Na d-cę I-go baonu – mjr. 150[342] (Bloki: 15, 17, 18.).

Na d-cę II-go baonu – kpt. 60 [Stanisław Kazuba] (Bloki: 16, 22, 23, 24.).

Na d-cę III-go baonu – kpt. 114 [Tadeusz Paolone (Lisowski)] (Bloki: 19, 25, kuchnia oraz personel szpitala z bloków: 20, 21, 28.).

342 Edward Karol Gött-Getyński – ur. 4 stycznia 1898 r. w Brodach, of. zaw. WP, mjr art. ze starsz. z 1 stycznia 1936 r. Przed wybuchem wojny d-ca III dywizjonu w Wołyńskiej Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii im. Marcina Kątskiego we Włodzimierzu Wołyńskim, w kampanii 1939 r. of. sztabu artylerii Armii „Pomorze". Po zakończeniu walk przeszedł do konspiracji i wraz z płk. Aleksandrem Stawarzem (zob. przyp. 171) był współorganizatorem Dywizji Górskiej w Konspiracji, a po aresztowaniu Stawarza organizatorem i d-cą Dywizji Podhalańskiej w Konspiracji. Po rozmowach scaleniowych z KT – organizacją konspiracyjną utworzoną na Podhalu – został referentem działu wojskowego Placówki Naczelnej KT. Aresztowany przez gestapo 2 lutego 1942 r. w Chrobaczach, przewieziony do katowni gestapo „Palace" w Zakopanem, a później do więzienia w Tarnowie. Do Auschwitz przywieziony w transporcie krakowskim z 16 kwietnia 1942 r., otrzymał nr 29693. Członek ZOW wyznaczony przez Pileckiego w porozumieniu z ppłk. J. Gilewiczem na d-cę I batalionu w razie wybuchu powstania w obozie. Aresztowany przez obozowe gestapo i przesłuchiwany w bunkrze bloku 11, rozstrzelany 25 stycznia 1943 r. w KL Auschwitz.

Na d-cę IV-go baonu – kpt. 116 [Zygmunt Pawłowicz (Trzęsimiech)] (Bloki: 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 10).

Od zorganizowania reszty bloków powstrzymałem się ze względów technicznych, gdyż były to albo dopiero obsadzone jak: 1, 2. Albo użyte na skład, jak: 3, 26 i 27, albo w trakcie wykańczania budowy, jak: 12, 13, 14, albo blok specjalny: 11.

Plan ten odpowiadał płk. 121 [Juliusz Gilewicz] i zgodził się na takowy.

W parę dni potym wyszedłem ze szpitala na obóz. Miałem skróconą kwarantannę przez znajomych lekarzy, którzy zrobili (fikcyjne) przyjęcie moje do szpitala w kancelarii z datą wcześniejszą.

Był początek października 1942 roku.

Do pracy poszedłem w pięciu setkach, jak zawsze do garbarni, lecz nie do komanda stolarzy, gdzie pracowałem przed chorobą, tylko do komanda garbarzy (właściwej garbarni) zawdzięczając to przyjacielowi 59 [Henryk Bartosiewicz], który przedstawił mnie nowemu capo garbarzy „Mateczce" – jako garbarza, który był chory, a teraz do pracy powrócił.

W garbarni początkowo pracując w sąsiedztwie z płk. 121 [Juliusz Gilewicz], przy białym garbunku – potym dzięki przyjaznemu stosunkowi 59 [Henryk Bartosiewicz] i 61 [Konstanty Piekarski] przeniosłem się do suszarni – gdzie było ciepło, bo stał piec wielki, żelazny i udawałem przez cztery miesiące garbarza, zaprawiając się w tym nowym fachu.

Widok ogromnego dziedzińca garbarni mało się zmienił.

Codziennie kilka aut przywoziło tu rzeczy pozostałe po zagazowanych ludziach, celem spalenia ich w wielkim palenisku garbarni. Obuwia nie palono.

Ogromną ilość butów najrozmaitszych, żółtych i czarnych, męskich i damskich, dziecinnych różnych rozmiarów na wielkie piramidy zrzucano codzień z auta.

Powstało komando, które trudniło się butów tych sparowaniem (dobieraniem do pary). Paleniem zwożonych na drugą kupę walizek, portfeli, damskich torebek, wózków dziecinnych i różnych zabawek. – trudnił się kto inny.

Osobno odkładano kolorową wełnę, którą kobiety na robótki ze sobą wiozły. – Tej nie palono. Kto mógł – dekował, używając do robienia swetrów.

Wielki piec garbarni z fabrycznym kominem wszystko to pochłaniał – opał był darmowy, zwieziony pod same nieomal palenisko.

Ci, co to palili mieli możność pogrzebać się nieco w walizkach.

Czasami ktoś z garbarni dopadał kupy walizek przed piecem, gdyż z dziedzińca zabrać – trudnem było dosyć, ze względu na możliwość wpadnięcia w pole widzenia Erika [Grönke] lub Waltera [NN].

I znowu widziałem jak pod wpływem chęci posiadania złota, czy drogiego kamienia – rozpruwano walizki, torebki, teczki – szukano w butach, w kremach i mydłach.

Z papierów – brano tylko dolary.

Po całym dziedzińcu latały, gnane wiatrem, jak liście w jesieni, banknoty – przeważnie – franki francuskie. Tych – nikt nie ciułał, tymbardziej – wobec niebezpiecznej rewizji na bramie. Wydawały nam się zupełnie niepotrzebne. Używane były tylko w ubikacji.

Garbarze – koledzy „arystokracja" – tu wszystkich komand, przez jakiś czas brali, idąc do ubikacji – jednorazowo – nie mniej niż 50 tysięcy franków.

Żartowano wtedy, że mniej – nie wypada – mogli by uważać człowieka za skąpca.

Najtrudniej – jest pisać o sobie.

W stopniu przedtym niespodziewanym, nawet dla siebie, przechodziłem koło złota i kamieni – obojętnie.

Dziś – pisząc o tym, znowu na ziemi, staram się dokładnie zanalizować, dlaczego? –

Była to własność już raczej niczyja – tak tłomaczyli sobie häftlindzy.

Prawie się z tym tłomaczeniem nawet wtedy zgadzałem.

Lecz przedewszystkiem – nie mogłem się wyzbyć odrazy do rzeczy, w moim pojęciu jednak splamionych krwią, a pozatym – nawet jeśli bym się przemógł, nie widziałem sensu, po co bym to robił. Dziwnie dla mnie te przedmioty straciły wartość.

A nawet więcej – wtedy byłem w takim jakimś okresie, czy to pod wpływem przeżyć, czy wymogów wiary, bo stale i zawsze byłem wierzącym, wiedziałem, że naprawdę dla mnie warte więcej zadowolenie z siebie, niż jakiś tam kamyk...

Dość, że gdybym siebie chciał do wzięcia wtedy złota czy brylantów zmusić, widziałbym dokładnie, jak spadam ze szczytów, na które tak trudną wspiąłem się drogą.

Zatym pierwszą – zasadniczą przeszkodą do szukania złota było nieomal namacalne uczucie, że robił bym sobie jakąś wielką krzywdę.

Tak wtedy czułem, a kto wie czy i teraz, gdybym się znowu znalazł w podobnych warunkach – mógł bym postąpić inaczej.

Różni koledzy – różnie do tego podchodzili.

Mnie narazie pieniądze były niepotrzebne, lecz kiedy znacznie potym, chciałem wyjść z obozu – i pieniądze na drogę mogły się przydać, to zwróciłem się do jednego z więźniów, na imię miał Romek [NN], proponując mu wyjść razem i pytając czy ma pieniądze na wszelki wypadek. Powiedział mi, że obliczy co uzbierał i odpowie mi jutro. Nazajutrz powiedział mi, że ma złota przeszło kilogram.

Lecz tak się stało że wyjście z nim mi się nie ułożyło. – Wyszedłem z takimi, co właśnie szeląga złamanego przy duszy nie mieli. Jest to jednak historia znacznie późniejsza – narazie wyjść jeszcze nie zamierzałem, czekając na moment najciekawszy w obozie, ku któremu cała praca była skierowana.

Opanować obóz mogliśmy od paru miesięcy nieomal codziennie.

Czekaliśmy na rozkaz, rozumując, że bez takowego, – chociażby był to tak piękny „feierwerk" – i dla świata i dla Polski niespodziewany – nie możemy pójść na to

kierując się li tylko ambicją własną, dla której panu X czy Y tak ładna rzecz się udała. – Nie wolno nam bez polecenia Komendy[343] na taki puścić się eksperyment. –

A ręce świerzbiały codziennie. –

Rozumieliśmy jednak dobrze, że było by to potwierdzeniem wad narodowych z przed wieków. Wykwit ambicji – prywata, niezgrana ze sprawą korzyści całości, za którą represje mogły być wielkie potym na całym Śląsku.

Tymbardziej, że wtedy jeszcze trudno było przewidzieć, jak się potoczą wypadki.

Mieliśmy ciągle jeszcze wielką nadzieję, że będziemy mogli odegrać rolę, jako zorganizowana część w skoordynowanej z całością akcji.

W tamtą stronę szły nasze meldunki, z którymi poleconem było do samego Komendanta[344] dotrzeć.

Z obawy przed możliwością nieostrożnego kroku, gdzieś na wolności, należało unikać w przekazywaniu meldunków – wszelkich pośredników.

Nie byliśmy pewni, jak głęboko sięga wywiad niemiecki w nasze komórki – u góry może nawet w stojące Konspiracji całej, w Polsce.

Była zawsze możliwość, że gdy wywiad niemiecki rzecz przewącha – „rozwalą" znowu tutaj w obozie najenergiczniejsze jednostki.

W tym stanie rzeczy przyszło do obozu echo pacyfikacji Lubelszczyzny[345].

Najprzód wśród palonych rzeczy i gorszych, podniszczonych butów, pewnego dnia znaleziono buty nasze, wiejskie, wielkie i małe, potym ubrania polskich chłopów, książeczki do nabożeństwa w języku polskim i wiejskie, proste różańce[346].

Pomruk wtedy przeszedł nasze „piątki". Zaczęto stawać grupkami. – W oczach się widziało zdecydowanie chłodne. – Pięści ściskały się niecierpliwie...

Były to rzeczy przywiezione po zagazowanych w komorach w Brzezince naszych, polskich rodzinach.

343 Autor ma na myśli KG AK, jako dowództwo koordynujące wszelkie działania zbrojne na okupowanych obszarach RP. KG AK była reprezentacją polskich władz wojskowych w kraju i dla lojalnego żołnierza niedopuszczalne było podejmowanie działań zbrojnych – zwłaszcza tak poważnych – bez wyraźnego rozkazu.

344 Komendanta głównego AK. Polecenie wynikało z wagi tych meldunków i przekonania, że bezpośrednie zrelacjonowanie rzeczywistości o Auschwitz może spowodować akcję podziemia. Konspiratorzy w obozie mogli podejrzewać, że przekazywane tradycyjnymi kanałami łączności informacje i meldunki pozostają na niższych szczeblach służbowej konspiracji.

345 Dotarło ono do obozu w postaci licznych transportów mieszkańców tego regionu, głównie Zamojszczyzny. Wielu z nich od razu po przybyciu do obozu zamordowano, część pozostawiono jako siłę roboczą.

346 W ramach generalnego planu „Wschód" (Generalplan-Ost) Niemcy zamierzali osiedlać kolonistów niemieckich i kolonistów pochodzenia niemieckiego na obszarach na wschód od granicy III Rzeszy z września 1939 r. Generalplan-Ost był planem akcji osiedleńczej i germanizacyjnej, mającej objąć kilkadziesiąt milionów obywateli Europy Wschodniej. Elementem tego planu było m.in. masowe wysiedlanie i eksterminacja mieszkańców Zamojszczyzny, przygotowujące ten region pod osadnictwo niemieckie, głównie dla Niemców nadwołżańskich. Z powodu niemieckich niepowodzeń na frontach plan nie został zrealizowany, a próba sprawdzenia założeń i wypracowania zasad działania miała miejsce właśnie na Zamojszczyźnie.

Pacyfikując Lubelszczyznę (mówili nam koledzy z Rajska), przywieziono tu do gazu ludność z kilku wiosek polskich.

Tak już jest na świecie i trudno na to poradzić – kiedy palono rzeczy ludzi, przywiezionych tu, gdzieś z zagranicy – choć zawsze to dla nas było potwornem dziełem i w garbarni, gdzie buty, walizki przez szereg miesięcy stanowiły zbrodni złowieszcze echo – teraz, gdy widziało się małe buciczki, kobiecą bluzkę – w tym wszystkim różaniec – serca zabiły żywiej chęcią zemsty.

Z tych transportów lubelskich wybrano młodych chłopców od lat 10-ciu do 14–15-tu. Wydzielono osobno, puszczono do obozu. –

Myśleliśmy, że się chłopcy uchowają. – Lecz dnia pewnego, gdy przyszła wiadomość, że przyjeżdża komisja jakaś, sprawdzająca stan obozu – żeby nie mieć kłopotu, nie tłomaczyć się przed nikim, skąd tacy młodzi więźniowie. – Zresztą może i z innych przyczyn – „zaszpilowali" wszystkich tych chłopców na bloku 20-tym „phenolem".

Wiele już widzieliśmy w obozie gór trupów, lecz ta góra z ciałek młodocianych, około dwóch setek – działała na nas – nawet starych więźniów – przyśpieszając gwałtownie uderzenia serca...

W garbarni weszło do nas kilku nowych członków: 151 [NN], 152 [NN], 153 [NN], 154 [NN], 155 [NN].

Jednocześnie stworzyliśmy w naszej organizacji komórkę planowania – doradczą, do której weszli pułkownicy: 24 [Karol Kumuniecki], 122 [Teofil Dziama], 156[347].

Często było się świadkiem, siedząc w Oświęcimiu, jak któryś z kolegów, list dostawał z domu, w którym go matka, ojciec lub żona, zaklinali na wszystko, by podpisał volkslistę[348] – tyczyło się to początkowo przeważnie więźniów takich, którzy mieli nazwisko o brzmieniu niemieckim lub matki nazwisko było niemieckie, czasem jakieś pokrewieństwo i t.p.

Potym coraz więcej władze robiły ułatwień, tak że ostatnio wcale nie potrzeba było żadnych brzmień niemieckich, ponad tę jedną chęć, zamazania polskiego sumienia – chyba że inne, wyższe względy były.

Jakże często za to widziało się, tam – w „piekle" serdecznego chłopa, któremu brzmienie obce jego nazwiska nie przeszkadzało być godnym imienia Polaka.

Który z rozrzewnieniem mówił: „Tak. Kocham matkę, żonę, czy też ojca, lecz listy – nie podpiszę! – Zginę tu – wiem o tym... Żona pisze: Kochany Jasiu – podpisz... Nie! niedoczekanie! – Nikt kiedyś w przyszłości nie, będzie mógł opluć moją polskość – choćby młodą, lecz – twardą!"

347 Stanisław Wierzbicki – ur. 12 kwietnia 1907 r. w Radomiu, rzeźnik. Członek TAP. Brak informacji o numerze i dacie przybycia do obozu. Według zapisu w księdze zgonów KL Auschwitz zginął 25 lutego 1943 r., natomiast Pilecki w dalszej części swej relacji podaje datę 16 lutego 1943 r. Takie różnice w datach nie są rzadkie, gdyż sami Niemcy często kazali duże grupy zamordowanych rozpisywać w księgach zgonów na kilka dni, podając w rubryce „przyczyna zgonu" naturalną przyczynę śmierci.

348 Volkslista (Deutsche Volksliste – DVL) – niemiecka lista narodowościowa (zob. przyp. 92 i 363).

Jakże wielu takich w Oświęcimiu zginęło…

…Śmiercią ładną, bo – wytrwali do ostatka na reducie zachowania polskiego sumienia…

A czy wszyscy rodacy o nazwisku polskim na wolności będąc o swą polskość walczyli?

Jakże bardzo by się przydał aparat, który by mógł zrobić weryfikację sumienia polskiego, które u różnych – różnymi chodziło drogami, przez tych kilka lat – od początku wojny.

W drugiej połowie października – zauważyli koledzy (przybiegł z tym 41 [Stanisław Stawiszyński]), że dwóch capów o opinii najgorszych drani (poza kończeniem więźniów, – robiący donosy do politycznego oddziału i kierownika jego – Grabnera) – chodzą po obozie, jakby kogoś szukali, notując numery niektórych häftlingów.

Pewnego dnia po południu, gdy szedłem z 22-go bloku główną drogą, śpiesząc do kolegów w rejonie szpitala – spotkałem tych dwóch capów przy bloku 16-tym.

Jeden szedł z notesem, drugi podszedł do mnie z fałszywym uśmiechem i zapytał: „Wo läufst du?”[349] – ot, tak, żeby coś powiedzieć i wskazał wyraźnie na mój numer pierwszemu, poczem zaraz odszedł. – Tamten na mnie spojrzał i jakby się wahał – ponieważ poszli dalej, więc ja również poszedłem swą drogą, myśląc, że to jakaś omyłka.

Dnia 28-go października (42 r.) – rano na apelu, w różnych blokach „schreiberzy”[350] zaczęli wywoływać numery więźniów – mówiąc, że wywołani mają pójść do „erkennungsdienst” dla sprawdzenia fotografii.

Wywołano razem dwustu czterdziestu kilku häftlingów – wyłącznie Polaków – jak później stwierdziliśmy – przeważnie Lubliniaków, z dodaniem około czwartej części Polaków, którzy z lubelskimi transportami nic nie mieli wspólnego, zaprowadzili narazie na blok 3-ci, co nam już wydało się podejrzanym, dlaczego nie odrazu na blok 26-ty, gdzie mieścił się „erkennungsdienst” – niby powód wywołania.

Nas zawołał dzwon do „arbeitskommando”, a potym normalnie wyszliśmy za obóz, dążąc każde komando w swym kierunku do pracy.

W pracy na wszystkich komandach wrzało wśród kolegów – nie wiedzieliśmy narazie czy im coś grozi. –

Potym rozeszła się skądś wieść, że mają być rozstrzelani. – Dwustu czterdziestu chłopców – przeważnie zdecydowanych, Lubliniaków, do których dodano chaotycznie –widocznie wybierając po obozie przez „piesków” Grabnera – numery tych, co ruchliwością swoją, energią – rzucali się w oczy.

Czym się właściwie kierowano, nie dowiedzieliśmy się nigdy – może tylko „widzimisię” – dwóch drani decydowało.

Nazywało się to jednak „pacyfikacją Lubelszczyzny” – która takim echem odbiła się w obozie.

349 Dokąd biegniesz?

350 Pisarze.

Znalazł się właśnie w ich szeregach, dzielny 41 [Stanisław Stawiszyński] (z Warszawy), który pierwszy z wiadomością o spisywanych numerach przyleciał.

Narazie nie wiedzieliśmy, czy ich rozstrzelają – myśleliśmy, że może to tylko plotka.

Tak wielkiej ilości więźniów naraz nigdy dotychczas nie rozstrzeliwali. Męczyła nas maska pozornej bierności, – gdy byliśmy gotowi – pragnęliśmy – akcji. W górze organizacji nieomal gryźliśmy palce. (Gotując się na wszelki wypadek do rozgrywki.)

Gdyby wśród tamtych wybuchł bunt i opór – wtedy byśmy wszyscy przystąpili do akcji.

Bunt by rozpalił szeregi – byłby to vis maior[351], który by nam rozwiązał ręce.

Po drodze do obozu naszych pięć setek zdrowych warsztatowców mi[j]ało „baubiuro", a pod nim magazyn zapasowy broni.

Zresztą wtedy nie było to trudne – chłopcy się palili. Na śmierć każdy zawsze był gotów, ale przedtym krwawo byśmy zapłacili katom.

Tych dziewięć marnych wieżyczek i „hauptwache". Dwunastu zaledwie „gemeinów"[352] nas eskortowało którzy karabiny na pasach nosili, biorąc je do ręki dopiero przed obozem, w obawie przed władzą, przyzwyczajeni do naszego spokoju. –

Żeby chociaż jakimś cudem z Warszawy przyfrunęło jedno słowo: „można" – i to dzisiaj... by ratować tamtych...

Tak – to były mrzonki...

Czy kto wiedział? Myślał? Pewno – z oddali można powiedzieć, że to był tylko fragment polskiego cierpiętnictwa.

A jednak, jakże wtedy było nam ciężko, gdy po południu przyszła wiadomość, że wszystkich... spokojnie, bez przeszkód... rozstrzelali...

Nieraz między sobą – w dzień, gdy była „rozwałka" omawialiśmy wieczorem, kto jak umierał, czy szedł odważnie... czy lękał się – śmierci...

Koledzy zamordowani dnia 28.X.42 r. wiedzieli o tym co ich czeka. Na bloku 3-cim powiedziano im, że będą rozstrzelani, rzucali kartki kolegom, co żyć jeszcze mieli... z prośbą o przekazanie do rodzin...

Postanowili umrzeć „na wesoło" – żeby o nich wieczorem dobrze mówiono.

Niech mi kto powie, że my Polacy – tego nie umiemy robić!

Ci, co widzieli ten obrazek, mówili, że nigdy go nie zapomną.

Od bloku 3-go, pomiędzy 14 i 15, pomiędzy kuchnią a blokami: 16, 17, 18-tym i dalej prosto między blokami szpitala, szli kolumną w piątkach, głowy spokojne nieśli wysoko, miejscami – uśmiechnięte twarze.

Szli bez eskorty – za nimi Palit[z]sch z karabinkiem na pasie i Bruno [Brodniewicz] – obaj paląc papierosy, rozmawiali o rzeczach obojętnych.

351 (Łac.) siła wyższa.

352 Szeregowi żołnierze.

Wystarczyło by ostatnia piątka zrobiła w tył zwrot, a tych dwóch oprawców przestałoby istnieć.

Czemuż szli więc? – Lękali się o siebie? Czegóż mieli się lękać w takiej chwili, gdy i tak szli już na śmierć?...

Wyglądało to już na psychozę... lecz szli, bo mieli w tym swoje – racje...

Zapowiadane przez władze, potwierdzane przez kolegów, przyjeżdżających z wolności, – że za wybryk aresztowanego, odpowiadała potym – rodzina. Wiadomym było, że niemcy w stosowaniu represji są bezwzględni i niszczą rodziny, wykazując w takich wypadkach bestialstwo, na jakie ich tylko stać. A jak bestialstwo wygląda, któż od nas lepiej wiedział?

Widzieć lub tylko wiedzieć, że matka, żona, dzieci, znalazły się w warunkach, jak tu kobiety w Rajsku – wystarczało, żeby paraliżować wszelkie chęci rzucenia się na oprawców.

Co innego cały obóz.

Opanowanie, zniszczenie akt... Ktoby miał odpowiadać? – Trudno by było sięgnąć po dziesiątki tysięcy rodzin naraz.

A i to po dłuższych rozważaniach uzależniliśmy przecie od rozkazu, ze względu na możliwość represji, ze względu na chęć skoordynowania akcji.

Przyzwyczajonym do śmierci, z którą kilka razy stykało się codzień, łatwiejsza była myśl o śmierci własnej, niż myśl o strasznym ciosie w – najdroższe osoby. –

Nawet już nie tylko ich śmierć, lecz te okropne przeżycia, które związane są z zabraniem twardą, bezwzględną, ręką, istot drogich, z tego świata, złamanie ich psychiki i wtrącenie w świat inny, w świat – piekła, do którego nie wszyscy łatwo przechodzą...

Myśleć, że stara matka, czy ojciec ostatkiem sił brnie gdzieś po błocie... szturchani i bici kolbą... z racji syna... lub dzieci idą na śmierć – do gazu... z powodu swego ojca... było o wiele cięższej – niż o własnej śmierci myśleć...

A nawet jeśli był taki, dla którego był to poziom za wysoki – to jednak szedł, wiedziony przykładem innych.

„Wstydził się" – to za słabe słowo – nie mógł wyłamać się z kolumny o pięknej postawie, tak hardo na śmierć idącej!

Więc szli!...

Koło kantyny (drewniana na placyku za 21-szym blokiem), idąc jeszcze drogą pomiędzy blokami 21-szym a 27-ym, kolumna się jakby zatrzymała... zawahała... omal, że nie poszła prosto, lecz był to jeden krótki moment, zawróciła pod prostym kątem w lewo i poszła już na bramę 11-go bloku, wprost w paszczę – śmierci.

Dopiero, gdy zamknęła się za nimi, brama i pozostawiono ich na tym bloku na kilka godzin – rozstrzelać ich miano po południu – pod wpływem oczekiwania śmierci – wyłazić zaczęły z kątów różne wątpliwości i znalazło się pięciu kolegów, którzy namawiali do opanowania całego obozu – do rozpoczęcia tu akcji.

Zabarykadowali bramę i może doszłoby do czegoś poważniejszego, gdyż niemcy wcale nie wzmocnili straży, a nasze wszystkie komanda oczekiwały tylko znaku, gdyby nie to, że protest przeciwko śmierci, nie wyszedł wcale po za blok 11-ty.

Po za tą piątką – reszta nie dała się porwać, a ślązak-funkcjonariusz tego bloku, zawiadomił ss-mannów o zarzewiu buntu i na bloku zjawił się Palit[z]sch, w asyście jeszcze paru ss-mannów i rozprawili się z kilku tymi więźniami, strzelając ich pierwszych – resztę zostawili na poobiedzie.

Zyskali tylko u nas opinję, że zginęli w walce (kpt. dr. 146 [Henryk Suchnicki], kolega 129 [Leon Kukiełka] i trzech innych kolegów)[353].

Po południu nie żyli wszyscy...

Z naszej organizacji oprócz tych, co wspomniałem już przedtym, zginęli w dniu tym koledzy: 41 [Stanisław Stawiszyński], 88 [Tadeusz Dziedzic], 105 [Edward Berlin], 108 [Stanisław Dobrowolski], 146 [Henryk Suchnicki], lecz byli tacy z organizacji, których nie podaję, gdyż nie wszystkich się osobiście znało, byłoby to niemożliwe w pracy konspiracyjnej.

Po powrocie do obozu z pracy, czuło się w powietrzu zapach – krwi przyjaciół.

Postarali się przed naszym powrotem ciała już wywieźć do krematorium.

Droga cała była naznaczona krwią kapiącą z wozów, którymi ciała ich wieźli...

Wieczorem tego dnia cały obóz ponuro przeżywał śmierć tych nowych ofiar.

Dopiero teraz zrozumiałem, że omal się nie znalazłem na liście wyczytanych w tym dniu rano numerów i przypominając sobie tych dwóch capów zapisujących numery, nie wiedziałem czy sądzić że nie zostałem zapisanym przez tego capo z notesem, bo nie wyglądałem na niebezpiecznego więźnia, czy może, wśród zapisanych w nadmiernej ilości numerów potym Grabner wybierał, odrzucając takich, co nie mieli tu spraw.

Przywieźli nowy transport więźniów z Pawiaka, z Warszawy, wśród których przyjechali moi przyjaciele i niegdyś współpracownicy w TAP-ie w Warszawie: ppor. 156 [Stanisław Wierzbicki], 157[354], 158[355].

Przywieźli ciekawe dla mnie wiadomości.

---

353 Tej największej egzekucji przez rozstrzelanie dokonano w KL Auschwitz 28 października 1942 r. Henryk Suchnicki, Leon Kukiełka i trzech innych więźniów (wszyscy byli członkami ZOW) bezskutecznie usiłowało wywołać bunt grupy skazanych. Zbuntowani zostali pierwsi zastrzeleni przez esesmanów. Łącznie zamordowano wtedy 280 osób, w większości z transportów lubelskich i radomskich. Akcja ta zbiegła się z niemiecką pacyfikacją Zamojszczyzny, dlatego została nazwana przez więźniów KL Auschwitz pacyfikacją Lubelszczyzny.

354 Czesław Sikora – ur. 22 listopada 1905 r. w Izabelli, mgr praw, of. rez. WP, ppor. piech. ze starsz. z 1 stycznia 1934 r. Żołnierz TAP, później w I oddziale Komendy „Wachlarza", gdzie był oficerem legalizacji. Aresztowany przez gestapo 18 września 1942 r. i osadzony na Pawiaku, przywieziony do Auschwitz transportem z 11 listopada 1942 r., otrzymał nr 76159. Zginął w KL Auschwitz 7 grudnia 1942 r.

355 Zygmunt Ważyński – ur. 28 marca 1898 r. w Warszawie, ekonomista. Członek TAP, odpowiedzialny za sprawy finansowe. Do Auschwitz przybył 21 listopada 1942 r. transportem z Warszawy, oznaczony nr. 77168. Przeniesiony z KL Auschwitz do KL Gross-Rosen, wojnę przeżył.

156 opowiadał mi, jak dotarł do Warszawy z Oświęcimia 25 [Stefan Bielecki] i jak potem on go sam odwoził do pracy autem do Mińska Litewskiego.

Natomiast 158 [Zygmunt Ważyński] opowiadał mi ze szczegółami, jak na wiadomość odemnie przesłaną przez sierż. 14 [Antoni Woźniak], w sprawie grożącego nadesłania niewygodnych dla mnie danych z ksiąg metrycznych z miejscowości Z. [Bochnia], szwagierka moja p. E.O. [Eleonora Ostrowska] pospieszyła do niego. – Poczciwy przyjaciel – 158 tegoż dnia wsiadł do pociągu i pojechał do miejscowości Z. [Bochnia], gdzie w parafii rozmówił się z księdzem 160[356], tłomacząc mu o co chodzi. – Ksiądz 160 [ks. dr Władysław Kuc] zanotował ołóweczkiem w księdze, koło właściciela mojego nazwiska w obozie i obiecał sprawę pomyślnie załatwić. – Co widocznie i zrobił bo w sprawie mojej była w politycznym oddziale cisza.

Kolega 156 [Stanisław Wierzbicki] pokazał mi wśród nowoprzybyłych do obozu, kpt. 159[357] z Komendy Głównej w Warszawie – był to zastępca „Iwo 11".

Jeden z członków naszych 138 [NN] znał kpt. 159 [Stanisława Machowskiego] osobiście, będąc niegdyś jego podkomendnym – obecnie będąc tu blokowym, łatwo roztoczył nad nim opiekę (kolegę 156 [Stanisław Wierzbicki] razem z pracującym już tam 117 [Eugeniusz Zaturski] przygarnął do pracy 76 [Bernard Świerczyna]).

Odtąd dwaj TAP-wcy pracowali i mieszkali razem.

Z organizacji TAP, których znałem niegdyś w Warszawie przeszło przez Oświęcim: 1 [Władysław Surmacki], 2 [Władysław Dering], 3 [Jerzy Virion], 25 [Stefan Bielecki], 26 [Stanisław Maringe], 29 [Włodzimierz Makaliński], 34 [NN], 35 [Remigiusz Niewiarowski], 36 [Stanisław Arct], 37 [NN], 38 [Kazimierz Chmielewski], 41 [Stanisław Stawiszyński], 48 [Stanisław Ozimek], 49 [Jan Dangel], 85 [Zygmunt Bohdanowski], 108 [Stanisław Dobrowolski], 117 [Eugeniusz Zaturski], 120 [Zygmunt Zakrzewski], 124 [Tadeusz Chróścicki], 125 [Tadeusz Lucjan Chróścicki], 131 [NN], 156 [Stanisław Wierzbicki], 157 [Czesław Sikora], 158 [Zygmunt Ważyński].

Z powodu, że 129 [Leon Kukiełka] był rozstrzelany, a 130 [NN] zmarł na tyfus – niemożliwem było kontynuować kopania podkopu z 28-go bloku. „Podkop" – nie wpadł, w innej sprawie aresztowano 5 [Roman Zagner].

Późną jesienią (42 r.), gdy do kopcowania ziemniaków użyci zostali blokowi i 4 [Alfred Stössel] chodził również daleko do pracy przy ziemniakach w polu. Zdezorientowany

---

356 Ksiądz Władysław Szymon Kuc – ur. w 1885 r. w Lipnicy Murowanej, ówczesny proboszcz parafii św. Mikołaja w Bochni. Wyświęcony w 1909 r., po studiach w Rzymie uzyskał w 1912 r. tytuł dr. filozofii. Był wikariuszem w Szczawnicy od 1912 r., następnie tamże administratorem od 1913 r. i katechetą od 1914 r. W roku 1916 został prefektem Seminarium Duchownego w Tarnowie i katechetą w tamtejszym gimnazjum. Od 1923 r. proboszcz w Ropczycach, a od 1928 r. proboszcz w Bochni. Obdarzony w 1930 r. tytułem szambelana papieskiego, doprowadził do koronacji obrazu MB Bocheńskiej w 1934 r. Zmarł w 1953 r., pochowany w Bochni.

357 Stanisław Ferdynand Machowski – ur. 16 sierpnia 1899 r. w Przemyślu, of. w st. sp. WP, kpt. art. ze starsz. z 1 stycznia 1927 r. Do Auschwitz przywieziony 27 listopada 1942 r. transportem z Warszawy, otrzymał nr 78056. W 1944 r. przeniesiony do KL Gross-Rosen, a następnie do KL Buchenwald, gdzie zginął.

ss-mann z politycznego oddziału Lachmann[358] przyszedł po niego w jakiejś sprawie, lecz 4 był nieobecny. Lachmann zawrócił i odszedł.

Koledzy szybko się zorientowali, wpadli do pokoju 4, który jako blokowy 28-go bloku miał swój pokój i usunęli wiele takich przedmiotów któreby jeszcze więcej skomplikowały sprawę. –

Ktoś musiał farbę puścić...

Lachmann doszedł tylko do bramy i jakby tknięty czymś, wrócił z powrotem i zrobił gruntowną rewizję pokoju 4, ale już nic nie znalazł.

Na 4 jednak już czekał i zaraz po przyjściu jego z pracy wieczorem „aresztował" go, zaprowadził do bunkra i już więcej na blok 28-my 4 nie wrócił.

Był badany na bloku 11-tym, w bunkrach i w politycznym oddziale.

Chociaż ostatnio 4 miał pewną przykrą manię[359], lecz trzeba mu oddać sprawiedliwość, dzielnie znosił dręczenie-badanie w bunkrach, nie powiedział ani słowa, a wiedział – bardzo wiele.

Na nim się urwało.

Udało się, że zachorował na tyfus i przeniesiony został z bunkra na blok tyfusowy.

Trzeba samemu przejść pewne stopniowanie, żeby zrozumieć, że tak jak dla więźniów znajdujących się w obozie, przestrzeń za drutami była wolnością – tak dla siedzącego w bunkrze – wolnością był teren obozu –

Wydostanie się więc z bunkra, chociaż w stanie chorobowym na blok tyfusowy – było dla niego namiastką namiastki – wolności.

Lecz i tu stale prawie asystował mu ss-mann.

Lachmann nie dawał za wygraną!

4 [Alfred Stössel] jednak miał twardy charakter i silną wolę. – Pewnej nocy – żyć przestał.

Wspomniani już koledzy, którzy przyjechali z Warszawy (156 [Stanisław Wierzbicki], 157 [Czesław Sikora], 158 [Zygmunt Ważyński]) mówili, że nie spodziewali się zastać w Oświęcimiu tak dobrego stanu duchowego i fizycznego więźniów.

Oświadczyli, że nie wiedzieli nic, ani o sposobach katowania tu, ani o „ścianie płaczu", ani o phenolu, ani o komorach gazowych. –

---

358 Gerhard Lachmann – ur. 8 lutego 1920 r. w Strzelcach Dolnych (pow. Bydgoszcz), SS-Unterscharführer. Od 1940 r. do stycznia 1945 r. był funkcjonariuszem kierowanego przez SS-Oberscharführera Wilhelma Bogera referatu przesłuchań i dochodzeń wydziału politycznego KL Auschwitz. Był jednym z najokrutniejszych pracowników tego referatu, stosującym sadystyczne metody i specjalizującym się wyrafinowanych torturach. W czasie likwidacji KL Auschwitz przeniesiony do KL Flossenbürg. Jego dalszych losów nie udało się ustalić.

359 Pilecki sygnalizuje problem uczestnictwa A. Stössela jako sanitariusza w mordowaniu więźniów zastrzykami fenolu. Jedna z hipotez dotyczących przyczyny jego aresztowania mówi o prawdopodobnym donosie więźniów na Stössela do obozowego gestapo. O roli Stössela w konspiracji z oczywistych przyczyn więźniowie nie mogli wiedzieć.

Oni sami nie myśleli a i wogóle w Warszawie nikt poważnie nie myśli o Oświęcimiu, jako o placówce o pewnej sile aktywnej, że raczej mówi się o tym, że to już są wszystko kościotrupy – których ratować nie warto, bo się nie opłaci.

Gorzko było tego słuchać, patrząc na dzielne sylwetki kolegów.

Więc tu idą na śmierć wartościowi ludzie i giną dlatego, by nie narazić kogoś na wolności – o ileż słabsi od nas ludzie mówią o nas z lekceważeniem, jako o kościotrupach.

Jakiego samozaparcia trzeba, by nadal – ginąć, żeby oszczędzić braci „bawiących" na wolności.

Tak! zbyt silnie w nas uderzały wszystkie środki niszczenia w obozie i jeszcze taka ocena z wolności ze stałym ignorancyjnym milczeniem.

Cztery bataliony miały podzieloną służbę w ten sposób, że każdy batalion przez tydzień był służbowym, t.zn. że jego zadaniem było wystąpienie w razie jakiegoś nalotu, zrzutu broni.

Do niego też szły przez tydzień wszelkie „zorganizowane" artykuły dostarczane tu przez 76 [Bernard Świerczyna], 77 [Zbigniew Ruszczyński], 90 [NN], 94 [NN], 117 [Eugeniusz Zaturski], dzieląc pomiędzy szkieletowe plutony żywność i bieliznę.

Pomimo nie tyle zakazu, bo cóż znaczył zakaz dla häftlinga, lecz pomimo kary śmierci – handel złotem i brylantami rozwinął się w obozie ogromnie.

Powstała cała jakby organizacja, bo dwóch więźniów, którzy mieli z sobą jakiś interes zamienny – towar żywnościowy np. kiełbasę z rzeźni na złoto, byli już związani z sobą, gdyż jeden – złapany ze złotem, bity w bunkrze, mógł sypnąć tego, od kogo dostał i za co.

Zaczęły się aresztowania w obozie za złoto, coraz częstsze.

SS-manni gorliwie tropili tę nową organizację, gdyż dawała im dochód.

W każdym razie „organizacja złota" była dla nas doskonałym piorunochronem.

Dochodzenie postępujące po śladach do nas, przeważnie zbaczało i wchodziło ostatecznie na drogę do „organizacji złota" i potym tak już się gmatwało, a ss-manni tak byli zadowoleni z nowego źródła dochodu, że nie chcieli w innym kierunku czynić wysiłku.

Pisałem już, że przyglądaliśmy się „zugangom", gdyż nigdy nie wiadomo było, co taki kolega z wolności zrobi – lecz i nasi starzy więźniowie czasem robili niespodzianki.

A mianowicie, przez lekkomyślność jednego z naszych przyjaciół, uświadomiony zbyt szeroko 161[360] – typowy schizofrenik – pewnego dnia namalował dwa dyplomy

360 Bolesław Janusz Kuczbara – ur. 26 października 1911 r. w Kowlu, dentysta. Do Auschwitz przywieziony 22 września 1940 r. tym samym transportem warszawskim co Pilecki, otrzymał nr 4308. Znał wielu członków ZOW, ale nie był członkiem organizacji, gdyż uważano go za człowieka z zaburzeniami psychicznymi. W dniu 29 grudnia 1942 r. podjął ucieczkę wraz z wraz z Janem Barasiem-Komskim (nr 564) oraz dwoma arbeitsdienstami – Otto Küselem (nr 2) i Mieczysławem Januszewskim (nr 711). Schwytany przez gestapo w Warszawie 20 marca 1943 r., w czasie aresztowania ostrzeliwał się i został ciężko ranny w brzuch. Ze szpitala więziennego zażądał dostarczenia trucizny, nie wiadomo jednak, czy ją otrzymał. Według

honorowe, na „odznakę podwiązki", za pracę niepodległościową, na imię płk. 121 [Juliusz Gilewicz] i kolegi 59 [Henryk Bartosiewicz].

Mnie oszczędził, na skutek interwencji tego przyjaciela.

I z „dyplomami" zwiniętymi w rulony, szedł w czasie obiadowym przez plac obozu, by pochwalić się swym wyczynem w szpitalu.

Mógł być zatrzymany przez ss-manna lub jakiegoś capo, przez ciekawość wprost – co niesie – i mógł narazić kolegów na wielkie komplikacje, a może i szerszy ogół.

Pokazał dr. 2 [Władysław Dering], mówiąc o mnie, że tylko ja mam głowę i t.p. i dlatego dla mnie nie namalował „dyplomu".

Dr. 2 przy pomocy dr. 102 [Rudolf Diem] udało się „dyplomy" odebrać i zniszczyć.161 [Bolesław Kuczbara] był jednak sprytnym i razu pewnego ciemnym wieczorem wywołany byłem przez kolegę 61 [Konstanty Piekarski] z bloku 22-go, który mnie podprowadził do jakiegoś ss-manna. – Okazał się nim 161 – przebrany w mundur i płaszcz ss-mański. Potrafił to wykorzystać w zmontowanej wkrótce potym – ucieczce.

Przyszły Święta Bożego Narodzenia – trzecie w Oświęcimiu.

Mieszkałem na bloku 22-a, razem z całym komando „Bekleidungs-werkstette".

Jakże inaczej wyglądały te święta, niż poprzednie!

Więźniowie otrzymali, jak zawsze na Boże Narodzenie, paczki – z domu, ze swetrami, lecz prócz paczek odzieżowych, również nareszcie zezwolone przez władze, pierwsze w Oświęcimiu paczki żywnościowe.

Głodu – z powodu „kanady" już nie było w obozie.

Paczki – tym bardziej stan żywnościowy poprawiły.

Wiadomości, o większych niepowodzeniach wojska niemieckiego, podniosły więźniów na duchu i radykalnie poprawiły humory.

W tych nastrojach wesołym echem odbiła się ucieczka (30.XII.42 r.), zorganizowana przez Mietka [Januszewskiego] – Arbeitsdiensta, Otto [Küsela] – Arbeitsdiensta, 161 [Bolesław Kuczbara] i ich czwartego partnera[361].

Dowcipnie zmontowana ucieczka, ułatwiona tym, że arbeitsdienstowie mogli się poruszać pomiędzy małym a wielkim łańcuchem wart, z dodatkiem sprytnego przebrania się 161 za ss-manna i bezczelnego wyjechania w biały dzień końmi wozem za obóz, za podrobioną przepustką, koło „posta", któremu domniemany ss-mann pokazał ją zdaleka, miała ten zasadniczy pieprzyk dla wszystkich więźniów obozu, że na skutek znalezionego listu Otta – Lagerältestera Bruno [Brodniewicza], więźnia Nr 1 – kata obozu, władze na noc Sylwestrową zamknęły do bunkra.

jednej z hipotez ujawnił przed gestapo swoją wiedzę na temat konspiracji obozowej ZOW w KL Auschwitz, ale nie ma dowodów, by ktokolwiek został aresztowany na podstawia jego zeznań. Według jednej z wersji zmarł w więziennym szpitalu po zażyciu trucizny, według innej został rozstrzelany w ruinach warszawskiego getta.

361 Czwartym był Jan Baraś-Komski (nr 564).

Wróg Bruna – Otto pisał w liście, który zostawił rozmyślnie w płaszczu, na wozie porzuconym razem z końmi, w odległości kilkunastu kilometrów od obozu, że szkoda bardzo, że nie mogą Bruna zabrać razem ze sobą, tak jak się umówili, bo nie mają czasu i muszą spieszyć, a to wspólne złoto, co ma Bruno, trudno – niech już zostawi sobie!

Znane z lotności umysłu władze, zamknęły naszego kata – Bruno do bunkra, gdzie siedział trzy miesiące. Miał lepiej, niż każdy z więźniów w bunkrze. Siedział w celi, ale obóz został już na zawsze pozbawiony tego drania bo na swe dawne stanowisko nie wrócił – poszedł potym na takież do Birkenau.

Tymczasem obóz szalał z radości w czasie Świąt, zajadając paczki od rodzin i opowiadając sobie ostatni kawał o Brunie...

Urządzano mecze bokserskie na blokach, wieczory artystyczne. Improwizowane zespoły orki[e]stry chodziły od bloku do bloku.

Nastroje były tak wesołe, wynikające z całości sytuacji, że starzy więźniowie kiwali głowami i mówili: „No, no... był lager Auszwic (Auschwitz) – ale go niema już... pozostała zaledwie ostatnia sylaba... sam tylko... – wic."[362]

Tak, kurs w obozie z miesiąca na miesiąc – słabł.

Nie przeszkadzało to jednak wcale, że w tym czasie można nie raz było być świadkiem bardzo ciężkich scen.

Idąc z garbarni, w pięciu setkach, zaraz po Nowym Roku byłem świadkiem, jak przed krematorium (stare krematorium na węgiel, zbudowane tuż przy obozie), stała grupka kobiet i mężczyzn. Było ich razem kilkanaście osób, młodych i starych – płci obojga.

Stali przed krematorium, jak stado krów przed rzeźnią.

Wiedzieli – na co tu przyjechali...

Wśród nich stał chłopak, może 10 lat mający i szukał kogoś wzrokiem, wśród przechodzących naszych setek – może ojca... może brata...

Podchodząc do tej grupki, człowiek lękał się ujrzeć w oczach tych kobiet i dzieci – pogardy.

My – silni, zdrowi mężczyźni i jest nas pięć setek, gdy oni – zaraz pójdą na śmierć...

Człowiek wewnętrznie się kurczył i skręcał w sobie, lecz – nie! Przechodząc z ulgą stwierdzało się, że w oczach ich widziało się tylko pogardę – śmierci!

Wchodząc do bramy, widziało się inną grupkę, stojącą pod murem, odwróceni do przechodzących kolumn tyłem, z podniesionymi rękami.

Tych przed śmiercią czeka jeszcze dochodzenie, ci – pójdą jeszcze na męczarnie w bloku 11-tym, zanim im kat – Palit[z]sch nie strzeli łaskawie w tył głowy i nie wywiozą potym w wozach ich okrwawionych trupów do krematorium...

Gdy wchodziliśmy do bramy – tę pierwszą grupkę więźniów wpędzano do krematorium.

362 Wic – dowcip, kawał. Gra słów.

Dla kilkunastu osób żałowano czasami butelki gazu. Ogłuszano uderzeniami kolb i wpychano wpółomdlałych, na rozpalony ruszt.

Z naszego bloku 22-go, który stał najbliżej krematorium, nieraz słyszeliśmy przytłumione ścianami krzyki przeraźliwe i jęki umęczonych, gwałtownie kończonych ofiar.

Nie wszyscy wracali z pracy naszą drogą.

Ci – co nie widzieli twarzy ofiar – szli inną drogą – nigdy nie byli wolni od myśli: może matka... może żona... może córka...

Lecz twarde jest serce lagrowca. W pół godziny potym, niektórzy już stali kupując margarynę lub tytoń, nie widząc, że stoją tuż koło wielkiej kupy trupów nagich, rzuconych tu jeden na drugi, „zrobionych" dziś zastrzykiem phenolu.

Czasem ktoś nastąpił butem na nogę martwą, już sztywną – spojrzał: „patrzcie! – Stasio... no cóż? dzisiaj jego kolej, moja może w – przyszłym tygodniu..."

...A jednak... oczy tego małego chłopca, patrzące szukającym wzrokiem na nas... długo mnie w nocy nie dawały spokoju...

„Rozbrykanie" w obozie z powodu nastrojów w okresie świątecznym miało jednak znowu dla nas jedną ciężką historię.

Blok 27-my, będący składem mundurowo-bieliźnianym, był terenem prac komanda „Bekleidungskammer", składającego się prawie wyłącznie z Polaków.

„Komando było dobre" – to znaczy praca pod dachem, dająca jeszcze te prerogatywy, że pracownicy zaopatrujący swoich kolegów w bieliznę, mundury, koce, obuwie bezinteresownie, pozatym mieli możność od dobrze sytuowanych więźniów, na stanowiskach blokowych, pracowników rzeźni, lub magazynów żywnościowych, za wyświadczone ułatwienia egzystencji w postaci dostarczonych, wymienionych materiałów otrzymywać artykuły żywnościowe.

Miejsce więc było dobre i przy pomocy 76 [Bernard Świerczyna] ulokowaliśmy tam wielu naszych kolegów.

Nastrój pewnego rozluźnienia w obozie wogóle w tym czasie, brak na lagrze Bruna, który siedział zamknięty, spowodował, że niektórzy zlekceważyli nieco środki ostrożności.

Koledzy na bloku 27-ym zrobili wspólny opłatek, przytym 76 [Bernard Świerczyna] zadeklamował własny wiersz na patriotyczny temat (Ślązaczka miała dwóch synów, jeden był w wojsku niemieckim, drugi – był więźniem Oświęcimia. Podczas dokonywania ucieczki przez więźnia, drugi syn Ślązaczki, stający na posterunku, nic o tym nie wiedząc – zastrzelił swego brata.)

Wiersz był ładnie napisany. Nastrój był miły. –

Skutek: władze zdecydowały, że Polakom na 27-ym bloku za dobrze się powodzi i polityczny oddział zrobił z tego, że Polacy na 27-ym bloku – zorganizowali się.

6-go stycznia (43 r.) do bloku 27-go w czasie pracy przyszli ss-manni z politycznego oddziału. Zrobili zbiórkę całego komanda. Zapytali, kto tu jest pułkownikiem? –

Płk. 24 [Karol Kumuniecki] narazie powstrzymał się od odezwania się. – Wtedy Lachmann podszedł do niego i wyciągnął go z szeregu (sprawa była już przez polityczny oddział opracowana).

Potym zaczęli segregować. Dzielili na trzy grupy. Reichsdeutsche i volksdeutsche stanowili jedną grupę[363], którą zostawili w pracy na bloku. Wszystkich pozostałych Polaków dzielono na dwie grupy, odstawiając w prawo inteligentów grupa kilkunastu a wśród nich płk. 24 [Karol Kumuniecki], mjr. 150 [Edward Gött-Getyński], rtm. 162[364], ppor. 163[365], mec. 142 [Stefan Niebudek], a w lewo tych, którzy potrafili w oczach ss-mannów ujść za nieinteligentów, wśród których znaleźli się mjr. 85 [Zygmunt Bohdanowski], udający gajowego, ppor. 156 [Stanisław Wierzbicki], uczeń, mój siostrzeniec 39 [Kazimierz Radwański].

Trzymano ich na stójce kilkanaście godzin, na mrozie.

Potym grupę inteligentów wsadzili do bunkra, nieinteligentów – oddali do t.zw. „kiesgrube[366] imienia Palit[z]sch".

Pierwszych – badali i dręczyli w bunkrze, chcąc wymusić zeznanie, że byli zorganizowani, pytając jaką organizację reprezentowali.

Drugich – los będąc oddanych na wykończenie w pracy na mrozie, też wydawał się przesądzony. – Lecz niektórzy z nich potrafili z komanda tego się wykręcić, po paru miesiącach uciążliwej pracy.

Zbyt szybko to zrobiła para przyjaciół 117 [Eugeniusz Zaturski] i 156 [Stanisław Wierzbicki].

Pracowali razem w „Bekleidungskammer". Razem mieszkali na 3-cim bloku, w osobnym pokoju-magazynie. – Obydwum udało się 6.I.43 r. uniknąć szczęśliwie zaliczenia do inteligentów i unikając bunkru, trafić narazie do „kiesgruby Palit[z]scha".

Przyjaciel 156 [Stanisław Wierzbicki], parę miesięcy przedtym, zaraz po przyjeździe z Warszawy, pytany przezemnie, jak w Warszawie reagują na ucieczki z Oświęcimia odpowiedział: dwojako – Komenda Główna odznacza orderem Virtuti Military,*) [Tu odnośnik do dodanego przez autora przypisu dolnego: *) *Może rozumował, że w ten*

363 Reichsdeutsche to obywatele III Rzeszy sprzed 1939 r. oraz osoby mające pochodzenie niemieckie (udokumentowane i poparte aktywnością w niemieckich organizacjach i stowarzyszeniach), zamieszkałe przed wojną na terenach poza granicami Rzeszy – posiadacze volkslisty (DVL) pierwszych dwóch kategorii. Volksdeutsche to osoby z niemiecką (aryjską) krwią w żyłach, przyznające się do niemieckiego pochodzenia lub za takich przez Niemców uważane, niebędące reichsdeutschami (posiadacze DVL III i IV grupy – zob. przyp. 92 i 348).

364 Włodzimierz Kazimierz Koliński – ur. 13 marca 1894 r. w Wypalenisku, starszy brat Mieczysława, of. st. sp. WP, rtm. kaw. ze starsz. z 1 lipca 1923 r. Do Auschwitz przywieziony pierwszym transportem z Warszawy 15 sierpnia 1940 r., otrzymał nr 3135. Rozstrzelany 25 stycznia 1943 r. w KL Auschwitz.

365 Mieczysław Koliński – ur. 28 listopada 1895 r. w Wypalenisku, młodszy brat Włodzimierza, rolnik, przywieziony do Auschwitz transportem z Warszawy 20 października 1942 r., otrzymał nr 68884. Rozstrzelany w KL Auschwitz 25 stycznia 1943 r.

366 Kopalnia żwiru. SS-Hauptscharführer Gerhard Palitzsch często dokonywał egzekucji więźniów pracujących w żwirowni przy obozie.

sposób mnie do ucieczki zachęci.] społeczeństwo, które nie wie o zniesieniu odpowiedzialności solidarnej więźniów, uważa to za – egoizm...

Teraz, gdy znalazł się w sytuacji ciężkiej, zaczął mnie do ucieczki z nim namawiać.

Wtedy jeszcze wyjść nie zamierzałem, – niedoczekał się biedak...

Obaj zbyt szybko się zawinęli koło swej sprawy, zachorowali, a po tym, po chorobie znaleźli sobie inną pracę, lżejszą.

Nie byli jeszcze wytrawnymi „lagrowcami". –

Pewnego dnia, gdy myślałem, że jeszcze leżą w szpitalu, dowiedziałem się, że obaj zostali rozstrzelani (16.II.43 r.).

Złapał ich Lachmann w innym komando i zapytał skąd tu się wzięli – tego, dnia już nie żyli.

Wkrótce potym, w marcu, rozstrzelali całą grupę inteligentów, dręczoną w bunkrze, na temat organizacji, myśl o której powziął jeden z capów, który niefortunnego „wspólnego opłatka" był świadkiem.

Nie powiedzieli nic – CZEŚĆ IM! – Kolegom z pracy.

Po wyrzuceniu z „bekleidungskammer" Polaków, miejsca te obsadzone zostały ukraińcami, którzy jednak jako pracownicy nie odpowiadali ss-mannowi – szefowi komanda i capowi – więc powoli niektórzy z Polaków znowu zaczęli wkręcać się do tego komanda.

Dostawa materiałów z tej dziedziny uległa przerwie.

Inne natomiast dostawy działały sprawnie. Jak obliczał pdch. 90 [NN], z rzeźni na same tylko święta Bożego Narodzenia (42 r.) przeniesiono przez bramę, pomimo ciągłych rewizji – 700 kg. wyrobów masarskich.

Już późną jesienią (42 r.) zaczęto robić jakieś niezwykłe przygotowania na bloku 10-tym.

Usunięto wszystkich więźniów i część łóżek. Zrobiono na zewnątrz, na oknach kosze z desek, uniemożliwiające wgląd do wewnątrz.

Przywożono jakieś instrumenty, aparaty. –

Potym wieczorami zjawiać się zaczęli profesorowie niemieccy, studenci. Kogoś przywozili, pracowali nad czymś nocami. Rano odjeżdżając lub pozostając przez kilka dni.

Spotkany rano we dnie profesor zrobił na mnie wstrętne wrażenie. Miał oczy jakieś obmierzłe.

Czas jakiś nic nie wiedzieliśmy o tym bloku – robiono różne przypuszczenia.

Lecz nie obeszli się bez pomocy pflegerów – obozowego szpitala.

Narazie chodziło o sprzątanie, potym do różnych pomocy. – Wzięli dwóch pflegerów i trafili na obydwóch z naszej organizacji.

Koledzy wniknęli wreszcie do zamkniętego stale bloku 10-go.

Przez jakiś czas nic to nam nie przynosiło, gdyż ich z bloku 10-go nie wypuszczano. – Któregoś jednak dnia zjawił się u mnie jeden z nich 101 [Witold Kosztowny], straszliwie

zdenerwowany i mówił, że tam nie wytrzyma długo, że przechodzi to już granice wytrzymałości jego nerwów.

Robiono tam eksperymenty.

Lekarze i studenci medycyny robili doświadczenia, mając materiału ludzkiego tak wiele, za który przed nikim żadnej odpowiedzialności nie ponosili[367].

Życie tych królików doświadczalnych i tak oddane było na pastwę zwyrodnialców w obozie – tak czy inaczej zostanie zamordowany – wszystko jedno – ostatecznie będzie popiół.

Więc robiono najrozmaitsze doświadczenia z dziedziny seksualnej.

Sterylizacja kobiet i mężczyzn zabiegiem chirurgicznym. – Naświetlanie narządów płciowych obu płci, jakimiś promieniami, które miały zabijać zdolności rozrodcze. Przy tym następne próby wykazywały, czy wynik zabiegu był pozytywny, czy też nie.

Stosunków płciowych nie stosowano. Było komando kilku mężczyzn, którzy dostarczać musieli nasienia, a które natychmiast wstrzykiwano kobietom.

Próby wykazały, że po kilku miesiącach, kobiety poddane naświetlaniu narządów, zachodziły w ciążę znowu. – Wtedy zastosowano promienie znacznie silniejsze, które spaliły organy kobiet i kilkadziesiąt kobiet zmarło w okropnych męczarniach.

Do eksperymentów używano kobiety wszystkich ras. Z Birkenau przywożono Polki, Niemki, Żydówki i ostatnio Cyganki. – Z Grecji przywieziono młodych kilkadziesiąt dziewcząt – Greczynek, które zginęły w tych eksperymentach. – Wszystkie – nawet po udanym eksperymencie – likwidowano. Żadna kobieta, ani mężczyzna z bloku 10-go już żywi nie wyszli.

Pracowano nad próbami wyprodukowania sztucznego nasienia męskiego, lecz wszelkie próby dały wyniki negatywne.

Zastrzykiwana sztucznie wyprodukowana namiastka nasienia powodowała jakieś zakażenia.

Kobiety poddane temu eksperymentowi, skończono następnie – phenolem.

Patrząc na te wszystkie męczarnie kolega 101 [Witold Kosztowny], doszedł do niezwykłego u starych więźniów stanu zdenerwowania.

367 Eksperymenty medyczne, a właściwie pseudomedyczne były jedną z największych zbrodni popełnianych masowo w KL Auschwitz i innych obozach koncentracyjnych. Dokonywali ich lekarze SS i specjaliści sprowadzani spoza obozu. Inicjatorami i organizatorami tych doświadczeń byli Reichsführer SS Heinrich Himmler, Ernst Grawitz, naczelny lekarz SS i policji, oraz Wolfram Sievers, sekretarz generalny stowarzyszenia Dziedzictwo Przodków i kierownik Instytutu Badań Wojskowo-Naukowych Waffen-SS. Środki finansowe zapewniał Główny Urząd Gospodarczo-Administracyjny SS, któremu od marca 1942 r. podlegały obozy koncentracyjne, a w zakresie specjalistycznych badań analitycznych pomocą służył Instytut Higieny Waffen-SS, którym kierował Joachim Mrugowsky, profesor bakteriologii na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Berlinie. Eksperymenty miały służyć armii (część z nich miała na celu poprawę stanu zdrowia żołnierzy), realizacji planów powojennych (np. w zakresie polityki ludnościowej; inicjowano szereg badań nad metodami masowej sterylizacji, której miały być poddane narody zaliczone do niższego gatunku) oraz podbudowie teorii rasistowskich. Niezależnie od eksperymentów zaplanowanych na szczeblu centralnym wielu lekarzy niemieckich eksperymentowało na więźniach na zlecenie firm farmaceutycznych oraz instytutów medycznych lub z racji osobistych zainteresowań i kariery naukowej.

Świadkiem tego co się działo na bloku 10-tym był również kolega 57 [Edward Ciesielski] (obaj żyją i są obecnie na wolności).

Nieraz, siedząc w Oświęcimiu, będąc w swojej paczce wieczorami, mówiliśmy, jeśli kto z nas wyjdzie stąd z życiem, to chyba – cudem tylko i trudno mu będzie porozumieć się z ludźmi, którzy normalnie na ziemi przez ten czas żyli.

Będą dla niego niektóre ich sprawy, wydawały się zbyt małymi. –

On – przez nich również nie będzie rozumiany...

Lecz, jeśli naprawdę kto wyjdzie – obowiązkiem jego, będzie podać światu, jak tu ginęli – prawdziwi Polacy.

Niech również powie, jak tu ginęli wogóle ludzie... mordowani przez – ludzi...

Jakże dziwnie brzmi to w chrześcijańskiej mowie:... mordowani przez – bliźnich swoich – tak, jak przed wiekami!...

Dlatego też napisałem już, że... zabrnęliśmy tak bardzo... lecz właściwie gdzie?... dokąd brniemy... w swym „postępie kultury"?...

Przyszła wiadomość naszymi drogami z politycznego oddziału, że wszystkich Polaków (więźniów) mają gdzieś wywieźć z obawy przed możliwością jakichś zajść w obozie.

Władze uznały, że tak wielkie skupisko Polaków, w których same przeżycia wywoływały zdeterminowanie, robiąc z nich jednostki zdecydowane na wszystko, skupione na terenie polskim, mające oparcie w terenie – jest niebezpieczeństwem.

Jakieś zrzucenie desantu – zrzucenie broni.

Nie leżało to w planach sowich [swoich] – aliantów, lub swoi – nie mogli tego dojrzeć – więc dojrzał to – wróg.

Zaczęto z komand wyciągać narazie część Polaków i przyzwyczajać komanda do pracy bez nich.

Polak był zawsze i we wszystkich komandach najlepszym pracownikiem.

Niemcy mówili, że tak dobrym, – jak niemiec, lecz to nie była prawda.

Wstyd im było się przyznać, że był od nich – lepszym.

Wyciągano z komand rzemieślniczych, narazie tych Polaków, co wyglądem swoim zdradzili, że fachowcami w danym rzemiośle, stali się dopiero w obozie.

Z pięciu setek w „bekleidungswerkstette" zwolniono z pracy około półtorej setki.

Ja – z powodu wyglądu inteligenta, znalazłem się w ich liczbie. Było to dnia 2-go lutego (43 r.).

Jakoś nie zmartwiłem się tym wcale. Wierzyłem, że w tym dniu zwolnienie nie wyjdzie mi na złe[368].

368 2 lutego w Kościele katolickim przypada święto Ofiarowania Pańskiego, znane dawniej jako święto Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny, a powszechnie do dzisiaj jako święto Matki Bożej Gromnicznej.

Nazajutrz pracowałem już w komando koszykarzy, przez swoich przyjaciół tam przyjęty.

I wogóle zwyczajem obozu było, że „stary numer” przyjmowano do wszystkich komand. – Był już seniorem w świecie więźniów.

Tam pracowałem tylko jeden dzień – nie na korzyść obozu – lecz nauczyłem się robić ze słomy – trepy.

Następnego dnia, miałem już doskonałą pracę w nowopowstałym komando „paczkarnia”.

Na skutek zezwolenia przysyłania paczek żywnościowych więźniom – do obozu codziennie przywozić zaczęto coraz więcej przesyłek autami. – Władze zaczęły mieć z tym kłopot. – Wysyłać było można tygodniowo jedną paczkę żywnościową – do 5 kg. – Sądząc, że nie uda [się] zmniejszyć ilość paczek – zabroniono wysyłać paczki wielkie, a zezwolono przysyłać bez ograniczenia ilości w tygodniu paczki małe – do 250 g.

Okazało się wtedy, że władze się omyliły. Codziennie przywożono małych paczuszek – całe zatrzęsienie.

Rodziny zadowolone, że mogą przyjść z pomocą [b]liskim sobie więźniom – zamiast jednej większej paczki tygodniowo, spieszyły z wysyłaniem paczuszek małych codziennie.

Skutek zarządzenia był dla władz odwrotny. Ogrom pracy z wyciąganiem do rejestru ogromnej ilości przesyłek i wydawanie ich więźniom wymagał całego aparatu, całego komanda – do którego właśnie się dostałem.

Oddano nam na bloku 3-cim trzy małe [sale] do dyspozycji. Jedna sala tu – cała była zawalona paczkami.

Sprawność pracy wszelkich komand w obozie wymagała również i tu wysiłku, dla zlikwidowania zaległości – co było również z korzyścią dla więźniów, jeśli paczka szybko mu była dostarczona.

Pracowały tu dwie zmiany komanda, po 20-tu więźniów w każdej. Przez 24 godziny na dobę paczkarnia była – czynna.

Ja wszedłem tendencyjnie do zmiany nocnej.

W związku z segregowaniem paczek przez całą dobę, musiała równolegle z nami pracować dzień i noc schreibstuba główna. Gdyż na każdą paczkę pisało [się] kartkę, posyłając kilka setek kartek co pół godziny do schreibstuby, na których tam zaznaczano, na jakim bloku obecnie znajduje się dany numer (więzień), ewentualnie stawiano krzyż, na znak, że nie żyje. Po powrocie kartek, segregowane paczki, rzucając je na osobne, dla każdego bloku zrobione półki, odrzucając paczki odpowiadające kartkom oznaczonym krzyżem, w jedną stronę sali, w wielką piramidę. A paczek należnych zmarłym już kolegom było – bardzo wiele.

Prócz przesyłanych dla więźniów z transportów żydowskich, francuskich, czeskich, które przeważnie już całe były wykończone, wiele również rodzin polskich, słało paczki, nic nie wiedząc, że więzień już zginął, gdy jak wspomniałem nie zawasze [zawsze]

zawiadomienie o śmierci było wysyłane, lub z wysłaniem ociągał się kilka miesięcy polityczny oddział.

Lepsze paczki więźniów zmarłych, przeważnie z Francji i Czech, zawierające wino i owoce ss-manni koszami wywozili do swego kasyna.

Gorsze paczki szły przeważnie do kuchni naszej – „häftlingsküche”[369], gdzie również przywozili z „kanady” przebrane już przez ss-mannów różne artykuły żywnościowe. – Wszystko to wrzucano do kotłów.

W tym okresie jadaliśmy zupy słodkie, znajdując resztki ciastek tortów – pachnące jakby perfumami. – Razu pewnego na naszej sali znaleźliśmy [w zupie] resztkę niezupełnie rozpuszczonego mydła toaletowego.

Czasami kucharze znajdywali na dnie kotła jakiś przedmiot złoty lub wprost monety skrycie ulokowane przez nieżyjącego już właściciela w kawałku chleba – bułki – ciastka.

W paczkarni pracownicy z czystym sumieniem zjadali paczki żywnościowe z paczek kolegów już znarłych [zmarłych] – przeważnie oddając na blokach chleb i zupę kolegom głodniejszym od siebie.

Ze zjadaniem paczek zmarłych trzeba było jednak uważać. – Zjadać je mogli tylko ubermensche[370], więźniom to było zabronione pod karą śmierci.

Zrobiona raz rewizja wychodzących z pracy ujawniła w kieszeniach siedmiu häftlingów biały chleb, masło i cukier wzięte z paczek zmarłych. Wszyscy siedmiu zostali tegoż dnia rozstrzelami [rozstrzelani]. –

Szefem paczkarni był ss-mann austriak, jak na ss-manna zupełnie możliwy.

Po powrocie do normy powrotnej [pierwotnej], znowu nadsyłania paczek co tydzień, 5-cio kg. – paczki szły różne, czasami całe walizki, szef paczkarni nie kwestionował ich, wszystkie właścicielom oddawał, robił rewizję pobieżnie, z braku czasu, sznurki tylko nie kiedy rozcinając, lecz, gdy blokowy drań-niemiec, z paczki żyjącego więźnia, rozdając paczki na bloku, wyjął garść cukierków – szef paczkarni zrobił meldunek i blokowego-niemca tegoż dnia rozstrzelali. –

Pod tym względem była sprawiedliwość...

Na dokarmianie kolegów znalazłem inny sposób.

Pracowałem w paczkarni w nocy. Przedemną pod ciepłym piecem siedział dozorujący ss-mann, który zawsze około godziny 2-ej po północy zasypiał.

Za mną leżała kupa wielka paczek kolegów nieżyjących. Osobno grupka paczek lepszych przygotowanych ewentualnie na wywiezienie do kasyna ss-mannów.

369 Kuchnia więźniarska.

370 Poprawnie Übermensch – nadczłowiek. Pojęcie literackie i filozoficzne, ale tu przede wszystkim ideologiczne, wysnute z teorii „wyższego etapu” rozwoju człowieka głoszonej przez niemieckiego filozofa Fryderyka Nietzschego i stanowiące podstawę teorii rasowej oficjalnie obowiązującej w III Rzeszy. Głosiła ona, że Aryjczycy, a szczególnie Niemcy są przedstawicielami najwyższej rasy ludzkiej (Herrenvolk – rasa panów), a wszystkie inne narodowości i rasy powinny być im podporządkowane (zob. przyp. 184).

Nosząc, wpisując, przekładając paczki brałem nieznacznie paczkę z tej osobnej grupki, ss-mann chrapał smacznie, rozwijałem papier, odrywałem adres, przewracałem papier na drugą stronę, zawijałem paczkę, obwiązywałem, pisałem adres któregoś z przyjaciół w obozie. Miałem prawo oficjalnie przepakowywać paczki źle opakowywane. Niektóre paczki miały zupełnie porwane opakowanie tym więcej się nadawały. Niektórych nie przepakowywałem ze względu na pieczęcie, lecz wprost naklejałem adres nowy, wypisany na kartce innego papieru. Taka paczka szła drogą normalną dalej w paczkarni, trafiając na półkę odpowiednią.

SS-mann miał wygodną pracę, gdyż w nocy spał, w dzień wolny od zajęć, jeździł rowerem do żony, co mieszkała gdzieś o 20 stąd kilometrów. Wszyscy więc byli zadowoleni, ze stanu rzeczy. Paczek w noc jedną starałem się wysyłać osiem, po dwie paczki na każdy batalion, czasami udawało się mniej, czasami nawet więcej.

Rano zjawiałem się u przyjaciół do których adresowałem „zmarłe paczki" w nocy i zapowiadałem, żeby nie robili zdziwionej miny, gdy otrzymają paczkę jakąś nieznajomą.

W związku z zmianą mojego komanda, przeniesiono mnie na blok 6-ty.

Na bloku i w pracy poznałem kilku kolegów, których wciągnąłem do naszej organizacji: ppor. 164[371], ppor. 165[372] i plt. 166 [NN].

Jeszcze w końcu roku 42 przywieźli do obozu razem z całym transportem z Krakowa Olka, ppor. 167[373]. Zawiadomiono mnie wtety [wtedy], że jest to bohater Montelupich, że udało mu się raz uciec od śmierci z więzienia, że ma teraz dwa wyroki śmierci, lecz ponieważ jest sprytny i umiał z ss-mannami jakoś dawać sobie radę, udawał doktora, a nawet podobno ich leczył – więc się jakoś uchował. – Ale teraz go przywieźli do Oświęcimia – gdzie napewno wykończą.

371 Edmund Zabawski – ur. 14 września 1910 r. w Horyszowie Ruskim, nauczyciel, of. rez. WP, ppor. piech. ze starsz. z 1 stycznia 1935 r. W 1939 r. walczył na Pomorzu, w rejonie Świecia i Chełmna. Po powrocie do domu w Tomaszowie Lubelskim zaangażowany w tworzenie konspiracji i zbieranie broni. Zadenuncjowany, aresztowany 21 kwietnia 1941 r. w Tomaszowie Lub. i osadzony w Zamościu, a później przewieziony do Zamku w Lublinie. Do Auschwitz przybył 30 lipca 1941 r. transportem lubelskim, oznaczony nr. 19547. Dnia 25 października 1944 r. przeniesiony do KL Sachsenhausen-Oranienburg. 3 maja 1945 r. uwolniony przez Rosjan w rejonie Rostocku, 17 maja powrócił do Bochni. Był kierownikiem szkoły podstawowej w Mikluszowicach, a następnie w Bochni. Zmarł w 1999 r.

372 Henryk Szklarz – ur. 19 stycznia 1919 r. w Betrop (Bottrop?). Do Auschwitz przybył w transporcie śląskim 25 czerwca 1940 r. i otrzymał nr 1132. W dniu 29 sierpnia 1944 r. przeniesiony do KL Sachsenhausen (nr 94211) i tam wyzwolony w 1945 r. Po wojnie mieszkał w Bochni i tam zmarł w 1997 r.

373 Aleksander Bugajski – ur. 29 grudnia 1912 r. w Krakowie. Po kampanii 1939 r. zaangażował się w konspirację, żołnierz ZWZ, a następnie AK. Aresztowany po raz pierwszy 2 lipca 1940 r. w Krakowie, zbiegł i ukrywał się w Zakliczynie nad Dunajcem. Po powrocie do Krakowa dowodził jednym z oddziałów dywersyjnych ZWZ, a w grudniu 1940 r. kierował akcją likwidacji niemieckiego konfidenta. Później pełnił obowiązki szefa Związku Odwetu Okręgu Krakowskiego ZWZ. Ponownie aresztowany i postrzelony podczas próby ucieczki w kwietniu 1941 r., osadzony w więzieniu Montelupich. Wykonywał tam prace pielęgniarza, pomagając dr. Kazimierzowi Garbieniowi. Do Auschwitz przybył w transporcie krakowskim z 12 listopada 1942 r. i otrzymał nr 74503. W 1943 r. przeniesiony do KL Ravensbrück i stamtąd do KL Klützow, skąd zbiegł. Po powrocie do Krakowa przerzucony do Warszawy. Brał udział w Powstaniu Warszawskim i prawdopodobnie poległ w walkach na Mokotowie.

Poznałem go, podobał się mnie jego humor,

Zaproponowałem mu drogę wyjścia, którą przygotowywałem dla siebie.

Były to kanały.

Plan kanałów przyniesiony mnie przez kolegów z „baubiura" dokładnie objaśniał miejsce gdzie najlepiej było wejść do kanałów.

Zwykle tak było, że niemieckie władze dopiero wtedy stawały się mądre gdy więzień skorzystał z jakiegoś sposobu wyjścia i wtedy już powtórzenie tej samej drogi ucieczki, było prawie niemożliwe.

Tak, że powiedzenie: „mądry Polak po szkodzie" trzeba chyba rozciągnąć i na inne narodowości.

Oddając Olkowi 167 [Aleksander Bugajski] moją drogę wyjścia, przekreślałem ją dla – siebie, lecz sam teraz jeszcze ciągle się nie wybierałem, on – miał sprawę ciężką.

Mogłem przez niego przesłać raport, liczyłem, że dla mnie znajdzie się jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności.

W tymże czasie zgłosił się do mnie por. 168 [Witold Wierusz][374] z planem wyjścia z komanda w którym on pracował. Był tam zastępcą capa. Capo zachorował i dlatego on miał większą swobodę działania. – Z komandem własnym wychodził na pomiary kilka kilometrów od obozu.

Zapoznałem z nim ppor. 167 [Aleksander Bugajski], plan por. 168 [Witold Wierusz] odpowiadał [mu] więcej – więc się 167 zaczął przygotowywać, by w ten sposób obóz opuścić.

Przeniósł się zbyt raptownie, wprost z komando paczkarni, gdzie przedtym pracował do komanda mierników[375], w którym pracował 168.

W styczniu (43 r.) wyszło siedmiu kolegów przez ss-küche, w nocy, na wolność.

Widząc, że wieszanie, złapanych na ucieczce, od prób w tym kierunku więźniów nie odstrasza, władze puściły się na nowy pomysł. – Ogłoszono na wszystkich blokach, że za ucieczkę więźnia, będzie przywieziona do obozu – jego rodzina.

374 Witold Zbigniew Marian Wierusz – ur. 8 grudnia 1913 r. w Dolsku, of. zaw. WP, por. sł. st. piech. ze starsz. z 19 marca 1939 r. W 1935 r. ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej-Komorowie i uzyskał promocję oficerską. Pełnił służbę w 57 pp w Poznaniu, dowodząc plutonem w kampanii 1939 r. Do Auschwitz przybył 16 stycznia 1941 r. transportem z Krakowa i otrzymał nr 9479. W 1944 r. przeniesiony do KL Flossenbürg, wojnę przeżył.

375 Komando mierników, czyli geodetów, wykonywało pracę poza obozem, dokonując pomiarów i wytyczania terenów pod budowę infrastruktury obozowej, przemysłowej i gospodarczej. Członkowie komanda mieli możliwości nawiązywania kontaktów z cywilną ludnością polską z okolic Oświęcimia. Dzięki temu zorganizowali system konspiracyjnej łączności więźniów ze światem zewnętrznym. Za pośrednictwem łączniczek przemycali do obozu żywność i lekarstwa. Przez długi czas konspirację udało się zachować, ale fakt samowolnego zmieniania komanda przez więźnia musiał zwrócić uwagę Niemców zarządzających przydziałami do pracy. Fakt nawiązywania kontaktów z ludnością spoza obozu z cała mocą ujawnił się Niemcom w 1943 r. W wyniku donosu jednego ze szpicli 19 maja tego roku funkcjonariusze obozowego gestapo aresztowali jedną z łączniczek, mieszkającą w Brzeszczach Helenę Płotnicką. Z obawy, że na skutek tortur poda nazwiska tych, z którymi się kontaktowała, w czasie pracy poza obozem uciekło trzech więźniów-mierników. W odwecie osadzono w bunkrze pozostałych więźniów z tego komanda. Pierwszą grupę 13 więźniów rozstrzelano po długotrwałym śledztwie w czerwcu 1943 r. Kolejną grupę 12 więźniów powieszono 19 lipca 1943 r. w największej publicznej egzekucji w historii KL Auschwitz.

To, uderzyło nas w czułe miejsce.

Tych narażać nikt nie chciał.

Pewnego dnia, po powrocie do obozu ujrzeliśmy dwie kobiety. Sympatyczną starszą niewiastę, i miłą, młodą, stojące pod słupkiem z tablicą, na której był napis: nierozważny postępek waszego kolegi naraził te dwie kobiety na życie w obozie.

Miała to być represja za ucieczkę jednego z kolegów.

Byliśmy czuli na punkcie kobiety.

Początkowo obóz klął na drania, co naraził swoją matkę i narzeczoną – ratując sam swoje życie, lecz potym okazało się, że one miały numery około 30 tysięcy, gdy numer bieżący w obozie kobiecym był ponad 50 tysięcy.

Zdecydowano, że są to dwie kobiety, wzięte z obozu w Rajsku i postawione pod słupkiem u nas na parę godzin. Koło słupka stał ss-mann i uniemożliwiał wszelką rozmowę.

W każdym razie pewności, że nie przywiozą rodziny do obozu nie było, więc szereg kolegów na ucieczkę zdecydować się nie mógł.

Kol. 167 [Aleksander Bugajski] i 168 [Witold Wierusz] montowali ucieczkę. Kontakt przez cywilną ludność nawiązany był z Krakowem.

W paru miejscach miały być przygotowane ubrania i łączniczki.

167 proponował wyjście z nim razem i mnie.

Omawiając z 168 szerzej ich sposób wyjścia, okazało się że plan nie jest przepracowany w szczegółach.

SS-mannów dwóch, co chodzili z nimi na pomiary, wstępując czasami wbrew zakazowi władz obozu do wsi na wspólną wódkę, mieli więźniowie spoić i związać. – Tu wydawało się, że jeśli się nie uda spoić, to oni się decydują na „mokrą robotę”[376].

Wtedy w imieniu organizacji – zaprotestowałem kategorycznie.

Na plan ich wyjścia, mogący narazić na wielkie represje pozostałych więźniów, w imieniu organizacji zgodzić się nie mogłem.

Sztuką było wyjść, lecz i wyjść trzeba było tak, żeby to nie pociągnęło ciężkich dla obozu skutków.

Przygotowywać się zaczęli do uśpienia ss-mannów luminalem[377].

Zdobyty w „krankenbau” sproszkowany, dawany w wódce, w próbach zastosowany na capach, nie dawał pożądanych rezultatów, gdyż nie rozpuszczał się w wódce i zostawał w szklankach na dnie, tworząc osad.

Mieli luminal dawać w cukierkach.

Tymczasem do Birkenau przywieźli kilkanaście tysięcy cyganów i ulokowano ich w osobno odgrodzonym obozie, narazie całymi rodzinami.

Potym mężczyzn oddzielono, a potym kończono „sposobem oświęcimskim”[378].

376 Morderstwo; w tym przypadku plan likwidacji obu Niemców.

377 Środek nasenny i uspokajający produkowany przez niemiecką firmę Bayer od 1912 r.

378 Przez zagazowanie.

Pewnego dnia koledzy w Rajsku dokonali dowcipnej ucieczki, którą nazwaliśmy „beczką Diogenesa”[379].

W noc ciemną, wietrzną i dżdżystą przez ogrodzenie z drutów – tam pojedyńcze – przeszło kilkunastu więźniów rozchylając drągami druty i wsadzając między druty drewnianą zwykłą beczkę bez dna, w której kiedyś wozili jedzenie, a która teraz posłużyła, za izolację od prądu i przeleźli, jak koty przez mufkę.

Władze musiały znowu się wściekać i rzucać.

Tylu niewygodnych świadków tego co się działo w Rajsku-Birkenau – na wolności!

Postanowili zrobić wszystko, by zbiegów ująć. – Rzucili całe wojsko na poszukiwanie i szukali przez trzy dni.

Obóz został zamknięty, gdyż nie było „postów”-żołnierzy eskortujących kolumny więźniów idące do pracy.

Władze wykorzystały ten czas na odwszenie obozu, którego w ciągu tych trzech dni dokonały.

Zbiegiem okoliczności 167 [Aleksander Bugajski] i 168 [Witold Wierusz] mieli nazajutrz po „beczce Diogenesa” uplanowane-umówione z organizacją na zewnątrz – dokonanie ucieczki. Brak możliwości wyjścia z obozu – ucieczkę uniemożliwił. – Lecz to jeszcze nie wszystko.

W komandach szefowie i capowie w obawie przed wściekającymi się władzami, robili rewizje u więźniów. Rewidowali samą pracę i stany i wogóle szukali czegoś, do czego by się inni przyczepić mogli.

W paczkarni zapytali wtedy szef i capo, co jest z Olkiem 167 [Aleksander Bugajski], który tu pracował, a teraz go nie ma, czy jest chory? –

Pobiegli do schreibstuby i stwierdzili, że Olek jest już w innym bloku i pracuje w innym komando, a ponieważ bez zawiadomienia i kartki od arbeitsdiensta przeniósł się do innej pracy i to w polu, a ma sprawę poważną w politycznym oddziale – więc podciągnęli to, pod przygotowywanie się do ucieczki i Olka przenieśli za karę do S.K.

Drogę wyjścia kanałami przygotowywałem już dawno, na wszelki wypadek.

Nie była to taka łatwa droga. Sieć kanałów pokazana na planie kanalizacyjnym z „baubiura” – biegła w różnych kierunkach, lecz składała się przeważnie z rur o przekroju 40–60 cm.

Tylko w trzech kierunkach, od najwygodniejszego dla mnie włazu, koło bloku 12-go, szły odnogi kanałów o przekroju żabim 60 cm. w pionie, 90 cm. w poziomym przecięciu.

Próbowałem raz jeden włazić i otworzyć kraty zaraz od studzienki, zamykające wejście do kanału. – Lecz nie ja jeden tem się interesowałem.

Znali tę drogę i inni nasi koledzy.

Wszedłem w porozumienie z nimi, byli to: 110 [Andrzej Gąsienica-Makowski] i 118 [NN]. Jeszcze paru było co mieli te kanały na oku.

379 Starożytny symbol wyrzekania się wygód i ograniczania potrzeb życiowych do minimum.

Chodziło o to kto się zdecyduje i kto wykorzysta.

Kiedy przed ostatnim Bożym Narodzeniem, miała wyjść paczka arbeitsdienstów na wolność – lecz palił się również do tego i 61 [Konstanty Piekarski] – wskazałem mu tę drogę i ewentualnie może by się paru więźniów wybrało w noc świąteczną – jak zwykle wtedy czujność straży jest zmniejszona.

Lecz właśnie w wigilijny wieczór postawiono nam drugą choinkę tuż koło miejsca, gdzie wyleźć trzeba było i oświetlono rzęsiście choinkę i miejsce to dookoła.

Kiedy potym pracowałem już w nocnym komando w paczkarni, wejście do do [powtórzenie w oryginale] studzienki miałem bardzo blisko. – Wtedy w nocy, po przebraniu się w kombinezon robotniczy na bloku 3-cim, właziłem dwa razy do cuchnących kanałów.

W studzience kraty na zawiasach zamykane były u dołu niegdyś na kłódki, teraz wyłamane, zanurzone w mule, od góry wyglądały jakby były zamknięte.

Od tego miejsca w trzech kierunkach szła droga, tymi szerszymi kanałami. Jeden kanał szedł pomiędzy blokami 12 i 13, 22 i 23, załamywał się potym w lewo i szedł koło kuchni i dalej, za ostatnią wieżyczką koło bloku 28-go robił niewielki zwrot w prawo i wyłaz był aż za torem kolejowym.

Kanał ten był bardzo długi, około 800 metrów. Miał wielką zaletę: bezpieczne wyjście, lecz i wadę dużą: straszliwie był zamulony. Przebyłem kanał zaledwie około 60 m. żeby zbadać możliwości poruszania się w kanale i zupełnie wyczerpany wylazłem z powrotem.

Była noc ciemna idealnie.

Byłem cały ubabrany – myłem się i zmieniałem bieliznę na 3-cim bloku. Przyznam się, że na czas jakiś ochotę straciłem.

W drugim kierunku kanał był suchszy i tam posuwać się było znacznie łatwiej, przytem był znacznie krótszy.

Leżał, pomiędzy blokami: 4–15, 5–16 i t.d. prosto aż do 10–21 i dalej prosto.

Szedł w górę – coraz mniej w nim było spływających z bloków nieczystości i wody. – Lecz wyjście z niego było o dwa metry za wieżyczką „posta".

Płytę zakrywającą wyjście na zewnątrz za płotem, nawet przygotowaną przez przyjaciół w dzień za obozem, koło dołu ze żwirem – trudno było podjąć w nocy, bez szmeru, pod tuż stojącym żołnierzem na wieży.

Pozostawał trzeci kierunek, najkrótszy, bo około 40 metrów, był on przedłużeniem poprzedniego.

Było tu najwięcej wody. – Szedł pomiędzy blokami 1 i 12 i wychodził za druty, idąc pomiędzy komendanturą i nowopostawionym budynkiem. – Wyjście było na szosie, dosyć widoczne, szczególnie z hauptwachy pod światło.

Tu właśnie postawili nam kiedyś choinkę. Lecz teraz choinki już nie postawią.

Była jeszcze pod ziemią t.zw. „Łódź podwodna"[380] ze stałą obsadą, lecz w moich planach, nie mogłem jej brać pod uwagę.

380 Nikomu z badaczy nie udało się ustalić, co Pilecki określił tym mianem.

Ostatecznie mógłbym już ryzykować wyjście, lecz ciągle uważałem, że opuszczenie obozu dla mnie jest jeszcze nieaktualne.

Pewnego wieczoru musieliśmy dojść do wniosku, że prowadzono z nami wojnę regularną. –

Zazwyczaj mieliśmy wiadomości z „politycznego oddziału" z „komendantury" z „rewiru", które przynosili ss-manni, na dwóch stołkach siedzący i przekazywali je przez volksdeutschów czy reichsdeutschów u nas pracujących. –

Niektórzy z ss-mannów byli to niegdyś podoficerowie z W.P.[381], którzy wyraźnie chcieli nam dać do zrozumienia, że w razie czego pójdą z nami i nawet klucze od magazynów broni nam dadzą.

Jakkolwiek na klucze od nich, my byśmy nie potrzebowali czekać, bo już wszystkie w ślusarni, przez naszych kolegów zrobione były i również jakkolwiek były to typy ludzi dwulicowych i nieprzyjemnych, jednak tacy nawet, jakimi byli, przydawali się nam nieraz, często uprzedzając nas o posunięciach władz, zawsze sprawdzającymi się wiadomościami.

Widocznie Grabner nie miał już do własnego otoczenia zaufania i starając się o zachowanie zupełnej dyskrecji, do ostatniego momentu trzymał decyzję i listę kandydatów na wyjazd w tajemnicy. – Dzielił się decyzjami z Palit[z]schem.

7-go marca [1943 roku] zrobiono „blocksperre".

Przysłano listy na bloki i bloki nagle na klucz zamknięto. – Na blokach zaczęto wywoływać numery więźniów, wyłącznie Polaków – każąc im się szykować do transportu.

Wywoływano numery tylko tych, co mieli sprawy zakończone i do których polityczny oddział nie miał już pretensji.

Transporty miały odejść do innych obozów, ponoć o wiele lepszych od Oświęcimia.

Poufnie dowiedzieliśmy się, że pierwsze transporty pójdą do lepszych obozów, a następne do coraz gorszych. –

Na salach zapanował nastrój najróżnorodniejszy. – Jedni byli radzi, że jadą do lepszych obozów i że ich nie rozstrzelają tutaj. – Inni – martwili się, że nie jadą, a więc jeszcze sprawy ich są niezakończone i mogą zostać rozstrzelani. – Znowu inni, byli z wyjazdu bardzo niezadowoleni, bo tu już zdobyli, po ciężkich latach pracy, dobre stanowisko, a tam znowu się będzie „zugangiem" i znowu twarda selekcja, a nie wiadomo czy się jeszcze raz uda.

Przeważało jednak zdanie, że jechać warto, bo nigdzie napewno takiego piekła, jak tutaj nie będzie.

Pozatym – nie pytano.

381 Wśród członków załogi SS znajdowali się Niemcy, którzy w okresie międzywojennym byli obywatelami II RP, oraz liczni volksdeutsche. W związku powszechnym obowiązkiem wojskowym w Polsce wielu z nich odbywało czynną służbę w WP. Ponieważ na przełomie 1942 i 1943 r. losy wojny zaczęły się obracać na niekorzyść III Rzeszy, niektórzy z nich chcieli zapewnić sobie bezkarność po wojnie.

Gdyby to było w dzień i bloki były otwarte, można by było coś kombinować.

Kto chciał zostać, może by mógł „zachorować" – lecz w nocy nic zrobić nie można było.

Ja – byłem wyczytany odrazu pierwszej nocy (z 7-go na 8-my).

Kazano nam zabrać nasze rzeczy i przenieść się na blok 12-a, na ten cel zupełnie opróżniony, więc tam powędrowaliśmy z rzeczami.

Zajęto również na ten cel blok 19-ty, gdyż wyczytywano numery przez trzy wieczory (7–8–9-ty marca) i wyczytanych było około sześciu tysięcy.

Na blokach 12-a i 19-ty zamknięci byliśmy także na klucz i porozumiewać się można było tylko przez okna.

Przychodził dr. 2 [Władysław Dering] na klatkę schodową i przez szybę w drzwiach dawał znaki, że jeśli bym decydował się zostać, to musiałbym zachorować.

Wziąwszy pod uwagę: pracę konspiracyjną i pozycję w świecie pracy więźniów – było nad czym rozmyślać.

10-go marca (43 r.), wyciągnęli nas w piątkach, kolumnami, na „alejkę czerwoną", już o godzinie 6-tej rano.

Tu odbywał się przegląd stanu zdrowia więźniów, wyznaczonych przez polityczny oddział na transport, przez komisję złożoną z lekarzy wojskowych – niemców.

Stałem w pobliżu płk. 11 [Tadeusz Reklewski] i Kazia 39 [Kazimierz Radwański].

Myśl moja pracowała gorączkowo, robiąc zestawienia, kto jedzie, a kto – zostaje.

Jechała zgrana, swoja paczka kolegów, z którymi się pracowało. – Raczej skłaniałem się by jechać z nimi razem...

Komisja lekarska podziwiała stan zdrowotny, doskonale rozwiniętych fizycznie i naogół prawie dobrze odżywionych więźniów-Polaków (za wyjątkiem nowoprzybyłych „zugangów"), kiwając głowami i mówiąc: „gdzie oni się tu tacy uchowali".

Poza „kanadą" i paczkami – była to zasługa w pewnym procencie organizacji – tu było widać rezultaty...

...Lecz zadaniem moim – była ciągłość pracy tutaj... Z kim jednak bym został?... Zacząłem z niektórymi omawiać tę sprawę...

Płk. 11 [Tadeusz Reklewski] i Kazio 39 [Kazimierz Radwański], cieszyli się, że jadą. – Przeznaczeni byli do Buchenwaldu[382] – podobno jednego z lepszych obozów.

Przyjaciel mój, płk. 11, był zdania, że moim obowiązkiem, pomimo wszystko jest jednak pozostać nadal, w tym – piekle.

Miałem wiele czasu do pracy myślowej. – Badanie posuwało się bardzo wolno.

Staliśmy przez cały dzień i część nocy.

382 KL Buchenwald został założony w Ettersbergu k. Weimaru w lipcu 1937 r. Skierowano tu część więźniów KL Sachsenhausen oraz likwidowanych obozów KL Sachsenburg i KL Lichtenburg, przeciwników reżimu hitlerowskiego, kryminalistów, świadków Jehowy i homoseksualistów, później także Żydów i Cyganów. Pod koniec wojny transportami i marszami śmierci trafiło tu wielu więźniów obozów zlikwidowanych w związku z posuwaniem się frontu w głąb Niemiec. Łącznie do kwietnia 1945 r., gdy obóz wyzwolili Amerykanie, przez Buchenwald przeszło prawie ćwierć miliona więźniów, a ok. 56 tys. z nich zamordowano i zamęczono. Obecnie w byłym obozie mieści się muzeum i ośrodek badań nad hitleryzmem.

Do nas, z płk. 11 i ppor. 61 [Konstanty Piekarski], kolejka doszła dopiero około 2-giej w nocy.

Już znacznie wcześniej zdecydowałem próbować – pozostać w Oświęcimiu.

Przez kolegę 169[383], który miał możność poruszania się, dostałem z „krankenbau", pas na rupturę, której wcale nie miałem.

O godzinie 2-giej w nocy komisja była już zmęczoną.

Płk. 11 [Tadeusz Reklewski], starszy odemnie o lat kilkanaście i w porównaniu ze mną chudzielec, został jednak przez komisję uznany za zdolnego do robót i na transport zaliczony.

Lecz, gdy ja stanąłem nago przed komisją, z nałożonym pasem na fikcyjną rupturę – lekarze zamachali rękami i powiedzieli: „Weg! – Takich nam nie potrzeba!" – i do transportu mnie nie przyjęto.

Odmaszerowałem na blok 12-a i po zameldowaniu się tam z kartką zwolnienia z transportu, zaraz potym na blok 6-ty, na własne łóżko wróciłem, a nazajutrz do normalnej pracy w paczkarni poszedłem.

11-go marca, po odrzuceniu niezdolnych do pracy, lub takich, co za niezdolnych starali się uchodzić, wywieźli zdrowych Polaków – pięć tysięcy (z jakimś małym dodatkiem, przekraczającym tę liczbę).

Ponieważ, nam do paczkarni przysyłali z głównej schreibstuby, dokładną listę z numerami więźniów wywiezionych, celem wysyłania nadchodzących dla nich paczek żywnościowych, to też dokładnie stwierdziliśmy, że tych pięć tysięcy kolegów-Polaków, pojechało w pięciu różnych kierunkach, mniej więcej po tysiąc do każdego z wymienionych obozów: do Buchenwaldu, do Neuengamme, do Flossenbürga, do Grossrosen [Gross-Rosen] i do Sachsenhausen[384].

Zasadniczy szkielet góry organizacyjnej potrafił od transportu się wykręcić, więc pracowaliśmy dalej.

383 Stanisław Barański – ur. 4 maja 1921 r. w Dynowie, student. Do KL Auschwitz przywieziony w pierwszym transporcie z Krakowa, otrzymał nr 132. Przewieziony później do KL Neuengamme, zginął 3 maja 1945 r. w Zatoce Lubeckiej na jednym ze zbombardowanych przez aliantów statków z więźniami.

384 Niemiecki obóz koncentracyjny Neuengamme utworzono w grudniu 1938 r. w dzielnicy Hamburga Neuengamme. Powstał z rozwinięcia komanda KL Sachsenhausen. Tam prowadzono pierwsze doświadczenia z wykorzystaniem cyklonu B do mordowania ludzi. Przez ten obóz przeszło ponad 106 tys. więźniów, w tym ok. 17 tys. Polaków. Około 55 tys. zginęło. KL Flossenbürg, został założony w maju 1938 r. Z czasem znaczną część jego więźniów stanowili Polacy oraz sowieccy jeńcy wojenni. Przez obóz przeszło ok. 96 tys. więźniów, z których zginęło co najmniej 30 tys. KL Gross-Rosen powstał na Dolnym Śląsku (obecnie Rogoźnica) w 1940 r. jako niemiecki obóz pracy dla więźniów politycznych, a w maju 1941 r. uzyskał status samodzielnego obozu koncentracyjnego. Przez obóz przeszło co najmniej 125 tys. więźniów. Szacuje się, że ponad 40 tys. z nich zginęło. KL Sachsenhausen powstał w lipcu 1936 r., pierwotnie jako obóz pracy dla więźniów kryminalnych, ale z czasem uczyniono z niego miejsce przetrzymywania szczególnie ważnych wrogów III Rzeszy. Tu w listopadzie 1939 r. skierowano z Krakowa transport ponad 180 aresztowanych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych uczelni krakowskich. Także tutaj w lecie 1943 r. osadzono, a później zamordowano aresztowanego w Warszawie komendanta głównego AK gen. Stefana Roweckiego „Grota". Przez obóz przeszło ok. 200 tys. więźniów, spośród których kilkadziesiąt tysięcy zginęło.

– W tydzień potym w pierwszą niedzielę – doznaliśmy znowu zaskoczenia.

Żeby uniknąć nawału pracy, w trybie przyśpieszonym, przed samym wysyłaniem transportów, postanowiono zrobić to spokojnie przedtym.

Na wszystkich blokach w całym obozie, wszyscy pozostali jeszcze Polacy, musieli w tym dniu stanąć, przed komisją lekarską, która stawiała przy numerze danego więźnia, na stałe literę „A" lub „U", oznaczającą kategorię jego stanu zdrowia – „zdolny" lub „niezdolny" do pracy[385].

Zaskoczeniem było to dlatego, że wykluczało wszelkie dotychczas możliwości lawirowania.

Namyślałem się co robić z sobą. Dostać „A" – znaczy jechać pierwszym następnym transportem i to do obozów gorszych, gdyż do tych lepszych nie pojechałem.

Dostać kategorię „U" – to chociaż mówiono, że tych niezdolnych wyślą do Dachau, gdzie będą mieli warunki w szpitalach i t.p. – ja jednak znając nasze ówczesne władze, sądziłem, że raczej można z taką literą „przejść przez gaz i komin".

Musiałem znaleźć jakieś wyjście.

W każdym razie zdecydowałem pasa nie wkładać. Komisja lekarzy przed którą stanąłem, bez szczegółowego oglądania odprawiła mnie, w rejestrze stawiając przy moim numerze – literę „A".

Wyglądałem dobrze.

Lekarze wojskowi – niemcy, patrząc na doskonale rozwinięte ciała Polaków znowu i tym razem dziwili się, mówiąc głośno: „co za regiment można by z nich wystawić!".

Teraz będąc materiałem na wywózkę, musiałem coś radzić ze swoją osobą, bo nie chciałem jechać do „obozów gorszych", skoro nie pojechałem do „Lepszych".

SS-esmanni – szefowie komand, odpowiedzialni za jakiś dział pracy, bardzo chętnie reklamowali Polaków-fachowców. Zawsze woleli pracować z Polakami, którzy byli najlepszymi pracownikami. Ze względu jednak na zarządzenia władz w tym okresie, nie mogli tego w szerszym zakresie robić.

Trudno również było udawać fachowca w – paczkarni. Lecz jakoś się udało przez dr. 2 [Władysław Dering] i kolegę 149 [NN], że zostałem wyreklamowany przez szefa paczkarni, w liczbie ogólnej – pięciu reklamowanych, jako niezbędny pracownik.

I nie zostałem wcielony do nowego transportu, który odszedł w dwóch rzutach (dn. 11 i 12-go kwietnia [1943 r.]). Obydwa do – Mauthausen.

Wywieźli wtedy dwa i pół tysiąca Polaków.

Razem więc w marcu i kwietniu (43 r.), wywieźli zdrowych Polaków – siedem i pół tysiąca.

Wtedy zdecydowałem, że dalsze siedzenie moje tutaj, jest już zbyt dla mnie ciężkie.

Po przeszło dwóch i pół latach, trzeba by było zaczynać pracę wiązania znowu, z „nowymi – od nowa".

385 Litery te oznaczały: A – zdolny do pracy, U – niezdolny.

13-go kwietnia przed południem, poszedłem do piwnicy bloku 17-go, gdzie w osobnym pokoiku pracował kpt. 159 [Stanisław Machowski] (z Komendy [Głównej] z Warszawy), którego sylwetkę znałem, pokazywany mnie był nieraz, przez rozstrzelanego ppor. Staśka 156 [Stanisław Wierzbicki] i mjr. 85 [Zygmunt Bohdanowski], a z którym dotychczas nie miałem rozmowy, ze względu na oddanie go pod opiekę naszemu członkowi 138 [NN]. – i odbyłem z nim pierwszą rozmowę.

Powiedziałem: „Siedzę tu dwa lata i siedem miesięcy. Prowadziłem tu robotę. Ostatnio nie dostawałem dalszych dyspozycji. – Obecnie wywieźli niemcy najlepszy materiał, z którym pracowałem. Trzeba by było zaczynać od początku. Uważam, że dalsze siedzenie moje tutaj – niema sensu. I dlatego wychodzę."

Kpt. 159 [Stanisław Machowski] spojrzał na mnie zdziwiony i powiedział: „No, tak. Rozumiem Pana, lecz czyż można kiedy się chce przyjeżdżać i kiedy chce wyjeżdżać z Oświęcimia?" – Odpowiedziałem: „Można."

Od tej chwili cały mój wysiłek skierowany był na wyszukanie najwłaściwszej drogi wyjścia.

Następnie rozmawiałem z mjr. 85 [Zygmunt Bohdanowski], który wtedy był w szpitalu, u dr. 2 [Władysław Dering], jako niby chory, odpoczywał tam i w ten sposób uniknął –transportów, gdyż chorych nie brano narazie. – Kategorię miał „A" – jednak. Udało mi się, jeszcze przed wyjściem urządzić go w pracy, w paczkarni.

Przyszedłem do niego, jako do znającego dobrze teren koło Oświęcimia, z pytaniem, gdzieby on poszedł i jaki mnie radzi kierunek. – Zygmunt spojrzał na mnie z niedowierzaniem i powiedział: „Gdyby to kto inny mówił – myślałbym, że kpi ze mnie, ale, że to Ty – więc wierzę, że wyjdziesz. Ja bym szedł na Trzebinię – Chrzanów."

Pokazałem mu wyjętą z zanadrza mapę 1:100 000 teren Oświęcimia otrzymaną przez 76 [Bernard Świerczyna]. –

Ja – miałem zamiar iść na Kęty.

Pożegnaliśmy się serdecznie. – Powierzyłem jemu – „Bohdanowi", dalszą troskę o całość, w razie akcji.

Poszedłem do przyjaciela 59 [Henryk Bartosiewicz] i jemu powierzyłem stronę organizacyjną całości – w oparciu o dzielnego, naturalnego w podejściu płk. 121 [Juliusz Gilewicz], który był całości oficjalnym kierownikiem i przyjacielem 59.

Teraz już należało wyjść... i wyjść naprawdę...

Jest zawsze pewna różnica pomiędzy powiedzeniem, że się zrobi, a samym dokonaniem tego co się powiedziało. Dawno już – przed laty – pracowałem nadtym, żeby te dwie rzeczy w sobie w jedną stopić całość.

Lecz przedewszystkiem byłem wierzącym i wierzyłem, że jak Bóg zechce mi pomóc – to wyjdę napewno...

Był jeszcze jeden powód, który decyzję moją przyspieszył. – Dowiedziałem się przez dr. 2 [Władysław Dering] od „zugangów", którzy przyjechali z Pawiaka, że 161 [Bolesław Kuczbara], który uciekł razem z arbeitsdienstami z Oświęcimia, złapany został w Warszawie i więziony jest na Pawiaku.

Nie mając do tego człowieka zaufania i z powodu plotek co do jego przeszłości i z powodu bez skrupułów zbieranego złota tu, w postaci koronek na zębach zmarłych i z powodu historii z „dyplomami", które namalował, za pracę w organizacji płk. 121 [Juliusz Gilewicz] i 59 [Henryk Bartosiewicz] – rozumiałem, że ratując własne życie, może pójść na pracę dla niemców, i zacząć opowiadać o tym, co podejrzał w obozie.

Na ten temat rozmawiałem z dr. 2 [Władysław Dering], z kolegą 59 [Henryk Bartosiewicz] i z kolegą 106 [NN], byłem zdania, że ci o których wiedział, że są w organizacji (sama góra), muszą stąd wyjść.

W połowie marca jeszcze, kolega mój z pracy i przyjaciel 164 [Edmund Zabawski], zawiadomił mnie, że jeden z kolegów naszych, którego znałem z widzenia, Jasiek 170[386], ma zamiar wyjść z obozu, więc jeśli mam przesłać raport, to przez niego można.

Poznałem Jaśka [Jan Redzej] i odrazu mi się podobał.

Podobała mi się jego zawsze roześmiana gęba, szerokie bary i szczerość bezpośrednia. – Słowem – pierwszorzędny kompan.

Opowiedziałem mu o możliwościach kanałowych, jako o wyjściu ostatecznym i spytałem, jakby sam to zrobić zamierzał.

Odpowiedział, że jeżdżąc z „rolwagą" po chleb do miasteczka, do piekarni, nieraz widział rowery stojące obok piekarni, cywilnych piekarzy. – Jak się nie da inaczej, to siądzie na rower i pojedzie wprost „na wariata".

Odradzałem. – Po jakimś czasie przyszedł do mnie z wiadomością, że gdyby dało się dostać do piekarni, to tam są drzwi ogromne, ciężkie, okute, które by się jednak dały otworzyć, gdyż składają się z dwóch połówek.

Żeby się przyjrzyć tym drzwiom lepiej, za zezwoleniem capo własnego komanda: „Brotabladung-kommando"[387] przeniósł się Jasiek na kilka dni do piekarni, niby pod pretekstem najedzenia się chleba.

Ważył Jasiek wtedy 96 kg. – Capo lubił jego jako starego i wesołego pracownika. –

Był koniec marca. –

Po pięciu dniach pobytu w piekarni, Jasiek wrócił zrezygnowany. – Praca w piekarni jest bardzo ciężka.

Przez 5 dni, Jasiek wypocił 6 kg. własnej wagi, – i ważył tylko 90 kg. Ale co gorsze, zdecydował, że drzwi się otworzyć nie da. Potężny zamek, umieszczony w jednej połowie drzwi, wchodzący przy zamykaniu na klucz, sztabą swoją w drugą drzwi połowę – może by nam nie przeszkodził, gdyby rygle-zasuwy u obu połów drzwi (razem 4) – odsunąć, lecz był jeszcze zaczep, umieszczony z zewnątrz, który przy zamknięciu drzwi, obie połowy zczepiał.

386 Jan Redzej (w obozie Jan Retko) – ur. 1 maja 1904 r. w Mińsku Litewskim (Białoruskim). Do Auschwitz przywieziony 22 września 1940 r. w tym samym transporcie warszawskim co Pilecki, zarejestrowany jako kupiec, otrzymał nr 5430. Zbiegł z obozu w nocy z 26 na 27 kwietnia 1943 r. wraz z Pileckim i Ciesielskim. Poległ w Powstaniu Warszawskim.

387 Grupa robocza odpowiedzialna za przewóz chleba z piekarni do obozu.

Ciężka praca i ten zaczep zniechęciły Jasia.

Więc przez jakiś czas o piekarni nie mówiliśmy – przestawiając nasze zainteresowanie na kanały.

W tym czasie w obozie dwie wprowadzono in[n]owacje.

W pierwszych latach mieliśmy dziennie trzy apele. Obok innych brutalnych lecz prymitywnych sposobów wykańczania były apele z przedłużanymi stójkami – również jednym ze sposobów wykańczania cichego.

Potym zaszła zmiana w sposobach mordowania... na więcej kulturalne... gdy dziennie kończono w gazie i phenolem – tysiące, a potym liczba przywożonych transportów do gazu dziennie doszła do ośmiu tysięcy [ludzi].

W tym postępie „kultury", odrzucając kończenie kijem, zdecydowano, że śmiesznem już jest ciche kończenie na stójkach apelowych, – nikłe w skutkach, w porównaniu z kończeniem również cichym – w gazie i w roku 1942 skasowano – apel południowy. –

Od tego czasu obóz miał dwa apele. W niedziele – jak dotychczas – apel był jeden – o godzinie 10 min. 30.

Teraz (wiosną 43 r.) inowacją było skasowanie jeszcze jednego apelu – porannego i wprowadzenie dla häftlingów cywilnych ubrań, których po zagazowanych były setki tysięcy.

Cywilne ubranie z malowanymi wzdłuż pleców i w pasie na marynarce oraz na spodniach lampasami olejną farbą czerwoną – miał prawo nosić więzień, który pracował wewnątrz obozu, w obrębie drutów.

Wszyscy co pracowali na zewnątrz i wychodzili poza ogrodzenie obozu, z wyjątkiem capów i untercapów – cywilnych ubrań nie mieli prawa nosić.

W każdym razie teraz – a niegdyś – była ogromna różnica.

Teraz koledzy spali na łóżkach (pryczach). Okrywali się puszystymi kocami, pochodzącymi z „kanady", po zagazowanych transportach z Holandii. Ci – co pozostawali w obozie, rano wkładali doskonałe z wełny cywilne ubranie, oszpecone nieco jaskrawymi lampasami i szli do pracy jak urzędnicy do biura, bez stania na apelu.

Obiadowa przerwa też nie była zakłócona żadnym apelem lub stójką.

Był jeden tylko apel wieczorowy, który już w tych czasach nie był uciążliwym. – Nie staliśmy długo. Nawet w dniu stwierdzenia, że trzech kolegów uciekło z „rewiru" – stójki żadnej nie było. – Szukano tylko skrupulatnie zbiegów, nie chcąc tych świadków mieć na wolności.

Starano się usilnie, by straszną opinję Oświęcimia, która się na zewnątrz już przedostała zmienić radykalnie na lepszą.

Ogłoszono wtedy, że obóz z „koncentraku" przemianowany będzie na Arbeitslager[388], w każdym razie nie widziało się już żadnego – bicia.

388 Obóz pracy dla pracowników przymusowych, względnie tylko skoszarowanych w systemie barakowym.

Tak było przynajmniej u nas – w „stammlagrze"[389].

Porównywałem wtedy obrazki obozowe z roku 40 i 41 i wierzyć się nie chciało, że to tu było, wśród tych samych murów i niektórych jeszcze tych samych ludzi.

Pamiętam zimę z 40 na 41 rok, gdy ss-mann w obecności nas kilkunastu wpadł nagle w szał wściekłości i zamordował dwóch więźniów, a potym – zwrócił się do nas, widząc wzrok utkwiony w siebie, raptem – jakby się potrzebował usprawiedliwić, wyrzucił szybko z siebie: „das ist ein Vernichtungslager"[390].

Teraz, starano się wszelkimi sposobami zatrzeć wszelkie ślady, bodaj w pamięci ludzkiej, że tak być kiedyś – mogło...

Ciekawe – jak zechcą zetrzeć z pamięci: pracę komór gazowych i już sześciu krematoriów...

Nic się nie zmieniło w stosunku do złapanych na nieudanej ucieczce...

Znowu powiesili dwóch na placu, ku odstraszeniu ich przyszłych naśladowców.

Spojrzeliśmy wtedy z Jasiem [Jan Redzej] na siebie i powiedzieliśmy sobie wzrokiem: „No cóż? Obie strony będą próbować. My – będziemy próbować wyjść, oni niech próbują – łapać!"

Gdy Jasiek już nieco odpoczął od kilkudniowej swej próbnej pracy w piekarni, zapytałem go, czy by się nie dało „cholerny zaczep z drzwi usunąć?" Jasiek wyjaśnił, że ostatecznie dało by się, bo jest przytwierdzony śrubą, o mutrze zakręconej na drzwiach od strony wewnętrznej.

W następnych dniach, Jasiek wożąc chleb z piekarni rolwagą, zrobił odcisk w świeżym chlebie mutry i klucza od kłódki, którą było zamknięte okno w piekarni, w hali, gdzie chleb wypieczony składano.

Według tego odcisku, robił klucz na mutrę znajomy Jaśka ślusarz na Industriehof I[391]. Klucz do kłódki robił w tejże ślusarni, były mój współpracownik w TAP-ie w Warszawie, chor. 28 [Szczepan Rzeczkowski]. – Oba klucze były w ciągu doby gotowe.

Jaśkowi udało się ostrożnie sprawdzić, czy pasują.

389 Przemianowany miał być tylko obóz macierzysty Auschwitz I. W Auschwitz II-Birkenau nadal pełną parą dokonywała się masowa eksterminacja więźniów – głównie Żydów z całej Europy, ale likwidowano tu też Cyganów (Romowie, Sinti) oraz przedstawicieli wszystkich narodowości uczestniczących w walce z III Rzeszą. Z kolei obóz Auschwitz III-Monowitz był przez cały czas obozem pracy przy zakładach IG Farben.

390 To jest obóz zagłady.

391 Klucz do odkręcenia śrub w drzwiach piekarni wykonał Franciszek Sobczyński z Wadowic – ur. 22 stycznia 1913 r. w Kolbuszowej, przed wojną był kapralem nadterminowym (czyli pozostającym w wojsku po odbyciu zasadniczej służby wojskowej) 12 pp ziemi wadowickiej. Brał udział w kampanii 1939 r., a w czasie okupacji był żołnierzem ZWZ (późniejszej AK). Aresztowany przez gestapo z Bielska, skierowany 9 marca 1942 r. przez gestapo Katowice w transporcie 28 więźniów do KL Auschwitz, otrzymał nr obozowy 26635. Pracował jako ślusarz, dnia 24 sierpnia 1944 r. wywieziony do KL Ravensbrück, gdzie został wyzwolony. Zeznawał po wojnie w niektórych procesach przeciwko zbrodniarzom z załogi Auschwitz. Zmarł w Wadowicach w 1969 r.

Klucz od kłódki był zrobiony na wszelki wypadek, gdyż okno otworzyć nieznacznie, jak Jasiek mówił, było prawie niemożliwem.

Lecz od zrobienia kluczy – do wyjścia, było jeszcze bardzo daleko.

Na drodze do wykonania ucieczki był to zaledwie mały krok. –

Przedewszystkim należało obydwom znaleźć się w piekarni i co do mnie mogłem się tam zjawić, tylko chyba na bardzo krótko, gdyż zorientowali by się odrazu, że nie jestem fachowcem, a praca pociągowego zwierzęcia tylko dla przenoszenia worków, z mąką była obsadzona i zazdrośnie strzeżona przez tych, co tam piekarzy udawali.

Pozatym czas pobytu w piekarni, gdybym się tam dostał, musiałby się zmieścić, w niewielkim okresie czasu, gdyż nie mogło by to wyjść na jaw wobec władz paczkarni, gdzie dopiero niedawno uznany zostałem za nieodzownie potrzebnego i reklamowany.

Samowolna zaś zmiana komanda, nasuwała władzom myśl o montowaniu ucieczki, szczególnie przeniesienie się z tak dobrego komanda, jak była paczkarnia i znaleźć się można było szybko w S.K. jak to było z Olkiem 167 [Aleksander Bugajski].

W chwilach rozmyślań nad przeszkodami do zwalczenia w drodze przez piekarnię, myślą przenosiłem się do drogi kanałami, która jednak miała również trudne do przebrnięcia punkty... i znowu myślą wracałem do piekarni.

I wreszcie stanowczo zdecydowaliśmy z Jaśkiem iść przez piekarnię. Zwalczyć wszystkie przeszkody, przytym zrobić wszystko, by trafić tam do nocnej zmiany i jeśli chodzi o mnie – to tylko na jedną noc.

Należało więc tylko... wykonać!

Nic nie mówiąc narazie, nawet Jaśkowi, poszedłem do 92 [Wacław Weszke], którego kolega, po Mietku [Mieczysław Januszewski], był teraz arbeistdienstem. Przez niego, nie mówiąc o dalszym celu tego posunięcia, załatwiłem sprawę przeniesienia Jasia do piekarni, mówiąc, że jest on właściwie z zawodu piekarzem i tuła się po różnych komandach, niewiadomo dlaczego, co nawet nie wypada – taki stary numer...

Nazajutrz Jasiek przybiegł do mnie z wiadomością, że nie wie jakim sposobem dostał kartkę do piekarni, że capo jego martwi się jego odejściem i był niezadowolony, ale jakoś pogodził się z losem. Opowiedziałem skąd kartka się wzięła i Jasiek poszedł do piekarni na stałe. Za parę dni był „starym piekarzem".

Capo piekarni – Czech, któremu humorem i siłą Jasiek zaimponował, zrobił z niego swego zastępcę „untercapa" i z przyjemnością zgodził się na to, że sam będzie chodził w dzień, a Jasiek z komando więźniów-piekarzy w nocy.

Mieliśmy do Świąt Wielkiejnocy kilka dni zaledwie...

Postanowiliśmy korzystać ze Świąt, jako z okresu w którym wśród ss-mannów, capów i wszelkich władz obozu, pod wpływem wódki, panowało pewnego rodzaju rozluźnienie i mniejsza czujność.

Kiedyś za wódkę, którą było czuć od któregoś capo, nieraz Frit[z]sch lub Aumeier sadzali capów do bunkra, lecz czasy się zmieniły.

I teraz oficjalnie pić wódki nie wolno było, pod karą bunkra. Lecz tak samo pod karą, nie tylko bunkra, lecz S.K. nie wolno było mieć stosunków z kobietami, a jednak i pod tym względem było rozluźnienie.

Nie tylko ss-manni, ale i häftlindzy mieli stosunki z niemkami, w mundurach SS – które tu były „władzą" dla kobiecego obozu, a rekrutowały się nieraz z kobiet ulicznych i więźniowie w przemarszu z pracy w kolumnie, znacząco porozumiewali się ze spotykanymi ss-mannkami.

Jakiś procent stosunków tych czasami „wpadał" i wielu więźniów, przeważnie capów lub blokowych siedziało w bunkrze, unikając S.K. tylko ze względu na markę, jaką mieli u władz.

Między innymi za podobne wykroczenie siedział w bunkrze blokowy 171 [NN].

Więźniowie teraz wobec osłabnięcia rygoru w obozie – nawiązali kontakty na stałe z kobietami.

Potworzyły się pary i całe romantyczne historie.

SS-manni też nie byli wolni od wykroczeń w tym kierunku. Od kilku już miesięcy widziało się niegdyś niespotykany obrazek, jak z bunkra naszego, z 11-go bloku, wyprowadzano ss-mannów, bez pasów, na spacer na pół godziny dwa razy dziennie. SS-mannów tam zamkniętych za stosunki z kobietami.

Zasadniczo za wykroczenie tego rodzaju, jak stosunek z kobietą należącą do rasy untermenschów, groziła ss-mannowi kara o wiele większa, karny obóz specjalnie dla ss-mannów, do którego trafił nawet, znacznie później za stosunek z żydóweczką Katti [NN] – sam Palit[z]sch, skazany na wiele lat.

Lecz to sprawa znacznie późniejsza. Narazie stosowano łagodniejszą karę bunkra lub wogóle uchodziło to, im bezkarnie. Dlatego, że i tu była konspiracja i wybieranie kobiet w Rajsku przez ss-mannów było ściśle ukrywane w ich własnym kółku. Lecz i dlatego, że komendant też miał grzeszki na sumieniu. Opanowała go „gorączka złota". Ostrożnie bardzo kombinując z Erikiem [Grönke] w garbarni, zbierał złoto, drogie kamienie, i wartościowe przedmioty i w razie ostrzejszej kary, mógł się obawiać zemsty ukaranego ss-manna w postaci meldunku na siebie. Starał się więc wykroczeń podkomendnych swoich prawie nie widzieć.

Natomiast „gorączka złota" ujawniona u häftlinga, zawsze kończyła się jego śmiercią, gdyż po dochodzeniu w bunkrze i rewizji w miejscach wskazanych przez więźnia, ss-manni zwykle kończyli häftlinga, żeby się pozbyć świadka tego, ile złota jemu zabrali.

Tu ginęli wszyscy, bez różnicy narodowości.

Tak również zginęło dwóch drani-niemców, blokowy 22-a bloku i capo Walter [NN].

Chciał wybrać się z nami „w drogę do domu" ppor.164 [Edmund Zabawski], lecz ze względu na obawę o rodzinę – zrezygnował. Dał nam adres rodziny w miejscowości Z [Bochnia]! Pisał, uprzedzając dyskretnie, o odwiedzinach kogoś od niego i dał nam hasło umówione do swoich i kontakt do organizacji w miejscowości Z [Bochnia].

W paczkarni przeniosłem się z nocnej na dzienną zmianę.

Wielkanoc była 25-go kwietnia (43 r.).

Pogoda była piękna, słoneczna. – Jak zawsze wiosną, gdy wystrzelała z ziemi w górę trawa i pączki na drzewach zamieniały się w listki i kwiaty – najwięcej pragnęło się wyjść na wolność.

W wielką sobotę, 24-go kweitnia [kwietnia], w paczkarni od rana skarżyłem się na ból głowy. Któż to wiedział, że boleć nie umiała?

Po południu nie poszedłem do pracy. Na bloku skarżyłem się również na ból stawów i łydek.

Blokowy – spokojny dosyć niemiec, zawsze grzeczny wobec pracowników paczkarni, słysząc co tendencyjnie głośno przy nim sztubowemu mówiłem, o charakterystycznych bólach, powiedział z niepokojem: „Du hast Fleckfieber. Gehe schnell nach krankenbau!...”[392] – Udałem niechęć do szpitala i ociągając się poszedłem.

W rejonie szpitala znalazłem Edka 57 [Edward Ciesielski]. Powiedziałem mu, że muszę znaleźć się dziś jeszcze w szpitalu, najlepiej na bloku tyfusowym, gdzie on był magazynierem, z tym warunkiem, że on mi ułatwi nieformalne wejście tam (przyjęcie) i wyjście z bloku za parę dni.

Edek mało się namyślał. Szedł zawsze na robotę „na całego.”

Po południu w wielką sobotę, ambulans był już nie czynny. Edek sam, jemu znanymi chodami, załatwił wszelkie formalności, związane z przyjęciem mnie drogą przez ambulans (na 28-ym bloku) na blok tyfusowy i korzystając nadal z braku obsługi w wielką sobotę, sam mnie wprowadził jako chorego.

Tu omijając drogę zwykłą, kąpiel i odebranie rzeczy chorego, wprowadził do osobnego pokoiku na parterze, gdzie rozebrałem się, zostawiając rzeczy pod opieką wskazanego mi przez Edka kolegi. Następnie wprowadził mnie do sali chorych na parterze, której komendantem był 172[393].

Znaleziono mi łóżko i Edek oddał mnie pod opiekę 172 [Janusz Młynarski], który mnie pamiętał z czasów choroby mojej – tyfusu.

Teraz sądził, że to tyfus powrotny, lecz że na chorego wogóle nie wyglądałem, kiwał głową i nie pytał dyskretnie ani mnie, ani Edka o nic.

Edka pożegnałem wdzięcznym uściskiem ręki i oświadczeniem, że pojutrze rano wyjść muszę.

W niedzielę, w pierwszy dzień Świąt – piekarnia nie pracowała, lecz w drugi dzień Świąt, w poniedziałek – piekarnia zaczynała pracę.

Rozumiałem, że należy wyjść i usiłować przystąpić do pracy w dzień rozpoczęcia takowej, wtedy zjawienie się moje będzie (moment psychologiczny) mniej raziło i będzie

392 Masz tyfus. Idź szybko do szpitala!

393 Jan vel Janusz Młynarski (rodowe nazwisko Müller) – ur. 21 maja 1922 r. w Poznaniu, uczeń gimnazjum. Do Auschwitz przywieziony pierwszym transportem krakowskim 14 czerwca 1940 r., otrzymał nr 355. Ewakuowany do KL Mauthausen, wojnę przeżył. Zmarł w Niemczech 6 maja 2015 r.

łatwiejsze do przyjęcia, dla umysłów orientujących się, że w czasie Świąt zaszła jakaś zmiana w obsadzie piekarni.

W nocy z soboty na niedzielę spałem na sali bloku 20-go i śniłem sen piękny: wpadam do jakiejś szopy, gdzie stoi piękny koń, gdybym nie był kawalerzystą i nie określał koni maściami, powiedziałbym koloru białego jak mleko. Szybko wrzucam na tańczącego na uwięzi konia siodło. Ktoś przynosi mnie biegiem derkę. Powiadam mu: nie przeszkadzaj. Nie mam czasu. Podciągam popręgi zębami (zwyczaj mój z roku 1919–20), wskakuję na siodło i – wyjeżdżam na pięknym koniu z szopy. A do konia już tak bardzo tęskniłem...

Niedziela – Wielkanoc. Leżę na łóżku nadal na bloku 20-ym.

Od czasu do czasu wpada Edek, by się dowiedzieć, czy mi czego nie trzeba.

Po południu zdecydowałem się na pewną rozmowę z Edkiem.

Edek – młodym chłopcem tu przywieziony, po dwóch latach siedzenia w Oświęcimiu, dobiegał lat dwudziestu.

Złapano go z pistoletem w kieszeni. – Sądził, że mogą go z Oświęcimia nie wypuścić. Nieraz mówił do mnie: „Panie Tomku [Tomasz Serafiński] – na Pana tylko liczę...”

Więc po południu w niedzielę, powiedziałem mu: „Edek – co tu dużo gadać, ja wychodzę z obozu. Ponieważ ty mnie na krankenbau omijając formalności wprowadziłeś i Ty masz mnie jutro ze szpitala wyrzucić znowu bardzo nieformalnie rzecz załatwiając, bo bez kwarantanny i wbrew przepisom nie na blok 6-ty („macierzysty”), z którego przyszedłem, lecz na blok 15-ty, więc po mojej ucieczce, kogo wezmą za głowę? – Ciebie. Proponuję więc Tobie iść ze mną razem.”

Edek namyślał się zaledwie parę minut. Narazie nie pytał nawet jaką drogą. Zdecydował, że idzie razem.

Gdy Jasiek [Jan Redzej] wkrótce potym, podszedł pod okno i mówił mnie, że jutro rano muszę wyjść i być na bloku 15-tym, powiedziałem mu że wszystko pięknie, ale ja nie jeden wyjdę tylko z Edkiem.

Narazie Janek złapał się za głowę, lecz potym, gdy dowiedział się, że chłopak morowy, bo Edka jeszcze nie znał, wrócił do swej zawsze wesołej miny i powiedział: – no cóż zrobić ? –

Tego wieczora Edek zrobił awanturę blokowemu, że tu nie ma miejsca dla Polaków, że nie chce tu dłużej być i jutro wychodzi „na lager”. Blokowy – niemiec lubił Edka i zaczął go uspokajać, mówiąc że nie widzi żadnej potrzeby by porzucał dobre stanowisko magazyniera i wogóle go nie puści, bo i poco ma się poniewierać gdzieś w pracy, gdy tu ma mało roboty, a jedzenia – ile chce. Edek jednak nie dał się przekonać. Twierdził ciągle, że nie zostanie, bo jako Polak jest poniewierany i t.p.

Wreszcie blokowy się zniecierpliwił i powiedział: a to już idź wariacie jeden, gdzie chcesz.

Echo tego doszło do sali, gdzie leżałem. Przez kilka godzin do 172 [Janusz Młynarski] przybiegali sztubowi i pflegerzy z całego bloku i pytali jeden drugiego co się z Edkiem

stało. Porzuca taką dobrą posadę. – Ponieważ widzieli, że Edek do mnie przychodził, więc pytano czy mnie nie mówił, dlaczego odchodzi z bloku. Powiedziałem, że – wiadomo – młody, nierozważny jeszcze.

Noc z niedzieli na poniedziałek spędziłem na tym samym łóżku i znowu śniłem konie.

Śniłem, że wóz, na którym siedziało nas kilku kolegów, wprzężonych była para koni, lecz przed nią w zaprzęgu – jeszcze trzy konie „wporęcz"[394]. Konie szły raźno. Wóz nagle wjechał w grzązkie błoto. Konie z trudem brnęły i ciągnęły wóz, lecz potym wyciągnęły na twardą drogę i wóz potoczył się szybko.

Rano – drugi dzień Świąt, w poniedziałek, Edek przyniósł kartkę, „zettel"[395], przenoszący mnie na blok 15-ty. Sam miał takąż kartkę na blok 15-ty. Pomógł Edkowi w wystawianiu tych kartek kolega 173[396].

Wstałem z łóżka, ubrałem się znowu w moje ubranie, które leżało w małym pokoiku obok sali i z Edkiem poszliśmy na blok 15-ty.

Tu weszliśmy do schreibstuby bloku, by zameldować się blokowemu – niemcowi. Nastrój tu był świąteczny. Blokowy – najwyraźniej po wódeczce, grał z zapałem w karty z capami.

Stanęliśmy na baczność i zameldowaliśmy przepisowo i sprawnie swój przydział do tego bloku. Blokowy powiedział po niemiecku: odrazu widać, że stare numery. Przyjemnie słuchać jak meldują i rozpromienił się. – Lecz nagle zmarszczył czoło: a wy dlaczego do mego bloku? My jesteśmy piekarze. Ach! piekarze – no dobrze, mówił blokowy zerkając jednocześnie w swoje karty, a capo piekarni już wie o tym? Ja wohl! myśmy z kapo już rozmawiali – on nas przyjmuje do pracy.

Capa piekarni myśmy jeszcze wcale nie widzieli, lecz skoro poszliśmy po drodze wprowadzania wszystkich władz obozu w błąd, więc brnęliśmy dalej zdecydowanie.

No, dobrze, dajcie Zettel i idźcie na salę. Oddaliśmy kartki przeniesieniowe z bloku 20-go na 15-ty i poszliśmy na salę w środowisko piekarzy.

Na sali czekał nas już Jasiek, lecz rozmyślnie nie podszedł do nas odrazu.

Stanęliśmy przed capem i powiedzieliśmy, że jesteśmy piekarzami, że umiemy pracować w piekarni mechanicznej (którą właśnie mieli uruchomić) i zostaliśmy jako piekarze, przeniesieni na blok 15-ty i że blokowy nas zna (poznał coprawda przed chwilą), że jesteśmy starymi numerami i jemu w komando wstydu nie zrobimy.

394 Konie ustawione obok siebie.

395 Skierowanie.

396 Władysław Fejkiel – ur. 1 stycznia 1911 r. w Krościenku, studiował medycynę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, dyplom uzyskał po wojnie w 1945 r. na Uniwersytecie Warszawskim. Do Auschwitz przybył 8 sierpnia 1940 r. w transporcie krakowskim i oznaczony został nr. 5647. W 1945 r. przeniesiony do KL Mauthausen, wyzwolony przez wojska alianckie (według innych danych w 1944 r. przeniesiony do KL Neuengamme). W latach 1953–1954 dyrektor Szpitala PCK w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej, w latach 1960–81 kierownik Kliniki Chorob Zakaźnych Akademii Medycznej w Krakowie, w latach 1963–65 prorektor; prof. dr n. med. Członek PZPR. Zmarł w Krakowie 12 czerwca 1995 r.

Capo, który tu siedział za stołem, najwyraźniej był zaskoczony i niezdecydowany, lecz zanim powziął decyzję, Jasiek już zaczął mu coś szeptać i uśmiechać się. Capo też się uśmiechnął, ale jeszcze nic nam nie mówił (potym Jasiek opowiedział nam, że mówił do capa w te słowa mniej więcej: „Capo – to jest dwóch frajerów, co się «nacięło», oni myślą, że w piekarni to się chleba najedzą i że u nas to taka łatwa praca. Capo, daj mnie ich, do nocnego komanda, a ja im dam taką szkołę – pokazał swoją wielką pięść, że im się po jednej nocy piekarni odechce").

Tymczasem my wręczyliśmy capo na pierwszą znajomość jabłko, cukier i konfitury, które miałem z paczki przysłanej z domu.

Capo spojrzał z uśmiechem na Jaśka, potym spojrzał na jabłko i cukier. Może taksował nas, licząc na paczki, które mu możemy jeszcze dać w przyszłości. Potym na nas spojrzał i wreszcie powiedział: no, popróbujemy jacy z was piekarze.

Dzwon na apel, który ze względu na dzień świąteczny wypadał przed godziną 11-tą, przerwał dalszą rozmowę z capo i odwlekł wzajemne zwierzenia się z Jankiem.

Apel przeszedł bez przeszkód i zamieszania. Narazie jeszcze stan obozu się zgadzał.

Stojąc w szeregu myślałem o tym, że jeśli wszystko pójdzie tak, jak planujemy, to jest to mój apel ostatni w Oświęcimiu. – I obliczałem, że miałem ich około dwóch i pół tysięcy.

Jaka wielka skala porównawcza, w różnych latach, na różnych blokach.

Tak – kurs w obozie zmieniał się stale na łagodniejszy...

Po apelu zebraliśmy się wszyscy trzej na najwyższych łóżkach sali piekarzy i rozmawialiśmy głośno o rzeczach obojętnych lub paczkach żywnościowych, gdyż wokoło siedzieli nieznajomi häftlindzy. Od czasu do czasu porozumiewaliśmy się jednak na temat dla nas obecnie zasadniczy.

Jasiek, który z Edkiem odrazu sobie przypadli do gustu, udawał, że nami się zainteresował, ze względu na nasze paczki świąteczne.

Chodziło o to żeby dziś jeszcze pójść na noc do piekarni, gdyż stan jaki wytworzyliśmy, wprowadzając w błąd władze, nie mógł być długotrwałym. Pozatym, że musiałem być niewidocznym dla znajomych więźniów bloku 6-go i dla pracowników paczkarni, wiadomość od których, że widzieli mnie zdrowego już na lagrze, zainteresować by musiała capo i szefa paczkarni, poczym mógłbym podzielić los Olka [Aleksander Bugajski].

Można się było jeszcze spodziewać rozmowy na nasz temat capo piekarni z blokowym i wyjaśniło by się, że ani jeden ani drugi nas nie zna. Należało więc dalej postępować szybko i przełamać przeszkody.

Do piekarni na wieczorową zmianę chodziło ośmiu piekarzy.

Było ustalone, że tylu potrzeba więźniów do piekarni na noc. Tak zameldowano w „blockführerstubie" na bramie i nie można tego było zmienić. W każdym razie myśmy tego zmienić nie mogli.

Zmiana nocna była obsadzona przez więźniów, którzy nie mieli zamiaru nikomu miejsca ustąpić.

Dobrą stroną było, że Jasiek był już w tej zmianie, lecz należało zrobić jeszcze dwa miejsca. Najtrudniejszym było wmówić piekarzom, tak żeby nie wzbudzić podejrzeń, żeby nie szli dziś na noc do pracy, a nam ustąpili swe miejsca.

Byli podejrzliwi i obawiali się, że my chcemy im odebrać ich posady. Kto wie, może jesteśmy dobrymi piekarzami (nie chcieliśmy twierdzić, że nimi nie jesteśmy) i capo ich wyrzuci z piekarni, a nas na ich miejsce weźmie na stałe. Tłomaczyliśmy, że otwiera się piekarnia mechaniczna i że wszyscy będziemy potrzebni.

Że jesteśmy starymi numerami i mamy możność znaleźć sobie inne miejsce, tymbardziej jeśli oni mówią, że wcale nie jest tak dobrze i jest ciężka praca, pójdziemy raz tylko jeden, zobaczymy jaka to praca i już więcej nie będziemy chcieli pójść – znajdziemy sobie inne miejsce.

Trudno wyszczególniać tu wszystkie argumenty i sposoby jakimi operowaliśmy, jednocześnie jednak musieliśmy udawać, że tak bardzo nam nie zależy i w tym czasie podsuwać im cukier, pierniki, jabłka. Rozdaliśmy wszystkie paczki, jakie mieliśmy, za wyjątkiem małego pudełka z miodem, który dostałem z domu.

Sprawa szła bardzo opornie.

Zdecydowaliśmy dawno, że z piekarni wrócić nie możemy, gdyż przedewszystkiem ja (za samowolną zmianę komanda) trafię do S.K., pozatym w piekarni się okaże, że piekarzami nie jesteśmy i już więcej do piekarni nie wezmą do pracy i capo wyrzuci z komanda.

Lecz dlatego, żeby nie wrócić, trzeba było przedtym wyjść.

A tu miejsca w zmianie nocnej nie było.

Około 3-ciej po południu jeden z piekarzy wreszcie się zgodził ustąpić nam na noc dzisiejszą swoje miejsce, lecz chodziło nam jeszcze o drugie miejsce.

W między czasie biegałem do znajomych kolegów po niektóre rzeczy. Na blok 6-ty poszedł bardzo ostrożnie, po potrzebne dla mnie rzeczy, niby dla chorego plt. 40 [Tadeusz Szydlik] (blok 18-a), który o moim planie wiedział. U niego zmieniałem buty dwa razy.

Byłem u por. 76 [Bernard Świerczyna] (blok 27), który dał mi na drogę ciepłą bieliznę i dla mnie i dla Edka [Edward Ciesielski] – granatowe spodnie narciarskie, które nałożyliśmy pod spód.

Kolega 101 [Witold Kosztowny] (blok 28-my) dał mi na drogę granatową wiatrówkę.

Brakowało czasu, a wciąż jeszcze nie było miejsca w piekarni dla drugiego.

Biegnąc z długimi butami, które po próbie nałożenia nie nadawały się, bo były niewygodne, natknąłem się prawie na Lagerältestera. Postawiłem je na korytarzu 25-go bloku, pod drzwiami blokowego 80 [Alfred Włodarczyk] i z braku czasu nie mogłem już wejść, żeby cokolwiek wyjaśnić. Wybiegając z bloku 25-go wpadłem na kpt. 11[397] którego bez wyjaśnień serdecznie pożegnałem.

397 Na s. 91 fotokopii *Raportu Witolda* przechowywanej w PMAB widnieje w tym miejscu tylko cyfra 1. Dokonujący interpretacji dokumentu dr Adam Cyra, najprawdopodobniej w ślad za wcześniejszymi

Przebrałem się częściowo na bloku 22-a w obecności płk. 122 [Teofil Dziama], kpt. 60 [Stanisław Kazuba] i kolegi 92 [Wacław Weszke]. Z górnych łóżek patrząc na szybkie ruchy przy wkładaniu pod „pasiak" wiatrówki i spodni narciarskich – kiwali głowami z przejęciem. – Kpt. 60 [Stanisław Kazuba] z humorem powiedział swoje ulubione powiedzonko: „Uuu! niedooobrze!!..."

Potym pożegnałem przyjaciela 59 [Henryk Bartosiewicz], który na drogę dał mi trochę dolarów i marek.

Resztę przygotowań do drogi robiłem na górnym łóżku u przyjaciela, por. 98 [NN], przytym pdch. 99 [NN] spał w najlepsze i nie chciałem go budzić.

Na bloku 15-tym była już godzina 17-ta z minutami, kiedy wreszcie znaleźliśmy takiego piekarza, który, czy to z powodu, że chciał mieć w bogatych więźniach „starych numerach" – przyjaciół w przyszłości, czy może chciał w nocy odpocząć, nabrał do nas zaufania, że go nie wykiwamy i pracy mu nie odbierzemy i zgodził się wreszcie.

O 18-tej byliśmy gotowi.

Jasiek [Jan Redzej] przebrał się w cywilne ubranie, które mu od por. 76 [Bernard Świerczyna] już jakiś czas temu wykombinowałem, gdyż jako untercapo mógł wyjść do pracy za drutami w cywilnym ubraniu.

Wzdłuż pleców, w pasie i na spodniach miał szerokie, jaskrawe lampasy, czerwoną farbą malowane (żeby häftling nie uciekł – będzie widoczny z daleka).

Nikt nie wiedział ma się rozumieć, że malował te lampasy kolega 118 [NN], proszek farby rozpuszczając w wodzie, a nie w pokoście.

O godzinie 18-tej minut 20 ss-mann od bramy donośnym głosem wołał: „Bäckerei!!!"[398]

Na ten sygnał wszyscy my, którzy należeliśmy już do nocnej zmiany piekarni wybiegliśmy z bloku 15-go i biegiem pędziliśmy do bramy.

Dzień był słoneczny. Obóz świętował. Więźniowie zażywali spaceru. W przebiegu od bloku do bramy spotkałem kilku kolegów, którzy z największym zdziwieniem spoglądali na mnie, gdzie ja biegnę z piekarzami, kiedy mam taką dobrą pracę w paczkarni.

---

sugestiami dr. Józefa Garlińskiego, przyjął, że jest to początek liczby 159, pod którą zakodowany został kpt. Stanisław Machowski. Z kolei w oryginalnym dokumencie, znajdującym się w archiwum SPP w Londynie, w tym miejscu widoczna jest liczba 11. Jednakże liczbą tą w *Raporcie Witolda* oznaczony jest ppłk Tadeusz Reklewski (zob. przyp. 86), tutaj natomiast autor pisze o kapitanie. Na karcie maszynopisu *Raportu* przechowywanego w SPP w Londynie owa liczba 11 znajduje się na końcu wiersza wychodzącego poza brzeg arkusza i prawdopodobnie stanowi część liczby trzycyfrowej. Z analizy dokumentu wynika, że Pilecki nadawał kody w kolejności wymieniania poszczególnych osób. W przedziale liczb 110–119 tylko dwie osoby zostały zidentyfikowane jako kapitanowie – nr 114 (Tadeusz Paolone, w obozie jako Lisowski – zob. przyp. 311) oraz nr 116 (Zygmunt Pawłowicz vel Pawłowski, w obozie zarejestrowany jako Julian vel Franciszek Trzęsimiech – zob. przyp. 312). Nie zidentyfikowano w tym przedziale jedynie osoby ukrytej pod numerem 111. Pozostałe osoby albo nie były wojskowymi, albo miały inne stopnie. Najprawdopodobniej zatem Pilecki wspomina tu któregoś z dwóch wyżej wymienionych kapitanów.

398 Wezwanie piekarzy do wyjścia.

Poznałem twarze por. 20 [Jan Kupiec] i ppor. 174[399], lecz się ich nie obawiałem. Uśmiechnąłem się do nich – byli to moi przyjaciele.

Przed bramą ustawialiśmy się w dwa szeregi do wymarszu. Do końca nie byliśmy pewni, czy któryś z piekarzy, co nam miejsce ustąpił, nie rozmyśli się jeszcze i nie przybiegnie pod bramę.

Wtedy któryś z nas – nowych, musiałby zostać.

Dwaj musieliby pójść sami, nawet jeśli by się chcieli wycofać, już by nie mogli z pod bramy tego zrobić.

Lecz stanęło nas razem ośmiu, tylu ilu było trzeba.

Otoczyło nas aż pięciu ss-mannów.

Podczas liczenia nas przez okienko z „blockführerstuby" – Scharführer rzucił w kierunku naszej eskorty: „Pas[s]t auf!..." Czyżby się czegoś domyślali? Lecz był powód inny. Był to poniedziałek, dzień w który zawsze zmieniała się eskorta piekarzy, obejmując tą służbę na cały tydzień.

Ruszyliśmy w drogę.

Pomyślałem wtedy, ile to razy przekraczałem tą bramę, lecz nigdy tak jak teraz. Teraz wiedziałem, że wrócić w żadnym razie nie mogę. Już z tego powodu poczułem radość i jakby skrzydła. – Lecz do odlotu było jeszcze daleko...

Maszerowaliśmy szosą koło garbarni. Dawno tutaj nie byłem. Przechodząc rzucałem wzrokiem na budynki, dziedziniec garbarni, w myśli przebiegając wszystkie tu prace moje i postacie kolegów, z których część już nie żyła...

W miejscu gdzie wypada szosa, którą szliśmy od obozu, na szosę przy której stały domy miasteczka, rozdzieliliśmy się na dwa oddziałki. Dwóch piekarzy i aż trzech ss-mannów poszli szosą w prawo, w kierunku mostu do – „małej piekarni".

Niewspółmiernie wielka eskorta dla tamtych dwóch i – mała dla nas, gdyż z nami sześcioma więźniami poszło tylko dwóch ss-mannów, była spowodowana tym, że ci trzej ss-manni kombinowali jakąś popijawę świąteczną.

My – pomaszerowaliśmy w lewo. – Wreszcie ujrzałem „wielką piekarnię", wychodzącą na nasze spotkanie dzienną zmianę piekarzy, drzwi groźne, okute, wielkie i – plac zmagań o życie nasze na noc dzisiejszą.

Po wejściu do piekarni w lewo, w osobnej izbie, złożony był węgiel. Tam ulokowaliśmy nasze rzeczy, rozbierając się z powodu wysokiej temperatury całkowicie.

Było tam dosyć ciemno.

Ulokowaliśmy osobno każdy, swe rzeczy, rozdzielając na takie, które wziąść należało i na takie co mieliśmy zostawić – pasiaki.

399 Jan Olszowski – ur. 13 lutego 1907 r., of. rez. WP, ppor. piech. ze starsz. z 1 stycznia 1936 r. Przywieziony do KL Auschwitz z Krakowa 9 listopada 1940 r., zarejestrowany jako robotnik, otrzymał nr 6157. W 1945 r. ewakuowany do KL Mauthausen, wojnę przeżył.

Z dwóch naszych ss-mannów, jeden, mniejszy jakby tknięty przeczuciem odrazu zaczął oglądać drzwi wejściowe, kiwać głową i mówić, że nie są zbyt pewne.

Wymowny Jasio [Jan Redzej] zaczął z uśmiechem wmawiać w niego, że jest wprost odwrotnie.

Drzwi ciężkie, okute zamykają się na wielki zamek, klucz od którego nosi ss-mann przy pasie, drugi klucz zapasowy wisi we wgłębieniu w murze, za szybką, którą dla wyjęcia klucza należało by rozbić.

Podejrzliwość ss-manna podyktowana była może przeczuciem, lecz i obowiązkowością, którą tu (jako nowa miotła) od pierwszego dnia chciała wykazać nowa warta.

Pod tym względem poniedziałek wygodnym dniem nie był.

Pod koniec tygodnia ss-manni już przez kilka dni przyzwyczajali się nieco do pracowników i byli więcej otępiali, nie tak czujni.

Nowa zmiana warty miała ten plus, że przyszła tak jak my z Edkiem [Edward Ciesielski] tu po raz pierwszy i nie wiedziała, że my dopiero tu zjawiliśmy się – jesteśmy nowi, to też w obserwowaniu pracowników piekarni nie robiła różnicy między nami a innymi więźniami.

Co robiliśmy w piekarni?

Kierowali wypiekiem chleba cywilni piekarze, którzy przychodzili tu z miasteczka, pracując również na dwie zmiany.

Przez noc musieliśmy wypiec pewną określoną ilość bochenków chleba. Zespół piekarzy, który nie zrobił w czasie swej pracy odpowiedniej ilości bochenków – szedł do bunkra, cywilni piekarze i więźniowie razem.

To też był gwałtowny pośpiech przy pracy.

Przez noc musieliśmy zrobić pięć wypieków. Pięć razy we wszystkie piece chleb wsadzić i pięć razy chleb wyjąć.

Mieliśmy próbować wyjścia z piekarni po drugim wypieku, gdyż po pierwszym było zbyt wcześnie.

Tymczasem przeszedł pierwszy, drugi, – trzeci wypiek i czwarty, a my wciąż jeszcze nie mogliśmy wyjść z piekarni.

Tak jak przy pasjansie karty muszą się ułożyć i trzeba robić najrozmaitsze ich przekładanie i tasowanie, by pasjans się udał, tak również i tu, krzyżujące się przebiegi piekarzy po mąkę, piłowiny, węgiel, wodę, odwożących gotowe już bochenki, krzyżowały drogi wzajemnie sobie, w najrozmaitszych kierunkach, gmatwane jeszcze przez chodzących w ślad dozurujących [dozorujących] ss-mannów, musiały również tak się układać, by umożliwić nam znalezienie się w pewnym momencie, w pobliżu drzwi nieobjętych wzrokiem ani ss-manna, ani piekarzy.

A stawką tego pasjansa było – życie...

Byliśmy zamknięci w piekarni, z powodu konieczności wykonywania pracy, która musiała być robiona szybko i my nie mogliśmy hamować biegu pracy innych piekarzy. Oblewaliśmy się potem z powodu wielkiego gorąca. Piliśmy wodę nieomal wiadrami.

Usypialiśmy czujność ss-mannów i piekarzy, robiąc wrażenie, że zajęci jesteśmy tylko pracą.

We własnych oczach byliśmy, jak rzucające się, zamknięte w klatce zwierzęta, pracujące całym sprytem, nad ułożeniem warunków wyjścia z klatki, koniecznie jeszcze tej nocy...

Godziny biegły... „pasjans" – gmatwał się... nie układał... wyjście narazie było nie do zrealizowania...

Możliwości – to się zwiększały, to znowu – zmniejszały.

Napięcie nerwów – to słabło, to – przybierało na sile.

Drzwi były na widoku. SS-manni chodzili w tył i wprzód, podchodząc do samych drzwi.

Okno, zamknięte na kłódkę – otworzyć było niemożliwością, gdyż koło niego stale ktoś się kręcił.

Gdy minął poniedziałek, a po północy rozpoczął się wtorek, sytuacja uległa nieco odprężeniu.

Jeden z ss-mannów położył się i spał, albo udawał że śpi. W każdym razie – nie chodził.

Piekarze też wszyscy byli pomęczeni.

Gdy koło godziny drugiej gotów był wypiek czwarty i pozostał tylko jeden – wtedy piekarze zrobili dłuższą przerwę i zaczęli się posilać.

Nasza trójka nie miała spokoju.

Janek [Jan Redzej] ubierał się już pokryjomu. My z Edkiem [Edward Ciesielski] maskowaliśmy jego ruchy, niby przez gorliwość wożąc to węgiel, to wodę, przygotowując do wypieku ostatniego.

W rzeczywistości przygotowywaliśmy się do ostatecznego wysiłku – dokonania wyjścia.

W pewnej chwili, gdy ss-mann szedł od drzwi, w kierunku hali pracy, Janek licząc na to, że odwróci się dopiero za dwie lub trzy minuty, wysunął się w ubraniu, szybko odkręcił mutrę, która poddała się w żelaznych rączkach Jasia łatwo i wypchnął śrubę z zaczepem, który upadł za drzwiami.

W powrotnej drodze ss-manna Jasio znikł w komorze z węglem.

My jeździliśmy z taczkami po węgiel.

W następnej turze – w wędrówce ss-manna od drzwi, gdy był od nich odwrócony plecami, Jasio szybko i bezgłośnie odsunął dwa rygle górne i dwa dolne. My jeżdżąc z taczkami, zasłanialiśmy drzwi naprzemian.

Piekarze zmęczeni siedzieli lub leżeli wszyscy w wielkiej hali.

Rygle zajęły więcej czasu niż mutra.

Jasiek w ubraniu już na oczach ss-manna wszedł do ubikacji, która tuż przy drzwiach była. SS-mann nie zwrócił uwagi, na to że był on ubranym, może jako nowy sądził, że nad ranem jest to rzecz normalna.

Narazie niby szło dobrze.

Nagle stała się rzecz nieprzewidziana. Tknięty jakimś przeczuciem – czy może wprost bezmyślnie, ss-mann podszedł do drzwi, stanął przy nich, twarzą do nich o jakieś pół metra i – zaczął je oglądać.

Postawiłem już taczkę na ziemię, za nim o 4 metry. Edek – również zamarł koło węgla.

Obaj czekaliśmy tylko głośnego wykrzyknięcia ss-manna, jako hasła, by się rzucić na niego, obezwładnić i związać.

Dlaczego nie zauważył nic? Czy wogóle miał oczy otwarte, czy też może śnił o czymś, tego już i potym nigdy zrozumieć nie mogłem.

Przypuszczam, że i on musiał nadtym nazajutrz w bunkrze długo się głowić.

Odwrócił się od drzwi i pomaszerował spokojnie znowu w stronę pieców, gdy był od drzwi o 6 metrów, Jasiek wyślizgnął się z ubikacji, ja skoczyłem cicho po rzeczy i gwałtownie nacisnęliśmy z Jasiem na drzwi.

W tej chwili Edek, tuż za plecami ss-manna, rzucił się szybko i bezgłośnie z nożem do łóżka ze śpiącym ss-mannem i po przecięciu w dwóch miejscach kabli, wziął kawałek kabla na pamiątkę.

W tym czasie drzwi naciskane przez nas z Jasiem, wyginały się łukiem, lecz nie puszczały.

SS-mann odchodził powoli, był od nas już osiem, za chwilę – 9 metrów.

Zdwoiliśmy nacisk na drzwi, które wygięły się jeszcze więcej, lecz wciąż nie puszczały – bo przecie nigdy przez nas otwierane nie były i żadnej pewności ostatecznie nie było, że się otworzą. Gdybyśmy w tamtej chwili byli zdolni do strachu – musiałby nam zimny pot wystąpić – lecz nawet na strach nie było czasu.

Edek w tym czasie od łóżka ss-manna skoczył po rzeczy swoje w komorze węglowej złożone.

Jasiek miał wiele siły, u mnie zdwojone były napięciem wszystkich nerwów – drzwi jednak wydawały się mocniejsze od nas...

Włożyliśmy w nacisk na drzwi cały wysiłek, na jaki nas stać było, gdy w tem... gwałtownie i bezdźwięcznie jednocześnie – rozwarły się przed nami...

Powiało na rozpalone nasze głowy chłodem, błysnęły gwiazdy na niebie, jakby mrugając porozumiewawczo...

Wszystko to zmieściło się jakoś w jednym mgnieniu oka...

Skok w przestrzeń ciemną i bieg w kolejności Jasiek, ja i Edek.

Jednocześnie sypnęły się strzały za nami.

Jak biegliśmy szybko – trudno opisać. Kule nas nie tknęły. Rwaliśmy powietrze w strzępy szybkimi ruchami nóg i rąk – tułowia.

Gdy byliśmy sto metrów od piekarni mniej więcej, zacząłem krzyczeć: „Jasiek!... Jasiek !...” – Lecz Jasiek gnał naprzód, jak koń wyścigowy. Gdybym mógł go dopędzić... chwycić za ramię... i – zatrzymać... lecz odległość między nami trzema była wciąż jednakowa, pędziliśmy wszyscy dość równomiernie.

Strzałów za nami było dziewięć. – Potym ucichło. – SS-mann przypuszczalnie rzucił się do telefonu. Ten – co spał napewno przez pierwszą minutę, był całkowicie zdezorientowany.

Chciałem zatrzymać Jaśka dlatego, że miałem w planie kierunek marszu pod kątem prostym w prawo od kierunku, którym mknęliśmy teraz. Udało się to mniej więcej po 200–300 metrach. Jasiek zwolnił – ja, dopadłem jego, Edek również dobiegł.

„No, co?!" – pytał Jasio zadyszany. „Teraz już chyba – nic" odrzekłem.

„Mówiłeś, że masz plan dalszy marszu" –

Zgadzało się, plan miałem. Miałem przebrnąć Sołę i iść po drugiej stronie rzeki w kierunku odwrotnym – wprost na obóz i dalej na południe, na Kęty. Lecz bieg Jaśka w kierunku północnym, wszystko – zmienił. Teraz już zawracać było zbyt późno. Było po drugiej po północy. Należało spieszyć.

„Więc co teraz?" – pytali koledzy.

„Nic – ubierajmy się" – rzekłem do Edka – ja poprowadzę inaczej". My dwaj byliśmy nago, w kąpielówkach, z węzełkami ubrania pod pachą.

Biegliśmy dotychczas na pewnej odległości od rzeki, lecz wzdłuż rzeki Soły, na północ.

Teraz po ubraniu się i pozostawieniu dobrze ukrytych w krzakach spodni w pasy, które przez omyłkę wzięliśmy ze sobą, poprowadziłem na sam brzeg rzeki (lewy) i brzegiem dalej na północ – krzakami.

Edek zapytany, czy ma paczkę ze sproszkowanym tytoniem, oświadczył że miał, ale się już wszystko w biegu wysypało. Jeśli by psy puścili po śladach nawąchają się tabaki.

Tytoń ten suszyłem i starłem na tabakę, już bardzo dawno, jeszcze pracując w łyżkarni (garbarnia), skąd mieliśmy przygotowywać niegdyś ucieczkę dla kolegów.

Teraz coprawda zbyt szybko się wysypała, lecz zawsze mogła nieco chronić ślady.

Nie zmieniając raz obranego kierunku na północ – mieliśmy przed sobą widły rzeczne. Soła wpadała do Wisły – lecz przed tym jeszcze, przez Sołę w prawo był most kolejowy, podług zebranych wiadomości, strzeżony stale przez wartownika.

„Tomek – gdzie idziesz?" – pytał Jasio.

„Nic nie gadaj! – nie mamy wyjścia innego i nie mamy wiele czasu. Idziemy możliwie najkrótszą drogą".

Zbliżaliśmy się do mostu. Szedłem pierwszy. Miałem gumą podbite podeszwy, za mną kroków 10–15 szedł Jasio, na końcu – Edek.

Ostrożnie, obserwując budkę z lewej na przyczółku mostu, wszedłem na nasyp kolejowy i most.

Koledzy szli za mną.

Cicho stąpając, zaczęliśmy jednak dość szybko posuwać się po moście. Przeszliśmy już część trzecią... potym połowę... zbliżaliśmy się już do przeciwległego brzegu... do końca mostu... narazie szliśmy bez przeszkód...

Wreszcie gdy most się skończył, skoczyliśmy szybko w lewo, z nasypu na łąkę czy pole.

Niespodziewanie dla nas most przebrnęliśmy bez przeszkód.

Posterunek musiał się gdzieś zabawić w przyjemnym towarzystwie na święta.

Dalej – z lewej strony toru – kierunek obrałem na wschód, wzdłuż Wisły.

Orientować się było łatwo – niebo było pełne gwiazd iskrzących.

Już czuliśmy się w jakimś – stopniu wolnymi. Od całkowitego odczuwania wolności odgradzało nas jeszcze uczucie niebezpieczeństwa.

Rozpoczęliśmy bieg na przełaj.

Z prawej strony zostawało miasteczko Oświęcim.

Przesadzaliśmy rowy, przebiegaliśmy w poprzek drogi, biegliśmy po zaoranych polach i łąkach, zbliżaliśmy się do Wisły – to oddalali, w zależności od rzeki skrętów.

Potym dopiero mogliśmy podziwiać, ile człowiek może zrobić wysiłku, gdy pracują wszystkie nerwy.

Zdobywaliśmy wznoszące się w górę zaorane pola. Zjeżdżaliśmy po skarpach cementowanych, lub wdrapywaliśmy się jak koty, na takież skarpy regulowanych jakichś kanałów. – Ominął nas dopędzający jakiś pociąg, gdy szliśmy przy torze.

Wreszcie po kilku kilometrach, jak nam się wydawało wtedy dziesięciu (było mniej trochę), z za wyniosłości ujrzeliśmy przed nami, na naszej drodze – płoty, baraki, wieżyczki, druty... Przed nami był – obóz. I tak dobrze nam znane pełzanie świateł reflektorów...

W pierwszej chwili – zdębieliśmy prawie. Lecz w następnej – zdecydowaliśmy, że jest to filia naszego obozu – tak zwana „Buna".

Nie mieliśmy czasu na zmianę kierunku.

Świt barwił już niebo...

Z lewej strony obchodzić zaczęliśmy w tempie przyspieszonym obóz. Zetknęliśmy się z drutami. Zsuwaliśmy się i drapaliśmy się po skarpach znowu... Przechodziliśmy kanały po kładce. W jednym miejscu ostrożnie przesunęliśmy się po kładce, przez którą pieniąc się przelewała woda... Omijaliśmy druty w wodzie je obchodząc. Wreszcie – i ten obóz został za nami.

Dobiegliśmy – bo ciągle jeszcze biegać byliśmy zdolni, do brzegu Wisły i brzegiem zaczęliśmy posuwać się dalej, szukając na wszelki wypadek miejsc do ukrycia na dzień.

Już dniało. – Nie było większej dla nas jakiejś osłony. Ciemny pasek lasu czernił się daleko na horyzoncie. Zrobiło się jasno zupełnie.

Tuż, przy brzegu Wisły stała wieś. Na wodzie kołysały się łódki, własność mieszkańców tej wioski.

Postanowiłem przepłynąć łodzią przez Wisłę. Łodzie były przycumowane łańcuchami do wbitych pali. Łańcuchy zamknięte na kłódki. Obejrzeliśmy łańcuchy. Jeden z nich był złączony z dwóch kawałków, za pomocą śruby.

Jasiek wyjął klucz (kawał sztaby z otworem na mutrę), którym odkręcał śrubę w piekarni.

Zaskoczył nas znowu zbieg okoliczności. Klucz – akurat pasował na mutrę. Odkręciliśmy mutrę. Łańcuch rozpadł się na dwoje...

Wschodziło właśnie słońce.

Wsiedliśmy do łodzi i odbiliśmy od brzegu.

W każdej chwili mógł ktoś wyjść z domów wioski, odległych kilkadziesiąt kroków zaledwie od nas.

Kilkanaście metrów przed brzegiem przeciwległym łódź natknęła się na mieliznę. Nie mieliśmy czasu na spychanie. Skoczyliśmy do wody i brnęliśmy dalej pieszo, brodząc pod samym brzegiem po pas.

Zgrzane przez noc całą i bieg ciało i stawy pogrążone zimną wodę zareagowały w następstwie. Narazie nic jeszcze nie czuliśmy – szybko wyskakując na brzeg Wisły.

W odległości dwóch kilometrów mniej więcej, był ciemny pas lasu.

Las – tak bardzo przeze mnie kochany, do którego tęskniłem przez lat kilka, w tym wypadku był zbawieniem, był pierwszą prawdziwą zasłoną w terenie, która nas – ukryć mogła.

Nie można powiedzieć, żeśmy do tego zbawienia – pobiegli. Biec – nie mieliśmy już sił. Szliśmy przyśpieszonym krokiem, a nawet czasami z braku sił zwalnialiśmy tempo.

Słońce świeciło już jasno.

W oddali słychać było warkot motocykli na szosach – może nawet w pościgu za nami...

Myśmy szli wolno...

Nasze z Edkiem ubrania z bliska może nieco podejrzane, zdaleka – mogły ujść jako ciemne, nierażące sylwetki. Jasia – natomiast piękny cywilny garnitur raził z daleka krzyczącymi przeraźliwie czerwonymi pasami.

W oddali widoczni byli jacyś ludzie, pracujący na polu. Musieli nas widzieć.

Las zbliżał się powoli.

Dziwne – po raz pierwszy w życiu poczułem zapach lasu z odległości przeszło stu metrów.

Opadł naraz zmysły wszystkie, aromat potężny, przemiły świergot ptaków, powiew wilgoci, zapach żywicy... wzrok się zagłębiał w bliską już głębię tajemniczego boru.

Weszliśmy za kilkanaście drzew pierwszych i legliśmy na mech miękki.

Leżąc na wznak, wysyłałem po nad wierzchołki drzew myśl, która radośnie zwijała się w wielki znak zapytania. – Metamorfoza. Co za kontrast z obozem, w którym zdaje mi się przeżyło się lat tysiąc...

Szumiały sosny, lekko kołysząc swe ogromne czapy wierzchołków...

Niebiezczyły się skrawki przestworzy, pomiędzy konarami drzew. Świeciły brylanty rosy na listkach krzewów i traw... Słońce miejscami wnikało złotymi promieniami, rozświetlając życie tysięcy małych istnień... świat żuczków, meszek, motyli... Świat ptaków, jak przed lat tysiącem, nadal tak samo w określonych ramach zwijał się, zabiegał, tętnił własnym życiem...

A jednak pomimo tylu odgłosów życia lasu, panowała tu cisza... cisza ogromna...

cisza izolowana od wrzasku ludzkiego... od wszelkich podłostek bliźnich... cisza, w której nie było – człowieka...

Myśmy się nie liczyli.

Dopiero wracaliśmy na ziemię. Do grona ludzi dopiero mieliśmy być zaliczeni.

Jakże bardzo byliśmy radzi, że jeszcze ich nie widzimy.

Zdecydowaliśmy być od nich jak najdalej, jak długo to będzie możliwem.

Bardzo długo bez ludzi trwać jednak było trudno... Jedzenia wcale nie mieliśmy. Narazie jeszcze wielkiego głodu nie odczuwaliśmy. Jedliśmy sałatę zajęczą[400], piliśmy wodę ze strumyka...

Byliśmy zachwyceni wszystkiem.

Cały świat był dla nas kochany... tylko nie ludzie... Miałem pudełeczko miodu przysłane z domu i łyżeczkę herbatnią. Kolejno karmiłem Jasia i Edka i sam zjadałem, każdemu dając jedną łyżeczkę.

Leżąc – omawialiśmy wypadki tej nocy. Jasio miał łysinę, więc nakrycia głowy nie potrzebował. My z Edkiem mieliśmy ostrzyżone głowy. Żeby ukryć brak włosów przed ludźmi, wzięliśmy z piekarni, z rzeczy piekarzy dwie czapki cywilne – lecz Edek zgubił ją w biegu po krzakach w nocy. Teraz zawiązał chusteczkę kobiecą na głowie. Dlatego nazwaliśmy go – Ewunią.

Jasio – dla odmiany nazwał się – Adamem i patrząc na jakąś gałąź zieloną, za nazwisko obrał – Gałązka. Pięknie pasowało do jego 90 kg. wagi.

Po wypraniu przez Jasia czerwonych pasów na garniturze w wodzie strumyka i wysuszeniu przeze mnie zamoczonych w bucie czterech banknotów – pomaszerowaliśmy dalej na wschód, idąc lasami, przeskakując tereny niewielkie otwarte, lub obchodząc większe brzegiem lasu.

Zasadą – było jak najdalej od ludzi!...

Przed samym wieczorem mieliśmy zajście niewielkie z gajowym, który z odległości pewnej zobaczył nas, gdy miód ostatni zjadaliśmy... i chcąc nas zatrzymać, zabiegł nam drogę – wtedy wlazłem w młodniak – który akurat nam wyrósł tu w porę... Młodniak był tak gęsty, że można było tylko posuwać się pełzając. W młodniaku już zmieniłem kierunek i wybrnąłem z niego przy szosie.

Przeskoczyłem szosę i znowu zaszyliśmy się w młodniak.

Gajowy ślad stracił, myśmy się trzymali szosy, bo prowadziła podług napisów na słupach do miejscowości Z [Babice][401], która leżała na naszym kierunku.

Do miejscowości tej zbliżyliśmy się już po zachodzie słońca.

Na górze przed mieściną wznosiły się ruiny zamku.

Okoliliśmy teren otwarty przed miasteczkiem z lewej strony. Przebrnęliśmy szosę pomiędzy domkami i udaliśmy się na zalesione wzgórze, wprost do ruin zamku.

400 Szczawik zajęczy, roślina pospolita na terenie całej Polski.

401 Wieś gminna w powiecie chrzanowskim. Na wcześniejszych stronicach litera „Z" oznacza Bochnię.

Koło ruin, na zboczu wzgórza, zakopani w liście zeszłoroczne legliśmy zmęczeni ogromnie, by zasnąć...

Tak minął wtorek (27-go kwietnia).

Edek zasnął natychmiast.

My z Jaśkiem mieliśmy po kąpieli zimnej – zapalenie stawów, a ja jeszcze na dodatek – zapalenie nerwu isziasowego[402].

Ostatnią godzinę marszu posuwałem się pchany tylko siłą woli. Prócz bólu w biodrze prawym, ból w stawach kolan, szczególnie przy schodzeniu z pochyłości był tak dotkliwy, że iść mogłem tylko „zaciskając zęby".

Teraz leżąc ból odczuwałem mniejszy, lecz ciągle jednak mnie dokuczał.

Jasiek leżąc bólu nie odczuwał i zasnął również.

Ja usnąć nie mogłem. Korzystając z tego, zacząłem rozważać, co robić dalej.

O osiem kilometrów była granica pomiędzy „Śląskiem przyłączonym do III-ciej Rzeszy"[403] a „Generalnym Bubernatorstwem [Gubernatorstwem]"[404], którą mieliśmy przebrnąć.

Układałem plany przez długie godziny, już na wpół drzemiąc, jak dobrnąć, jak przejść granicę i gdzie się udamy potem. Gdy raptem – jakby mnie oświeciła myśl zbawcza jakaś, aż siadłem na liściach i... syknąłem z bólu...

Przypomniał mi się rok 42. Praca w Łyżkarni (garbarnia), gdzie na stanowisku schreibera był kolega 19 [Tadeusz Słowiaczek], z którym rozmawialiśmy często szczerze bardzo.

Mówił mnie o tym do kogo pisuje listy, że stryj jego jest księdzem, tuż przy samej granicy, że parafia księdza leży po obu stronach i że proboszcz jeździ za granicę i może jechać z furmanem, którego może ewentualnie za granicą – zostawić...

Do miejscowości gdzie ksiądz, przyjaciela mego krewny, był proboszczem, było kilometrów siedem lub osiem tylko.

Edek przez sen zaczął coś mówić, początkowo niewyraźnie, lecz potym pytał jakiegoś Bronka [NN] o chleb, czy dla niego przyniósł (był głodny – więc marzył o jedzeniu

402 Ischias, ischialgia, rwa kulszowa.

403 Dekretami z 8 i 12 października 1939 r. Hitler wcielił do III Rzeszy część ziem II RP: województwa pomorskie, poznańskie, łódzkie, śląskie, Suwalszczyznę, część Mazowsza, Małopolski i Kielecczyzny. Uznane zostały za tereny rdzennie niemieckie, a zamieszkali tam Polacy przeznaczeni do wysiedlenia. Specyfika akcji wynarodowiającej wynikała z potrzeb lokalnych. Najsurowsza była na Pomorzu i w Wielkopolsce, a najwięcej Polaków pozostawiono na Śląsku, co wynikało z zapotrzebowania na siłę roboczą w śląskim przemyśle.

404 Jednostka administracyjna na ziemiach Polski zajętych przez III Rzeszę, powołana dekretem z 12 października z mocą obowiązującą od 26 października 1939 r. Obejmowała wschodnią część obszarów II RP okupowanych przez Niemcy: dawne województwo lubelskie, część warszawskiego, większość krakowskiego, kieleckiego i część lwowskiego. Podzielona na dystrykty: krakowski, warszawski, lubelski i radomski. Obszary te nie zostały bezpośrednio włączone do Rzeszy i były przeznaczone do zamieszkania przez Polaków. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w 1941 r. do GG dołączono większość dawnego województwa lwowskiego, tworząc dystrykt Galicja. Władze GG rezydowały w Krakowie. Na ich czele stal generalny gubernator Hans Frank.

w nocy). Nagle zerwał się z posłania i zapytał głośno, aż się Jasiek zbudził: „No, co? przyniósł chleb?" – „Kto miał przynieść chleb?" – „No – Bronek!" – „Uspokój się kochany. Widzisz – jest las, zamek i my śpiący w liściach. Śniło ci się..."

Edek się położył.

Lecz teraz ja się podniosłem. Była godzina czwarta. Postanowiłem rano dotrzeć do księdza. Mieliśmy kilometrów niewiele, lecz bolące stawy. Ja z bólu w kolanach, ledwo nogami ruszałem. Jasiek – ociągając się wstał, lecz się zatoczył i zaczął się staczać po pochyłości wzgórza. Z bólu w stawach kolan – omało nie zemdlał. A jednak opanowaliśmy się.

Pierwsze kroki były ciężkie i bolesne, szczególnie schodząc po pochyłości.

Kilometrów 7 czy 8, ni[e]co krążąc, szliśmy dość długo. Początkowo bardzo wolno, potym nieco prędzej.

Jasiek, żeby zasięgnąć języka, jako najprzyzwoiciej ubrany i nie potrzebujący ukrywać braku włosów na łysej głowie, podszedł do idącego gdzieś na robote wieśniaka i gawędził z nim idąc.

Zbliżyliśmy się do miejscowości II [Alwernia][405].

Na zalesionym wzgórzu widoczny był kościółek.

Jasiek odszedł od wieśniaka, połączył się z nami i przyniósł wiadomość, że nazwa miejscowości o którą nam chodziło, odpowiada w terenie temu, co widzimy, wokół wzgórza z kościołem.

Lawirując polami doszliśmy do drogi przy której stał urząd celny. Sama granica była dalej na wzgórzu.

Była godzina 7-ma. W urzędzie było już paru jakichś ludzi, którzy nam z odległości przyglądali się badawczo.

My jednak przeszliśmy drogę w poprzek, potym strumyk jakiś idąc mostkiem – szliśmy dalej na oczach ludzi, starając się iść raźnie i wesoło.

Doszliśmy wreszcie do zalesionego wzgórza i po wejściu na zbocze jego kilkadziesiąt metrów, upadliśmy na ziemię ogromnie zmęczeni...

I jakby na nas czekał – odezwał się dzwon z wieży kościoła, który tuż był na szczycie pagórka...

„Trudno – bracie, kochany Jasiu, musisz iść do kościoła. Ty wyglądasz najwięcej po ludzku i w kościele możesz być tylko ty jeden z naszej trójki, bo możesz chodzić bez czapki."

Wysłałem więc Jasia do księdza, któremu miał powiedzieć o tym, że byliśmy razem, tak jak w piekle, z księdza bratem Franciszkiem[406] i z brata dwoma synami: Tadkiem i Lolkiem[407].

405 Miasteczko w powiecie chrzanowskim.

406 Franciszek Słowiaczek – ur. 12 maja 1888 r., urzędnik. Do Auschwitz przywieziony drugim transportem krakowskim z 20 czerwca 1940 r. wraz z synami Karolem i Tadeuszem, otrzymał nr 1070. Nie przeżył KL Auschwitz; brak udokumentowanych danych odnośnie do daty i okoliczności śmierci.

407 Karol Słowiaczek – ur. 7 stycznia 1915 r., student Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Do Auschwitz przywieziony wraz z ojcem i bratem drugim transportem z Krakowa 20 czerwca 1940 r., nr 1054.

Jasio poszedł i długo nie wracał.

Wreszcie wrócił z miną niewyraźną – i powiedział nam, że doczekał się w kościele księdza, który przyszedł Mszę odprawić i że z nim rozmawiał, lecz ksiądz nie chciał wierzyć, że z Oświęcimia udało nam się uciec i wprost oświadczył, że lęka się, by to nie była jakaś pułapka.

Ja myślę! Gdy ujrzał Jasia uśmiechniętą gębę od ucha do ucha, trudno mu było, słysząc o Oświęcimiu odrazu uwierzyć, że Jasiek tam siedział przeszło dwa i pół lata. – I że uciec mu się stamtąd udało...

Wysłałem Jasia znowu, gdyż Msza mogła się skończyć i pouczyłem dokładnie, który z krewnych na jakim bloku mieszkał, gdzie pojechali bratankowie. Na jakim bloku teraz ich ojciec zastał. I – nawet co pisali w listach na ostatnie Święta Bożego Narodzenia.

Jasio poszedł. Msza się skończyła. Jasio do księdza podszedł. Wszystko mu powiedział, dodając że w krzakach leży dwóch jego kolegów, którzy nie mogą wyjść, ze względu na brak włosów i dziwnie skomplikowane ubranie.

Ksiądz uwierzył i przyszedł razem z Jasiem do nas.

Tu nad nami załamał ręce. Uwierzył ostatecznie we wszystko. Zaczął do nas co pół godziny przychodzić w zarośla, przynosząc nam mleko, kawę, bułki, chleb, cukier, masło i inne specjały.

Okazało się, że to wcale nie był ten ksiądz, o którym myśmy myśleli, lecz tamten również tu był o dwa kilometry[408].

Ten proboszcz znał tamtego i całą historię jego rodziny, co w Oświęcimiu siedziała.

Nie mógł nas pod dach swój wprowadzić, gdyż zbyt wiele ludzi kręciło się stale u niego na dziedzińcu.

Nam i tu było bardzo dobrze wśród młodych świerków i krzewów.

Ksiądz dał nam lekarstwo jakieś do natarcia stawów. – Pisaliśmy tu pierwsze listy do rodzin, które przez księdza były wysłane.

Wieczorem, gdy się zupełnie ściemniło ksiądz dał nam dobrego przewodnika.

A jednak są dobrzy ludzie na świecie – powiedzieliśmy wtedy sobie.

Tak się kończyła środa (28-go kwietnia).

Pożegnaliśmy księdza. Stawy w kolanach już mniej bolały. Poszliśmy wieczorem o godzinie 10-tej za przewodnikiem na przejście granicy.

Przewodnik długo prowadził, kluczył, potym wskazał miejsce i powiedział: tu jest najlepiej! – Sam się cofnął z powrotem.

W 1943 r. przeniesiony do KL Neuengamme, zginął wraz z bratem Tadeuszem 3 maja 1945 r. na statku „Cap Arcona" omyłkowo zbombardowanym przez aliantów w Zatoce Lubeckiej.

408 Uciekinierzy chcieli nawiązać kontakt z ks. Karolem Słowiaczkiem, proboszczem w Porębie-Żegoty, bratem więźnia KL Auschwitz Franciszka Słowiaczka, stryjem więźniów Karola Słowiaczka i Tadeusza Słowiaczka. Zamiast jednak w Porębie-Żegoty znaleźli się w Alwerni i nawiązali kontakt z gwardianem klasztoru Bernardynów w Alwerni o. Janem Legowiczem.

Możliwe, że było tu najbezpieczniej, dlatego właśnie, że teren był zawalony ściętymi drzewami, drutami i przekopany rowami, że straż graniczna musiała wierzyć, że tędy nikt pójść nie zechce i pilnowała innych odcinków.

Pas szerokości może 150 metrów przebrnęliśmy dopiero w ciągu godziny.

Dalej już szliśmy szybko, terenem różnym, przeważnie już teraz trzymając się drogi.

Była noc ciemna. Nie groziło nam rozpoznanie nas na odległość. Mogliśmy tylko natknąć się na patrol, lecz czujność jakaś zwierzęca, czy instynkt prowadził nas narazie szczęśliwie.

Czasami, gdy droga przybierała kierunek dla nas nieodpowiedni, skręcaliśmy z drogi, idąc na przełaj, orientując się na gwiazdy, brnąc przez lasy, wpadając w jary, drapiąc się na zbocza.

Przez noc przeszliśmy, zostawiając za sobą, jak nam się zdawało wielki kawał terenu.

Pierwszy brzask nas zastał w wielkiej jakiejś wsi, która się ciągnęła kilometry. Szosa we wsi skręcała w lewo. Nam wypadał kierunek w prawo w skos. Ponieważ zobaczyliśmy na drodze, w lewo daleko grupkę pierwszych w tym dniu ludzi, więc skręciliśmy w prawo wskos i poszliśmy dalej polami, potym łąką.

Słońce wzeszło (był czwartek).

Teren był całkowicie otwarty. Posuwać się w dzień – było ryzykownie. Znaleźliśmy krzak wielki i w nim przesiedzieliśmy dzień cały, nie mogąc zasnąć, z powodu że był na podmokłym gruncie, a siedząc na kamieniu lub gałęziach krzaka, trudno było usnąć.

Wieczorem, gdy słońce zaszło już, lecz było jeszcze widno, Jasiek wyszedł na rozpoznanie w kierunku naszego marszu. Zjawił się wkrótce, przynosząc wiadomość, że w pobliżu jest Wisła z prawej strony i że chcąc nie utracić dotychczasowego kierunku należy ją tu przepłynąć. Są łodzie i jest przewoźnik, który może nas przewieźć na drugi brzeg rzeki.

Zdecydowaliśmy przepłynąć łodzią przewoźnika. Wyszliśmy z krzaku. Podeszliśmy do rzeki. Przewoźnik zmierzył nas wzrokiem. Wsiedliśmy do łódki. Łódź odbiła od brzegu. Wylądowaliśmy szczęśliwie po drugiej stronie, rzeki. Zapłacony markami przewoźnik jeszcze dziwniej na nas spojrzał.

Przed nami były III [wieże tynieckiego klasztoru][409] i samo miasteczko IV [Tyniec][410].

Szliśmy główną drogą przez mieścinę. Ludzie po pracy wracali do domu. Szły spóźnione krowy, spiesząc do zagród. Stojący przy domach swoich gospodarze, przyglądali się nam ciekawie.

Chciało nam się bardzo i jeść i również czegoś się napić gorącego. Noce były zimne. Ja ostatnią noc spałem z niedzieli na poniedziałek w szpitalu w Oświęcimiu, lecz wejść do domów, do ludzi, nie decydowaliśmy się jeszcze.

409 Opactwo Benedyktynów w Tyńcu.

410 Dawna wieś podkrakowska, dzisiaj włączona do miasta, u podnóża klasztoru Benedyktynów.

Przy końcu już miasteczka, z lewej strony przy bramie swego domku stał jakiś starszy człowiek i patrzył na nas. Cała sylwetka była tak ujmująca, że powiedziałem do Edka, żeby zapytał o mleko.

Edek podszedł i spytał, czy nie można kupić mleka. Gospodarz zaczął nam kiwać ręką i zapraszać do wejścia do domku jego, mówiąc: chodźcie, chodźcie… ja wam dam mleka… Było w słowach jego coś takiego, co nie należało już do poruszanego tematu – o mleku, wyglądał jednak tak uczciwie że wejść do jego domku zdecydowaliśmy się.

Gdy weszliśmy do niego i zaprezentował już nam swoją rodzinę: żonę i dzieci, wtedy stanął przed nami i powiedział: „Ja was o nic pytać nie będę… ale wy tak nie chodźcie!…" Potym wyjaśnił, że sam wiele w tamtej wojnie przeszedł. Że nic nie chce wiedzieć. Nakarmił nas gorącym mlekiem, kluskami, jajami, chlebem i zaproponował nocleg w stodole, gdzie nas na klucz zamknie. „Wiem, powiedział że mnie nie znacie i możecie się obawiać, to też nie nalegam, lecz jeśli mnie wierzycie, zostańcie i bądźcie – spokojni".

Miał taką twarz, oczy i cały był tak przejrzyście uczciwy, że zostać zdecydowałem.

Zostaliśmy na noc zamknięci w stodole, znowu pod kluczem, a jednak spaliśmy spokojnie na poduszce prawdziwej, od lat niewidzianej.

Tak skończył się czwartek 29-go kwietnia.

Rano otworzył nam sam gospodarz, solo – bez żandarmów. Nakarmił, napoił. Nagadaliśmy się serdecznie. Zmieniliśmy pieniądze. Był to szczery, uczciwy Polak-patriota.

Więc są ludzie na świecie… Nazywał się 175[411]. Cała rodzina jego serdecznie nas przyjmowała. Powiedzieliśmy skąd idziemy. Napisaliśmy znowu listy do rodzin. Ma się rozumieć nie na adres znany władzom z Oświęcimia.

Po śniadaniu poszliśmy dalej polami, lasami, zostawiając V i VI[412] z lewej strony. Dalej szliśmy na VII [Wieliczka][413].

Z piątku na sobotę nocowaliśmy w jakiejś pojedyńczo stojącej w polu chałupie, gdzie była para młodych małżonków z dziećmi. Przyszliśmy późno, wyszliśmy – zanim wstali rano. Zapłaciliśmy i poszliśmy dalej.

Ominęliśmy VII [Wieliczka] i szliśmy na lasy VIII [Puszcza Niepołomicka][414].

Była sobota 1-go maja weszliśmy w lasy pachnące żywicą. Pogoda była piękna słońce kładło po przez konary złote plamy na usianej igłami ziemi. Wspinały się wiewiórki, przebiegały sarny.

Prowadziliśmy na zmianę ja z Jasiem, Edek stanowił ariergardę.

Dzień mijał narazie bez wypadku. Chciało nam się jeść. Po południu od 14-tej prowadził Jasio. Weszliśmy na szeroką drogę, która szła dla nas w odpowiednim kierunku.

411 Piotr Mazurkiewicz – mieszkaniec Tyńca. Według relacji Edwarda Ciesielskiego miał to być mieszkaniec tej miejscowości o nazwisku Piotrowski.

412 Miejscowości oznaczone w *Raporcie* numerami V i VI nie zostały jednoznacznie zidentyfikowane.

413 Miasto powiatowe na wschód od Krakowa. Na wcześniejszych stronicach Bochnię oznacza litera „Z".

414 Kompleks leśny w zachodniej części Kotliny Sandomierskiej, na wschodzie od Krakowa.

Jasio prowadził po drodze. Około 16-tej podeszliśmy do jakiegoś szerszego ruczaju, przez który był most. Za mostem stały budynki z lewej strony drogi – leśniczówka i parę szop, z prawej – inne budynki.

Jasio szedł nieco odważnie wprost na most i na leśniczówkę. Zbyt długo nam się wszystko udawało, więc przestaliśmy być ostrożni. Wprowadzało nas w błąd, że nie było widać żadnego ruchu – ludzi i zielono pomalowane okiennice leśniczówki były wszystkie zamknięte.

Przechodząc koło leśniczówki spojrzeliśmy na dziedziniec, który był za nią i rozciągał się do szop. Na dziedzińcu maszerował w kierunku drogi – w naszym kierunku żołnierz niemiecki, możliwe że żandarm, z karabinkiem w ręku. Na pozór zewnętrznie nie reagowaliśmy wcale, żeby możliwie długo maszerować dalej, byliśmy już za leśniczówką jakieś dziesięć kroków. Cała nasza reakcja odbywała się wewnątrz. Lecz zareagował na zewnątrz – żandarm. „Halt!”[415] – maszerujemy dalej niby nic nie słysząc. „Halt!” – rozlega się po raz drugi za nami i jednocześnie słyszymy szczęk repetowanego karabinu. Zatrzymujemy się spokojnie wszyscy z uśmiechniętymi minami. Żołnierz jest za ogrodzeniem dziedzińca od nas metrów 30–35. Z szopy odległej o 60 metrów wychodzi szybko drugi żołnierz. Więc my mówimy: „Ja. Ja... Alles gut...”[416] – i spokojnie zawracamy w ich kierunku.

Widząc nasz spokój żołnierz pierwszy, który broń miał przygotowaną do strzału, opuszcza karabinek. – Wówczas widząc to mówię spokojnie: „Chłopcy – wiać!” i rzucamy się wszyscy w różne strony do ucieczki. Jasiek pod prostym kątem do kierunku marszu w prawo, Edek wzdłuż drogi w kierunku marszu – rowem, a ja pomiędzy nimi w prawo wskos.

Jak biegliśmy – muszę znowu powiedzieć, że opisać trudno. Każdy biegł – jak umiał. Skakałem przez pnie, ogrodzenie szkółki, krzaki.

Strzelano w nas bardzo wiele razy. Gwizdało koło ucha nieraz.

W pewnej chwili poczułem gdzieś, bodaj w pacierzowym stosie, że teraz wyraźnie któryś mierzy we mnie.

Szarpnęło coś prawym ramieniem. Pomyślałem: drań! – trafił! – lecz nie czułem bólu. Biegłem dalej, szybko się oddalając.

Zobaczyłem Edka z lewej strony daleko. Krzyczałem na niego. Zobaczył i zaczęliśmy się zbliżać, biegnąc we wspólnym kierunku. Byliśmy już dobrych 400 metrów od leśniczówki, a tamci wciąż strzelali. Ponieważ nas już widzieć nie mogli, sądziłem, że strzelają w Jaśka – może go zabili...

Tymczasem z Edkiem siedliśmy na wykrocie.

Musiałem opatrzyć krwawiącą nieco ranę. Miałem przestrzelone ramię prawe, bez naruszenia kości. Pozatym jednak nieszkodliwych przestrzałów ubrania miałem kilka.

415 Stać!

416 Tak, tak, wszystko w porządku.

Spodnie i wiatrówka przestrzelone były razem w czterech miejscach. Po zawiązaniu chusteczką rany, ruszyliśmy dalej z Edkiem na wschód.

Edek proponował w wykrocie pozostać, lecz ja sądziłem że będzie lepiej wyjść szybciej z tego rejonu, gdyż niemcy mogą telefonicznie się porozumieć i zrobić większą obławę.

Myślałem, że z Jaśkiem mogło być niedobrze, gdyż strzelano długo nie w naszą stronę.

W godzinę potym przyszliśmy do wioski jakiejś, gdzie wprost powiedzieliśmy, że jesteśmy „Chłopcy z lasu", że było nas trzech, a teraz jest – dwóch. Słyszeli strzały – może przyjaciela zabito...

Dali nam mleka i chleba ci poczciwi ludzie i przewodnika, który nas do promu doprowadził. Promem przejechaliśmy rzeczkę nieszeroką i znaleźliśmy się w jakiejś wsi większej, kościelnej. Tu spotkaliśmy niemieckich żołnierzy znowu, lecz oni szukali we wsi jedzenia, na nas wcale nie zwracając uwagi, sądząc przypuszczalnie, że jesteśmy tej wsi mieszkańcami.

Wreszcie po opuszczeniu tej wioski ujrzeliśmy zdala miejscowość IX [Bochnia][417], najbliższy cel naszego marszu. Ponieważ jednak mieszkanie rodziny 164 [Edmund Zabawski] było po drugiej stronie miasteczka, a było już w pół do ósmej wieczór, godzina policyjna była tu od 8-mej, przez miasteczko ze względu na nasz wygląd iść nie chciałem, więc na noc zostaliśmy z Edkiem na strychu u jednego gospodarza, do którego domu doszliśmy okalając miasteczko od strony północnej i wschodniej.

Rano w niedzielę 2-go maja wybraliśmy się w niedaleką już drogę do państwa 176[418].

Zbliżyliśmy się do domu tych państwa i na ganku ujrzeliśmy starszego pana i panią – teściów 164 [Edmund Zabawski] oraz młodą panią – jego żonę i córeczkę Marysię.

Gospodarze uśmiechnięci, powitali nas uprzejmie i o nic nie pytając zapraszali do wejścia do domu. W mieszkaniu przedstawiliśmy się jako koledzy 164. Gospodarze zapraszali nas do dalszych pokoi, gdzie po otwarciu drzwi do ostatniego pokoiku ujrzeliśmy na łóżku śpiącego smacznie – Jasia.

Po obudzeniu jego, rzuciliśmy się sobie w objęcia.

Jasio – ubrany przyzwoicie wczoraj już wieczorem przeszedł miasteczko i zjawił się tutaj. Tym się tłomaczyło, że gospodarze, uprzedzeni przez Jasia że przybędziemy, nic nam nie mówiąc, zapraszali z uśmiechem nas do wejścia do domu.

Ubranie Jasia i tłomoczek, co niósł pod pachą były przestrzelone w kilku miejscach. On sam nie był ranny.

Moja rana była niegroźna. Udało nam się więc wszystkim.

U państwa 176 [Oborowie] i od pani 177[419] doznaliśmy tak wielkiej serdeczności i gościnności, jak tylko we własnej rodzinie i we własnym domu po długim niewidzeniu doznać by można było.

417 Miasto powiatowe na wschodzie od Krakowa.

418 Józef i Teofila Oborowie – teściowie Edmunda Zabawskiego.

419 Helena Zabawska – żona Edmunda Zabawskiego, więźnia KL Auschwitz.

Tu powinni byliśmy chyba kilka razy dziennie powtarzać, że... są jednak ludzie na świecie...

Opowiadania o przeżyciach w Oświęcimiu wspólnych z przyjacielem naszym, a drogim dla nich 164 [Edmund Zabawski] słuchane były z wielkim zainteresowaniem, z odczuciem serdecznym i życzliwością.

Po pierwszym poznaniu i zdobyciu wzajemnego zaufania, wymieniając umówione hasła, prosiłem by mnie skontaktowano z kimś z organizacji wojskowej. W parę godzin potym rozmawiałem już z kolegą Leonem 178[420], którego po wymianie haseł prosiłem o kontakt z miejscowym komendantem placówki.

Kolega Leon przedstawił mi możliwości rozmawiania z dwoma panami, dając mi do wyboru, jednego – z rejonu północnego IX [Bochnia], drugiego – z rejonu południowego, który mieszkał stąd o 7 kilometrów w miejscowości X [Nowy Wiśnicz][421]. Powiedziałem, że mnie jest wszystko jedno. Kolega Leon zaproponował mi, że pójdziemy może do komendanta w miejscowości X, gdyż to jest jego przyjaciel.

Gościłem u państwa 176 [Oborowie] przez niedzielę i poniedziałek (2-go i 3-go maja). We wtorek rano, ubrany w przyzwoite ubranie kolegi Leona, szedłem obok niego do X [Nowy Wiśnicz]. Jasio i Edek pozostali nadal w gościnie u państwa 176 [Oborowie].

Dzień był piękny, słoneczny. Szliśmy rozmawiając wesoło. Kolega Leon prowadził ze sobą rower, na którym miał wrócić do domu, gdyż przypuszczał, że komendant placówki mnie zatrzyma gościnnie u siebie.

Idąc myślałem nad tym, że tyle sensacji miałem w ciągu lat ostatnich i oto skończyły się wszystkie. A los tymczasem przygotował już znowu wielką dla mnie, sensacyjną niespodziankę...

W połowie drogi mniej więcej, w jakimś lasku, usiedliśmy na pniach, by odpocząć.

Spytałem kolegę Leona przez ciekawość, jak się nazywa komendant placówki, do którego idziemy, bo i tak przecie poznam go wkrótce.

Leon mi odpowiedział dwa słowa: imię i nazwisko wymieniając... dwa słowa, dla innych ludzi słowa zupełnie – zwykłe... dla mnie były to słowa niezwykłe, a raczej niezwykłym był niesamowity jakiś przypadek... i dziwny zbieg okoliczności...

Komendant placówki nazywał się tak... jak ja się nazywałem w Oświęcimiu...

Więc to pod jego nazwiskiem siedziałem ja tyle dni w piekle... a on o tym nic dotąd nie wiedział...

I teraz właśnie do niego droga mnie wiodła... do właściciela tego nazwiska...

Los?... ślepy los?... Jeśli naprawdę był to tylko los, to chyba nie był ślepy!...

420 Leon Wandasiewicz nie był związany z konspiracją w Bochni, ale prawdopodobnie z placówką w Wiśniczu Nowym, przyjaźnił się bowiem z jej komendantem por. Tomaszem Serafińskim.

421 Nowy Wiśnicz – miasteczko w powiecie bocheńskim. W dawnym klasztorze Karmelitów mieściło się najcięższe więzienie karne w Polsce, wykorzystywane także przez Niemców w okresie okupacji.

„Zatknęło" mnie, przestałem mówić, a kolega Leon spytał: „Co pan tak zamilkł?" – „Eh! nic – zmęczyłem się trochę".

Obliczałem właśnie dnie, ile ich przesiedziałem w Oświęcimiu.

Było ich tam za drutami – w tym piekle – 947. Prawie już tysiąc... „Chodźmy już prędzej – rzekłem – czeka pana i komendanta placówki pewna niezwykła niespodzianka" – „Tak – więc chodźmy!"

Zbliżaliśmy się do pięknej miejscowości X [Nowy Wiśnicz], położonej w dołach i na pagórkach, z zamkiem pięknym na wzgórzu.

Idąc myślałem: no tak – tu przecież w IX [Bochnia] fikcyjnie się urodziłem. Tu jeździł niegdyś 158 [Zygmunt Ważyński], by załatwić sprawę moją u księdza 160 [Franciszek Kuc]. –

Na werandzie domku położonego wśród ogrodu siedział pan jakiś z małżonką i córeczkami. Podeszliśmy do nich. Kolega Leon szepnął mu, że może mówić otwarcie.

Ja się przedstawiłem jemu nazwiskiem, które nosiłem w Oświęcimiu. On – odpowiedział: ja też jestem... „Ale ja jestem – Tomasz [Serafiński]" „Ja też jestem Tomasz [Serafiński]" odrzekł zdziwiony. Kolega Leon przysłuchiwał się tej rozmowie zdumiony. Pani – obserwowała mnie również.

„Ale ja jestem urodzony", tu wymieniłem dzień, miesiąc i rok, który tyle razy w Oświęcimiu należało powtarzać przez lata przy każdej zmianie bloku lub komanda, przy spisach robionych przez capów.

Pan omal że się nie zerwał z miejsca „Jak to – Panie? To są moje dane." „Tak – to są Pana dane, lecz ja przeżyłem pod nimi więcej znacznie od Pana". I opowiedziałem mu, że siedziałem w Oświęcimiu przez dwa lata i siedem miesięcy, a teraz z tamtąd uciekłem.

Na odwrocie s. 101 maszynopisu *Raportu* znajduje się kilka odręcznych notatek autora, trudnych jednak do odczytania.

Różnie ludzie różni mogli by na to zareagować. Mój imiennik i właściciel nazwiska, które przez tysiąc lat, zdawało mi się że jest mojem, roztworzył ramiona. Ucałowaliśmy się serdecznie i staliśmy się przyjaciółmi odrazu.

Lecz jakże to się stało? – pytał mój imiennik.

Spytałem, czy zna panią dr. 83 [Helena Pawłowska] w Warszawie. Tak jest. Mieszkał tam. – Tak. Robiono tam dla niego dowód – wyjechał wcześniej, zanim dowód był gotowy. Potym ja skorzystałem z dowodu, jako jednego z kilku „lipnych", które posiadałem w tym czasie.

U państwa 179[422] mieszkałem trzy i pół miesiąca.

422 Tomasz i Ludmiła Serafińscy – właściciele Koryznówki k. Nowego Wiśnicza, gdzie Pilecki ukrywał się przez trzy i pół miesiąca.

Przesłaliśmy wiadomość przez przyjaciół do księdza 160 [Władysław Kuc], żeby w księdze metrycznej gumką wytarł napisane niegdyś ołóweczkiem, koło nazwiska mego imiennika, dane mnie wówczas tak potrzebne.

Tu montowałem oddział przy pomocy 84 [Tomasz Serafiński] i 180[423], chcąc ewentualnie, jeśli z Warszawy przyjdzie akceptacja mego planu, uderzyć na Oświęcim, po porozumieniu się z kolegami w obozie.

Mieliśmy z kolegą 180 [Andrzej Możdżeń] trochę broni i mundurów niemieckich. Napisałem list do rodziny, do przyjaciela 25 [Stefan Bielecki], który niegdyś wysłany był z Oświęcimia, za pomocą ucieczki, z raportem, a obecnie był w Warszawie i pracował w jednym z działów Komendy Głównej.

Napisałem do XI [Warszawa] list do 44 [Wincenty Gawron], który również był z Oświęcimia wysłany z raportem, za pomocą ucieczki, chcąc nawiązać kontakt dla dalszej pracy.

1-go czerwca z Warszawy, przyleciał jak na skrzydłach przyjaciel mój 25 [Stefan Bielecki], przywożąc mi cenne wiadomości, że pani E.O. [Eleonora Ostrowska], do której pisałem listy z Oświęcimia, szczęśliwie mieszka dalej. Gestapo straszyło odpowiedzialnością rodzinę tylko. Tu – nie mieli żadnej racji ani interesu wkraczać do osoby znajomej w ich pojęciu tylko. –

Do rodziny mojej śladu nie mieli i nie znali nazwiska.

25 [Stefan Bielecki] przywiózł mi również dowód i pieniądze.

Omówiłem z nim sprawę, tłomacząc, że do Warszawy nie pojadę narazie, zanim mam nadzieję, że mi na Oświęcim od zewnątrz już teraz pozwolą uderzyć. Chyba, że będzie wyraźny tego zakaz – wtedy do Warszawy przyjadę.

Przyjaciel zmartwiony nieco, że samotnie wraca, pomimo że obiecał rodzinie przywieźć mnie ze sobą, odjechał do Warszawy.

5-go czerwca zjawił się gestapowiec miejscowy i ss-mann z Oświęcimia najpierw u matki Tomka [Tomasz Serafiński] (mego imiennika) i pytali panią, gdzie jest jej syn. Odpowiedziała, że w pobliżu od lat całych mieszka.

Przyjechali do Tomka.

Ja byłem w tamtej chwili bardzo blisko.

SS-mann musiał już być poinformowany przez miejscowego gestapowca, że 84 [Tomasz Serafiński] mieszka tu od dawna. Spojrzał tylko na jego twarz i na trzymany papier w ręku (pewno porównywał z moją fotografią, z wypchniętymi policzkami).

Spytał o owoce, czy będą na jesieni i – odjechał.

W pracy w X [Nowy Wiśnicz] poznałem pierwszorzędnych ludzi i wartościowych Polaków, prócz państwa 179 [Serafińscy] jeszcze p. 181[424].

423 Andrzej Możdżeń – żołnierz AK, szef dywersji obwodu Bochnia AK.

424 Józef Roman – prawdopodobnie chodzi o Adolfa Romana, współpracownika T. Serafińskiego w placówce AK Nowy Wiśnicz.

Następnie przyjaciel 25 [Stefan Bielecki] przysłał z Warszawy paczkę ze środkami najnowszymi walki z najeźdźcą i list w którym pisał, że w Warszawie bardzo przychylnie się ustosunkowali... (czytając to przez moment już drgnąłem zadowoleniem) sądząc, że do akcji na Oświęcim, lecz dalej były słowa: ...do odznaczenia mnie za pracę w Oświęcimiu... Jednak ma nadzieję, że sprawa zezwolenia na akcję również pójdzie dobrze.

Tymczasem w lipcu otrzymałem list z tragiczną wiadomością o aresztowaniu gen. Grota[425].

Wobec sytuacji nieco gorączkowej w Warszawie, rozumiałem że teraz odpowiedzi w sprawie Oświęcimia nie mogę tu czekać i zdecydowałem pojechać do Warszawy.

23-go sierpnia byłem już w Warszawie. We wrześniu przyjechał do Warszawy Jasio [Jan Redzej], a w grudniu – Edek [Edward Ciesielski].

Pracowałem w Warszawie w jednej z komórek K.G. [AK][426]

Przedstawiałem odpowiednim czynnikom sprawę pozostałych w Oświęcimiu kolegów i potrzebę wyraźnego postawienia tam pracy.

Dowiedziałem się, że 161 [Bolesław Kuczbara] będąc na Pawiaku sypał górę organizacji w Oświęcimiu, że poszedł na robotę dla niemców.

Został zwolniony z Pawiaka i chodził po Warszawie z pistoletem w kieszeni, wkrótce został zlikwidowany na Placu Napoleona[427].

Byłem w kontakcie listowym z kolegami w Oświęcimiu przez ich rodziny na wolno[ś]ci. Podtrzymywałem na duchu, lecz uważałem, że to za mało.

Wkrótce przyszła wiadomość, że zginęli przez rozstrzelanie (może na skutek zeznań 161 [Bolesław Kuczbara]) szereg przyjaciół w Oświęcimiu, z góry naszej tam organizacji.

Widziałem na liście do wykończenia w Kiedywie[428] nazwisko Westrycha Wilhelma, który mnie kiedyś ratował w Oświęcimiu. Wiedziałem – że jest drań, lecz nawet jeślibym chciał coś w tej sprawie zmienić, było zapóźno, gdyż koło nazwiska była notatka: wykonane dnia...

Spotkałem idącego ulicą Sławka [Sławomir Szpakowski], z którym kuliśmy razem w Oświęcimiu kilofami, marząc o tym jak on mnie na obiad kiedyś w Warszawie zaprosi. Obaj byliśmy optymistami i jak mówili wtedy ludzie, myśleliśmy nierealnie i oto obaj spotkaliśmy się znowu w Warszawie żywi.

---

425 Dowódca AK gen. Stefan Paweł Rowecki „Grot" został aresztowany przez gestapo w Warszawie 30 czerwca 1943 r. prawdopodobnie wskutek denuncjacji przez sowiecką agenturę i osadzony w KL Sachsenhausen. W akcie zemsty za wybuch Powstania Warszawskiego został na rozkaz H. Himmlera zamordowany między 2 a 7 sierpnia 1944 r.

426 Pilecki służył w Wydziale III Operacyjnym KG AK i pełnił funkcję zastępcy dowódcy Brygady Informacyjno-Wywiadowczej.

427 Plac w Śródmieściu Warszawy, od 1957 r. pl. Powstańców Warszawy.

428 Kiedyw, poprawnie Kedyw – Kierownictwo Dywersji. Wydzielona struktura AK, nadzorująca i koordynująca działania komórek dywersyjnych na wszystkich szczeblach konspiracji, od KG do placówek i oddziałów partyzanckich. Zadaniem Kedywu było prowadzenie walki czynnej, głównie sabotażowej i dywersyjnej, a także akcji odwetowych i likwidacyjnych.

On – niósł jakąś paczkę i na widok mój– omal nie wypuścił jej na ziemię.

Obiad jadłem nieraz u niego i to podług menu, które układaliśmy w piekle...

Mieszkałem w domu, skąd poszedłem w roku 1940 do Oświęcimia i gdzie pisywałem listy z obozu do pani E.O. [Eleonora Ostrowska], tylko o piętro wyżej.

Dawało mi to zadowolenie z pewnego wyzwania w stosunku do władz.

Nikt nigdy do końca okupacji nie zjawił się u pani E.O. – w sprawie mego zniknięcia z Oświęcimia. Do siostry Jasia [Jan Redzej] – również nikt nie przyszedł, jak również do rodziny Edka [Edward Ciesielski].

Przedstawiałem plan akcji na Oświęcim szefowi planowania akcji Kiedywu („Wilk”-„Zygmunt” [mjr Karol Jabłoński]) w jesieni 1943 r., który mi powiedział: „Po wojnie pokażę panu taki plik aktów na temat Oświęcimia, gdzie są i wszystkie meldunki Pana...”[429]

Napisałem ostatni raport na temat Oświęcimia na 20 stron maszynowego pisma i na ostatniej stronie koledzy, którzy meldunki wieźli, napisali mi własnoręcznie co komu i kiedy w tej sprawie składali.

Zebrałem takich oświadczeń osiem, gdyż reszta albo nieżyła, albo była w Warszawie nieobecna.

Prócz pracy w pewnym dziale K.G. zajęty byłem opiekowaniem się rodzinami więźniów Oświęcimia żyjących, lub tych którzy zginęli.

Pomagał mi w tym kolega 86 [Aleksander Paliński]. Pieniądze na zapomogi dostawaliśmy przez dobrze zorganizowaną komórkę, złożoną z trzech pań 182 [NN], które poświęcały wiele pracy więźniom i ich rodzinom.

Przez panie te zawiadomiony byłem razu pewnego, że jest ktoś, w czyim rejonie pracy leży Oświęcim. Że jest „pistolet”, doskonale pracę postawił i może przez niego można będzie dotrzeć do więźniów w Oświęcimiu, gdyż ostatnio kontakt przez organizację w terenie się urwał.

Pan ten wyjeżdżał już i nie mogłem go zobaczyć, ponieważ jednak tak dobrze pracę prowadził i twierdził, że może wejść w kontakt z więźniami... Chciałem ułatwić mu drogę i podałem nazwisko kolegi – więźnia Oświęcimia – Mu[r]zyna[430], żeby powołał się na Tomasza [Serafińskiego] i dla orientacji powiedziałem mu, że Tomasz wyszedł na Wielkanoc.

Wśród kolegów pewnych, spotykałem kilka razy kolegów, z Oświęcimia, którzy wcale pewnymi nie byli (zwolnieni dawniej), lecz ci sądzili, że ja też jestem zwolniony.

10-go czerwca 1944 r. na Marszałkowskiej raptem ktoś roztworzył ramiona i powiedział: „No – nie wierzę żeby ciebie z Oświęcimia wypuścili!” Ja – odpowiedziałem że również nie wierzę żeby wypuścili – jego. Był to Olek 167 [Aleksander Bugajski].

429 Oddział III Kedywu (Operacyjny) nosił kryptonim „Cyrkiel”-„Wilk”, a na jego czele stał mjr Karol Jabłoński „Zygmunt”.

430 Leon Murzyn – ur. 7 października 1914 r. w Krzesławicach, nauczyciel, of. rez. WP, ppor. piech. ze starsz. z 1 stycznia 1938 r. Do KL Auschwitz przywieziony drugim transportem krakowskim 20 czerwca 1940 r., otrzymał nr 820. W 1944 r. przeniesiony do KL Sachsenhausen, wojnę przeżył.

Ten szczęściarz jak kot zawsze na cztery łapy spada. Wkręcił się jako lekarz z S.K. do transportu do Ravensbrück i z tamtąd uciekł[431].

Zawiadomiły mnie panie 182 [NN], że pan ten co pracuje w rejonie Oświęcimia, znowu tam jedzie i chce mnie widzieć.

Pospieszyłem na spotkanie. Przyszedłem parę minut przed przyjściem tego pana. Panie dyskretnie pozostały w innym pokoju, czekając co wyjdzie ze spotkania takich asów.

Czekałem chwilę, sądząc że przyjdzie jakiś – orzeł. Drzwi się otworzyły i... wtoczyła się – kuleczka, mała, łysa, z zadartym noskiem. No – wygląd zewnętrzny niczego nie mówi. Siadamy i pan ten energicznie przystępuje do sprawy w te słowa: „A co, żebym ja... wziął deskę... i namalował – murzyna... i tak z tą deską... z namalowanym murzynem... pod mur Oświęcimia się podsunął...?" – Wstałem przepraszając i poszedłem do pań. „Z kim panie mnie skontaktowały? Czy można z nim rozmawiać poważnie?..." „Ależ można – to jest doskonały organizator i pan..." tu wymieniły stopień.

Wróciłem myśląc, że taki ma sposób rozpoczynania rozmów i nakazując sobie cierpliwość. Pan ten gdy zająłem miejsce przy stole, powiedział wtedy, widząc że jakoś ten murzyn mnie nie odpowiada: „Albo – może... nie murzyna... a namalowałbym św. Tomasza... albo – babkę wielkanocną...?!"

Przyznam się, że dusiłem się od wewnętrznego śmiechu i myślałem, że połamię krzesło, w które obu rąk palce starałem się w drzewo wsadzić, aż do bólu... by śmiechem nie wybuchnąć.

Wstałem – i powiedziałem, że dzisiaj niestety rozmowa nasza nie dojdzie do skutku, bo muszę już gdzieindziej spieszyć.

To nie jest mój wymysł, tak było – naprawdę...

W końcu lipca 1944 tydzień przed powstaniem, ktoś jadącego mnie rowerem ulicą Filtrową zatrzymał, wołając: Hallo! – Zatrzymałem się niechętnie, jak zawsze w czasach konspiracji. Podszedł do mnie pan jakiś. W pierwszej chwili go nie poznałem, lecz trwało to moment tylko. Był to mój przyjaciel z Oświęcimia kpt. 116 [Zygmunt Pawłowicz].

W powstaniu braliśmy udział z Jaśkiem [Jan Redzej] na jednym odcinku. Opis naszych poczynań i śmierć mego przyjaciela opisana jest w historii I-go Batalionu „Zgrupowania Chrobry II"[432].

Edek [Edward Ciesielski] dostał w Akcii 5 kul, lecz szczęśliwie wybrnął z tego.

431 Pilecki podaje nieścisłą informację: Bugajski zbiegł z KL Klützow, dokąd przeniesiono go z KL Ravensbrück – niemieckiego obozu koncentracyjnego dla kobiet i dzieci (w późniejszym okresie funkcjonowały także podobozy męskie) założonego w listopadzie 1938 r. niedaleko miejscowości Furstenberg w Brandenburgii. Trafiło tam ponad 132 tys. osób (wśród nich ok. 40 tys. Polek, m.in. z AK), z których zginęło 92 tys. (wśród nich ok. 32 tys. Polek). W obozie przeprowadzano eksperymenty pseudomedyczne.

432 Największa powstańcza jednostka NSZ; z czasem w jej składzie walczyli także żołnierze AK i innych formacji podziemia. Zgrupowanie liczące ok. 3 tys. żołnierzy walczyło w Śródmieściu. Pilecki dowodził jednym z pododdziałów tego zgrupowania, broniącym tak zwanej reduty Witolda. Zgrupowanie zasłynęło tym, że przez cały okres walk nie oddało wrogowi ani kawałka bronionego terenu.

W Akcji Powstania był ciężko ranny przyjaciel 25 [Stefan Bielecki].

Spotkałem również w Akcji Powstania przyjaciela 44 [Wincenty Gawron].

Potym, gdzieindziej spotkałem kolegów, którzy siedzieli prawie do końca w Oświęcimiu (styczeń 1945 r.), kolegów 183 [NN] i 184 [NN]. – I było dla mnie niezmiernie miłem, gdy opowiadali o echach ucieczki przez piekarnię. O tym że obóz śmiał się z wyprowadzenia w pole władz obozu i o tym, że żadnych represji w stosunku do kolegów – nie było! Za wyjątkiem pilnujących nas ss-mannów, którzy siedzieli jakiś czas w bunkrze.

Podaję tu liczbę ludzi którzy zginęli w Oświęcimiu.

Gdy wychodziłem z Oświęcimia numer bieżący był 121 tysięcy z czymś. Żyjących takich którzy wyjechali transportem i zwolnionych było około 23 tysięcy. Zginęło numerowanych więźniów około 97 tysięcy[433].

Nie ma to nic wspólnego z ilością ludzi, których masami, bez ewidencjonowania gazowano i palono.

Tych na podstawie obliczeń codziennie notowanych, przez pracujące w pobliżu komanda, do chwili mego wyjścia z Oświęcimia, zginęło ponad dwa miliony ludzi.

Podawałem te liczby oględnie, żeby ni[e] przesadzić, raczej codziennie podawane liczby przedyskutować dokładnie.

Koledzy – którzy tam dłużej siedzieli i byli świadkami gazowania dziennie po osiem tysięcy ludzi podają liczbę plus minus pięciu milionów ludzi[434].

Teraz chciałem jeszcze powiedzieć co czułem wogóle wśród ludzi, gdy się znowu pomiędzy nimi znalazłem, wracając z miejsca, o którym naprawdę można powiedzieć: kto wszedł ten – umarł, kto wyszedł, ten – się narodził na nowo. Jakie wrażenie odniosłem nie wśród tych najlepszych, lub – najgorszych, lecz wogóle w całej masie ludzkiej, po powrocie do życia na ziemi.

Czasami wydawało mi się, że chodząc po wielkim domu, otworzyłem nagle drzwi do jakiegoś pokoju – gdzie są same – dzieci... „aaa! dzieci się bawią..."

Tak – był przeskok zbyt wielki w tym co dla nas było ważnym, a co za ważne uważają ludzie, czym się kłopoczą, cieszą i martwią.

Lecz to by było jeszcze nie wszystko... Zbyt widocznym stało się teraz powszechne jakieś krętactwo. Biła wyraźnie w oczy jakaś praca niszcząca nad zatarciem granicy pomiędzy prawdą a fałszem.

433 Liczba więźniów zamordowanych w KL Auschwitz jest trudna do ustalenia ze względu na znaczne zniszczenia dokumentacji niemieckiej.

434 Dane szacunkowe przez długi czas niekwestionowane. Dopiero wiele lat po wojnie zaczęto analizować straty i prowadzić poważniejsze badania z wykorzystaniem źródeł archiwalnych, sugerując konieczność weryfikacji. Pilecki opierał się na obliczeniach szacunkowych, wynikających z informacji zdobytych przez struktury podziemia.

Prawda stała się tak rozciągliwa, że naciągano ją, przysłaniając wszystko, co ukryć było wygodniej.

Skrzętnie zatarto granicę pomiędzy uczciwością, a zwykłym krętactwem.

Nie to jest ważne – co napisałem dotychczas na tych stronach kilkudziesięciu, szczególnie dla tych, co czytać je będą li tylko jako sensację, lecz tutaj chciałbym pisać tak wielkimi literami, jakich niema niestety w maszynowym piśmie, żeby te wszystkie głowy, co pod pięknym przedziałkiem mają wewnątrz przysłowiową wodę i matkom chyba tylko mogą dziękować za dobrze sklepione czaszki, że owa woda im z głów nie wycieka – niech się trochę zastanowią głębiej nad życiem własnym, niech się rozejrzą po ludziach i zaczną walkę od siebie, ze zwykłym fałszem, zakłamaniem, interesem podtasowanym sprytnie pod idee, prawdę, a nawet wielką sprawę.

W archiwum SPP w Londynie znajduje się kartka z odręczną niedatowaną notatką sporządzoną przez Witolda Pileckiego: *Z braku czasu nie mogę tej pracy skończyć teraz. W każdym razie udało się trójce Oświęcimiaków wyjść szczęśliwie i dalsza ich historja to Zgrupowanie Chrobry II w Powstaniu Warsz[awskim] 1944 (opis hist[orii] I Baonu Zgrup[owania] Chr.[robry] II znajduje się w Biurze Historycznym w S.-Giorgio).*


Witold Pilecki
13.05.1901 - 25.05.1948
P Pole
4859
K.L.Auschwitz
M.B.P.
WARSZAWA
1947
165



WITOLD PILECKI 13.05.1901 — 25.05.1948

ROTMISTRZA WITOLDA PILECKIEGO „KOMENTARZ" DO *RAPORTU*

...z tego obozu, z tego czasu oszustw,
będziemy musieli zdać ludziom żywym relacje
i stanąć w obronie zmarłych...

Tadeusz Nel Siedlecki, Krystyn Olszewski, Tadeusz Borowski, *Byliśmy w Oświęcimiu*, Monachium 1946

Rotmistrz Witold Pilecki był jednym z najdzielniejszych, najwierniejszych i najbardziej niezłomnych żołnierzy Polski Walczącej. Jego życie wypełniała służba i postawa ofiarności wyrażona odwagą osobistą i najwyższym poświęceniem. W odradzającą się Polskę wrastał jako harcerz, obrońca Wilna, ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r., później oficer rezerwy (kawalerzysta) i ziemianin-obywatel na wzór rzymskiego Cyncynata. Od 1939 r. nieprzerwanie pozostawał w czynnej służbie na rzecz Niepodległej. Po wrześniowej przegranej nie złożył broni, co więcej – wykazał niezwykły hart: stał się jedynym dobrowolnym więźniem obozu koncentracyjnego KL Auschwitz, by utworzyć tam organizację konspiracyjną i podtrzymywać we współwięźniach gotowość do podjęcia we właściwej chwili działań zbrojnych[1].

Po ponaddwuipółrocznym pobycie za drutami (947 dni – zob. s. 214) zbiegł i kontynuował działalność konspiracyjną w KG AK aż do Powstania Warszawskiego, po którego upadku wraz z innymi znalazł się w niewoli w Lamsdorf i w Murnau. Gdy otworzyły się bramy oflagu, zameldował się w 2 Korpusie Polskim gen. Władysława Andersa, deklarując gotowość kontynuowania pracy niepodległościowej w kraju. Żołnierz NIE i działacz Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, którego nie sterroryzowały i nie zniewoliły bagnety obcych wojsk, zapłacił za swą niezłomność życiem oraz piętnem „bandyty" i „szpiega".

Witold Pilecki reprezentował pokolenie ukształtowane przez romantyczne mierzenie sił na zamiary. Był typem altruisty, człowieka angażującego się z pasją w sprawy innych kosztem siebie. Był wrażliwy na cierpienia, a ludzie blisko z nim związani mówią wręcz o jego dobroci i zadziwiającej delikatności. Daleki od wszelkiej małostkowości, był i odważny, i konsekwentny. „Wszystko, co robił, robił dokładnie, porządnie, wszystko było wypracowane do najdrobniejszego szczegółu" (według relacji

1 W części związanej z pobytem Witolda Pileckiego w KL Auschwitz niniejsze opracowanie wykorzystuje informacje także z innych źródeł niż *Raport Witolda* z 1945 roku, np. z wcześniejszego *Raportu W* czy wspomnień Edwarda Ciesielskiego (przyp. red.).

Janiny Pieńkowskiej). Jego zasługi i gotowość do ofiary czynią z niego bohatera. Nakręcono o nim filmy, nazwano jego imieniem ulice i osiedla, wojsko nawiązało do jego imienia.

Wielką rolę w utrwalaniu postaci rtm. Pileckiego odegrał Józef Garliński, który w 1973 r. obronił w London School of Economics and Political Science rozprawę doktorską pt. *Fighting Auschwitz*. Przedstawił w niej konspiracyjną działalność więźniów w tym obozie koncentracyjnym. Praca ta, oparta na wielu źródłach, stanowi obszerne studium ruchu podziemnego w KL Auschwitz, do tej pory bodaj najpełniejsze. Studium ukazało się w kilku językach, m.in. w polskim (wydanie londyńskie, dwa krajowe w drugim obiegu i edycja przygotowana przez oficynę Volumen).

Angielski historyk prof. M.R.D. Foot był członkiem komisji na uniwersytecie londyńskim, która oceniała pracę doktorską Garlińskiego, i dzięki temu zainteresował się bliżej postacią Witolda Pileckiego. Powołując się na *Fighting Auschwitz*, w książce *Six Faces of Courage* Foot poświęcił jeden ze szkiców sylwetce Rotmistrza: wymienia go obok Madelaine Fourcade, organizatorki siatki wywiadowczej Alliance, Andrée de Jongh, szefowej kanału przerzutowego COMET, Wiktora Gersona, szefa przerzutu VIC, Jeana Moulina, bohatera Résistance we Francji, i Karrylego Pentera, dywersanta z Correnne. Ten brytyjski historyk dostrzegł w Pileckim jednego z sześciu najodważniejszych żołnierzy II wojny światowej. Z równą estymą postrzegał Pileckiego duński uczony B. Bratbak; jego sylwetkę przedstawił w szkicu z 1997 r. *Det vanskelige oppgjøret*.

Jedną z wielu osób domagających się prawnego przywrócenia dobrego imienia Rotmistrzowi był Edward Ciesielski, współwięzień oświęcimski i współuciekinier z obozu. O honor Witolda walczyło zresztą wielu innych. Niektórzy nie doczekali uwieńczenia swych starań, ale każdy z nich przyczynił się do utrwalenia pomnikowych dziejów ludzi zrodzonych z ducha Niepodległości i „wyrwania murom" naszego zniewolenia „zębów krat". Tym, którzy zapłacili za naszą wolność najwyższą cenę, winniśmy pamięć szczególną. Do nich należy bez wątpienia rtm. Witold Pilecki.

Uosabiający najpełniej dramat tamtego pokolenia, okazał się ziarnem przynoszącym plon po latach. W nim sprawdzają się w sensie dosłownym słowa poety Jana Kasprowicza: „Kto w poświęceń padł godzinie – ten się w drugich przelał tylko".

***

Witold Pilecki zarówno po mieczu, jak i po kądzieli dziedziczył tradycje niepodległościowe; dziadowie zaangażowali się czynnie w powstanie 1863 r., za co ich posiadłości ziemskie w powiatach lidzkim i nowogródzkim zostały skonfiskowane.

Julian, ojciec Witolda, ukończył studia w Instytucie Leśnym w Petersburgu, ale Polacy wykształceni w carskiej Rosji pracę na miarę swoich ambicji i możliwości mogli uzyskać tylko w głębi imperium. Julian Pilecki podjął więc pracę na północy Rosji,

w Karelii, w gubernialnym mieście Ołoniec, gdzie po dziesięciu latach został wysokim rangą urzędnikiem – rewizorem leśnym.

Podczas wyjazdów służbowych do Pietrozawodska poznał rodzinę Lucjana Osiecimskiego, również leśnika, którego córkę Ludwikę w 1897 r. poślubił. Osiecimscy byli majętnymi ziemianami na Mohylewszczyźnie, ale za udział w powstaniu w 1863 r. skonfiskowano im dobra. Zubożali przenieśli się również na północ, na posadę rządową na krańcach rosyjskiego państwa.

Julian Pilecki i Ludwika z Osiecimskich dochowali się pięciorga dzieci. Najstarszym dzieckiem była Maria, następnie Józef (zmarł, mając pięć lat), trzecim z kolei Witold, a po nim Wanda i Jerzy.

Witold urodził się 13 maja 1901 r. w Ołońcu i mieszkał tam do dziewiątego roku życia. Otoczenie rosyjskie spowodowało, że w języku latorośli zaczęły się pojawiać rusycyzmy. W obawie, by dzieci nie wynarodowiły się w rosyjskim otoczeniu, Pileccy zdecydowali się kształcić dzieci w polskiej szkole i przeprowadzili się do krewnych do Wilna. Ze względów materialnych ojciec musiał pozostać na posadzie w Ołońcu, pani Ludwika zaś z czworgiem dzieci zamieszkała w 1910 r. w Wilnie. Witold wstąpił tam do polskiej szkoły handlowej (gimnazjum komercyjnego). W 1914 r. ukończył celująco klasę trzecią, a ponieważ rodzeństwo również uczyło się dobrze, na wakacje dzieci wyjechały pod opieką matki do Druskiennik. Tam zaskoczyła ich wojna.

Do Wilna Pileccy wrócić już nie mogli, bo zagrożone było okupacją niemiecką. Tym samym zostali odcięci od ojca, który pozostawał na północy. Wybrali się więc do babki, do Hawryłkowa na Mohylewszczyźnie, gdzie przebywali do sierpnia 1918 r.

3 marca 1914 r. – jeszcze w Wilnie – Witold wstąpił do tworzonego właśnie skautingu. Jednocześnie związał się z tajnym kółkiem samokształceniowym Narodowcy i Towarzystwem Sokół. W Orle nie było harcerstwa i Witold w 1915 r. założył tam pierwszy zastęp (pluton); współorganizował też polskie koła samokształceniowe. Zastęp rozrósł się w drużynę i hufiec. Pilecki był plutonowym, ale 21 września 1917 r. został zatwierdzony jako przyboczny w stopniu plutonowego przez polskie Naczelnictwo Skautowe w Kijowie.

Wrzenie rewolucyjne w Rosji sprawiło, że – jak pisze Pilecki – „harcerstwo w Orle zadrgało nowym życiem". Młodzież paliła się do akcji. Kilka kilometrów od miejscowości Orzeł za Oką znajdowały się rosyjskie składy wojskowe. Którejś nocy po odwróceniu uwagi wartowników ośmiu harcerzy wdarło się do magazynów i zdobyło pełny ekwipunek żołnierski. Zostali wprawdzie wykryci i ostrzelani, ale szczęśliwie przeprawili się przez rzekę i wrócili do Orła. Następnego dnia Komitet Kolonii Polskiej w Orle mógł wysłać ośmiu żołnierzy do I Korpusu gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego w Bobrujsku; wszyscy byli doskonale wyekwipowani. W ten sposób wiosną 1918 r. Pilecki znalazł się w korpusie gen. Muśnickiego, ale I Korpus był już w okresie rozformowywania i Witold musiał wrócić do Hawryłkowa. Tam nie było już bezpiecznie, gdyż po przewrocie bolszewickim na spokojną dotąd wieś dotarły wywrotowe hasła.

W sierpniu 1918 r. Pileccy postanowili wyjechać z zagrożonego miejsca. Maria i Witold pierwsi z rodziny wrócili do Wilna; potem dojechała matka z resztą rodzeństwa. W mieście nad Wilią i Wilejką Witold rozpoczął 12 października 1918 r. naukę w gimnazjum im. Joachima Lelewela, prowadzonym przez Stowarzyszenie Nauczycielstwa Polskiego, i związał się z konspiracyjną Polską Organizacją Wojskową.

Wilno zorganizowało pod komendą gen. Władysława Wejtki oddziały samoobrony, by przejąć miasto w chwili wyjścia Niemców. Kiedy Samoobrona Wileńska wezwała młodzież do broni, grupa starszoharcerska, w której był Pilecki, weszła w październiku 1918 r. w skład II batalionu kpt. Mikołaja Zujewicza jako zorganizowana kompania. Pilecki był w niej sekcyjnym (czyli dowódcą) 1. sekcji.

W noc sylwestrową 1918 r. Witold był dowódcą placówki mieszczącej się w Ostrej Bramie. W pierwszy dzień 1919 r. poprowadził udane natarcie na Niemców broniących się jeszcze w obrębie dworca kolejowego i stacji towarowej. Był to jego chrzest bojowy. Później Pilecki uczestniczył w walkach z miejscowymi bolszewikami na ul. Wroniej o tzw. Wronie Gniazdo i na Pośpieszce z wkraczającymi już do miasta oddziałami „czerwonej" Rosji.

Improwizowana Samoobrona Wileńska nie mogła się skutecznie przeciwstawić bolszewikom. 5 stycznia 1919 r. Witold Pilecki wraz z żołnierzami Samoobrony przedostał się przez Grodno i Białystok do Łap, gdzie spotkał pierwszy zorganizowany oddział WP. Od 6 stycznia do jesieni 1919 r. Witold jako ułan walczył w oddziale braci Władysława i Jerzego (zwanego „Łupaszką") Dąmbrowskich.

Pod bronią Witold pozostawał do czasu odbicia Wilna, Lidy, Baranowicz i Mińska Litewskiego. Tam oddział Dąmbrowskiego został przemianowany na 13 pu.

Gdy front ustabilizował się jesienią 1919 r., Pilecki znajdował się koło Mińska; tam został zdemobilizowany i wrócił do Wilna, by znów przysiąść nad książkami w gimnazjum im. J. Lelewela. W czerwcu 1920 r. ukończył szóstą klasę gimnazjalną. Był uczniem raczej przeciętnym, z pewnymi uzdolnieniami do przedmiotów praktycznych, przyrodniczych i matematycznych. Ostatecznie dopiero w maju 1921 r. już jako ekstern złożył egzaminy dojrzałości przed Komisją Egzaminacyjną dla byłych Wojskowych przy Uniwersytecie Stefana Batorego. Młodzieńcze pragnienie czynu nie pozwalało Witoldowi siedzieć spokojnie. Założył więc 8 drużynę harcerską spośród byłych żołnierzy-ochotników, zwolnionych jak on dla kontynuowania nauki. Razem z drużyną ochotniczo wstąpił 12 lipca 1920 r. do 1 Wileńskiej Kompanii Harcerskiej, wchodzącej w skład 201 pp.

W walkach na froncie pod Grodnem w 1920 r. Witold razem z drugim żołnierzem, ryzykując życie, wrócił ochotniczo na opuszczone pozycje, by uratować ośmiu kolegów „zapomnianych" przez dowódcę, por. Tadeusza Kawalca. 5 sierpnia 1920 r. Pilecki przeszedł ponownie pod rozkazy rtm. Dąmbrowskiego, słynnego zagończyka, który dowodził wówczas 211 pu. Uczestniczył w walkach sierpniowych na przedmościu warszawskim w boju w rejonie Płocka. Pułk ten następnie został włączony do grupy

gen. Lucjana Żeligowskiego, która odbierała Litwinom Wilno, a później stanowiła wojska Litwy Środkowej. Plutonowy Pilecki pozostawał w 3 plutonie II szwadronu do 30 stycznia 1921 r.

Pilecki został zwolniony z wojska jako uczeń-ochotnik. Pozostawał w Wilnie, gdyż w tym czasie wrócił z Ołońca ojciec i zamieszkał w Sukurczach. Witold, pracując w Nowych Święcianach, także nie omieszkał zająć się harcerstwem. Był ponadto komendantem Oddziału Nowoświęciańskiego ZBK. Funkcje harcerskie pełnił do końca marca 1923 r. Rozstał się z harcerstwem z żalem i goryczą, gdyż władze ZHP w Wilnie zmusiły go do tego, nie wyrażając zgody na jego pracę w ZBK.

Do ZBK wstąpił Pilecki 11 lutego 1921 r. Początkowo przydzielono mu funkcję zbrojmistrza KG; później, po skończeniu kursów podoficerskich ZBK, otrzymał nominację na komendanta-instruktora Oddziału w Nowych Święcianach. Zastępca kpt. S. Bobrowskiego, organizatora ZBK, por. Edmund Galinat wystawił Pileckiemu pochlebne świadectwo o jego służbie w ZBK w latach 1921–1923, podkreślając, że był sumiennym i starannym pracownikiem oraz bardzo dobrym żołnierzem.

***

W latach dwudziestych spełniły się młodzieńcze marzenia o oficerskich szlifach, choć tylko oficera rezerwy. W sierpniu 1926 r. został promowany na stopień podporucznika rezerwy ze starszeństwem z 1923 r. Otrzymał przydział do 26 pu.

Witold Pilecki pragnął powrócić do tradycji ziemiańskich swego rodu. Nadzieje te wiązał z majątkiem sukurczeńskim. Sukurcze leżały w gminie lidzkiej i ocalały od popowstaniowej konfiskaty, gdyż były wianem babki Witolda, z domu Domeykówny. W Sądzie Okręgowym w Wilnie nastąpiło upragnione rozstrzygnięcie sprawy majątku Sukurcze, który powrócił do rodziny Pileckich. Od września 1926 r. Witold osiadł w folwarku i urzeczywistniał swoje marzenia o pracy na roli. Sukurcze były przedmiotem chluby Witolda i z satysfakcją wpisywał w rubrykę „zawód” – rolnik.

Majątek zarządzany gospodarską ręką począł ożywać. Witold w 1929 r. u najbliższych sąsiadów poznał młodą Mariannę (Marię) Ostrowską, która z Mazowsza przyjechała do wsi Krupa i tam pracowała jako nauczycielka. 7 kwietnia 1931 r. młodzi zawarli małżeństwo. Pileccy mieli dwoje dzieci: syn Andrzej urodził się 16 stycznia 1932 r., a następnego roku 14 marca rodzina powiększyła się o córkę Zofię.

Gospodarz na Sukurczach był człowiekiem o bogatej osobowości i niespożytej energii. Zachwycał się przyrodą, fascynowały go konie, lubił przestawać z młodzieżą, choć w jego naturze była powściągliwość i powaga, a w konsekwencji – stanowczość i upór. Oprócz malowania lubił grać na pianinie.

W powiecie i gminie Lida Pilecki zorganizował Straż Ogniową i był jej naczelnikiem. Jako prezes stał na czele mleczarni, zajmował się kółkiem rolniczym i opieką społeczną w okolicy.

W 1938 r. Pileckiego odznaczono Srebrnym Krzyżem Zasługi za otwartą postawę i zaangażowanie społeczne. Był na kresach człowiekiem wnoszącym w życie środowiska rolniczego wyższy poziom cywilizacyjny. Ceniono go za to powszechnie; o jego niespożytej energii mówili miejscowi: „Czort" – był to epitet serdeczny, wyrażający podziw i uznanie dla jego aktywności i pasji.

Działalność społeczna nie zaspokajała w pełni ambicji Witolda – tęsknoty za mundurem, szablą, ostrogami. Utworzył więc PW konne. Nie było to łatwe, bo brakowało i ludzi, i koni, i uprzęży. Dostrzegły jego wysiłki władze wojskowe. PW konne jako formację „Krakusów" podporządkowano Komitetowi Rejonowemu. Później reorganizacja spowodowała, że w powiecie lidzkim był tylko szwadron „Krakusów" dowodzony właśnie przez Witolda. W czerwcu 1936 r. wyróżniono za tę pracę ppor. rez. Pileckiego, który w wyniku reorganizacji oddziałów PW od kwietnia 1937 r. do wybuchu wojny był dowódcą tego szwadronu, jako kawalerii dywizyjnej 19 Dywizji Piechoty.

***

Pilecki był więc przygotowany do dowodzenia oddziałami wojskowymi w czasie wojny, co okazało się potrzebne, gdy 1 września 1939 r. na Polskę napadły Niemcy. W czasie działań obronnych dostał się pod komendę mjr. Jana Włodarkiewicza, co okazało się dla dalszych wojennych losów Pileckiego bardzo znaczące. Gdy więc WP zostało rozbite przez Niemców, a w wyniku agresji sowieckiej na Polskę 17 września tereny wschodniej II Rzeczypospolitej zajęli Sowieci, Pilecki nie mógł się przedostać do rodzinnych Sukurcz, gdyż poważną przeszkodę stanowiła mocno obsadzona granica niemiecko-sowiecka. Udał się do Warszawy, tak jak umówił się w mjr. Włodarkiewiczem.

Tymczasem jego żona Maria z dziećmi zdołała dotrzeć do rodzinnej Ostrowi Mazowieckiej, leżącej w niemieckiej strefie okupacyjnej. Tutaj dowiedziała się od rodziców, że jej mąż żyje i przebywa w Warszawie.

W niemieckiej strefie okupacyjnej zaczęły tworzyć się organizacje niepodległościowe. Względy konspiracyjne zmuszały do tworzenia organizacji elitarnych i reprezentujących wysokie walory moralne. Z udziałem Pileckiego powstała TAP. W pierwszym okresie głównym zadaniem Witolda, jako inspektora organizacyjnego TAP, było podporządkowanie TAP organizacji młodzieżowej, kierowanej przez Jana Dangla „Smoleńskiego" (po zjednoczeniu „Smoleński" był zastępcą Witolda), i przekształcenie jej struktury według modelu wojskowego, czyli z podziałem na plutony, kompanie i bataliony. TAP sięgała poza Warszawę i jej okolice: do Siedlec, Lublina, Radomia i Krakowa. W posiadaniu organizacji było kilka dział przeciwpancernych, kilkanaście karabinów maszynowych i cztery tysiące karabinów zwykłych.

Kiedy rodziła się TAP, istniała już – powołana przed kapitulacją Warszawy – SZP, na której czele stał gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski. SZP została później

przekształcona w ZWZ. W październiku 1940 r. TAP połączyła się z innymi organizacjami: Gwardią Obrony Narodowej Pobudką, ZCZ, Wawelem i Znakiem, tworząc KZ, która była organizacją wojskową KN, sprawującej zwierzchnictwo polityczne. Jednakże już na początku 1941 r. TAP odsunęła się od KN i podporządkowała się ściśle ZWZ, do którego została wcielona na jesieni 1941 r.

Po wcieleniu Komendant Główny ZWZ awansował czterech oficerów TAP. Wśród nich był Pilecki, którego mianowano porucznikiem. „To bardzo wybitna i ważna postać naszej pracy" – mówił o Witoldzie Włodarkiewicz. Pilecki w lokalu konspiracyjnym komendanta TAP zjawiał się niemal codziennie i obaj konferowali przez dłuższy czas. Witold miał wciąż nowe pomysły, a także bardzo sugestywnie oddziaływał na inne osoby, intuicyjnie rozpoznając ich walory. Był nieufny i małomówny, co dla konspiratora było i typowe, i konieczne. Ale też mając ograniczone zaufanie do innych, sam przejmował gros spraw organizacyjnych, nawiązywał kontakty i łączył nici tajnych powiązań. Zazwyczaj więcej słuchał niż mówił, częściej – zwłaszcza podczas narad – na koniec dyskusji podsumowywał ją syntetyczną myślą, często łagodząc rodzące się rozłamy i konflikty.

Konspiracja pochłaniała Witolda niemal bez reszty, tak że prawie nie miał życia rodzinnego. Pierwsze spotkanie z żoną nastąpiło w Warszawie u szwagierki, Eleonory Ostrowskiej. Spotykali się zresztą stosunkowo często; niekiedy pani Maria przyjeżdżała z dziećmi. One najbardziej odczuwały brak ojca; w 1940 r. bodaj tylko kilka dni spędzili razem. Następne miesiące i lata miały przynieść jeszcze wiele tęsknych oczekiwań, zawodów i bólu.

W ręce niemieckiego okupanta, z powodu braku doświadczenia lub nieszczęśliwego przypadku, wpadło wielu żołnierzy TAP, z których znaczna część znalazła się w obozie Auschwitz. Uwięzienie w nim dwóch osób ze ścisłego kierownictwa organizacji – ppłk. Władysława Surmackiego, szefa sztabu, i dr. Władysława Deringa, szefa służby zdrowia – podsunęło Pileckiemu niecodzienny pomysł dobrowolnego pójścia za druty. Stało się to najprawdopodobniej podczas narady sztabowej zwołanej pod koniec sierpnia 1940 r., właśnie po aresztowaniu obu oficerów.

Tworzono właśnie KL Auschwitz. Oświęcim nie budził jeszcze tej grozy, jaka już wkrótce poruszyła Warszawę i połowę okupowanej przez Niemców Polski. Sądzono, że można się do niego dostać, by zorientować się na miejscu w możliwościach organizowania ucieczek lub akcji odbicia niektórych więźniów, zdobycia materiałów o warunkach egzystencji więźniów politycznych i o złym traktowaniu ich przez hitlerowców. Zamierzano taki raport przesłać władzom RP w Londynie oraz stworzyć konspirację wśród samych więźniów. Wniosek miał zostać przyjęty zgodnie przez wszystkich uczestników narady i uzyskał akceptację mjr. Włodarkiewicza. Do jego realizacji zgłosił się ochotniczo Witold, na co wyraził zgodę Komendant TAP.

Według innej wersji, która bynajmniej nie podważa jego bohaterstwa, Pilecki miał odbyć z mjr. Włodarkiewiczem rozmowę, w której sugerował stworzenie konspiracji

w obozie oświęcimskim. Przekonywał Włodarkiewicza, by ten przekazał sprawy TAP innemu oficerowi i pozwolił mu udać się do KL Auschwitz. Pierwsza rozmowa nie dała rezultatu; Włodarkiewicz kazał Pileckiemu sprawę ponownie przemyśleć. Ten jednak trwał przy swojej decyzji i przekonywał tak długo, aż otrzymał upragnioną zgodę majora. Obaj ustalili sposoby kontaktowania się. O dobrowolnym pójściu Pileckiego do Oświęcimia wiedział też płk Tadeusz Pełczyński, szef wywiadu ZWZ. Awans na porucznika jesienią 1941 r. jest potwierdzeniem faktu, że Witold poszedł do obozu ochotniczo, gdyż w ZWZ-AK obowiązywała zasada, że nie awansowano i nie odznaczano pozbawionych wolności osobistej.

W wyjaśnieniach składanych przed sądem wojskowym w 1948 r. Witold Pilecki powiedział: „Za czasów okupacji niemieckiej na rozkaz gen. Grota przez mjr. Azorkiewicza[2] sam poszedłem do Oświęcimia, przez umyślne dostanie się w ręce niemieckie w czasie łapanki poszedłem tam celem założenia organizacji konspiracyjnej".

Od momentu uzyskania przyzwolenia na realizację pomysłu pójścia do obozu Pilecki rozpoczął przygotowania do jego wykonania. Zaopatrzył się w fałszywe dokumenty, wystawione na nazwisko Tomasza Serafińskiego, porucznika WP, zameldowanego w Krakowie, a rzekomo zmarłego w czasie działań wojennych we wrześniu 1939 r.

19 września 1940 r. hitlerowcy zorganizowali łapankę w części Żoliborza, w kolonii Staszica i części Mokotowa. Żandarmi i esesmani otoczyli wybrane kwartały i rewidowali poszczególne domy, wyciągając z nich mężczyzn. Była to trzecia tego typu akcja pacyfikacyjna. Podczas tej łapanki dał się pojmać Pilecki.

Według Eleonory Ostrowskiej aresztowanie przebiegało następująco: „Wcześnie rano 19 września 1940 r. Witold był w moim mieszkaniu. Dozorca Jan Kiliański, zaprzysiężony żołnierz TAP, przyszedł do mnie i oznajmił mi, że jesteśmy otoczeni przez umundurowanych Niemców, którzy z każdego domu wyprowadzają mężczyzn i ładują na samochody. Podał też Witoldowi wiele możliwości uniknięcia branki. Witold odrzucił te propozycje i nie chciał nawet próbować ukryć się w moim mieszkaniu. Po chwili energicznie zastukano do drzwi. Otworzyłam i w drzwiach stanął niemiecki żołnierz – zapytał, kto tu mieszka. Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdy w tej chwili z pokoju wyszedł Witold. Niemiec nie legitymował go. Witold ubrał się i żegnając ze mną, szepnął: «Zamelduj gdzie trzeba, że rozkaz wykonałem». Niemiec Witolda wyprowadził. W krótkim czasie udałam się pod znany adres i wykonałam polecenie Witolda, przekazując niezrozumiałe dla mnie słowa".

Podczas łapanki zatrzymano ponad 2000 mężczyzn. W dawnej ujeżdżalni 1 p.szwol. około 1000 osób przeżyło upiorną noc: Niemcy kazali im się położyć twarzą do ziemi i depcząc, kopiąc, używając bykowców, katowali ich. Sprawdzano personalia ujętych i tylko kilkanaście osób zdołały wyreklamować zatrudniające je firmy. Pozostałych dwa dni później skierowano do KL Auschwitz.

2 Tak w zapisie protokolarnym; powinno być Włodarkiewicza.

***

Drugi transport warszawski, liczący 1705 więźniów, przybył do KL Auschwitz w nocy z 21 na 22 września 1940 r. Przeżycia z ujeżdżalni były ledwie uwerturą rzeczywistości oświęcimskiej. Każdy przybyły – nawet przygotowany na wiele – musiał przeżyć szok. W świecie kolczastych drutów „Tomasz Serafiński” stał się numerem 4859. Jak każdy, długo nie mógł się dostosować do nowej sytuacji egzystencjalnej kacetowicza. Jednakże już od początku rozumiał, że najbardziej zagrożeni są reprezentanci polskich elit: prawnicy, nauczyciele, duchowni.

Z brutalną rzeczywistością kacetu Pilecki zetknął się w sposób boleśnie odczuwalny, gdy w obozowej łaźni kapo wybił mu dwa zęby. 22 września teoretycznego wykładu z zakresu „obozowej filozofii” udzielił mu Lagerführer Karl Fritzsch, wskazując na główną „atrakcję” kacetu i jedyną drogę na wolność przez krematoryjny komin. Potem było kilka dni morderczej gimnastyki i rozdział na bloki. „Tomasz Serafiński” mógł w miarę spokojnie wejść w obozową codzienność, gdyż został sprzątającym w sztubie w bloku nr 17a. Na nieszczęście blokowym był tu Alois Staller, zwany „Krwawym Aloisem”, niemiecki kryminalista. „Krwawy Alois” wymagał brutalności od podwładnych funkcyjnych, toteż gdy zorientował się, że nr 4859 nie używa kija i pięści, wraz z innymi wyrzucił go do komanda pracującego na zewnątrz obozu.

Mniej więcej po miesiącu, 28 października, podczas wielogodzinnego karnego apelu organizm Witolda poddał się. Gdy jeden z więźniów uciekł, Niemcy zastosowali brutalne represje. Zorganizowali wielogodzinny apel, w czasie którego w wyniku bicia i głodu zmarło około 170 ludzi.

Zabójcze warunki egzystencji, spotęgowane jesiennymi słotami, oraz wyniszczająca codzienność, a w końcu wyczerpanie nerwowe podczas morderczego apelu nadwerężyły siły fizyczne Pileckiego. Szczęśliwie dzięki dr. Deringowi, pełniącemu medyczne funkcje pomocnicze w obozie, Pilecki dostał funkcję pielęgniarza – znacznie lżejszą służbę, co pozwoliło mu z czasem powrócić do sił.

Obóz, warunki przeżycia w nim były tym, co wyraźnie klasyfikowało charaktery – wartości indywidualne; jedni staczali się, stając się osobnikami bez skrupułów, inni jakby dla przeciwwagi podnosili się ciągle moralnie, silnie rzeźbiąc w charakterach własnych jak w kryształach. Psychiki Witolda nie mogły złamać żadne okoliczności. Dał tego dowód w Oświęcimiu, gdy znalazł się na liście transportowej do obozu w Neuengamme, uchodzącego w opinii więźniów za jeden z lepszych, gdzie warunki życia były dalece łatwiejsze w porównaniu z oświęcimskimi. Pilecki użył wówczas swoich wpływów, by jego numer został skreślony z listy transportowej.

Idąc dobrowolnie do KL Auschwitz, Pilecki miał własne koncepcje działania. Pierwsze doświadczenia wniosły wiele zmian w jego przemyślenia, choć zasadniczy plan się nie zmienił. Zasadniczym zadaniem było założenie organizacji wojskowej, której cele przedstawił sam Pilecki następująco:

– podtrzymywanie na duchu kolegów przez dostarczanie i rozpowszechnianie wiadomości z zewnątrz;
– zorganizowanie w miarę możliwości dożywiania i rozdzielania odzieży wśród członków konspiracji;
– przekazywanie wiadomości na zewnątrz;
– oraz jako uwieńczenie wszystkiego – przygotowanie oddziałów własnych do opanowania obozu, gdy nadejdzie nakaz chwili w postaci rozkazu zrzucenia tu broni lub siły żywej (desantu).

Ostatnie założenie było osią pomysłu pójścia za druty, inne zostały wymuszone przez warunki egzystencji więźniów.

Pilecki po paru tygodniach zorganizował zalążki konspiracji. Grupa „Tomka" („Tomasza Serafińskiego"), skupiająca więźniów przybyłych z Warszawy, nosiła nazwę „Tajna Organizacja Wojskowa". Dopiero kiedy zaczęły się łączyć inne grupy, przyjęto odzwierciedlającą ten proces nazwę „Związek Organizacji Wojskowej".

Ze względu na inwigilowanie więźniów, ich ścisłe nadzorowanie przez funkcyjnych, rekrutujących się spośród przestępców kryminalnych, oraz załamania psychiczne wielu häftlingów głębokie utajnienie było gwarancją istnienia konspiracji, która opierała się w zasadzie na przemyślanym systemie piątkowym, aczkolwiek „Tomek" nie realizował samej zasady konsekwentnie, co właściwie w warunkach obozowych było wręcz koniecznością. Rozwijał model przyjęty w TAP. Pilecki sam organizował piątki górne, one zaś następnie rozgałęziały się w miarę możliwości. Starał się jednocześnie izolować osoby z każdej piątki, by nie wiedziały o innych.

Bazą ZOW było pięć górnych piątek, z których każda rozwijała się niezależnie, nic wzajemnie o sobie nie wiedząc ze względów bezpieczeństwa. Tylko niektórzy domyślali się, że istnieją jakieś inne grupy więźniów. Tworzenie górnych piątek nie było proste; w ich składzie powinni byli znaleźć się ludzie budzący absolutne zaufanie, zdolni wytrzymać najbardziej brutalne śledztwo, mający głęboką motywację działania oraz w miarę urządzeni w obozie i umiejący ostrożnie wciągnąć innych do współpracy. Dlatego tworzenie górnych piątek szło opornie.

Pierwsza powstała jesienią 1940 r., a następne dopiero w marcu 1941 r., gdy „Tomek" pracował w stolarni. Pierwszą górną piątkę tworzyli niemal wyłącznie więźniowie wywodzący się z TAP.

Ppłk Władysław Surmacki „Sławek" (nr 2759) nie był rozpoznany jako wojskowy, pracował w komendzie biura budowlanego i – co było rekomendacją ważną dla Pileckiego – był już wcześniej związany z TAP. On właśnie został zwerbowany na początku do pierwszej piątki i on nią kierował.

Drugą osobą w pierwszej górnej piątce był kpt. dr Władysław Dering (nr 1723). Naczelny lekarz KL Auschwitz SS-Sturmbannführer Max Popiersch, Ślązak, zorientowawszy się w doświadczeniu medycznym Deringa, powierzył mu zorganizowanie

ambulatorium w rewirze. Rewir, w którym pracował dr Dering, stał się jednym z najważniejszych punktów konspiracji Pileckiego.

Kolejnym więźniem pierwszej górnej piątki był por. rez. 1 pu Jerzy de Virion, w obozie osadzony pod nazwiskiem Jerzego Hlebowicza (nr 3507), również związany z TAP. Piątkę dopełniali Eugeniusz Obojski (nr 194) i Roman Zagner. Później piątkę uzupełnił prawdopodobnie ppor. Alfred Stössel (nr 435). Miał mocną pozycję, gdyż był blokowym w bloku szpitalnym dla zakaźnie chorych. Zawiązek organizacji obozowej miał jeszcze jednego więźnia w pierwszej piątce; mógł to być Józef Szkandera z Warszawy, były dyrektor departamentu ceł, przywieziony w pierwszym transporcie; zmarł w obozie na tyfus w 1942 r. Cała pierwsza górna piątka została zaprzysiężona przez Pileckiego.

Po odejściu ze szpitala Pilecki dzięki kontaktom dostał się do komanda w stolarni na Industriehof 1, gdzie nadzorcą był kapo Arthur Balke (nr 3), więzień kryminalny, który dobrze się zapisał w pamięci więźniów. Ponieważ Witold pracował już wcześniej w zlikwidowanej małej stolarni obozowej, miał pewne doświadczenie i mógł uchodzić za fachowca.

W stolarni pracowało kilkunastu młodych więźniów i po pewnym okresie obserwacji w marcu 1941 r. Pilecki zdecydował się na zorganizowanie wśród nich drugiej górnej piątki. Tworzyli ją Władysław (nr 793) i Bolesław (nr 792) Kupcowie, pchor. Antoni Rosa (nr 923), Tadeusz Słowiaczek (nr 1069) i Tadeusz Pietrzykowski „Teddy” (nr 77), znany bokser, pchor. Witold Szymkowiak (nr 938) i ppor. rez. Mikołaj Skortowicz.

Do grupy ZOW w stolarni dołączyli później Stanisław Gutkiewicz (nr 11003), Tadeusz Lech (nr 9235) i Wincenty Gawron „Wiciak” (nr 11237), z którym Pilecki dzielił obozowy siennik i który stał się jednym z jego najbliższych przyjaciół. W stolarni Witold wciągnął do organizacji Edwarda Ciesielskiego (nr 12969), chłopca, z którym złączą go późniejsze losy.

Pilecki przenosił się z komanda do komanda i rozszerzał krąg ludzi wtajemniczonych. Obok stolarni znajdowała się rzeźbiarnia. Dzięki artystycznym umiejętnościom dostali się tam Gutkiewicz i Gawron, a następnie pomogli się przenieść też Pileckiemu. 1 listopada 1941 r. Witold zaczął pracę w rzeźbiarni, którą bezpośrednio kierował zakopiańczyk Tadeusz Myszkowski, znany narciarz. Myszkowski skupił w rzeźbiarni górali – znakomitych snycerzy i malarzy na szkle. Pracował tam Bronisław Czech (nr 349), wybitny sportowiec, a także Izydor Łuszczek, narciarz, Erwin Fajkosz (nr 11769), Zbigniew Rożak, Zytkowicz oraz bracia Kupcowie: Antoni, Bolesław i Władysław (dwaj ostatni przeszli ze stolarni). Wszyscy byli młodymi ludźmi i Pilecki bardzo szybko znalazł z nimi wspólny język; zostali oni wkrótce zaprzysiężeni jako członkowie ZOW. Później doszli kolejni: rzeźbiarz prof. Xawery Dunikowski (nr 774), Alojzy Fusk, Roman Radoliński (nr 13471) i Henryk Tomaszewski (nr 16693).

Komando rzeźbiarzy wkrótce zostało wydzielone, a nowy kapo, Niemiec Konrad Lang (nr 18), człowiek o artystycznych ciągotach, przeniósł je w rejon pracy komanda

garbarni. Było to jedno z węzłowych miejsc, gdyż obok siebie pracowały najważniejsze grupy robocze.

Pilecki stworzył zawiązki organizacyjne także w Bekleidungskammer (magazyn odzieży) przy pomocy Bernarda Świerczyny (nr 1393), Ślązaka, który pełnił funkcję zastępcy kapo i był powiązany konspiracyjnie z płk. Rawiczem. Przez włączenie Świerczyny (i Rawicza) do ZOW Pilecki zyskał znakomitych i odważnych współpracowników.

Zimą 1941 r. porucznik przeżył drugi kryzys. Co jakiś czas władze obozu w obawie przed epidemią tyfusu zarządzały odwszawianie. Bloki mieszkalne i obozowe pasiaki podlegały dezynfekcji, więźniowie zaś na zewnątrz oczekiwali na odzież i wejście pod dach. Jeżeli czekanie wypadło w czasie słoty lub mrozu, skutki były opłakane.

Podczas takiej dezynfekcji Pilecki nabawił się zapalenia płuc. Źle się czuł już od kilku dni. Miał blisko 40 stopni gorączki, ale nie chciał sam starać się o przyjęcie do szpitala, gdyż tam niebezpieczeństwo zarażenia się tyfusem było wielokrotnie większe; poza tym hitlerowcy przeprowadzali częste selekcje i wielu więźniów wprost z rewiru trafiało do krematorium. Toteż próbował do końca przetrzymać kryzys wywołany chorobą. Dopiero kiedy poczuł, że jest już bliski utraty przytomności, udał się do szpitala; położono go na blok 15 do sztuby 7.

Po trzech dobach nieustannej walki z wszami, atakującymi więźnia leżącego na sienniku na podłodze przy otwartym oknie, Pilecki zdecydował się znów szukać pomocy u dr. Deringa, który przeniósł go na blok 20, gdzie po kąpieli i zastrzyku mógł położyć się w łóżku i nie musiał walczyć z insektami. Po dziesięciu dniach nastąpiło przesilenie i Pilecki zaczął powracać do zdrowia. Był jednak bardzo osłabiony i zatrzymano go w rewirze jako pielęgniarza.

Pracował tam przez miesiąc. Wykorzystał ten czas na rozwijanie organizacji, gdyż mógł w miarę swobodnie, pod różnymi pretekstami, poruszać się po obozie, co owocowało nowymi kontaktami i zawiązywaniem dalszych grup.

Szpital był w porównaniu z resztą obozu enklawą spokoju, zwłaszcza w późniejszym okresie, i to pomimo przeprowadzanych selekcji; stało się to za sprawą lekarzy rekrutujących się spośród więźniów, głównie Polaków. Część personelu sanitarnego składała się z więźniów politycznych, niekiedy wtajemniczonych i związanych z ZOW. Toteż szpital stawał się ważnym miejscem w działalności konspiracyjnej Pileckiego, który protegował niektórych współwięźniów do pracy w rewirze, gdyż dawało im to rozległe możliwości oddziaływania.

Konspiracja obozowa miała własny sąd, wydający wyroki na donosicieli, którzy za dodatkową miskę zupy, lżejszą pracę lub na skutek załamania byli gotowi współpracować z oprawcami. Obóz był penetrowany przez konfidentów niemieckiego wydziału politycznego (Politische Abteilung). ZOW broniła się przed tym i gdy na któregoś z donosicieli zapadł wyrok, wykonać go było najłatwiej w szpitalu. Kiedy w 1942 r. szalał w obozie tyfus, była okazja dosięgnięcia zbrodniczych funkcyjnych, a nawet esesmanów. W szpitalu hodowano zakażone tyfusem wszy i podrzucano je tym, których

chciano zgładzić. Polowano na esesmanów Maksimiliana Grabnera, Wilhelma Bogera, Gerharda Palitzscha i innych, choć bez rezultatu.

Jednym z dużych sukcesów było wykonanie wyroku na konfidencie gestapo Stefanie Ołpińskim (nr 67214), Polaku, który przyjął obywatelstwo niemieckie i w obozie pokazał się z najgorszej strony. Zarażony tyfusem trafił do szpitala, gdzie zmarł. Sam Pilecki pisze o likwidacji kilku donosicieli przez wywołanie u nich rozstroju żołądka i pogłębienie choroby. Starano się też wykonywać wyroki rękami samych esesmanów, zamieniając kartoteki więźniów.

W sierpniu lub na początku września 1942 r. sam „Serafiński" zachorował na tyfus. Tym razem zajął się nim Stanisław Kłodziński, student medycyny, pracujący w rewirze członek ZOW. Po wyjściu ze szpitala Pilecki przy pomocy Bartosiewicza dostał się do komanda garbarzy, gdzie pracował obok płk. Juliusza Gilewicza, późniejszego komendanta obozowej konspiracji, i mógł być z nim w bezpośrednim kontakcie. Była tam jedna z najlepiej – poza szpitalem – zakonspirowanych grup więźniów.

Gdy Pilecki przybył do obozu, więźniami w większości byli Polacy. Drugą grupę narodowościową stanowili niemieccy kryminaliści, często sadyści, sprawujący głównie funkcje nadzoru bezpośredniego. Z niektórymi więźniami narodowości niemieckiej podjęto współpracę.

Oprócz szpitala drugim ważnym ośrodkiem konspiracji było biuro organizacji pracy (Arbeitseinsatz). W związku ze wzrastającym zapotrzebowaniem na siłę roboczą biuro zostało rozbudowane, a na jego czele stanął Otto Küsel (nr 2), człowiek, któremu więźniowie zawdzięczali bardzo wiele. Nie był wprawdzie zaprzysiężony, gdyż jako Niemca trudno go było wciągać do konspiracji polskiej, ale Pilecki miał na niego wpływ przez członków ZOW.

Arbeitseinsatz dysponował kartotekami komand więźniarskich, a ponieważ rozbudowa obozu wymagała specjalistów, tworzono z nich w miarę potrzeby nowe grupy. Komanda specjalistów uchodziły za lepsze. Jeżeli ktoś wpływowy z Arbeitseinsatz, niekiedy nawet sam Küsel, kierował więźnia do komanda roboczego z odpowiednim poparciem, to nawet jeśli nie był fachowcem, był tam w miarę bezpieczny.

Jednym z ważniejszych komand dla obozowej konspiracji było komando garbarzy. Pilecki przez biuro organizacji pracy starał się mieć wpływ na wszystkie ważniejsze grupy robocze, gdyż w jego planach miało to decydujące znaczenie. Grupy fachowe miały większe możliwości poruszania się i kontaktowania. Niepoślednią rolę odegrało komando elektryków, w ich warsztacie bowiem podczas naprawiania esesmańskich radioodbiorników skrycie słuchano komunikatów alianckich rozgłośni, a także polskiego Londynu.

ZOW potrafił penetrować te obszary, które miały pozostawać wyłącznie w zakresie władz obozowych i niemieckich kryminalistów. W Aufnähmenkommando (część administracji, gdzie zajmowano się rejestracją przybyłych do obozu więźniów), podległym wydziałowi politycznemu, było zatrudnionych trzech wciągniętych do organizacji

polskich więźniów politycznych: Karol Boch, Ludwik Rajewski (nr 4217) i Kazimierz Smoleń (nr 1327). W Aufnähmenkommando więźniom wydawano numery obozowe, prowadzono kartoteki osobowe i spisy więźniów, przygotowywano pisma do różnych instytucji niemieckich.

W ramach Politische Abteilung pracowało też biuro służby rozpoznawczej Erkennungsdienst, gdzie od połowy 1942 r. wypełniał konspiracyjne zadania Alfred Woycicki (nr 39247). Na polecenie Pileckiego miał wydobywać zdjęcia więźniów, robić odpisy ważniejszych dokumentów i relacjonować rozmowy esesmanów. W tej niebezpiecznej pracy wspierał Woycickiego młody łodzianin Władysław Wawrzyniak. Materiały z Erkennungsdienst trafiały do szpitala obozowego do Stanisława Kłodzińskiego (nr 20019) i Stanisława Głowy (nr 20017).

Równie ważnym miejscem w systemie organizacji podziemnej była Schreibstube – centralna kancelaria obozu. Pracowali tam Polacy świetnie znający język niemiecki – Erwin Olszówka (nr 1141), Ślązak pełniący obowiązki głównego „schreibera" (pisarza), i Edwin Kufel (nr 2237), gdańszczanin. Obaj byli zaprzysiężonymi członkami ZOW i oddawali nieocenione usługi, gdyż mieli dostęp do wielu spraw komendantury obozowej.

W sytuacji permanentnego niedożywienia, wręcz głodu, ZOW także w kuchni starał się mieć wpływy. Najważniejszym miejscem była jarzyniarnia, gdzie praca była względnie lekka i pozwalała organizować dożywianie. Jarzyniarnią kierował Tadeusz Lisowski (nr 329), właściwie noszący nazwisko Paolone, Włoch z pochodzenia, od lat mieszkający w Polsce. Lisowski od początku w swej grupie więźniarskiej skupiał ludzi starszych i ułomnych oraz ważne osobistości życia publicznego, takie jak Norbert Barlicki, Roman Rybarski, płk Kazimierz Rawicz, Stefan Jaracz, Leon Schiller. Od drugiej połowy 1941 r. Lisowski był w konspiracji ZOW.

Konspiracja obozowa objęła także funkcyjnych w poszczególnych blokach. Do ZOW należeli blokowi Stanisław Koprowiak (nr 714, blok 3a) i Baltosiński (blok 5). W szpitalu na czele oddziału zakaźnego w bloku 20 (później 28) stał Alfred Stössel. W bloku 25 blokowym był Alfred Włodarczyk (nr 1319), Ślązak, a jego zastępcą Edward Kulik (nr 1509), obaj zaprzysiężeni.

Inicjatywa Pileckiego nie była odosobniona, choć wyprzedziła wszystkie inne. Różne środowiska skupiały osoby o podobnych poglądach, by wymienić choćby Bojową Organizację PPS skupiającą grupę WRN (okupacyjny kryptonim socjalistów) i socjalistyczne harcerstwo. Celem Pileckiego było połączenie wszystkich grup konspiracyjnych i przygotowanie powstania w obozie. Jedną z zasad konspiracyjnych ZOW było unikanie kontaktów z wyższymi oficerami, którzy pod własnymi nazwiskami przebywali w obozie i figurowali w kartotece wydziału politycznego. W razie uchwycenia przez obozowe gestapo jakiejś nitki prowadzącej do konspiracji oni przede wszystkim byliby podejrzani i narażeni na śledztwo.

Jednakże zasadę tę naruszył sam Pilecki, gdyż najpierw włączył do organizacji płk Surmackiego, a później płk. Jana Karcza (nr 23569). Płk Karcz był szefem

departamentu kawalerii i byłym dowódcą elitarnego oddziału – 1. pszwol. Pilecki i Karcz znali się sprzed wojny, toteż i w obozie szybko się porozumieli.

Zasada nieprzyjmowania do ZOW wyższych wojskowych obróciła się przeciw Pileckiemu. Współtowarzysze zaczęli bowiem przypuszczać, że jest on osobiście zainteresowany wyłączeniem szarż, gdyż pozwala to jemu – podporucznikowi rezerwy – stać na czele konspiracji. Zarzut taki pojawił się akurat w momencie, gdy były w toku rozmowy z innymi grupami konspiracyjnymi w obozie. Henryk Bartosiewicz, który wszedł do czwartej górnej piątki, znalazł wyjście z sytuacji. Sam był związany z grupą ZWZ skupioną wokół płk. Rawicza, który w kartotece obozowej figurował jako Jan Hilkner. Nie był znany jako wojskowy, a więc wymogi konspiracji nie mogły ucierpieć. Pilecki już wcześniej w TAP nie miał oporów przed połączeniem z ZWZ, a tym bardziej nie miał ich w obozie. Przystał więc na pomysł Bartosiewicza, by komendę wojskową przekazać płk. Rawiczowi. Pilecki w tym układzie w swoim ręku pozostawił kierownictwo organizacyjne ruchu podziemnego i nadal wpływał na rozwój sieci konspiratorów.

Płk Rawicz pracował podówczas w jarzyniarni. W rozmowach między pułkownikiem a porucznikiem pośredniczył Bartosiewicz. Pilecki przedstawił organizację, jej możliwości i plany. Rawicz uznał to za ważne i wiążące i przyjął zwierzchnictwo wojskowe nad połączonymi grupami konspiracyjnymi. Tym samym powstała organizacja formalnie podporządkowana Komendantowi Głównemu ZWZ-AK.

Płk Rawicz utrzymywał kontakt z innymi oficerami uwięzionymi w KL Auschwitz, m.in. z ppłk. Teofilem Dziamą „Bogusławem” (nr 13578). Stanowili oni zaplecze wojskowe i koncepcyjne dla konspiracji. Dwie grupy podziemne w warunkach obozowych nie miały możliwości połączenia się, gdyż nie można było ujawniać zbyt wielu osób; przypadkowa wpadka mogłaby zniweczyć dotychczasowy wysiłek. Oświęcimscy konspiratorzy zaczęli się jednak jednoczyć na górze; z czasem powstał jednolity ośrodek decyzyjny.

Po pierwszych rozmowach w sprawie zjednoczenia grup wojskowych Pilecki docenił też konieczność współdziałania politycznego i podjął rozmowy z przedstawicielami partii i nurtów politycznych. Od jesieni 1940 r. byli w obozie członkowie Bojowej Organizacji PPS ze Stanisławem Dubois na czele. Mieli kontakty ze światem zewnętrznym. Również prawica miała wybitnych reprezentantów w osobach Jana Mosdorfa, związanego z ONR, i prof. Romana Rybarskiego ze SN. Wokół nich skupiło się wielu więźniów będących zwolennikami obozu narodowego, ale bardziej zorganizowani byli członkowie prawicy na terenach przyobozowych, skąd szła niemała pomoc dla uwięzionych.

Pilecki chciał powołać swoisty polityczny komitet porozumiewawczy, którego celem byłoby tworzenie jedności i solidarności wszystkich uwięzionych. Komitet taki dałby oparcie organizacji wojskowej. Rozmowy, które podjął, nie były łatwe; sporo czasu minęło, zanim Pilecki zdołał przekonać swych rozmówców o potrzebie współdziałania.

Prawdopodobnie porozumienie polityczne zostało zawarte na początku grudnia 1941 r. Do komitetu politycznego weszli z PPS Stanisław Dubois, Adam Kuryłowicz i Wacław Szumański, a ze środowiska narodowego Roman Rybarski, Jan Mosdorf, mec. Stefan Niebudek i Piotr Kownacki.

Wyrazem porozumienia politycznego była wigilia 1941 r., którą zorganizował w swej sztubie nr 7 bloku 25 Henryk Bartosiewicz z udziałem Pileckiego oraz blokowego Alfreda Włodarczyka i jego zastępcy Edwarda Kulika, także zaprzysiężonych członków ZOW. W głębokiej konspiracji przygotowano spotkanie, na które zaproszono kilkanaście osób z innych bloków – polityków i wojskowych o dużym autorytecie, z którymi Pilecki utrzymywał kontakt. Krok był bardzo ryzykowny i naruszał zasady konspiracji, ale organizatorzy uznali, że jest on potrzebny.

W wigilijnym spotkaniu uczestniczyli m.in. prof. Roman Rybarski, Stanisław Dubois, płk Kazimierz Rawicz, płk Jan Karcz, ppłk Teofil Dziama, Bernard Świerczyna, dr Stanisław Dering, kpt. Tadeusz Lisowski, kpt. Stanisław Kazuba, dr Rudolf Diem, Włodzimierz Makoliński, Stefan Bielecki, Edward Kowalski i Stanisław Gutkiewicz. Na tę uroczystość przystrojono izbę choinką z Białym Orłem wyciętym z brukwi. Nastrojowe przemówienia wygłosili blokowy i jego zastępca, a następnie mówili prof. Rybarski i Dubois.

Od tego wigilijnego spotkania prace konspiracyjne znalazły głębsze zrozumienie i nabrały większego tempa. Grupy polityczne i osobistości różnych orientacji skupiły się dla samoobrony w Komitecie, na którego czele stali Rybarski, Dubois, Mosdorf i Pilecki.

W miarę przybywania transportów spoza okupowanej Polski obóz stawał się międzynarodowy. Jeńcy sowieccy, którzy żyli w najbardziej ekstremalnych warunkach i koncentrowali się przede wszystkim na elementarnej egzystencji i przetrwaniu, w początkowym okresie nie wchodzili w rachubę jako element konspiracji obozowej zakładanej przez Rotmistrza. Pilecki natomiast z uwagą obserwował Czechów, zwłaszcza 135-osobowy transport praskiej inteligencji związanej z organizacją Sokół, a po pewnym czasie rozpoczął owocne rozmowy na temat współpracy z Karelem Stranskym, adwokatem z Pragi.

Kiedy rozpoczęła się rozbudowa Brzezinki (Auschwitz II-Birkenau) i Niemcy podjęli masową eksterminację, głównie Żydów, zasadnicze zadanie obozowej konspiracji polegało na objęciu tworzącego się kompleksu siatką organizacyjną. Trzeba było zebrać możliwie wiarygodne i udokumentowane informacje, a następnie przesłać je do Warszawy. O zbrodni ludobójstwa powinien był dowiedzieć się Zachód. Skala masowej zagłady przerażała i porażała; nie sposób było uwierzyć w rozmiary tego zjawiska.

Pilecki szukał odpowiedniej osoby, której można by było powierzyć zadanie przeniesienia organizacji na teren Birkenau. Nieoczekiwanie rozwiązał ten problem fakt skierowania przez Niemców płk. Jana Karcza, członka ZOW, ze starego obozu do nowo powstającego kompleksu obozowego. „Tomek” zwrócił się więc do pułkownika

z propozycją kierowania podziemiem na terenie Brzezinki. Karcz wyraził zgodę i pod koniec kwietnia 1942 r. stał się komendantem ZOW w Brzezince.

Oblicza się, że w marcu 1942 r. ZOW liczyła około 500 osób, a w 1943 r. liczba ta znacznie się powiększyła. Około 100 więźniów zaprzysiągł sam „Tomek". Siła tej konspiracji nie polegała na typowych walorach militarnych, choć do walki była ona przygotowywana, lecz na jej znaczeniu psychologicznym i moralnym. Niemożliwe było przeciwstawienie się machinie zbrodni, zwłaszcza gdy obóz zaczął wypełniać zadania masowej zagłady.

Dopiero stworzenie struktury konspiracyjnej, porozumienie polityczne, przeniesienie siatki podziemnej na teren rozwijającego się kompleksu Birkenau, pierwsze uzgodnienia współpracy międzynarodowej, dokonane w porozumieniu z Czechami, umożliwiły przejście od form samopomocy koleżeńskiej, lokowania wtajemniczonych więźniów w lepszych komandach i na różnych funkcjach, zbierania informacji i przesyłania ich do KG AK w Warszawie, nawiązywania łączności ze światem podobozowym i rozpowszechniania krzepiących wiadomości, do bardziej bezpośrednich działań w postaci łączności radiowej i organizowaniu ucieczek. Zaczęto rozważać plany aktywnej samoobrony, by esesmani wyraźnie odczuli, że więźniowie są w stanie przeciwstawić się terrorowi i eksterminacji w kacecie. W znacznym jednak stopniu paraliżowała wszystkich świadomość ewentualnego odwetu.

Pilecki rozumiał bezsilność więźniów i niemożność przeciwstawienia się esesmanom bez pomocy z zewnątrz. Powstały nadzieje na desant i pomoc od grup podobozowych, a także na zsynchronizowanie akcji wewnątrz kacetu. Ogrom dokonywanych zbrodni kazał więźniom myśleć o desperackim buncie, gdyby SS postanowiła likwidować obóz. Konieczne było zatem opracowanie szczegółowych przygotowań do akcji militarnej w różnych sytuacjach. Pilecki zdecydował, a płk Rawicz to zaaprobował, by istniał dwojaki plan działań więźniów, którego celem było opanowanie kacetu. Więźniowie z różnych bloków pracowali w komandach i na wypadek sygnału do walki musieli mieć inną strukturę organizacji bojowej od tej, gdyby walka miała się zacząć nocą, a więźniowie poszczególnych komand byliby w różnych blokach.

Zadania wojskowe powierzono czterem dowódcom. Dowódcą batalionu II został kpt. Stanisław Kazuba; dowodzenie batalionem III przejął kpt. Tadeusz Lisowski (Paolone), pełniący funkcję kapo jarzyniarni; batalionem I miał kierować mjr Edward Gött-Getyński; batalion IV pozostawał pod rozkazami kpt. Zygmunta Pawłowicza „Trzęsimiecha". Zgodnie z tradycją wojskową obsadzono też funkcję kapelana, którym był ks. Zygmunt Ruszczak (nr 9842). Liczono, że z chwilą rozpoczęcia walki przez więźniów obozowego podziemia dołączą do nich tysiące innych.

Pierwotne przygotowania i plany dotyczyły tylko obozu macierzystego Auschwitz I, gdyż Birkenau (Auschwitz II) dopiero powstawała, a inne podobozy były dość odległe i mniej liczne; poza tym kontakt z nimi nie był sprawą prostą. Taki stan utrwalił się do Wielkanocy 1942 r.

W połowie 1942 r. w obozie zmieniono sposób lokowania więźniów. Zamieszkali oni w blokach komandami roboczymi. Zrewidowano wówczas plany ZOW i na początku października 1942 r. podzielono zaprzysiężonych więźniów zgodnie ze strukturą wojskową na bataliony, kompanie i plutony.

Auschwitz I został przez Pileckiego podzielony na cztery bataliony. Dowódcą całości pozostał mjr Zygmunt Bończa-Bohdanowski. Dowódcą I batalionu (bloki 15, 17 i 18) wyznaczono mjr. Edwarda Gött-Getyńskiego, dowódcą II batalionu (bloki 16, 22, 23, 24) – kpt. Stanisława Kazubę, dowódcą III batalionu (bloki 19, 25, kuchnia i personel szpitala z bloków 20, 21 i 28) – kpt. Tadeusza Lisowskiego (Paolone), dowódcą IV batalionu (bloki 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10) – kpt. Zygmunta Pawłowicza. Konspiracyjną służbą zdrowia miał kierować dr Diem, a jego zastępcą miał być dr Czesław Jaworski (obaj lekarze wojskowi). Doktorowi Deringowi powierzono funkcję komendanta rewiru.

Struktura organizacyjna nie dawała jeszcze żadnych możliwości walki, potrzebna bowiem była broń, by realnie myśleć o jakiejkolwiek akcji. ZOW posiadał zamaskowany magazyn broni pod barakiem biura budowlanego.

Kierownictwo ZOW nie chciało spontanicznego i niezorganizowanego buntu, licząc na akcję zaplanowaną i celową. Akcja, by miała jakieś szanse powodzenia, musiała liczyć na znaczne wsparcie z zewnątrz i być z nim zsynchronizowana. Pilecki optymistycznie oceniał możliwość samodzielnego działania więźniów, ale oczekiwał wyraźnego sygnału z Warszawy. Liczył na jednoczesną akcję z ogólnonarodowym zrywem powstańczym. Stąd przy każdej okazji w meldunkach do KG ponaglał, by wydano odpowiednie rozkazy. Był przekonany, że zadanie, którego się podjął, wypełnił, gdyż przygotował obóz do walki, i niecierpliwił się, że Warszawa milczy.

Pierwszy meldunek Witold przesłał w listopadzie 1940 r. przez zwolnionego z obozu Aleksandra Wielopolskiego. Uważał Wielopolskiego za pracownika przedwojennego wywiadu i miał do niego zaufanie; był on zaprzysiężonym przez „Tomka" członkiem ZOW. Meldunek ten został wykorzystany w poczcie kurierskiej Komendanta Głównego ZWZ Stefana Roweckiego. Poczta dotarła do Londynu w marcu 1941 r., gdzie upowszechniono wiadomości o zbrodniach hitlerowskich dokonywanych w obozie. Na początku lutego 1941 r. za pośrednictwem Tadeusza Burskiego Pilecki przesłał kolegom meldunek do Warszawy.

Miesiąc później, 7 marca 1941 r., zwolniony z obozu został inny zaprzysiężony członek ZOW – Sławomir Szpakowski z Warszawy, o którego uwolnienie żona czyniła starania przez szwedzki konsulat. Za pośrednictwem Szpakowskiego Pilecki mógł przekazać dalsze informacje o konspiracji obozowej.

W połowie maja 1941 r. bramy kacetu otworzyły się przed Karolem Świętorzeckim (nr 5360), żołnierzem ZOW i bliskim współpracownikiem „Tomka". W grudniu 1941 r. niespodziewanie został zwolniony ppłk Władysław Surmacki i przywiózł do Warszawy kolejny raport Witolda.

W styczniu 1942 r. informacja do Warszawy dotarła przez sierż. Antoniego Woźniaka (nr 5512). Również w styczniu 1942 r. „Tomek" wysłał do Warszawy przez

płk. Aleksandra Palińskiego (nr 8253) informację o zorganizowaniu struktury konspiracyjnej w celu walki w obozie.

W początkowej fazie organizowania ZOW przesyłanie meldunków przez zwalnianych więźniów było praktycznym i dość szybkim sposobem informowania ZWZ-AK, ale wymagało, by każdy zwolniony był człowiekiem zaufanym i tkwił w konspiracji. Inaczej wyglądała sprawa z uciekinierami. W początkowym okresie zwiększonego terroru podejmowane ucieczki powodowały zbiorową odpowiedzialność, zarówno współwięźniów z bloku lub komanda, jak i najbliższej rodziny. Pilecki ustosunkował się do ucieczek zdecydowanie negatywnie jako do przejawu egoizmu. W początkach 1942 r., gdy została zniesiona odpowiedzialność zbiorowa za ucieczki, co zwolniło więźniów z morderczych, wielogodzinnych apeli, ZOW inaczej ustosunkował się do prób wydostania się na wolność. Teraz przystąpił do ich organizowania. Była to też jedna z dróg wysyłania raportów do Warszawy.

Pierwszym uciekinierem-emisariuszem był współpracownik Pileckiego Stefan Bielecki, więziony za posiadanie broni. Uciekł w maju 1942 r. z Wincentym Gawronem. Szczęśliwie dotarł z raportem „Tomka” do Warszawy i złożył meldunek ustny i pisemny o obozie, prawdopodobnie ppłk. Jerzemu Urzyckiemu („Jurski”, „Ort”). Raport przedstawiono gen. Grotowi-Roweckiemu.

ZOW był organizatorem wielu udanych ucieczek, choć nie wszystkie miały pomyślny finał. Do organizacji obozowej informacje z Warszawy docierały przez osoby przybywające z Pawiaka do KL Auschwitz. Pilecki przez nowo przybyłych otrzymywał potwierdzenie przesłanych meldunków i relacji oraz akceptację działań i zachętę do kontynuowania wysiłków.

W pismach konspiracyjnych – „Biuletynie Informacyjnym”, „Rzeczpospolitej” (organ DR na Kraj) i innych – ukazywało się wiele drastycznych informacji o KL Auschwitz. Jeden z obozowych esesmanów Pery Broad zanotował: „W Berlinie byli wściekli i chcieli wiedzieć, w jaki sposób tyle wydostało się na zewnątrz. Również o morderstwach w bloku 11 Polacy byli zorientowani”.

Informacje z kacetu za pośrednictwem KG AK przesyłano do władz RP w Londynie. Istotnym źródłem były relacje ZOW pochodzące od „Serafińskiego” oraz jego raporty. Przetłumaczone na inne języki miały alarmować rządy sojusznicze i światową opinię publiczną o zbrodniach niemieckich dokonywanych za drutami KL Auschwitz. Informacje te, łącznie z wiedzą o eksterminacji więźniów żydowskich, docierały do najwyższych władz sojuszniczych mocarstw. W marcu 1943 r. delegat rządu Jan Stanisław Jankowski i komendant AK gen. Stefan Rowecki pisali do Londynu: „Statystyka Oświęcimia od założenia obozu do 15 XII [1942 r.] wykazuje, że zginęło tam ponad 640 tysięcy ludzi, a pozostało przy życiu około 30 tys. 65 tys. Polaków zostało rozstrzelanych, powieszonych, storturowanych, zagazowanych, zmarło z głodu i chorób, żyje zaś 17 tysięcy. Jeńców sowieckich zgładzono ponad 6 tysięcy, żyje stu. Żydów wytruto gazem ponad 520 tysięcy, w tym 20 tysięcy z Polski, reszta z Francji, Belgii, Holandii, Jugosławii i in.

Kobiet – w większości Polek – żyje 6.800, zabito i zmarło 19.000. Część tylko przechodzi przez ewidencję obozową. Tysiące giną bez imienia, np. prawie wszyscy Żydzi".

Na początku 1943 r. Pilecki zaczął poważnie myśleć o ucieczce z obozu. Obozowe gestapo zaciskało coraz bardziej pętlę wokół ZOW i wyrywało najbliższych współpracowników Witolda. Zginęli płk Jan Karcz, ppłk Karol Kumaniecki, mjr Edward Gött-Getyński i wielu innych.

Mając informację o konspiracji obozowej, władze KL Auschwitz zdecydowały się większą liczbę więźniów „starych", czyli z niskimi numerami, przerzucić do innych kacetów. W dniach 7–9 marca 1943 r. wybrano około 6 tys. więźniów i odizolowano ich w blokach 12 i 19; wśród nich był także Pilecki oraz wielu zaprzysiężonych häftlingów. Rozpoczęto starania, by przynajmniej niektórych wyreklamować z transportu pod jakimś pretekstem. Pilecki otrzymał pas przepuklinowy i komisja selekcyjna odrzuciła go z transportu jako inwalidę. Udało się ocalić szkielet organizacji podziemnej, ale wielu konspiratorów zostało przerzuconych do Buchenwaldu, Neuengamme, Flossenbürga, Gross-Rosen i Mauthausen.

Tydzień później odbyła się kolejna selekcja. Aby nie zostać zakwalifikowanym do niezdolnych do pracy, co mogło grozić zagazowaniem, Pilecki wystarał się o kategorię fachowca niezbędnego do pracy w komandzie. Nie chciał ryzykować dekonspiracji przez osobiste dokonywanie reorganizacji i wprowadzanie nowo zaprzysiężonych współtowarzyszy na miejsce wywiezionych. Poza tym spodziewał się, że to dopiero początek akcji przemieszczania „starych numerów" i że w każdej chwili może znaleźć się w kolejnym transporcie, z którego nie uda się go wyreklamować.

Pilecki poszedł do obozu dobrowolnie, by zorganizować konspirację i przygotować uwięzionych do walki zbrojnej. Kiedy osiągnął – jak sądził – cel i pozostało tylko oczekiwać sygnału i pomocy z zewnątrz, KG AK nie odpowiadała na ponaglenia. Ponadto jeśli gestapo obozowe już potrafiło pokrzyżować niemało planów konspiracyjnych i spowodować znaczne straty w organizacji, to następne miesiące mogły być jeszcze dramatyczniejsze. To wszystko ostatecznie skłoniło Witolda do podjęcia decyzji o ucieczce z KL Auschwitz i osobistej interwencji u władz podziemia krajowego, by zrealizować akcję zbrojną więźniów i współdziałanie w postaci desantu, bombardowań i uderzeń oddziałów partyzanckich.

13 kwietnia 1943 r. wieczorem Pilecki zdecydował się ostatecznie na ucieczkę z obozu. Począł przekazywać swoje kontakty i zobowiązania organizacyjne „Bohdanowi" (mjr. Zygmuntowi Bończy-Bohdanowskiemu), któremu powiedział o swej decyzji i powierzył sprawy związane z przygotowaniami do walki. Następnie odbył rozmowę z Henrykiem Bartosiewiczem, przekazując najważniejsze i najtajniejsze sprawy związane z zadaniami ZOW. Rozmawiał też z samym Gilewiczem i innymi.

Witold wraz z Edwardem Ciesielskim i Janem Redzejem (osadzonym w obozie pod nazwiskiem Jana Retkego) postanowili uciekać przez piekarnię, oddaloną o około 2 km od obozu macierzystego Auschwitz I. Spośród trójki uciekinierów tylko Redzej

pracował w piekarni. Ciesielski i Pilecki musieli dopiero zdobyć skierowania, a była do tego potrzebna zgoda Arbeitsdienstführera (urzędnik wydziału III; kierował organizacją pracy przymusowej więźniów). Normalne postępowanie było zbyt niebezpieczne i długotrwałe, zdobyto więc blankiety i odpowiednio je podrobiono. Więźniowie postanowili uciekać w czasie świąt wielkanocnych, gdy nastrój świąteczny rozluźni dyscyplinę wśród załogi. Wybrano na to świąteczny poniedziałek – noc z 26 na 27 kwietnia 1943 r. W piekarni pracowano na dwie zmiany i trzeba było trafić do zmiany nocnej.

Plan zakładał, że więźniowie między godziną 2 a 3 w nocy odłączą alarm i po odkręceniu śruby, która blokowała sztabę w drzwiach, otworzą dorobionym kluczem żelazne drzwi. Po wyjściu pozostanie tylko jak najszybciej oddalić się od piekarni i obozu. Ich celem była Bochnia – około 90 km w linii prostej od obozu na wschód przez Porębę i Puszczę Niepołomicką.

W czasie zmiany wybranej do ucieczki Ciesielski zainscenizował upadek i symulował silne bóle kręgosłupa. Kazano mu się położyć na sienniku, ale później musiał już nosić węgiel do pieca. Wykorzystując fakt, że jeden strażnik przestał obserwować więźniów i zajął się przygotowywaniem dla siebie posiłku, a drugi pisał list, Ciesielski odciął połączenie telefoniczne; pozostali odkręcili nakrętki śrub mocujących metalowe drzwi i z niemałym trudem otworzyli kluczem drzwi. Po wyjściu na zewnątrz drzwi podparli taczkami, kamieniami i drągiem, by esesmani nie mogli szybko wydostać się na zewnątrz i wszcząć alarmu. Okna miały kraty i były zabezpieczone siatką.

Torem kolejowym uciekinierzy doszli do rzeki. Woda była odstraszająco zimna, pozostawał więc most. Na szczęście nie było wartownika. Następnie nieomal otarli się o druty podobozu Bunawerke w Monowicach. Przed świtem dotarli do Wisły; przypadkowo znaleziona łódka pozwoliła im na przedostanie się na drugi brzeg, gdzie był las. Zabłąkani dotarli na plebanię w Alwerni koło Regulic. Tamtejszy ksiądz nakarmił ich i dał im przewodnika na dalszą drogę, by mogli przekroczyć granicę między III Rzeszą a GG.

Uciekinierzy dotarli do Puszczy Niepołomickiej. Tam, przechodząc w pobliżu leśniczówki, natknęli się na niemieckich żołnierzy lub strażników leśnych, którzy zaczęli strzelać do uciekinierów. Podczas ucieczki Pilecki odniósł ranę prawego ramienia i przedramienia (nie była zbyt groźna, ale obficie krwawiła i Ciesielski prowizorycznie ją opatrzył). Redzej w tym czasie odłączył się od kolegów. Spotkali się w Bochni 2 maja w domu Obarów, a więc po 6 dniach przedzierania się z Auschwitz-Birkenau.

Wkrótce w Wiśniczu Pilecki- „Serafiński” spotkał się z człowiekiem, którego nazwisko nosił w kacecie. Autentyczny por. Tomasz Serafiński nie zamierzał po kapitulacji Warszawy w 1939 r. iść do niewoli i opuścił stolicę zaopatrzony w dokumenty na nazwisko Tadeusza Ostrowskiego. Zbiegiem okoliczności na podstawie jego dokumentów i w przekonaniu, że ich właściciel nie żyje, Witold Pilecki wyrobił sobie kenkartę i jako Tomasz Serafiński znalazł się później w KL Auschwitz. W obozie poznał Tadeusza Lecha „Sowę”, pochodzącego z Bochni, od którego dowiedział się o konspiracyjnej działalności

autentycznego Serafińskiego. Pilecki wcale nie liczył na bezpośredni kontakt z Serafińskim, jednakże Niemcy, idąc tropem „Serafińskiego" (adres), mogli dotrzeć do autentycznego Serafińskiego. Stąd potrzeba ostrzeżenia księdza ze względu na dokumenty parafialne oraz uprzedzenia zainteresowanego, by zapewnił sobie alibi, że gdy jego „sobowtór" przebywał w KL Auschwitz, on był gdzie indziej.

3 maja 1943 r. w Koryznówce w mieszkaniu Serafińskich Pilecki spotkał się z Ludmiłą i Tomaszem. Relacja z pobytu w kacecie sprawiła, że zadzierzgnięta została między nimi przyjaźń. Serafiński ps. „Lisola" był zastępcą komendanta placówki AK Wiśnicz i przesłał meldunek o zbiegach komendantowi Okręgu Krakowskiego. Donosił mu, że uciekinierzy domagają się nawiązania łączności z władzami podziemnymi, gdyż opracowali plany akcji zbrojnej w celu uwolnienia więźniów oświęcimskich. Jednocześnie każdy z uciekinierów złożył szczegółowy raport o zbrodniach popełnianych przez Niemców w KL Auschwitz. Pilecki, licząc na podjęcie akcji wojskowej na rzecz więźniów, pozostał dłużej w domu Serafińskich.

Krakowska Komenda AK była nieufna w stosunku do relacji uciekinierów i bała się prowokacji. Nieufności tej nie przemógł nawet przejęty list gończy gestapo w GG rozesłany za nimi z obozu (był wysłany wyłącznie kanałami policyjnymi i nie był upubliczniony). Atmosfera wokół trójki uciekinierów była pełna podejrzliwości. Plany rozbicia obozu i niecierpliwość w tej sprawie okazywana przez Witolda jeszcze wzmagały nieufność. Z Krakowa przekazano polecenie zerwania kontaktów z uciekinierami, a ich samych polecono skierować do Rady Głównej Opiekuńczej lub Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK). „Lisola" odmówił wykonania tego rozkazu. Wyjaśnianie sprawy trochę trwało. Ostatecznie Pilecki otrzymał kenkartę na nazwisko Leona Bryjaka, ale używał jej bardzo krótko. Później w Krakowie wyrobiono mu nową na nazwisko Jana Uznańskiego. Używał ich zamiennie do czasu Powstania Warszawskiego. W Wiśniczu przyjął nowy pseudonim – „Romek".

Z czasem nawiązał łączność z Warszawą, skąd przybył Stefan Bielecki, który uciekł z obozu 16 maja 1942 r. z raportem Witolda do KG AK. Przywiózł pieniądze i dokumenty i zamierzał zabrać uciekinierów do Warszawy. Pilecki odmówił, gdyż liczył na pobliskie oddziały partyzanckie i chciał zorientować się w możliwościach ich działania w sąsiedztwie obozu. W tym czasie bowiem poznał Andrzeja Możdżenia „Sybiraka", szefa dywersji i uzbrojenia obwodu AK, którego nakłonił do akcji na obóz w Oświęcimiu. „Sybirak" obiecał przygotowanie 150 ludzi. W Bochni u Oborów Pilecki konferował w tej sprawie ze Stanisławem Żakiem, działaczem PPS. Plan z każdym dniem stawał się coraz precyzyjniejszy. Aby go zrealizować, potrzebna była zgoda KG AK. 22 sierpnia Pilecki ostatecznie wyjechał do Warszawy, licząc na przyspieszenie decyzji w tej sprawie. W stolicy zaczął nowe życie konspiracyjne jako Roman Jezierski.

***

25 sierpnia 1943 r. Pilecki zameldował się w KG AK w Warszawie. Liczył, że znajdzie zrozumienie dla swoich planów. Niestety wcześniej, 30 czerwca, został aresztowany gen. Stefan Rowecki, któremu znana była misja oświęcimska Witolda. Spotkał się więc z przedstawicielem KG AK mjr. Karol Jabłońskim (ps. „Wilk", „Zygmunt"), który zajmował się sprawami kacetu oświęcimskiego. Pilecki wspomina to spotkanie następująco: „Przedstawiałem plan akcji na Oświęcim szefowi planowania akcji Kedywu („Wilk"-„Zygmunt" [mjr Karol Jabłoński]) w jesieni 1943 r., który mi powiedział: «Po wojnie pokażę panu taki plik aktów na temat Oświęcimia, gdzie są i wszystkie meldunki Pana...»".

W Warszawie Pilecki stale namawiał kierownictwo AK do podjęcia akcji uwolnienia więźniów z Auschwitz-Birkenau. 21 lipca 1944 r. rozmawiał ponownie z przedstawicielem KG AK, by przez niego przekazać raport o obozie Komendantowi Głównemu AK. Rozmówca – był nim zapewne płk Kazimierz Pluta-Czachowski, szef Oddziału V KG AK – upewnił jednak porucznika Pileckiego, że Tadeusz Komorowski „Bór", dowódca AK, zna dobrze sprawy oświęcimskie, ale akcja na obóz jest na razie niemożliwa. Relacje Pileckiego o sytuacji w KL Auschwitz, przekazywane do Londynu, do polskiego rządu na emigracji i wojsk sojuszniczych, były traktowane bardzo poważnie. Propozycji bombardowania kacetu alianci jednak nie podjęli, uznając, że prócz ograniczonego zasięgu lotów i trudności technicznych istniały przeszkody natury politycznej. Również projekt powstania w obozie nie miał szans realizacji.

Rozważano więc jedynie podjęcie walki na wypadek, gdyby Niemcy zdecydowali się na likwidację wszystkich więźniów. Sprawa została powierzona Komendantowi Okręgu Śląskiego mjr. Zygmuntowi Jankemu ps. „Walter". Przewidywano, że uda się najwyżej na pół godziny otworzyć obóz i przez ten czas powstrzymać siły SS. Ale koszty operacji w ocenie KG AK byłyby wysokie, gdyż prawdopodobnie tylko 200–300 więźniów mogłoby się wydostać z obozu wraz z partyzantami. Reszta musiałaby ratować się na własną rękę, co nie dawało im zbyt wielkich szans i musiałoby się zakończyć masakrą. Plan powstał na wiosnę 1944 r., gdy kompleks obozów liczył około 100 tys. więźniów. Dowódca okręgu potwierdził sformułowany poprzednio wniosek, że plan może być realizowany tylko w razie masowego mordu na więźniach.

Do walki o obóz nie doszło. Niemniej akcja oświęcimskiego podziemia, o której Niemcy wiedzieli, przyczyniła się do tego, że esesmani nie podjęli akcji masowej likwidacji więźniów w ostatnim okresie istnienia obozu. Dla wielu uwięzionych zaś konspiracja wewnątrzobozowa była fizycznym i moralnym oparciem.

Pilecki, poznawszy różne aspekty sprawy, zrozumiał powściągliwość KG AK w organizowaniu akcji uwolnienia więźniów. Informacje o tym lojalnie przekazał konspiracyjnym kanałem kpt. Stanisławowi Kazubie, wyznaczonemu na dowódcę jednego z więźniarskich batalionów. Nadal żył sprawami oświęcimiaków, roztaczając opiekę nad rodzinami współtowarzyszy zza drutów. O tym, że sprawa odbicia więźniów oświęcimskich była stale rozważana, świadczy wysłanie przez KG AK w pobliże kacetu

por. Stefana Jasieńskiego „Urbana", „Alfy", cichociemnego, ze specjalnymi zadaniami. Niestety Jasieński późną jesienią 1944 r. został ujęty przez Niemców i znalazł się w KL Auschwitz.

Pilecki do wybuchu Powstania Warszawskiego pozostawał w kontakcie z obozowym podziemiem. Ułatwieniem dla niego był zresztą fakt, że od stycznia 1944 r. komórką więzienną Oddziału II KG o kryptonimie „Kratka" kierował towarzysz ucieczki z KL Auschwitz, Jan Redzej „Klemens".

***

Po przybyciu do Warszawy Pilecki na własną prośbę otrzymał przydział do Oddziału III Kedywu KG AK, znanego pod kryptonimem „Kameleon". „Kameleonem" kierował „Jeż" (por. Stefan Wysocki); od 24 sierpnia 1943 r. Pilecki był jego zastępcą. W tym charakterze pozostał do czasu powstania. Powrócił też do pseudonimu „Witold". W tym okresie awansowano go do stopnia rotmistrza ze starszeństwem od 11 listopada 1943 r.

Sytuacja wojenna sprawiała, że zmieniały się też cele polityczne i wojenne PPP. W związku z dostrzegalną uległością aliantów wobec Sowietów i możliwością opanowania przez nich całej Polski pojawiła się w gronie przywódców PPP myśl stworzenia nowej, ściśle zakonspirowanej organizacji krajowej o charakterze polityczno-wojskowym. Jej celem było uodpornienie społeczeństwa polskiego, będącego jeszcze pod niemiecką okupacją, ale już „wyzwalanego" przez Sowietów, na zalew propagandy komunistycznej, mobilizowanie duchowych sił narodu oraz ochrona osób i instytucji konspiracyjnych przed inwigilacją komunistycznych organów bezpieczeństwa.

W kwietniu 1944 r. gen. Komorowski polecił płk. Augustowi Emilowi Fieldorfowi „Nilowi" opracowanie struktury organizacji konspiracyjnej pod nazwą „NIE" (Niepodległość). „Nil" przejął też kierowanie sprawami wojskowymi organizacji. Miała to być konspiracja w konspiracji, a jej silne zakonspirowanie opierało się na systemie trójkowym. Statut NIE podkreślał, że „organizacja ma za zadanie wszystkimi dostępnymi środkami i metodami utrzymać Ducha Narodu i wywalczyć Niepodległą Wolną Polskę". W pracę organizacji zaangażowano także Pileckiego. Witold, tym razem pod kryptonimem „T-IV", miał organizować strukturę planowania i akcje bojowe.

Pilecki ze względu na zadania w NIE nie miał prawa włączać się czynnie do akcji powstańczych w Warszawie. Jednakże nie mógł stać na uboczu, gdy powstanie wybuchło. Początkowo walczył jako szeregowy żołnierz AK, by następnie objąć dowodzenie 2 kompanii I Batalionu Zgrupowania „Chrobry II". Podczas walk zetknął się ze współuciekinierem oświęcimskim Edwardem Ciesielskim.

Po kapitulacji Powstania Warszawskiego Pilecki znalazł się najpierw w niemieckim obozie Lamsdorf (Łambinowice), a potem w Murnau. Gdy ten ostatni został wyzwolony przez Amerykanów, Rotmistrz, jako człowiek o daleko idącym poczuciu obowiązku i świadomości, że przez czynny udział w Powstaniu Warszawskim złamał rozkaz

niewłączania się do walk powstańczych, zdecydował się za to odpowiedzieć. Gdy do Murnau 8 maja 1945 r. przyjechali generałowie Tadeusz Bór-Komorowski, p.o. Naczelnego Wodza, Antoni Chruściel i Tadeusz Pełczyński, stanął do raportu u gen. Pełczyńskiego. Pilecki, zgodnie z zasadami przyjętymi w NIE i potwierdzonymi przysięgą, powinien był przebywać w okupowanej przez wojska sowieckie Polsce i tam prowadzić prace konspiracyjne; żadne okoliczności nie mogły według niego stanowić usprawiedliwienia.

Władze wojskowe uznały jednak, że działał w stanie wyższej konieczności, i Pilecki wkrótce otrzymał przydział do 2 Korpusu Polskiego we Włoszech. 11 lipca 1945 r. przybył do Rzymu i zameldował się do służby, choć przez jakiś czas pozostawał bez bezpośredniego przydziału, gdyż przesądzony był jego powrót do kraju zdominowanego przez komunistów i Sowietów.

W tym czasie Witold spisywał wspomnienia oświęcimskie. W Porto San Giorgio nad Adriatykiem latem 1945 r. powstał jego kolejny, liczący 104 strony *Raport*, będący najważniejszym dokumentem obozowej działalności konspiracyjnej w KL Auschwitz-Birkenau. Przechowywany jest w londyńskim SPP. Pierwszy raport powstał zaraz po ucieczce z kacetu w Nowym Wiśniczu w czerwcu 1943 r. Jedenastostronicowy dokument zakopali w swoim ogródku w Koryznówce Serafińscy; nie zniszczyli go nawet na prośbę Rotmistrza po sporządzeniu raportu „włoskiego” i dziś pozostaje on w zbiorach Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. W 1943 r. trzy relacje – Pileckiego, Redzeja i Ciesielskiego – w KG AK przetłumaczono na język angielski, francuski i niemiecki, by zaalarmować światową opinię publiczną informacjami o zbrodniczym charakterze KL Auschwitz.

Drugi raport, nazwany *Raportem W*, Pilecki opracował w Warszawie jesienią 1943 r. Skomentował po wojnie: „Napisałem [...] raport na temat Oświęcimia na dwudziestu stronach 20 stron maszynowego pisma i na ostatniej stronie koledzy, którzy meldunki wieźli, napisali mi własnoręcznie co komu i kiedy w tej sprawie składali”. Takich oświadczeń było osiem, gdyż nie wszyscy przeżyli lub Witold nie mógł z nimi się spotkać. Poza trzema wspomnianymi Witold pozostawił jeszcze raport *Teren S*, opisujący działalność konspiracyjną w rewirze obozowym. Odnaleziony wykaz nazwisk i pseudonimów, zawarty w tzw. kluczu, pozwolił zidentyfikować nazwiska wielu osób, ze względów konspiracyjnych zaszyfrowane w raportach.

Po rozmowach Pileckiego z gen. Władysławem Andersem, dowódcą 2 Korpusu Polskiego we Włoszech, w czasie których Rotmistrz opowiadał generałowi o obozie oświęcimskim i tamtejszej konspiracji oraz o późniejszej pracy podziemnej, zdecydowano, że Pilecki musi wracać do Polski. Jego zadanie sformułowano dość ogólnikowo, zakres działań pozostawiając raczej możliwościom i decyzjom Rotmistrza. Oznaczało to jego rozległe kompetencje, do czego był zresztą uprawniony, zajmując wysoką pozycję w strukturze NIE. Współtworząc tę strukturę, znał jej zadania i cele; jechał do kraju, by je wypełniać. Zamierzał się oprzeć na zakonspirowanej siatce NIE. Przybył do okupowanej przez Sowietów Polski 8 grudnia 1945 r. jako Roman Jezierski.

***

Wierność przysiędze i wyznawanym wartościom była moralnym oparciem dla Pileckiego, który przybywając do Polski, miał koncepcję dalszej pracy niepodległościowej. Szybko okazało się, że nowe warunki wymagają wielu zmian, a dawne kontakty trzeba zastąpić nowymi. Przede wszystkim Rotmistrz starał się odtworzyć własne kontakty w strukturze NIE. Upadła koncepcja oparcia się na siatce organizacji NIE. Trzeba było zaczynać od początku. Oznaczało to przede wszystkim legalizację w nowych warunkach i powolne, systematyczne tkanie siatki.

Witold po powrocie do kraju wiele uwagi poświęcał gromadzeniu materiałów i opracowywaniu wspomnień, których najważniejszym fragmentem była relacja o organizacji konspiracyjnej w KL Auschwitz. Bardzo żywo reagował na wszelkie komunikaty o obozie. Dodatkowym motywem do spisywania wspomnień było fałszywe przedstawianie rzeczywistości obozowej, z jakim się często spotykał. W maju 1946 r. Pilecki z Różyckim byli nawet w Oświęcimiu, by obejrzeć obóz.

Rotmistrz, gromadząc materiały do planowanej książki, spotykał wiele osób. Spotkania te były nierzadko okazją do sondażowego oceniania przydatności do dalszego działania osób, z którymi wcześniej współpracował. Aby uściślić niektóre fakty z życia kacetowego, Witold odwiedzał dawnych współtowarzyszy, m.in. Tadeusza Pietrzykowskiego „Teddy'ego". Rozmawiał z Tadeuszem Bairdem, byłym pracownikiem DR na Kraj, który przekazywał informacje obozowego ZOW do KG AK, i otrzymał od niego kopie swoich meldunków.

Prosił przyjaciół o wydobycie z krakowskiego PCK zdjęć Stefana Bieleckiego, Edwarda Ciesielskiego, Jana Redzeja (Retko) i Kazimierza Radwańskiego, siostrzeńca, także uwięzionego przez Niemców w Auschwitz, gdyż chciał je zamieścić w przygotowywanej książce wspomnieniowo-dokumentacyjnej. Wiele materiałów przepadło, jak choćby te przechowane u Aleksandrowej Jalińskiej, której mąż, oświęcimiak, przyjaźnił się z Witoldem, a zginął w Powstaniu Warszawskim. Jalińska po ucieczce Pileckiego z obozu przepisywała raporty ZOW i miała ukryte ich odpisy w swoim mieszkaniu przy ul. Krasińskiego 16 w Warszawie, kiedy jednak Rotmistrz odwiedził ją po okupacji niemieckiej, okazało się, że ktoś je wcześniej od niej odebrał.

Jeden z egzemplarzy swego szkicu Witold zdeponował u szwagierki, Eleonory Ostrowskiej. Prawdopodobnie był to zarys przygotowywanego opracowywania. Witold zamierzał napisać także o Powstaniu Warszawskim. Jednakże pisanie wspomnień mogło być tylko chwilą retrospektywnej zadumy nad przebytą już drogą oraz ucieczką przed otaczającą rzeczywistością, równie groźną jak przeszłość. Ona to, a ściślej walka z nią, pochłaniała Rotmistrza bez reszty.

Witold mógł przeżywać zwątpienie w swoją misję, ale nawet gdyby za taką postawą przemawiały racje intelektualne, moralne lub inne, faktycznie nie mógł się z niej wycofać. Wspomina Janina Pieńkowska: „Brat mój cioteczny też w bardzo niepewnej

sytuacji chciał uciekać za granicę – spotkali się u mnie. W pewnej chwili spytałam: «A ty, Witold?», a on odpowiedział wolno tym swoim charakterystycznym, kresowym akcentem: «Ja zostanę, wszyscy nie mogą stąd wyjechać, ktoś musi tu trwać bez względu na konsekwencje»”.

***

Komunistyczny aparat represji aresztował Pileckiego 8 maja 1947 r. Osadzono go w gmachu MBP przy ul. Koszykowej w Warszawie, poddano całonocnemu przesłuchaniu, a następnie przekazano do dyspozycji Wydziału Śledczego MBP i umieszczono w więzieniu mokotowskim przy ul. Rakowieckiej, w okrytym złą sławą x Pawilonie. Siedział tam w całkowitej izolacji. Podstawą aresztowania i oskarżenia był rzekomo przygotowywany przez niego zamach na kierownictwo MBP. Śledztwo prowadzone przez funkcjonariuszy tej instytucji według wypraktykowanych metod sowieckich było okrutne fizycznie i psychicznie[3].

23 stycznia 1948 r. akt oskarżenia wobec Pileckiego, obejmujący znacznie szerszy zakres czynów zarzucanych Rotmistrzowi, sporządzony przez funkcjonariuszy śledczych, zaakceptował mjr Adam Humer. Następnie przekazano go Naczelnej Prokuraturze Wojskowej, która 7 lutego 1948 r. przesłała go do WSR w Warszawie.

Proces grupy Pileckiego – śledztwem bowiem objęto też jego współpracowników – odbył się w warszawskim WSR przy ul. Nowowiejskiej, a składowi sądzącemu przewodniczył ppłk mgr Jan Hryckowian. Rozprawa Witolda i współtowarzyszy rozpoczęła się 3 marca. Oskarżyciel żądał dla Witolda Pileckiego, Marii Szelągowskiej, Tadeusza Płużańskiego i Makarego Sieradzkiego kary śmierci, dla Witolda Różyckiego i Maksymiliana Kauckiego – kary dożywotniego więzienia, a dla Ryszarda Jamontta-Krzywickiego i Jerzego Nowakowskiego – surowych kar więzienia.

W ostatnim słowie oskarżeni odrzucili zarzut szpiegostwa i świadomego uczestniczenia w tego typu działaniach, podkreślali natomiast postawę żołnierskiej służby dobrej sprawie. Rotmistrz Pilecki oświadczył lakonicznie: „Nie byłem rezydentem, a tylko polskim oficerem. Wykonywałem tylko rozkazy aż do chwili aresztowania mnie. Nie miałem przeświadczenia, że dopuszczam się szpiegostwa, i przy ferowaniu wyroku proszę o wzięcie tego pod uwagę”.

Na procesie Witold według opinii bliskich wyglądał na wymizerowanego, ale robił wrażenie stanowczego. Po wyroku miał powiedzieć do Eleonory Ostrowskiej: „Ja już żyć nie mogę, mnie wykończono. Oświęcim – to była igraszka”.

Przetrwać okrucieństwa komunistycznego więzienia pomogła mu głęboka wiara. Była źródłem jego siły i odwagi. W życiu duchowym szczególnie cenił sobie

3 Przesłuchania osobiście nadzorował płk Józef Różański (1907–1981; ur. w rodzinie żydowskiej jako Józef Goldberg), komunista, członek NKWD i MBP, wyjątkowo brutalny oficer śledczy.

Naśladowanie Chrystusa, dzieło średniowiecznego ascety Tomasza a Kempis. Na jednym z ostatnich widzeń z żoną zostawił je niejako w testamencie dla swoich dzieci, polecając, by czytała im jego fragmenty. „To da ci siłę" – powiedział.

15 marca WSR ogłosił wyrok. Pilecki został skazany na karę śmierci oraz pozbawiony na zawsze praw publicznych i obywatelskich praw honorowych, a także na przepadek mienia. Wraz z nim skazano na najwyższy wymiar kary Szelągowską i Płużańskiego.

Pod względem prawnym i w kontekście dowodów procesowych wyrok był oczywistą zbrodnią sądową. Ponieważ stały za nim agendy reżimu, była to zbrodnia aparatu przemocy. Z chwilą zaś, gdy usankcjonował tę zbrodnię sprawujący urząd prezydenta Bolesław Bierut, stała się ona zbrodnią stanu – jedną z wielu w tamtych latach.

Rotmistrz po ogłoszeniu wyroku zwrócił się do Bieruta, prezydenta RP, w liście pełnym godności, w którym przedstawił swoją obywatelską i żołnierską drogę życiową. Skierowane do Bieruta 7 maja pismo było żołnierskim raportem z wypełnienia obowiązków wobec Ojczyzny. Jednocześnie jego tekst ujawnia szczegół, który wskazuje, że Witold wcale nie musiał otrzymać kary śmierci. Pilecki pisał bowiem: „Nie mogłem się decydować na publiczne oskarżenie na rozprawie sądowej tych ośrodków lub gdziekolwiek bądź inaczej, gdyż rozumiałem w ten sposób, że oficer, który oczernia swój oddział macierzysty, zasłuży sobie u każdego na pogardę – a nawet u samych oficerów śledczych". A więc za cenę publicznego oskarżenia ośrodków emigracyjnych mógłby Pilecki nie tylko nie otrzymać kary najwyższej, ale otworzyć sobie drogę kariery kolaboranta narzuconej z zewnątrz władzy i systemu, których nie akceptował.

Nie chciał iść drogą Józefa Cyrankiewicza, długoletniego premiera Polski Ludowej. Rotmistrz miał własną drogę – honorową. Cyrankiewicz, również więzień KL Auschwitz, odegrał w życiu rtm. Pileckiego niewątpliwie rolę decydująca, i to niechlubną. Wielu byłych więźniów KL Auschwitz miało przekonanie, że Cyrankiewicz był w obozie konfidentem, a po wojnie fałszował swoją kacetową przeszłość. Wiedział o działalności konspiracyjnej Pileckiego i miał świadomość, że ukrywał się on w obozie pod nazwiskiem Tomasza Serafińskiego. Wiedział o tym choćby stąd, że autentyczni Serafińscy mieszkali po sąsiedzku z matką Cyrankiewicza.

Po ogłoszeniu wyroku na Pileckiego próbowano nakłonić Cyrankiewicza, by złożył swój podpis, tak jak zrobiło wielu innych oświęcimiaków, pod prośbą o ułaskawienie Witolda. Cyrankiewicz ostentacyjnie jednak odmówił pomocy w staraniach o uwolnienie Pileckiego. Przez wiele lat propaganda komunistyczna ubierała go w zasługi bohaterskiego obozowego spiskowca, okradając z nich Rotmistrza.

Egzekucja Witolda Pileckiego odbyła się w więzieniu mokotowskim 25 maja 1948 r. o godzinie 21.30. Na długiej liście katów – od Bieruta przez Cyrankiewicza i Józefa Różańskiego po dowódcę plutonu egzekucyjnego i zacierających ślady – różnie rozkłada się odpowiedzialność i różny jest stopień winy za zbrodnię popełnioną na osobie Rotmistrza.

Dziś nadal nie ma pewności, gdzie spoczywają prochy Pileckiego. Zamordowanych więźniów grzebano w tajemnicy przed światem, ukradkiem, a ewentualni świadkowie

„tracili pamięć” co do miejsca ich pochówku. Według niektórych tym miejscem mogła być łąka przylegająca do cmentarza Służewieckiego lub podobne miejsce pod płotem po zewnętrznej stronie wojskowego cmentarza Powązkowskiego, dziś włączone w obręb cmentarza i stanowiące kwaterę Ł, tzw. Łączkę. Poszukiwania jego mogiły trwają.

***

Witold Pilecki należy do wyjątkowo wdzięcznych postaci historycznych. Wiele osób pozostaje pod urokiem jego wewnętrznego piękna i jest zafascynowanych jego bogactwem duchowym. Jego postać spopularyzowano w świecie. Przyczynił się do tego m.in. włoski badacz i publicysta Marco Patricelli w książce *Ochotnik*. W 2012 r. pojawiło się tłumaczenie *Raportu* z 1945 r. na język angielski w dziele *The Auschwitz Volunteer. Beyond Bravery. Captain Witold Pilecki (Auschwitz Prisoner No. 4859)*, z wprowadzeniem brytyjsko-polskiego historyka Normana Daviesa i przedmową naczelnego rabina Polski Michaela Schudricha. Książkę które przetłumaczono na język niemiecki, francuski, portugalski i chiński. W 2013 r. ukazał się czeski przekład książki A. Cyry *Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz*, która zawiera tenże raport. Z kolei dr Adam J. Koch dokonał przekładu *Raportu W* na język angielski (*Report W. KL Auschwitz 1940–1943*).

W Polsce już ponad 40 szkół nosi imię Witolda Pileckiego. Rotmistrz patronuje wielu miejscom i inicjatywom: ulicom, rondom, placom, parkom…; biegom, rajdom rowerowym, pieszym i konnym, turniejom…; w 2015 upamiętniono go w Vicoli – miasteczku leżącym we włoskiej Abruzji. Stawiane są pomniki i tablice pamiątkowe przywołujące pamięć o nim. Nakręcono filmy i powstały widowiska teatralne, w sposób rzetelny i barwny ukazujące jego sylwetkę. Powołano fundacje i stowarzyszenia, które poprzez różne akcje i projekty – jak choćby „Przypomnijmy o Rotmistrzu” czy „Rotmistrz Pilecki – Bohater Niezwyciężony” – promują postać Witolda Pileckiego i te wartości, którym był oddany.

Pośmiertnie Rotmistrz został uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta oraz najstarszym i najwyższym odznaczeniem Rzeczypospolitej Polskiej, Orderem Orła Białego za znamienite zasługi cywilne i wojskowe. Za działalność w KL Auschwitz, za heroiczną ofiarę, dzięki której świat miał szansę dowiedzieć się o Holocauście, oraz za pomoc Żydom w okupowanej Warszawie, Pilecki winien otrzymać tytuł „Sprawiedliwy wśród narodów świata”. Jego troską zawsze – zwłaszcza w KL Auschwitz – był człowiek, ginący w szoah Hiob, człowiek w sytuacji granicznej. Dlatego najlepszym komentarzem do raportu jest życie Rotmistrza.

Wiesław Jan Wysocki


Witold Pilecki
13.05.1901 - 25.05.1948
NA
POLU
CHWAŁY
1920

BIBLIOGRAFIA

Obejmuje ważniejsze publikacje wykorzystane w redagowaniu *Raportu Witolda* oraz dotyczące Witolda Pileckiego.

1. Źródła

Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945, t. 1–5, pod red. Haliny Czarnockiej i Tadeusza Pełczyńskiego, Londyn 1970–1986.

Ciesielski Edward, *Wspomnienia oświęcimskie*, Kraków 1968.

Gawron Wincenty, *Ochotnik do Oświęcimia*, Oświęcim 1992.

Kielar Wiesław, *Anus mundi*, Kraków 1972.

Kuzak Zygmunt, *Jak Dante za życia przeszedłem przez piekło*, w: Wiktor Jacewicz, Jan Woś, *Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945*, t. 3, Warszawa 1978.

Obóz koncentracyjny Oświęcim w świetle akt Delegatury Rządu RP na Kraj, „Zeszyty Oświęcimskie", oprac. Krystyna Marczewska, Władysław Ważniewski, nr specjalny (I), Oświęcim 1968.

Piekarski Konstanty (Kot), *Umykając piekłu. Wspomnienia polskiego oficera z Auschwitz i Buchenwaldu*, Warszawa 2005.

Raporty uciekinierów z KL Auschwitz, oprac. Henryk Świebocki, „Zeszyty Oświęcimskie", nr specjalny (IV), Oświęcim 1985.

2. Opracowania

Auschwitz 1940–1945. Węzłowe zagadnienia z dziejów obozu, t. 1–5, red. Wacław Długoborski, Franciszek Piper, Oświęcim 1995.

Auschwitz. Nazistowski obóz śmierci, Oświęcim 1993.

Cegłowska Teresa, *Karne kompanie w KL Auschwitz*, „Zeszyty Oświęcimskie" 1975 nr 17.

Cyra Adam, *Ochotnik do Auschwitz. Witold Pilecki 1901–1948*, Oświęcim 2000.
Cyra Adam, *Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz*, Warszawa 2014.
Cyra Adam, *Spadochroniarz „Urban". Ppor. Stefan Jasieński (1914–1945)*, Oświęcim 2005.
Cyra Adam, *Witold Pilecki – twórca konspiracji wojskowej w KL Auschwitz*, „Biuletyn Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem", wyd. specjalne, 1993 nr 18.
Cyra Adam, Wysocki Wiesław J., *Rotmistrz Witold Pilecki*, Warszawa 1997.
Czech Danuta, *Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz*, Oświęcim 1992.
Dębski Jerzy, *Kadra dowódcza SZP-ZWZ-AK w Konzentrationslager Auschwitz 1940–1945*, Katowice-Oświęcim 2009.
Dębski Jerzy, *Oficerowie Wojska Polskiego w obozie koncentracyjnym Auschwitz 1940–1945. Słownik biograficzny*, t. 1–6, Oświęcim 2016.
Dębski Jerzy, *Polscy adwokaci w obozie koncentracyjnym Auschwitz 1940–1945*, Oświęcim 2016.
Dunin-Wąsowicz Krzysztof, *Ruch oporu w hitlerowskich obozach koncentracyjnych 1933–1945*, Warszawa 1979.
Fejkiel Władysław, *Więźniarski szpital w KL Auschwitz*, Oświęcim 1994.
Foot Michael Richard Daniell, *Six Faces of Courage*, Londyn 1978.
Garliński Jarek, *Historical Horizon. Captain Witold Pilecki: The Report, the Mission, the Man*, w: Witold Pilecki, *The Auschwitz Volunteer. Beyond Bravery*, transl. by Jarek Garliński, Los Angeles 2012.
Garliński Józef, *Oświęcim walczący*, Warszawa 1992.
Grypsy z Konzentrationslager Auschwitz Józefa Cyrankiewicza i Stanisława Kłodzińskiego, oprac. Irena Paczyńska, Kraków 2013.
Informator o osobach skazanych za szpiegostwo w latach 1944–1984, Lublin 1994.
Kadry Morskie Rzeczypospolitej, t. 2, *Polska Marynarka Wojenna*, pod red. Jana Kazimierza Sawickiego, Gdynia 1996.
Kantyka Jan, *Bernard Świerczyna, ps. „Max" (1914–1944)*, Katowice 1994.
Kłodziński Stanisław, *Dr Edward Nowak (więzień obozu oświęcimskiego nr 447)*, „Przegląd Lekarski" 1971 nr 1.
Kłodziński Stanisław, *Rola kryminalistów niemieckich w początkach obozu oświęcimskiego*, „Przegląd Lekarski" 1974 nr 1.
Koch Adam J., *A Yesteryear's Hero?*, w: Witold Pilecki, *Report W: KL Auschwitz 1940–1943*, transl. by Adam J. Koch, Melbourne 2013.
Konik Roman, *Znamię na potylicy. Opowieść o rotmistrzu Pileckim*, Poznań 2013.
Kownacki „Jerzewski" Andrzej, *Jak powstało i walczyło Zgrupowanie „Chrobry II"*, Warszawa 1993.
Kret Józef, *Więźniowie-miernicy w obozie oświęcimskim*, „Przegląd Lekarski" 1971 nr 1.
Księga pamięci. Transporty Polaków do KL Auschwitz z Krakowa i innych miejscowości Polski południowej 1940–1944, t. 1–5, oprac. Franciszek Piper, Irena Strzelecka, Oświęcim 2002.
Księga pamięci. Transporty Polaków do KL Auschwitz z Lublina i innych miejscowości Lubelszczyzny 1940–1944, t. 1–3, oprac. Franciszek Piper, Irena Strzelecka, Oświęcim 2009.

Księga pamięci. Transporty Polaków do KL Auschwitz z Radomia i innych miejscowości Kielecczyzny 1940–1944, t. 1–5, oprac. Franciszek Piper, Irena Strzelecka, Oświęcim 2005.

Księga pamięci. Transporty Polaków do KL Auschwitz z Wielkopolski, Pomorza, Ciechanowskiego i Białostocczyzny, t. 1–3, oprac. Bohdan Piętka, Oświęcim 2013.

Księga pamięci. Transporty Polaków z Warszawy do KL Auschwitz 1940–1944, t. 1–3, red. Franciszek Piper, Irena Strzelecka, Oświęcim 2000.

Księgi zgonów z Auschwitz, t. 1–3, red. Jerzy Dębski i in., München-New Providence-London--Paris 1995.

Kunert Andrzej Krzysztof, *Słownik biograficzny konspiracji warszawskiej 1939–1944*, t. 1–3, Warszawa 1987–1991.

Kwiatkowski Maciej Jan, *Polskie radio w konspiracji 1939–1944*, Warszawa 1989.

Langbein Hermann, *Ludzie w Auschwitz*, tłum. Jan Parcer, Halina Jastrzębska, Oświęcim 1994.

Lasik Aleksander, *Ściganie, sądzenie i karanie członków oświęcimskiej załogi SS. Procedura. Zagadnienie winy i odpowiedzialności*, „Zeszyty Oświęcimskie" 1995 nr 21.

Leopold Czesław [Arkadiusz Rybicki], Lechicki Krzysztof [Antoni Wręga], *Więźniowie polityczni w Polsce 1945–1956*, „Zeszyty Historyczne Ruchu Młodej Polski", Gdańsk 1981, s. 1.

Lewandowski Stanisław, *Podziemne organizacje w obozie śmierci. Żołnierze Września 1939 r. w KL Auschwitz*, „Polsce Wierni" 1997 nr 4.

Ludzie dobrej woli. Księga pamięci mieszkańców ziemi oświęcimskiej niosących pomoc więźniom KL Auschwitz, pod red. Henryka Świebockiego, Oświęcim 2005.

Malinowski Kazimierz, *Tajna Armia Polska-Znak-Konfederacja Zbrojna. Zarys genezy, organizacji i działalności*, Warszawa 1986.

Mieszkańcy Śląska, Podbeskidzia i Zagłębia Dąbrowskiego w KL Auschwitz. Księga pamięci, oprac. Irena Pająk, Katowice 1998.

Patricelli Marco, *Ochotnik. O rotmistrzu Witoldzie Pileckim*, tłum. Krzysztof Żaboklicki, Kraków 2011.

Pawłowicz Jacek, *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948*, Warszawa 2008.

Pilecki Krzysztof, *Był sens walki i sens śmierci*, Bydgoszcz 1998.

Pilecki. Śladami mojego Taty. Z Andrzejem Pileckim rozmawiają Mirosław Krzyszkowski i Bogdan Wasztyl, Kraków 2015.

Pilecki Witold, *Raporty z Auschwitz. Raport*, *Raport W*, *Raport Teren S*, Kraków 2016.

Piper Franciszek, *Ilu ludzi zginęło w KL Auschwitz. Liczba ofiar w świetle źródeł i badań 1945–1990*, Oświęcim 1992.

Piper Franciszek, *Zatrudnienie więźniów KL Auschwitz. Organizacja pracy i metody eksploatacji siły roboczej*, Oświęcim 1981.

Płużański Tadeusz M., *Bestie. Nieukarani mordercy Polaków*, Warszawa 2011.

Płużański Tadeusz M., *Rotmistrz Pilecki i jego oprawcy*, Warszawa 2015.

„Rocznik Oficerski Ministerstwa Spraw Wojskowych", Warszawa 1923, 1924, 1928, 1932.

„Rocznik Oficerski Rezerw 1934", reprint Warszawa-Londyn 2003.

Rotmistrz Pilecki. Raporty z Auschwitz, Warszawa 2016.

Rybka Ryszard, Stepan Kamil, *Awanse oficerskie w Wojsku Polskim 1935–1939*, Kraków 2003.
Rybka Ryszard, Stepan Kamil, *Rocznik Oficerski 1939 (stan na dzień 23 marca 1939 r.)*, Kraków 2006.
Sadowski Maciej, *Witold Pilecki. Fotobiografia*, Warszawa 2015.
Sobański Tomasz, *Ucieczki oświęcimskie*, Warszawa 1969.
Sterkowicz Stanisław, *Casus Deringa*, „Medyk" 1991 nr 9.
Szejnert Małgorzata, *Śród żywych duchów*, Kraków 2012.
Szuła Jan, *Więźniowie Niemcy w strukturze terroru obozowego*, „Przegląd Lekarski" 1991 nr 1.
Świebocki Henryk, *Przyobozowy ruch oporu w akcji niesienia pomocy więźniom KL Auschwitz*, „Zeszyty Oświęcimskie" 1988 nr 19.
Świerczek Lidia, *Rotmistrz Pilecki. Wilno – Auschwitz – Rakowiecka*, Warszawa 2008.
Tracki Krzysztof, *Młodość Witolda Pileckiego*, Warszawa 2014.
Witryna internetowa www.auschwitz.org.
Wolni i zniewoleni. Rtm. Witold Pilecki i inni więźniowie KL Auschwitz wobec nowej rzeczywistości powojennej, red. Witold Stankowski, Oświęcim 2010.
Wysocki Wiesław Jan, *Rotmistrz Pilecki*, Warszawa 1994.
Wysocki Wiesław Jan, *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948*, Warszawa 2012.

NOTY O CZŁONKACH KOLEGIUM REDAKCYJNEGO

Józef Brynkus (ur. 1962) – historyk, doktor habilitowany nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki (Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN w Krakowie), poseł na Sejm RP VIII kadencji.

Michał Siwiec-Cielebon (ur. 1964) – historyk, dziennikarz, kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowej Ziemi Wadowickiej.

Wiesław Jan Wysocki (ur. 1950) – historyk, profesor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie).

SPIS TREŚCI

Organizator:
Fundacja Gdzie

Koordynator projektu:
Małgorzata Kupiszewska

Projekt dofinansowano ze środków:

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Partnerzy wydania:

Zadanie publiczne współfinansowane ze środków Ministerstwa Obrony Narodowej. Publikacja powstała w ramach zadania publicznego MON „Rotmistrz Witold Pilecki: Żołnierz – Bohater – Patriota”

Projekt „Rotmistrz Pilecki – Bohater Niezwyciężony” jest realizacją zadania publicznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych „Wsparcie wymiaru samorządowego i obywatelskiego polskiej polityki zagranicznej – 2016”

Kolegium redakcyjne
Józef Brynkus, Michał Siwiec-Cielebon (opracowanie przypisów i bibliografii), *Wiesław Jan Wysocki*

Redaktor wydawniczy
ks. Grzegorz Radzikowski SAC

Korekta
Paweł Borkowski, Małgorzata Kupiszewska, Paweł Kupiszewski

Skład i łamanie
Janusz Kołton | www.ffpx.com

Projekt okładki oraz logotypów „Raport Witolda" i „Rotmistrz Pilecki – Bohater Niezwyciężony"
Weronika Kupiszewska

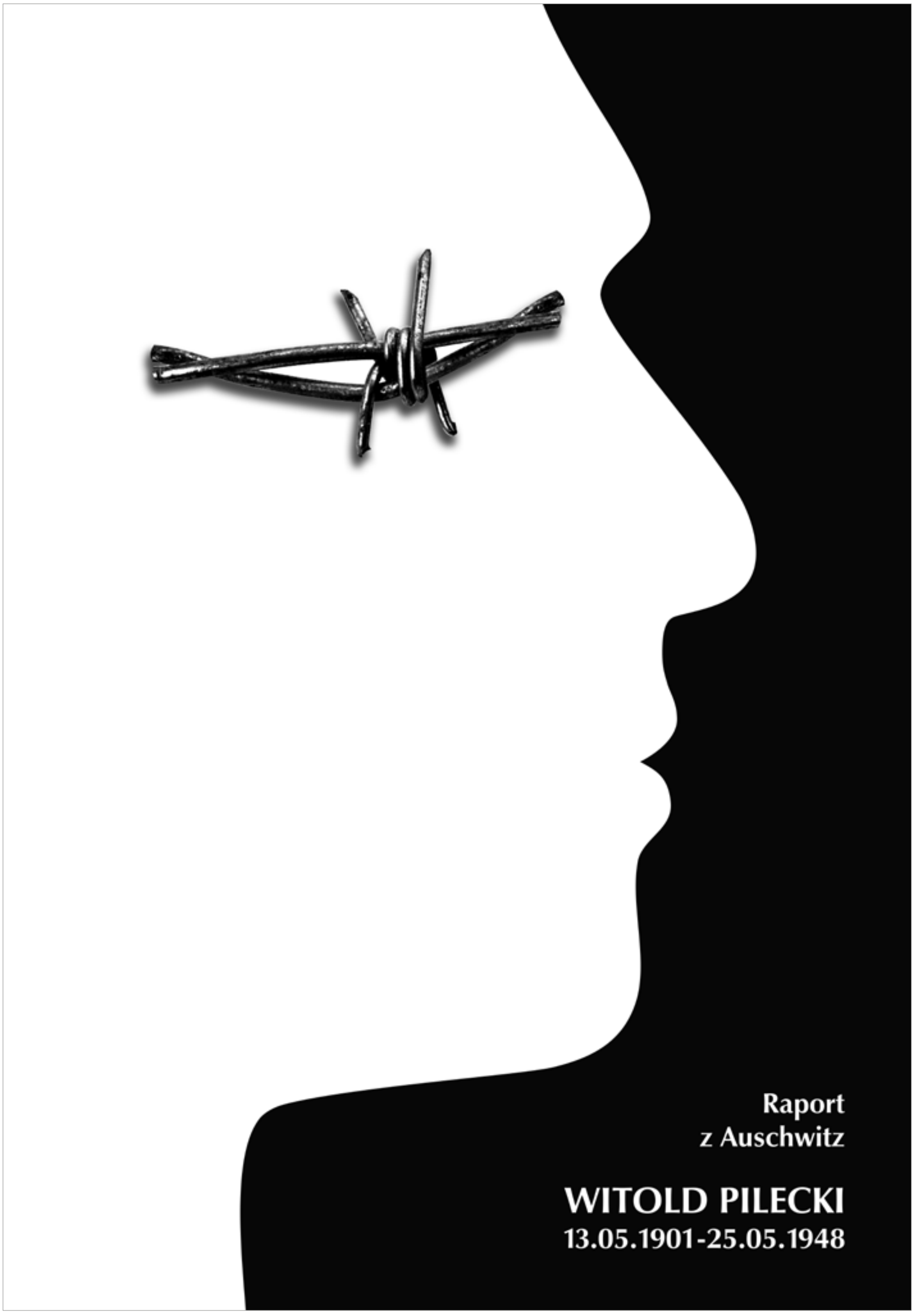
W książce wykorzystano zdjęcie z archiwum rodziny Witolda Pileckiego (s. 6) oraz prace nagrodzone i wyróżnione w Międzynarodowym Konkursie na Plakat „Rotmistrz Pilecki – Bohater Niezwyciężony": Piotra Pietrzaka (s. 1), Zbigniewa Babińskiego (s. 2), Pawła Jaszczuka (s. 4), Wojciecha Zabłockiego (s. 8), Kingi Kędrackiej (s. 10), Karola Kierzynki (s. 21), Patrycji Piechockiej (s. 22), Wojciecha Sobolewskiego (s. 221), Bartosza Mamaka (s. 222), Grzegorza Myćki (s. 252), Jacka Ćwikły (s. 260), Lexa Drewinskiego (s. 261), Jarosława Polkowskiego (s. 262), Marcina Wawrzaszka (s. 263)

ISBN 978-83-7919-109-3

APOSTOLICUM
Wydawnictwo Księży Pallotynów
Prowincji Chrystusa Króla
ul. Wilcza 8, 05–091 Ząbki
tel. +48 22 771 52 30, 14; fax +48 22 771 52 26
sklep@apostolicum.pl
księgarnia internetowa: www.apostolicum.pl

STUDIUM POLSKI PODZIEMNEJ
11 Leopold Road
London W5 3PB
United Kingdom
tel. +44 (0) 20 8992 6057
info@studium.org.uk
www.studium.org.uk

Druk i oprawa: Drukarnia APOSTOLICUM, Ząbki



„Obóz był jak młyn wielki, co przepracowywał ludzi żywych na – popiół.”



„Lager był probierzem, gdzie się deklarowały charaktery.
Jedni – staczali się w bagno moralne.
Inni – rzeźbili w charakterach własnych, jak w kryształach.
Rżnięto nas ostrym narzędziem."



„Lecz, jeśli naprawdę kto wyjdzie – obowiązkiem jego,
będzie podać światu, jak tu ginęli – prawdziwi Polacy.
Niech również powie, jak tu ginęli wogóle ludzie...
mordowani przez – ludzi...”


GermanDeathCamps.org
NAZI GERMAN
DEATH CAMPS
NOT POLISH
REMEMBER!

EGZEMPLARZ NIEPRZEZNACZONY DO SPRZEDAŻY

APOSTOLICUM

S&P